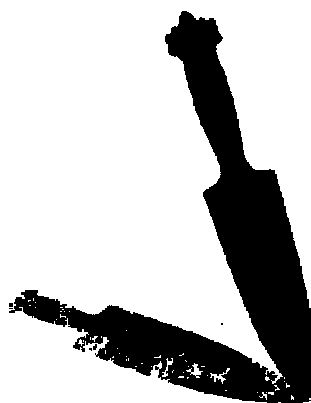




BARBARA EWING

Magnetyzerka

Tytuł oryginału THE MESMERIST



Dla Chada i Kath

TLR

PODZIĘKOWANIA

Z wyrazami szczególnej wdzięczności dla dra Boba Large'a z Okręgowej Służby Paliatywnej w Auckland w Nowej Zelandii za fascynujące dyskusje na temat hipnozy i bólu oraz dla Simona O'Leary z Londynu za pouczające rozmowy o historii zawodu koronera.

TLR

...pamiętam, że niejaka panna Preston z Bloomsbury... zmarła niedawno, praktykowała mesmeryzm przez znaczną część życia; przypominam też sobie, jak około dwóch dekad temu wielkie tłumy odwiedzały pewnego magnetyzera w Kennington...

profesor John Elliotson, *Human Physiology I*, 1835

TLR

CZEŚĆ PIERWSZA

1838

TLR

Rozległ się huk gromu.

Nie był to jednak prawdziwy grom; reżyser sprawdzał arkusz blachy: jeśli pękł, dźwięk stawał się zbyt brzękliwy, tracił głębię.

Cordelia Preston, ciasno owinięta płaszczem dla ochrony przed chłodem, opierała się o nieudolnie namalowany i nieco krzywy mur zamkowy, któremu najbujniejsza wyobraźnia nie zdołałaby przydać majestatu.

- Ten tłusty reżyser to bestia z piekła rodem - mruknęła z irytacją do Amaryllis Spoons, siedzącej na kwadratowym pniaku.

W pustym, pełnym ech teatrze unosił się ciężki zapach z licznych lamp, łożu ze świec i kurzu, jak też publiczności z zeszłego wieczoru, a może i aktorów. Światła rampy opuszczono na bloczkach w dół, tak aby można było przyciąć knoty w lampach; scenę oświetlały świece do pracy, rzucające przyćmiony, migotliwy blask. Zmarznięci aktorzy rozcierali dłonie, wydychali obłoczki pary. Cordelia Preston i Amaryllis Spoons, dwie z trzech śpiewających wiedźm (trzecią grała teściowa reżysera), ze swych nędznych gaży miały obowiązek zapewnić sobie kostiumy, peruki, puder oraz szminkę; kupić jedzenie; zapłacić komorne; sfinansować podróże. I mimo to reżyser wezwał aktorów przed terminem wypłaty, po czym, kołysząc się w przód i w tył na piętach na skraju słabo oświetlonej sceny, oznajmił, że znowu musiał obciąć gaże.

- Publiczność nie chce już aktorów - zadał ostatni, zabójczy cios, aż Cordelia w przyptywie gniewu pomyślała, jak przyjemnie byłoby go posłać kopniakiem na widownię. - W dzisiejszych czasach publiczność chce widowiska! Ale widowisko to nie drugorzędni aktorzy czy wyliniąta szkapa. Jutro przybędzie słoń... a w przyszłym miesiącu będę miał chłopca wyczyniającego sztuczki.

Po czym przestał się kiwać i nieoczekiwanie rozpląnął w mroku w głębi teatru.

Drugorzędni aktorzy? Słoń w „Makbecie”? Aktor grający tytułową rolę, George Tryfont, stał pośrodku sceny targany gniewem, patrząc z niedowierzaniem na pieniądze trzymane w dłoni. Aktorka grająca Lady Makbet wypadła wcześniej gwałtownie, zanosząc się donośnym płaczem. Inni stali stłoczeni w małych grupkach, narzekając półgłosem, i starannie otulali się w płaszcze; zima nie chciała się skończyć, wiosny nie było widać. Pan Tryfont oparł się dramatycznie o konary Lasu Birnamskiego (którego nie usunięto jeszcze po wczoraj-

szym przedstawieniu); on sam i końcyste drewniane konary rzucali na scenę długie, dziwaczne cienie. Amaryllis Spoons zauważyła, że Cordelia Preston, także uchwycona w krąg blasku na tle malowanego muru zamkowego, choć rozścieszona, wciąż jest piękna: zdawało się, że intrygujący siwy lok nad czołem niemal lśni w półmroku wśród cieni.

Rekwizytor, powłócząc nogami, przeciął scenę, niosąc wielkie cynowe półmiski i puchary do sceny bankietowej; jeśli wiedział więcej od aktorów o przyszłości inscenizacji i o tym, czy rzeczywiście jest jakiś słoń, nie pisnął słowa. Jego rozbrzmiewające echem kroki ścieliły za kulisami.

Głos pana Tryfonta (aktor nic na to nie potrafił poradzić) poniósł się nad pustą widownią, sięgając nawet balkonów i galerii, aktor doskonale umiał dobrać właściwą barwę.

- Słoń w Szekspirze! Och, czemuż nie wybrałem godniejszej profesji! Taki reżyser to wstyd, więcej płaci za występ koniom niż aktorowi mojej klasy. - Rekwizytor przeszurał w przeciwnym kierunku, nadal w milczeniu, taszcząc na plecach kocioł czarownic. - A propos, słyszałem z wiarygodnego źródła, że jutro, gdy tylko słoń się zjawi, wszystkie starsze damy... - pan Tryfont posłał przez scenę jadowite spojrzenie - zostaną zwolnione. Publiczność nie lubi starych kobiet.

Panie Cordelia Preston i Amaryllis Spoons zerknęły na siebie; wzmianka o „starszych damach” odnosiła się do nich (choć obie były nieco młodsze od pana Tryfonta); nie rozumiały, czemu słoń miałby zająć miejsce trzech śpiewających wiedzów w inscenizacji „Makbeta” (lecz ponieważ była to trzecia trasa, wszystko mogło się zdarzyć). Zostało im ledwie tyle pieniędzy, by wrócić do domu. Tego rodzaju sytuacje zdarzały się już jednak setki razy; obie trzymały w Londynie pieniądze schowane pod podłogą na ciężkie a niespodziewane czasy i obie dokonywały w myśli szybkich obliczeń.

Po chwili aktorzy rozproszyli się nagle, słysząc głośny, ostrzegawczy krzyk z dołu i skrzypienie kolejnych bloczków, za ich pomocą rozsuwano malowane drzewa Wielkiego Lasu Birnamskiego, by ukryć go przed wzrokiem widzów po obu stronach sceny aż do szczytowej sceny wieczornego przedstawienia. Wśród poruszających się drzew zamajaczył rekwizytor. Taszczył wielką misę czerwonego płynu - krew na dłonie Makbetów, co wieczór dokonujących mordu.

Za mieszkanie służyło im parę brudnych, zimnych pomieszczeń: część stodoły pod Guildford. Przygnębieni aktorzy popijali po kątach taną whisky przed wieczornym przedstawieniem. Cordelia Preston opiekowała chleb nad ogniem. Amaryllis Spoons z pogrzebową miną jadła jabłko. Wiedziały, że nie należało się wybierać w tę trasę, znały kaprysy trzeciego objazdu: najniższe gáže, występy w najgorszych teatrach. Ale pani Preston i pani Spoons miały ponad czterdzieści lat, czyli mówiąc po prostu, były stare (jak im to nieuprzejmie wytknął pan Tryfont) i potrzebowały pieniędzy.

- Fakt, ten tłusciuch reżyser to bestia z piekła rodem - przytaknęła Rillie Spoons.

Tego wieczoru czerwona kurtyna rozsunała się w końcu, jak zwykle z opóźnieniem, przy wtórze tupania i gwizdów zniecierpliwionej publiczności. Światła rampy przygaszono i scena stopniowo pociemniała. Śpiewające wiedźmy (reżyser upierał się, że publiczność życzy sobie śpiewu) majaczyły widmowo wśród dymu kłębiącego się w głębi sceny. Teściowa reżysera zakrztusiła się i reżyser bardzo głośno zagrzechotał blachą, imitując huk pioruna (oraz by zagłuszyć kaszel którejś z wiedźm). I mimo wszystko (niezależnie od opinii na temat starych kobiet) jak zawsze zapadła cisza, kiedy trzy jędze pochyliły się nad kotłem w półmroku i znane słowa chwyciły widzów za serce:

*Rychłóż się zejdzem znów przy blasku Błyskawic i piorunów
trzasku?*

*Gdy bitwa owdzie wrząca Dociągnie się do końca*¹.*

W tej inscenizacji Makbet przybywał na koniu: rumak może i był wyliniaty, za to publiczność wiwatowała. Była to wszakże jedyna owacja tego wieczoru. Wkrótce koń zniknął, lecz pan Tryfont pozostał - na wieki. Jego Makbet upodobał sobie pauzy, a jak się zdaje, tego wieczoru upodobał je sobie szczególnie; poprzez kurz i zapach szminki teatralnej, odór wydzielany przez lampy oraz widzów, ku scenie zaczęły napływać fale rozczarowania i znudzenia: publiczność chciała akcji, większych kłębów dymu, więcej koni, bębnow, ruchomych dekora-

¹ * Fragmenty „Makbeta” w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

cji. Inscenizacja zbliżała się do punktu kulminacyjnego i pan Tryfont zrobił szczególnie imponującą pauzę, dramatycznie gapiąc się w sufit. *Życie jest tylko przelotnym półcieniem*, dobiegł głośny szept z budki pod sceną i aktor spojrzał z furją na suflera, który jedynie próbował mu pomóc.

*Życie jest tylko przechodnim półcieniem, Nędznym aktorem,
który swoją rolę Przez parę godzin wygrawszy na scenie...*

Na scenie wylądował ogryzek.

- *Milnie na wieki*, dzięki Bogu! - zawołał ktoś z parteru. ;

- *Skończcie wreszcie!* - krzyknął ktoś inny. - *Powieścią idioty*, zgadzam się całkowicie. *Nic nie znacząca*, jak ty, stary capie!

- Ty przeklęty zramolały aktorzy! - podjął pierwszy. - Chciałbyś skończyć, tylko próchno się z ciebie sypie!

Wielki Las Birnamski zaskrzypiał, zamierzając pojawić się cudownym sposobem, lecz pan Tryfont, za którego doniosła jego doniosła, poetyczną przemowę, nagle wybuchnął. Wykonał potężny skok („Bardzo niebezpieczny w jego wieku!” - szepnęła Cordelia w głębi sceny) i rzucił się z pięściami na swych dręczycieli. Widzowie zaczęli gwizdać z zachwytu, przyłączyli się następni aktorzy, a potem liczniejsi przedstawiciele publiczności. Widok był porywający. Panie Cordelia Preston i Amaryllis Spoons spojrzały na siebie. *Bez pracy, pogoda pod pseem, ani śladu wiosny*. Wzruszyły ramionami. Cordelia wskazała gestem stół z rekwizytami i zdmuchnęła najbliższe stojące świece. Obie z Rillie chwyciły wielką misę z krwią i wspólnymi siłami chlusnęły w półmroku czerwonymi resztkami na aktorów i publiczność; lśniący płyn pryskał, plamił i ściekał krwawo. Następnie, wciąż w swoich wiedźnich kostiumach - stroje należały do nich, musiały się o nie wystarać same, no i nocą bezpieczniej jest wędrować jako czarownica niż dama - po cichu zebrały swój dobytek w ogólnym zamieszaniu i zniknęły.

I takimi by je ujrzał przypadkowy przechodzień: dwie dość dziwaczne postaci w lodowatych ciemnościach, brnące ze stoicyzmem ku Gościńcowi Londyńskiemu; dwie wierne przyjaciółki, aktorki w średnim wieku, bez pracy, na lutowym mrozie.

- Gdyby moja biedna nieżyjąca matka mogła mnie teraz zobaczyć! - westchnęła Cordelia. - Och, jak dobrze by mnie rozumiała!

- Gdyby moja biedna żyjąca matka mogła mnie teraz zobaczyć - przyłączyła się Rillie - nie rozumiałyby nic zupełnie - i obie zaśmiały się w mroku; było to coś w rodzaju żartu, jako że matka Rillie straciła rozum.

Rychłoż się zejdzem znów przy blasku Błyskawic i piorunów trzasku?

W drodze śpiewały, by się podnieść na duchu i odstraszyć zbójców, aż w którymś momencie podczas tej zimnej nocnej wędrówki Cordelii wydało się, że je usłyszała: niezłomne, roześmiane duchy swojej matki i ciotki, powtarzające, jak powtarzały zawsze, by kroczyła przed siebie, cokolwiek się zdarzy, i nigdy się nie poddawała.

2

Kilka wieczorów później panna Cordelia Preston (bo choć na teatralnych plakatach oczywiście zawsze przedstawiano ją jako panią Preston, jak przyjęto w wypadku starszych aktorek, w istocie nie była zamężna) siedziała w suterenie przy Little Russell Street w Bloomsbury, na wpół drzemiąc, wciąż jeszcze zmęczona po długiej wędrówce z Guildford. Popijała w roztargnieniu porto.

Nie zaciągnęła zasłon: przechodnie musieliby opaść na czworaki lub się czołgać, by zajrzeć do jej pokojów. Codziennie oglądała nogi przechodniów i słyszała odgłos kroków: butów i pantofelków, i nieobutych brudnych stóp. O tej godzinie stawały się rzadsze, lecz na żelaznych stopniach, prowadzących do suterenu, kot sąsiada, schwytyany w krąg blasku latarni za oknem, wyginał się niczym czarny znak zapytania. Cordelia miała dziesięć lat, kiedy zmarła jej matka; później mieszkała w pokojach w suterenie z ciocią Hester. A kiedy ta z kolei umierała, jedno z jej ostatnich słów brzmiało: „To twój dom, dziewczyno, trzymaj się go i zawsze płac komorne w terminie. I zachowaj moje gwiazdy; będą cię strzegły, kiedy odejdę”.

Tak więc Cordelia pozostawiła na suficie lśniące gwiazdy swojej ciotki (tanie błyskotki z malowanego szkła) i na czas płaciła komorne. Zostawiła też lustro, w których gwiazdy się odbijały, wystrzępione książki o mesmeryzmie i frenologii w narożnej szafce oraz białą marmurową głowę pokrytą liczbami. Przeważała ją Alphonse'em, bo jej matka występowała kiedyś w sztuce, gdzie jedna z postaci tak właśnie się nazywała i nie miała włosów. Cordelia nauczyła się liczyć na głowie Alphonse'a: 1, 2 i 3 znajdowały się z tyłu; 14 na czubku; Alphonse był jej przyjacielem i niekiedy ozdabiała go kwiatami z czerwonego aksamitu. Marmurowa głowa, pokryta cyframi, to dziwna zabawka dla małej dziewczynki, lecz niezwykłość nigdy nie niepokoiła ludzi teatru, przywykłych do tysięcy dziwactw: czyż nie obcowali co wieczór z jabłkami z wosku, misami nieprawdziwej krwi, a nierzadko także czaszkami, żywymi synogarlicami, martwymi jeleniami i książkami bez stron, stłoczonymi w kącie na rekwizyty?

A więc: nawet jeśli matka i ciotka nie żyły, to podobnie jak Alphonse, gwiazdy, lustro, czerwone kwiaty z aksamitu oraz wszelkie inne skradzione przez matkę akcesoria, Kitty i Hester, owe dwa niezłomne duchy, krążyły tu zawsze*

Rozległ się odgłos kroków schodzących z ulicy ku drzwiom, potem szybkie pukanie: to Rillie Spoons przybyła na późnego drinka: oczywiście chodziły spać nad ranem, były przecież aktorkami.

- Jak twoje nogi, Cordie?

- Tak samo jak twoje!

- Chodźmy do pani Fortune - zaproponowała Rillie - a nuż się dowiemy o jakiejś robocie.

- Przynajmniej nie występujemy ze słoniem - burknęła Cordelia ponuro.

- Może byłoby warto...

Wybuchnęły śmiechem, przypomniawszy sobie kapiącą czerwoną farbę, zaskoczony twarze opryskanych. Cordelia wlała do gardła resztę porto, podała butelkę przyjaciółce i udała się na poszukiwanie drugiego kieliszka; przeszła jej ochota do śmiechu.

- A teraz oczywiście musimy iść Pod Jagnię i zapytać pana Kennetha lub pana Turnoura, czy nie zechcieliby nam łaskawie wynaleźć czegoś równie nędznego! Och, na piekielne wrota, Rillie, mam tego naprawdę serdecznie dość; mam dość pakowania kostiumów i szminki, podróżowania w zimnie, deszczu i upale po okropnych wiejskich drogach; robię to od stu lat i mam tego dość!

- Znalazłam w gazecie coś ciekawego - odparła Rillie Spoons, ignorując humor Cordelii. - Pamiętasz swoją ciocię Hester i ten me-smeryzm, którym się zajmowała? No więc w nowym Szpitalu Uniwersyteckim urządzają pokaz, spójrz tylko, wyrwałam to z gazety, kiedy bibliotekarz nie patrzył.

Rillie wciąż miała piękny głos; zaczęła czytać z urwanego kawałka strony, przysuwając go do światła lampy, by lepiej widzieć, mrużąc oczy i modulując głos we właściwych miejscach.

- MESMEROMANIA PODZIELIŁA METROPOLIE! EKSPERYMENTY MESMERYSTYCZNE W SZPITALU UNIWERSYTECKIM! PROFESOR ELIOTSON NA PRZYKŁADZIE DWÓCH UBOGICH PACJENTEK SZPITALA, SIÓSTR OKEY Z IRLANDII - albowiem, Cordie, Irlandczycy różnią się od nas -POKAŻE WPŁYW ORAZ ZBAWIENNĄ UŻYTECZNOŚĆ MESMERYZMU DLA PACJENTÓW SZPITALNYCH. Chodźmy jutro zobaczyć ten pokaz, poprawi nam to humor i przypomni twoją drogą, starą ciocię Hester (trzeba było uważać, wspominając o fragmentach bolesnej przeszłości Cordelii, na przykład nie należało wymieniać słowa „małżeństwo”; na cioci Hester jednak zawsze można było polegać). Pójdziemy rano, prosto z Bow Street.

Cordelia wciąż miała ponurą minę.

- Daj spokój, Cordie, mamy po czterdzieści pięć lat, nie poddamy się teraz!

Przyjaciółka wreszcie się rozpogodziła. Podniosły ją na duchu słowa Rillie albo porto, a może wzmianka o cioci Hester. Zaczęły znowu się śmiać, wspominając bitwę w teatrze, pana Tryfonta, publiczność i krew. Na koniec rozsiadły się wygodnie w suterenie w Bloomsbury z kieliszkami w rękach i odśpiewały najnowszy kuplet; śpiewały dobrze, a ich głosy niesły się dźwięcznie przez rozjaśnione blaskiem lampy okno i płynęły w noc.

*Max Welton piękne łęgi miał,
Gdzie ranna rosa padała,
Tam słodka Annie Laurie
Serce mi swe oddała.*

*Serce mi swe oddała
I pamiętać przyrzekła,
Dla mojej słodkiej Annie Laurie
Gotówem iść do piekła.*

- Ciekawe, kto to był Max Welton - zadumały się równocześnie.

I znowu wybuchnęły śmiechem; porto wciąż rozgrzewało ich gardła i serca, kiedy wkładały płaszcze. Cordelia sięgnęła po żelazko, które nosiła ze sobą do obrony; Rillie zwykle chowała duży kamień w wewnętrznej kieszeni opończy. Wyruszyły pieszo ku Drury Lane, do klubu pani Fortune przy Cock Pit-lane, i wspięły się po chwiejnych drewnianych schodach do sali nad lombardem, gdzie plotki i marzenia odwiodły niejednego bezrobotnego aktora od rzucenia się do Tamizy. W przybytku pani Fortune aktorzy przekazywali sobie wiadomości albo rozprawiali o widokach na przyszłość, chełpili się, wypłakiwali lub upijali. I jedli - niekiedy, pani Fortune regularnie przyrządzała wielki sagan gulaszu, dokładając do niego co wieczór to i owo: kiedy aktorzy zaczynali chorować, znaczyło to, że nadeszła pora wyrzucić starą porcję i zacząć od nowa.

Tego wieczoru jak zwykle zgromadziła się u niej cała teatralna hałastrą: pan Eustachy Honour, komik; baletnica Olivia; James i Jollity, tańczące karły. Przyeszły Cordelia i Rillie, Annie i Lizzie, starsze aktorki bez zajęcia; stary pan Jenks, sufler na emeryturze, i stadko młodszych artystek: Emmy, Bietki, Sary i Prymule; kilka z nich (choć pani Fortune była temu przeciwna) sprowadziło ze sobą młodych dżentelmenów, spotkanych na ulicy. Aktorzy prosto z występów w Dublinie, Manchesterze czy Birmingham stali swobodnie oparci na dole o ścianę, paląc cygara i głośno rozprawiając o najbliższych angażach; obok nich często przystawała panna Susan Fortune, córka właścicieli, która bardzo sprytnie wybrała sobie specjalizację i grywała dojrzałe damy, choć była jeszcze młoda. Annie, Lizzie, Cordelia i Rillie rzucały jej niechętnie spojrzenia. Panna Susan Fortune miała niezwykle obfite łono, i tak się jakoś składało, że reżyserzy właśnie ją zatrudniali do ról staruszek zamiast kościstych starszych aktorek w stosownym wieku.

Głosy - wraz z dymem cygar oraz wonią chrzczonej whisky pani Fortune i jej gulaszu z kiełbasą - niosły się po Cock Pitlane, gdy aktorzy rozprawiali o swoich tryumfach. Para tańczących karłów stawiała drinki jakiejś aktorce bez pracy. Dało się słyszeć urywki rozmów: baletnica Olivia skarżyła się, że przy ostatnim angażu musiała zaprezentować taniec marynarski; komik pan Eustachy Honour wyrzekał, że kazano mu występować z gorylem; śmiech dżentelmenów z ulicy uwodził Emmy i Prymule. Pani Fortune liczyła utarg. I wszędzie, nieustannie, podskórnie krążył niepokój: gdzie znaleźć pracę, skąd wziąć pieniądze; niepew-

ność ich chwiejnego losu. W kącie stała harfa, pamiątka czyjegoś dawnego sukcesu: pan Honour nastroił ją i zaczął grać, zabrzmiała piosenka. Wielu z nich miało doskonale głosy; na Drury Lane, wśród kakofonii innych dźwięków, często słyszano muzykę z przybytku pani Fortune:

*Choć są leki, co zwalczą najgorszą chorobę,
Śmierć przegnąją i ból zniszczą wszelki,
Ja sens życia swojego i radości krynicę
Na dnię odnajduję butelki.*

*A gdy miłość niebiańska z swych mnie dziedzin wyżenie,
Z ocz mych czułych wyciskając źródło wielki,
Każdą łzę, którą ronię w jasnej Wenus świątyni,
Na dnię utopię butelki.*

3

Pan Sim, lampiarz, wyszukał im stroje, jakie każda aktorka musiała sobie zapewnić na występy: suknie i kapelusze, wstążki i buty. Śmiały się i tańczyły wokół niego z wdzięczności w nowym, wytwornym odzieniu. Były damami w nie większym stopniu niż pan Sim dżentelmenem, ale nie brakowało im urody, a to się liczyło (szczególnie Kitty była więcej niż ładna: niektórzy nazywali ją piękną), a poza tym patrzyły uważnie, uczyły się i wykonywały każdą pracę, jaka się trafiła. Pozowały jako żony żołnierzy - albo nimfy - w żywych obrazach; jeśli nie występowały, szyły za darmo kapelusze i suknie albo naprawiały miecze; chowały pieniądze w butach; ćwiczyły swoją cokolwiek powierzchowną umiejętność czytania, ucząc się na pamięć tekstów, i na nic się nie skarżyły. I nigdy nie wróciły do parafii św. Egidiusza, do mrocznych czynszówek, cuchnących rynsztoków, włóczęgów, domokrażnych sprzedawców śledzi, Irlandczyków i ojca, który zamordował ich matkę. Wspólnie z pięcioma innymi statystkami wynajęły pokój w Black-moor-lane obok Drury Lane, w okolicy odwiedzanej przez prostytutki; co noc barykadowały drzwi łóżkiem, bo nie było zamka. Nigdy właściwie nie

podziękowały panu Simowi, często jednak zjawiały się wcześniej, by mu pomóc przy lampach, świecach i kolorowych szklanych filtrach, i po prostu nie zwracały uwagi na młodych chłopców, których zastawały śpiących w jego klitce. Nauczył je, jak nosić klejnoty przy kostiumach i we włosach; jak lekko poruszać głową, stojąc na scenie, by załśniły odbitym światłem, przyciągając uwagę. Siostry słuchały, patrzyły i uczyły się; zauważyły, że aktorki potrafią zmieniać głos, więc też przyswoiły sobie tę umiejętność. Postanowiły poruszać się i wysławiać jak prawdziwe damy, choćby je to miało kosztować życie.

Kitty, prócz tego, że była niezwykle pociągająca, śpiewała uroczym głosem i po krótkim czasie awansowała do grania niewielkich ról; Hester z zachwytem nauczyła się spacerować po trapezie, publiczność bowiem domagała się teraz czegoś więcej niż klasycznego teatru i drugą część przedstawień wypełniała muzyka lub akrobacje. Niekiedy im nie płacono; niekiedy nie płacono nawet słynnej pani Sarze Siddons; i często bywały głodne. Lecz mimo to patrzyły, uczyły się i obserwowały; widziały, jak niektóre młode aktorki na scenie wypychają inne z kręgu światła; widziały, jak wiele z nich przechadza się z uśmiechem przed łożami wybitymi czerwonym pluszem: w nadziei na zyskanie względów, kochanka, zauważenie przez jakiegoś dżentelmena albo (im większa rola, tym bardziej rosły na to szanse) na to, że ktoś wynajmie dla nich uroczy skromny pokoik i zapewni im utrzymanie. Słyszały, że (podobno) Charles James Fox, polityk, ożenił się z panią Armitage, choć w gruncie rzeczy nie była nawet aktorką, lecz kimś jeszcze gorszym.

Jakiś czas później pan Sim zniknął; ktoś napomknął ze śmiechem, że wrzucono go do Tamizy z jego chłoptasiami. Siostry kilka razy wybrały się na Strand, by go szukać. Pewnego ranka podczas odpływu przeszły od Hungerford Market aż do ujścia, wędrując skrajem wody: mijaly barki i łodzie żaglowe, otoczone przez śmieci, smród i nawoływania przewoźników. Zaczął padać deszcz, cuchnące rzeczne błoto wlewało się do ich cienkich pantofelków; czuły, jak wciska się między palce, lecz nieugięcie szły przed siebie, obok katedry św. Pawła, pod Mostem Londyńskim - na wszelki wypadek. Mijaly stare gazety, połamane skrzynki, krzesła o trzech nogach, kości, rdzewiejące żelazne części, kołyszące się w wodzie gnijące ścierwo kfo-wy, szklane butelki, martwe szczury i staruchy szukające kawałków węgla. Widziały dziwne strumyczki o jaskrawych, opalizujących barwach, ściekające do wody z fabryk po przeciwnej stronie rzeki. Lecz pan Sim, lampiarz, zniknął bez śladu i nigdy więcej o nim nie słyszały. Kitty

otrzymała całą piosenkę do wykonania solo i przechadzała się w nadziei na uzyskanie względów, może kochanka. Mężczyźni z widowni często po przedstawieniu zachodzili do garderoby; zdarzały się napaści, bójki i łyzy; Hester uderzyła kiedyś jakiegoś pomniejszego lorda i reżyser kazał jej zapłacić pięć szylingów grzywny

A potem Hester spadła z trapezu. Zraniła się poważnie w głowę i twarz (zalała krwią całą scenę) i tak nieszczęśliwie uszkodziła sobie kolano, że nigdy już nie mogła chodzić normalnie; oczywiście natychmiast została zwolniona, a nie miały żadnego pana Sima, by im pomógł. Siostry były zdruzgotane: zarobki Kitty wynosiły teraz siedemnaście szylingów tygodniowo, jeśli pracowała, często jednak flie miała zajęcia, a obecnie musiała utrzymywać je obie, nie mówiąc o kupowaniu kostiumów i szminki. We wspólnym pokoju przy Blackmopr--lane Hester nie była już mile widziana; pozostałe statystki czuły, że przynosi im pecha; widziały jej pokrytą szramami twarz, wiedziały, że cierpi. Widok Hester przypominał im, co je może spotkać, jeśli się potkną, więc kiedy wyszła z pokoju, gulgotały gniewnie, płucząc gardła czerwonym winem z wodą. Co wieczór w drugiej części programu Kitty gorączkowo odśpiewywała swój krótki numer, uśmiechała się jeszcze bardziej ujmująco i śmiała z publicznością, wypychała inne aktorki z kręgu światła; jej słodki głos w nateżeniu wzbijał się ku balkonowi. Wraz z Hester widziały kiedyś martwą kobietę na Bow Street i słyszały, jak ludzie szeptali: „Umarła z głodu”. Na koniec Kitty znalazła kogoś w rodzaju dżentelmena; wydawał się raczej stary, niezbyt pociągający i chyba nie do końca był dżentelmenem (wielce absorbował go wyścigi konne oraz import win), lecz z pewnością miał pieniądze i dostatecznie podziwiał głos Kitty, jej uśmiech i (w szczególności) radość życia - siostry śmiały się, płakały i obejmowały się pełne niedowierzania - by ją ulokować w dyskretnym suterenu w Bloomsbury.

- W Bloomsbury?

- Tak, Hes, tak, przy kościele, obok placu, niedaleko lordów i dam...

- ...nasz własny pokój? Tylko dla nas? I nikt...

- ...dwa pokoje, Hes! Dwa pokoje na samym dole w domu przy Little Russell Street, na wprost Świętego Jerzego, w parafii Bloomsbury! Będziemy mogły oglądać wszystkie damy, jak idą do kościoła w najlepszych sukniach, a potem kopiować ich stroje i nosić na scenie! Dawniej była tam kuchnia, ale ją przerobili na pokoje do wynajęcia, w izbie na tyłach został niewielki piec, prawdziwy piec,

jak w domach szlachtetnie urodzonych, będziemy mogły same sobie gotować zamiast kupować jedzenie!

W Seven Dials nigdy nie było pieca, tylko palenisko na zewnątrz, użytkowane wspólnie przez mieszkańców, powód ciągłych kłótni.

- Skąd będziemy wiedziały, jak w nim palić?

- Nauczymy się. Podglądałam kobiety, które umieją naprawdę gotować! Będziemy mogły kupić garnek! I będziemy miały własne schody!

Kitty i Hester nawet w najdzikszych porywach imaginacji nie wyobrażały sobie, że mogłyby mieszkać we własnych dwóch pokojach. Jeśli chodzi o nie, pan du Pont (poinformował Kitty, że tak się nazywa) sprawił cud. Oznajmił, że gospodarz Włoch jest mu winien przysługę.

W dodatku pan du Pont nie sprzeciwiał się temu, by Kitty pozostała na scenie, bo kiedy ją oglądał - wiedząc, że nieco później tego wieczoru będzie ją miał dla siebie (by nią rozporządzać wedle uznania) - wywierało to interesujący, pobudzający wpływ na jego zamierające libido. Nalegał jedynie, by Kitty wracała na Little Russell Street prosto po występie. Niekiedy spoglądała tęsknie na innych, lepiej sytuowanych, młodszych mężczyzn, lecz tylko przez chwilę: wdzięczność za to, że czuje się bezpieczna, usuwała w cień wszystko inne.

- To moja siostra, będzie moją pokojówką - oznajmiła dumnie panu du Pont, łaskocząc go pod brodą.

Zmarszczył brwi na widok oszpeconej, kulejącej dziewczyny, lecz Kitty postarała się, by nigdy nie widywał Hester. Kiedy przychodził z wizytą, starsza siostra nie wysuwała nosa z małego pokoju na tyłach, z piecem, bliżej wychodka, i zamykała uszy na odgłosy jego wysiłków: ostatecznie dorastała w czynszówce, więc nie dbała o takie drobiazgi. Kitty zaś uważała rzeczy, jakich od niej wymagano co noc, za cenę wartą zapłacenia; napierała się słodko o pieniądze na nową suknię, a potem oddawała je Hester. Siostry wyśmiewały się niemało z pana du Ponta przy dźwięku dzwonów z wielkiego kościoła naprzeciwko; wymyślały pięćdziesiąt sposobów, na jakie Kitty może go zadowolić, uszczęśliwić i w ten sposób zapewnić im bezpieczeństwo. Niekiedy pan du Pont zjawiał się z butelką agrestowego wina. Kitty uśmiechała się z wdzięcznością. Obie z Hester nie znosiły agrestowego wina, pijały wyłącznie czerwone porto; wina używały natomiast do mycia nóg, a później, pod nieobecność ofiarodawcy, wylewały je do wychodka.

Teatr to istna jaskinia skarbów, jeśli ktoś wie, gdzie ich szukać. Co wieczór Kitty wracała do Bloomsbury przez mgliste i ciemne zaułki, niosąc w ukryciu jakiś drobną zdobycz. Pokoje w suterenie zaczęły nabierać dziwacznej, teatralnej atmosfery: było tu niewielkie lustro, ozdobione pękiem piór; puchar pełen kwiatów z czerwonego aksamitu, ścielących się miękko po stole w blasku świec; zasłona z jakiejś resztki po kolejnym żywym obrazie.

- Uwważaj! - ostrzegła Hester, na pół ucieszona, na pół niespokojna, pamiętając, jak jedną z dziewcząt wyrzucono bez pardonu za kradzież pary białych pończoch. - Jeśli nie będziesz ostrożna, skończymy w więzieniu Newgate!

Lecz Kitty tylko się śmiała.

Jej największy powód do dumy stanowiło tło malowane w chmury, którym zdołały zasłonić część sufitu. Suterena zatrzęsła się od śmiechu, gdy pewnego wieczoru spod płaszcza Kitty wynurzył się Ogromny but z cholewą, bez pary. Hester znalazła dla niego zastosowanie: ustawiła go obok drzwi na laskę i parasol pana du Ponta.

Pokryta szramami twarz Hester ściągała się niekiedy z bólu w okaleczonej nodze, lecz dziewczyna nigdy się nie skarżyła; czuła się tak niewyobrażalnie wdzięczna, - że mają gdzie mieszkać, gdzie żyć; odwiedzała nowo powstałe wypożyczalnie i czytała gazety, wolno literując trudniejsze wyrazy; spędzała całe godziny w nowym muzeum w Montague House; starannie wybierała u handlarzy i domokrażców żywność niezbędną do przetrwania. Ludzie zwracali uwagę na oszpeconą, lecz mimo to ładną utykającą dziewczynę o oryginalnej, miłej twarzy i pytających szarych oczach. Hester nie okazywała im jednak wszystkiego: w głębi duszy z przerażeniem myślała o przyszłości. *A jeśli Kitty też coś się stanie albo pan du Pont się nią znudzi?* Przed wypadkiem obie z siostrą przeobraziły się w młode damy o doskonałej prezencji, wyrażały się już ładnie; mogłyby nawet znaleźć pracę w którymś z nowych sklepów przy Oxford Street albo na Strandzie. Nikt jednak nie zatrudniłby Hester, nie teraz, z jej zniekształconą twarzą i pełnym wysiłku utykaniem - chyba że porzuciłaby Blooms-bury na dobre i udała się na drugi brzeg rzeki do warsztatów far-biarskich lub fabryk kleju. Kitty widziała ściągnięte rysy siostry, niekiedy nocą słyszała, jak Hester płacze z bólu; ją samą w tajemnicy także ogarniała panika na myśl o przyszłości, więc śpiewała tym głośniejszym i tym wdzięczniej uśmiechała się do widzów.

Pewnego wieczoru ktoś w teatrze napomknął z nabożeństwem o magnetyzerze z Kennington, parę kroków od zajazdu Pod Słoniem i Zamkiem: że wprawia lu-

dzi w trans i uwalnia ich od bólu. Inni aktorzy go wyśmiali, Kitty jednak przypomniała sobie twarz Hester.

- Pewnie to wszystko bzdury - powiedziała - ale spróbujmy, Hes.

Wykonała parę nowych sztuczek we frontowym pokoju i wyłudziła od starego pana du Ponta pół gwinei. Pewnego popołudnia, trochę onieśmielone, pokonały piechotą - Hester krzywiła się chwilami z bólu - drogę aż do Słonia i dalej, na Kennington Road, aż na koniec zastukały do drzwi domu przy Cleaver-street; wkrótce znalazły się w pustym, mrocznym pokoju z malowanymi gwiazdami, kilkoma lustrami oraz jakimś mężczyzną mówiącym z obcym akcentem. Kitty chowała żelazko pod płaszczem.

- Nie wiemy, o co chodzi z tym całym mesmeryzmem, więc niech pan nie próbuje żadnych sztuczek - ostrzegła surowo, cudzoziemiec jednak uśmiechnął się tylko nerwowo i pozwolił jej usiąść w kącie.

Skłonił się i zaczął grać na małym flecie: jakieś zagraniczne, żałobne dźwięki. Potem posadził Hester na krześle, sam usiadł obok i zapytał ją o upadek z trapezu. W jego głosie z obcym akcentem brzmiało zdenerwowanie nie mniejsze niż ich; obie siostry spostrzegły, że ubranie ma zniszczone, jego profesja zatem wyraźnie nie należała do zyskownych, choć zażądał od nich całych pięciu szylingów. Następnie stanął nad Hester i zaczął przesuwając dłońmi tam i z powrotem, tam i z powrotem, nad jej głową i tułowiem, bardzo blisko, lecz ani razu jej nie dotykając. Kitty obserwowała go uważnie, na wypadek gdyby zamierzał zrobić coś niestosownego - ostatecznie był cudzoziemcem - zauważyła jednak, że zdenerwowanie opuściło go teraz zupełnie; zdawał się spokojny i pewny siebie. Zauważyła, że jej surowa, silna, twardo stąpająca po ziemi siostra odprężyła się nieznacznie, a po jakichś dziesięciu minutach jakby zasnęła, choć oczy miała otwarte. Wydawało się, że oddycha razem z cudzoziemcem: wdech, wydech. Kitty obserwowała to na pół zafascynowana, na pół przestraszona: zamrugała oczami, jakby niesamowita atmosfera w jakiś sposób mogła jej także się udzielić. Cudzoziemiec zaczął przesuwając dłońmi nad nogą Hester, również jej nie dotykając, Kitty trzymała jednak żelazko w gotowości - na wszelki wypadek. Następnie przeciągnął rękami nad własną nogą, a Hester powtórzyła jego gest. Mijały minuty: dziesięć, piętnaście. Na koniec magnetyzer znowu przesunął dłońmi nad twarzą Hester i Kitty zobaczyła, jak siostra nagle się budzi - choć wcale nie spała. A potem, na polecenie cudzoziemca, wstała. Z początku zachwiała się lekko. Spojrzała na mężczyznę w zdumieniu. Podeszła do Kitty, utykając jak zwykle.

- Nie boli tak samo! - powiedziała.

Były o wiele zbyt rozsądne, by wierzyć w magię, ale coś się wydarzyło: Hester kulą tak samo jak zawsze, lecz pierwszy raz od upadku z trapezu ból osłabł. W czasie długiej drogi powrotnej do Bloomsbury wyjaśniła siostrze ze zdziwieniem, że poczuła coś w rodzaju przenikającego ją gorąca.

- W jakiś sposób spływało od niego takie jakby ciepło.

- Ani razu cię nie dotknął - zapewniła Kitty. - Patrzyłam jak jastrząb.

- Wiem - przyznała Hester, wciąż nie mogąc pojąć istoty zjawiska.

- Więc co się stało?

- Nie wiem.

- To znaczy... czy to było... czy to było coś jakby... jakby z jego oczu tryskały promienie słońca? Jakie to było wrażenie?

- Nie umiem powiedzieć dokładnie. Pamiętam i nie pamiętam równocześnie. Chciałam, żeby to podziałało. Pamiętam, jak bardzo chciałam, by podziałało.

Kitty wyłudzała od pana du Ponta kolejne pieniądze, Hester raz po raz odwiedzała magnetyzera. Zwykle ból stawał się nieco słabszy. („Może w jakiś sposób mnie leczy” - powiedziała do Kitty w zamyśleniu. „Albo może to ja nie czuję bólu w dokładnie taki sam sposób”.) Czasami wpatrywała się skonsternowana we własną nogę. Wkrótce mogła się całkiem szybko poruszać po Londynie, torując sobie drogę przez zatłoczone, brukowane kocimi łbami ulice, mijając kominiarzy i dżentelmenów, uskakując przed końmi, powozami i bydlętem prowadzonym na Smithfield Market, omijając chłopców z tańczącymi białymi myszami (zawsze przesądnie rzucała żebrakom półpensówki, jakby dla uchronienia Kitty i siebie przed podobnym losem). Handlarze zachwalali gorący chleb i zimne mleko, z każdej tawerny dolatywały krzyki i śmiechy. Czytała w gazetach, że ludzie uprawiający magnetyzm zwierzęcy (jak go czasem nazywano) to cudzoziemscy szarlatani, zwodzący nieostrożnych, szczególnie młode dziewczęta; czytała inne doniesienia, gdzie stwierdzano, że jak się wydaje, fluidy magnetyczne mogą przenikać z korzyścią z jednego człowieka do drugiego, uwalniając go od bólu.

- Ale co to jest dokładnie? - zapytywała wciąż na nowo: Kitty, samą siebie. - Co się wtedy dzieje?

Znalazła ogłoszenie o zebraniu. Niemiecki profesor miał wygłosić wykład na temat magnetyzmu zwierzęcego przy Frith Street w Soho.

Postanowiła wziąć udział w zebraniu, trafiła do jakiejś sutereny; zastała tam własnego magnetyzera, monsieur Rolanda, wśród dość ekscentrycznej widowni,

złożonej z dziwacznie wyglądających dżentelmenów, cudzoziemców i podstarzałych dam. Niemiecki profesor opowiadał o Franzu Antonie Mesmerze, o energii magnetycznej i o tym, jak jej można używać dla poprawy zdrowia. Hester słuchała zafascynowana. Jakiś awanturnik wstał i zaczął krzyczeć, ktoś inny z publiczności zamierzył się na niego. Później profesor rozdawał wizytówki, lecz Hester podeszła do monsieur Rolanda w wytartym ubraniu.

- Proszę mnie uczyć - poprosiła. - Jakoś zapłacę. Nauczę pana różnych rzeczy - dodała śmiało (bo trzeba było śmiałości, by mówić tak otwarcie, kiedy się utyka i ma twarz pokrytą bliznami) i uśmiechnęła się do cudzoziemskiego dżentelmena swoimi szarymi inteligentnymi oczami.

Magnetyzer zarumienił się po cebulki włosów, parę razy odchrząknął i Hester, która wiedziała, że wciąż zachowała przynajmniej resztki dawnej urody, uśmiechnęła się znowu.

- Proszę mnie uczyć - powtórzyła.

- Mademoiselle, flet i kolorowe gwiazdy są jedynie dla atmosfery - wyznał przepraszająco.

Przez lata Cordelia wysłuchiwała po kawałku wszystkich tych opowieści od matki i ciotki, wśród ich śmiechów i łez, kłótni i pojednań; z mlekiem matki wchłaniała zapach karminu, którym aktorki malowały sobie twarze; ukryta w kącie obserwowała, jak ciotka przesuwając dłońmi nad odwiedzającymi je damami. Nasiąkała ich życiem. Jedną z ulubionych historii obu kobiet była ta o znanym polityku Charlesie Jamesie Foksie, który ożenił się z panią Armitage (będącą kimś gorszym od aktorki) - nie z powodu jego poglądów politycznych (nie miały pojęcia o polityce), lecz ponieważ raz, przed wypadkiem Hester, odwiedził teatr ze znajomymi karciarzami, a potem, ni mniej, ni więcej, zabrał Hester i Kitty na kolację. „Zachowywał się jak dżentelmen” - powtarzały Cordelii. „Pozwolił nam jeść, ile chciałyśmy, i nas zabawiał, myśmy zabawiały jego, a potem odesłał nas do domu powozem!”.

Jak się okazało, Hester, dla dyskrecji znana jedynie jako panna Preston z Bloomsbury, miała „dar”; tak twierdziły damy, które z wielką ostrożnością wysiadały ze swych powozów przed wejściem do sutereny, by szybko i cicho zejść po wąskich żelaznych stopniach: „Panna Preston ma dar”.

Robię tylko to samo co ty - tłumaczyła Hester siostrze. - Obie na swój sposób uwodzimy ludzi. Cordelia pamiętała, jak ze śmiechem polerowały tanie lśniące

gwiazdy. Już jednak jako mała dziewczynka rozumiała jasno: owe przybywające z wizytą kobiety potrzebowały jej ciotki i ufały jej bezgranicznie.

Z początku Hester mogła przyjmować klientki jedynie w środku dnia, by nie obudzić zaniepokojenia pana du Ponta, który ostatecznie płacił przecież komorne, z czasem wszakże, kiedy jej sława wzrosła i to ona stała się główną żywicielką, pan du Pont przestał być niezbędny, i to Kitty została zesłana do pokoju z piecem na tyłach. Zaradność Hester w interesach sprawiła, że siostry zdołały zatrzymać pokoje: osobiście udała się na poszukiwanie włoskiego gospodarza i znalazła go we włoskim kościele, gdzie urządzał obławę na chłopców sprzedających synogarlice w klatkach.

- Od dziś ja będę panu płacić - oznajmiła dumnie, ściskając w dłoni pieniądze.

I robiła to niezawodnie każdego tygodnia, nawet kiedy komorne wzrosło. Inni najemcy z Little Russell Street wymykali się w środku nocy, zabierając krzesła i łóżka, albo byli usuwani przez pomocników szeryfa; panny Preston jakimś sposobem trwały. W dobrych i złych czasach zachowały pokoje w Bloomsbury: tu był ich dom.

Pana du Ponta trzeba było, oczywiście, usunąć przemocą z ich życia, bo już go nie potrzebowały. Kitty musiała jeździć w trasy na prowincję, gdyż był to jedyny sposób, by się go pozbyć, on zaś tygodniami dobijał się do drzwi sutereny.

- Wyjechała na zawsze - oznajmiła mu w końcu Hester. - Żegnam.

Kitty pierwszy raz w życiu poczuła się wolna i rozkoszowała się tą nową swobodą, wciąż jeszcze młoda: dosłownie krzyczała z radości i ulgi, że pozbyła się mężczyzny, który wydawał się jej niewymownie odstręczający fizycznie: była wdzięczna za bezpieczeństwo, jakie dzięki niemu zyskały, lecz obecnie wypluła go niczym zły posmak w ustach. Spełniła obowiązek i teraz była wolna! Wkrótce jednak odkryła, że jest w ciąży; na afiszach występowała jako „pani” Preston. Jak szalona piła dzin i skakała ze stołów. Pani Kitty Preston była aktorką komediową i niechciane narodziny Cordelii okazały się jej najzabawniejszym numerem, bo naturalnie w teatrze w Bristolu nie było żadnego pana Prestona ani żadnego pana Jakiegobądź, kiedy córeczka urodziła się po przedstawieniu *Złodziejaszka*, podobnie jak nie było żadnego sposobu, by się dowiedzieć, czy ojcem jest pan du Pont, czy może któryś z wielu znanych przelotnie aktorów. Jeden z bardziej uczonych członków trupy, który występował niegdyś w *Królu Lirze*, zadekretował, że dziecko powinno otrzymać imię Cordelia, i zganiał bardziej prozaiczny

wybór Kitty: Betty. Aktorzy wyruszyli z Bristolu w dalszą drogę, występowali w stodołach i teatrach, spali w cuchnących, zatłoczonych izbach w Hull, Wolverhampton czy gdziekolwiek wiodła ich trasa; mała Cordelia, taszczona tu i tam, wdychała zapach farby używanej przez nich do makijażu, łoju ze świec i oleju z kaganków, słuchała skrzywienia starych budynków teatralnych i szmeru przesuwanych kartonowych dekoracji, leżąc pod stołem na rekwizyty lub obok koszy z kostiumami.

- Kitty, nie musisz już się tak męczyć - przekonywała Hester -nie z dzieckiem! Zarobię dość pieniędzy, możesz zostać moją asystentką, będziesz grać na flecie w pokoju na tyłach.

Siostra jednak przedkładała życie, jakie znała; po krótkiej próbie zostania asystentką magnetyzerki zwierzęcej i grania na flecie w ukryciu przed wzrokiem publiczności, niczego nie pragnęła bardziej, niż stanąć znowu na zdradliwych deskach sceny, z małą dziewczynką pod pachą z braku lepszego miejsca, gdzie by ją można umieścić, bo Hester nie mogłaby mesmeryzować w obecności małej. Cordelia zadebiutowała więc na scenie: najpierw w miarę potrzeby jako dziecko, potem jako mały książę w wieży. Tym sposobem przyswoiła sobie rzemiosło matki i nauczyła się czytać, wbijając sobie w pamięć role.

Czasami, jeśli nie było pracy dla aktorów i zaczynało brakować pieniędzy, prócz dam odwiedzających Hester w pokoju od frontu, w pokoju na tyłach zjawiali się z wizytą dżentelmeni, Cordelię zaś wysyłano pośpiesznie na dwór z pensum w garści na kupno babeczki. Z gorącą babeczką szła na Bloomsbury Square, gdzie znała każde drzewo. Niekiedy, by nie przeszkadzać, musiała wychodzić nocą; wówczas Kitty i Hester wpajały ośmiolatce szczególne zasady: zawsze idź zdecydowanym krokiem, zawsze miej w kieszeni żelazko albo duży kamień; trzymaj w ręce koszyk albo list, jakbyś miała sprawę do załatwienia. Nigdy nie marudź po nocy koło drzew. Jeśli ktoś spróbuje cię tknąć, wrzeszcz co sił, wołaj: „Pali się!"; i walnij go żelazkiem. Cordelia zaprzyjaźniła się z księżycem; czuła się o wiele szczęśliwsza, kiedy świecił: ten sam księżyc, pod którym przewędrowały z matką niejedną noc w drodze z miasta do miasta; „mój księżyc", mawiała o nim, czekając ze wzrokiem wbitym w niebo, aż się wynurzy zza chmur lub z mgły, wędrując po parku na swoich ośmioletnich nogach, ze stoicyzmem żując babeczkę. Jej wyobrażenie nie miało w sobie nic romantycznego: księżyc (o ile w ogóle się pokazywał) niepokojąco zmieniał kształt (czasem był okrągły, czasem rogaty); nie mogła na nim polegać, podobnie jak na większości

rzeczy w życiu. Jeśli jednak wyłaniał się z mgły nocą, kiedy szła samotnie, wydawał się przyjacielem, bo oświetlał jej drogę. Nie była jeszcze na tyle wykształcona, by wiedzieć, że symbolizuje on romantyczne zauroczenie; że ludzie piszą o nim wiersze i mówią o miłości (nie słyszała jeszcze o *Romeo i Julii*). Rzeczowo - rozjaśniał jej ciemności - myślała o swoim księżycu jako o przyjaznej obecności, oświetlającej plac, niczym więcej. Czasem ukrywała się wśród konarów dębu przy północnej bramie placu; przesiadywała tam nawet w zimne noce, by mieć odmianę po krążeniu w kółko i ponieważ bolały ją nogi; siedziała nad ziemią, rozglądając się za lśniącym, zmiennokształtnym, rozjaśniającym mrok księżycem; wpatrywała się w niego, snując bezgłośnie marzenia, mgliste, niewyraźne sny, aż nadeszła pora wracać do domu.

Niekiedy Hester pozwalała, by młoda siostrzenica była obecna - cicha i nieruchoma w ciemnym kącie - kiedy sama wykonywała passy. Zawsze tuż przed rozpoczęciem ciocia Hester, która pod każdym innym względem wydawała się energiczną, rzeczową osobą, mówiła łagodnie: „Proszę się oddać mej pieczy”. Nie nakładała dłoni na siedzące, zdenerwowane kobiety (jej klientkami były prawie wyłącznie kobiety), lecz trzymała je parę cali powyżej ich głów i ciał: raz po raz przesuwiała długimi, płynnymi ruchami nad tułowiem i wzdłuż boków, nigdy ich w istocie nie dotykając. Czasami klientki cierpiały na histerię: ciocia Hester je uspokajała. Czasem znajdowały się w uścisku przeraźliwego, dręczącego fizycznego bólu: jakimś sposobem ciocia Hester albo uwalniała je od cierpienia, albo pomagała im je znosić. Dziewczynka w kącie słyszała oddech ciotki i pacjentki; często zlewały się w jeden rytm. I prawie zawsze po pewnym czasie kobiety z otwartymi oczami wpadały w coś na kształt spokojnego transu, który, jak się jej zdawało - Cordelia nie była całkiem pewna, jak się to odbywa - przynosił im nieco ukojenia.

A potem nadchodził kolejny angaż, zwykle trzeciorzędne teatralne tournée, i wyjeżdżały, Kitty i Cordelia. Dziewczynka nauczyła się godzić z faktem, że zapewne będzie tak już zawsze, a potem śmiać się jak matka z niewyobrażalnych warunków, w jakich często przychodziło im pracować: z nieuczciwych reżyserów, obiecanych ról, które nie nadchodziły, zimna, brudu, motłochu domagającego się lwów i tygrysów, gdy aktorzy prezentowali na scenie jakąś wartościową sztukę, podróży do kolejnego miasta nocą, pod księżycem spoglądającym na nie z góry. Wszystkie te rzeczy matka i córka znosiły, niekiedy klnąc i wyrzekając, lecz w końcu godząc się na nie po stoicku. Cordelii nie brakowało tempe-

ramentu, wybuchała czasem niepohamowanie. Kitty biła ją i dziewczynka się uspokajała - do następnego razu.

W ten sposób powoli, lecz gruntownie Cordelia opanowała te same umiejętności, jakie Hester i Kitty zdobyły dzięki swej profesji, lecz opanowała je znacznie wcześniej i ze znacznie lepszym skutkiem: potrafiła wysławiać się i poruszać zupełnie jak dama.

A potem Kitty zmarła na zapalenie płuc gdzieś pod Birmingham, śpiąc obok Cordelii w zimnej izbie. Córka i ciotka płakały, lecz były zbyt twarde, by wyrzekać na niesprawiedliwość losu: stanowiło to nieodłączną część okrutnej praktyki w zawodzie.

Malowane chmury dawno obróciły się w proch, lecz malowane szklane gwiazdy na suficie (które Kitty zdobyła swoim zwykłym sposobem, gdy Hester rozpoczynała praktykę) pozostały. Teraz, oczywiście, o mesmeryzmie mówiło się wszędzie, gazety były go pełne. Jeśli lekarz nie wzbogacał swojej praktyki szczyptą mesmeryzmu, niektóre osoby w ogóle rezygnowały z jego usług, pacjenci bowiem, a szczególnie damy, uważali za bardziej godne szacunku i satysfakcji wyleczenie z choroby bez zagładania do wnętrza ciała niż metodą wymagającą większej ingerencji. We wszystkich gazetach i czasopismach trwały zażarte spory w tej kwestii; podobno pan Karol Dickens napomykał o mesmeryzmie w swojej najnowszej powieści, „Przygodach Oliwera Twista”, i plotkowano, że sam został magne-tyzerem.

Lecz panna tlester Preston, dyskretna pionierka, zmarła w zapomnieniu.

Obecnie Cordelia była jedyną pozostałą przy życiu panną Preston.

4

W zaułku odchodzącym od Bow Street, w pubie Pod Jagnięciem, rozparci wygodnie w służącym im za „biuro” kącie, cuchnącym ciemnym piwem, tytoniem fajkowym i odorem ciał, panowie Kenneth i Turnour („Znajdujemy pracę gwiazdom”) oznajmili Cordelii i Ril-lie, że w obecnej chwili nic dla nich nie mają, lecz będą o nich pamiętać. Aktorki wysłuchały dobrze znanych słów i popatrzyły na siebie, z rezygnacją unosząc brwi.

- No chodź, obejrzymy ten eksperyment mesmerystyczny w szpitalu, mówiłam ci o tym - zachęcała Rillie. - Skoro już się wystroiliśmy w kapelusze niczym damy.

I poszły - zadowolone, że mają coś do roboty; że mają dokąd iść - do nowego Szpitala Uniwersyteckiego, gdzie uświadomiły sobie z zaskoczeniem, że chyba właśnie mignął im pan Karol Dickens, znikający we wnętrzu. Do korytarza przylegała sala wykładowa pełna ludzi; dobiegł je podniecony, ogłuszający gwar. Uczni, poważni dżentelmeni, lekarze i parę kobiet w kapeluszach podobnych do tych Cordelii i Rillie tłoczyło się na wąskich ławkach, a bliżej podwyższenia niewątpliwie siedział pan Dickens: słyszały, jak ludzie szepczą: „To pan Dickens”.

Profesor Elliotson wprowadził na podest jedną z młodych irlandzkich sióstr, o których czytały, ubraną w szpitalną koszulę nocną. Usiadła zawstydzona na krześle, ze spuszczoną głową i skromnie złożonymi dłońmi; nie mogły dojrzeć wyraźnie jej twarzy. Doktor przemówił do zebranych o doniosłości swoich badań: jak to mesmeryzm mógłby pomóc pacjentom szpitali, utrzymując ich w nieświadomości, choć nie uspieniu, podczas bolesnych zabiegów chirurgicznych.

- Wierzę, że mesmeryzm jest siłą fizyczną, oddziaływającą na maszynę ciała. I gorąco pragnę uświadomić wszystkim obecnym tu dzisiaj moim uczonym kolegom, iż mesmeryzm to nie żadna komedia, to nie spirytyzm. - Powiódł wzrokiem po słuchaczach: trochę przyjaznych twarzy, trochę wrogich. - Szanowni państwo, lekarze i magnetyzerzy stoczyli ze sobą nazbyt wiele bitew, jestem jednym i drugim zarazem: staram się pogodzić ze sobą mesmeryzm i medycynę. A teraz zademonstruję jego działanie.

Usiadł na krześle przed dziewczyną w koszuli nocnej. Gdy przesuwając dłońmi przed oczami i nad głową pacjentki, nie dotykając jej, powtarzając gest raz za razem, Cordelia poczuła dziwne, znajome drgnienie pamięci - scena, choć niezrozumiała, była jej doskonale znana z dzieciństwa. Już po paru minutach wydawało się, jakby dziewczyna zapadła w trans; zgromadzeni czekali w napięciu, co profesor Elliotson teraz zrobi. I wtedy, niemal natychmiast, wydarzyło się coś nadzwyczajnego: dziewczyna wstała i zaczęła śpiewać i tańczyć w takt muzyki, słyszalnej jedynie dla siebie. Dla obserwujących ją ludzi nic nie mogłoby być większym wstrząsem, profesor nie kazał jej tego zrobić, uczyniła to z własnej woli i co więcej, nuciła piosenkę, która zyskała popularność bardzo niedawno.

*Dla panów i dam piosenkę mam, zaledwie parę strof,
Słuchajcie więc i śmieJCie się,
Na imię mam Jim Crow.
Wiruję jak bąk i tańczę w krąg, hej ho,
Gdy krążę wśród was, to skaczą - o, tak - Jim Crow.*

- To z farsy, która właśnie idzie w Adelphi Theatre - szepnęła Ril-lie zaskoczona. - Aktor z Ameryki przebiera się za Murzyna. Skąd ona to zna?

Widzowie (bo przypominali widzów) w niewielkim zatłoczonym teatrze (bo zdawało się, jakby tam właśnie się znaleźli) ucichli, podnieceni i zaniepokojeni zarazem. Odór potu i zwietrzałych perfum falami wzbierał w pomieszczeniu, kiedy dziewczyna w nocnej koszuli śpiewała i tańczyła dalej. Cordelia obserwo-wała ją w wielkim skupieniu: dość się naoglądała mesmeryzmu w dzieciństwie, by rozumieć, co się dzieje, nie była jednak pewna, czy jest świadkiem transu, czy przedstawienia. Zauważyła, że profesor Elliotson wygląda na lekko zaskoczonego, lecz pełnego dumy. Oczy dziewczyny niewątpliwie były puste:

*Wiruję jak bąk i tańczę w krąg, hej ho,
Gdy krążę wśród was, to skaczą - o, tak - Jim Crow.*

Kiedy piosenka dobiegła końca, kilkoro spośród zebranych zaczęło klaskać, lecz pozostali natychmiast ich uciszyli. Na podwyższenie wyszedł asystent i dźgnął ciało dziewczyny jakimś dużym i ostrym przedmiotem, podobnym do gwoźdźcia lub dużej igły; publiczność wstrzymała dech, lecz ukłuta ani drgnęła. Profesor ponownie przemówił do tłumu z ręką wspartą na biodrze. Dziewczyna także położyła dłoń na biodrze. Kiedy zaczął się przechadzać po podwyższeniu, pacjentka w koszuli nocnej zrobiła to samo.

- Jestem przekonany - mówił Elliotson - że ta filozofia, szczerze bowiem wierzę, iż jest to rodzaj filozofii medycznej, nie zaś spirytystyczny cud, może zostać wykorzystana przez adeptów medycyny, przede wszystkim dla złagodzenia bólu.

Asystent uniósł młotek i mocno uderzył dziewczynę w ramię: nawet na ułamek sekundy nie poruszyła się ani nie wzdrygnęła. Smagnał ją po plecach cienką liną. Widzowie poruszyli się niespokojnie. Ona jednak w ogóle nie zareagowała. Chwycił pełną garść jej włosów i szarpnął. Twarz dziewczyny pozostała bez wyrazu, była pogrążona w transie.

- Skoro możemy w pewnym sensie znieczulić pacjenta przed operacją - ciągnął dalej Elliotson - czyż nie jest to postęp? Któż z nas, oglądających cierpienia w szpitalach, nie pragnąłby ich złagodzić? - *Cordelia zobaczyła ciocię Hester, przed wieloma laty uspokajającą cierpiące kobiety, przemyskające schodami do sutereny w Bloomsbury* - bowiem profesja medyczna bez wątpienia musi być nowatorska, otwarta na wszelkie sugestie i zmiany.

Profesor na zakończenie przesunął kilkukrotnie dłońmi przed twarzą dziewczyny: po paru chwilach wzdrygnęła się jakby, a potem skuliła w sobie; zupełnie nie jak ktoś, kto potrafiłby nucić bez akompaniamentu „Jima Crowa” i tańczyć w koszuli nocnej przed publicznością złożoną z lekarzy.

- Myślę, że to świetna aktorka! - szepnęła Rillie, kiedy szły korytarzem. Zza pleców i z boków dobiegał je szmer rozmów.

- ...zaś pacjentka powinna być bierna, nie aktywna. - Minął je srogi dżentelmen ze zmarszczonym czołem.

- ..zaledwie rodzaj intelektualnej prostytutki - mówił inny mężczyzna. - Spójrz tylko na wszystkich tutaj, wyczekujących każdego jej słowa i ruchu, i... - jego głowa, jak zauważyły, kiwała się z oburzenia - ..podnieconych tym widowiskiem.

Lecz myśli Cordelii i jej serce pełne były wspomnień, zatartych obrazów z przeszłości. Czuła się dziwnie, jakby wytracona z równowagi.

- Chodźmy do domu na jednego - mruknęła. - Kupiłam kotlety. Widać było pierwsze oznaki wiosny, potargane kępki kwiatów na rogach ulic. Nabyły trochę pierników od ulicznego sprzedawcy, jednym uchem słuchając śpiewaka wykonującego barytonem groszową balladę o mężczyźnie z Camberwell, który zamordował swoją żonę; kupiły też parę jabłek, minęły mężczyznę z tablicą reklamującą gutaperkowe szelki, dały żebrakom po półpensówce na wypadek, gdyby kiedyś miał je spotkać podobny los. W pokojach w suterenie było zimno, lecz duszno. Rozpaliły ogień i otworzyły okna. Stopy maszerowały ulicą. Cordelia i Rillie usmażyły kotlety na niewielkim otwartym palenisku w pokoiku na tyłach, odwracając je po wielekroć, aż powietrze przeszło zapachem mięsa. Potem jadły pierniki i popijały porto w pokoju od frontu, gawędząc znowu o tym, co widziały.

- Myślę, że to była aktorka - powtórzyła Rillie. - Umiem poznać aktorkę, jak ją zobaczę! To było przedstawienie.

Cordelia nie miała pewności.

- Oglądałam seanse mesmerystyczne, kiedy pacjent nie miał potrzeby. .. ani powodu... grać - powiedziała wolno. - To wyglądało... właśnie tak.

- Śpiewała popularny kuplet! Czy damy od cioci Hester śpiewały?

- Nie - zaprzeczyła Cordelia - nie śpiewały. Nigdy nie słyszałam śpiewów.

Rillie z kieliszkiem w dłoni obeszła ozdobiony gwiazdami pokój.

- Wydaje mi się to w pewnym sensie podobne do naszego zajęcia! Jak ci mówiłam, rodzaj przedstawienia!

Cordelia wciąż mówiła dziwnie powoli:

- Ciocia Hester święcie wierzyła w mesmeryzm... jestem tego całkowicie pewna; pomagał na jej ból w nodze. Ale kiedy wracam do niej myślami teraz... przecież nie była żadnym lekarzem... jak sobie przypomnę te wszystkie kobiety, w takim pośpiechu schodzące po schodach, tak usilnie zabiegające o spotkanie... ze wszystkich klas... wiesz, Rillie, myślę, że była o wiele bardziej znana, niż sądziłam; niekiedy zjawiały się prawdziwe damy, podjeżdżały wspaniałe powozy, to były osoby ze sfery, która nie mieszka w tej okolicy... chociaż pamiętam, że po pracy zachodziła też z bólem głowy młoda sprzedawczyni ze sklepiku przy Bond Street... najrozmaitsze typy ludzkie. I myślę, że Hester umiała... nie potrafię tego do końca wyjaśnić, ale... -poszukała właściwych słów -.. .ona uciszała umysł. Sprawiała, że chorzy stawali się spokojniejsi. Pomagała im znosić wszelki ból, serca i ciała. Niektórzy płakali, prawie zawsze umiała ich uspokoić... oni... oni w nią wierzyli. Ale wiedziałam, że jest w tym coś osobliwego. Nawet jako mała dziewczynka czułam, że to niezwykle.

Rillie sięgnęła po Alphonse'a, pogładziła marmurową głowę.

- Jego też używała? To znaczy, do leczenia ludzi, którzy ją odwiedzali?

Cordelia wyciągnęła rękę; kiedy przyjaciółka podała jej Alphon-se'a, także przesunęła rękami po głowie, jak zwykła to robić w dzieciństwie.

- Co to za liczby? - spytała Rillie.

- To frenologia, czytanie z głowy. Liczby mają pokazywać, gdzie znajdują się części mózgu. - Może to był wpływ porto, ale obie się roześmiały. - Albo elementy osobowości - poprawiła się Cordelia. -Spójrz. - Wstała i sięgnęła po jedną z książek ciotki, by sprawdzić. - Popatrz, popatrz! To coś innego niż mesmeryzm. - Wskazała przyjaciółce rysunek głowy z zaznaczonymi liczbami, wyglądającej zupełnie jak Alphonse. - Patrz, widzisz, tu na szczycie głowy, tak jak na rycinie, leży obszar duchowości. A od czubka głowy do czoła rozum i intelekt.

- Mam niskie czoło - powiedziała Rillie i dla potwierdzenia tej obserwacji zerknęła w jedno z luster. - Pewnie to znaczy, że jestem głupia!

- Nie, nie, spójrz, widzisz, tu na przedzie na rycinie jest numer dwadzieścia cztery, ten oznaczony SPOSTRZEGAWCZOŚĆ, a teraz zobacz! - Nacisnęła czoło Rillie tuż nad nosem. - Jesteś bardzo spostrzegawcza, Rillie, zawsze zauważasz różne rzeczy, i popatrz! Masz sporą wyniosłość tutaj, o tu!

Rillie zaprotestowała oburzona:

- Tu sobie nabiłam guza, kiedy się przewróciłam na ścieżce, jak wracałyśmy po ciemku z Guildford!

I zaczęły się śmiać znowu, a potem narzuciły płaszcze i ruszyły zwykłą trasą na Cock Pit-lane do pani Fortune.

Jednak wykład profesora i eksperyment w dziwny sposób poruszyły Cordelię, zburzyły jej spokój. Znacznie później tego wieczoru, niespokojna, po powrocie do domu od pani Fortune, siadła samotnie z książkami przy ogniu i blasku świec i naląła sobie kolejny kieliszek porto: „czerwonego porto”, jak je nazywały Kitty i Hester, z Portugalii (jeśli miały wybór, wołały czerwone porto od białego, bo wierzyły, że białe to trucizna). Sięgnęła znowu po marmurową głowę. Uważnie przyglądała się numerom, sprawdzając je w książce, którą wcześniej pokazywała Rillie. Jak pamiętała, znajdowały się w tych samych miejscach po obu stronach czaszki. Naraz podniosła się z miejsca. *Zapewne powinnam zacząć od zbadania własnej głowy.* Spojrzała na siebie krótko w jednym z luster cioci Hester i szybko odwróciła wzrok. Nie zawsze podobało jej się to, co dostrzegała w lustrze. Usiadła na powrót przy ogniu i podniosła jeden z tomów.

Nr 1: KOCHLIWOŚĆ: miłość - iskra uczucia między płciami -pragnienie zawarcia małżeństwa. *Na mojej czaszce nie powinno być takiego miejsca.*

Nr 2: MIŁOŚĆ RODZICIELSKA: troska o potomstwo - ogólne upodobanie do dzieci, jak również zwierząt domowych i dzikich. *Nawet nie będę sobie obmacywać głowy, by jej szukać.*

Nr 6: SPRZECIW: energia - popędliwość - pęd niszczycielski -srogość - gniew.

Gniew. Upuściła książkę, wzięła Alphonse'a i spojrzała w skupieniu na miejsce, gdzie rzekomo się mieścił. Kiedy tak dumiała, na pół na jawie, na pół we śnie, przy wiosennym ogniu, przemknęło jej, że gdyby próbowała wymacać u siebie obszar oznaczony numerem 6, okazałby się tak bezkresny, że nie można

by go nawet objąć dotykami - tak wielka była jej ukryta, tajemna wściekłość oraz przerażająca, pochłaniająca całe życie namiętność: gniew.

Bowiem Cordelia nie zawsze była znana jako panna Preston.

I nie zawsze Cordelia Preston była Pierwszą Wiedźmą, przyjmującą ochłapy ról od panów Kennetha i Turnoura w pubie Pod Jagnięciem.

Długie terminowanie, rozpoczęte u boku matki, dało doskonałe wyniki. Niedługo po tym, gdy Edmund Kean, porywający młody aktor, wziął Londyn szturmem, Cordelia za sprawą cudownego zrządzenia losu, szczęścia, talentu oraz wyczucia chwili dostała angaż do prestiżowej trupy z Drury Lane Theatre, gdzie jej matka i ciotka kiedyś, znacznie wcześniej, były statystkami. Edmund Kean reprezentował nowy styl gry aktorskiej; Edmund Kean nie deklamował w staroświeckim stylu, Edmund Kean chwycił widownię za gardło. Cordelia, początkowo grywająca drobne rólki razem z przyjaciółką Rillie Spoons, patrzyła i uczyła się. Widziała, jak pan Kean gra Hamleta. Widziała inscenizację *Romea i Julii* i nauczyła się, że księżyc symbolizuje miłość. Miała osiemnaście lat, była ładna (więcej niż ładna, piękna: tak jak jej matka) i spędziła w teatrze całe życie. Już dawno nauczyła się poruszać i wysławiać z elegancją i wdziękiem, miała szczególnie uroczy głos i została gruntownie wyszkolona przez Kitty i Hester, by przyciągnąć wzrok widzów. Wiedziała też, jak ich rozbawić. Była gotowa wykorzystać szansę.

I w końcu szansa się trafiła. Lecz wtedy już praca w jednej trupie z Edmundem Keanem stała się dla wszystkich zarazem marzeniem i koszmarem: z racji pijackich wybryków i gnębienia słabszych nazbyt szybko minął on szczytowy punkt swej kariery i potrafił uderzyć innego aktora, gdy mu przyszła na to chętka. Cordelię obsadzano w sztukach razem z nim: w *Ryszardzie III*, a potem w *Królu Li-rze*, gdzie grała najmłodszą córkę, swoją imienniczkę. Jak inni członkowie trupy, znosiła wiele ze względu na - wciąż jeszcze - wielką siłę wyrazu niektórych występów Keana. Niekiedy zaś, bardzo rzadko, na scenie działo się coś z nią samą - czuła to, rozumiała: coś, co rozgrywało się między nią i panem Keanem, oddziaływało na widzów; rodzaj magicznego skupienia przenosił ich w inny wymiar, gdzie wszyscy stawali się jednym. Zauważała to, lecz nigdy o tym nie mówiła, wierząc jedynie, że to przelotne muśnięcie magii. Wkrótce jednak arogancja i pijaństwo kończącego się pana Keana stały się nie do zniesienia nawet dla kogoś tak twardego jak Cordelia Preston, która niemal przywykła do pijanych aktorów, dyszących na nią odorem alkoholu i własnego szaleństwa. Kiedy więc w sezonie

letnim w Hay-market zaproponowano jej rolę Nellie w *Z miłości do Nellie*, przyjęła szansę z wielką ochotą, choć oznaczało to pożegnanie z nadzwyczajnym panem Keanem oraz Szekspirem. Sztuka była komedią i Cordelia wiedziała, jak ją przekuć w sukces. Inscenizacja okazała się sensacją: tego lata o *Nellie* mówił cały Londyn. I choć w Drury Lane Theatre uchodziła za ulubienicę wszystkich, tym razem, w Hay-market, wielbicielę ustawiali się w kolejce do drzwi jej garderoby.

Rillie Spoons nauczyła się nigdy, przenigdy nie wspominać o lordzie Morganie Ellisie, synu i dziedzicu diuka Llanefydd. Któż jednak mógłby zapomnieć tego młodego człowieka: przystojnego, czarującego, emablującego Cordelię u szczytu kariery. W miarę jak rosła jej wiara w sukces, Cordelia właściwie nie próbowała ukryć swego cokolwiek ekscentrycznego pochodzenia, lecz nauczyła się mówić o swojej rodzinie i przeszłości w ironiczny, żartobliwy sposób, jak gdyby dotyczyło to jakichś dalekich krewnych. Okropne warunki podczas tournée po kraju z matką; godziny spędzone w ciemnej izbie na tyłach, kiedy jej ciotka mesmeryzowała damy - wszystko to zmieniło się we wspomnienie z czułością, zabawne historie z zapomnianej przeszłości, wolne od cierpienia i należące do kogoś innego, odległej zdziwaczałej krewniaczki. Sama Cordelia wywodziła się (jak twierdzono) z bardzo szacownego rodu, jej dziadek bowiem (jak twierdziła) był człowiekiem wykształconym, prawnikiem. Mimo to, oczywiście, pozostała aktorką: nie było przed tym ucieczki i w żaden sposób nie mogłaby stać się w istocie kobietą przyzwoitą. Wśród światowych mężczyzn cieszyła się jednak także opinią niezwykle zabawnej damy z gromadą bardzo osobliwych kuzynów. Byli inni wielbicielę, bogatsi niż lord Morgan Ellis, potężniejsi od niego: kilka razy jadła nawet kolację z lordem Castlereagh, ministrem spraw zagranicznych, i rozśmieszała go opowieściami o lampiarzu z Drury Lane. Kiedy książę Wellington okryty chwałą powrócił do kraju spod Waterloo, teatry wystawiły wiele tryumfalnych żywych obrazów: książę osobiście obdarzył szczególną uwagą Cordelię, uosabiającą Brytanię. Jej serce jednak zdobył Ellis. W tym czasie w pamięci Cordelii odżyły wszystkie wspomnienia z przeszłości matki i ciotki - aktorek próbujących się znaleźć w świetle głównego reflektora, by przyciągnąć uwagę kogokolwiek, kto mógłby je wybawić od ich losu.

- Zabiorę cię - obiecywał Ellis - z dala od tego życia. Ofiaruję ci wolność! Ty i ja, morze i gwiazdy! - W jego ustach brzmiało to jak opowieść o rajskim ogrodzie.

Nie wiedział, że Cordelia mieszka z ciocią Hester przy Little Russell Street; ona sama wspominała o tym mgliście, a zresztą miejsce zamieszkania potencjalnej kochanki nie było przedmiotem zainteresowań lorda Morgana Ellisa. Zamierzał podjąć stosowne kroki. Lecz gwiazda Cordelii się wznosiła, dziewczynie nie brakowało pieniędzy; szybko przeprowadziła się do bardzo wytwornych pokoi w May-fair, najęła pokojówkę. Prywatnie miała zwyczaj przesiadywać z nogami w górze przy piecyku na Little Russell Street, popijając porto z ciocią Hester; teraz zacisnęła zęby i siadywała prosto jak trzcina, nalewając herbatę damom do maleńkich filiżanek, nosiła rękawiczki i zostawiała karty wizytowe. Tak często wykonywała podobne gesty na scenie lub przy publicznych okazjach, że przychodziły jej z łatwością; teraz nauczyła się ich także w życiu prywatnym. Okropnie tęskniła za ciocią Hester, biegała w odwiedziny do Bloomsbury.

- To nie potrwa długo - obiecywała. - Wiem, gdzie jest mój prawdziwy dom, ale to moja szansa, istnieją precedensy, on mnie kocha.

Ciocia Hester posiadała gruntowną znajomość świata.

- Może cię gdzieś urządzić, płacić za ciebie. Ale nie rezygnuj z kariery, bo nie zawsze będzie przy tobie.

- Nie chcę, żeby mnie „urządzano”. Nie tego pragnę.

- On się z tobą nie ożeni, Cordelio. To arystokrata. Pewnego dnia zostanie diukiem Llanefydd, byłoby dla niego niemożliwością poślubić kogoś takiego jak ty. Nie powinnaś marzyć o rzeczach, które nie mogą się ziścić.

- On mnie kocha. Ciotka spróbowała znowu.

- Cordelio, nie rozumiesz różnicy między ich światem i naszym; bariery klasowe są nie do przekroczenia dla ludzi takich jak ty i ja. To, że pojawiaasz się z nim pod rękę podczas przyzwoitych wydarzeń towarzyskich, nic nie znaczy, zupełnie nic: młodzi, podatni na wpływy lordowie cieszą się szczególnymi względami. Nie możesz wyjść za kogoś stojącego o tyle wyżej od ciebie... nie od ciebie jako osoby, bo w moich oczach nikt nie stoi od ciebie wyżej - rzuciła jej czułe, ironiczne spojrzenie - lecz pod względem społecznym. To niemożliwe, Cordelio, i tylko stwarzasz sobie problemy na przyszłość.

- A pani Armitage i Charles James Fox? Zawsze powtarzałyście z mamą, że była kimś znacznie gorszym od aktorki.

- To zupełnie co innego. Pan Fox był innego rodzaju człowiekiem, obracającym się w zupełnie innych kręgach, politykiem raczej niż arystokratą. Czym lord Ellis się zajmuje poza byciem lordem Ellisem? No i pan Fox mieszkał z panią

Armitage przez wiele, wiele lat, nim zostali małżeństwem. Kochał ją, nie mógł bez niej żyć.

- Ellis nie może żyć beze mnie! - Oczy Cordelii błysnęły; dał o sobie znać temperament, który tak bardzo starała się stłumić.

Ciocia Hester zirytowała się również.

- Może tak mówi, ale to zupełnie inna sytuacja. Jak najbardziej pozwól się utrzymywać lordowi Ellisowi i korzystaj, ile możesz, z danego ci czasu. Ale małżeństwo to mrzonka. Cordelio, my pochodzimy z parafii św. Egidiusza!

Ciocia Hester, która wspierała Cordelię w każdy dostępny sobie sposób, bardziej niż ktokolwiek pragnęła dla siostrzenicy bezpieczeństwa, jakiego nie udało się osiągnąć dawniejszym pannom Preston; te niedorzeczne i nierealistyczne nadzieje budziły jej niepokój.

- On mnie kocha! - powtórzyła Cordelia. - Miłość zmienia wszystko!

- Nie, nic podobnego - odparła ciocia Hester z kamienną twarzą. Lecz nie dała nic więcej.

Cordelia istotnie pojawiała się podczas towarzyskich wydarzeń wsparta na ramieniu Ellisa. Przyciągała spojrzenia: znano ją z teatru, miło było na nią popatrzeć, miała śmiejące się oczy i maniery damy. Przyjmowano ją w domu księżnej wdowy Hawksfield przy Grosvenor Square, gdzie kandelabry lśniły nad głowami szlachetnie urodzonych: niewątpliwie był to rodzaj akceptacji ze strony towarzysztwa; kiedy Londyn ogarnęła moda na wszystko, co egipskie, nosiła na szyi otrzymany od lorda Morgana Ellisa piękny medalion, pokryty tajemniczymi, niezrozumiałymi hieroglifami. Widywano ją w Ogrodach Vauxhall, w Ranelagh.

Oczywiście wszyscy zakładali, że jest kochanką Ellisa.

Cordelia jednak była twarda; znacznie, znacznie twardsza, niż można by sądzić. Nie chciała zostać wyratowana w połowie, jak jej matka i ciotka: w największej, najtajniejszej głębi serca marzyła, by zostać mężatką, spokojną i bezpieczną. Doskonale zdawała sobie sprawę, że brak jej prawdziwej ogłady i manier, by zyskać pełną akceptację dobrze urodzonych; doskonale zdawała sobie sprawę, że jej matka urodziła się na Tottenham Court Road, nawet jeśli ona sama wysławia się jak dama i porusza z wdziękiem. Mimo to jednak zdobyła własny, szczególny rodzaj wykształcenia: nauczyła się być zabawną i dostarczać rozrywki oraz mówić niskim, melodyjnym głosem. Kiedyś zdumiała i wstrząsnęła lordem Morganem Ellisem, ciskając bez namysłu żelazkiem w mężczyznę, który na ulicy uderzył swoją towarzyszkę. Sama była przerażona tą odruchową reakcją;

napastnik padł bez przytomności, a kobieta ją zwymyślała. Cordelia wyjaśniła Ellisowi, że czasem nosi pod płaszczem żelazko dla bezpieczeństwa.

- Dla bezpieczeństwa? Gdzie?

- Na ulicy.

- Nie wolno pani nigdy chodzić po ulicach! - wykrzyknął, jeszcze bardziej wstrząśnięty.

- Naturalnie - mruknęła, lecz żelazko zachowała.

Wy tłumaczył jej, że wylewność i zapalczywość nie uchodzą młodej damie; że prawdziwe damy są, jak się wydaje, spokojniejsze od niej. Cordelia robiła, co w jej mocy, starała się powściągnąć wrodzoną porywczosć i niczym nie rzucać; nie wspomniała o przelotnej myśli: że to wylewność i zapalczywość pozwoliły jej przetrwać i dotrzeć tam, gdzie dotarła, ta właśnie energia, siła i śmiech. Zmilczała jak prawdziwa dama.

Wieczór w wieczór Ellis zalecał się do niej, często w towarzystwie otyłego i starzejącego się księcia Walii, wciąż czekającego, by zostać królem, którego przepity oddech w końcu dorównał oddechowi pana Keana (ten sam otyły książę kiedyś ożenił się z kobietą swoich marzeń). Zachwycaly ich opowieści Cordelii. Ona jednak, wykorzystując każdy okrucz odwagi, determinacji i znajomości świata, zdobyty w przeszłości, nie chciała się zgodzić na nic mniej niż małżeństwo. Przestała się spotykać z lordem Morganem Ellisem, znowu jadała kolacje z lordem Castlereagh.

I w końcu, nie do wiary, lord Morgan Ellis naprawdę się z nią ożenił w zamian za obietnicę, że porzuci teatr, a jej kariera i przeszłe życie nigdy, przenigdy nie będą wspomniane. Wzięli ślub podczas skromnej, prywatnej ceremonii w skromnej, prywatnej kaplicy na półwyspie Gower w Walii. Ceremonia była tak prywatna, że nie zjawił się na niej nikt z rodziny Ellisa prócz dwóch uśmiechniętych walijskich kuzynek, Rillie jednak i ciocia Hester odbyły z Cordelią długą podróż, by być świadkami.

- W stosownym czasie poznasz mojego ojca - obiecał Ellis.

Tak więc Cordelią Preston bez jednego spojrzenia wstecz porzuciła scenę i swój tryumf, by zostać lady Ellis.

Jak odkryła, obietnica „wolności” ze strony Ellisa oznaczała zamieszkanie na stałe na półwyspie Gower - Gwyr, jak to wymawiali walijscy służący - miejscu oddalonym zewsząd (oraz parę dni od Londynu), z pozoru niezwykle bezpiecznym i spokojnym, gdzie nagie, wysokie klify opadały ku morzu, a odpływ cofał

się o całe mile. „Chcę, byś zapomniała o Londynie i dawnym życiu” - oświadczył Ellis i Cordelia pomyślała, jakie to wspaniałe porzucić smród i tłumy, hałas i mgły miasta. Osiedli w olbrzymim, starym kamiennym dworze na wybrzeżu Gwyr - to znaczy olbrzymim dla Cordelii (zapewne kiedyś, dawno, strażnicy albo domu odźwiernego przy położonym nieco dalej kruszącym się kamiennym zamku) - bo tak zarządził jej nowy mąż. Kamienny dom był samotny, odizolowany, położony wiele mil od najbliższego miasteczka. „To romantyczne” - orzekł Ellis. „Chcemy być sami”. Powiedział, że muszą się zadowolić tylko trojgiem służących: pokojówką, lokajem i kucharką. „Tylko trojgiem!” - powtórzyła Cordelia, śmiejąc się z niego. Nie wiedziała jednak, że Ellis często będzie wracał do Londynu - bez niej. „Tutaj będziesz wolna” - oznajmił stanowczo w kamiennym domu, otoczonym wysokim murem, gdzie w dziko rosnącej trawie błyskały jaskrawe kwiaty: czerwone maki, żółte rumiany i jeszcze inne, nieznane, niebieskie i piękne; i gdzie cisy i buki, i pokrzywiony dąb chyliły się odwrócone od morza. „Ja, oczywiście, nadal muszę prowadzić interesy”. Patrzyła na wyboistą drogę wzdłuż wybrzeża, aż zniknął nawet kurz wzbijany spod kopyt jego konia.

Nigdy wcześniej nie była sama. Od urodzenia do śmierci Kitty sypiała z matką; ukochana ciocia Hester zawsze była w pobliżu; podczas objazdów w jednej izbie nocowało zawsze od czterech do siedmiu osób. Teraz została sama w szarej kamiennej ciszy. Próbowwała rozmawiać ze służącymi, ale ledwie mówili po angielsku, mamrocząc między sobą we własnym języku: w końcu pojęła, że ich krępuje, wkraczając na ich teren; uważali, że wysławia się jak dama, nie rozumieli, że tak mówią aktorki, teraz bowiem oczywiście nikt nie wspominał o jej przeszłości. Wciąż sobie powtarzała, że tego właśnie pragnęła nade wszystko. *Jestem spokojna i bezpieczna.* Dni wlokły się jeden za drugim. Na ciemnych półkach stały stare, pokryte pleśnią tomy, lecz nie przywykła do czytania, jeśli nie liczyć ról; szycie oznaczało dla niej sporządzanie kostiumów i kapeluszy, nie zaś haft. Przywykła do odgłosów ludzkiej obecności, powozów, nawoływań handlarzy i do miasta, a nie szumu morza. Widywała naturalnie morze w czasie swoich wędrówek z trupą po kraju, lecz morze w Brighton nie było podobne do tego: nie przypominało tej dziwnej, ruchomej wody, która niemal zniknęła w pewnych porach dnia, by potem przypelznąć niczym wąż przez piaski, zielone wodorosty i kamienie, aż nagle leżała rozpostarta niemal u jej stóp, po-sykując i wzdychając, i po skałach nie pozostawał najmniejszy ślad. W Gwyr był też inny rodzaj mgły: biały, cichy opar, który napływał, kłębiąc się, znad morza, tak że nie było widać

olbrzymiego starego dębu za oknem. Ze zdumieniem stwierdziła, że tęskni do hałasu i pokrzykiwań, powozów i śmiechu, ciemnej mgły i londyńskiego życia. Nocą czekała, aż wzejdzie jej księżyc: na nowiu, w pełni, ubywający. Czasem jednak leżała w pustym łóżku, gdy mgła wirowała i nie było księżyca, słyszała morze: fala wsteczna, cisza podobna do westchnienia, a potem grzmiący huk, odbijający się echem w jej niespokojnych snach. Bez księżyca.

Dniami i tygodniami wpatrywała się w to morze i jego pływy; potrafiło wyglądać tak niewinnie: mile piasku, ciągnące się po horyzont, bezkresna plaża i ukryte skały, muszle i wodorosty; niekiedy w oddali spostrzegała chyba wrak starego okrętu, dawno rozbitego i przegniłego. Potem jednak przypływ niepowstrzymanie nadciągał znowu, pokrywając wszystko, zalewając skalne występy, jak gdyby w ogóle nie istniały. Często zrywał się dziki wiatr, a morze kotłowało się i grzmiało w przerażających, mrocznych grotach pod klifami, gdzie mieszkwały koszmary. Czuła potęgę morza i czające się w jego otchłani niebezpieczeństwo, i zastanawiała się, czy oszaleje.

Czasami była pewna, że pośród mrocznej (i bezksiężycowej) nocy dostrzeże migoczące w dali światła, że słyszy w ciemności krzyki i trzask; pewnego ranka po odpływie ujrziała nowy samotny kadłub z połamanymi masztami, leżący na boku niedaleko ukrytych skał, lecz bez śladu ludzi, towarów, życia. Wrak tajemniczej, milczącej łodzi pozostał na miejscu; morze zakrywało go dwa razy dziennie; drewno przegniło; kolejne przypływy wyrzucały na brzeg kawałki desek. Gdy jednak zaczynał się odpływ, wyraźnie widać było długi, skrecony, rozdarty kawał metalu: celował w niebo niczym oskarżycielski palec - lecz ani śladu żeglarzy. Pierwszy raz w życiu opuściła ją siła, kiedy powtarzała sobie wciąż i wciąż na nowo: „Lecz tego przecież chciałam”.

Z początku Ellis wracał często. Cordelia biegła przez jaskrawe dzikie kwiaty i trawę do bramy, kiedy nareszcie usłyszała tętent kopyt, turkot powozu.

„Moja dziewczynka!” - wołał, biegł do niej także i chwycił ją w ramiona, a wtedy szmer morza cichł w jej głowie i na powrót stawiała się sobą, karciała samą siebie za słabość. Podnieceni, młodzi, zakochani i pełni uniesienia spacerowali całymi milami wzdłuż klifów i z powrotem do domu, spleceni w zimnym, znajomym świetle księżyca. Czasem zrywały się dzikie sztormy, błyskawice siekły niebo, grzmoty odbijały się echem, lecz Cordelia czuła się z Ellisem bezpieczna. „Będziemy się kochać zawsze, Cordie!” - wołał w noc. „Zawsze!”. Myślała wtedy: „Tego właśnie chciałam”.

Z czasem przyjeżdżał rzadziej. Teraz jednak musiała się nauczyć czegoś nowego: jak być matką. „Nie wiem, co robić” - szeptała do siebie, patrząc na swój rosnący brzuch. Zresztą to służące, pokojówka i kucharka zajęły się wszystkim, kiedy ona tylko krzyczała. Przerazona trzymała niewielkie zawiniątko. Kiedyś nim potrząsnęła, by się upewnić, że dziecko jest żywe. Jedną z wąskich, krętych ścieżek, wyciętych w klifie, schodziła na plażę, niosąc swe pierwsze dziecko, Manon (na pamiątkę zmarłej przed wieloma laty matki Ellisa); piękną Manon, która szeroko otwierała oczy i pokazywała paluszkami muszle i skały, zielone wodorosty i grotty pod klifami, kryjące mroczne tajemnice. Następną córką była Gwenlliam (po walijskiej babce Ellisa), szarooka jak jej cioteczna babka ciocia Hester: na widok Gwenlliam coś w sercu Cordelii drgnęło, choć trudno byłoby jej wyjaśnić dlaczego. Robiła dwóm małym dziewczynkom naszyjniki z drobnych różowych muszelek; płakały, kiedy nadciągała ciemność i musiały porzucić swój raj. Potem urodził się Morgan, nazwany po ojcu. *Nareszcie dziedzic, Ellis się ucieszy.* Lord przybył wierzchem, uniósł maleńkiego chłopca w powietrze i zaśmiał się z dumą. Później mały Morgan pragnął jedynie spędzać czas na wybrzeżu z siostrami, obserwować przypyływy i odpływy. Aż wreszcie trochę ich zachwytu wybrzeżem Gwyr, i zachwytu ich ojca, przeszło na Cordelię; poczuła, jak to dzikie, opuszczone miejsce przenika do jej oddechu, do krwi.

Stopniowo nauczyła się troszczyć jak należy o drobne istoty; najtrudniej szło z wybuchami gniewu: dzieci były takie małe, ona często tak zmęczona; kiedyś zniecierpliwiona uderzyła Manon, niedając się uspokoić w płaczu. Dziewczynka umilkła natychmiast, lecz Cordelia zobaczyła zdziwione spojrzenia pozostałych dzieci, poczuła wstyd, wciąż i wciąż uczyła się panowania nad sobą; ostatecznie jednak nie biła ich, jak Kitty biła ją samą.

Puste wybrzeże było dla dzieci całym światem; kiedy podczas odpływu morze odpełzało niczym wąż, Cordelia widziała ich jasne główki daleko na plaży, pochylone nad skałą lub muszlą; każde znalezisko dostarczało im rozrywki na całą godzinę. Jak dzień długi głosy niosły się echem w powietrzu; słyszała śmiechy i wołania o niezwykłych znalezionych skarbach; dzikie ptaki morskie przelatywały w górze, wszystko przenikał zapach soli i wodorostów. Kiedyś Morgan przez wiele godzin płakał niepocieszony: znalazł małą rybkę i przyniósł ją do domu, by pokazać stworzenie matce, nie rozumiejąc, czemu ruchliwy, trzepoczący ogon zwiotczał, a oko spogląda ze szklistym wyrzutem. Cordelia pocieszyła go i na-

uczyła ostrożnie wpuszczać ryby do kałuż pozostałych w tajemniczych skałach, wyjaśniła, że morze wróci i wtedy będą bezpieczne.

A potem przychodził sztorm i rześisty deszcz smagał morze, wiatr zaś zdmuchiwał dzieci do szarego kamiennego budynku, który był ich domem, z majaczącymi w tle ruinami starego zamku; rozpalano ogień i czasem Cordelia śpiewała:

Gdym pacholęciem jeszcze był, I hej, i ho, choć wiatr i choć deszcz, Igraszką był mi każdy cios, Boć deszcz zwyczajna to rzecz.

Zbudowali kryjówkę na wielkim, starym, poskręcany dębie; opowiedziała im o innym dębie daleko, na Bloomsbury Square, i swoim przyjacielu księżycu. Z pewnym zażenowaniem wspomniała o tym, jak wierzyła, że należy do niej, teraz wydawało jej się to głupie i próżne, lecz dzieciom podobała się także ta opowieść: „księżyc mamy”, mówiły, spoglądając w górę.

Znajdowali fantastyczne kryjówki w starych kamiennych ruinach starożytnego zamku i opowiadali sobie historie o groźnych walijskich wojownikach: dziedzictwie ich ojca. Dzikie kwiaty rosły bujniej, niebieskie, czerwone i złote; muszle i wodorosty suszyły się przy drzwiach. Znajdowali kraby. Znajdowali guziki z brązu i snuli opowieści o bitwach. Nauczyli się czytać i pisać (w miarę umiejętności Cordelii); wysoko wśród gałęzi dębu, w skrzynce pocztowej zostawiali sobie nawzajem mozolnie wykaligrafowane liściki. *Nazrywaj trochę kwiatów na stół do kolacji, Manon*, pisała Cordelia. *Kocham cię, mamo*, pisała Gwenlliam. *Widziałem durze ptaszysko*, pisał Morgan, mający dopiero cztery lata.

Rozmawiali o tajemniczych wrakach w ciemne, bezksiężycowe noce, o błyskających światłach, które zdawało się, wabiły statki na mieliznę, o poskręcany metalu kadłubów.

- Skąd przyplłynęły?

- Co?

- Statki.

Nie umiała odpowiedzieć na ich pytania.

- Och... niech no pomyślę... z Ameryki!

- Co to jest Ameryka?

- Och... inny kraj, nie nasz.

- Gdzie ona jest?

- Gdzieś indziej.

- Ale gdzie?

- Och, Boże mój, po prostu... w Ameryce, na miłość boską! - (bo nie wiedziała sama). Kiedyś krzyczałaby dłużej; teraz wzięła głęboki oddech. Potem wyjaśniła:

- Ameryka to nowy kraj, daleko stąd, z którego przysyłają nam tytoń i... inne rzeczy. Wspaniałe rzeczy, na przykład - poszukała w pamięci - miód i dywany, i dziwne owoce. Ludzie śpiewają od rana do nocy w tym nowym kraju, w Ameryce.

- Co to znaczy, że Ameryka jest nowa? - Urocza buzia Manon.

-Co?

- Co to znaczy, że jest nowa? - Pytające szare oczy Gwenlliam. Cienki, dziecięcy głosik Morgana:

- Bo właśnie wyskoczyła z morza? Cordelia zaśmiała się.

- Tak... tak, właśnie wyskoczyła z morza! I nasi żeglarze i odkrywcy tam popłynęli... a teraz śpiewają, żyją sobie szczęśliwie i jedzą miód!

Nowy kraj, skąd przysyłano na statkach dywany i dziwne owoce, ląd, który wynurzył się z morza, by ludzie mieli gdzie wędrować, śpiewać i wieść szczęśliwe, słodkie życie: wszystko to ich oczarowało, stało się snutą bez końca opowieścią. Czasem, zaraz po rozpoczęciu odpływu, brnęli przez mokre piaski, dotykali gnijącego drewna i rdzewiejącego metalu wymierzonego w niebo i mówili: „Ameryka”. Szeptali o niewidzialnych żeglarzach.

Jeśli Cordelia żałowała czasem dawnego życia, nikt o tym nie wiedział. Czasem jednak, przy ogniu buzującym w wielkim kominku, zamkniętym w szarych kamiennych murach, kiedy deszcz lał na zewnątrz, mimo wszelkich zakazów El-lisa opowiadała dzieciom urywki prawdziwych historii ze swego życia: o matce i ciotce, teatrze i Little Russell Street, Bloomsbury Square i Londynie. Widziała, jak fascynowały malców opowieści o cioci Hester i jej mesmeryzmie, o tym, że uzdrawiał ludzi niczym magia; jak oczarowały je historie o teatrze i panu Keanie, i ich ciotecznym pradziadku lampiarzu, panu Simie: pytały o światła na scenie, czy są tam burze i słońce. Podczas prawdziwych burz nuciła im do snu:

Boć deszcz zwyczajna to rzecz.

Starła się podtrzymywać kontakt z ukochaną ciotką oraz wierną przyjaciółką Rillie Spoons, nie była jednak szczególnie wprawną korespondentką, choć się

starala, i podobnie sprawy sie miały z ciotką i Rillie. Kiedyś obie wybrały się w długą podróż. Widziały, że Cordelii usługują dziwni cudzoziemscy służący w dziwnym cudzoziemskim kraju oraz że wciąż jej trudno nie wziąć się osobiście do zmywania podłóg. Rillie pomyślała w duchu, że przyjaciółka odgrywa rolę lady Ellis, tak samo jak dawniej grywała rolę królowej Anny czy Nellie. Na widok jasnowłosych dzieci do starych, znających świat oczu cioci Hester napłynęły łzy, bo kiedy Manon się uśmiechnęła, ujrzała w niej swoją siostrę Kitty. „Patrz na mnie! Patrz, jak tańczę!” - wołała dziewczynka. Ciocia Hester ujrzała też wreszcie drugą parę oczu szarych jak jej własne, bo Cordelia i Rillie zwróciły jej uwagę, że Gwenlliam, druga córka, przypomina swoją cioteczną babkę.

- To prawda, rzeczywiście wyglądasz jak ja! - zwróciła się Hester do Gwenlliam.

Szarooka, bystrooka starsza dama i szarooka, bystrooka dziewczynka zaśmiały się zawstydzone dziwnością tego faktu, a potem Gwenlliam zrobiła coś niezwykłego: pogładziła pozbawione pierścionków dłonie starszej kobiety i przyjrzała się im uważnie. Może dlatego, że były pomarszczone; może dlatego, że rozumiała, iż kryją w sobie magię - tak czy inaczej wsunęła małą rączkę w jej starą dłoń.

Rillie i ciocia Hester zauważyły, że chłopiec, Morgan, ma najtrudniejszy charakter; że zdaje się targany napadami gniewu czy furii, znacznie gorszymi niż ataki Cordelii. Spostrzegły też, że matka uspokaja go, raz po raz bardzo delikatnie gładząc po głowie; chłopiec cichł pod tym dotykiem i wkrótce opowiadał gościom o swoich krabach i muszlach, a sztorm w jego głowie mijał. Zaobserwowały, że nie do końca przypomina Cordelię z wyglądu, ma jednak jej ruchy: do pewnego stopnia, niektóre. Był jak Cordelia. Wkrótce ten mały jeszcze szkrab, nie pamiętając o złości, upierał się, by zeszły ścieżką po klifie nad morze, nawet zeszywniała i utykająca ciocia-babcia Hester, aby także one mogły zobaczyć widoczne teraz ukryte skały (bo trwał odpływ), gnijące kadłuby i metalowe palce wskazujące niebo.

- Przypłyły z Ameryki - wyjaśnił.

Rillie i ciocia Hester zauważyły, że Cordelia jakimś sposobem nauczyła się być dobrą matką, częściowo kontrolować swój szorstki, porywczy sposób bycia: „Boże mój!” - wołała zirytowana, lecz widziały, jak zaraz się opanowuje i wybuchają śmiechem. Widziały też, że dzieci kochają matkę bezgranicznie; uwielbiały ją: stanowiła centrum ich świata. Jeśli obie kobiety żywiły w skrytości ducha

pewne wątpliwości, czy to odpowiednie dzieciństwo dla małych arystokratów, zachowywały je dla siebie.

Odległość była jednak tak wielka, a podróż tak męcząca, że przy pożegnaniu zastanawiały się, czy się jeszcze spotkają.

Zjawił się Ellis i zobaczył, że dzieci wyrosły, są wysokie, dzikie i piękne; niekiedy dostrzegała w jego oczach zmieszanie, którego przyczyny nie chciał wyjaśnić.

- Morgana trzeba posłać do szkoły - oznajmił.

- Pozwól mu się uczyć tutaj! - Błysnęła gniewnie oczami, kiedy brał ją w ramiona.

- Żadnej zapalczywości, moja droga - odparł, przytrzymując ją bez trudu, znacznie silniejszy od niej. - Pamiętaj, czego cię uczyłem.

- Nie zabieraj mi go - powtórzyła, już spokojniej. - Dopiero co skończył cztery lata. Zgódź nauczycieli dla całej trójki tutaj! Manon, Gwenlliam i ja będziemy się uczyć razem z Morganem.

Popatrzył na nią dziwnie, lecz najał nauczycieli. Przyjeżdżał coraz rzadziej. Jego ostatnia nieobecność trwała siedem miesięcy.

To Rillie Spoons, aktorka od przypadku do przypadku (która jak dawniej ciocia Hester, doksztalała się w czytelni), zobaczyła doniesienie w gazecie: jedyny syn diuka Llanefydd ożenił się z wielką pompą; podczas ceremonii w Ogrodach Vauxhall w Ranelagh starożytny walijski ród złączył się z angielskim. „To Ellis!” - wykrzyknęła Rillie na całą wypożyczalnię. „Piszą o Ellisie!”. Czytelnicy spojrzeli zdziwieni. Przeczytała uważnie jeszcze raz, z bijącym sercem. Nowa żona Ellisa, twierdzono w gazecie, jest siostrzenicą królewskiej kuzynki. Rillie nie wierzyła własnym oczom. *Czy Cordie umarła!* Zaczekała, aż wszyscy zapomną o jej wybuchu i ukradkiem wyrwała artykuł, kiedy bibliotekarz nie patrzył. Pobiegła do pokojów w suterenie w Bloomsbury i pokazała go starej cioci Hester.

- Czy Cordie umarła?

- Cordie żyje - oświadczyła stanowczo ciocia Hester - ledwie miesiąc temu miałam od niej krótki liścik. - Przeczytała artykuł po raz drugi i jej oddech stał się szybszy. - To - wskazała palcem gazetę - coś, mimo całej pompy, to bez dwóch zdań jakaś komedia. Ellis ma już żonę. - Znowu przebiegła tekst wzrokiem, kręcąc lekko głową: za każdym kolejnym czytaniem coraz bardziej ściągą-

ła usta. - A to bestia z piekła rodem! - orzekła w końcu i natychmiast obie wyruszyły dylizanssem do Gwyr, dniami i nocami trzęsąc się na wybojach; gniew i złe przeczucia dodawały starszej damie sił.

Cordelia przywitała je z miłością, zachwytem i zdumieniem. Cóż z tego, że dzieci miały nauczycieli: nadal biegały wśród zamkowych ruin, po pustych plażach i dzikich, poszarpanych klifach nad morzem; niesforne, lecz urocze, pokazały gościom ogromnego zdechłego kraba. Chłopiec, Morgan, zdawał się bardziej nieopanowany niż kiedykolwiek, opowiadał im w podnieceniu niestworzone historie o morskich potworach; szarpał je za ręce, chcąc im pokazać więcej. Wreszcie dzieci wybiegły. Ciocia Hester, z twarzą ściągniętą ze zmęczenia, usiadła i poprosiła o porto. A potem pokazała Cordelii wycinek.

Rillie nigdy nie zapomniała tego dnia. Była wiosna. Starożytne kamienne ruiny rzucały cień zza ich pleców. Pionowe promienie światła rysowały pręgi na małych szybkach okien, wszędzie pieniały się dzikie kwiaty, liście zieleniły się na wielkim, dziwnie ukształtowanym dębie; w dali, na plaży w dole widać było dzieci, ból jak kryształ lśnił w oczach Cordelii, gdzieś ujadały psy, dziecięce głosy niosły się i odbijały echem nad wysoką trawą.

- Wiedziałaś o tym? - spytała surowo ciocia Hester. Widziały twarz Cordelii, niedowierzanie, wątpliwości - rysę na fasadzie.

- Nie - odpowiedziała cicho. - Nie wiedziałam.

- Z pewnością jego krewni słyszeli o tobie. Jak mogli do tego dopuścić?

- Raz czy dwa były tu te dwie kuzynki, które poznałyście na ślubie. Diuka nigdy nie spotkałam, Ellis twierdził, że nie... jest z nim w dobrych stosunkach; że, jak się zdaje, ojciec o niego... nie dba. Mówił, że nie chce, by kontakty z dziadkiem - jej głos załamał się lekko - wypaczyły charakter dzieci.

- Czy diuk Llanefydd mieszka w Walii?

- Ja... nie wiem.

- Gdzie Ellis się zatrzymuje, kiedy stąd wyjeżdża?

- Nie wiem.

Ciocia Hester nigdy, przenigdy nie powiedziała: A nie mówiłam? - poza tym, ostatecznie, czyż nie brała udziału w ślubie, nie była świadkiem?

- Ale Cordelio, ty, taka rozsądna... nieodrodna córka swojej matki... czy nic nie wydało ci się dziwne?

- My... ja... niewiele miałam styczności z życiem, jakie dawniej wiodłam... chyba nie zastanawiałam się nad tym nowym życiem. Dzieci są... pochłaniają wiele czasu, nie sądziłam... - Jej głos ucichł.

- Jak często tu przyjeżdża? Szybko spuściła wzrok.

- Kiedy tylko może.

Morgan wpadł do środka, płacząc, krzycząc, z szaleństwem w oczach. Matka zaczęła go gładzić po głowie i po chwili odzyskał spokój, ucichł, przysłuchując się gościom.

- Jak często, Cordelio? - Głos cioci Hester był jak nóż.

- Nie zaglądał od paru miesięcy - wyznała w końcu z bólem.

- Cóż, przynajmniej jesteś bezpieczna. Ożenił się z tobą. Widziałyśmy to. Byłyśmy świadkami, Jesteś legalną żoną.

- Tak - zgodziła się Cordelia.

Ciocia Hester i Rillie z ociąganiem wróciły do Londynu, pełne niepokoju.

- To z pewnością okropna pomyłka, musi istnieć jakieś wytłumaczenie - przekonywała Cordelia. - Kochamy się, możecie być pewne. I... on nigdy, przenigdy nie opuściłby dzieci, naprawdę, wiem o tym. Napiszę do was, obiecuję, kiedy wszystko się wyjaśni.

Starsza dama z zaciśniętymi ustami, utykając, ruszyła do dyliżansu; mała Gwenlliam, tak do niej podobna, szła obok, trzymając ją za rękę. Na koniec Hester zwróciła się do siostrzenicy z żarliwym zapewnieniem:

- Pamiętaj, że zawsze możesz wrócić na Little Russell Street. Jakoś się pomieścimy.

Cordelia spojrzała na nią z niedowierzaniem.

Zaledwie kilka dni po tej wizycie Ellis po nią przysłał. Ma natychmiast przyjechać do Londynu, bez dzieci; ma się udać prosto pod jakiś adres na Strandzie. *Nareszcie zobaczę nasz londyński dom.* Nigdy nie rozstawała się z dziećmi - obiecała, że wkrótce wróci, przywiezie ze sobą papę i nigdy więcej ich nie opuści, Kiedy powóz toczył się w dal, widziała płaczącego i wrywającego się Morgana, przytrzymywanego przez młodszą z sióstr; wiatr zwiął Gwenlliam na twarz długie jasne włosy, kiedy się nad nim pochylała. Siedmioletnia Ma-non patrzyła chłodno za odjeżdżającą: też chciała jechać do miejsca zwanego Londynem, nie zamierzała pomachać matce. Coś, jakiś instynkt, kazał Cordelii zastukać w dach powozu. Szybko zeskoczyła na ziemię; podmuch omal jej nie strącił z wąskiej

nadbrzeżnej drogi, kiedy stała, patrząc wstecz, lecz znajdowała się zbyt daleko, dzieci zmieniły się zaledwie w cienie pośród wysokiej, bujnej trawy; skruszone kamienne mury starożytnego walijskiego zamku wznosiły się nad nimi, wiał porywisty wiatr.

Podczas długiej podróży przebiegła w myślach swoje życie, jego nazbyt romantyczną, nazbyt niewiarygodną odmianę. Wątpliwości, które na walijskich pustkowiach odsuwała od siebie latami, osaczyły ją i serce biło jej mocno niczym bęben, w miarę jak się zbliżała do dawnego domu: Londynu.

Pod adresem na Strandzie czekał na nią nie Ellis w ich londyńskim domu, lecz prawnik w kancelarii. Miał dokumenty i pewną sumę pieniędzy.

- Lord Morgan Ellis żałuje, panno Preston... Spojrzała zaskoczona.

- Proszę mnie nie nazywać panną Preston. Jestem lady Ellis.

- Obawiam się, że nie, panno Preston. Pani... hm... ceremonia ślubna przed wieloma laty w kaplicy została odprawiona przez... znajomego. To był... żart.

- Żart?

- Ach... cóż... to zapewne niewłaściwe określenie. Nie była jednak legalna ani wiążąca. - Wypuścił powietrze przez nos. - Nie jest pani, i nigdy nie była, lady Ellis.

Coś nie pozwoliło jej upaść.

- Chciałabym się zobaczyć z mężem.

- Niestety, to niemożliwe. Muszę zwrócić pani uwagę, że lord Morgan Ellis nie jest i nigdy nie był pani mężem. Ma pani nie wracać do Walii, posiadłość została zamknięta. I obawiam się, że to już koniec całej historii.

Znowu powtórzyła jego słowa z całkowitym niedowierzaniem.

- Koniec całej historii? - *Koniec całej historii?* Naraz rzuciła się na mężczyznę, istotnie zupełnie go zaskakując, nigdy bowiem żadna kobieta go nie zaatakowała. Nim zdążył się od niej uwolnić, ni mniej, ni więcej uderzyła jego głową o ścianę gabinetu przy Stran-dzie. - Co z moimi dziećmi?

- Ty dziewczko! - wrzasnął. - Ty aktorska kurwo!

- Co z moimi dziećmi?

- To nie twoje dzieci, zgodnie z prawem należą do Ellisa. Mam tu dla ciebie dwieście gwinei za fatygę. - Widząc niedowierzanie w jej oczach, wymknął się z pokoju, nim zdążyła zaatakować znowu; opowieść o jędzowatej aktorskiej kurwie, której się zdawało, że jest damą, zyskała mu kilka proszonych kolacji.

Cordelia wróciła do Walii natychmiast, tego samego dnia, wynajawszy prywatny powóz; nie zajrzała nawet do cioci Hester. Podróżowała dniem i nocą, pozwalając na przystanki jedynie dla zmiany koni; przybyła na miejsce, by się przekonać, że nad wybrzeżem Gwyr sroży się wiosenny sztorm, deszcz siecze w poprzek drogi, niesiony wściekłym wiatrem. Kiedy zbliżyła się do kamiennego domostwa i ruin zamku na klifach, kiedy zobaczyła poprzez miotany wiatrem deszcz, że morze cofnęło się daleko, jak sięgnąć wzrokiem, kiedy podeszła do bramy, już wiedziała: dzieci zniknęły, dom zamknięto i zaryglowano; żadna jasna główka nie połyskiwała wśród wodorostów i skał na długiej plaży. Gdy tak stała na deszczu, rozbłysła błyskawica, a potem grzmot odbił się echem. Jakimś sposobem wspięła się przez żelazną bramę przy kamiennym murze, rozdierając płaszcz; na drzwi budynku założono sztaby, po dzieciach nie został ślad, nie licząc altany splecionej z gałęzi, którą zbudowały na dębie. *Dąb*. Wspięła się szybko do ciasnego domku wśród konarów, gdzie zostawiali sobie listy. Gęsty ukośny deszcz i porywisty wiatr zdążyły już dopaść i porwać skrawek białego papieru, odfrunął spirala i wzleciał do nieba: zniknął na długo przed powrotem Cordelii.

Wielki krzyk poniósł się echem przez deszcz, nad bujną trawą i dzikimi kwiatami, wśród zamkowych ruin i opustoszałych piasków w dole, gdy miotła się po pustym kamiennym budynku niczym udręczona, obłąkana dusza. *Gdzie są moje dzieci? Co się stanie z Morganem, z jego atakami i sztormami w głowie?* Nie wiadomo jak długo stała pośród burzy przed zaryglowanym dworem, lecz odpływ się skończył. Morze, które wielekroć zdawało się tak łagodne, rzuciło się na poszarpane klify w dole, cofnęło i rzuciło znowu, i jeszcze raz.

Być może Cordelia Preston także rzuciłaby się na skały, była jednak córką Kitty i siostrzenicą Hester: była, tak czy owak, panną Preston. Kobiety Prestonów nie rzucały się na nic prócz życia.

Ciocia Hester naturalnie okazała serce i przygarnęła siostrzenicę do sutereny przy Little Russell Street, ani razu nie wyrzucając jej: „A nie mówiłam”.

Cordelia, przy kominku w suterenie, w towarzystwie leżącego na podłodze obok Alphonsea z jego polem gniewu, poruszyła się lekko, na pół śniąc, na pół marząc o przeszłości, lecz serce biło jej mocno: oburzenie, ból, bezsilność; dobrze znana, przerażająca furia.

Była tak wstrząśnięta tym, co ją spotkało, że jakby na dowód tego pasmo włosów zbielało jej zupełnie. Z początku starała się odnaleźć dzieci na wszelkie wyobrażalne sposoby: wciąż i wciąż samotnie wyprawiała się do Walii w długie, rozpaczliwe podróże, przemierzała Gwyr, szukając informacji, nici kontaktu z Ellisem lub jego krewnymi. Za każdym razem stary kamienny dom i zrujnowany zamek znajdowała w większym zaniedbaniu; domek na drzewie przegnił. Wciąż i wciąż wędrowała po pobliskich miasteczkach, których nieprzyjaźni mieszkańcy mówili w obcym języku i odprowadzali ją niechętnym wzrokiem; kiedyś widziała tańczące damy w wysokich kapeluszach. Kowal powiedział jej, że raz jeden widział diuka Llanefydd.

- Nieprzyjemny człowiek - oznajmił jowialnie. - Nie ma pani co szukać jemu podobnych. I w dodatku niski jak gnom!

- Ale gdzie mieszka? - spytała błagalnie.

- Tacy jak on mają dziesięć domów - rzucił lekceważąco - po całym kraju. Posiedli Walię na własność; kiedy im wygodnie, zaszywają się w dziczy; gardzą nami, piją naszą krew - (cofnęła się nieznacznie przed jego zawziętością) - ale ich czas się zbliża! - Splunął na gorący metal; rozległ się skwierczący, syczący dźwięk.

Zrozumiała, że Ellis udzielił jej bardzo niewiele prawdziwych informacji o swojej rodzinie - *może to były fałszywe kuzynki na fałszywym ślubie* - tylko tyle, że diuk, jego ojciec, jest porywczy i przerażający, i że się między nimi nie układa: tego była pewna; widziała błysk bólu i gniewu w oczach Ellisa. Nie dbała o porywczosć i przerażający sposób bycia diuka; mógł sobie być tak porywczy i przerażający, jak chce, byle go odnalazła. Walia jednak była rozległa i daleka od Little Russell Street, a Cordelii brakowało pieniędzy, by zostać tu Bóg wie jak długo, szukając w nieskończoność. Przed wyjazdem bez wielkiego przekonania (ostatecznie dzieci miały siedem, sześć i pięć lat) dała ogłoszenie w dziale towarzyskim w największej walijskiej gazecie, długo zastanawiając się nad sformulowaniem. *Matka poszukuje dzieci z domku na drzewie. Skrytka pocztowa...*

Po powrocie do Londynu najęła własnego prawnika; wkrótce wydała resztę pieniędzy, którymi spłacił ją Ellis. Prawnik wziął słone honorarium, po czym wyjaśnił życzliwie, że Cordelia nie posiada żadnej władzy: jest kobietą niezamężną, nie ma praw do dzieci, w istocie bez względu na to, czy jest zamężna, czy nie, wedle przepisów należą do ojca.

- Ale proszę, czy może je pan odszukać? - wykrzyknęła. - Proszę, błagam pana, proszę mnie przynajmniej upewnić, że są zdrowe i bezpieczne!

Adwokat odparł, że przeprowadzone przezeń dochodzenie pozwoliło ustalić, iż dzieci rzekomo znajdują się gdzieś w Walii, ale są nie do znalezienia.

- Dochodzenie? Jakie dochodzenie?

- Prawne.

- Zobaczył je pan? Widział się pan z nimi?

- Nie - odparł i zamknął dokumenty w biurku, jakby zamykał jej życie.

Lord Castlereagh, którego kiedyś zabawiała, jedyny wpływowy człowiek, jaki być może pamiętałby ją i mógł jej naprawdę pomóc, nie żył. Była starzejącą się aktorką, zapomnianą przez widzów; jej matka urodziła się w Seven Dials, bez pieniędzy i wpływów. Jakiś instynkt kazał jej uwierzyć prawnikowi; uwierzyć, że dzieci zapewne wciąż przebywają w Walii, bo jak Ellis wyjaśniłby ich istnienie żonie i ojcu? Raz do roku, w urodziny Morgana, dawała to samo ogłoszenie w tej samej walijskiej gazecie: *Matka poszukuje dzieci z domku na drzewie. Skrytka pocztowa...* Nigdy nie otrzymała odpowiedzi.

Wkrótce po swych bezowocnych poszukiwaniach i powrocie do Londynu usłyszała, że diuk Llanefydd, ojciec Ellisa, wprowadził się do wspaniałej rezydencji przy Grosvenor Square. Ból na tyle odebrał jej rozum, że udała się tam, wypytała o dom, dobijała się do wielkich drzwi i domagała się widzenia z Ellisem lub diukiem. Wytworny, lecz grubiański lokaj zagroził jej wejście: uderzyła go i miała wiele szczęścia, że jej nie aresztowano tamtego wieczoru. Całymi godzinami, dniami wystawała w cieniu w sąsiedztwie budynku, czekając na jakiś znak obecności Ellisa i jego nowej żony; znak obecności swoich dzieci. Nawiedzała Mayfair dniem i nocą. Nigdy jednak nie dostrzegła jasnej główki ani choćby mężczyzny, który udawał, że jest jej mężem; na koniec zrozumiała, że nie może wiecznie tkwić, na pół ukryta, pod domem przy Grosvenor Square. Czasem waliła głową w ściany sutereny w Bloomsbury: miała wrażenie, jakby waliła głową w świat; czuła, jak dławi ją furia i bezsilność.

Wydawało się, że Ellis i ich dzieci zniknęli z powierzchni ziemi, ona zaś została ze swym gniewem i bólem; żalobą i pogardą dla świata.

Wkrótce po tym, gdy zakończyła próżne poszukiwania, zmarła stara ciocia Hester. W wypełnionych cierpieniem ostatnich godzinach życia, rozstając się ze światem, wspomniała tylko raz o lordzie Morganie Ellisie.

- Ty też zawiniłaś, Cordelio.

Nie było czasu udawać, że Cordelia nie wie, o czym mówi starsza pani.

- Kochałam go - odparła.

- Miłość to także zrozumienie, najdroższa dziewczyno. Domagałaś się od niego, by przekroczył granice, których przekroczyć nie mógł.

- Kochał mnie.

- Miłość... - Ciocia Hester, która nigdy nie poruszała podobnych tematów, mówiła z pewną trudnością. - Przynajmniej dla ludzi takich jak my, Cordelio, mimo wszystkich zapewnień poetów, miłość to tylko jedna z rzeczy tego świata.

- Zamknęła oczy.

Ale ona nigdy tak nie kochała, pomyślała Cordelia. Coraz dłuższe chwile milczenia, ciemniejące pokoje w suterenie. Starsza dama zasnęła, obudziła się znowu.

- Istnieją różne rodzaje miłości - powiedziała.

A Cordelia, ponieważ serce tak bardzo ją bolało z powodu straty dzieci i ponieważ teraz traciła osobę, która tak wiele dla niej znaczyła, mogła szczerze odpowiedzieć:

- Tak. Wiem.

Później podczas tej długiej nocy, gdy Hester już nakazała siostrzenicy regularnie płacić czynsz i pilnować, by dom był bezpieczny, uśmiechnęła się do Cordelii.

- Mimo wszystko lubię sobie myśleć... to z pewnością próżność... że wciąż na tym świecie mieszkają dzieci wyglądające jak Kitty i jak ja.

Ciocia Hester nie żyła, dwieście gwinei zostało wydane. Panna Cordelia Preston, bo tak chyba brzmiało jej nazwisko, nie miała nic prócz sutereny w Bloomsbury.

Będę musiała wrócić do teatru, pomyślała z niedowierzaniem.

Nie była już jednak młoda. Nie rozumiała, że najlepsze lata dla aktorki ma za sobą: teraz nikt jej nie pamiętał. Panem Keanem pogardzano obecnie jako pijakiem. Lord Castlereagh poderżnął sobie gardło, podobno scyzorykiem. Niektóre teatry oświetlano gazem, więc lampiarz nie przycinał już knotów i nie czyścił lamp wczesnym rankiem; zarówno Drury Lane, jak Covent Garden wystawiały pantomimy i burleski, a Szekspir stał się jeszcze mniej popularny. Dawniej cie-

szyla się wielką sławą, teraz jednak dyrektorzy teatrów jej nie znali lub też pamiętali ją mgliście; pojawiły się inne młode aktorki. Most Londyński przebudowano. Wróciły talie i gorsety, halki. Czasem chodziła na plac: na Bloomsbury Square, do swojego dawnego ogrodu marzeń. Obok dębu ustawiono posąg; przekonała się ze zdumieniem, że przedstawia starego znajomego Hester i Kitty: Charlesa Jamesa Foksa, który je rozśmieszał i zachowywał się jak dżentelmen, i odesłał je do domu powozem, i ożenił się z miłości. Siedział nachylony do przodu w stroju Rzymianina, jak gdyby wysłuchując przerażającej opowieści Corde-
lii.

W końcu wybrała się ze swą dawną przyjaciółką Rillie Spoons na Bow Street, poszukać zajęcia u panów Kennetha i Turnoura, pośredników pracy dla aktorów, by na nowo nauczyć się być aktorką od przypadku do przypadku, wdzięczną za każdy angaż, nieważne gdzie.

Śpiewała, występowała z dziećmi i akrobatami. Pojawiała się na okrętach sunących na szynie z jednego końca sceny na drugi, podczas gdy morska panorama przewijała się z wałką w przeciwną stronę. Mignęła nawet na krótko jako dojrzała Królowa Wrózek w jednym z pierwszych przedstawień, oświetlanych światłem wapiennym: silnym, białym, padającym wprost na twarz artysty.

Śmiała się i śpiewała, piła porto i awanturowała się z innymi aktorkami; Rillie Spoons myślała czasem: *Oto ona, dawna Cordie*.

Lecz o lordzie Morganie Ellisie, dzieciach, straconych latach, jak wiedziała Rillie, Cordie nie wspominała nigdy, przenigdy.

Cordelia obudziła się drżąca w ciemności, twarz miała mokrą od łez. Alphonse, z polem gniewu na marmurowej głowie, wciąż leżał przy niej na podłodze obok butelki po porto. Ogień zgasł. Półprzytomna rozebrała się, padła na łóżko.

Coś dziwnego w mroku zalegającym w suterenie. Ponieważ trwało chwilę, nim zimne prześcieradła się ogrzały, dryfowała między wizjami z przeszłości a wstrząsaną dreszczami jawą, i gdzieś tam, tuż obok, wyczuła obecność cioci Hester. *Ciocia Hester przesuwa dłońmi w tamten zapamiętany sposób, raz po raz, nad twarzą i ciałem Cordelii: Cordelia czuje - nie dłonie, lecz niewyczerpane, obdarzające życiem ciepło, uwalniające od bólu*.

Rillie Spoons mieszkała ze starą matką przy Ridinghouse-lane odchodzącej od Great Titchfield Street, niedaleko Oxford Street. Pani Spoons, będąca przed wieloma laty drobną, miłą, ruchliwą kobietą, bardzo lubiącą towarzystwo i nade wszystko kochającą piękne pieśni, obecnie kompletnie straciła rozum (lecz pozostała bardzo łagodna i muzykalna) i upierała się, by zdejmować z siebie ubranie w najmniej odpowiednich momentach. Jowialny ojciec Rillie (Cordelia go pamiętała) nie żył; część dzieci zmarła w niemowlęctwie; jeden brat, który służył w marynarce, zginął, jeden zniknął przed wieloma laty: żył, nie żył - kto to mógł wiedzieć? Rodzina Spoonsów posiadała dwa pokoje; obecnie Rillie z matką zajmowały jeden, drugi zaś wynajmowały podstarzałej, cokolwiek zbzikowanej, lecz niezwykle życzliwej kobiecie imieniem Regina. Kiedy praca zabierała Rillie z Londynu, Regina - zdecydowanie oryginalna, lecz daleko mniej obłąkana niż pani Spoons - przychodziła z pomocą. I tak, lepiej lub gorzej, radziły sobie we trzy.

Regina przejawiała chorobliwą fascynację zbrodnią. Znała cechy charakterystyczne każdego sławniejszego brytyjskiego mordercy; wierzyła święcie, że jeden z nich kręci się po okolicy, na Great Titchfield Street. Pochłaniała groszowe ulotki i broszurki z cyklu *Przeraźliwe morderstwa*, gdzie opisywano wszelkie makabryczne detale; w czasach młodości, jak twierdziła, pracowała dorywczo dla ulicznych recytatorów i balladzystów, opowiadających lub wyśpiewujących doniesienia o najświeższych zbrodniach (rzeczywistych albo zmyślonych, jeśli nic ciekawego się nie działo), które sprzedawano za grosze. Znała wiele starych morderczych ballad i wciąż je nuciła na znane wszystkim melodie.

*I chwycił one słodkie bliźnięta,
Bezpiecznie w łóżku uśpione*

- nuciła, układając pasjansa lub nalewając herbatę pani Spoons.

- Zginiecie marnie jak wasza matka - Wykrzyknął ojciec szalony.

Złapał za nóżki oba maleństwa, Cisnął o ziemię co siły. Uszło z pacholąt życie niewinne -Niestety już nie ożyły.

Pani Spoons, matka Rillie, przytupywała do taktu i wtórowała półgłosem, uśmiechając się słodko. Rillie i Cordelia często po przyjściu do domu zastawały obie starsze damy - jedną przynajmniej częściowo obnażoną - śpiące w fotelach; wokół poniewierały się rozrzucone karty, groszowe gazety i pełne nocniki. Szczęśliwie staruszka zdawała się odporna na zapalenie płuc i niedożywienie. Pracując lub nie, Rillie jakimś sposobem potrafiła z uśmiechem prowadzić to interesujące gospodarstwo. Zdaniem Cordelii, najsmutniejsze było to, że pani Spoons, którą przyjaciółka tak bardzo kochała, najwyraźniej już jej nie poznaje.

- Nieważne - odpowiadała Rillie dziarsko. - Uśmiecha się.

Cordelia, z obrazem cioci Hester wciąż żywym w pamięci, choć był już ranek, pośpieszyła teraz na Ridinghouse-lane, pomogła opróżnić nocniki do rynsztoka w zaułku, przyniosła węgiel, wodę, a potem ubłagała Rillie, by jej towarzyszyła z powrotem do Bloomsbury. Przyjaciółka dołożyła do ognia i umocowała osłonę przed kominkiem w sposób, który opanowała do perfekcji: tak aby bez względu na wszystko, co wymyślą starsze panie, kiedy zostaną same, nie zginęły w pożarze, jeśli zmorzy je sen. Regina czytała na głos wszystkim obecnym w pokoju.

„Odurzył swe zmysły winem, po czym wrócił do dom; gdy zaś zdejmował odzienie, wypadł mu list ukryty na piersi, żona podniosła go i przeczytała, i wraz smagnęła go po głowie ścierką do naczyń”.

Zanim wyszły i ruszyły piechotą w kierunku Bloomsbury, zrobiło się wczesne popołudnie.

- Regina powinna zostać aktorką - zauważyła Cordelia sucho.

- Mam szczęście; mama zawsze uwielbiała, kiedy ktoś jej czytał na głos, jeszcze na długo nim popadła w demencję, więc bez względu na treść zawsze jest wniebowzięta! Regina twierdzi, że nauczyła się czytać od ulicznych balladzystów i recytatorów. Nie jestem pewna, czy w gruncie rzeczy za młodych lat sama nie pisywała groszowych pieśni.

- Serio?

- Wspomniała, że była zatrudniona u tych ludzi: mówiła, że „poecie” do dziś płacą szylinga za utwór, a jeśli chodzi o niektóre z nich, uważa je za swoją własność!

- Myślisz, że to prawda?

- Nie wiem! Ale jakimś sposobem odłożyła trochę pieniędzy. Trzyma je pod materacem!

Przyjaciółki wybuchnęły śmiechem; szły, plotkując w drodze. Niedaleko Little Russell Street zatrzymały ulicznego handlarza, odliczyły pensówki i kupiły „Morning Chronicle” („Może piszą coś o magnetyzerach” - rzuciła Cordelia tajemniczo), świeży chleb i mleko, herbaty za osiem pensów oraz kilka kiełbasek, które, jak oświadczyła stanowczo Cordelia, miały zjeść, kiedy skończą.

- Kiedy co skończymy, Cordie? - spytała Rillie. - Umieram z głodu. I naprawdę powinniśmy się znowu przejść na Bow Street do pana Kennetha, muszę zdobyć kolejny angaż.

- Ja też, ale jutro - odparła Cordelia nieugięcie. - Mam pomysł. W suterenie posadziła Rillie na krześle, na stole zaś umieściła Alphonse'a i jedną z książek ciotki.

- Zamierzam zbadać twoją głowę, jak to wyjaśniałam wczoraj -oznajmiła przyjaciółce. Podniecona odgarnęła siwe pasmo włosów z czoła. - Twoje najlepsze cechy to lojalność i życzliwość. Jesteś znacznie miłsza i uczynniejsza ode mnie. Proszę, oto wyniosłość numer trzynastego, na samym czubku twojej głowy. Jeśli ta książka mówi prawdę, założę się, że twój numer trzynasty jest większy od mojego.

Po czym przeczytała:

Nr 13: DOBROCZYNNOŚĆ: miłosierdzie - współczucie - filantropia, życzliwość - litość - współodczuwanie.

Stanąła za Rillie i dość łagodnie, lecz zdecydowanie zaczęła raz po raz przesuwając dłońmi po głowie przyjaciółki.

- Och - westchnęła tamta zaskoczona - to miłe.

Odchyliła się do tyłu i odprężyła nieznacznie i przez ułamek sekundy trzymającej jej głowę Cordelii zamajaczyło jakieś wspomnienie, lecz uleciało zaraz, nim zdążyła je pochwycić. Usłyszały na ulicy sprzedawcę pasztecików.

- Ciocia Hester mawiała, że głowa to mapa mózgu - mówiła Cordelia. - Więc nasz Alphonse w gruncie rzeczy jest mapą, a liczby oznaczają poszczególne elementy. Czytałam w książkach. Mózg składa się z wielu części; niektóre z nich u pewnych ludzi są większe niż u innych, a większe rozmiary świadczą, że są oni obdarzeni w większym stopniu cechami oznaczonymi odpowiednim numerem. Ukazują potencjał danego człowieka. - Nachyliła się i uważnie przyjrzała marmurowej głowie, równocześnie obmacując ciemię i potylicę Rillie. - Tutaj! - stwierdziła tryumfalnie. - Tutaj! Numer trzynasty. To nie guz po upadku w Guildford; to część twojej głowy, która doskonale się rozwinęła, czuję całkiem wyraźnie. Twój potencjał do życzliwości. I patrz, spójrz na mnie, dotknij mojej głowy, twoja życzliwość jest zdecydowanie większa i wydatniejsza od mojej!

- Naprawdę? - Rillie usiadła prosto. Ostrożnie pomacała głowę Cordelii, potem wstała, by móc się przejrzeć w jednym z luster cioci Hester. - Naprawdę? - powtórzyła. - Gdzie? Gdzie jest moja życzliwość?

Cordelia pogładziła miejsce na czubku jej głowy.

- Tutaj! - powiedziała znowu. - Jesteś życzliwa: twoja głowa mi to mówi, nawet gdybym sama tego nie wiedziała.

Rillie zaśmiała się lekko, zarazem jednak spojrzała uważnie w lustro i dotknęła dłonią miejsca, gdzie przed chwilą znajdowała się ręka Cordelii.

- A teraz - ciągnęła dalej przyjaciółka, prowadząc Rillie do innego krzesła po przeciwnej stronie pokoju - chcę, żebyś tu usiadła, o tu, i zobaczmy, czy zdołam cię zmesmeryzować.

- Ani się waż! - zawołała Rillie ze śmiechem.

- Pozwól mi spróbować!

- Aleja nie chcę, żeby ktoś mnie mesmeryzował! - Przyjaciółka zerwała się z miejsca, szeleszcząc spódnicami.

Cordelia spróbowała pchnąć ją z powrotem na krzesło.

- Rillie, nie wiem nawet, czybym umiała to zrobić! Pozwól mi spróbować!

- Nie jestem chora!

- Wiem, że nie! To nie po to, żeby zobaczyć, czy jesteś chora, chcę się tylko przekonać, czy potrafisz.

- No więc ci się nie uda! Jeśli chcesz, mogę ci zaśpiewać piosenkę, ale nie dam się wykorzystać!

- Och, pozwól mi spróbować! Usiądź. Proszę, Rillie... Śmiejąc się nadal, usiadła i natychmiast zanuciła, przytupując lekko:

*Wiruję jak bąk i tańczę w krąg, hej ho,
Gdy krepę wśród was, to skaczę - o, tak - Jim Crow.*

- Amaryllis Spoons! Przestań się śmiać i przestań śpiewać, popatrz na moje ręce i spróbuj chcieć, bym cię zmesmeryzowała.

- W porządku.

- I zaufaj mi.

- Ufam ci, Cordie.

Cordelia odetchnęła głęboko, na moment zamknęła oczy.

- Kiedy oglądałam wczoraj ten... eksperyment, bo tak to nazywali, prawda?... zrobił na mnie dziwne wrażenie, przypomniał mi o przeszłości. Wszystko zapomniałam.

Zaczęła przesuwać dłońmi tuż przed twarzą przyjaciółki, wodząc nimi w tył i w przód, w tył i w przód, i oddychając w tym samym rytmie. Rillie ze wszystkich sił starała się nie wybuchnąć śmiechem; miała ogromną ochotę znowu odśpiewać „Jima Crowa”, rozumiała jednak, że Cordelii chodzi o coś poważnego. Dłonie falowały tam i z powrotem, raz za razem. Czas płynął. Rillie zaburczało w brzuchu; próbowały mimo to zachować skupienie.

Na koniec Rillie się odezwała:

- Przepraszam, Cordie, ale nos naprawdę strasznie mnie swędzi.

- Nic nie poczułaś?

- Zupełnie nic.

- Ja też nie - przyznała ponuro Cordelia. - Po prostu... zastanawiałam się, czy bym potrafiła.

- Nie chcę być niegrzeczna, Cordie kochana, ale może po prostu nie masz daru?

- Jestem siostrzenicą mojej ciotki - odparła cokolwiek pompatycznie.

- Hm... mogę spróbować zmesmeryzować ciebie? Widziałam, co robił tamten lekarz.

- Śmiało zatem.

Zamieniły się miejscami. Rillie wielokrotnie przesuwała dłonie przed twarzą Cordelii, lecz nie wydarzyło się nic, Cordelia zaś odkryła, że jej także trudno się nie roześmiać na widok zdenerwowania i uporu na drobnej twarzy Rillie oraz malującego się na niej wyrazu skupienia.

- Och, na piekielne złości! - burknęła w końcu Cordelia. - Napijmy się porto.

Podsmażały kielbaski nad niewielkim ogniem w pokoju na tyłach; ich włosy i ubrania przesiąkły odorem przypalonego mięsa, tak jednak przywykły do podobnych niedogodności, że prawie nie zwróciły na to uwagi. Usadowały się z kieliszkami porto, chlebem i kielbaskami, przeciągnęły się, porozmawiały o odwiedzinach u pana Kennetha na Bow Street. Cordelia nie wspominała więcej o swoim pomysle: zastanawiała się, czy sen o cioci Hester nie odebrał jej jasności myślenia.

- Idziesz do pani Fortune? - spytała Rillie, kiedy nad Londynem zapadł zmierzch.

Cordelia przeciągnęła się znowu.

- Nie. Nie jestem w nastroju.

- Powinnyśmy przynajmniej pójść w sprawie pracy jutro z samego rana. Nigdy nie wiadomo.

- To spotkajmy się na miejscu.

Tak więc Rillie poszła zajrzeć do matki, a potem sprawdzić u pani Fortune, jakie nowe plotki pojawiły się tego wieczoru, Cordelia Preston zaś zapaliła świecę w lampie i została w suterenie przy Little Russell Street, czytając gazetę. Istotnie donoszono o wykładzie profesora Elliotsona: w kwestii mesmeryzmu dziennikarz nie opowiadał się po żadnej stronie, lecz bez wątpienia z pewną dezaprobatą wyrażał się o dziewczynie w koszuli nocnej. Potem z wielkim zaciekawieniem Cordelia zauważyła raport o buncie w teatrze w jakimś mieście na północy; strzepnęła gazetę, by ją wygładzić, i przeczytała notatkę ponownie, z większą uwagą. Nie chodziło jednak o aktorów biorących udział w trzecim objeździe: miejscowi lekarze oraz wędrowni magnetyzerzy wdali się podobno w bijatykę, chcąc dowieść wartości swoich profesji. Pacjenci (irytowali się doktorzy), a przede wszystkim kobiety, coraz częściej woleli być leczeni przez „magnetycznych znachorów” (jak ich określano w gazecie), ponieważ, diagnozując niedomagania, magnetyzerzy trzymali dłonie nad ich ciałami, a nie na nich. Przytoczono szczegółowo opinię pewnej damy: „Nie, nie, żadnych doktorów z tymi nowymi stetoskopami, każących mi rozpinać guziki. Wolę, by obejrzał mnie magnetyzer; wyjaśni mi, co jest nie tak, bez dotykania”.

Cordelia sięgnęła znowu po książki cioci Hester, zaczęła je kartkować: coś przyciągnęło jej wzrok i naraz przysunęła jeden z tomów blisko lampy. Czytała w skupieniu, nie zwracając uwagi na przechodzące nogi wieczornych przechod-

niów. Potem spiesznie podniosła znowu gazetę, uważnie przebiegła wzrokiem dział „osobiste”. Nieśmiała idea, zasiana w jej głowie przez sen o cioci Hester, okrzepła nagle i Cordelia poczuła, że serce bije jej bardzo szybko, jak po biegu.

6

Następnego ranka wczesne wiosenne słońce lśniło na młodych listkach na Bloomsbury Square, jak gdyby wszystko zaczynało się na nowo. Cordelia okrążyła plac raz za razem, jak dawniej, w dzieciństwie: rozmyślała głęboko. *Muszę porozmawiać z Rillie. Tym razem nie pozwolę się rozproszyć ani zniechęcić.* Gdy nieco później otwierała drzwi, by opróżnić nocnik do szamba na tyłach budynku, do środka wbiegł czarny kot; ułożył się na sofie, dokąd - nawet w suterenie - sięgało kilka promieni słońca. Usłyszała, jak mruczy z zadowoleniem, pogładziła go i połaskotała w łapki. Siedział leniwy, odprężony. Podniosła ręce z jego łebka i przesunęła nad nim - nad oczami, wzdłuż całego ciała - kilka razy. Kot mruczał nadal. Jeszcze raz powtórzyła ruch, czując bijące od niego ciepło. Przestał mruzczyć i patrzył nieruchomo, nie mrugając. Blask słońca nie pozwalał jej zobaczyć wyraźnie jego oczu, ale kiedy wodziła nad nim dłońmi, wydawało się, że zwierzę jest pogrążone w transie.

Odsunęła się lekko: kot nie drgnął, jego łepiek pozostał nieruchomy. Wpatrywał się przed siebie, jakby jej nie widział ani nie słyszał. Nalała mleka na spodek: nie zareagował. Zawołała, lecz jego uszy jedynie zadrżały leciutko. *Czyżbym zmesmeryzowała kota?* Ciotka wyprowadzała swoje damy z transu, jeszcze raz przesuwał dłońmi nad ich ciałami. Cordelia ostrożnie podeszła do sofy i znowu przeciągnęła rękami nad kocim łepkiem. I wtedy, jakby się nagle ocknął, kot jednym skokiem rzucił się na ofiarę, mysz ukrytą w kącie.

- Och, na piekielne złości! - zaklęła Cordelia z irytacją.

W pubie Pod Jagnięciem przy Bow Street pan Kenneth, w oparach gryzącego błękitnego dymu, pokręcił głową.

- Nie dla starszych dam, moje drogie - oznajmił. - Nie w tym tygodniu. Cóż, prawdę mówiąc, wczoraj mieliśmy rolę dla starszej niewiasty, do Yorku...

- Och, powinniśmy były przyjść wczoraj! - zawołała Rillie.

- ...alereżyserwolałjądaćmłodejdanie... Wieciejacy są reżyserzy!
- Pannie Susan Fortune! - zawołały unisono.
- Przepadnie nam letni sezon - westchnęła Rillie żałośnie. - Może trzeba było zostać w „Makbecie”.
- Z „Makbeta” zamierzali nas wylać, na wypadek gdybyś zapomniała - rzuciła Cordelia cierpko. - Wiedzmy miał zagrać słoń!
- Tak, w rzeczy samej - potwierdził pan Kenneth z mądrą miną, jak gdyby była to sprawa oczywista. - Słyszałem, że wynajęli słońca do tej inscenizacji. Ale niech panie przyjdą w przyszłym tygodniu -podjął niczym mantrę.
- Chodź ze mną znowu do Bloomsbury - zwróciła się Cordelia do przyjaciółki.
- Mam pewien pomysł.
- Lepiej zajrzę najpierw do mamy.

Lecz po Ridinghouse-lane i Great Titchfield Street przechadzali się nadęci policjanci. Część dzielnicy została odgradzona.

- Och, wielki Boże! - wykrzyknęła Rillie. - Założę się, że mama wyszła bez ubrania! - Chwyciła policjanta za rękę. - O co chodzi, co się stało?

Spojrzała z niepokojem w okna swojego mieszkania, wydało jej się, że słyszy głosy.

- Nie mogę powiedzieć, proszę pani.
- Muszę się zaopiekować moją starą matką! Policjant ustąpił odrobinę.
- Doszło do morderstwa, proszę pani.
- Morderstwa? Ale nie tu w pobliżu?
- Na Great Titchfield, proszę pani.

Rillie i Cordelia spojrzały na siebie wstrząśnięte. Zupełnie jak przepowiadała Regina. Zaraz za rogiem.

- Muszę się dostać do mojej starej matki - powtórzyła Rillie z naleganiem; wskazała w górę. Policjant zauważył wyraz wielkiego zaniepokojenia na ich twarzach.

- Przepuszczę panie - zgodził się. I dodał konfidencko, by je podnieść na duchu: - Ofiara była młoda.

W dwóch pokojach dwie starsze panie robiły harmider rozpraszający wszelkie podejrzenia, że któraś z nich mogła paść ofiarą mordu: Regina dosłownie wrzeszczała z okna:

- A nie mówiłam? Mówiłam, że kręci się tu morderca! - Po czym trzasnęła drzwiami swojego pokoju i nie zamierzała stamtąd wyjść.

Pani Spoons siedziała na małym drewnianym krzeselku, bardzo nietypowo dla siebie wygłaszając niespokojny, gniewny, niezrozumiały monolog; stanowczo odmawiała włożenia na siebie czegokolwiek i kopała nocniki.

- Chciałam prześcieradeł! - mamrotała. - Za pół pensa, tyle samo co za stół, Bert powiedział, a teraz znowu paczka ciastek!

- Kto to jest Bert? - zapytała Cordelia, lecz Rillie tylko wzruszyła ramionami, gdy wspólnymi siłami starały się uchronić pełne nocniki przed gniewnymi wierzgnięciami drobnych stóp staruszki. Zawartość nocników została wylana wprost przez okno na tyłach (co czyniły jedynie w sytuacjach kryzysowych). Potrzebowały wody, Cordelia zeszła na dół, by jej przynieść. Regina nadal awanturowała się za ścianą. Rillie - szczęśliwa, wściekła i pełna ulgi, że starsze panie nie padły ofiarą morderstwa, wszystko naraz - próbowała dojść do ładu z rozrzuconymi halkami matki, pani Spoons zaś tupiała teraz bosymi stopami w deski, ciągnęła się za luźne fałdy skóry i nadal głośno mówiła do siebie, a wreszcie kopnęła wiadro, rozlewając świeżo przyniesioną wodę po całej podłodze.

- Jak można to zrobić z drewna, niech mi kto wytłumaczy? - krzyczała.

Cordelia, chcąc ją czymś zająć, przesunęła parę razy dłońmi w powietrzu, tak samo jak zrobiła wcześniej z kotem. Po paru chwilach pani Spoons przestała mamrotać oraz kopać i zaczęła powtarzać jej ruchy, jak dziecko wpatrzone w zabawkę. Ręce Cordelii przesuwwały się tam i na powrót: skoncentrowała się na dziecinnej twarzy staruszki.

Nagle w pokoju zapadła głęboka cisza, tylko co jakiś czas punktowana okrzykami „Ostrzegałam!” z pokoju Reginy: pani Spoons stawała się coraz spokojniejsza. Rillie, zbierająca brudne ubrania, ścierająca rozlaną wodę i próbująca zamieść część śmieci, zamarła w bezruchu. Oddechy Cordelii i pani Spoons wreszcie zabrzmiały unisono i Cordelia poczuła w dłoniach dziwne ciepło. A potem całkiem niespodziewanie pani Spoons osunęła się bokiem z krzeselka.

- O Boże! - krzyknęła Rillie, ciskając w powietrze ubrania. - Czyś ty oszalała, Cordie? Uderzyła się w głowę!

Podbiegła do matki.

- Przepraszam! - zawołała Cordelia; z trudem podniosły kruche nagie ciało, a potem przeniosły panią Spoons na łóżko, które dzieliła z córką, i przykryły kocem.

Cordelia patrzyła przerażona, z bijącym dziko sercem.

- Wszystko z nią w porządku? Śpi? Umarła? Rillie przyjrzała się matce uważnie.

- Żyje. I właściwie nie śpi.

- Przepraszam! - powtórzyła Cordelia z pobielającą twarzą. - Nie wiem, co mnie podkusiło.

Pani Spoons, z twarzą bardzo spokojną, lecz też bardzo bladą i otwartymi oczyma, oddychała niezwykle wolno. Wszystko wyglądało w najwyższym stopniu dziwnie.

- Zrób coś - rozkazała Rillie spanikowanym głosem, sięgnęła po cuchnące, brudne rzeczy, cisnęła je w kąt, podeszła z powrotem do matki. - Odmesmeryzuj ją!

- Nie wiem, co mnie podkusiło - powiedziała znowu Cordelia.

- No więc teraz to odkręć, Cordie! - Twarz Rillie była jeszcze czerwiejsza niż przed chwilą.

Cordelia odetchnęła głęboko, zaczęła wykonywać passy nad twarzą pani Spoons i jej biednym, bezradnym, drobnym ciałem. Stare, pomarszczone dłonie były spuchnięte i purpurowe. Minęły trzy długie minuty. Cztery. Nic się nie stało.

- Och, Boże! - krzyknęła zarumieniona Rillie.

- Och, Boże! - zawtórowała Cordelia; pot lał się jej po twarzy. - Co ja narobiłam?

Spróbowała znowu, wyczerpana; widziała zmartwioną twarz przyjaciółki; z całą mocą wywołała w pamięci ciocię Hester i jej metody: przesuwanie dłoni, rytm, oddychanie, *proszę się oddać mej pieczy*; całkowicie skupiła się na pani Spoons. Wreszcie, po chwili, która zdawała się wiecznością, staruszka drgnęła i lekko poruszyła głową; zobaczyła Rillie i uśmiechnęła się.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Rillie - powiedziała.

- Alleluja! - szepnęła Cordelia, grzbietami dłoni ocierając spoconą twarz.

Rillie jednak tego nie słyszała, i pani Spoons też nie; Cordelia zobaczyła, że przyjaciółka w zdumieniu mocno ściska dłoń matki. Matka ją poznała. W oczach Rillie błyszczały łzy, kiedy czule utykała koc wokół drobnego starego ciała.

Cordelia, w stanie głębokiego wstrząsu, oszołomiona minęła policjantów i zbiegowisko, kształt okryty białym prześcieradłem, handlarza babeczek oraz sprzedawców groszowych gazet prosto spod prasy, których tytuły krzyczały już:

MORDERSTWO. Gdyby panny Preston mdlały, i ona zemdlałaby na widok tego, czego dokonała. Bezwiednie udała się prosto na Bloomsbury Square. Usiadła na metalowej ławce i tkwiła tam niczym w transie. Zrobiła to samo co ciocia Hester. Czuła dziwne ciepło w dłoniach: naprawdę wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Pani Spoons na moment poznała Rillie. Dopiero o zmierzchu Cordelia wróciła wreszcie na Little Russell Street. Twarz miała bladą jak wschodzący księżyc.

Nie ośmieliła się odwiedzić Ridinghouse-lane. Nazajutrz wcześniej rano pośpieszyła do wypożyczalni; czekała już na zewnątrz, nim drzwi się otwały. Wzięła trochę książek o mesmeryzmie i frenologii. Zasiadła w suterenie, czytając, robiąc notatki. Zapaliła więcej świec, garbiła się nad lekturą godzina za godziną, literując nieznane słowa. Czytała o tym, jak sporządzono odlew głowy pana Burke'a, porywacza ciał z Edynburga, po tym gdy został powieszony. Frenologowie przeprowadzili badanie: jak donoszono, wyniosłość NISZCZYCIELSTWO u przestępcy okazała się szczególnie duża. Zanotowała kolejne fakty. Musiała porozmawiać z Rillie.

Było już późno, kiedy przyjaciółka zjawiała się w Bloomsbury.

- Dobrze się czuje? - spytała ją Cordelia jeszcze w drzwiach. Rillie kiwnęła głową.

- Tak mi przykro - powtórzyła kolejny raz. - Bałam się przyjść znowu, by nie wywołać jakiejś reakcji. Nigdy w życiu tak się nie wystraszyłam.

Wpatrywały się w siebie, wciąż stojąc w progu.

- Poznała cię, prawda? Rillie skinęła znowu.

- Zmesmeryzowałaś ją, prawda? - spytała.

- Tak - przyznała Cordelia. - Nie miałam zamiaru, ale chyba tak. - Przez moment stały lekko skrepowane. - Poznaje cię teraz?

- Nie.

Rillie zauważyła, że Cordelia drży nieznacznie.

- No, Rillie, wchodź do środka, na miłość boską, i napij się porto.

Zakrzętnęła się po mieszkaniu.

- Dzisiaj rano byłam u pana Kennetha - rzuciła przyjaciółka.

-Nic?

- Nic. I zgadnij, co się stało.

-Co?

- Wiesz, to wczorajsze morderstwo...

- Co? - Cordelia napełniła kieliszki.
- To była jedna z tych młodych dziewczyn, które przychodzą do pani Fortune!
- Jedna z Emm i Prymul?
- Właśnie. Głupie smarkule, zaczepiają mężczyzn na ulicy. Pani Fortune zawsze je ostrzegała.

Cordelia pomyślała o ryzyku, jakie wiele lat wcześniej podejmowały jej matka i ciotka; o mężczyznach w pokoju na tyłach, płacących Kitty niewielkie sumy, gdy Cordelię wysyłano z pensum w garści na Bloomsbury Square. Zadrżała znowu, jakby śmierć przystąpiła nad jej grobem.

- Naprawdę przyda nam się coś mocniejszego! - oznajmiła. Była jednak dopiero w połowie pierwszego kieliszka, kiedy odezwała się znowu: - Rillie, posłuchaj. Zdaje mi się, że rzeczywiście wpadłam na pewien pomysł.

- Jak zdobyć dla nas pracę - rzuciła Rillie dość smętnie.

- Tak! Posłuchaj.

Najpierw jednak sięgnęła po kilka zapisanych wcześniej kartek. Stała przed przyjaciółką, jakby brała udział w przesłuchaniu do roli.

- Słuchaj, Rillie - powtórzyła. - Chciałam ci powiedzieć już wcześniej, ale musiałam najpierw trochę poczytać. Chyba mam naprawdę świetny plan, jak się wzbogacić!

I zaczęła czytać.

„Małżeństwa tworzy się przypadkowo, zaniedbując prawa natury, czego skutkiem jest: upośledzone potomstwo, przedwczesna śmierć oraz cierpienia”.

- Co takiego? O czym ty mówisz? - zdziwiła się Rillie.

- Ćśśś! - syknęła Cordelia.

„Gwałci się prawa miłości i prawa natury, lecz uważa się za wysoce moralne, by mężczyzna i kobieta trwali we wspólnym stadle, choćby żywili do siebie największą antypatię, skoro zostali złączeni »świętym węzłem małżeńskim«, gdy jeszcze pozostawali w niewiedzy co do swych wzajemnych skłonności... To nie Bóg ich ze sobą złączył, lecz ich własna niewiedza... a ceremonia religijna nie zmieni praw natury”.

- No więc, Rillie, wyczytałam to w książce o frenologii! Posłuchaj uważnie jeszcze raz: *gdy jeszcze pozostawali w niewiedzy co do swych wzajemnych skłonności*. A zatem jak ludzie mogą się więcej dowiedzieć o sobie nawzajem? Poddając się badaniu głowy, oczywiście. Oraz być może jednemu lub dwóm transom, żeby całość wydawała się bardziej podniecająca! Co powiesz na to, byśmy zaczęły im doradzać, zanim... - Rillie dosłyszała w głosie przyjaciółki nutkę pogardy - połączą się świętym węzłem!

Cordelia zaczęła się przechadzać po pokoju, muskając książki, które czytała wcześniej.

- Naturalnie my obie, jak się okazało, nigdy nie byłyśmy zamężne...

- ...och, ale ty byłaś tak jakby, a...

- ...wszakże, jak nam wiadomo, w rzeczywistości wcale nie...

- .. a ja miałam męża, Cordie.

- Co takiego? - Cordelia spojrzała na przyjaciółkę ze zdumieniem. Rillie lekko, osobliwie wzruszyła ramionami.

- Kiedy byłaś w Walii.

- Nigdy nie mówiłaś!

- Nie było co opowiadać. Przez tamte wszystkie lata widziałam cię tylko dwa razy i właściwie do siebie nie pisywałyśmy.

Cordelia opadła na fotel z oczyma otwartymi szeroko z niedowierzania.

- Och, dobrze - ustąpiła przyjaciółka i unosząc spódnicę, siadła pod gwiazdami i lustrami cioci Hester. Po chwili odetchnęła głęboko i zaczęła: - On, Jack, był aktorem; aktorem o iskrzących się oczach... zawsze mnie pociągał ten typ, Cordie... grywał w komediach i kilka razy występowaliśmy razem, pojechaliśmy do Yorku na ten objazd, no wiesz, i do Hull... to tam zstępowaliśmy z chmur.

Na twarzy Cordelii malował się wyraz całkowitego zmieszania.

- Kiedy mieszkałaś w Walii - ciągnęła Rillie - nie chciałam ci opowiadać o wszystkich nowinkach w teatrze, by cię nie smucić, bo wszystko było takie podniecające, ale wraz z Jackiem, przebrani za anioły, co wieczór opuszczaliśmy się ze szczytu dachu na linach, jakbyśmy fruwali, i pewnej nocy, kiedy tak zstępowaliśmy objęci, szepnął mi, żebym za niego wyszła. No to wyszłam.

- W Hull?

- W Hull. W sobotę przed przedstawieniem. - Urwała na chwilę, a potem dodała cicho: - Lubiłam być mężatką, Cordie, to było... miło mieć się do kogo przytulić, z kim wracać do domu... z Jackiem. Ciągłe się śmialiśmy.

- A potem?

- A potem... - I znowu Rillie milczała przez parę chwil, Cordelia jednak miała dość rozsądku, by poczekać. - A potem szybko się okazało, że jestem przy nadziei, a jeszcze później Jack się ulotnił.

- Ulotnił?

- Z czasem doszłam do wniosku, że po prostu go poniosło i oświadczył mi się, ponieważ lataliśmy, i to było takie podniecające. Nie chce, żeby dzieci zawiązały nam życie, tak powiedział. Teatr to nie miejsce dla dzieci, oznajmił, i wyrzucał mi, że to moja wina. Mężczyźni są śmieszni, prawda?

Cordelia bez słowa wpatrywała się w przyjaciółkę.

- Tak naprawdę jestem panią Jackową O'Reilly, nie żadną Rillie Spoons. Powiedział, że dziecko nie jest jego, że jestem dziewczką. A potem Emmanuel...

- Emmanuel?

- To głupie, wiem, prawda? Ale mamie się podobało, a ona jedyna mi pomogła. Wtedy Emmanuel dostał gorączki. Miał tylko roczek. Umarł. - Rillie kilka razy odetchnęła głęboko, jakby chcąc się opanować. - Szczerze mówiąc, umarł przy Ridinghouse-lane. Mama jeszcze wtedy nie oszalała, pamiętasz, jaka była dawniej życzliwa i dobra, śpiewała cały czas, bardzo mi pomagała... och... - Zakryła dłońmi twarz, hamując łzy. - To było okropne, Cordie, a później, kiedy

Jack grał w Haymarket, mama poszła i zaczekała przy wejściu dla aktorów, i wylała na niego pełny nocnik, a on ją poznał i uciekł.

Zaśmiała się, choć ten odgłos przypominał raczej szloch, i umilkła.

- Och, Rillie! - odezwała się po chwili Cordelia. - Tak mi przykro.

Drobna postać Rillie Spoons tkwiła nieruchomo w fotelu; tylko dłonie wciąż nieznacznie raz po raz, gładziły spódnicę, zdradzając emocje. Jej twarz była teraz pusta.

- Następny raz widziałam się z tobą po znalezieniu tamtego artykułu. O Ellisie. To nie był moment na opowiadanie.

- Ale... czemu nic wspomniałaś aż do dzisiaj?

- Cordie, zanim wróciłaś na stałe do Londynu, wszystko się dawno skończyło. A ty... nie lubisz mówić o ślubach i małżeństwie i... i dzieciach. Wiesz, co się z tobą dzieje. Zaczynasz się denerwować.

Cordelia, zawstydzona, utkwiała spojrzenie w swoich dłoniach. Tak bardzo pograżyła się we własnym nieszczęściu, że nigdy nie poznała historii Rillie. Poczula, jak na twarz wypływa jej rumieniec wstydu.

- Tak mi przykro - powtórzyła. Wstała i hojnie napełniła dwa kieliszki porto. - Za... za Emmanuela - wzniosła toast.

- Dziękuję - odparła Rillie, lecz (przynajmniej w tamtej chwili) nic nie wypiała.

Długi czas siedziały w ciszy, słysząc przejeżdżające z turkotem wozy, nawoływania sprzedawcy noży oraz chrapliwe śpiewy klientów opuszczających pub Pod Niebieskimi Kurtkami i zataczających się na Little Russell Street.

W końcu Cordelia odezwała się cicho:

- Posłuchaj, Rillie. Naprawdę mam plan. Obmyśliłam go w ciągu ostatnich paru dni, a zwłaszcza po tym, kiedy udało mi się zmesmeryzować... albo w każdym razie wpłynąć jakimś sposobem... na twoją mamę. Mam dość warowania, aż pan Kenneth albo pan Turnour cisną nam jakąś przygnębiającą, nędzną robotę, za którą powinniśmy być wdzięczne, i przeliczania każdego grosza. Ilu jeszcze dyrektorów zerwie kontrakt i wyrzuci nas pośrodku pustkowia, gdzie nie ma nawet porządnej drogi z powrotem do Londynu? Przecież ktoś może nas zamordować! Czy mamy w ten sposób spędzić resztę życia, tylko dlatego, że nie umiemy robić nic innego? - Wstała i znowu zaczęła się przechadzać po pokoju. - Kiedy parę dni temu zobaczyłam profesora i tę szaloną Irlandkę wyśpiewującą „Jima Crow”, i jak wszyscy krzyczeli i się kłócili, tak wyraźnie przypominam sobie ciocię Hester, że przyśniła mi się w nocy. To ona, nie moja matka aktorka, zarabiała pie-

niądze; to ona nas utrzymywała, chociaż miała twarz pokrytą szramami i chromą nogę. I, Rillie, jesteśmy stare! Mogę stracić to miejsce, te pokoje, jedyny bezpieczny kąt, gdzie dorastałam! Ty i twoja matka możecie trafić na ulicę, możemy wszystkie skończyć w przytułku przy Vinegar Yard...

- Przestań, Cordie.

- Słuchaj, Rillie. Kiedyś, gdy byłam dość młodą i bardzo zadowoloną z siebie panną, ciocia Hester zabrała mnie do Seven Dials... inaczej nigdy bym tam nie poszła, chociaż to tak blisko... i pokazała, gdzie dorastały obie z mamą... to było obrzydliwe, Rillie, obrzydliwe, po dziesięć osób stłoczonych w jednej izbie, szczury i karaluchy, ciemne uliczki i cuchnące zaułki, kłapiące psy, dzieci pijące dżin i ulice... trudno nazwać je ulicami, zaledwie rynsztoki spływające nieczystościami... cuchnęło, że nie potrafiłabyś sobie wyobrazić, a to tylko parę przecznic stąd! Cuchnęło znacznie gorzej niż w tej okolicy czy koło Ridinghouse-lane. Odchody ciskane z okien wprost na nasze głowy, wszystkie te wrzaski i przekleństwa, i krzyki, jakbyśmy trafiły do piekła, jacyś ludzie wmawiający, że są naszymi krewniakami, i żebrzący o parę groszy. Z tobą jest inaczej, Ridinghouse-lane zawsze była znacznie lepsza od tego, miałaś swojego miłego tatę, który pracował w warsztacie, i odrobinę bezpieczeństwa, ale ja się wywodzę z zupełnie innego świata. Dlatego walczyłam o Ellisa, nie mogłam uwierzyć we własne szczęście... i miałam rację, prawda, że nie wierzyłam?... kiedy Ellis powiedział, że się ze mną ożeni, bo umiem się poruszać i mówić jak dama! - Odstawiła kieliszek z hukiem; stłukł się, lecz nawet tego nie zauważyła. - Ze mną, której matka i ciotka pochodziły z czynszówek. Oczywiście, że śniłam, czyż nie?

Śniłam, jadając kolacje z lordem Castlereagh, śniłam, kiedy księżę Wellington całował moją dłoń! Śniłam w Walii przez całe lata!

Rillie zobaczyła, jak Cordelia nagle podchodzi do toaletki, gdzie odwróciła się plecami i splunęła; Rillie przemknęło, że w rzeczywistości być może wymiotuje do miski. Szybko schyliła się, zebrała odłamki szkła i roztarła porto na deskach podłogi. Nigdy od powrotu z Walii Cordelia nie powiedziała tak wiele o swojej przeszłości i nigdy, pomyślała Rillie, nie wydawała się tak pełna gniewu. Ciekawe, czy wreszcie wspomni o dzieciach. Rillie darzyła wielką estymą ich imiona: Manon, zdaniem cioci Hester, wyglądająca jak Kitty, jej piękna siostra. Teraz wyraźnie słyszała odgłosy wymiotów. I Gwenlliam o szarych oczach cioci Hester. I dziwny mały Morgan, którego fascynowały kraby i wodorosty. Nigdy, ani razu od swojego powrotu Cordelia o nich nie wspomniała.

W końcu naląła sobie szklanę wody z dzbanka i sztywnym krokiem wróciła na poprzednie miejsce; policzki miała zarumienione i zmierzwione włosy, lecz jakimś sposobem, pomyślała Rillie, nawet jeśli przed chwilą wymiotowała, wyglądała absolutnie wspaniale.

- Cóż, wciąż mam mieszkanie tutaj, przy Little Russell Street w Bloomsbury, pod porządnym adresem! I wciąż umiem się poruszać i wysławiać jak dama! Nikt i nic nie może mi tego odebrać, zatem obmyśliłam plan. Wielką część życia byłyśmy oszukiwane przez innych, a teraz wyznałaś, że także Jack cię zawiódł. Co powiesz, żebyśmy też spróbowały?

- Oszukiwać innych?

- Och... no cóż, nie, niezupełnie. Nazwijmy to niesieniem pomocy! Słuchaj, Rillie, mam trochę pieniędzy schowanych pod podłogą koło pieca, niedużo. A teraz pomyśl o tych wszystkich dobrze sytuowanych ludziach, którzy przyszli do szpitala, oglądali eksperyment i rozprawiali o mesmeryzmie, jakby to była nowinka, jakby ciocia Hester nie praktykowała go całe lata temu! I czytałam o nim w gazetach. Co powiesz na to, żeby mesmeryzm stał się najświeższą modą? Nie wiem, co zrobiłam z twoją mamą, ale naprawdę poczułam coś dziwnego, i obie wiemy, że coś się wydarzyło... och, tak mi przykro, Rillie, ludzie nie powinni przez to spadać z krzeseł ani rozbijać sobie głów! ... ale co więcej, czytałam także o tej całej frenologii, o której ciocia Hester też słyszała i którą się czasem posługiwała. Jestem przekonana, że każdy idiota mógłby ją praktykować, byle ostrożnie. I piszą w tych książkach, że frenologia to prawdziwa filozofia, jak badanie elektryczności! Więc tak naprawdę wcale byśmy nikogo nie oszukiwały. - Sięgnęła po kartkę pokrytą notatkami. - Zamierzam za resztę pieniędzy opłacić czynsz za miesiąc z góry, a potem dam ogłoszenie do „Morning Chronicle” i „Timesa”, i może „Weekly Dispatch” - i wszędzie, gdzie może to mieć sens. Popatrz, popatrz, oto moje ogłoszenie.

Podawała kartkę przyjaciółce.

MIŁOŚĆ: NAJDONIOŚLEJSZY WYBÓR Wykwalifikowana, dojrzała pani freno-magnetyzerka pragnie ogłosić, iż udziela kompetentnych porad przyszłym małżonkom. Strzeżcie się popełnić błąd w tej doniosłej kwestii. Dyskrecja zapewniona. Proszę się zgłaszać pisemnie w celu ustalenia terminu i warunków spotkania.

- Kto to jest freno-magnetyzerka?

- Brzmi nieźle, prawda? Wyczytałam to w jednej z książek. Rillie natychmiast wybuchnęła śmiechem.

- Twierdzisz, że ludzie mają sobie wybierać partnerów na podstawie kształtu głowy! Czyli chcesz, żebyśmy ich rzeczywiście oszukiwały!

- Nie! Ponieważ będzie w tym trochę prawdy!

- Prawdy? - Rillie wytrzeszczyła oczy, jakby Cordelia straciła rozum. - Nie mogłabym tego wszystkiego robić, zupełnie się na tym nie znam! A jeśli zaczniesz mesmeryzować ludzi, jeszcze ktoś spadnie z krzesła i poda nas do sądu!

- Nie będę mesmeryzować naprawdę. Chociaż to brzmi nieźle, nie sądzisz? Freno-mesmeryzm. Tak naprawdę mesmeryzm wydaje się najbardziej użyteczny, kiedy trzeba kogoś uwolnić od bólu albo sprawić, by przestał go sobie uświadamiać. Ci, którzy zaczną przychodzić do nas, nie będą cierpieć, prawda? Będą tylko chcieli porozmawiać o miłości. A ja będę badać ich głowy!

- Cóż, ja bym nie mogła! Nic nie wiem o tych sprawach!

- Ale możesz zostać moją asystentką. Nie, partnerką: będziesz wszystkim kierować! Możesz przyjmować pieniądze i uspokajać klientów przed wejściem do sanktuarium! - Cordelia mówiła teraz na wpół żartobliwie, bardzo szybko. - Będziemy mogły wykorzystać nasze umiejętności aktorskie! Jesteśmy dojrzałe. Wyglądamy na odpowiedzialne. Pasma moich włosów jest całkiem siwe! Pomyślałam, że mogłabym się wystroić w kolorowe szale i wyglądać tajemniczo. Wypolerujemy gwiazdy i lustra, zapalimy świece jak ciocia Hester i będziemy sobie liczyć... cóż... powiedzmy, sześć szylingów...

- Sześć szylingów?

- I pół gwinei od pary! - Cordelia pędziła teraz niepowstrzymanie. - Odrobina atmosfery, mawiała ciocia Hester, jest naprawdę ważna... dowiedziała się tego od cudzoziemskiego dżentelmena, który ją uczył... grywał na flecie... och, wiem, mogłabyś grać na flecie, Ril-lie, w głębi, a kiedy się wzbogacimy, kupimy klawikord albo jedno z tych nowych pianin! - Zauważyła sceptyczny wyraz twarzy przyjaciółki, podeszła i usiadła obok niej, a nawet ujęła ją za rękę. - Ril-lie, sporo czytałam. Mesmeryzm nadal częściowo pozostaje zagadką, ale w tej nauce o głowie, tej frenologii, jest trochę prawdy, nawet Grecy to przyznawali.

- Grecy mieli głowy z wyrysowanymi liczbami?

- Nie, nie, niezupełnie. Ale rzeczywiście uważali, że władze wyobraźni i rozumu, i pamięci, wszystkie wywodzą się z różnych części głowy! Czytałam o tym,

Rillie. Wszyscy ciągle mówią o Grekach, więc będę cytowała Greków! I najpierw poćwiczę na tobie, to żadne oszustwo, tak naprawdę wcale nie.

- Nie da się zajrzeć do czyjejś głowy, Cordie! A to właśnie mówisz: że w jakiś sposób można zrozumieć, co się dzieje w czyimś umyśle, i sprawić, by odpowiednio do tego wybrał właściwego partnera. Oczywiście, że nie da się tego zrobić!

- Ale zobacz, ile wiemy! Spójrz, jaki błąd popełniłam w wyborze partnera... i ty też, Rillie. Czy nie otrzymałyśmy strasznych, kosztownych lekcji? I czy nie jesteśmy aktorkami, nie przywykłyśmy się przyglądać ludzkim twarzom i przysłuchiwać głosom? Czy nie opanowałyśmy tej umiejętności? No więc możemy zgadywać! Będziemy obserwować ich twarze i słuchać głosów, i będziemy zgadywać. To będzie jak jeszcze jeden występ... jesteśmy przecież aktorkami... przywykłyśmy używać własnych twarzy i własnych głosów dla uzyskania pewnego efektu. Czyż nie nadajemy się więc, by obserwować uważnie ludzi nieposiadających naszych umiejętności i w miarę trafnie zgadywać, co czują? No i przecież opanujemy tu wszystkie mądrości o częściach głowy (nawet jeśli nie do końca w nie wierzymy), żeby nasze diagnozy brzmiały mądrze! Wyuczę się tego wszystkiego, zupełnie tak jak uczę się roli, przebiorę się, wypolerujemy gwiazdy! - Znowu zerwała się z miejsca. - Mogłybyśmy nawet napisać do nowej królowej! Potrzebuje męża!

Nawet wzmianka o rodzinie królewskiej nie zdołała przekonać Rillie.

- Czy to oszustwo?

- Prawdę mówiąc, nic mnie nie obchodzi czy to oszustwo, czy nie! - rzuciła Cordelia. - Chcę, żebyśmy się stały bezpieczne, zanim pomrzemy! Mam już serdecznie dość braku pieniędzy!

- Ale jeśli mesmeryzm jest teraz popularny, pewnie będziesz też musiała mesmeryzować i kto wie, co się może zdarzyć.

- Słuchaj, całe mnóstwo frenologów ogłasza się ze swoimi umiejętnościami. Ja jestem siostrzenicą cioci Hester i pójdę dalej, zostanę freno-magnetyzerką!

Rillie siedziała, układając spódnicę w fałdy. Cordelia zamilkła wreszcie i czekała.

- Co naprawdę daje cały ten mesmeryzm, Cordie? Ta natychmiast odczytała ze swojego pliku notatek:

- „Mesmeryzm wzmacnia system nerwowy, uspokaja umysł i poprawia trawienie”.

- Trawienie?

Zaczęły się śmiać, lecz naraz Cordelia umilkła.

- Rillie, wiem, co głównie robiła ciocia Hester. Widziałam to. Ufały jej całkowicie; sprawiała, że czuły się lepiej. Tylko tak potrafię to opisać. Myślę, że to właśnie poczułam przez chwilę z twoją mamą. Te mesmerystyczne sztuczki będą robiła, czy raczej próbowała robić, tylko jeśli będę musiała. A kiedy nie poskutkują, powiem klientom, że się do tego nie nadają, jakby to była ich wina! Oczywiście nie myślę o pomaganiu lekarzom w szpitalach ani niczym równie poważnym. Ale badanie głowy... będę w tym znakomita! Nauczę się tego gruntownie, jak mówiłam, niczym roli w sztuce. A ty, moja partnerka, będziesz odpowiedzialna za pieniądze i grę na flecie, i życzliwe traktowanie klientów. - Spojrzała przyjaciółce w twarz. - I jak mówiłam - powtórzyła - wypolerujemy gwiazdy!

- Cordie. - Rillie wygładziła znowu spódnicę dziwnym, ukradkowym ruchem. - To mężczyźni prowadzą interesy. My jesteśmy starymi kobietami. Dawno skończyłyśmy czterdziestkę. To bez wątpienia zbyt zaawansowany wiek, żeby zaczynać coś podobnego i...

- Czujesz się stara?

- Ja... nie wiem, co powinien czuć ktoś, kto czuje się staro.

- Właśnie. Nasze nogi, ręce i mózgi wciąż pracują, tak?

Ni stąd, ni zowąd Rillie Spoons łyknęła olbrzymi haust porto.

- Zapłacę czynsz na Ridinghouse-lane za miesiąc z góry, a potem zainwestuję jedenaście funtów, Cordie - oznajmiła. - To moje oszczędności spod podłogi.

7

Opłacono czynsze. Wypolerowano stare, kradzione szklane gwiazdy. Wyczyszczono lampy. Zakupiono małe i duże świece. Stary flet cioci Hester wymieniono za dopłatą przy Strandzie - jakiś człowiek dał im za niego dziesięć procent - zniżki na ośmiotworowy flet z drewna kakaowca, z podwójnymi klapkami z niemieckiego srebra. Cordelia uparła się, by nabyły z drugiej ręki parę portretów o poważnym wyglądzie: jeden przedstawiał dżentelmena z białą brodą, drugi damę w białym czepku.

- Dodadzą nam powagi - wyjaśniła. - Starzec to twój dziadek ze strony matki, który był pastorem w kościele w Ashby de la Zouch. A ta surowa starucha to oczywiście moja prababka z licznej rodziny ziemiańskiej z Derbyshire.

Nawet nie wspomniały o morderstwie w Seven Dials. Długie konwersacje poświęcały natomiast temu, jak dokładnie ma wyglądać Cordelia: czy powinna nosić czepiec posuniętej w latach matrony dla dojrzałego wyglądu i jeszcze, większej powagi, czy też prezentować się egzotycznie?

- Chyba raczej będę egzotyczna - zdecydowała w końcu. Powiewne farbowane szale można było kupić po parę pensów niedaleko Smithfield, gdzie wywieszano na kijach kradzione apaszki; uznały to za nazbyt ryzykowne („Wyobraź sobie, że ktoś przyjdzie, a ty będziesz mieć na sobie jego skradziony szal!"). Szale zostały więc nabyte w sklepikach z ubraniami z drugiej ręki przy Monmouth Street; przymierzały je obie, wirując przed lustrami, aż kołysały się oliwne kaganki; potem drapowały je wokół głowy i ramion Cordelii, by prezentowała się tajemniczo z przesłoniętą twarzą.

- Chyba powinnam sobie sprawić strój pokojówki - oznajmiła Rillie. - Jedna egzotyczna osobistość wystarczy, nie chcemy ich wystraszyć.

- Nie ma mowy, żebyś była pokojówką!

- Tylko z początku. Wystarczająco często je grywałam! Będę pokojówką, dopóki nie przywyknę do całej zabawy, a potem zmienię się w barwniejszą postać.

Cordelia czytała książki, uczyła się kwestii; Rillie w kółko ćwiczyła na flecie co ładniejsze melodie pana Schuberta. Łóżko trzeba było wstawić do ciasnego pokoju z piecem na tyłach, gdzie dawno temu Cordelia sypiała z matką. Niewielki podest, na który prowadziły stare żelazne schody, został wyszorowany i wymieciony z liści, rybich głów, ogryzków jabłek i rozmokłych gazet - wszystkiego, co zwykle ciskali tam przechodnie. Drzwi do suterenu otwierały się wprost na pokój, lecz obie damy wydzieliły niewielką przestrzeń na recepcję za pomocą starych parawanów, które kupiły taniej od znajomego pomocnika szeryfa i pomalowały na jasnoniebiesko; sprawiły też sobie wieszak na kapelusze. Parawany ustawiły w taki sposób, by Rillie po przywitaniu klientów i skierowaniu ich do wyroczni mogła niezauważenie przemknąć do pokoiku na tyłach i grać tam na flecie. Nie potrafiły nic poradzić jedynie na odór smażeniny, dolatujący z tylnego pokoju, który nagle poczuły bardzo wyraźnie („Nie możemy być egzotyczne w oparach wieprzowiny!"), choć nieco pomogło wietrzenie, nawet jeśli marzły na kość, oraz palenie licznych świec.

I zawsze, przez cały ten czas, dawały żebrakom półpensówki, żeby ich samych nie opuściło szczęście.

A potem omal nie umarły z obawy.

Po wszystkich starannych planach, zakupach, polerowaniu, wydanych pieniądzech i marznięciu w pokojach wietrzonych z odoru cebuli i mięsa nie doczekały się odpowiedzi, żadnej reakcji na ogłoszenia w gazetach.

- W gazetach jest mnóstwo anonsów dotyczących porad małżeńskich - zauważyła Rillie, ponuro przeglądając „Morning Chronicle”. - Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Nie takich jak nasze - odparła Cordelia stanowczo. - Zwykle doradzają mężczyźni. Ja jestem jedyną kobietą freno-magnetyzerką. Musimy tylko cierpliwie czekać.

Każdego dnia pełne coraz większych obaw, starając się ukryć zdenerwowanie, udawały się - Cordelia do wypożyczalni, Rillie do pani Fortune.

- Dostałam rolę pokojówki w prywatnym teatrze - dzielnie oznajmiła kolegom panna Spoons.

Cordelia w wypożyczalni wbijała sobie w pamięć numery z poszczególnych obszarów czaszki i odpowiadające im cechy, używając do tego własnej głowy; macała w poszukiwaniu wojowniczości i uśmiechała się posepnie. Przeczytała, że przed czterdziestu laty kilku lekarzy przeprowadziło sekcje setek mózgów i zbadało nerwy w ich wnętrzu. Przełknęła z trudem ślinę. Starła się nie myśleć zbyt wiele o mesmeryzmie; o tym, co się stało z panią Spoons. Spokój cioci Hester wydawał się bardzo odległy; myśl o wtrącaniu się do umysłów innych ludzi budziła niepokój, którego nie umiała do końca pojąć.

Spotykały się codziennie o piątej po południu; piękne szale Cordelii i uniform pokojówki Rillie (prezentowała się w nim doskonale) leżały nietknięte w pokojach w suterenie.

A potem otrzymały pierwszy list.

Tego pierwszego późnego popołudnia serca dwóch aktorek biły mocniej niż podczas niejednej z licznych premier, jakie przeżyły. Szczególnie Rillie, czysta i schludna w swoim stroju służącej, zadreślała się, czy ich działalność nie jest sprzeczna z prawem oraz jak sobie poradzi jej kochana stara matka, jeśli córka

trafi do więzienia Newgate. Kiedy usłyszały dzwonek, ledwie zdołała otworzyć drzwi.

Cordelia, spowita w szale i brzęcząca srebrnymi bransoletkami, słysząc bicie własnego serca, czekała w tym samym miejscu, gdzie dawniej praktykowała ciocia Hester. Okiennice zostały zamknięte, świece zapalone, lustra lśniły i rzucały cienie. Cordelia siedziała obok jednego z nich w specjalny sposób (przećwiczyła to), tak aby wzrok wchodzących padał w blasku świec nie na osłoniętą szalami kobietę, wydającą się zjawą, lecz na stojący przed nią pusty fotel. Wywoływało to doskonały efekt dramatyczny - same musiały to przyznać.

Rillie wprowadziła zza parawanu parę młodych ludzi. Na widok ich poważnych, niewinnych twarzy Cordelia poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. *Co ja wyprawiam?* Miała przed sobą młodą dziewczynę, wpatrzoną błyszczącymi oczyma w stojącego obok mężczyznę; zdawało się, że promieniuje dobrocią, choć niewątpliwie była ogromnie zdenerwowana. On - młody, nieszczerze przystojny, lecz o inteligentnych oczach - z czułością odnosił się do dziewczyny. Cordelia pomyślała: *Nie mogę oszukać tych dwojga.* Potem jednak przemówiła wdzięcznie, jak to wyćwiczyła podczas prób, i stanowczo przywołała się do porządku: *Wcale ich nie oszukuję. Doradzam im.*

- Jestem... - wiele o tym rozprawiły, nie żałując śmiechu i portu, aż doszły do wniosku, że przyszli nowożeńcy będą się czuli swobodniej, rozmawiając z kobietą zamężną, i że nie zaszkodzi też odrobina obcej krwi (z tego co wiedziały, ojciec Cordelii mógł być cudzoziemcem) - .. pani du Pont. Proszę spocząć - gestem wskazała starą sofę (teraz w nowym obiciu), na której chyba udało jej się zmesmeryzować kota - i podać mi swoje nazwiska.

Gwiazdy cioci Hester świeciły im nad głowami.

- Panna Charlotte Neville.

- Pan Martin Bounty.

Serce biło jej szybko. Przedstawienie się rozpoczęło.

- I zamierzają się państwo pobrać?

Dziewczyna zerknęła na młodego człowieka, po jej twarzy przemknął niepewny uśmiech.

- Mamy taką nadzieję. Mamy nadzieję, że pani dowiedzie, iż to doskonały pomysł.

- Freno-mesmeryzm nie dowodzi niczego. Być może jednak zdołam państwu doradzić, czy są dla siebie odpowiedni.

- Czy pani... pozbawi nas świadomości? - Panna Neville była pełna głębokich obaw.

- Nic podobnego. Zechce pani usiąść na tym fotelu naprzeciw? Z początku, jeśli pani pozwoli, bardzo lekko zbadam pani głowę.

Kształt czaszki odpowiada charakterowi pani osobowości, jeśli zaś uda się wykazać, że państwa osobowości do siebie pasują, zapewne zwiększy to prawdopodobieństwo, iż efektem będzie szczęśliwy związek. - Cały czas obserwowała ich uważnie. Wyrecytowała kwestię, której się nauczyła: - Potrafię jedynie odkryć elementy składowe państwa charakterów, cechy intelektualne i moralne. Nic więcej nie mogę obiecać.

Chwyciła skraj szala. Żałowała, że nie jest w teatrze: recytując kwestie, które pojmowałyby lepiej; grając postać, którą rozumiałaby lepiej. Oczekiwała niemal, że lada chwila któreś z nich krzyknie: OSZUSTKA! Panna Neville, drżąc widocznie, podeszła do fotela.

- Pani du Pont - odezwał się poważnie młody człowiek z sofy - panna Neville ma najcudowniejszy, najbardziej wielkoduszny charakter moralny ze wszystkich ludzi, jakich znam. Zrobię wszystko, co w mojej mocy - tu rzucił dziewczynie tak rozkochane spojrzenie, że uśmiechnęła się mimo zdenerwowania - by ją uszczęśliwić.

I Cordelia widziała, że mówi to poważnie; jego szczerze brązowe oczy lśniły.

- Czym się pan zajmuje, panie Bounty?

- Jestem zaledwie nauczycielem, proszę pani.

- Lecz czemu mówi pan „zaledwie”? W pańskich rękach spoczywa przyszłość Anglii!

- Och, pani du Pont, to samo mu powtarzam - wtrąciła panna Neville, a jej wrażliwa twarzą zapłonęła niczym urocza lampka.

Cordelia wstała niespiesznie i stanęła za dziewczyną. Nad ich głowami lśniły gwiazdy; z izby z piecem i łóżkiem dobiegły cichuteńkie dźwięki fletu. Położyła dłonie na głowie panny Neville i nacisnęła bardzo delikatnie. Przesunęła dłonie na pola numer 1 i 2.

- Ach - odezwała się po chwili - wyczuwam niezwykle wydatne pole KOCHLIWOŚCI.

- Czy to coś złego? - spytała dziewczyna, natychmiast zaniepokojona. - Brzmi jak coś złego.

Cordelia zauważyła, że młody człowiek wyprostował się na sofie, obserwując bacznie.

- Nie, to coś dobrego - wyjaśniła łagodnie. - To impuls uczucia między płciami. Pragnienie małżeństwa. Nic nie mogłoby być bardziej właściwe. - Poczula, jak panna Neville odprężyła się pod jej dłońmi. - A tutaj, tuż powyżej, znajduje się MIŁOŚĆ RODZICIELSKA; także dobrze rozwinięta. Lubi pani dzieci?

- O tak! - panna Neville posiała kolejne rozkochane spojrzenie panu Bounty'emu. - O tak - powtórzyła.

Młodzieniec nachylił się, z wielką czujnością patrząc na magne-tyzerkę, lecz zarazem czule zerkał na pannę Neville, by się upewnić, że wszystko w porządku. Cordelia pomyślała: *Będą szczęśliwi; wierzę, że będą szczęśliwi.* Bardzo powoli, nie zastanawiając się, co robi, delikatnie przesunęła dłońmi po głowie dziewczyny; poczuła, jak ta odprężyła się jeszcze bardziej. Panna Neville wydała ciche, dziecinne westchnienie i naraz z przerażającą szybkością Cordelia znalazła się w Walii i obejmowała drobną, ukochaną główkę Morgana, by ukoić panujący w niej zamęt, który tak go męczył. Wstrząśnięta, zastygła na mgnienie całkiem nieruchomo, a potem z olbrzymim wysiłkiem znowu zaczęła delikatnie masować głowę dziewczyny, tak jak to czyniła niegdyś.

- Och... to miłe - szepnęła niemal ze zdumieniem panna Neville, zupełnie jak kiedyś Rillie.

Przez chwilę rozlegały się tylko dźwięki fletu i szmer ich oddechów. W końcu Cordelia odzyskała panowanie nad sobą.

- Jak mi się wydaje - zaczęła, a mówiła bardzo cicho, bo dziewczyna zamknęła oczy - kształt głowy wskazuje, iż posiada pani wszelkie cechy oddanej żony i kochającej matki. Wyczuwam oznaki sumiennosci i oznaki nadziei. - Zdawało się niemal, że panna Neville zasnęła. Flet śpiewał, Cordelia gładziła głowę dziewczyny, pan Bounty siedział wśród cieni na sofie, spoglądając na narzeczoną.

Na koniec Cordelia przerwała sen na jawie.

- Teraz zapewne kolej na pana Bounty'ego.

Charlotte Neville z ociąganiem otworzyła oczy. Potem drgnęła lekko i wstała.

- Czy to był mesmeryzm? - spytała niespodziewanie.

- Jestem freno-magnetyzerką - wyjaśniła Cordelia. - Łączę obie nauki.

- To było... bardzo miłe - powtórzyła dziewczyna nieśmiało.

Cordelia zauważyła, że pan Bounty ujął ją za rękę, kiedy się zamieniali miejscami. W sąsiedniej izbie Rillie Spoons grała wciąż, stojąc obok pieca, skupiona na flecie, jakby zależało od tego jej życie.

Podczas gdy pan Bounty sadowił się na krześle, Cordelia zastanowiła się, po co przyszli, skoro są sobie w tak oczywisty sposób oddani.

- Czy państwa rodzice pochwalają wasz związek? - spytała, kiedy młodzieniec zajął miejsce. - Czy pochwalali państwa dzisiejszą wizytę tutaj?

Młodzi ludzie wymienili spojrzenia i, jeśli nie liczyć dźwięków fletu, na chwilę zapadła cisza. Potem odezwał się pan Bounty.

- Moja matka, która wciąż żyje, ogromnie lubi pannę Neville. Matka panny Neville uważa, że córka miałaby lepsze widoki, gdyby poślubiła syna dalekiego kuzyna.

- Niezwykle miłego człowieka, którego zupełnie nie kocham.

- Niezwykle miłego człowieka, którego zupełnie nie kocha - powtórzył z ironią pan Bounty. - Lecz który posiada więcej, niż ja zarobię przez całe życie. Wszelako matka panny Neville słyszała o fre-nologii i mesmeryzmie i często o nich rozprawia, pomyśleliśmy więc, że może zdołamy ją przekonać, jeśli pani uzna nas za... odpowiednich dla siebie.

- A ojciec panny Neville?

Żadne nie odpowiedziało. Flet umilkł raptownie, po czym odezwał się ze zdwojoną energią, jak gdyby Rillie złapała oddech.

- Mój ojciec jest... bardzo zajęтым człowiekiem - wyjaśniła panna Neville. - Wiele przebywa za granicą.

Cordelia nie pytała więcej, tylko położyła dłonie na głowie młodego mężczyzny.

- Wielkie nieba - odezwała się niemal natychmiast. - Jest pan, jak sędzę, niezwykle inteligentnym człowiekiem, panie Bounty. Wyczuwam tutaj - przesunęła dłonie na jego czoło i zamknęła oczy, przywołując w pamięci głowę Alphonse'a - łatwość wysłowienia, błyskotliwość myśli...

- Wieczorami odwiedza te nowe kluby mężczyzn pracujących! - zawołała panna Neville - Nic pani o tym nie wspomniał, lecz pani zdołała to spostrzec... och, Martinie, wszystko się ułoży, wiem to!

- Myślę, że wszystko się ułoży - powtórzyła Cordelia z uśmiechem - bo jak wyczuwam - przesunęła dłonie na tył jego głowy - ma pan także silnie rozwinięte cechy KOCHLIWOŚCI oraz MIŁOŚCI RODZICIELSKIEJ.

Pan Bounty cofnął się nieznacznie przed jej dotykiem.

- Platon uważał, że przymioty, jakie pani opisuje, można odczytać z twarzy człowieka - zauważył, spoglądając na nią z dołu - nie zaś z głowy.

- Niemniej jednak - odparła szybko - Grecy wierzyli, że bardziej ogólne cechy, jak rozum i pamięć, znajdują odzwierciedlenie w kształcie czaszki.

Serce zaczęło jej nagle bić bardzo mocno: nie sądziła, że przyjdzie jej dyskutować o Grekach już podczas pierwszej wizyty.

Zmusiła się, by znowu - lecz delikatnie - przyciągnąć do siebie głowę mężczyzny; położyła na niej dłonie.

- Studiowałam frenologię i jej historię przez... przez długi czas

- podjęła. - Frenolodzy wierzą, że także znajomość kształtu głowy może wzbogacić naszą wiedzę o drugim człowieku. To coś w rodzaju - przełknęła ślinę i przypomniała sobie dalszy ciąg kwestii - fizjologii cerebralnej.

- A freno-mesmeryzm? - zapytał.

Wzięła głęboki oddech, opuściła dłonie, po czym usiadła na krześle obok niego. Spojrzała w jego niezwykle inteligentne oczy. Zaczęła dalej recytować tekst; w miarę jak serce biło jej coraz szybciej, coraz szybciej padały też słowa.

- Doktor Mesmer wierzył, że „magnetyzm zwierzęcy”, jak go nazywał, można wykorzystać dla wzmożenia władz umysłowych osoby poddawanej magnetyzacji. Oraz że można go stosować... czego byłam świadkiem w Szpitalu Uniwersyteckim... by znieść czucie bólu u pacjenta. Pan jednak, jak się wydaje, nie potrzebuje żadnej z tych rzeczy!

- Uważam wszelako, iż freno-mesmeryzm, z którym się pani ogłasza, jest czymś innym.

- Niezupełnie rozumiem. - Czuła, że głowa pęknie jej lada chwila.

Po ledwo uchwytniej pauzie odparł:

- Być może się mylę, pani du Pont. Proszę o wybaczenie. - Po czym porzucił niebezpieczny temat z nieznacznym, smutnym uśmiechem.

- Tylko po prostu... zastanawiałem się, czy... to wszystko - wskazał gestem pokój, gwiazdy, udrapowane lustro - nie jest koniec końców swego rodzaju wybiegiem.

- Jak możesz tak mówić! - Panna Neville podeszła do nich. - Przecież nam obiecała, że będziemy szczęśliwi! Powtórzę to mamie.

- Nie obiecałam - sprostowała Cordelia pośpiesznie. Przywołała wszystkie swoje umiejętności aktorskie, by podtrzymać pozory swobody. - Wydaje mi się jednak, że oznaki są pomyślne.

Bystre oczy młodego człowieka spoczęły na niej, a potem uśmiechnęły się do panny Neville. *Będą szczęśliwi*, pomyślała Cordelia znowu i wspomnienie tego, co może oznaczać to słowo, ogarnęło jej serce przelotnym cieniem.

Pan Bounty sięgnął do kieszeni kamizelki.

- Och nie, proszę - zaprotestowała ze zmieszaniem. - Powinien pan zapłacić mojej... mojej asystentce, nie mnie. - Potrząsnęła małym dzwonkiem, by dać Rillie znać, że pierwsze spotkanie skończone.

Przyjaciółka zakończyła grę wdzięcznym trylem. Usłyszeli kroki za parawanem.

- Mam nadzieję, że rodzice panny Neville dojdą do podobnych wniosków jak ja.

Nogi trzęsły się pod nią, kiedy wychodzili z pokoju.

- Wzięłam tylko siedem szylingów od obojga. - Rillie była tak podniecona, że jej oczy dosłownie sypały iskry. - Na wypadek, gdyby nie było ich stać na więcej. Siedem szylingów za godzinę! Jeśli to potrwa dłużej, będziemy mieć świat u swoich stóp. Jak ci się podobała muzyka?

Cordelia jednak gwałtownie wyplątywała się z szali, szarpiąc materiał.

- Nie mogę tego robić, Rillie! - wykrzyknęła. - Przymkną mnie... nie wiem wystarczająco dużo, nie mogę, naprawdę! Naprawdę nie mogę, musiałam rozum stracić! Na miłość boską, nie wiem nawet, czym naprawdę jest frenomesmeryzm! Skończę w Newgate jako naciągaczka!

- Oczywiście, że możesz to robić - odparła przyjaciółka, nadal ściskając w dłoni pieniądze. - Zawsze byłaś świetną aktorką. Słyszałam, jak trajlowałaś o przymiotach. Napij się porto, siadaj i nie bądź głupia. Zbijemy na tym fortunę!

Następnego dnia, gdy przejęte odbierały kopertę od listonosza, jakaś kobieta w kapeluszu wysiadła z kabrioletu i gestem poleciła dorożkarzowi zaczekać.

- Pani du Pont? - zawołała, spoglądając w dół schodów.

Cordelia przytaknęła, żałując, że nie ma na sobie szali. Rillie w niczym nie przypominała pokojówki. Dama zeszła szybko po żelaznych stopniach, weszła do mieszkania. Surowym spojrzeniem objęła gwiazdy, które dla osoby nieprzy-

wykłej musiały zapewne wyglądać trochę dziwacznie przy otwartych okiennicach i zgaszonych świecach; co jednak sobie pomyślała, nie dało się stwierdzić w półmroku panującym w suterenie.

- Jak się zdaje, widziała się pani wczoraj z moją córką.

W tym momencie poruszyła się i ujrzały ją wyraźnie w świetle padającym od okna: surowo ściągnięte włosy odsłaniały twarz o delikatnych rysach; nie mogły nie spostrzec malującego się na niej smutku.

Cordelia opanowała zdenerwowanie.

- Proszę spocząć, pani Neville. Tutaj na sofie będzie najwygodniej.

(Spostrzegła natychmiast, że gdy tylko pani Neville usłyszała jej kulturalny, miły głos, odpreżyła się odrobinę). - Ach, dziękuję.

Całą trójkę doleciało plaskanie końskiego łajna, rozpryskującego się na bruku nad ich głowami.

- Sądzi pani, że będą szczęśliwi? - zapytała przybyła obcesowo. - Frenologia to pani zdradziła?

- Nikt nie może mieć pewności w takich sprawach, wierzę jednak, że do siebie pasują, ich przymioty zdawały się nad wyraz zadowolające.

- Ja również odwiedziłam pewnego frenologa, pana Treguntera... zna go pani?

Cordelia pokręciła głową.

- Ta sztuka ma wielu adeptów - wyjaśniła.

- Odniosłam wrażenie, że zupełnie mnie nie rozumiał. Lecz przecież... być może sama siebie nie rozumiem.

Cordelię zdumiała niepewność w jej zachowaniu; wydawała się kobietą o pewnej pozycji.

- Jak pani wspomniano, nie do końca jestem zadowolona z planów małżeńskich mojej córki... w rzeczy samej napomknęła mi o wizycie u pani dopiero po fakcie. Nie pragnę jej unieszczęśliwić, czuję jednak, że pan Bounty... choć to poważny młody człowiek i, jak sędzę, godzien zaufania... nie byłby dla niej odpowiednim mężem, choć ona wydaje się odmiennego zdania. Jeśli sama jest pani matką, pani du Pont...

- Jestem.

- ...zrozumie pani, że młodzi popełniają błędy.

- Pani Neville, powodem, dla którego ja i moja asystentka, pani Spoons - wskazała Rillie stojącą obok, wciąż z listem w dłoniach - uważamy, że mamy prawo doradzać młodym ludziom, są nasze własne doświadczenia. Jak również,

oczywiście, moja praktyka frenolo-giczna i mesmerystyczna - dodała pośpieszenie. - My również chcemy ich chronić przed popełnianiem błędów. Po wczorajszym spotkaniu z panem Bountym oraz, naturalnie, zbadaniu frenologicznym jego przymiotów muszę jednak wyznać, że... zgodzi się pani ze mną, pani Spoons? ... to niewątpliwie najinteligentniejszy młody człowiek, jakiego zdarzyło mi się dotąd badać.

Posłała szybkie spojrzenie Rillie, która skinęła głową.

- W rzeczy samej - potwierdziła. - Najinteligentniejszy mężczyzna, jakiego pani badała, bez dwóch zdań.

- Ależ on ma do dyspozycji jedynie dochody nauczyciela!

- Dochody są ważne - zgodziła się Cordelia z powagą. - Nikt nie rozumie tego lepiej ode mnie i pani Spoons.

Zdawało się, jakby pani Neville nie była pewna, czy mówić dalej; naraz zdjęła kapelusz, aż zafurkotały drobne piórka.

- Wie pani, czym jest małżeństwo.

- Istotnie.

Przybyła całą uwagę skupiła na piórkach.

- Zatem wie pani, że ona będzie potrzebowała pieniędzy dla własnego bezpieczeństwa.

Jakże dobrze o tym wiem, pomyślała Cordelia.

- Zgadzam się, pani Neville. Ale odniosłam też wrażenie, że... zapewne mieli szczęście, iż na siebie trafili.

- Och, lecz przecież wszyscy tak myślimy - odparł gość. - Na początku. Czy pani tak nie myślała? Czy ja tak nie myślałam? O czym mówili?

- Pani Neville, byli moimi prywatnymi klientami. Gdyby pani przyszła się ze mną spotkać... w istocie to właśnie pani uczyniła... nie chciałaby, abym rozpowiadała innym o naszej rozmowie.

Przybyła nadal siedziała ze wzrokiem wbitym w kapelusz.

- Naturalnie - przyznała. W suterenie zapadła cisza. - Proszę mi tylko powiedzieć jedno. - Tu spojrziała z ironią na obie kobiety. - Jak sądzę, to Charlotte zapłaciła?

- Och, nie - zaprzeczyła Rillie. - Płacił pan Bounty.

Pani Neville rozważyła tę informację. Wkładając kapelusz, spojrziała raz jeszcze na Cordelię.

- Czy my się skądś nie znamy? - spytała.

Serce Cordelii zamarło: zrozumiała natychmiast. Pani Neville była w jej wieku, mogła bez trudu oglądać ją przed laty na scenie.

- Mam wrażenie, jakbym gdzieś już panią spotkała.

To Rillie uratowała sytuację. Obie wiedziały, że gdyby z czyichś ust padło słowo aktorka, ich los byłby przypieczętowany.

- Pani du Pont zdobyła wielką sławę w swojej specjalności - wtrąciła. I, ostatecznie, nie było to kłamstwo.

W drodze do wyjścia pani Neville w roztargnieniu wyręczyła Rillie pół złotego suwerena.

Ich kolejna klientka, panna Lucinda Choodle, nie wspomniała w liście o swoim narzeczonym.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała Cordelia.

- Owszem, możesz - odparła Rillie.

Panna Lucinda Choodle mogła mieć około osiemnastu lat; przybyła na Little Russell Street zupełnie sama. Wierciła się, kiedy Cordelia ujęła jej głowę, nie wydawała się zainteresowana KOCHLIWOŚCIĄ ani MIŁOŚCIĄ RODZICIELSKĄ. Nie potrafiła wyjaśnić, czemu przyszła ani czego oczekuje. Flet Rillie kwilił z nadzieją w pokoiku na tyłach.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim... swoim przyszłym mężu - poprosiła Cordelia, nieco zbita z tropu.

Zapadło długie milczenie. Czekwała. Przyszła jej do głowy niepoważna myśl: *Cóż to za nazwisko, Choodle"!* Spotkała się, co praw

da, ze znacznie gorszym; znała aktorkę, która rozpaczliwie pragnęła wyjść za mąż, bo nazywała się Effie Redbottom*². Wzięła się w garść.

- Chciałabym pani pomóc dokonać wyboru, jeśli zdołam - odezwała się. - Nie mogę jednak być użyteczna, póki nie opowie mi pani o swoich obawach.

- Wydaje mi się, że on może być ułomny - wyznała panna Choodle. - Nie chcę poślubić mężczyzny mającego jakieś zniekształcenie.

- Czego dotyczy owo zniekształcenie?

I znowu panna Choodle milczała. Podniosła wzrok na szklane gwiazdy lśniące w migotliwym blasku świec.

- Czy chodzi o jego twarz? Czy niepokoi panią coś, co widać na jego twarzy?

- Nie.

- Czy to coś, czego nie widać? -Tak.

- Czy to coś, co, jak pani sądzi, on przed panią ukrywa? -Tak.

- Zatem chyba musi go pani o to zapytać. Dziewczyna oblała się krwawym rumieńcem.

- Nie mogę.

Cordelia poczuła, że ponoszą ją nerwy; napomniała samą siebie, że cierpliwość musi się teraz stać jej największą cnotą.

- Czy pani... zależy na tym mężczyźnie, panno Choodle?

- Owszem... ale odkąd... zauważyłam to... zniekształcenie, nie potrafię o nim myśleć jak dawniej.

Cordelia dosłownie usłyszała, jak dziewczyna przełyka ślinę.

- To jakaś narośl. Jakby... jakby... wypukłość.

- Och, bardzo pani współczuję. Nieszczęśnik.

- Ale on... - z wielkim trudem znajdowała słowa - on... napiera na mnie ową wypukłością. Nie lubię tego.

Cordelii coś zaświtało. Zagryzła wargę.

- Czy... może... pani narzeczony... jak brzmi jego nazwisko?

- Pan Forsyth.

- Proszę wybaczyć pytanie, ale czy pani narzeczony był może nieco natarczywy?

- Nie rozumiem, o co pani chodzi.

² * *Choodle* (ang.) - rasa psa, krzyżówka chihuahua z pudlem; *Redbottom* (ang.) - czerwony tyłek.

- Czy pozwalala się pani całować panu Forsythowi? - Spojrzała dziewczynie w twarz. - Zupełnie naturalne, że tego pragnął.

Panna Choodle odparła z nadąsaną miną.

- Tak.

- A gdy panią całował, czy to wtedy... wtedy owo zniekształcenie... przyciągnęło pani uwagę?

Dziewczyna z płonącymi policzkami skinęła głową. *Dałam ogłoszenie, że zamierzam udzielać porad małżeńskich, tak?*-pomyślała Cordelia ponuro. Rozpoczęła się kolejna pieśń Schuberta.

- Panno Choodle, czy... czy ktoś, na przykład matka, rozmawiał z panią o... o tym, co się dzieje, gdy mężczyzna ożeni się z kobietą?

- W jakim sensie?

- Pragnie pani mieć dzieci?

Dziewczyna wyglądała na szczerze zaskoczoną.

- Oczywiście.

Cordelia rzuciła się na głęboką wodę.

- Wie pani, skąd się biorą dzieci, zanim się urodzą?

- Pojawiają się, kiedy się wyjdzie za mąż, wiem o tym. Cordelia także wzniosła oczy ku szklanym gwiazdom, szukając wskazówki: naraz ujrzała śmiejącą się Kitty, swoją matkę.

- Panno Choodle - podjęła zdecydowanie - dzieci nie rodzą się, ponieważ się wyszło za mąż. Dzieci rodzą się, ponieważ... ponieważ mężczyzna i kobieta, którzy się kochają, łączą się ze sobą.

- Co pani chce przez to powiedzieć? *Na piekielne złości!*

- Chcę powiedzieć, że wypukłość, którą pani zauważyła, musi... złączyć się z panią... wnikać...

- Gdzie? Gdzie wnikać? - Panna Choodle przypominała wystraszonego królika. - Gdzie? Do ust?

- Do wnętrza pani ciała - wyjaśniła Cordelia energicznie. Dziewczyna zerwała się z miejsca, niewypowiedzianie wstrząśnięta.

- Nie wierzę pani. Złożę na panią skargę.

Cordelia spróbowała jeszcze raz.

- Być może gdyby mogła pani porozmawiać z matką...

- Moja matka jest damą, nie jakąś wulgarną prostytutką. Cordelia wstała także w swoich lśniących nowych szalach.

- Jak sędzę, przekona się pani wszakże, panno Choodle, że to, co mówię, jest prawdą.

- Coś tak... odrażającego nie może być prawdą. Nie wierzę pani. - Spojrzała na Cordelię i dodała słabym głosem: - Gdzie wniknąć?

Cordelia uczyniła, co w jej mocy. Bardzo delikatnie położyła dłoń na swoim ciele.

Przerażenie na twarzy dziewczyny nie miało teraz granic.

- Nie! - krzyknęła. - Nie wierzę pani! Flet umilkł w pół taktu.

Nim Cordelia zdążyła ją zatrzymać, panna Choodle rzuciła się przez pokój, wyminęła parawan (nie płacąc), szarpnęła drzwi i wybiegła po żelaznych stopniach na Little Russell Street.

8

Pod koniec miesiąca przeliczyły swoje - raczej skromne - przychody. Odbyły tylko siedem umówionych spotkań (nie licząc panny Choodle, która nie zapłaciła). Cordelia była przekonana, że cały pomysł to okropny (i zapewne spowodowany przez nadmiar porto) błąd; martwiła się o Rillie i panią Spoons; wciąż od nowa zapytywała samą siebie, jak mogła być tak nierozsądna; chciała wracać na Bow Street do pana Kennetha z pytaniem, czy nie znalazłaby się jakaś praca. Rillie nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Zarobiłyśmy wystarczająco dużo jak na nowicjuszki. -1 dodała tajemniczo: - Pożyczyłam trochę pieniędzy. Dość, żeby przetrwać kolejne dwa miesiące i kupić parę butelek porto. Jestem przekonana, że nasz interes się rozwinie.

- Pożyczyłaś? - Cordelia była głęboko wstrząśnięta. - Od kogo?

- Od Reginy. Naszej lokatorki.

- Co takiego?

- Sama się zaofiarowała. Mówiłam ci, że trzyma pieniądze schowane pod materacem. Za swoje poezje! Nalegała; dała nam sześć funtów!

Siedziały przy kominku na Little Russell Street; na usłyszaną wieść Cordelia ukryła twarz w dłoniach. Nikt więcej nie pytał jej o freno--mesmeryzm ani nie

prosił, by użyła swoich umiejętności w dziedzinie magnetyzmu zwierzęcego, nikt też nie wspominał o starożytnych Grekach, lecz od tamtej pierwszej wizyty żyła w obawie, że oszustwo zostanie odkryte. Za każdym razem, gdy Rillie wprowadzała klienta z za malowanego parawanu, Cordelia zastanawiała się, czy to on ją zdemaskuje i zakrzyknie: OSZUSTKA! przez okno sutereny.

- Jest też problem z zaślubinami - zauważyła znużona.

Jeszcze trzy spośród odwiedzających je klientek okazały się młodymi dziewczynami na granicy hysterii; kiedy Cordelia zdołała uspokoić je na tyle, by zaczęły z nią rozmawiać w mdłym blasku świec, pojęła (dzięki niefortunnej wizycie panny Lucindy Choodle), że w każdym wypadku histerię wywoływała myśl o nocy poślubnej, o której jej klientki nie wiedziały zupełnie nic.

- Jeśli mamy to ciągnąć dalej, musimy przygotować jakieś... jakieś przyzwoite rady, dotyczące nocy poślubnej, tak abym nie wywoływała u tych dziewczyn wstrząsu; nie możemy pozwolić, by młode damy wybiegały od nas z krzykiem!

- To nie ma nic wspólnego z frenologią ani mesmeryzmem!

- Za to ma wiele wspólnego z małżeństwem, a anonsujemy właśnie porady małżeńskie.

Rillie dołała porto do kieliszków, marszcząc brwi.

- Czy one nic nie wiedzą?

- Ich ignorancja jest niewyobrażalna! Muszą chyba chodzić z zamkniętymi oczami.

- Albo z zatkanymi uszami! Pomyśleć, jak dowiadywaliśmy się o tym wszystkim na Great Titchfield Street.

- A co ja mam powiedzieć? Oczywiście, nie było mowy, bym nie odkryła, o co chodzi z tym sapaniem i jękami, zanim skończyłam osiem lat! Przestałam się niepokoić, dopiero kiedy mama mi wyjaśniła, że te... hałasy oznaczają, iż jej przyjaciele po prostu dobrze się bawią. I... - urwała na moment, przygryzła wargę, a potem wzruszyła lekko ramionami - ..matka powiedziała, że czasem dżentelmeni lubią, kiedy trochę pokrzyczy. Więc nie powinnam myśleć, że robią jej krzywdę, jeśli wcześniej wrócę z Bloomsbury Square i będę musiała zaczekać; że krzyczy, by im zrobić przyjemność; zarobić na czynsz! - Wydała z siebie ostry, urywany, dziwnie brzmiący śmieszek, więc Rillie poklepała ją życzliwie. - Ale osoby, które mogą sobie pozwolić na wizyty u nas, najwyraźniej były wychowywane zupełnie inaczej.

- No cóż, trzeba się będzie przejść do wypożyczalni św. Pankracego i przepisać jakiś oględny tekst z książek - odparła Rillie. - Nie możemy tego po prostu zmyślić!

- Wcale tego nie zmyślamy! Tak po prostu jest! Ale przecież ja dosłownie urodziłam się w teatrze, najbardziej nieprzyzwoitym miejscu, jakie można sobie wyobrazić!

Zaczęły się śmiać, swobodnie, nie śmieszkiem pełnym dziwnych, ostrych tonów, nałaty sobie jeszcze wina, wspominały skandale podczas objazdów na prowincji; nawet pani Siddons, słyszały jakiś czas temu, wpadła w tarapaty, będąc w Irlandii - i ich śmiech poniósł się echem po żelaznych schodach. Ogień wygasł, w butelce pokazało się dno, zasnęły. Kiedy Rillie się ocknęła, była druga nad ranem.

- Och, moja biedna matka! - jęknęła, zrywając się i chwytając płaszcz.

Cordelia odprowadziła ją na ulicę.

- Skoro pożyczylismy pieniądze, nie możesz dać się zamordować.

Znalazły kabriolet i Cordelia pomachała przyjaciółce w ciemności, wcześniej wmówiwszy cokolwiek wymiętemu dorożkarzowi, że zapamiętała jego twarz.

Lecz następnego dnia istotnie udały się do wypożyczalni św. Pankracego, gdzie dzięki swej budzącej szacunek dojrzałości oraz głosom dystygowanych dam mogły spędzić nieco czasu, przeglądając dyskretnie tom, na który udało się w końcu natrafić Rillie (niema-jącej bladego pojęcia, gdzie szukać). Jego tytuł brzmiał: *Przewodnik zdrowotny albo Porady dla obu płci w niedomaganiach nerwowych i sucho tniczych, szkorbucie, trądzie i skrofulach; jako też w pewnej przypadłości, tudzież płciowej niemocy, zawierający Mowę do chłopców, młodych mężczyzn, rodziców, nauczycieli i opiekunów młodzieży*. Mimo że tłumione chichoty w końcu ściągnęły na obie czytelniczki spojrzenia pełne dezaprobaty i musiały wyjść, by uniknąć kompromitacji, Cordelia w istocie przeżyła wstrząs.

- Gdzie są książki dla dziewcząt? Nic dziwnego, że młode damy dostają spazmów - oznajmiła ponuro w drodze powrotnej do Bloomsbury.

Nieproszone napłynęły straszne, bolesne, piękne wspomnienia El-lisa i wspólnych nocy, i szmeru morza. Rillie musiała odwrócić wzrok od zrozpaczonej twarzy przyjaciółki.

W końcu wspólnymi siłami ułożyły przemowę; czuły, że mogłyby ją wygłosić do własnych córek. Gdyby miały córki, by z nimi rozmawiać. Cordeľia ćwiczyła

swoim niskim, mile brzmiącym głosem tekst, który dotyczył, jak to nazwały, „subtelnych zawiłości nocy poślubnej”. Możliwe, że o subtelnych zawiłościach poszła fama: gdy Rillie przeliczyła przychody za drugi miesiąc, okazało się, że zarobiły akurat tyle, by starczyło na czynsz i jedzenie. Były powściągliwie zadowolone, starały się nie wpadać w nadmierne podniecenie. W trzecim miesiącu zarobiły dodatkowo po trzy gwinee każda i mogły zacząć zwracać dług Reginie. Ona jednak nie chciała go przyjąć: odmówiła bardzo stanowczo.

- Na co oprócz czynszu potrzebne mi pieniądze? - spytała roztropnie, tasując karty. - Zainwestowałam w was! - I wydawała się niemało zdumiona, kiedy obie cmoknęły ją w szorstki, pomarszczony policzek.

Interes Cordelii i Rillie rozkwitał. Zarabiały pieniądze. Szczerze mówiąc, nie posiadały się z radości. Bez umiaru piły porto.

Po wąskich żelaznych schodach zaczęli do nich przychodzić ludzie wszelkiego stanu. Jakiś przedsiębiorca przyprowadził trzpioto-watą dziewczynę, która wciąż przytulała się do niego w sposób dość śmiały jak na miejsce publiczne, lecz oczy miała zimne i nerwowe, rzucała podejrzliwe spojrzenia na lustra i gwiazdy, kiedy rozbrzmiały dźwięki fletu. Z wielką niechęcią pozwoliła sobie zbadać głowę, za nic nie chciała mówić o sobie: upierała się, że tylko jej ukochany ją zna. Cordelia czuła, że powinna ostrzec przedsiębiorcę, lecz powstrzymała ją nagle i w najwyższym stopniu przerażająca myśl: *Może ona rzeczywiście chce go usidlić, lecz skąd wiem, że nie lęka się*

oswoje bezpieczeństwo jak moja matka przy panu du Poncie? A gdyby ktoś doradził jemu, by nie utrzymywał Kitty? Co by się stało z nią

I ciocią Hester? Widziała, że przedsiębiorca żywi pewne obawy i chce, by ona je rozwiązała. Nie po raz pierwszy uświadomiła sobie, że kształt głowy, wypukłości, jakie potrafi wymacać, potwierdza to, co dostrzega w ludzkich twarzach. Dziewczyna usiadła przed nią niemal na-dąsana: Cordelia wyczuła powyżej jej uszu wydatne wypukłości w miejscach, gdzie wedle książek cioci Hester, mieściły się ZACHŁANNOŚĆ i SKRYTOŚĆ. Ale czy on będzie mi wdzięczny jeśli powiem, że nie pasują do siebie jakieś guzy na ich głowach? Dziewczyna wygląda na wyrachowaną. Co się jednak z nią stanie, jeśli się opowiem przeciw niej? Wkroczyła na terytorium moralności, na co nie była przygotowana; w końcu wzruszyła ramionami. Co mi do tego? Objęła ich dłońmi za skronie, pogładziła głowy z ledwie wyczuwalną czułością na swój dziwny, niezwykle sposób, opowiedziała o KOCHLIWOŚCI i MIŁOŚCI RODZICIELSKIEJ i zarobiła kolejne pół gwinei.

- Gdybym chciała wyjawiać prawdę, musiałabym się spotykać z ludźmi pojedynczo - wyznała w rozmarzeniu przyjaciółce pewnego wieczoru. - Nie mogę mówić o jednym partnerze w obecności drugiego, nie zawsze.

- Ale oni chcą to przejść razem - zaprotestowała Rillie.

- Wiem. Ale gdybym to robiła na serio...

Z czasem jednak napływające jedna za drugą, niewątpliwie majątne młode damy, które musiały usłyszeć o Cordelii, zaczęły przybywać bez swoich ukochanych, prosząc o „porady małżeńskie” i rozglądając się z wielkim zaciekawieniem po mieszkaniu tak różnym od własnych apartamentów. Cordelia zatem, wspominawszy o KOCHLIWOŚCI i MIŁOŚCI RODZICIELSKIEJ i gładząc je delikatnie po głowach, wygłaszała przemowę o „subtelnych zawilościach nocy poślubnej” (przy wtórze Schuberta). Nie miała złudzeń, z jakiego powodu wszystko uchodzi im z Rillie na sucho: zaśmiewały się z tego wieczorami nad butelką porto. „To się udaje tylko dlatego, że jesteśmy aktorkami i nauczyłyśmy się wysławiać i poruszać jak damy, a ty grasz Schuberta zamiast wyśpiewywać «Jima Crowa»!”. W niektóre noce szczególnie dziarską wersję tej piosenki mógł usłyszeć każdy przechodzień, pokonujący w ciemnościach Little Russell Street.

Ku zdumieniu Cordelii i Rillie pewnego popołudnia odwiedziła je ponownie pani Neville o smutnej twarzy.

- Chcę się przekonać, czy jest pani lepsza od mojego stałego magnetyzera, pana Treguntera - oznajmiła surowo.

- Jak się miewa pani córka? A pan Bounty?

- Wciąż są zaręczeni. Zdaje się, że wiążą wielkie nadzieje z tym, czy zyska pani moją aprobatę.

Cordelia przełknęła ślinę.

- Mogę jedynie udzielać sugestii.

Stała za krzesłem, ujęła głowę pani Neville i natychmiast odniosła wrażenie, że wyczuwa rodzaj wibrującego napięcia. Pogładziła mocno ściągnięte włosy, odsłaniające twarz. Coś kazało jej odpiąć dużą klamrę, tak że opadły swobodnie; pani Neville nie wyraziła sprzeciwu, jej skóra zaś od razu wydała się miększa w dotyku, bardziej odprężona. Gładząc delikatnie tę napiętą głowę, Cordelia naraz coś zrozumiała: *To Morgan, w ten sposób pomagałam kiedyś Morganowi.*

- Ma pani - odezwała się po dłuższej chwili, obmacując ciemną kobietę z obu boków - silnie rozwiniętą cechę SUMIENNOŚCI.

Płynęły dźwięki Schuberta. Cordelia raz po raz uspokajająco gładziła głowę pani Neville.

- Co to jest? - Zdawało się, że głos dobiega z bardzo daleka.

- To... uczciwość. Poczucie sprawiedliwości. I... - Urwała, przypomniała sobie pannę Neville mówiącą, że ojciec „wiele przebywa za granicą”. - Być może... być może częściej, niżby pani pragnęła, przebywa pani w samotności. Często też musi pani samotnie podejmować decyzje, lecz czyni to z silnego poczucia obowiązku.

Po twarzy pani Neville, bardzo cicho, popłynęły łzy. Nic nie odpowiedziała. Cordelia milczała także. Gdy jednak po pewnym czasie spostrzegła, że kobieta odzyskała panowanie nad sobą, delikatnie znowu spięła jej włosy. Na koniec usiadła naprzeciw niej.

- SUMIENNOŚĆ to bardzo ważna cecha - powiedziała tylko. Zapanowało długie milczenie, a potem pani Neville sięgnęła po kapelusz.

- Dziękuję - powiedziała. I po kolejnej przedłużającej się chwili ciszy dodała: - Zgodzę się, żeby moja córka poślubiła pana Boun-ty'ego.

Zjawiło się starsze małżeństwo, toczące spory o to się, kto powinien się zajmować finansami. Cordelia spostrzegła, że nieco nadęty mąż uważa to za swoje naturalne prawo, wesola zaś, energiczna żona wie (magnetyzerka szybko pojęła, że to wielce prawdopodobne), iż zna się na tym lepiej. Po obmacaniu ich głów i licznych uwagach na temat KOCHLIWOŚCI orzekła, że w rzeczy samej kobieta ma większą wyniosłość, związaną z obracaniem pieniędzmi.

- To KALKULACJA - wyjaśniła - lecz ponieważ STANOWCZOŚĆ mężczyzny jest niezwykle wydatna, czy nie byłoby dobrym pomysłem, by żona pokazywała mężowi swoje obliczenia, gdy ich już dokona, tak aby mógł się wykazać stanowczością?

Odeszli uśmiechnięci, z wielką radością zapłaciwszy pół gwinei w drodze do wyjścia. Cordelia zauważyła wszakże, że z zasady jeśli klienci przybywali razem, pragnęli jedynie zaświadczyć wśród wypolerowanych gwiazd, zwierciadeł, płonących świec i powiewnych barwnych szali, że są szczęśliwi, i chętnie płacili za potwierdzenie tego faktu.

Coraz więcej młodych dam zjawiało się bez narzeczonych i Cordelia przyłapała się na tym, że coraz częściej opowiada o nocy poślubnej, obmacując ich gło-

wy. Na tabliczce na drzwiach wciąż widniał napis FRENO-MAGNETYZERKA, lecz starała się zapomnieć o mesmeryzmie: niewątpliwie była oszustką, ale pomagała ludziom w inny sposób, zatem uczciwie (tak sobie powtarzała) brała od nich pieniądze.

Aż kiedyś, pewnego późnego popołudnia, zjawił się stary cudzoziemski dżentelmen. Nie był umówiony; oznajmił, że z chęcią zaczeka, aż pozostałe wizyty dobiegną końca. Ubranie miał wytarte, lecz bez jednej plamki; wyprostowana postać i gęste białe włosy nadawały mu aurę wielkiego dostojęstwa. Kiedy Rillie wprowadziła go wreszcie do głównego pokoju, oczy mu zabłyśły, gdy powiódł wokoło wzrokiem i zauważył gwiazdy. Rillie wyszła.

- Proszę spocząć - zaprosiła Cordelia ze swojego fotela w cieniu, wskazując mu sofę. - Jestem pani du Pont.

- Ach tak - odparł dżentelmen. Milczał chwilę, patrząc w jej kierunku. - Interesują mnie pani zdolności mesmerystyczne - wyjaśnił na koniec.

Serce Cordelii zabiło nierówno. *Czy inspektorzy odwiedzają magnetyzerów, by ich sprawdzić?* Cieszyła się, że skrywają cień.

- Pragnie się pan ożenić? - spytała. Odpowiedź zabrzmiała dość dziwnie.

- Pragnąłem się ożenić dawno temu - powiedział. Mówił bezbłędną angielszczyzną, lecz z silnym francuskim akcentem.

- Rozumiem. - W jej głosie brzmiała zmieszanie, niepokój. *Nie przypomina moich innych klientów.*

Siedzieli w pełnej skrepowania ciszy. Rillie w sąsiednim pokoju zaczęła grać na flecie.

- Ach - mruknął.

Słuchał, a po chwili wydawało się, że się uśmiechnął.

- Jak mogę... czym mogę panu służyć? - zapytała w końcu Cordelia.

- Czy była pani może kiedyś znana jako panna Preston? - odpowiedział pytaniem.

Nie wiedziała, czy nie ma przypadkiem do czynienia z jakimś konstablem lub bailiffem. Albo może kimś ze swojej teatralnej przeszłości. Serce waliło jej nieprzyjemnie.

- Tak - przyznała bardzo cicho. Stary mężczyzna skinął głową.

- Tak sądziłem. Znałem kiedyś pani ciotkę Hester. Prawdę mówiąc... to ją chciałem poślubić.

Cordelia była tak zaskoczona, że zerwała się z miejsca; szale spłynęły na ziemię. Podeszła wolno i usiadła obok niego na sofie. Jej ukochana ciocia Hester nigdy, przenigdy, najdrobniejszym słowem ani zachowaniem nie dała do zrozumienia, że miała zalotnika. To o względy Kitty, matki Cordelii, zabiegali wszyscy adoratorzy. Zauważyła, że twarz mężczyzny jest życzliwa i pełna godności.

- Poprosił ją pan o rękę? - zapytała na koniec.

- Owszem, tak. -I...?

- Powiedziała... powiedziała „dziękuję”.

W nagłym przyplýwie emocji, nad którymi nie panowała zupełnie, oczy Cordelii napęłniły się łzami. *Sądziłam, że nie miałam nikogo.*

- Oznajmiła - ciągnął dalej łagodnie - że nie potrafi znieść myśli, iż musiałaby opuścić rodzinę.

- Moją matkę i mnie?

- Tak. Była pani wtedy dzieckiem.

I nagle Cordelia zrozumiała.

- To pan był tym cudzoziemskim dżentelmenem, który ją wyleczył, gdy noga tak bardzo jej dokuczała? A potem ją pan szkolił, nauczył mesmeryzmu?

-Tak.

- Panie... Monsieur... tak mi przykro, nie znam nawet pańskiego nazwiska.

- Nazywam się Alexander Roland. Dawno temu przybyłem do Anglii z Francji i przez wiele lat praktykowałem mesmeryzm w swoich pokojach w Kennington.

-Tak, naturalnie... pamiętam, jak o panu mówiła, oczywiście wiem, kim pan jest!

- Mój podziw dla pani ciotki zrodził się już w chwili, gdy sobie uświadomiłem, że mimo niesprawnej nogi, by się ze mną spotkać, pokonała pieszo całą drogę z Bloomsbury. Kiedy się natknąłem na pani ogłoszenie, pozwoliłem sobie odwiedzić tę okolice i zobaczyłem tabliczkę.. . Widzę też, że używa pani nazwiska du Pont. Pamiętam pana du Ponta.

Po tych słowach umilkł, lecz jego milczenie w tej kwestii było wiele mówiące.

- Monsieur... Monsieur Roland - słowa sypały się szybko z ust Cordelii - nie wyobraża pan sobie, jak fortunna jest pańska wizyta. Teraz to ja potrzebuję pańskiej pomocy... byłabym panu nieskończenie wdzięczna za radę i oczywiście panu zapłacę; nasz interes się rozwija, mamy nadzieję i wierzymy, że będzie prosperował w dalszym ciągu. Sądzę... naprawdę sądzę, że mogę posiadać... dar, tak to się chyba nazywa, lecz nie potrafię nad nim panować, potrzebuję pomocy.

- Właśnie się zastanawiałem... Zabrzmiały dźwięki fletu.

- Och... koniecznie muszę panu przedstawić moją przyjaciółkę. Rillie! - zawołała głośno, tak aby tamta usłyszała ją przez muzykę. Podeszła do drzwi i krzyknęła jeszcze głośniej: - Rillie!

Flet urwał w pół taktu i niemal natychmiast weszła Rillie w stroju pokojówki, z żelazkiem w dłoni.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął pan Roland i szybko podniósł się z miejsca. - Pamiętam to żelazko! Wciąż je panie mają!

Widziały, że bardzo się stara pohamować rozbawienie.

- Monsieur Roland, oto moja przyjaciółka i współpracowniczka, Rillie Spoons. Rillie, to monsieur Roland, który jest prawdziwym magne-tyzerem i znał kiedyś ciotkę Hester!

- Och! - zawołała Rillie, natychmiast odkładając żelazko. - Przepraszam najmocniej. Sądziłam, że Cordełia ma kłopoty.

- Panna Kitty Preston - zwrócił się do nich obu z uśmiechem - strzegła siostry z narażeniem własnego życia! Wiele razy nosiły to żelazko ukryte pod płaszczem, a niewątpliwie przybyły z nim do Ken-nington, kiedy mnie odwiedziły po raz pierwszy!

- Monsieur Roland - odezwała się Rillie i jej oddech nagle stał się bardzo szybki - jeśli jest pan prawdziwym magnetyzerem, czy mógłby pan wyleczyć moją matkę? Zapłacę panu, bo wszystko wskazuje na to, że nasz interes najpewniej się rozwinie! Moja matka jest zupełnie obłąkana i zwykle, jak się zdaje, nie pamięta nikogo i niczego. Ale Cordelia coś zrobiła, niewątpliwie, i... na moment mama mnie rozpoznała. Tak bym chciała... tak bym... - usłyszeli w jej głosie ból - ...ogromnie chciała, by poznawała mnie znowu.

Na jego twarzy pojawił się wyraz z troskowania.

- Magnetyzerzy nie są lekarzami, madame Spoons - powiedział łagodnie. - Na nieszczęście dla filozofii magnetyzmu zwierzęcego niektórzy uważają inaczej. Pani matka jest całkowicie obłąkana?

- Wydaje mi się, że mnie nie poznaje i nie pamięta. To trwa już od kilku lat.

- Zatem, madame, nie sądzę, by można jej było przywrócić pamięć.

- Ale wtedy mnie poznała! Nazwała mnie Rillie.

Wciąż mówił łagodnym tonem, starannie dobierając słowa:

- Ponieważ mesmeryzm może dzięki przepływowi energii przynieść coś na kształt ulgi, odprężenia, istotnie mogła sobie w pewnej chwili przypomnieć, że jest pani jej córką. Jak mniemam, trwa w wiecznej terażniejszości?

- ...Nierzadko bez ubrania.

- W istocie. - Westchnął cicho. - Przykro mi. - Wydawało się, że z uwagą studiuje podłogę. - Często tak się zdarza, i nawet nie zamierzam udawać, że rozumiem dlaczego. Gdybym jednak mógł być pomocny, z chęcią pani usłużę.

Skłonił się lekko i uśmiechnął. Potem bez pośpiechu zwrócił się znowu do Cordelii:

- Tak czy inaczej, to bardzo niezwykle, by kobieta parała się mesmeryzmem. Często się powiada, że tylko mężczyźni są obdarzeni siłą. Pani ciocia Hester była bardzo, bardzo niezwykłą kobietą. Impuls do mojej wizyty dał mi fakt, że zobaczyłem przypadkiem pani anons i postanowiłem się przekonać, czy pani także jest niezwykła. Ludzie udający, że mają zdolności magnetyzerskie, wyrządzają tej filozofii nieskończenie wielką szkodę. Mesmeryzm to nie coś, z czym można... igrzać.

Cordelia szybko spuściła oczy.

- Jest tak, jak panu mówiłam - odparła. - Myślę, że mam zdolności w tym kierunku, ale tego nie... rozumiem. I nie potrafię nad tym panować.

Gdy jednak nic nie powiedział, po paru chwilach wzruszyła ramionami i spojrzała na niego śmiało. Ostatecznie nazywała się Cordelia Preston.

- Wyuczyłam się wszystkich numerów na głowie, jak to robią fre-nolodzy. Zarabiamy na utrzymanie, to wszystko.

Rillie wtrąciła się natychmiast.

- Moim zdaniem, Cordelia jest wspaniała. Nikogo nie oszukujemy. Byłyśmy aktorkami, ale się starzejemy i nie bardzo możemy liczyć na zatrudnienie. Cordelia często daje dobre, rozsądne rady. To prawda, użyłyśmy określenia „frenomagnetyzerka”, żeby przyciągnąć zainteresowanie, ale ona naprawdę udziela bardzo inteligentnych wskazówek ludziom, którzy chcą wziąć ślub, po prostu kierując się zdrowym rozsądkiem, nawet jeśli nazywamy to inaczej. Nie uwierzy pan, jak wielka jest niewiedza niektórych młodych dam. I rzeczywiście czytała książki na temat frenologii.

- Być może zechciałaby pani - zwrócił się monsieur Roland do Cordelii - zbadać także moją głowę. - Zauważył wahanie kobiet. - Zapłacę, oczywiście.

- Nie! Nie! - Cordelię ogarnęło naraz skrepowanie. - Tylko... nie mogłabym w żaden sposób. Uznałby mnie pan za amatorkę.

Nie zwrócił jej uwagi, że amatorzy nie każą sobie płacić.

- Spróbujmy - nalegał łagodnie.

- Ja zagram na flecie - zaproponowała Rillie. - Życzy pan sobie?

- Życzę sobie z największą chęcią. Niestety, gdy byłem młody, nie stać mnie było na asystenta, więc musiałem grać sam. Dla stworzenia nastroju. Wydawało się, że to w jakiś sposób pomaga, bo klienci najwyraźniej spodziewali się czegoś w tym guście.

- Tak samo robiła ciocia Hester, jeśli mama szła do teatru - wtrąciła Cordelia. - Nim zaczęła, grała chwilę na flecie.

- Pamiętam - powiedział monsieur Roland i raz jeszcze z nieprzeniknionym wyrazem twarzy objął spojrzeniem gwiazdy i świece. - Niekiedy pod nieobecność pani matki, w dni, kiedy Hester czuła się mniej pewna siebie, także grywałem na flecie w drugim pokoju.

Cordelia spojrzała na niego ze zdumieniem. *Tutaj?* A potem przez głowę przemknęła jej myśl: *Był kochankiem cioci Hester. A ona nigdy nam nie powiedziała.*

- Więc jeśli madame Spoons zgodziłaby się zagrać... ale naturalnie tutaj, nie w drugim pokoju...

- Och, proszę, monsieur, niech mnie pan nazywa Rillie!

- .. .obudziłoby to wiele wspomnień.

I w ten oto sposób panna Cordelia Preston ujęła wiekową głowę monsieur Alexandra Rolanda, a panna Amaryllis Spoons grała Schuberta z zapamiętaniem. Obecnie Cordelia знаła się na głowach: wyczuła kształt, obmacała wysokie, szerokie czoło starca, widziała jego mądre oczy i znała życzliwy, pełen wahania uśmiech, lecz także stanowczość, z jaką ostrzegał przed lekkim traktowaniem spraw, których być może nie rozumiały do końca. Skoncentrowała się głęboko.

- Wyczuwam pańskie przymioty, monsieur - powiedziała - a są to siła i mądrość, jak też - dotknęła miejsc tuż nad uszami - jak też WOJOWNICZOŚĆ, maskowana zapewne przez łagodność pańskiego obejścia. Ale... wyczuwam u pana przyjaźń - przesunęła dłonie - i dostojęństwo. Podobnie jak ty, Rillie, monsieur posiada wydatną DOBROCZYNNOŚĆ, a to miejsce świadczy - obejrzała się, tylko na moment, na marmurową głowę Alphonse'a, po czym zaskoczona dotknęła przedniej części jego głowy - że ma pan talent do liczb.

Dłonie Cordelii, obmacując kruchą, starczą czaszkę pod miękkimi, gęstymi białymi włosami, gładziły ją delikatnie raz po raz, jak to miała w zwyczaju: jak dawno, dawno temu gładziła swojego synka Morgana.

Starzec zamknął oczy; usłyszały ciche westchnienie, a potem rozlegały się tylko dźwięki fletu Rillie.

To monsieur Roland zerwał czar. Otworzył oczy ponownie, bardzo delikatnie wyswobodził się spod dotyku Cordelii i obejrzał się na nią.

- Zechce pani usiąść obok mnie?

Z bijącym sercem, ogromnie pragnąc usłyszeć jego dobrą opinię, podeszła i zajęła miejsce w fotelu naprzeciw.

- Wyuczyła się pani doskonale - zaczął. - Uważam, że ma pani niezwykle wyuczony zmysł obserwacji i gratuluję: tak się składa, że istotnie mam spory talent do liczb.

Uśmiechnął się do niej. Wozy jak zwykle przejeżdżały z turkotem ulicą, a z kościoła naprzeciwko dobiegło bicie wieczornych dzwonów.

- Lecz czy mogę powiedzieć coś, co być może panią zaskoczy? Skinęła głową. Rillie, zafascynowana, przerwała grę.

- Cordelio... jeśli mogę tak się do pani zwracać... wydaje mi się, że pani dotyk jest nazbyt... osobisty.

Mimo obaw natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi. Pamiętała wstrząs tamtego pierwszego dnia, badanie pierwszej klientki: gdy dotykała głowy panny Neville, w jakiś sposób w bolesnym rozbłysku pamięci powróciło do niej coś, co tak gorliwie starała się zapomnieć. Wiedziała, że czasem, trzymając dłonie na głowach odwiedzających, pozwalała sobie pomyśleć o Morganie i o tym, jak bardzo potrzebował, by go pocieszyć i uspokoić. Jej twarz oblała się mocnym rumieńcem. Mężczyzna zauważył to i ciągnął dalej bardzo łagodnie i życzliwie:

- Dotyk pani dłoni jest bardzo wdzięczny i wielu ludzi znajduje go kojącym. Lecz to nie mesmeryzm. Ani frenologia. Istnieje zapewne inny rodzaj energii, który może pani odnaleźć, bijący z tego samego źródła w pani wnętrzu i tego samego współczucia, lecz bardziej - z wielką starannością dobierał słowa - obojętny. Wierzę również, iż frenologia i mesmeryzm są od siebie całkiem odrębne. I w swojej najdoskonalszej formie... za sprawą wielkiej mocy sprawiania dobra lub zła... są bezosobowymi filozofiami. Tak samo jak być nią musi medycyna.

Cordelia skinęła głową, niezdolna wypowiedzieć słowo. Monsieur Roland zrobił ruch, jakby chciał wstać.

- Nie, proszę! - szepnęła.

- Zrobię herbaty - zaproponowała Rillie, lecz starzec się sprzeciwił.

- Wystarczy na jeden dzień - oznajmił. - Rozmawiamy o nieskończenie złożonych, nieskończenie trudnych i subtelnych kwestiach.

Podniósł kapelusz. Rillie odprowadziła go do wyjścia; szmer ich głosów niósł się przez zmierzch.

Po powrocie zastała przyjaciółkę zgiętą wpół, jakby zrobiło jej się niedobrze.

- Tak bardzo za nimi tęsknię. - Płakała. - Czasem to jak nóż przeszywający serce i obracający się w ranie, w chwili gdy najmniej się tego spodziewam. - Łzy ściekały na jej szale, na suknię. - Oni tutaj - niezbornym gestem wskazała pokój - to jedyne głowy, jakie gładziłam od wyjazdu z Walii... i... czasem... tylko na chwilę... pozwalałam sobie wspomnieć tamte dni. A on wiedział! Wiedział! To takie zawstydzające, że się domyślił!

Rillie wzięła Cordelię w ramiona.

Kiedy wrócił następnego dnia późnym popołudniem, jak ustalili z Rillie, Cordelia była blada, lecz opanowana.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Był poważny i uprzejmy, nie wspomniał o poprzedniej wizycie.

- Czy dziś po południu, Cordelio, spróbowałaby mnie pani zmesmeryzować?

Przyjaciółki spojrzały na siebie.

- Jak panu wiadomo, udało mi się zaledwie raz, monsieur. To rzecz, której nie... rozumiem, i zastanawiałam się także, czy być może jedynie kobiety poddają się mesmeryzacji.

Pozostał poważny i uprzejmy.

- Gdyby mesmeryzm miał działać tylko w wypadku dam o nerwowym usposobieniu, poddających się sugestii przy pierwszej o niej wzmiance, byłby oszustwem. Ogłasza pani swe usługi również jako magnetyzerka, musi więc pani spróbować pojąć, co to dokładnie jest. - Nadal jednak mówił łagodnie. - Jestem starym człowiekiem. Jak pani widzi, poruszam się bardzo wolno. Zobaczmy, czy choć w niewielkim stopniu zdoła pani złagodzić ból w moim krzyżu.

- Ale ja... udzielam wskazówek ludziom, którzy mają się pobrać. Ja... właściwie nie potrzebuję mesmeryzmu.

- Mimo to - powtórzył. Zauważył jej zdenerwowanie. - Chcę, by pani zrozumiała - wyjaśnił życzliwie, lecz stanowczo - że w mojej przynajmniej opinii mesmeryzm nie jest sztuczką, złudzeniem ani magią! Da się go wyjaśnić na drodze rozumu i obserwacji. Wierzę, że opiera się na przesyłaniu energii. Twierdzi pani, że przynajmniej raz odniosła sukces. Przekonajmy się, czy zdoła go pani powtórzyć.

Ten mężczyzna kochał moją drogą ciocię Hester.

- Dobrze - zgodziła się ulegle.

Stanąła przed monsieur Rolandem zarumieniona i niespokojna.

- Mogę zostać? - spytała Rillie, również w rumieńcach i pełna obawy.

- Oczywiście - odparł starzec - i może zagra coś pani znowu, gdzieś tutaj w cieniu. Choć, jak to wyjaśniałem Hester, flety i gwiazdy stanowią jedynie akcesoria, uważam właściwy nastrój za rzecz bardzo ważną. Pani zaś doskonale gra na flecie.

Usłyszeli, jak pisnęła cicho z zachwyty, nim zabrzmiał pierwszy tryl.

Cordelia wzięła głęboki, gwałtowny oddech.

- Musi pani być silniejsza ode mnie - mruknął. - Mesmeryzm działa, jedynie gdy magnetyzer mentalnie dominuje nad pacjentem. Oraz, w mojej opinii, kiedy pacjent jest gotów powierzyć się pieczy innego człowieka.

- Czy to dlatego profesor Elliotson mesmeryzuje pacjentów ze szpitala dla biedoty podczas swoich pokazów? To znaczy ludzi będących w jego władzy?

- Widziała pani profesora Elliotsona? - Tak.

- Uważam za możliwe, że częściowo dał się zwieść jednemu czy dwóm spośród pacjentów, podziwiam go jednak niezmiernie i nawet przez moment nie uważam za oszusta. Uczy się tego, o czym Hester i ja wiedzieliśmy wiele lat temu. Mesmeryzm jest w pełni wytłumaczalny. Nie jest, powtarzam, magią, choć mimo to uważam, iż pozostaje sprawą władzy... i dlatego może być niebezpieczny, jeśli nie traktować go uczciwie i z szacunkiem. A jednak poddam się pani energii, bowiem - uśmiechnął się do niej - krzyż bardzo mi dokucza. - Widział jednak nadal, że jest ogromnie skrepowana. - Wielu ludzi potrafi mesmeryzować, Cordelio. Tajemnica tkwi przede wszystkim w całkowitej koncentracji. Proszę oddychać głęboko i skupić się na swoich dłoniach oraz długich, energicznych ruchach wzdłuż mojego tułowia, najbliżej jak pani zdoła bez dotykania. Proszę się skupić na ciepłe, które pani poczuje, kiedy to zadziała: zarówno ciepłe własnych dłoni, jak mojego ciała, mimo że go pani nie dotknie. Ja zaś otworzę się na pani koncentrację. A potem, jeśli wpadnę w trans, proszę skupić całą swoją energię na moich plecach.

Z Little Russell Street dobiegały głosy. W rogu pokoju Rillie bardzo cicho grała Schuberta. Wolno i stanowczo, oddychając w rytm ruchów rąk, Cordelia raz po raz zaczęła przesuwać dłońmi nad głową i ciałem starca, tak blisko, że istotnie poczuła ciepło.

- Tak - rzekł później, uśmiechając się do niej swymi mądrymi, starymi oczyma. Widział, że jest wyczerpana. Wstał i sięgnął po kapelusz. - Porozmawiamy znowu innym razem. Ale jest pani magnetyzerką. Dzięki swej całkowitej koncentracji i szczególnej energii uwolniła mnie pani częściowo od bólu. Ciocia Hester byłaby z pani dumna.

Po jego wyjściu Cordelia i Rillie zaczęły krzyczeć z radości w pokojach w suterenie, jak za młodych lat, z kieliszkami porto w dłoniach; śmiały się i śpiewały: świat należy do nich. Teraz nic nie zdoła ich powstrzymać.

- Sprawimy sobie klawikord! - wołały.
 - Sprawimy sobie eleganckie mieszkanie, żeby nie cuchnąć zjeł-czałym tłuszczem!
 - Nie, sprawimy sobie fortepian, jeden z tych nowych fortepianów!
 - Potrafię to zrobić! Potrafię! Kogo obchodzi, czym jest „freno--mesmeryzm”!
- Jeśli wynajmiemy eleganckie mieszkanie, będziemy mogły leczyć arystokrację i liczyć sobie suwerena od każdego klienta!
- Max Welton piękne łęgi ma, zaśpiewały.*
- Kto to był Max Welton? - spytały równocześnie.

Z perspektywy czasu rzeczą, która najbardziej utkwiała jej w pamięci, było to, że kiedy monsieur Roland wolno zapadał w trans, w jakiś niesamowity sposób poczuła ból w jego plecach.

TLR

Upłynęło kilka miesięcy, potem rok; powstały listy chętnych.

Klienci rozpowiadali o gwiazdach, płynącej skądś muzyce i kobiecie z siwym puklem włosów, otuloną w szale. Sława Cordelii i Rillie rozprzestrzeniała się i rosła. Odwiedzający lękali się Cordelii, często łatwiej im przychodziło rozmawiać z Rillie: po wizycie pytano ją, jakże macierzyńską i zwyczajną w porównaniu z damą w powiewnych szalach, czy w czasie nocy poślubnej naprawdę zdarzają się takie rzeczy? Choć wciąż ogłaszały swoje usługi w gazetach, stawało się coraz bardziej oczywiste, że to klienci polecają swoim przyjaciołom suterенę przy Little Russell Street. Niekiedy któreś z narzeczonych wracało jeszcze raz, samotnie, prosząc o pomoc lub radę. Cordelia z wielkimi obawami zaczęła mesmeryzować histeryzujące młode dziewczyny, przywracać im spokój. Często po ocuceniu z transu dochodziły do siebie na tyle, by wysłuchać i pojąć, co się może zdarzyć podczas nocy poślubnej. Niekiedy pytała o coś monsieur Rolanda, który nie przestał ich odwiedzać; zmesmeryzowała go znowu, nabrała zaufania we własne siły. Inaczej dotykała głów klientów: nigdy więcej, nieważne, co czuła, nie gładziła ich tak, jak gładziła swoje najmłodsze dziecko.

Młoda królowa Wiktoria wyszła za mąż (Cordelia i Rillie zakładały, że w jakiś sposób pouczono ją o subtelnych zawilościach). Doszło do nich, że księżę Albert, nowy małżonek, interesuje się frenologia; po wielu debatach, suto podlewanych porto, wysłały do Windsoru kartę pocztową. Staraly się pracować tylko popołudniami, choć popyt na ich usługi tak wzrósł, że owe popołudnia zaczęły się wydłużać: powtarzały sobie, że wolą pracować w drugiej połowie dnia ze względu na potrzeby pani Spoons oraz światło słoneczne, wpadające rankiem do sutereny. Naprawdę jednak przyczyną zwykle było porto. Monsieur Roland zdołał zmesmeryzować panią Spoons (starannie ubraną z tej okazji) i choć stała się nadzwyczajnie cicha i spokojna, nie wypowiedziała drugi raz imienia córki.

Wydawało się, że jak przepowiadała Cordelia, dołączyły do nowej mody w chwili, gdy rozkwitała. Gazety pełne były mesmeryzmu. Magnetyczny sen znajdował się na ustach wszystkich: zwolenników, krytyków; nic dobitniej nie dowodziło jego popularności niż fakt, że rysownicy zaczęli tworzyć na jego temat karykatury - co, jak powszechnie wiadomo, oznacza szczyt sławy. Pan Dickens

napomknął o mesmery-zmie w *Przygodach Oliwiera Twista*. Uważano obecnie, że to o nim napisał przed śmiercią pan Coleridge w *Rime of the Ancient Mariner*:

*Puścił, lecz wlepił weń swój wzrok. I na tę moc żeglarza W
miejscu weselny stanął gość, I niby dziecię zważa.*

przełożył Jan Kaspruwicz

Wdowa po panu Shelleyu, poecie, opublikowała jego wiersz: „The Magnetic Lady to her Patient” (Magnetyzerka do pacjenta):

*Spij jeszcze, śpij! Zapomnij ból;
Na czole dłoń ci kładę,
Nad twym umysłem jest mój duch,
Nad sercem litość, bracie;
Z mych palców moce życia ślę,
One ci będą tarczą,
Osłonią cię w godzinie złej,
Zatroszczą się o ciebie, lecz nie złączą
Z twoimi.*

przełożyła Anna Bańkowska

I Cordelia zrozumiała, co jej tłumaczył monsieur Roland: że energia musi być bezosobowa.

*Spij jeszcze, śpij! Nie kocham ciebie, Lecz gdy pomyślę, że
ów stwórca Co ogród mój napęlnia kwieciem, W twym same
chwasty zasiewając, Mógłby się niczym ty zagubić; Że czy-
jaś obca dłoń, nie moja, Mogłaby mękę mu złagodzić -Jak ja
innemu - to wybiegam sercem Do ciebie.*

przełożyła Anna Bańkowska

„Profesorowie” mesmeryzmu objeżdżali kraj w nowych, zachwycających po-
ciągach, rozdawali karty wizytowe, zachwalali swoje usługi. Argumenty za oraz
przeciw frenologii i mesmeryzmowi osiągnęły nowe wyżyny oburzenia i zjadli-
wości. Twierdzono (ku oburzeniu wielu), że za pomocą frenologii można prze-

prowadzić „mentalną reformę” klas pracujących. Twierdzono także, iż mesmeryzm to nic więcej jak praktykowanie lubieżności: publikowano raporty o pewnym szarlatanem we Francji, który mesmeryzując córkę bogatego przedsiębiorcy, skradł jej cnotę: NICZYJA CÓRKA NIE JEST BEZPIECZNA, grzmiąły gazety: MESMERYZM TO SPOŁECZNA TRUCIZNA. Jakiś magnetyzer, zbiegłszy z żoną innego, za pomocą swych niegodziwych sztuczek (tak pisano w gazetach) zmienił ją w swoją marionetkę. W końcu samego profesora Elliotsona potępiono jako szarlatana, ponieważ, jak grzmieli moralisci, „obecnie prywatne oddziały naszych publicznych szpitali odwiedzają bogaci i bez wątpienia lubieżni mężczyźni, pragnąc być świadkami ni mniej (i nie więcej), jak tylko prostytutce”. Profesor opuścił uniwersytet, lecz jego sława jako lekarza magnetyzera rosła; tak samo jego dochody. Podobnie rosły dochody Cordelii i Rillie.

Wreszcie pewnego dnia wczesnym wieczorem, kiedy skośne promienie słońca wciąż jeszcze wpadały przez okna, choć damy zapaliły już jedną z lamp, zjawił się proboszcz kościoła św. Jerzego w Blooms-bury we własnej osobie. Nastąpiło zamieszanie przy prezentacjach, po czym zajął miejsce na sofie. Niemało czasu potrwało, nim Cordelia i Rillie pojęły cel jego wizyty. Rzucił ukradkowe, zawstydzone spojrzenia na magnetyzerkę; nie pomógł mu fakt, że była niezwykle atrakcyjna i siedziała tuż obok (widywał ją na ulicy, lecz nigdy z tak bliska); tym trudniej było mu się trzymać tematu. Poczęstowały go porto (miały wielką ochotę nalać też sobie, lecz obawiały się, że to niestosowne). Duchowny dość pośpiesznie opróżnił kieliszek, po czym z lekko zarumienionymi policzkami przeszedł do rzeczy.

- Pani du Pont. - Skłonił się w jej stronę z pewnym dostojeństwem (a raczej tak dostojnie, jak na to pozwalała miękka sofa pod lśniącymi szklanymi gwiazdami). -I... eee... pani... eee... Spoons. Uważam za swój obowiązek... rozważywszy tę kwestię starannie... prosić panie... by zastanowiły się nad sobą.

- Słucham? - zapytała Rillie, nie rozumiejąc.

- W jakim sensie, zdaniem wielebnego, miałybyśmy się zastanowić? - odparła Cordelia, odkładając się niezwykle wytwornie.

Proboszcz odchylił się na sofie, złożył dłonie jak do modlitwy.

- Oczywiście widziałem... - Zdawał się głęboko zawstydzony. Wymieniły szybkie spojrzenia: ile widział? - To znaczy, tabliczkę na drzwiach.

Obie damy uśmiechnęły się uprzejmie.

- To owa magnetyzerska część pani działalności mnie niepokoi. Zalatuje... jeśli mogę tak to ująć... w najwyższym stopniu niebezpiecznie zalatuje... działalnością antyreligijną i... jako że prowadzona jest niemal naprzeciwko mego kościoła... - Jego skrępowanie było niemal namacalne.

- Zapewniam waszą wielbność - odparła w końcu Cordelia - że naturalnie nie wspominamy o religii... religia nie wchodzi w zakres uprawianej przez nas dziedziny. Nasza magnetyzerska działalność sprowadza się do łagodzenia bólu i przywracania spokoju.

- Właśnie!

Zerwał się z miejsca, zaczął się przechadzać po pokoju z pustym kieliszkiem w dłoni; Rillie zbliżyła się z butelką i napełniła go ponownie. Wydawało się, że nawet spacerując, proboszcz nie potrafi oderwać wzroku od Cordelii. Jednym haustem wypił wino. Rillie dołała znowu.

- Łagodzić ból jest dziełem Pana. Nie człowieka... kobiety. Biblia wspomina o takich cudach, lecz były to cuda boskie. Nie możemy pozwolić, by ludzie pomyśleli... jak panie widzą, czytałem książki i artykuły. .. że mogą sobie nawzajem przekazywać naturalną energię. To, co pani robi, pani du Pont, jest, jeśli mogę tak powiedzieć, bliskie bluźnierstwu! Sugeruje pani, że Jezus Chrystus był magnetyzerem!

Kobiety spojrzały zaskoczone; duchowny oddychał z wielkim trudem, porto połało się na podłogę z kieliszka w jego dłoni, spostrzegł to i szybko wypił resztę, po czym opadł na sofę. Wino wsiąkało w deski. W pokoju zapadał zmrok. Wszyscy troje siedzieli w milczeniu: ani Cordelia, ani Rillie nie wiedziały, co powiedzieć, proboszcz zaś zdawał się zupełnie wyczerpany. Rillie wstała nagle i zapaliła jeszcze dwie lampy; Cordelia marzyła o kieliszku wina. Wozy przejechały z turkotem: jeden, poznały po odległości przetaczających się beczek, zmierział do pubu Pod Błękitnymi Słupami w sąsiedztwie.

Wreszcie Cordelia się odezwała:

- Oczywiście, proszę wielbnego, zapewniam, nie zamierzałyśmy się dopuścić żadnego bluźnierstwa i żadnego uchybienia. Tylko że... w ten sposób zarabiamy na utrzymanie.

Wydawał się głęboko urażony tym oświadczeniem.

- Czy mógłbym porozmawiać z... bratem lub ojcem, lub też kimkolwiek, kto prowadzi pań interes? Mężczyzna zrozumiałby, że to nie może trwać dłużej.

Cordelia wstała dumnie.

- Same go prowadzimy, wasza wielebność. Serdecznie dziękujemy za wizytę. - Wyglądała pięknie (i onieśmielająco), stojąc tak w rozwianych szalach. Proboszcz ani się obejrzał, jak wyszedł po stopniach z sutereny i wrócił (w stanie lekkiego upojenia, co zauważyła jego gospodyni) do swego dużego i pięknego kościoła po drugiej stronie ulicy.

Monsieur Roland odwiedzał je regularnie i dodawał im otuchy. Z jego zachowania odgadły, że nadal nie pochwala określenia „fre-no-magnetyzerka”, rozumiał jednak, iż kobiety zyskują dzięki niemu klientów; nigdy ich nie krytykował. Nalegał, by przestrzegały najwyższych standardów, nawet jeśli główna część ich pracy wciąż dotyczyła frenologicznego dopasowywania przyszłych małżonków oraz kwestii nocy poślubnej.

Pewnej niedzieli zaofiarował się, że zmesmeryzuje je obie, by zrozumiały, jakie to uczucie. Rillie zapadła w trans natychmiast; ocknęła się jakieś dziesięć minut później oszołomiona i z zaróżowionymi policzkami.

- Zdaje mi się, że to było przyjemne - powiedziała wolno, lecz marszcząc czoło. - Nie pamiętam dokładnie - dodała zdziwiona.

Cordelia wbrew sobie opierała się woli monsieur Rolanda; nie uległa, nie oddała mu władzy nad sobą. Nawet kiedy poczuła promieniujące ciepło, nie opuściła tarczy.

Uśmiechnął się tylko.

- Jest pani bardzo silną osobą, moja droga. Nikt nie zdoła pani zmesmeryzować wbrew woli. Być może pewnego dnia mi pani zaufa.

Zawstydziała się.

- Ale... ja naprawdę panu ufam! Tylko... tylko nie chcę się poddać.

- Wiem - odparł.

Monsieur Roland uświadomił im przede wszystkim dwie rzeczy - że pomimo cieni i gwiazd, luster i dźwięków fletu frenologia, jak się wydaje, opiera się na wiedzy, a w mesmeryzmie nie chodzi o duchy i upiory, i żadna z tych dziedzin nie ma absolutnie nic wspólnego z magią.

Jego skromność była tak wielka, że dopiero po pewnym czasie uświadomiły sobie, iż znał osobiście doktora Mesmera.

- Spotkał go pan?

- Owszem, spotkałem, gdy byłem bardzo młodym człowiekiem, on zaś przyjechał do Paryża i wynajął apartament w tamtejszym hotelu.

- Jak wyglądały pokoje? Też były w nich gwiazdy i lustra? Uśmiechnął się; stał w ich mieszkaniu w suterenie.

- Sam miałem jedną lub dwie gwiazdy, to był raczej mój pomysł... po prostu dlatego, że mi się podobała ta idea, odrobina nastroju. Klienci w jakimś sensie tego oczekiwali. Lecz Kitty i Hester wyniosły gwiazdy na... wyżyny, nieprawdaż - uśmiechnął się, podnosząc wzrok na liczne ozdoby z ciętego szkła, zwieszające się z sufitu i odbijające światło - ponieważ Kitty mogła... hm... uzyskać różne rzeczy z teatru. Doktor Mesmer posiadał natomiast lustra, wierzył bowiem, że odbijają magnetyzm zwierzęcy.

- A muzyka? - spytała Rillie z przejęciem. - Czy ją stosował?

- Stosował.

- Jaki on był? Nie był... nie był ani trochę oszustem?

- Wierzę, iż nie był ani trochę oszustem, choć mesmeryzm we Francji budził ogromne spory i powołano kilka komisji dochodzeniowych. Zapewne jednak sprawiał wrażenie oszusta, używał bowiem wielu dość niesamowitych akcesoriów, metalowych sztab i magnesów. I ubierał się na fioletowo.

Kobiety wybuchnęły śmiechem.

- Lecz wypowiadał się o tej... umiejętności, którą tak pejoratywnie nazwano od jego imienia, z wielką prostotą. Napisał doktorat na temat wpływu Księżyca i planet na przebieg choroby; wierzył, że sam, jako człowiek zdrowy, potrafi dzięki głębokiej koncentracji wywołać silny przepływ energii. Owa energia zaś może zmniejszyć swego rodzaju zatory u pacjentów, których system nerwowy utracił harmonię z wszechświatem, przywrócić im naturalny rytm i w ten sposób pomóc odzyskać dobre samopoczucie. Tylko tyle twierdził, nic więcej. Z początku sądził, że energia bierze się z otaczającego powietrza; później doszedł do wniosku, że wypływa z niego samego. Lecz widzą panie... nawet te idee nie były całkiem nowe. Słyszałem od podróżników, że chińscy uczeni od dawna próbują w podobny sposób likwidować owe zatory, używając nie własnej energii, lecz igieł. Nawet w tym kraju mówi się nieco o akupunkturze.

Cordelia i Rillie wpatrywały się w niego zafascynowane.

- Czy doktor Mesmer zarobił dużo pieniędzy?

- Stał się bardzo bogaty, owszem, lecz nie sądzę, by pieniądze go interesowały. Pragnął uznania dla swych odkryć; wierzył niezachwianie we własne teorie i odrzucał wszelką krytykę; chciał potwierdzenia, że odkrył nowy, uzdrawiający impuls fizyczny, który można wykorzystać dla dobra ludzkości.

- Lubił go pan? Starzec się roześmiał.

- Byłem ubogim młodym studentem: przerażał mnie! Nie po to go odwiedziłem, by go lubić!

- Ale lubił go pan?

Zastanowił się. Patrzyły w jego mądre, zamyślane oczy. Na koniec odpowiedział:

- Kiedyś, po wyjściu pacjentów... bo pozwalał mi się obserwować przy pracy... zapytał, czy chciałbym mu akompaniować na flecie, gdy będzie grał na szklanej harmonice. Wykonaliśmy starą francuską pieśń chłopską, która stała się popularna w moim kraju po rewolucji. - Monsieur Roland zanucił cicho. - Mesmer stuknął obcasami i odtańczył przy tym austriacki taniec ludowy.

To im musiało wystarczyć.

Później tego wieczoru Rillie wróciła do domu i powtórzyła opowieść nierozumiejącej, lecz radosnej pani Spoons: dla samej przyjemności opowiadania o starym mężczyźnie w fioletowym surducie, który stukał obcasami, grając na szklanej harmonice.

Pewnego późnego popołudnia, ubrane niezwykle skromnie i bez ostentacji (choć obecnie stacje było na najmodniejsze suknie), Cordelia i Rillie spotkały się z monsieur Rolandem na rogu Oxford Street.

Planował to wyjście od pewnego czasu; oznajmił, że chce je zabrać na trzy, dość różniące się od siebie, spotkania.

- To będzie długi wieczór - ostrzegł. - I niech panie pamiętają, że chcę, byście były moimi gośćmi.

Najpierw, o zmroku, zaprowadził je do niewątpliwie bardzo kosztownego apartamentu przy Hanover Square, gdzie po uiszczeniu pół suwerena („Pół suwerena!” - wykrzyknęła Rillie z niedowierzaniem) otrzymali kartkę z dużym napisem KSIAŻĘ HENRI, po czym zostali zaprowadzeni na miejsca przez obwieśzoną kosztownościami kobietę w egzotycznych wschodnich szatach i egipskim turbanie. Salę oświetlały migoczące świece: w rzędach złożonych krzeseł mogli zobaczyć liczne dobrze ubrane kobiety oraz garstkę dżentelmenów. Otaczała ich aura tłumionego podniecenia. Wszędzie trzepotały i wachlowały kartki z napisem KSIAŻĘ HENRI. Naraz rozległ się donośny grzmot. Cordelia i Rillie zatrzęsły się od chichotu, który starały się pohamować: poznały, że tuż za drzwiami ktoś potrząsa arkuszem blachy, jak się to robi w teatrze. W odległym rogu światła

podniesiono, po czym opuszczono znowu; rozległy się dźwięki jak gdyby wielkiej orkiestry.

- Troje skrzypiec! - szepnęła Rillie.

Na widok mężczyzny w fioletach monsieur Roland westchnął po raz pierwszy. Nieznajomy skłonił się, klasnął w dłonie, uniósł metalowy pręt.

- Jam jest Księżę Henri, mistrz mesmeryzmu, i przedstawię dziś państwu rzeczy, jakich nie widzieliście nigdy w życiu - oznajmił. - Zapuścimy wzrok w przyszłość, zapuścimy wzrok w otchłań.

Jakiś czas ciągnął przemowę w podobnym duchu, następnie zaś teatralnym gestem skinął prętem: młoda kobieta w bieli (niemal na pewno ta sama, która przyjęła od nich zapłatę przy drzwiach) przypląnęła do jego boku, po czym - gdy pomachał prętem przed jej twarzą - bardzo szybko i przy wtórze licznych westchnień zapadła w trans, wdzięcznie osunąwszy się na ustawioną bardzo poręcznie otomanę. Następnie zaczęło się wymachiwanie żelaznym prętem tam i z powrotem, w górę i w dół.

Potem było jeszcze trochę muzyki i grzmotów, po czym dama w bieli zakrzyknęła:

- Widzę przed sobą moją zmarłą matkę! Znajduje się... jestem niemal pewna... w Afryce! - I wzniosła ręce w górę. - Matko! Matko!

Rozpoczęta grobową konwersację ze zjawą, którą rzekomo widziała - głównie na temat zdrowia różnych członków swojej rodziny. Kiedy doszły do reumatyzmu, monsieur Roland nie potrafił powstrzymać się dłużej. Cordelia i Rillie widziały, że dosłownie trzęsie się z gniewu.

- Oszust! - krzyknął. - Jest pan szalbierzem i oszustem! - Ruszył do wyjścia. - Mesmeryzm to filozofia, która może pomóc ludziom, nie zaś zabawiać ich, jakby uczestniczyli w jakiejś wulgarnej pantomimie.

Ruszył do wyjścia wzdłuż rzędu nad wyraz oburzonych dam, a w ślad za nim niezgrabnie („Przepraszam”, „Proszę o wybaczenie”) podążyły Cordelia i Rillie.

Na zewnątrz, na powietrzu, rozluźnił fular, odetchnął głęboko.

- Kiedy się zaczyna twierdzić, że potrafi się zajrzeć w przeszłość lub przyszłość, zobaczyć ciemną stronę Księżyca lub rozmawiać ze zmarłymi, los mesmeryzmu jest przesądzony - oznajmił, wciąż starając się pohamować gniew. - W mesmeryzmie nie ma nic nadnaturalnego! To siła fizyczna. Musi być w pełni możliwy do udowodnienia i nie należy z niego robić widowiska! By zademonstrować jego działanie, dla celów naukowych: tak - oczywiście. By dostarczać

rozrywki łatwowiernym głupcom - zdecydowanie nie! - Po czym, opanowawszy się wreszcie, rzekł do swych towarzyszek z lekką ironią: -Widzą panie, przed czym je chciałem uchronić!

- Ale to pana kosztowało mnóstwo pieniędzy! - wykrzyknęła Rillie.

- Zostały pożytecznie wydane, nie wątpię - odparł.

Wstąpili na herbatę do nowego domu handlowego przy Oxford Street, by mu poprawić humor i wzmocnić się przed dalszymi trudami.

Drugie spotkanie odbywało się przy Cavendish Square i wstęp kosztował cztery szylingi. Ujrzeli publiczność złożoną z niezwykle uduchowionych dam i dżentelmenów; damy były prosto ubrane, dwie zaś nosiły powiększające okulary; jeden z dżentelmenów przed wejściem pośpiesznie zjadł jabłko, jakby także uważał za konieczne się pokrzepić. Monsieur Roland pokazał Rillie i Cordelii program anonsujący „Pokaz freno-mesmeryzmu”; Cordelia miała tyle przyzwoitości, by się oblać rumieńcem.

I znowu przypominało im to nieco udział w teatralnym przedstawieniu.

Freno-magnetyzerem okazał się poważny z wyglądu dżentelmen w średnim wieku. Na początek powiedział krótko o kulturalnym znaczeniu owej dziedziny.

- Freno-mesmeryzm pozwala odkryć umiejętności i talenty u każdego członka każdej klasy, i może też wskazać skłonność do czynów przestępczych. A zatem: skoro o naszym postępowaniu decyduje kształt czaszki, to czy pobudzając jej części, możemy osłabiać lub wzmacniać pewne zachowania? Czy potrafilibyśmy uwolnić zbrodniarzy od ich niskich instynktów? Czy umielibyśmy wpływać na inteligencję, zwiększać ją poprzez tego rodzaju stymulację? Proszę pozwolić, że zademonstruję. Poprosiłem zainteresowaną osobę... osobę, której nie znałem do dzisiejszego wieczoru, co, jak sądzę, potwierdzi jej mąż (jakiś mężczyzna w drugim rzędzie energicznie pokiwał głową), by wystąpiła jako moja pacjentka. Przybyła tu oczywiście za jego zgodą.

W drugim rzędzie (zachęcona przez mężczyznę, który wcześniej kiwał energicznie) podniosła się niezbyt ładna kobieta, po czym, blada i zdenerwowana, podeszła do mówcy; posadził ją i bardzo szybko wprowadził w trans magnetyczny. Wtedy jednak, zamiast w dalszym ciągu wykonywać nad nią passy, zajął miejsce za jej krzesłem, równocześnie prowadząc dialog z widownią.

- Większości z państwa znane są obszary czaszki badane przez frenologów. Zamierzam pobudzić niektóre z nich przez pocieranie.

(Cordelia i Rillie usłyszały tuż obok ledwie słyszalne westchnienie, jak gdyby pocieranie nie było najstosowniejszym określeniem ani czynnością).

- Tu na przykład mamy obszar czaszki odpowiedzialny za pre-dylekcję do WESOŁOŚCI.

Położył dłonie na głowie kobiety i zaczął coś w rodzaju masażu. Po kilku chwilach pacjentka uśmiechnęła się lekko, potem szerzej, w końcu wybuchnęła śmiechem z odrzuconą do tyłu głową i zaróżowionymi policzkami; ocierała łzy, jej wesołość zaś była tak zaraźliwa, że niektórzy członkowie zgromadzenia przyłączyli się do niej, szybko jednak zostali uciszeni przez pozostałych.

- Wiedzą państwo zapewne - ciągnął dalej adept magnetyzmu, kiedy dama się uspokoiła i znowu zapadła w trans - że tu oto, po obu stronach czoła, znajdują się niewielkie pola, oznaczane przez nas jako MUZYKALNOŚĆ.

Niezbyt długo manipulował przy tym obszarze, gdy kobieta zaczęła cicho nuć coś o pączku angielskiej róży. Jedna z uduchowionych dam w okularach nachyliła się do przodu zafascynowana, zapomniała się całkowicie i zaczęła bić brawo: inni natychmiast ją uciszyli.

- Obecnie - oznajmił mówca nieco teatralnym tonem - pobudzę część czaszki, oznaczaną przez nas jako WOJOWNICZOŚĆ, a niekiedy NISZCZYCIELSTWO.

Wydawało się, że tym razem nic się nie wydarzy. A potem kobieta nagle się zerwała, chwyciła krzesło, na którym siedziała przed chwilą, i gwałtownie cisnęła nim w widzów. To spowodowało krótką przerwę w wykładzie; monsieur Roland wykorzystał ją, by przypomnieć paniom, że czeka je jeszcze jedno spotkanie.

Idąc ulicą, Rillie nie posiadała się z podniecenia, paplała o tym, co przed chwilą widzieli. Cordelia była bardzo milcząca. Monsieur Roland spojrzał jej uważnie w twarz.

- I? - zapytał.

- Nie wiem - odparła. - Ale nie chcę tego robić.

- To jest freno-mesmeryzm - zauważył. Nie odpowiedziała.

- To też było oszustwo? - spytała Rillie z niepokojem.

- Musi pani rozstrzygnąć sama - odparł.

Na koniec przybyli do jakiegoś mieszkania w Soho, gdzie na kartce napisano odręcznie:

WYKŁAD Z MESMERYZMU MEDYCZNEGO WSTĘP JEDEN SZY- LING

Tutaj Cordelia i Rillie były jedynymi kobietami: liczna widownia, jak się zda-
je, składała się z cudzoziemców, magnetyzerów oraz - co dało się łatwo odgad-
nąć z ich rozmów i zachowania - lekarzy. Pierwszy raz uświadomiły sobie w pełni,
że monsieur Roland cieszy się ogromnym szacunkiem. Wciąż ktoś do niego
podchodził, kłaniając się z rewerencją. Lekarze jednak szeptali z dezaprobatą
jeszcze przed rozpoczęciem wykładu. „Mesmeryzm”: z jaką pogardą wymawiali
to słowo. „Magnetyzm zwierzęcy”, powtarzali ze śmiechem. Na niewielkim
podwyższeniu siedzieli niewzruszenie trzej dobrze ubrani mówcy.

- Nigdy nie byłam u lekarza - szepnęła Rillie do Cordelii, zerkając z dezapro-
batą na otaczających ją medyków. - Wolałabym spytać o radę aptekarza. Słysza-
łam zbyt wiele opowieści o okrutnych doktorach, niedbających, czy sprawiają ból.

Pierwszy z mężczyzn z powagą przedstawił argument, który słyszały już w
Szpitalu Uniwersyteckim: że mesmeryzm to sposób mogący przynieść ulgę pa-
cjentom; że lekarze i magnetyzerzy powinni zjednoczyć siły w walce z bólem; że
pacjent w transie magnetycznym - to potwierdzony fakt, nie przypuszczenie - z
łatwością potrafi znieść amputację lub nacięcie ciała i zachowuje się spokojnie,
co znacznie poprawia warunki pracy lekarza. Przemawiał w rozumny, wyważony
sposób: z łatwością można by go wziąć za jednego z lekarzy siedzących na wi-
downi; udawał, że nie zauważa bijącej od nich aury skrywanej dezaprobaty. Na-
stępnie, w manierze profesora Elliotsona, przedstawił młodą kobietę, która do tej
pory czekała gdzieś poza salą. Dama różniła się znacznie od Irlandki w nocnej
koszuli, śpiewającej „Jima Crowa”; była to bardzo zwyczajna z wyglądu młoda
kobieta z nieokreślonej klasy społecznej, ubrana prosto lecz elegancko w zieloną
suknię, mocno ściśniętą w talii, zgodnie z nakazami mody. Jej chuda twarz wy-
dawała się bardzo blada, także niemal zielonkawa, i dla wszystkich obecnych na
sali było oczywiste, że jest chora i cierpi. Lekarze orzekli, wyjaśnił mówca, sta-
rannie unikając przypisania sobie diagnozy, iż kobieta cierpi na uszkodzenie ja-
kiegoś organu wewnętrznego. Jego pomoc, ciągnął dalej, polega na „łagodzeniu
objawów”. Bardzo starannie dobierał słowa; nie twierdził, że ją leczy - lecz na
widowni natychmiast nastąpił gniewny wybuch. Błada kobieta siedziała spokoj-
nie na scenie.

Lekarze mimo woli ucichli, kiedy magnetyzer zaczął przesuwać dłońmi nad twarzą pacjentki, jej tułowiem i nogami. Cordelia od razu to spostrzegła, coś unosiło się w powietrzu: elektryczność, magnetyzm, jakkolwiek to nazywać. Monsieur Roland siedział obok nieruchomy i milczący; Rillie wychyliła się do przodu, skupiona w najwyższym stopniu.

Po kilku minutach zdawało się, że pacjentka zapadła w jakiegoś rodzaju trans, z szeroko otwartymi oczyma. „Oszust”, zdążył syknąć ktoś z widowni. Ktoś inny, z pierwszego rzędu, nie potrafiąc się opanować, wskoczył na podwyższenie i krzyknął coś kobiecie do ucha. Nawet nie mrugnęła. Pchnął ją: jej ciało poddawało się bezwładnie, gdy je szturchał. Ktoś na widowni zawołał: „Wstyd!”. Po chwili mężczyzna wrócił na swoje miejsce skrepowany. Magnetyzer zaczął wodzić dłońmi raz po raz nad chorą częścią ciała. Kiedy jego ręce znalazły się w okolicach talii kobiety - wszyscy obecni na widowni wychylili się teraz, czujni na każdy dowód niestosowności - poruszyła machinalnie dłońmi, naśladując magnetyzera, w rzeczy samej jak marionetka. Najcichszy szmer nie dobiegał od obecnych, obserwujących to niesamowite przedstawienie; wydawało się, jakby sami zapadli w trans magnetyczny. Gdy młoda dama została w końcu przywrócona do przytomności, poprawa była niemal zauważalna: jakimś cudem wyglądała na mniej chorą, nie tak udrećzoną, na jej policzki wróciło nieco kolorów. Kiedy schodziła ze sceny, nawet jej krok zdawał się zupełnie inny.

- Dziękuję - zwróciła się cicho do magnetyzera.

Oszust. Rzucone półgłosem słowo znowu dobiegło z widowni, lecz wypowiedziane z mniejszym przekonaniem; zapadła dziwna, wypełniona oddechami cisza. To byli inteligentni, wykształceni ludzie; ich umysły odrzucały to, czego byli świadkami, coś jednak widzieli: oszustwo bez dwóch zdań, lecz sprytnie zaaranżowane.

Następnie wstał drugi z mówców. Gdy tylko otworzył usta, od zebranych w zatłoczonej sali dobiegło jednoczesne westchnienie.

Na próżno mówił o uzdrawiających mocach mesmeryzmu, których działanie właśnie widzieli; na próżno powtarzał dobrze znany apel, przekonując lekarzy do sprawy. Ledwie bowiem zaczął mówić, obecni uświadomili sobie, że to rzemieślnik, przedstawiciel klasy robotniczej; wstrząsem (Rillie i Cordelia pojęły to natychmiast) była już sama myśl, że robotnik mógłby dyskutować z lekarzami na temat ich profesji - i nie miało znaczenia, że prezentował się bardzo elegancko.

Monsieur Roland westchnął głęboko. Wszędzie wokół sływały głosy, z początku cichsze, potem, gdy mówca starał się przemóc gwar, głośniejsze.

To przekraczało wszelkie granice. Już samo wzbudzenie niechętnego zainteresowania i szacowna młoda dama w bladej zieleni były godne krytyki. To jednak, by przedstawiciel niższych klas miał czelność stanąć przed wykształconymi lekarzami i dyktować im, co powinni myśleć; by sobie roił, że mógłby uzyskać władzę nad niektórymi z ich grona, przede wszystkim zaś nad kobietami: tego nie można było tolerować. Wszystko potoczyło się tak szybko, że Cordelia i Rillie, ponaglone przez monsieur Rolanda, ledwie zdołały się usunąć z drogi. Lekarze w swoich godnych szacunku surdutach wtargnęli na podwyższenie i zaatakowali magnetyzerów. Kobieta w zieleni krzyknęła. Któryś z medyków (Rillie przez wiele następnych wieczorów rozwodziła się nad tym z podziwem) chwycił wielki udziec jagnięcy i zaczął nim okładać jednego z magnetyzerów po głowie i plecach. Skutki bójki mogły się okazać poważne, gdyby ktoś nie miał dość rozsądku, by zdmuchnąć lampy.

Monsieur Roland odprowadził je do domu.

- Czy lekarze naprawdę się boją, że stracą władzę na rzecz magnetyzerów? - spytała Rillie. - Czy też słusznie się martwią o swoich pacjentów?

- Zapewne i jedno, i drugie - odparł staruszek. - Dlatego pragnąłem, by panie pojęły, czym się parają. Musi pani szanować swoje zdolności, Cordelio.

- Całe szczęście, że jesteśmy z zawodu aktorkami - zauważyła cierpko. - Mamy klientów tylko dlatego, że umiemy się wysławiać jak damy; to znacznie ważniejsze od wszelkich innych umiejętności. - Przystanąła na chwilę i zwróciła się twarzą do obojga. - Zupełnie niczym nie różnimy się od tego mężczyzny, który w tak oczywisty sposób nie był „dzentelmenem”. Jeśli nie jesteśmy oszustkami w jednym sensie, niewątpliwie jesteśmy nimi w innym. - A potem szybko ruszyła przodem i nie chciała rozmawiać o niczym, nawet o pojawieniu się jagnięcego udźca.

Nie dała się wyprowadzić z ponurego nastroju ani go sobie wyperswadować. Monsieur Roland wrócił do Kennington. Rillie w końcu poszła do domu na Ridinghouse-lane, niosąc małą lampę, otrzymaną od magnetyzera; miejscowy stróż, obwołujący godzinę, życzył jej dobrej nocy. Rozmyślała o tym, co widziały, i o Cordelii, której sercem targał skrywany ból.

Następnego dnia, gdy przed rozpoczęciem pracy przebierały się w kostiumy - powiewne szale i uniform służącej - strzepnąwszy je przed włożeniem, jakby brały udział w inscenizacji teatralnej, Rillie wskazała artykuł w gazecie, przyrównujący mesmeryzm do kolei żelaznej.

...Mesmeryzm to jeden z wielu sposobów, na jakie ujawnia się powszechna pogoń za nowością, techniką, grożąca zniszczeniem kruchego spokoju, niespiesznego tempa i sielankowego świata, w jakim powinniśmy pędzić życie.

- Na piekielne złości! - prychnęła Cordelia. - Jaki sielankowy świat? Co za idiota to napisał?

Nazwisko autora artykułu brzmiało William Wordsworth.

10

Rillie zaczęła znikać gdzieś tajemniczo.

Pod jej opieką znajdowały się finanse, listy i wszelkie dokumenty: wiedziała dokładnie, ile wydają, ile zarabiają. Obecnie, można by niemal powiedzieć, stały się kobietami majątynymi, lecz nie zmieniły stosownie do tego swoich zwyczajów: nadal wszędzie chodziły pieszo, piły porto i jadły kotlety z cebulą, smażone na niewielkim piecu przy łóżku Cordelii; Rillie wciąż po powrocie do domu przy Ri-dinghouse-lane utulała matkę do snu i opróżniała nocniki. Doszła do wniosku, że Cordelia musi „się rozerwać” i uczyniła w tym celu odpowiednie kroki. Widywano ją w odległych częściach Londynu -w Mayfair; w okolicach Oxford Street.

Pewnego dnia przybyła na Little Russell Street wcześniej niż zwykle, zakrzętała się wokół przygotowań do popołudniowych wizyt, włożyła strój pokojówki, przetała razem z Cordelia gwiazdy i lustra.

- Dziś wieczorem kończymy o szóstej - oznajmiła, gdy gwiazdy zostały dokładnie wypolerowane. Zamknęły okiennice, odcinając się od świata zewnętrznego; w pokoju zapanowała nierealna atmosfera blasku świec, półmroku i powiewnych jedwabnych szali. - Mam umówione spotkanie i chciałabym, byś ty też w nim wzięła udział.

- Jakie spotkanie? - spytała Cordelia, sadowiac się na krześle pośród cieni.

- Poczekaj, to zobaczysz - odparła przyjaciółka tajemniczo.

O wpół do siódmej, ukrywając bezpiecznie pieniądze pod deskami podłogi obok pieca („Żaden włamywacz nie uzna nas za tak głupie, by je chować przy ogniu”), wyruszyły w drogę. Była wiosna, chłodna i pogodna, wieczory stały się jaśniejsze, z kościoła św. Jerzego dobiegało bicie dzwonów.

- Może powinniśmy pójść na mszę - rzuciła Rillie.

- Wielkie nieba, po tym całym gadaniu o bluźnierstwie, w jakim celu?

Przyjaciółka się uśmiechnęła.

- Mniejsza o bluźnierstwo, nie widziałaś, z jakim zainteresowaniem proboszcz na ciebie patrzył?

Cordelia wyglądała na szczerze zaskoczoną. -Nie.

- Ha, nie mógł oderwać od ciebie oczu!

- Bo mnie uważa za wcielone zło, Rillie! Przez wszystkie lata, odkąd tu mieszkamy, żywa dusza nie pofatygowwała się do nas z kościoła, a w młodości znacznie bardziej przyciągałam uwagę!

- Nadal jesteś bardzo piękna, Cordie, wciąż da się to zauważyć. Może on jest tu nowy.

- Piękna! Och, Rillie, potrzebne ci powiększające okulary!

- Wiesz doskonale, że już takie mam.

- Silniejsze!

Minęły wieżę kościelną i wielkie kamienne kolumny. Cordelia zerknęła na Rillie kątem oka: przyjaciółce błyszczały oczy, szła szybko, wyprostowana jak trzcina. Żadnej z nich nie przyszło do głowy wziąć dorożkę albo kabriolet. Przeszły Totenharh Court Road, zajrzały na Ridinghouse-lane, a potem minęły szpital Middlesex i ruszyły dalej Newman Street, gdzie dzieci o brudnych buziach wykrzykiwały ordynarnie i kopały starą piłkę w zapadającym zmierzchu. Z pubów dolatywały chóralne śpiewy:

Choćby i najskromniejszy

To jednak najmiłszy - własny dom.

- A więc, Cordie - zaczęła Rillie, kiedy skręciły w Oxford Street - zdajesz sobie sprawę, ile mamy pieniędzy?

- Dość dużo, by się nie martwić o czynsz! - odparła Cordelia i tanecznym krokiem przeszła przez ulicę, jedną ręką unosząc spódnicę, by je uchronić od błota, śmieci i końskiego łajna, drugą przytrzymując kapelusz. - To była najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłyśmy w życiu. Wiemy o przyszłych małżonkach znacznie więcej niż lekarze czy filozofowie!

- Cóż, będziemy jeszcze mądrzejsze - odparła przyjaciółka.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Myślę, że powinniśmy wynająć apartament przy Duke Street.

- Przy Duke Street? - Cordelia przestała tańczyć na środku ulicy.

- Z lepszego końca - dodała Rillie.

- Nie stać nas na wynajęcie pokoi z żadnego końca Duke Street! Rillie pchnęła przyjaciółkę na drugą stronę, nim ją potrafi omnibus.

- Jeśli będzie nam szło tak dobrze jak teraz, za dziesięć lat będzie nas stać na kupienie mieszkania przy Duke Street!

- Nie wyprowadzę się z Little Russell Street! To mój dom!

- Oczywiście, że nie. A ja nie wyprowadzę się z Ridinghouse-lane. Nie sugeruję nic więcej niż przeniesienie na Duke Street interesu, żebyś mogła odzyskać swoją sypialnię, Cordie, i nie musiała sypiać z piecem! Widzisz, znalazłam pokoje: w suterenie, ale cóż to za suterena! Znacznie większa i z prawdziwymi schodami, a nie wąskimi i żelaznymi jak u nas. Dwa pokoje, piękny duży dla ciebie do pracy, z cudownymi nowoczesnymi żaluzjami w oknach. I mniejszy, cały do mojej dyspozycji, do przyjmowania klientów, z moim biurkiem i fletem!

- Ale nie całkiem rozumiem, po co to wszystko. I tak mamy masę pracy.

- Cordie, posłuchaj. Myślę, że powinniśmy teraz postawić sobie ambitniejsze cele... i podwyższyć ceny. Nie zajdziemy wyżej w suterenie, gdzie włosy przechodzą nam zapachem smażonej cebuli! Jeśli przeniesiemy interes, możemy mieć jeszcze bogatszych klientów! Możemy nawet umieścić na balustradzie moieżną tabliczkę, upewniłam się co do tego. „Freno-magnetyzerka: Porady dla narzeczonych”. Będziemy pracować na samym skraju Mayfair... mamy wielkie szczęście, że możemy wynająć tu pokoje, bo większość to domy rodzinne, ale pani Hortensja Parker...

- Pani Hortensja Parker?

- Pani Hortensja Parker, właścicielka, wierzy święcie w mesme-ryzm i freno-magnetyzerka bardzo ją zaciekaowała. Będziemy mogły liczyć sobie dwa razy więcej niż dotychczas, może nawet przyjmować arystokrację, znajdziemy się w

jej kręgu! Musiałybyśmy się bardzo postarać, by się nam nie powiodło! O właśnie... to tutaj.

Zastukała wypolerowaną na błysk kołatką, służąca otworzyła wielkie drzwi i zaprowadziła je przed oblicze rosnącej i prezentującej się po królewsku pani Hortensji Parker, która, jak odkryły zaintrygowane (nie wiedziały bowiem, że taka profesja istnieje), była aptekarką, obchodzącą codziennie Bond Street, by rozdystrybuować lekarstwa. Teraz poczęstowała je herbatą miętową.

Cordelia wciąż utyskiwała, lecz Rillie, głucha na krytykę i rozsądna, snuła coraz śmielsze plany.

- Kupimy gwiazdy! Zapłacimy za przewiezienie luster... albo kupimy ich więcej! A na Oxford Street możesz nabyć nowe szaty.

Cordelia jednak nienawidziła Mayfair. Zbyt jej przypominało czasy, gdy się tam przeniosła, by wywrzeć wrażenie na lordzie Morganie Ellisie. Przez pamiętny okres, zanim wyszła za mąż (lub też sądziła, że wyszła), jako chwilowa ulubienica Londynu mieszkała nie dalej niż trzy ulice od tego miejsca, w towarzystwie służącej i pięknych sukien, marzeń i nadziei.

- Nie lubię Mayfair. A jeśli nie zdołam pracować na Duke Street? Duch cioci Hester nie będzie tu nade mną czuwał. Moje miejsce jest w Bloomsbury!

Rillie zacmokała z dezaprobatą.

- Cordelio Preston, masz szansę zostać kobietą bogatą i co więcej, odzyskać swoją dawną sypialnię w Bloomsbury! Co się z tobą dzieje?

W końcu Cordelia otrząsnęła się, roześmiała i nawet przeprosiła przyjaciółkę. Idą w górę, a ona narzeka! Oprócz błyszczących gwiazd kupiły nowe suknie i buty pasujące do nowego otoczenia. Rillie, ku zadowoleniu Cordelii, porzuciła narzeczony strój służącej; ubierała się teraz raczej jak przełożone subiektów w sklepach na Strandzie. Wyglądała

dalej nad wyraz szacownie i kompetentnie. Kiedyś podczas zakupowego szaleństwa minęły koleżankę z teatru, którą znały od lat: Annie od pani Fortune.

- To Annie! - wyjąkała Rillie, zakrywając dłonią usta.

Stała jak wryta, nie mogąc się zdecydować, czy podejść do dawnej znajomej. Annie nie zauważyła koleżanek; być może nie poznałaby ich w kosztownych strojach. Postarzała aktorka, która w swoim czasie grywała Ofelię, wlokła się Oxford Street zgarbiona, powłócząc nogami. Wiedziały, że mogłyby się znajdować na jej miejscu.

Odkąd się przeniosły na Duke Street, zaczęły niekiedy wieczorami brać kabriolet albo wzywać dorożkę; dzięki temu miały okazję przejechać się niegdyś wytwornym, starym powozem z drugiej ręki, ze spłowiałymi tarczami herbowymi na drzwiczkach. Rillie jednak wciąż wracała na Ridinghouse-lane do matki, Reginy i nocników, a Cordelia - na Little Russell Street, do matowiejących szklanych gwiazd, zdobytych przed wieloma laty przez Kitty.

- Nie lubię opuszczać Bloomsbury, Rillie, naprawdę - wyznała Cordelia.

- Musimy zdobyć renomę wśród mieszkańców Mayfair - odparła przyjaciółka stanowczo. - Wtedy będziemy mogły pracować, gdzie nam się spodoba!

Duke Street była dla nich jak scena; potem wracały do domu.

Monsieur Roland obserwował ich niezwykle awans w wielkim świecie z lekką ironią; odrzucił uprzejmą ofertę, by się przyłączyć do ich interesu.

- Moje drogie, to niezwykle miłe z waszej strony. Mam jednak swoich klientów i własne pokoje i jestem z tego w pełni zadowolony.

Próbowały dać mu pieniądze, lecz wielce uprzejmie odmówił.

Od czasu do czasu mesmeryzował panią Spoons, która zdawała się idealnym obiektem: łatwo zapadała w trans; wlewał pewien spokój w jej ruchliwą, pogodną, niespokojną drobną postać; nieruchomiała i cichła, i wydawało się, że doskonale dzięki temu odpoczywa. Raz tylko ocknęła się z transu i oznajmiła:

- Rillie, kochanie, ten człowiek jest taki miły, całkiem jak ty. I Rillie zachowała tę chwilę niczym dar.

Pani Hortensja Parker napomknęła o nich dyskretnie, roznosząc swoje medykamenty. Na Duke Street zaczęły przychodzić damy, prawdziwe damy, ze swymi córkami. Cordelia badała młode, pełne nadziei główki, i mówiła o KOCHLIWOŚCI oraz MIŁOŚCI RODZICIELSKIEJ, a jeśli szacowne matki były obecne, liczyła, iż wezmą na siebie odpowiedzialność za subtelności nocy poślubnych, czekających ich córki. Obie z Rillie mogły teraz żądać pół suwerena od każdej klientki. Niektóre młodsze panny zjawiały się z narzeczonymi, więc za parę inkasowały całego suwerena. Wielu damom udawało się wrócić samotnie i zadać pytania, na które naprawdę chciały otrzymać odpowiedź. W powietrzu unosił się już jednak inny duch, Cordelia i Rillie wyczuwały go, niemal mogły dotknąć. Z początku sądziły, że to dlatego, iż znajdują się w Mayfair, nie zaś przy Little Russell Street, chodziło jednak o coś innego, głębszego. Królowa Wiktorija za-

częła się pojawiać publicznie: nie w krzykliwych strojach i stylu przywodzącym na myśl jej wuja, z którym Cordelia dawno temu jadła kolację, lecz ubrana jak wielce szacowna żona w wielce szacownym czepcu na głowie. Obowiązującym hasłem stały się wartości rodzinne. Cordelia i Rillie domyślały się, że jest rzeczą coraz mniej akceptowaną, by porządna młoda dama pokazywała się publicznie z mężczyzną niebędącym jej ojcem, bratem ani mężem. Oczywiście, wieś o Cordelii rozeszła się jakimś sposobem; młode damy wciąż potrafiły znaleźć drogę do sutereny przy Duke Street bez matek, teraz jednak przychodziły częściej parami, niekiedy nawet zostawiały służącą w korytarzu. Mimo nowej aury przyzwoitości wciąż udawało się im zapytać - gdy tylko kwestia ta została naświetlona przez bardzo teraz doświadczoną Cordelię - o noce poślubne.

- Mam już serdecznie dość pierwszych miłości! - sarknęła pewnego wieczoru.

Ni stąd, ni zowąd Rillie orzekła, że jest lato i ponieważ wielu ich klientów wyjechało na wieś, powinny zamknąć na tydzień Duke Street i także urządzić sobie wakacje.

- Wakacje? - powtórzyła Cordelia (która nigdy w życiu nie miała „wakacji”), zaskoczona tą nową Rillie i jej dyktatami.

- Ty musisz odpocząć od pierwszych miłości, no i obie musimy odpocząć od siebie, Cordie - wyjaśniła przyjaciółka bardzo rozsądnie.

Jakimś sposobem udało jej się zorganizować wyjazd z matką i sąsiadką Regina do Bath, do wód. (Rillie Spoons była rozsądną kobietą, rzadko rojącą o rzeczach będących poza jej zasięgiem, marzyła jednak, od zawsze, by zobaczyć elegancjki gości w tym najmodniejszym kąpielisku). Miała dość pieniędzy, by wynająć najlepszy apartament z waterklozetem, który zafascynował obie starsze panie, nie sądziła jednak, że Bath okaże się tak tłoczne, niespokojne i ruchliwe. Przeżyły niemało przygód, między innymi Regina omal się nie utopiła w jednym z pomniejszych basenów, pani Spoons zaś ukradła srebrny imbryk. Po powrocie Rillie uraczyła Cordelię nad portem, przy Little Russell Street, wszystkimi tymi historiami - oraz paroma innymi. Śmiały się do łez.

- Och, tak mi ciebie brakowało, Rillie - wyznała Cordelia, ocierając oczy. - Wakacje dobrze ci zrobiły, wyglądasz wspaniale, masz błysk w oku! Przepraszam za moje humory. Wiem, ileiniałysmy szczęścia.

Poczuła naraz ukłucie bólu: jakże bogate wydawało się życie przyjaciółki poza pracą w porównaniu z jej własnym, samotnością i tanimi szklanymi gwiazdami.

- To nie kwestia szczęścia - odparła Rillie - tylko ciężkiej pracy. Ja też za tobą tęskniłam. I zostaniemy barczzo bogate! - Oczy zabłyśły jej jeszcze mocniej; wypiły więcej porto niż zwykle, po czym bezwstydnie usmażyły kotlety z cebulą; łóżko Cordełii stało bezpiecznie w dużym pokoju od frontu, pod gwiazdami. - A ty gdzie byłaś, Cor-die? Nic nie mówisz.

- Och... po prostu starałam się zapełnić czymś czas, chodziłam na wycieczki i odpoczywałam. Wiesz, jak to jest.

Nie wspomniała, że przez ten tydzień, podróżując zarówno dniem, jak i nocą, pokonała drogę do Walii i z powrotem: gdzie odpływ nadal cofał się daleko jak okiem sięgnąć, odsłaniając ukryte skały i wraki statków; gdzie wiatr szumiał wśród traw i dzikich kwiatów; gdzie zdradliwe morze nadal rozbijało się o klify Gwyr. Kamienny dwór obok zamkowych ruin stał pusty i posępny, zamek popadł w większe jeszcze zaniechanie, stary dąb wciąż stał, węzłasty i tajemniczy, lecz nie chciał zdradzić swych sekretów. Był to dzień urodzin Morgana: uświadomiła sobie, że obchodziłby piętnaste. Dała to samo co zwykle ogłoszenie w walijskiej gazecie: *Matka poszukuje dzieci z domku na drzewie. Skrytka pocztowa...*

Cordelia zauważyła, że oczy Rillie nie tracą blasku. W zachowaniu przyjaciółki coś się zmieniło. Obserwowała ją ukradkiem z ciekawością; choć Rillie miała czterdzieści siedem - prawie czterdzieści osiem - lat i była trochę przy kości, jej uroda rozkwitła na nowo.

Kiedyś Rillie zjawiała się w Bloomsbury późnym wieczorem - niemal jak za dawnych czasów, gdy jako aktorki wracały z objazdu: o północy na żelaznych stopniach rozbrzmiewały energiczne, lekkie kroki, i była to Rillie z solidnym kamieniem ukrytym w kieszeni płaszcza. Cordelia siedziała przy ogniu, sącząc porto; poczęstowała przyjaciółkę, która pochłonęła je wielkimi łykami.

- Zgadnij! - zwróciła się do Cordelii.
- Książę Albert zaprosił nas do Windsoru.
- Nie, zgaduj jeszcze raz!
- Znalazłaś nam inny apartament.
- Zgaduj jeszcze raz!
- Powiedz sama.
- Tylko się nie denerwuj, Cordie, to niczego nie zmieni!
- Co niczego nie zmieni! - Cordelia wybuchnęła śmiechem.
- Zamierzam znowu wyjść za mąż!

Cordelia była tak zaskoczona, że upuściła kieliszek. Nie stłukł się, lecz porto rozlało się po deskach i wsiąkło w nie, jak wiele razy wcześniej. Nawet tego nie zauważyła, odruchowo napełniła nowy kieliszek i podała butelkę Rillie.

- Żartujesz?
- Nie - odparła przyjaciółka.

Cordelia opanowała się z ogromnym wysiłkiem: kochała Rillie Spoons. Rillie Spoons zasługiwała na prawdziwe szczęście. Lecz myśl, że przyjaciółka mogłaby zostać czyjąś żoną, wydawała się niemal nie do uwierzenia. To była Rillie, o której pierwszym małżeństwie Cordelia dowiedziała się dopiero wiele lat po fakcie; Rillie Spoons, która dzieliła nie tylko pokój, lecz nawet łóżko z własną matką.

- Ale... nie znasz nikogo, za kogo byś mogła wyjść? - zagadnęła ostrożnie.
- Jasne, że znam - odparła Rillie, wciąż z roześmianym wzrokiem.
- To druga propozycja małżeństwa, jaką otrzymałam, odkąd zaczęłyśmy nasz nowy interes!

Cordelia wyglądała na zawstydzoną.

- Przepraszam... oczywiście, masz własne życie, o którym nawet nic nie wiem. Tylko...

- Tylko, Cordelio Preston, ty też byś miała starających się, gdybyś nie żyła tak bardzo zaprzątnięta swoimi troskami. Choćby proboszcza!

-Co?

- Zawsze wygląda, kiedy przechodzisz! Zauważyłaś go; wiesz, że to prawda.

- On nie chce się ze mną ożenić! Chce, żebyśmy się nawróciły i zamknęły interes! Wydaje się okropnie nadęty w tych swoich szatach i ma ze sto lat!

- Nie zapominaj, że my też nie jesteśmy najmłodsze - zauważyła Rillie. Dolała im porto. - Ma pięćdziesiąt dwa.

- Kto, twój narzeczony?

- Nie, on ma czterdzieści dwa; proboszcz skończył pięćdziesiąt dwa, spytałam damę, która dba o kwiaty w kościele.

- Rillie, rozmawiamy o twoich planach na przyszłość, nie o moich!

- W zeszłym roku pewien mężczyzna z Ridinghouse-lane poprosił mnie o rękę, ale miałam przeczucie, że chce, bym się nim opiekowała jak mamą i Reginą. Chyba doszedł do wniosku, że chętnie się przyłączy do klubu! Ale rozmawiamy o Edwardzie. - Oczy Rillie zatańczyły. - Edward brzmi jego imię, Edward Williams. Rillie Williams... och, Cordie, to tak melodyjnie brzmi, nie sądzisz? Nie chce, żebym się nim opiekowała, nie ma nic przeciwko temu, bym dalej pracowała... zresztą powiedziałam mu, że tak czy inaczej, nie porzucę zajęcia, więc to niczego nie zmieni między tobą i mną, Cordie droga. Och, zawsze chciałam wyjść znowu za mąż i móc się do kogoś przytulić! I on oczywiście nie może się doczekać, by cię poznać.

- Zbadam frenologicznie, czy do siebie pasujecie. - Spostrzegła wyraz przerażenia na twarzy przyjaciółki. - Nie, żartowałam tylko. Och, Rillie, to wspaniale! Ale... jak go poznałaś? On też mieszka przy Ridinghouse-lane?

- Nie, poznałyśmy go w Bath w dniu, kiedy mama ukradła imbryk do kawy.

- No cóż, piękny sposób na zawarcie znajomości z twoją rodziną! - Cordelia wybuchnęła śmiechem.

- Nie, wszystko zrozumiał. Powiedział, że miał babkę, która też wpadła w obłąd, więc wziął imbryk. - Cordelia starała się nadażyć. - To znaczy, zobaczył mnie z imbrykiem i Reginą, i mamą, i bagażami, i zapytał, czy może pomóc,

więc poprosiłam, by możliwie dyskretnie oddał imbryk; był ze srebra, rozumiesz, i mamie chyba się spodobało, jak błyszczący.

- Ale to było zaledwie przed miesiącem! I już się pobieracie?

- Miłość nie lubi zwlekać, Cordie! Tak bardzo liczyłam, że się do mnie odezwie, kiedy wrócimy do Londynu, i tak zrobił!

- Ale gdzie będziecie mieszkać? Co z twoją mamą? Czym on się zajmuje? I... czy jesteś pewna, że nie chce, żebyś porzuciła nasz interes?

- Wręcz przeciwnie... zresztą i tak bym tego nie zrobiła, wiesz o tym. Nasza praca bardzo go ciekawi i wszystko mu opowiedziałam, jak byłyśmy aktorkami... on nie należy do ludzi, których szokują takie rzeczy, to człowiek światowy, Cordie... i jak zaczynałyśmy pełne obaw, i jaki sukces odniosłyśmy, i że mamy terminarze wypełnione po brzegi. Przeprowadziłam go tu, pokazałam mu nasz znamienity apartament! Więc wszystko obmyślimy z Edwardem, ale to nie wpłynie na nas... to znaczy ciebie i mnie... przyrzekam! Och, Cordie, czy to nie cudowne? W moim wieku! Naprawdę nie chce mi się wierzyć.

- Czy ma iskierki w oczach... tak jak lubisz?

- Tak! Umie mnie rozbawić, a ja potrafię rozweselić jego i będziemy żyć razem długo i szczęśliwie! Och, już jestem taka szczęśliwa!

I Cordelia roześmiała się także, widząc krągłą, rozpromienioną twarz przyjaciółki.

- Rillie, to naprawdę cudowne. W niedzielę wyprawię uroczystą kolację, zaprosimy monsieur Rolanda, zaprosimy proboszcza, zaprosimy Annie, kupimy szampana. Nalej sobie jeszcze porto!

Wkrótce ich śpiewy poniosły się po Little Russell Street, gdzie zapewne proboszcz kościoła św. Jerzego w Bloomsbury nastawiał uszu.

Choćby i najskromniejszy

To jednak najmiłszy - własny dom.

- śpiewały.

Nie zdołały odszukać Annie, starej aktorki, którą widziały na Oxford Street, choć Rillie udała się na poszukiwania do pani Fortune, a co do proboszcza, Cordelia tylko żartowała, lecz monsieur Roland był zachwycony. Cordelia przyrządziła wielki kawał wołowiny, dokładając suto do ognia i kolejny raz doceniając, że sypia teraz we frontowym pokoju, a nie przy piecu. Zamierzała też podać

bekon i ziemniaki, kapustę i marchew - potrawy, jakie ciocia Hester przyrządzała niekiedy na niedzielę. Usmażyła cebulę: teraz smażona cebula mogła sobie przyskać pod sufit, jeśli przyszła jej na to ochota; zapach nie wnikał we włosy Cordelii podczas snu. Nabyła butelkę szampana, jak mają w zwyczaju prawdziwe damy i dżentelmeni, oraz ogromny zapas porto. Odsunęła łóżko pod ścianę, ustawiła stół pośrodku salonu, kupiła kwiaty. Cieszyła się, że nie straci Rillie, cieszyła się, że panu Edwardowi Williamsowi nie przeszkadza, iż jego przyszła żona nie porzuci pracy. W głębi duszy zdawała sobie sprawę, że zazdrości przyjaciółce szczęścia, lecz zignorowała tę myśl. *Małżeństwo nie jest dla mnie*. Cieszyła się szczerze szczęściem Rillie.

Monsieur Roland również się ucieszył.

- Zauważyłem, że Rillie z niezwykłą troską opiekuje się innymi - oświadczył Cordelii, gdy czekali na pozostałych. - Dobrze, że znalazła kogoś, kto zatroszczy się o nią.

Przyniósł żółte róże.

W końcu zjawiała się Rillie z panem Edwardem Williamsem. Był od niej nieco młodszy, lecz spoglądał na nią z uczuciem. Nosił się szykownie, co prawda, wedle mody sprzed dwudziestu lat, za to z pewnością miał błyszczące oczy i rzucał roziskrzone spojrzenia na Cordelie i monsieur Rolanda. Zasiedli wszyscy we frontowym pokoju; okiennice otwarto szeroko, by wpuścić do środka popołudniowe wrześnie słońce, które stłumiło blask gwiazd. Oczywiście musieli zapalić lampy, lecz tylko kilka; ich cienie tańczyły pomiędzy snopami słońca i światłem płomieni, na ulicy sprzedawca babeczek zachwalał swoje wyroby i biły kościelne dzwony.

Pan Williams, jak się okazało, pracował w banku. Opowiadał im bardzo zabawne, niedyskretne historyjki o klientach; o rzeźniku ze Smithfield, który co tydzień przynosi sporą sumkę w zakrwawionych dłoniach; o innym mężczyźnie, jak się okazało, oszuście nakłaniającym damy do wpłacania znacznych kwot na swoje konto. Dyrektor banku miewał nawet do czynienia z przedstawicielami arystokracji.

- Który to bank? - zapytał monsieur Roland i gdy usłyszał nazwę, wywarło to na nim odpowiednie wrażenie.

Był tego wieczoru niezwykle wylewny: opowiadał o studenckich latach w Paryżu po rewolucji: niemal czub' jej energię i uniesienie, drżeli, kiedy przerodziła

się w terror. Cordelia wspomniała o drugiej roli w swojej karierze aktorskiej: grała księcia w Tower. Miała wtedy cztery lata.

- Zatem jaka była pierwsza? - spytał pan Williams.

- Jak mi się zdaje, grałam skradzione niemowlę - wyjaśniła, sięgając po wino.

Była to niezwykle przyjemna kolacja; wypili zdrowie szczęśliwej pary szlachetnym szampanem.

- Kiedy zamierzają się państwo pobrać? - zapytał monsieur Roland.

- Wkrótce! - odparła Rillie z błyskiem w oku.

Pan Williams, z policzkami zarumienionymi od porto, napomknął o uporządkowaniu interesów swojej zmarłej żony.

- Och, tak mi przykro - powiedziała Cordelia cicho. - Jest pan wdowcem?

- Jestem wdowcem, owszem, lecz już niedługo. - Uśmiechnął się do Rillie. - Choć tego rodzaju interesy zawsze pochłaniają więcej czasu, niż przewidujemy. A skoro o tym mowa, mam nadzieję, że okażę się pani przydatny, panno Preston, Rillie bowiem wspomniała mi o... niemądrym, jeśli mogę tak powiedzieć... zwyczaju trzymania pieniędzy pod podłogą. Każdy może je znaleźć.

- Nie każdy - odparła z uśmiechem. - Zapewniam.

Jak wielu innych mieszkańców, tego pięknego dnia udali się na przechadzkę na Bloomsbury Square, gdzie stary polityk Charles James Fox, który tak bardzo lubił teatr, siedział unieśmiertelniony w brązie, oglądając niedzielne popołudniowe przedstawienie.

- To było kiedyś moje... miejsce - wyznała Cordelia ściszym głosem monsieur Rolandowi. - Jako dziecko przychodziłam tu wieczorami i jadłam babeczki.

- Wiedziała, że on wie, o czym mowa: był obecny, gdzieś, w tamtych odległych dniach, choć wówczas nie zdawała sobie z tego sprawy. - Nadal czasem tu przychodzę rozmyślać! - Uśmiechnęła się z dystansem, ale on słuchał uważnie.

Przeszli Bedford Place do Russell Square Gardens, gdzie księżę Bedford na wieki bohatersko siedział na swoim koniu.

- Chciałabym mieszkać przy Bedford Place - ciągnęła dalej; zostali nieco z tyłu. Szczęśliwy śmiech Rillie niósł się w powietrzu, trzymała pana Williamsa za rękę. - Pożadam tych wielkich domów, odkąd byłam małą dziewczynką. - Wskazała jedno z wysokich, eleganckich okien.

- Nie wolno pozwolić, by za niego wyszła - mruknął magnetyzer tonem swobodnej konwersacji. - To oczywiście pani dziedzina, nie moja, lecz nie wolno do

tego dopuścić. Proszę go znowu zaprosić w przyszłą niedzielę. Potrzebny mi tylko tydzień.

Trójka gości pożegnała się wkrótce potem, nie było więc szansy na dłuższą rozmowę.

Przez cały tydzień Rillie wyśpiewywała przy polerowaniu gwiazd: jej radosny głos dobiegał Cordelię z sąsiedniego pokoju, gdy witała i żegnała klientów.

- Edward zapewni nam w swoim banku doskonały procent, Cordie - powiedziała, kiedy liczyły wpływy z całego dnia. - To znacznie lepsze niż schowek pod podłogą! Był absolutnie wstrząśnięty, tym, że tam trzymamy pieniądze! Mówi, że bogaci ludzie tak nie robią! I pomoże nam, oczywiście. Mówi, że potrzebujemy mężczyzny, by zajął się wszystkim jak należy.

Cordelia spojrzała na szczęśliwą, szczerą twarz przyjaciółki.

- Może nie byłoby źle poczekać do waszego ślubu, zanim wprowadzimy zmiany - zauważyła.

- Ale czemu?

- Rillie - zaczęła. - Posłuchaj - zaczęła mówić bardzo szybko. - Rillie, właśnie wpadłam na fantastyczny pomysł i możliwe, że bardzo pilnie będziemy potrzebowały pieniędzy.

- Jaki fantastyczny pomysł?

- Wiesz, jak świetnie nam idzie. Mogłybyśmy wynająć wytworniejszy apartament!

- Wytworniejszy niż Duke Street?

- Czemu nie?

Rillie wyglądała na zbitą z tropu.

- Sądziłam, że nie interesują cię takie sprawy, Cordie.

- Rillie Spoons! Zmusiłaś mnie, bym się nimi zainteresowała! Nasze dochody rosną z dnia na dzień! Oczywiście, nie musimy wydawać też twoich pieniędzy, pan Williams może mieć coś przeciwko temu, ale...

- Nie bądź głupia, Cordie, oczywiście, że nie będzie miał.

- ...ale jeszcze tylko na miesiąc zostawmy pieniądze, tam gdzie są. Jeszcze tylko na miesiąc.

- On wcale nie nalega, mój złociutki. Ale to dla mojego dobra. Mówi, że nie umie się powstrzymać, że w oczywisty sposób potrzebujemy mężczyzny, by się wszystkim zajął... no i przecież jest bankierem, więc się na tym zna!

Cordelia zaczęła mówić jeszcze szybciej:

- Powiedz, że to niespodzianka, Rillie, jeszcze tylko miesiąc.

- Wytworniejszy apartament? W porządku, Cordie. Cieszę się, że nam starczyło odwagi, by zmienić swoje życie! -1 przyjaciółka roześmiała się radośnie. - Kto wie, jak to się skończy!

- Tak, że staniemy się bogate jak królowa i księżę Albert! - Po czym, co u niej było niezwykle, objęła Rillie. - Jeśli przez miesiąc nie zdołam wprowadzić w życie mego fantastycznego planu... tym razem zostaw wszystko mnie... obie złożymy pieniądze w banku Edwarda!

- W porządku, Cordie. - Rillie była szczęśliwa. - Powiem mu o tym.

Następnej niedzieli w suterenie, przy pieczeniu wieprzowej, winie i zabawnych historyjkach, które wszyscy opowiadali, monsieur Roland rzucił swobodnie:

- Jak mniemam, mamy wspólnego znajomego, panie Williams. Pan Williams z wielką pieczołowitością odłożył widelec.

- A któż to miałby być, monsieur?

- Zna pan, jak sędzę, pułkownika Arthura?

Odpowiedź poprzedziła trwająca ułamek sekundy pauza.

- Pułkownika... Arthura?

- Pułkownika Randolpha Arthura. Z pułku księcia Walii.

- Sędzę, że musiała zajść jakaś pomyłka - odparł pan Williams.

- No cóż... zapewne - zgodził się magnetyzer, rozmowa zboczyła na inne tory i swobodny śmiech poniósł się z sutereny aż na ulicę.

Znowu udali się na spacer na plac, lecz było chłodniej niż tydzień temu i wkrótce wrócili.

- Nie mogę się doczekać przyszłej niedzieli - oznajmiła Cordelia, odprowadzając do wyjścia Rillie i pana Williamsa. - Od lat nie bawiłam się tak doskonale. Ugotuję coś dobrego. - Pan Williams skłonił się nisko nad dłonią gospodyni w drzwiach sutereny, a potem ruszył za Rillie po wąskich żelaznych stopniach. Usłyszeli jej radosny głos, z wolna cichnący w ulicy.

- To prawda, że od lat się tak dobrze nie bawiłam! - rzuciła wyzywająco do monsieur Rolanda, kiedy zostali sami. - Zbyt wiele przebywałyśmy same, odkąd

otworzyłyśmy interes. Nigdy nie chodziłyśmy na spacer po placu. Dzięki panu Williamsowi Rillie jest szczęśliwa, więc niech robi, na co ma ochotę, to także jej pieniądze. Nie powinniśmy interweniować.

- W rzeczy samej - mruknął; sięgnął po laskę i zaczął ją obracać w dłoniach, przyglądając się jej uważnie. - Lecz chciałabym zauważyć, że wiele o nim wiem.

- Skąd?

- Mam... kontakty - odparł.

Cordelia spojrzała na niego zdziwiona. Z lekkim dreszczem uświadomiła sobie naraz, jak niewiele w gruncie rzeczy o nim wie: tylko tyle, że praktykuje mesmeryzm w Kennington i znał kiedyś ciocię Hester.

- To znaczy? - zapytała, spostrzegł, że ją wytrącił z równowagi; niespokojnie przeszła się po pokoju.

- Moja droga Cordelio, to pani jest specjalistką od niedoszłych związków małżeńskich.

Odczekał chwilę, ona tymczasem przemierzała suterene.

- Wie pan, że jestem oszustką - powiedziała na koniec cicho. - Jedyne snuję domysły. Patrzę na ich twarze. Nauczyłam się wyszukiwania obszarów odpowiadających skłonnościom, lecz przede wszystkim zgaduję. To po prostu... instynkt. Tak zarabiamy na życie. - Ujrzała wyraz jego twarzy. - Monsieur Roland, mesmeryzm to coś więcej, coś innego, wiem. Szanuję to. Nasza działalność nie ma nic wspólnego z mesmeryzmem.

- Zatem co instynkt podpowiada pani na temat Williamsa? Dołała sobie porto.

- Och, na piekielne złości! - zaklęła. - W porządku. Chcę, żeby to nie była prawda. Chcę, żeby Rillie znalazła szczęście, nawet jeśli jej trochę zazdrozczę. Ale... - Spojrzała na magnetyzera, wzruszyła ramionami. - On zbyt wiele mówi o naszych pieniądzech. O tym, jak będzie za nas prowadził interes, sprawi, że staniemy się bogatsze i bezpieczniejsze, przejmie wszystko. Udało mi się przekonać Rillie, żeby na razie nie dawała mu ani pensa. Trochę za bardzo stara się nas zabawić. I - spojrzała na magnetyzera przez pokój - wiedział, kim jest pułkownik Arthur.

- Zatem pani instynkt i mój pracowały zgodnie, to wszystko. Nietrudno było ustalić, że Williams nie pracuje w banku. Następnie udałem się do pułkownika Arthura, którego nazwisko otrzymałem od jednego z moich pacjentów.

Cordelia naraz sobie przypomniała, jak wielki szacunek okazywano monsieur Rolandowi na zebraniu magnetyzerów. Cieszył się wielkimi wpływami w swoim

środowisku, posiadał zatem znaczące kontakty; jak mogli sobie tego nie uświadamiać?

- Pułkownik Arthur ma córkę, nieco młodszą od Rillie, która straciła wskutek oszustwa bardzo znaczną sumę. - Zauważył, że na twarzy Cordelii pojawił się lęk. - Nie. To nie był pan Williams (choć nie sądzę także, by zawsze używał tego nazwiska), tego jestem pewien, w przeciwnym razie nie pozwoliłbym Rillie wyjść dziś wieczorem. To był znacznie młodszy mężczyzna. Krążą jednak pogłoski, że istnieje, jak się zdaje, coś na kształt luźno powiązanej szajki, działającej razem, polującej szczególnie na... przepraszam, moja droga... niezamężne kobiety w pewnym wieku. Jak już wspomniałem, pan Williams z całą pewnością nie pracuje w banku, którego nazwę podał.

Cordelia zamarła nagle zupełnie nieruchomo.

- Ale w takim razie... jak mógł pan być tak lekkomyślny?

- Nie rozumiem.

Serce zabiło jej niespokojnie.

- No jak to, z pewnością pan rozumie... Teraz go pan ostrzegł.

- Co może zrobić?

- Co może zrobić? Może zabrać Rillie prosto na Ridinghouse--lane i ukraść pieniądze spod podłogi, jeśli uzna, że wie pan coś na jego temat.

- Sądziłem, że trzymają panie pieniądze tutaj.

- Tylko do końca każdego miesiąca. Potem regulujemy płatności i dzielimy się resztą. Rillie ma setki funtów ukryte przy Ridinghouse--lane.

Monsieur Roland wyglądał na zaskoczonego.

- *Mon Dieu!* Zatem sugeruję, byśmy natychmiast się tam udali. A jeśli popełniłem błąd, bardzo, bardzo mi przykro.

Wzięli dorożkę. Było już prawie ciemno. W pośpiechu wspięli się po schodach, słysząc, jak Regina czyta dramatycznie pani Spoons jedno z groszowych pisemek: *...w mgnieniu oka pociągnięto zabójczą zasuwę, zapadnia otwarła się i został posłany do wieczności....*

- Regino! - przerwała jej Cordelia, stając w drzwiach. Kobieta przerwała czytanie.

- Witaj, kochaniutki - zwróciła się do monsieur Rolanda. - Przyszedłeś odprawić kolejne czary nad naszą dziewczynką? Dobry z ciebie człowiek, słowo daję.

- Gdzie Rillie? - spytała Cordelia.

- Och, zajrzeli tylko na chwilę, zaraz wyszła znowu ze swoim przyszłym i z jeszcze jednym człowiekiem.

- Dokąd?

- Nie mówili.

- Kim był ten drugi?

- Nie mówili.

Cordelia szybko podeszła do miejsca, gdzie, jak wiedziała, Rillie chowała pieniądze: deski zostały zdjęte. Pani Spoons się uśmiechnęła.

- Witaj, kochaniutki - zwróciła się do monsieur Rolanda.

- Zniknęły! - krzyknęła Cordelia; w jej głosie brzmiała panika. - Wszystkie pieniądze zniknęły!

- Nie, wcale nie - odparła Regina szybko. - Od dawna mam go na oku, tego jej przyjaciela dżentelmena. Wiedziałam, że nie przyszli w dobrych zamiarach.

- Ciągłe powtarzasz „oni”.

- Mówiłam ci, przyprowadził ze sobą drugiego mężczyznę. Widziałam, jak się tu kręcił. Ale mnie nie oszukają. Zapakowałam pieniądze Rillie w jedną ze starych gazet, już ładnych parę dni temu, i wszystko wetknęłam pod materac na łóżku. Dzisiaj wieczorem ich szukali; nakrzyczeli na Rillie, że ich zwiodła, ale ja siedziałam cicho. Takie dwie stare wariatki jak my oczywiście nie mogą być niczemu winne, tak sobie pomyśleli.

- Zabrali Rillie wbrew woli?

- Wbrew woli? Niby jak? Widziałaś ją, zakochana po uszy, tak?

- Regino!

- No dobrze, był na nią bardzo zagniewany, to jasne, a ona nie pojmowała, z jakiej racji, i jeśli mnie się pytasz, bardziej się przejęła jego gniewem niż tym, że straciła pieniądze, głupia dziewczyna. „O co chodzi, Edwardzie? Dokąd idziemy?”. Tyle słyszałam, jak wychodziła, ale poszła całkiem chętnie.

- Cordelio - odezwał się naraz monsieur Roland. - Sądzę, że powinniśmy natychmiast wrócić na Little Russell Street.

Zobaczył wyraz zdumienia na jej twarzy.

- Po co? Musimy odszukać Rillie!

- Zapewne uznali, iż jest tam pani teraz sama. I że pieniądze znajdują się pod podłogą u pani, czyż nie?

- Ach, dwie słabe kobiety, samotne w suterenie? I już zbiegała po schodach.

Drzwi mieszkania na Little Russell Street stały otworem - zobaczyli to, gdy tylko zbiegli po żelaznych schodkach - lecz suterena nie była pusta. Deski podłogi częściowo zdjęto (z wyjątkiem tych pod piecem; nikt rozsądny by tam nie szukał). Ujrzeni dwóch mężczyzn; jeden z nich, próbując podważyć kolejną, opuszczył się do otworu i utkwiał w pułapce z nogą uwięzioną w dziurze, skąd unosił się mało pociągający zapach. Spozrzegł dwójkę gości: dzielnie podciągnął się w górę, lecz sąsiednie deski załamały się pod jego ciężarem; gdyby nie był to jej własny dom, Cordelia wybuchnęłaby śmiechem, tak dziwacznie wyglądał z dolną połową ciała obsypaną drzazgami i pokrytą cuchnącym czarnym błotem. W tym momencie dostrzegła coś jeszcze: Rillie krew ciekła z nosa.

Nawet po tylu latach nie zapomniała lekcji udzielanych przez starsze panny Preston. To był jej dom: wiedziała, gdzie znajdzie miotłę, nie musiała się rozglądać za żelazkiem. Jak szalejąca furia rzuciła się na pana Williamsa z jednym i drugim. Monsieur Roland lekkim ruchem wysunął łaskę, przewracając drugiego mężczyznę (który, utyłany w drzazgach i błocie, zamierzał właśnie wybiec). Na betonowym podeście na zewnątrz rozległ się głuchy łomot.

- Ty wieprzu! - wrzasnęła Cordelia do pana Williamsa i uderzyła go żelazkiem.
- Co zrobiłeś Rillie? Spójrz na nią. Ty wieprzu!

I znowu uderzyła go żelazkiem w twarz. Uchylił się tym razem, chwycił marmurową głowę i nią cisnął: Rillie krzyknęła ostrzegawczo, Alphonse wylądował w ramionach monsieur Rolanda; w zamieszaniu pan Williams wybiegł na podest, chwycił zataczającego się, utyłanego przyjaciela. Usłyszeli ich chwiejne kroki na żelaznych stopniach i napastnicy zniknęli.

- Nie wspomniałam im o deskach pod piecem - oznajmiła Rillie Spoons; głos jej drżał.

Wokół pełno było błota i połamanych desek.

- Piekielne złości! - Cordelia zgięła się wpół, próbując złapać oddech. - Piekło i szatani! Musimy znaleźć prawdziwy bank! Regina schowała bezpiecznie twoje pieniądze, Rillie. Jestem na to za stara, słowo daję, to jak występy na scenie i powrót z trzeciego objazdu!

Wydawało się niemal, jakby pan Edward Williams (który, jak się dowiedziały od monsieur Rolanda, został aresztowany z innego powodu i osadzony w więzieniu Millbank) oddał im przysługę, pchnął je na dobre w nowe życie.

Zanim liście na Bloomsbury Square pokryły się żółcią i złotem i opadły w błoto, między nawóz i stare gazety, Rillie i Cordelia znalazły nad wyraz szacowną instytucję finansową, by w niej złożyć oszczędności. Przeprowadziły się do dużego domu tuż obok Bloomsbury Square, na Bedford Place: jednego z owych pięknych budynków, w których Cordelia pragnęła zamieszkać w dzieciństwie. Wyglądając przez wysokie, eleganckie okna, widziała pomnik pana Foksa, który dawno temu z taką uprzejmością potraktował jej matkę i ciotkę.

Tym razem przeniosły się na dobre, wszystkie razem. Rillie, lecząc rozdarte serce, rzuciła się w wir pracy. Miały tu nieprzeliczone sypialnie. Miały waterklozety i krany z wodą pod dachem. Na tyłach ogród z trawnikiem, drzewami i kwiatami, oraz małym kamiennym aniołkiem dokładnie pośrodku. Rozważywszy, jakie istnieje prawdopodobieństwo, że pani Spoons zawędruje bez ubrania do pokoju przyjęć, umieściły ją i Reginę na najwyższym piętrze wraz z Rillie. Wiedziały, jak bardzo staruszka uwielbia towarzystwo; jeśli usłyszała głosy, chciała się przyłączyć do kompanii, lecz za sprawą jakiegoś spięcia w mózgu nie przebierała się na spotkanie, lecz właśnie pozbywała stroju. Regina miała tylko jedno zadanie: znaleźć jej zajęcie na górze popołudniami, kiedy zjawiali się klienci.

- Będę jej czytać gazety - obiecała dawna lokatorka, którą trzeba było bardzo długo namawiać do przeprowadzki, lecz ostatecznie dała się przekonać dzięki waterklozetowi. - Bardzo to lubi.

Cordelia zainstalowała się na środkowym piętrze; klienci odbywali konsultacje na parterze, obok gabinetu Rillie oraz niewielkiego saloniku, wychodzącego na ogród. Ustaliły nawet, choć Rillie bardzo się temu sprzeciwiała - „Przecież sama mogę wykonywać wszystkie prace domowe” - że najmą służbę. W suterenie umieszczono kuchnię, obok niej ulokowały się dwie służące. Przyjaciółki zrezygnowały z zatrudnienia lokaja, decydując się zamiast tego na cieślę ogrodnika w jednej osobie.

Tak zatem Cordelia pożegnała się ostatecznie z cokolwiek podupadłą suterena przy Little Russell Street (zanim dały ogłoszenie, postarały się w miarę możliwości ułożyć deski z powrotem). Właściciel (wnuk mężczyzny, z którym dobiła niegdyś interesu Hester) próbował je oczywiście obciążyć kosztami, lecz Cordelia zgodziła się mu dać jedynie trzecią część żądanej sumy i oznajmiła bardzo dumnym tonem, że powinien był już dawno wymienić przegniłą podłogę. (W rzeczywistości obie z Rillie roztrząsały, czy wsiąkające w nią przez lata porto mogło się przyczynić do jej opłakanego stanu).

Cordelia wzięła kilka bardzo głębokich oddechów i nie rozplakała się, kiedy zdejmowały spod sufitu stare szklane gwiazdy. Pomyślała jednak o Kitty i Hester; ile suterena znaczyła dla nich wszystkich. Przemawiała łagodnie do ich duchów, zbierając lichtarze, książki, lustra i Alphonse'a; wyjaśniła, że zamieszka tuż za rogiem: nadal pozostanie w Bloomsbury, gdzie jej miejsce. *Ale muszę wrócić do nazwiska Preston*, pomyślała nagle. *Jestem im to winna*. Kiedy na zawsze opuszczała suterena, skinęła figlarnie Alphonse'em pięćdziesięciodwuletniemu proboszczowi, który przypadkiem właśnie przechodził i zdążył posłać jej oburzone spojrzenie, równocześnie oblewając się rumieńcem.

Z początku nowy pokój przyjęć z ogromnymi oknami niemal je przytłoczył. Jednakże okiennice i zasłony w miarę potrzeby odcinały dostęp światła; Cordelia i Rillie nabyły też nowe błyszczące gwiazdy i większe lustra oraz udrapowały na nich barwne szale. Wielki pokój miał dębową podłogę i piękne dywany; koniec końców zaryzykowały i lekkomyślnie kupiły żyrandol. Nabyły modne meble: ulegając ostatniemu szaleństwu na woluty i gałki, umieściły Alphonse'a w chwale na dużym stole o kręconych nogach. Stroje Cordelii pozostały jednak proste; w najmniejszym stopniu nie przypominała omdlewającej damy w egipskim turbanie z Hanover Square, twierdzącej że widziała swoją matkę w Afryce. Rozważały też kupno klawikordu lub nowego instrumentu, fortepianu, ale obie czuły, że flet jest bardziej naturalny; pamiętały nedorzeczną orkiestrę skrzypcową oraz łoskot gromu w salonach innych magnetyzerów. Cordelia z lekkim zawstydzeniem porozmawiała z monsieur Rolandem o fre-no-mesmeryzmie, wspominając mężczyznę, który masował głowę damy, prowokując ją do śmiechu, śpiewu i ciskania przedmiotami. „To było okropne”, oznajmiła. Uparła się, by używać swego prawdziwego nazwiska - wbrew obiekcjom Rillie, że mogą stracić klientów lub ktoś może ją sobie przypomnieć z czasów, gdy była aktorką „Muszę się nazywać panna Preston. Jestem to winna Hester i Kitty”. Pani Hortensja Parker, aptekarka,

pomogła w przemianie, rozpowszechniając na Bond Street (z największą dyskrecją) plotkę, że ciotka Cordelii, poprzednia panna Preston, mesmeryzowała starego króla, zaś panna Cordelia Preston, odkąd wróciła do nazwiska sławnej krewniaczki, zaczęła otrzymywać sekretne propozycje z pałacu.

Na koniec umieściły na drzwiach domu przy Bedford Place mosięzną tabliczkę, tak dyskretną, że niemal niewidoczną. Głosiła ona: *Panna Preston, magnetyzerka*. Jednak sława Cordelii (czy to jako frenologa, czy magnetyzerki, czy też doradczyni udzielającej wskazówek młodym damom) miała teraz szeroki zasięg, nazwisko nie było takie ważne; mosięzna tabliczka okazała się właściwie zbyt tuczna: klienci i tak przybywali tłumnie, starzy i nowi.

Na próżno proponowały pokoje monsieur Rolandowi. Raz jeszcze odmówił z wdziękiem.

- Mam własne mieszkanie i własnych klientów w Kennington -odparł. - Lecz, oczywiście, z przyjemnością nadal będę panie odwiedzał, jeśli zechcą mnie łaskawie zaprosić.

Ze szczególną życzliwością odnosił się do Rillie, kilka razy poprosił, by zagrała mu wieczorem na flecie, gdy siedział w ogródku z kamiennym aniołkiem.

- Doskonała z pani flecistka - pochwalił; oboje z Cordelią udawali, że nie dostrzegają smutku pojawiającego się niekiedy w jej oczach.

Magnetyzerka całkiem często odwiedzała monsieur Rolanda w jego apartamentach niedaleko zajazdu Pod Słoniem i Zamkiem; omawiała z nim swoje doświadczenia, w miarę jak z coraz większą pewnością siebie używała mesmeryzmu, jeśli czuła, że rzeczywiście może pomóc. Naturalnie wciąż prowadziła młodym parom o KOCHLI-WOŚCI i MIŁOŚCI RODZICIELSKIEJ, a jeśli tego od niej oczekiwano, badała głowy delikatnie, lecz bezosobowo. Nie było jednak wątpliwości, że niektóre narzeczone odczuwają rzeczywisty strach przed tym, co je czeka. Bardzo ostrożnie, w wielkim skupieniu, mesmeryzowała najlękliwsze z nich; gdy się uspokoiły po wyjściu z transu, rozmawiała z nimi, bardzo naturalnie, o nocy poślubnej. Z czasem zaczęli się zjawiać klienci proszący, by im ulżyła w fizycznym bólu; mimo początkowej niepewności co do swojej mocy, zaczęła odnosić pewne sukcesy: niekiedy, nie wiadomo jakim sposobem, na krótko odczuwała czyjś ból jako własny. Opowiadała to wszystko monsieur Rolandowi, który słuchał i kiwał głową ze zrozumieniem.

Pewnej niedzieli, gdy stał w drzwiach ich nowego domu, zbierając się do wyjścia, zauważył nową mosiężną tabliczkę, głoszącą jedynie *Panna Preston, magnetyzerka*, i uśmiechnął się. Zdawało się, że mosiądz sypie iskrami, odbijając jesienne słońce.

Cordelia uścisnęła obciążoną rękawiczką dłoń starca i zaproponowała:

- Przespaceruję się z panem kawałek, takie piękne popołudnie. Wróciła po kapelusz i rękawiczki, a potem ruszyli w stronę rzeki.

Wszędzie wokół ludzie przechadzali się także, korzystając z pogody. Nie rozmawiając wiele, w niezwykle przyjaznym milczeniu szli niespiesznie Drury Lane - i nawet tutaj słońce prześwitywało między kamienicami. Cordelia spojrzała na budynek teatru, odbudowany po pożarze, jaki wybuchł już po śmierci jej matki, w tym samym miejscu, gdzie mieścił się zawsze; pomyślała o Kitty i Hester biorących udział w żywym obrazie, gdy miały po trzynaście lat; o własnym sukcesie.

- Monsieur Roland.

- Tak, moja droga?

- Chcę pana o coś spytać. - Przystanąwszy, wpatrywała się w olbrzymi, zapamiętany z przeszłości gmach; przez chwilę poczuła niemal zapach szminki i oleju z lamp.

Usłyszał jej westchnienie: żal? nostalgia?, nie wiedział. Ruszyła znowu przed siebie.

- Kiedy byłam aktorką, moja gra, bardzo rzadko... właściwie tylko jeśli występowałam z panem Keanem... czasami... stawała się -zawahała się, szukając właściwego słowa - czymś więcej. Jakby... wznosiła się ponad przeciętność.

- To znaczy?

Przygrzewało jesienne słońce.

- Jakby... jak sądzę, wiązało się to z całkowitym skupieniem, koncentracją. Zdawało się niemal czymś niezależnym ode mnie... ale nie do końca, zawsze zachowywałam nad tym kontrolę... - Skinął głową. - Czasem się zastanawiam... jeśli to nie przesada... czy to nie ten sam rodzaj... całkowitego skupienia, które mnie ogarnia, kiedy kogoś mesmeryzuję; to się dzieje prawie poza mną, lecz niezupełnie.

- Zaczyna pani rozumieć swoją profesję, moja droga - powiedział jedynie, lecz się uśmiechał.

Cordelia drgnęła, poruszona jakimś bolesnym wspomnieniem. Niespodziewanie zaczęła mu opowiadać o swoim utraconym życiu w Walii i o dzieciach, a kiedy ich oczom ukazała się Tamiza, wzburzona i roziskrzona, brudna i cuchnąca, ciche łzy płynęły jej po policzkach.

Cordelia i Rillie zaczęły sobie stopniowo uświadamiać, że monsieur Roland wykonuje znaczną część swej pracy nie w pokojach przy Cleaver-street, lecz w szpitalach, pomagając chorym operowanym przez chirurgów. Nie kazał sobie płacić za te usługi: „Nie potrzebuję pieniędzy”, oznajmił. Spojrzały na jego wystrzępione mankiety.

Koniec końców zyskał tyle zaufania do praktyki Cordelii, że zaczął ją przedstawiać na zebraniach magnetyzerów jako koleżankę po fachu. Czowała się niedorzecznie szczęśliwa: monsieur Roland, który nauczył mesmeryzmu ciocię Hester, zaakceptował ją także. Kobieta magnetyzer: jako osobliwość wzbudzała wielkie zaniepokojenie. Pewnego wieczoru publicznie mesmeryzowała młodą kobietę, cierpiącą na niewyjaśnioną przypadłość: została tknięta paraliżem, choć nie udało znaleźć żadnej jego fizycznej przyczyny. Chorą wniesiono na podwyższenie, było oczywiste, że nie może chodzić, trudno było znieść widok jej bladej twarzy. Cordelia - wyszkolonym aktorsko głosem damy z towarzystwa - opowiedziała o zablokowanych kanałach i harmonii, po czym zaczęła przesuwając dłońmi nad ciałem chorej, tam i z powrotem, oddychając głęboko, koncentrując się całkowicie, czując ciepło, energię. Po zakończeniu demonstracji pacjentka ocknęła się, jakby spotkało ją coś przyjemnego: nie nastąpił cud, nie wstała ze swego łóżka i nie odeszła, mogła już jednak nieco sama pomóc, gdy ją znoszono z podwyższenia, a na jej policzki wróciły barwy. Cokolwiek Cordelia uczyniła, przyniosło to owoce. Zrozumiała, że zyskuje szacunek. Jak najczęściej starała się uczestniczyć w spotkaniach i pokazach. Jeśli dochodziło do kłótni, odwzajemniała się pięknym za nadobne, starała się jednak unikać przemocy fizycznej w miejscach publicznych i zawsze czujnie wypatrywała latających udźców.

Niekiedy wieczorami obie z Rillie, siedząc nad kieliszkiem porto w nowym salonie na parterze, wychodzącym na ogródek ze strzegącym ich kamiennym aniołkiem, szczypały się w ramię (całkiem dosłownie: chwyciły skórę i ścisnęły mocno, a potem odrzucały głowy do tyłu i wybuchały śmiechem), by się przekonać, czy to wszystko prawda. W ciągu paru lat całkowicie odmieniły swoje życie i wciąż jeszcze czuły na tę myśl dreszcz podniecenia. Odniosły sukces: o ich praktyce magnetyzerskiej plotkował cały Londyn. Pijane tryumfem, śmiały się

nad porto, a w ich śmiechu dźwięczała nutka szczerzej radości. Spotkało je niesłychane szczęście: były paniami własnego losu. Jako aktorki nauczono je udawać damy, teraz jednak stały się damami, i to szanowanymi. Wynajmowały cały dom, miały dzwonek na służbę i waterklozet. Zasłużyły sobie na prawo do radości. Jakimś cudem im się udało.

Dwie starsze panie, generalnie rzecz biorąc, także sprawiały wrażenie bardzo zadowolonych. Nadal często korzystały z nocników i nie wyobrażały sobie życia bez nich, lecz Regina spędziła niejedną szczęśliwą chwilę, pociągając za sznur w toalecie i obserwując spływającą wodę. Sznur był umocowany do zaopatrzonego w rurę zbiornika zamkniętego w sporej szafie. Regina często wkładała ręce do miski klozetowej: spływająca woda budziła jej niezmierną fascynację. Niekiedy przyprowadzała panią Spoons, by sobie mogła popatrzeć, sama zaś pociągała znowu za sznur. Niestety, w rezultacie jej ożywionej działalności szambo pod domem wylewało, więc trzeba ją było prosić, by zaniechała swoich praktyk. Znowu zaczęła tęsknić do mniej eleganckich okolic Londynu, do których przywykła. Potem jednak odkryła ogrodnictwo. Idea, że można chcieć mieć błoto wokół domu, zamiast starać się go pozbyć, dała jej do myślenia. Nazywała ziemię w ogródku czystym błotem. Ogrodnik uważał obie starsze damy za bardzo zabawne towarzystwo, zupełnie niepodobne do tego, do jakiego przywykł w innych domach. Pomagały mu przycinać krzewy, plewić oraz grabić jesienne liście. Pani Spoons uwielbiała liście, rozrzucała je wszędzie, Regina zaś bez słowa skargi zmiatała je z powrotem. Raz czy dwa napomknęła ponuro o nowym mordercy, zbrodniarzu z Bloomsbury Square (jasno jednak dała do zrozumienia, że nie ma na myśli ogrodnika).

Kłopotów przysparzały im służące. Kilka pokojówek wymówiło, twierdząc, że dom jest nie całkiem „porządny” (miały na myśli starsze panie); Cordelia i Rillie śmiały się, po czym zgodziły nowe dziewczyny; wybrały dwie siostry, Effie i Flo, które oznajmiły, że czują się u nich jak w domu; niestety, poczuły się tak bardzo u siebie, że zaczęły kraść i trzeba było znaleźć kogoś także na ich miejsce. W końcu udało się wyszukać dziewczynę, która została na dobre, polubiła nowe miejsce i była szczęśliwa; Nellie z jednakim zapałem szorowała podłogi i nocniki oraz uwielbiała morderstwa i groszowe gazetki prawie tak samo jak Regina. Uznały, że jedna służąca w zupełności im wystarczy; Rillie nie potrafiła się powstrzymać od sprzątnięcia w domu, potrzebowały jednak kogoś, kogo by widziano myjącego stopnie od frontu.

Rillie także, choć miała teraz własny pokój, nadal sypiała w jednym łóżku z panią Spoons. Niewiele wspominała o panu Edwardzie Williamsie i nadziejach, jakie rozbudził w jej gorącym sercu; zrobiła to raz tylko, gdy wypła za wiele porto i, udając się na górę z włosami w nieładzie oraz zarumienionymi policzkami, potknęła się o dywan.

- Edward Williams to bestia z piekła rodem - poinformowała Cor-delię bardzo donośnie, podnosząc się z podłogi.

Jednego zwyczaju nie zdołały porzucić w swoim nowym, niezwykle przyzwyczajonym życiu: nadal wszędzie chodziły pieszo. Nie potrafiły się pogodzić z myślą, by podróżować po okolicy w bardziej stosowny sposób; lubiły chodzić piechotą, całe życie wszędzie chodziły na piechotę. Obie często widywano rankiem, marszerujące dziarsko w swoich sprawach; było przecież tak wiele do zrobienia; wieczorami z wielkim żalem chowały obecnie butelkę po trzecim kieliszku; na-za-jutrz musiały wcześniej wstać do pracy.

Rillie poza tym, że pomagała pokojówce Nellie, bo nie umiała się powstrzymać, zajmowała się pocztą i wszystkimi rachunkami oraz czujnym okiem baczyła na nowe, całkiem zasobne konta w banku o nieposzlakowanej reputacji, który wyszukały. Po kilku miesiącach zaczęto je tam traktować z zainteresowaniem i szacunkiem. Kiedy urzędnik pierwszy raz skłonił się nisko przed Rillie, która przysła o coś zapytać, ta aż się obejrzała, by sprawdzić, komu okazuje taką rewerencję.

Jej przyjaciółka rankami odwiedzała zwykle wypożyczalnię. Czytała gazety, by być na bieżąco z artykułami o frenologii i mesmery-zmie, codziennie ukazującymi się w prasie. W całym kraju powstawały instytuty mesmerystyczne. Szczególnie burzliwie dyskutowano na temat freno-mesmeryzmu i jego roli w szerzeniu oświaty wśród klasy robotniczej. Cordelia wyszukiwała wszelkie nowe książki, poświęcone tym tematom, zapisywała, w których zebraniach należy wziąć udział. Przekonała się wszakże, że informacji o zawitych subtelnościach nocy poślubnej domagano się od niej częściej niż we wszystkich pozostałych kwestiach razem wziętych.

Co czwartek pani Hortensja Parker, aptekarka, przybywała z wizytą do ich nowego salonu na porto i plotki; w niektóre czwartki przynosiła kojące olejki w

błękitnych i czerwonych buteleczkach; piękne, barwne szkło lśniło w ciepłym blasku lamp.

- Jesteśmy teraz kobietami interesu - zauważyła Rillie z zaskoczeniem pewnego dnia. - Nie ludźmi interesu; kobietami interesu.

Otwarto w mieście gabinet przyjęć: pierwszy gabinet lekarski przy instytucie mesmeryzmu. Najwyraźniej niektórzy lekarze wierzyli, że mesmeryzm może zmniejszyć ból, i życzyli sobie, by ich pacjentów mesmeryzowano przed operacją. Cordelia i Rillie poszły to zobaczyć; ujrzały, jak monsieur Roland wprowadza w trans mężczyznę, któremu miano amputować nogę. Nie zdobyły się na to, by oglądać operację wraz z Francuzem dotrzymującym towarzystwa pacjentowi, później jednak rozmawiały z operowanym, leżącym wśród zakrwawionych prześcieradeł po zabiegu; wyrażał wielką wdzięczność.

- Nie potrafiłabym tego zrobić - oznajmiła Cordelia, kiedy wracały pieszo do domu, do Bloomsbury, wdychając powietrze pachnące życiem, nie śmiercią. - Nie miałabym pewności, czy się uda. Nie zamierzam nigdy próbować czegoś podobnego.

Pewnego ranka jednak wezwano ją pilnie do owego gabinetu. Miano operować kobietę mniej więcej w jej wieku, by jej usunąć pierś z powodu raka. Chora jakimś sposobem dowiedziała się o kobiecie magnetyzerce: poprosiła, by ją sprowadzono do pomocy.

Cordelia pokręciła głową w głębokiej udręce.

- Ja... mam za mało doświadczenia - zaprotestowała, lecz chora wpatrywała się w nią z łóżka wielkimi, pełnymi błaganiami oczyma.

- Słyszałam o pani - powiedziała. - Twierdzą, że mogę umrzeć. Proszę być ze mną.

Wyrażała się kulturalnie, lecz - w szpitalnej koszuli i czepku - mogła być każdym.

Cordelii zwilgotniały dłonie, zrobiło jej się zimno, serce biło nieprzyjemnie: nie planowała czegoś podobnego. *Nie mogę, nie mogę na to patrzeć, nie mogę tam wejść z lekarzami.* Doktorzy czekali w swoich długich fartuchach. Rillie została w domu, monsieur Rolanda nie było na miejscu, by jej dodał otuchy. Chora wyciągnęła wychudzoną rękę.

- Oddaję się pod pani opiekę - szepnęła. - Cokolwiek się zdarzy.

Bardzo wolno, z wielkim ociąganiem, Cordelia zdjęła kapelusz, ściągnęła rękawiczki.

- Jak pani na imię? - spytała.

- Alicja.

Spojrzała w dół, na bladą, wystraszoną twarz, i wydało jej się, że w sali u jej boku pojawił się duch cioci Hester.

- *Proszę się oddać mej pieczy* - zabrzmiał czyjś łagodny głos: Cordelii, a może Hester.

Alicja usłyszała i lęk odpłynął z jej rysów, jakby otrzymała obietnicę spokoju.

Magnetyzerka stanęła przy niej, wolno przesunęła dłońmi w dół, tuż nad okrytym białą koszulą ciałem. Nie trwało długo, by blada, wychudła kobieta zapadła w trans.

- Do dzieła - dali sygnał lekarze.

Została u boku chorej, kiedy weszli do sali operacyjnej. Chirurg sięgnął po piłę i nóż. Jacyś mężczyźni czekali, by przytrzymać pacjentkę. Cordelii, o dziwo, udało się nie krzyknąć. Kilka razy trysnęła krew, gdy nóż przecinał ciało, niemało jej wsiąkło w suknię magnetyzerki, kobieta jęczała: Cordelia przesuwiała dłońmi raz po raz, raz po raz, po twarzy ciekł jej pot - z wysiłku, z gorąca panującego w pomieszczeniu, od intensywnego zapachu krwi i niekiedy od uczucia bólu we własnej piersi. Lecz ciągle miała wrażenie, jakby ciocia Hester stała u jej boku; nabierała głęboko powietrza i raz za razem wykonywała passy, starając się nie widzieć tego, czego nie mogła znieść; skupiła się na twarzy kobiety, Alicji, na jej bólu, starała się go wchłonąć własną energią, ruchami własnych dłoni.

Wreszcie było po wszystkim. Ciało chorej owinięto bandażami, które zaraz przesiąkły krwią. Teraz można jej było podać laudanum na sen. Serce Cordelii pompowało krew coraz szybciej i szybciej, sufit zawirował jej nad głową.

Lecz przecież panny Preston nie mdlały.

Okropna, surowa zima chwyciła Londyn w swój uścisk tego roku. Zimno przenikało do kości; dni ledwo zdążyły się rozjaśnić, gdy znowu zapadał zmrok.

W zaułkach i ciemnych zakamarkach znajdowano zamrożone ciała. Sypał śnieg, a potem zmieniał się w błoto i brud, i zaczynał padać deszcz. Metaliczny swąd szarej, posępnej mgły wsączał się przez najszczelniejsze drzwi, przez okna, przez kominy, czarny pył był wszechobecny. Lecz klientki wciąż przychodziły na wizyty u ma-gnetyzerki, by dowiedzieć się o zawiłościach czekającego je życia.

Dzień po dniu Cordelia czytała gazety, szukając informacji o swoim rzemiośle: tym sposobem natknęła się na notkę, że Manon, córka lorda Morgana Ellisa i lady Rozamundy Ellis, dzień wcześniej została przedstawiona krewnej swojej matki: królowej Wiktorii.

Wzięła pierwszą napotkaną dorożkę i kazała się wieźć z powrotem na Bedford Place.

Tego dnia pierwszy raz napiła się porto przed popołudniowymi konsultacjami: Rillie weszła, by coś sprawdzić, i zobaczyła, jak przyjaciółka jednym haustem opróżnia wielką szklankę, po czym nalewa następną. Wstrząśnięta bez miary, potraktowała Cordelię wielką ilością pastylek miętowych i indyjskiej herbaty. Przyjaciółka była blada i milcząca jak śmierć; przetrwała popołudniowe wizyty z ledwością; flet Rillie tryłował oskarżycielsko zza ściany. Wizyty przeciągnęły się dłużej niż zwykle. Cordelię bolała głowa; marzyła, by zamknąć oczy i zasnąć.

- Cokolwiek było przyczyną - oznajmiła wieczorem Rillie stanowczym tonem - nigdy, nigdy więcej nie wolno ci tego zrobić.

Cordelia spojrzała zdziwiona.

- Mówię poważnie - dodała przyjaciółka. - Wycofam swoją połowę pieniędzy i cię zostawię, jeśli zrobisz to jeszcze raz. Nie wolno ci obrażać klientów. Pamiętasz tych wszystkich aktorów, którzy się znieczulali przed wyjściem na scenę: jak sądzili, że nic po nich nie widać? Pamiętasz, Cordie, jak się łudzili, że nikt się nie domyśla? Nawet dzisiaj ktoś mógł zauważyć. Byłaś pijana! To ty zawsze powtarzasz, że nie możemy uciec od samych siebie; że nasze przyzwoite maniery to tylko pozór. Tak szybko zdobyłyśmy dobrą reputację -myślisz, że nie możemy jej równie szybko stracić?

Cordelia nigdy nie widziała przyjaciółki tak rozgniewanej: to była ta życzliwa Rillie Spoons?

- Wstyd mi za ciebie - dorzuciła jeszcze tamta na zakończenie.

Cordelia sięgnęła po torebkę i wyjęła niewielki fragment gazetowej strony. Podała go Rillie. Przyjaciółka wpatrywała się w niego parę chwil, po jej twarzy przemykały kolejne wrażenia. Pojawienie się wszakże pani Spoons, uginającej się pod ciężarem sporych odważników od kuchennej wagi, chwilowo przerwało rozmowę, zanim zaś kwestia odważników została rozwiązana, drzwi frontowe wielkiego domu przy Bedford Place zatrzasnęły się z hukiem.

Cordelia okrążała Bloomsbury Square raz za razem, raz za razem, w mroźnej ciemności; gałęzie drzew uginały się od szronu. Raz za razem, jak czyniła to często w dzieciństwie, w swoim ogrodzie marzeń. Podniosła przelotnie wzrok, by spojrzeć w zasłuchaną twarz Charlesa Jamesa Foksa. Świecił księżyc w pełni i drobne jasne gwiazdy. *Marion, córka lorda Morgana Ellisa i lady Rozamundy Ellis, przedstawiona królowej Wiktorii, kuzynce drugiego stopnia lady Rozamundy.* Jej Królewska Mość z pewnością sobie nie uświadamiała, że w istocie przedstawiono jej jedynie kolejną pannę Preston. Co prowadziło do najboleśniejszej myśli, tak raniącej, że przypominała nóż obracający się we wnętrznościach Cordelii, prawdziwy nóż, jak te używane przez chirurgów. Nareszcie bowiem pojęła (w swoim wnętrzu, tam gdzie nóż się obracał), iż w najsekretniejszej głębi jej serca, gdzie żyją marzenia, wciąż tliła się nadzieja, że pewnego dnia odnajdzie dzieci; że jakimś sposobem wciąż pozostaną jej dziećmi. Notatka w gazecie uświadomiła kobiecie z całkowitą jasnością, że gdyby się kiedyś pojawiła, zniweczyłaby widoki Manon na przyszłość: z aktorki magnetyzerka, prowokująca pytania, mącająca przeszłość. Podniosła wzrok ponad posąg. Zobaczyła księżyc. Zobaczyła jasne gwiazdy -prawdziwe, nie tanie, ze szkła - zimowe gwiazdy, lśniące jasno nad placem, nad oszronionymi gałęziami. Kontakt z dziećmi był jej zakazany na zawsze. Oczywiście, nigdy nie mogą się dowiedzieć o fałszywych szklanych gwiazdach. *Widziała wyższajasnówłą dziewczynkę, która nie chciała pomachać matce, i młodszą, też jasnowłłą, pochylającą się nad małym, zapłakanym bratem, gdy powóz toczył się w dal i wiał porywisty wiatr.* Tam, na placu, przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl.

Ciocia Hester o tym mówiła. *To była także moja wina, bo chciałam niemożliwego. Ellis nie mógł mnie poślubić. Charles James Fox może i poślubił panią Armitage, która była kimś gorszym od aktorki, lecz świat działa wedle innych zasad.*

Ponieważ to Rillie zajmowała się pocztą, ona też otworzyła następnego ranka list, który jej przyjaciel listonosz przyniósł z Little Russell Street, gdzie znalazł go w błocie u stóp żelaznych schodów.

Jeśli to ty, Mamo, szukasz dzieci z domku na drzewie, zechciej łaskawie przysłać wiadomość na Grosvenor Square 7, gdzie pozostanę przez większą część grudnia.

Gwenlliam

List wysłano z Walii wiele tygodni wcześniej. Grudzień już się zaczął. Rillie nawet się nie zastanawiała nad najlepszym rozwiązaniem; nad tym, czy powinna przekazać list Cordelii - zresztą właściwie ze sobą nie rozmawiały; po prostu wysłała pilną wiadomość na Grosvenor Square 7, podając adres Bedford Place i prosząc Gwenlliam o przybycie tego samego dnia późnym popołudniem.

Cordelia słyszała, jak przyjaciółka podśpiewuje cicho, gdy się przebierały do popołudniowych wizyt; miała ochotę ją uściskać za nieustający dobry humor, za jej rozsądek i miłość. Wciąż jednak właściwie ze sobą nie rozmawiały, a w dodatku Rillie obserwowała butelkę porto jastrzębim wzrokiem. *Dziś wieczorem, pomyślała Cordelia, przeproszę za swoje postępowanie, zachowałam się okropnie i właściwie nie zasługuję na taką przyjaciółkę jak Rillie.* Pomyślała, jak dzielnie radziła sobie Rillie po zdradzie tego łajdaka Williamsa - ona, która jedynie pragnęła miłości. *Kocham Rillie. Przetarła lustro choć Nellie oczywiście już to wcześniej zrobiła.*

Ten głos. Choć zdawało się to niedorzecznością - po tylu latach, mimo arystokratycznie ucinanych i przeciąganych zarazem samogłosek - była pewna, że poznała głos. Gdy dobiegł Cordelii, wydała cichy odgłos, jęk, jakby się zakrztusiła: pokój zawirował i kropelki potu zrosiły jej czoło i górną wargę, pierś i nogi.

Czy Rillie się domyśla? Lecz słyszała ją zza ściany i wydawało się, że przyjaciółka rozmawia normalnie. Czy sądzi, że to po prostu kolejna klientka? *A może się pomyliłam?* Lada chwila Rillie wprowadzi właścicielkę głosu do dużego, mrocznego pokoju.

Cordelię ogarnęło tak wielkie przerażenie, że rozejrzała się dziko, jakby szukając kryjówki. Usłyszała kroki w sąsiednim pokoju. Niczym w transie zajęła zwykłe miejsce na krześle skrytym w cieniu, szybko zdmuchnęła dwie najbliższe sto-

jące świece, by ciemność stała się głębsza niż zazwyczaj. Okryła głowę powiewnymi szalami jak Cyganka; serce waliło jej dziko niby bęben.

Drzwi się otwały, weszła młoda kobieta. Rillie wskazała gościowi miejsce na sofie, jak robiła zawsze, po czym drzwi się zamknęły. Cordelia zobaczyła, że dziewczyna - blada, bladziuteńka - wyteża wzrok w ciemności; uświadomiła sobie, że przybyła ją spostrzegła.

Musiała się odezwać.

- Jak mogę pani pomóc? - zapytała; jej głos brzmiał niczym szept.

Kobieta nie odpowiedziała od razu. Długie jasne włosy nosiła zebrane nad karkiem, była starsza i niezwykle blada, lecz miała przecież te same rysy, ukochane rysy. Bezgłośnie łzy nagle potoczyły się po policzkach Cordelii w falującej ciemności. Zobaczyła twarz - znaną, a przecież nieznaną: szare dociekliwe oczy jak u ciotecznej babki; nie tak piękne rysy jak niegdyś u Kitty, lecz wyraz niezwyklej otwartości jak u Hester - no i te oczy.

- Powiedzieli nam, że nie żyjesz - odezwała się dziewczyna; Cordelia usłyszała, jak głos jej drży.

Bardzo wolno, zastanawiając się, czy śni, czy oszalała, zsunęła szale z głowy: spływały, połyskując, na jej ramiona. Bardzo wolno podeszła do sofy, a gdy tak szła, słowa pojawiły się same:

- Nie umarłam.

Dziewczyna skinęła głową i pokój pełen roztańczonych cieni zawirował.

Panny Preston nie mdleją.

Spojrzały na siebie. Niespodziewanie zabrzmiał flet Rillie.

- Poznałam twoją twarz, Gwenlliam - szepnęła Cordelia.

- Powiedzieli, że nie żyjesz, mamó - odparła Gwenlliam. Wciąż bardzo powoli, jak chora, Cordelia usiadła obok córki.

- Jeździłam was szukać do Walii mnóstwo razy, ale stary dom zamknięto wiele lat temu, a zamek popadł w jeszcze większą ruinę.

-Tak.

Flet wciąż grał, bardzo cicho. Nadal siedziały z dala od siebie, patrząc. Na chwilę zapadła cisza tak niezwykle, jakby pokój był pusty. A potem słowa posypały się lawiną.

- Gwenlliam, dokąd was zabrali? Musieli was gdzieś wywieźć niemal od razu, bo wróciłam prosto do domu i...

- ...i tak, tego samego dnia, przyjechali i po prostu zapakowali nas do powozu. Miałam tylko chwilę, żeby zostawić wiadomość na drzewie, nie wiedziałam, dokąd jedziemy, ale myślałam...

- ...szukałam na drzewie, sądziłam...

- ...wiedziałam, że będziesz szukać. Wiedziałam, że jeśli żyjesz, będziesz szukać.

Mówiły jedna przez drugą, zdyszane.

- Ale zerwał się sztorm. Zanim dotarłam na miejsce, kamienny dom zamknięto i zerwał się okropny sztorm. Nie było listu, szukałam w domku na drzewie. Nigdzie nie znalazłam listu, ale wiedziałam, że byś go zostawiła, gdybyś mogła...

- ...napisałam *zabierają nas stąd*, ale nie mogłam podać dokąd. Tak po prostu zapakowali nas i wywieźli, zabrali daleko na północ, w pobliżu miejscowości zwanej Ruthun, jak się później dowiedziałam, do innego kamiennego domu, ale z dala od morza. Wiedziałam, że nigdy nie zdołasz nas znaleźć tak daleko. - Cały czas siedziały sztywno odsunięte jedna od drugiej, patrząc na siebie z niedowierzaniem.

- Mieszkaliśmy tam przez całe lata.

- Co... co robiliście? Jak żyliście? Kto... kto się wami zajmował?

- Mieliśmy wielu prywatnych nauczycieli. Morgan tylko czytał i malował, nawet kiedy go posłali do prawdziwej szkoły. Ale my z Ma-non nauczyłyśmy się... wytwornych manier, jak przystało na młode damy.

Cordelia zobaczyła całą trójkę, urodziny obchodzone w kamiennym domu w towarzystwie nauczycieli i siebie samą, z powrotem na scenie, grywającą wiedźmy i królowe wróżek.

- Czy oni - żadna nie sprecyzowała, kim są owi „oni” - czy oni

- Cordelia starała się mówić składnie - dobrze się wami zajmowali?

- Na swój sposób.

- Manon? - Wypowiedziała imię ostrożnie, jakby je zrobiono z cennej porcelany.

- Ledwie co przedstawiono ją na dworze. W piątek będzie jej ślub.

Cordelia próbowała ukryć wstrząs. *Manon mężatką?* Sformułowała następne pytanie.

- Morgan? - Nie otrzymała odpowiedzi. - Morgan? - powtórzyła z naleganiem.

- Jest... taki sam jak zawsze.

I znowu Cordelia wydała dźwięk podobny do dziwnego, zduszonego jęku, jak w chwili gdy pierwszy raz doleciał ją głos córki.

Szybko spuściła wzrok na swoje dłonie. *Zobaczyła drobną udreńczoną twarzyczkę, napad gniewu, siebie gładzącą synka po głowie, jego spokój; słyszała nie flet, lecz szum morza, dziecięce głosy nawołujące się na długiej, pustej plaży; jasnobłękitne, płomiennie czerwone i żółte kwiaty kołysane wiatrem.* Podniosła wzrok i znowu miała przed sobą młodą kobietę, a nad nią fałszywe gwiazdy.

Musiała zadać tysiąc pytań albo żadnego. W końcu przemówiła:

- Jak mnie znalazłaś?

- Zaledwie kilka miesięcy temu Morgan pojechał do Cardiff z powodu swoich bólów głowy i...

- Nadal cierpi na bóle głowy?

- Inne. Inne niż kiedyś. Podczas pobytu w Cardiff znalazł ogłoszenie.

Cordelia musiała powtórzyć imię.

- Morgan. Wciąż są równie silne?

- Tak. Ale... nie takie same jak kiedyś. - Wydawało się, jakby Gwenlliam chciała zmienić temat. - Lubi czytać gazety.

Każde słowo jak mały wstrząs: *Bóle głowy Morgana. Lubi czytać gazety.*

- Pokazał mi, ale powiedziałam, że to jakaś bzdura, więc się rozgniewał i podarł ogłoszenie.

Cordelia znowu zobaczyła drobną, udreńczoną twarzyczkę z przeszłości.

- Sądziłam, że nie zdoła cię odszukać - wyjaśniła Gwenlliam po prostu. - Zbyt długo trwało, nim doszedł do siebie po... twoim odejściu. Ale oczywiście zastanawiałam się, czy to ty, i postanowiłam odpisać w tajemnicy, kiedy przyjedziemy do Londynu, żeby przedstawić Manon na dworze, a potem wydać ją za mąż. Ale... nie otrzymałam odpowiedzi. Pomyślałam, że musiała zająć pomyłkę.

- Nie dostałam żadnego listu.

- Panna Spoons znalazła go wczoraj. - Usłyszała zdumione westchnienie Cordelii. - Napisała do mnie natychmiast. Kiedy tu przyszedłam, wyjaśniła, że nie wiesz o moim przybyciu, ale... że tak będzie lepiej. Miałam dużo szczęścia, mam, macocha każe sobie pokazywać wszystkie listy, jakie do mnie przychodzą, lecz właśnie wracałam ze spaceru po placu, gdy posłaniec wchodził, dał mi list... po prostu... zawróciłam i udałam się prosto tutaj... sama wzięłam dorożkę, pierwszy raz w życiu.

Cordelia wyteżwała wszystkie siły, aby zachowywać się w sposób opanowany, mówić normalnie, odpowiadać do rzeczy. Świece migotały.

- Więc na stałe... nie mieszkać w Londynie? - spytała.

- Nie, nie, wciąż przebywamy w północnej Walii, ale Manon zaczęła bywać mniej więcej od roku.

- Manon mieszkała tutaj, w Londynie? - *Moja córka tu była, a ja nic o tym nie wiedziałam?*

- Tak. A kiedy znaleziono jej męża... to diuk...

- Diuk?

- ...nie zapominaj, jaka jest piękna... postanowiono, że musimy przyjechać wszyscy. Na ślub. Ja i Morgan jesteśmy tu pierwszy raz!

Cordelia z największym trudem zdołała wypowiedzieć następujące słowa:

- Morgan też jest tutaj, w Londynie?

-Tak.

- W Londynie?

- Tak. - Gwenlliam uśmiechnęła się przelotnie, niespodziewanie. - Wiesz, oboje wciąż układaliśmy plany, żeby uciec do nowego kraju.

- To znaczy?

- Zawsze marzyliśmy, by popłynąć do Ameryki. Skąd pochodzą statki. Wraki.

- Och. -1 Cordelia też uśmiechnęła się lekko; niespodziewanie.

- Oczywiście, to były tylko rojenia, ale Morgan tak bardzo chciał tam płynąć! Zawsze opowiadałaś o tym tak... ciekawie. Lecz Manon marzyła o Londynie. Nasz dziadek... to znaczy diuk Llanefydd... ma dom przy Grosvenor Square.

Nareszcie zapadło długie milczenie.

- Wiem - odezwała się Cordelia na koniec. - Znam ten dom.

W powietrzu wisiało zbyt wiele pytań bez odpowiedzi: żadna nie wiedziała, jak przebrnąć zdradliwe wody. Przez chwilę słysząc było jedynie nierówne oddechy, chrząknięcia.

- Wyglądasz tak samo, ale... - było oczywiste, że Gwenlliam nie wie, czy powinna wypowiedzieć uwagę, brakło jej jednak wyrafinowania, by ją zatuszować; spojrzała na posiwiałe pasmo włosów matki, słowa gwałtownie wyrwały się jej z ust -.. .znacznie starszej. - W pokoju obok flet wciąż grał. - Ameryka tak naprawdę nie jest nowa, nie wynurzyła się z oceanu.

-Co?

- Nauczyciele wyjaśnili nam, że Ameryka istniała cały czas, mieszkali tam tu-
bylcy.

- Och! Och, Gwenlliam, ja to zmyśliłam! Nic nie wiedziałam o Ameryce, nic
zupełnie!

I obie, wspominając, roześmiały się naraz zdumione, gdy wspomnienie z prze-
szłości musnęło je niczym duch, a potem cichy śmiech umilkł i znowu zapadła
cisza.

Błada dziewczyna pochyliła się nagle do przodu.

- Odkąd przyjechaliśmy do Londynu, przemierzałam tam i z powrotem Little
Russell Street. Zapytałam proboszcza tego dużego kościoła, czy tu mieszka lady
Ellis, wyglądał na zaskoczonego. To bardzo porządna ulica, powiedział, ale nie
mieszka tu arystokracja.

Ona nie wie. Zatem nie zna też okoliczności, w jakich się urodziła.

- Pamiętasz Little Russell Street? - spytała Cordelia słabo. - I pamiętam opo-
wieści twojej mamy i twojej cioci.

Cordelia po raz trzeci wydała ten sam odgłos, cichy zduszony jęk.

- Twojej babci i twojej ciotecznej babci Hester! - szepnęła. - Jesteś taka podob-
na do swojej ciotecznej babci - i w nagłym odruchu otoczyła wreszcie jasnowłosą
dziewczynę ramionami i szalami, splotły się w uścisku i zapłakały.

A kiedy płakały, dziewczyna powtarzała raz po raz: „Nic nie rozumiem”. Na
koniec spojrzała na matkę przez łzy.

- Tyle pytań wiruje mi w głowie. Czemu ojciec się z tobą rozwiódł? Czemu
powiedział, że nie żyjesz? Co się wydarzyło po twoim przyjeździe do Londynu?

Cordelia przypominała sobie swoją przysięgę pod gwiazdami na Bloomsbury
Square.

- Nie rozmawiajmy na razie o tych sprawach - poprosiła, mocno przytulając
do siebie córkę.

Przez cały ten czas Rillie bohatersko grała na flecie w sąsiednim pokoju, pra-
gnąc z całego serca, by odtąd żyły długo i szczęśliwie.

W końcu, gdy Cordelia i Gwenlliam rozpaczliwie zatekniły do chwili odpre-
żenia, napiły się w towarzystwie Rillie indyjskiej herbaty w przytulnym saloniku,
wychodzącym na ogród. Rozpały w kominku i narzuciły na ramiona dodatkowe
szale dla ochrony przed chłodem, kiedy przygasły słabe promienie zimowego
słońca. Naraz zauważyły wędrującą po ogródku panią Spoons, podśpiewującą ci-

cho i ubraną tylko w halkę. Rillie pośpieszyła na zewnątrz i sprowadziła drobną, kruchą staruszkę do środka, by ją cieplej ubrać, wbijając jej do głowy, że może się przeziębć i rozchorować.

- Pani Spoons jest obłąkana - wyjaśniła Cordelia. - Była dobrą, życzliwą kobietą; nadal zresztą nie sprawia nam kłopotu, jedynie gdy słyszy głosy gości, pozbywa się stroju, tak jak inni przebierają się do kolacji. Naturalnie nie pamięta ani słowa z tego, co mówimy, lecz Rillie ostatnio próbowała ją przekonać do zostania w ubraniu, powtarzając, że przez nią szwaczki w fabrykach tracą pracę i nie będą miały z czego żyć; pani Spoons zawsze miała miękkie serce.

Gwenlliam uśmiechnęła się leciutko. I Cordelia uśmiechnęła się także, czując we wnętrzu przeszywający ból na widok tego uśmiechu: Gwenlliam i ciocia Hester, złączone w jedno.

A potem córka spytała:

- Naprawdę jesteś magnetyzerką, jak napisano na tabliczce? I czemu nazywasz siebie panną Preston?

Weszła Regina z ogrodnikiem, niosąc naręcze chryzantem.

- Znowu uciekła, do licha - rzuciła przepraszająco do Cordelii. - Zbierałam kwiaty do przybrania pokojów.

- Regino, to jest... - Cordelia zająknęła się - ...to jest moja córka Gwenlliam.

Starsza kobieta o pomarszczonej twarzy, przesłoniętej kwiatami, zawołała:

- Wielkie nieba! W rzeczy samej piękna z panienki dziewczyna. Niech panienka uważa, jeśli zajdzie w okolice Bloomsbury Square. Kręci się tam morderca.

Udzieliwszy zwykłego ostrzeżenia, wyszła w ślad za ogrodnikiem. Cordelia pomyślała, jak dziwaczne musi się wydawać Gwenlliam ich gospodarstwo.

- Naprawdę krąży tam morderca?

- Nie sądzę. Regina widzi zbrodniarza na każdym rogu. To jej obsesja!

W pełnych konsternacji oczach dziewczyny malowały się setki pytań. Gdzieś zaszczekał pies.

- Ale... muszę już wracać - odezwała się nagle. - Będą mnie szukać, nie winnam chodzić sama, a nie wiedzą, gdzie jestem. Diuk jest bardzo surowy. I już prawie noc.

Wydawało się, jakby nad ich głowami przeleciał czarny ptak o ciężkich, szeroko rozpostartych skrzydłach; cień musnął posąg aniołka.

- Odprowadzę cię... przynajmniej do Mayfair.

Na ulicy Cordelia wezwała dorożkę; siedziały w zimnej ciemności, nie rozmawiając, nie mówiąc sobie tego, co by chciały; jedynie wciąż trzymały się mocno za ręce. Mijane lampy błyskały krótko, oświetlając ich blade, zmęczone twarze.

- Mogłabyś wrócić? - spytała szeptem Gwenlliam, jakby te słowa były zakazane, jakby nie było wolno ich wypowiadać.

- Nie, Gwennie. - Wymknęło się jej dawne zdrobnienie. - Wiesz, że nie mogę.

- Mogłabym... mogłabym zamieszkać z tobą? W końcu jesteś moją matką.

Cordelia czuła się jak ogłuszona: właśnie dojeżdżały do najbardziej arystokratycznego placu w Londynie. Musi w jakiś sposób zerwać tę nić. Naraz zabębniła w dach dorożki, zatrzymując ją gwałtownie. Kiedy wysiadały, czuła ociąganie, z jakim idąca obok dziewczyna stawia kroki; pociągnęła ją w stronę placu, w stronę wielkiego, zapamiętanego przez siebie budynku; mówiła z przekonaniem, ściszym głosem, w zimowej ciemności, otulającej Londyn. Musiała wyjaśnić wszystko bardzo szybko.

- Nigdy, nigdy nie mogłabym wam dać tego, co dał wam Ellis. Musisz zrozumieć to, czego ja nie rozumiałam w twoim wieku: świat dzieli się nie tylko na bogatych i biednych, lecz także na ludzi przyzwoitych, i tych, którzy przyzwoici nie są: to najgłębszy podział, czego nie pojmowałam i przez to wyrzuciłam wam wielką krzywdę. - Jej oddech układał się we wzory w zimnym nocnym powietrzu. - Byłam aktorką, córką aktorki: nigdy, przenigdy nie moglibyście zajmować w społeczeństwie pozycji, jaką macie, gdybyście mieszkali ze mną, dzielili ze mną życie.

- Dzieliłam z tobą pierwszych siedem lat życia. Nigdy nie byłam szczęśliwsza niż wtedy i do dziś pozostałam osobą przyzwoitą!

Lecz twarz dziewczyny miała barwę popiołu.

- Ale nie byliśmy bezpieczni, czego wówczas nie rozumiałam. Bezpieczeństwo łączy się z byciem człowiekiem przyzwoitym. Właśnie należysz do ludzi przyzwoitych i bezpiecznych, nie dostrzegasz wagi tego rodzaju spraw. Musisz pozostać tam, gdzie jesteś. Ale - dodała, spojrzawszy na twarz dziewczyny - zawsze będę w pobliżu. Mam pieniądze i może mogłabym ci pomóc na inne sposoby, o ile pozostanie to w tajemnicy. Musisz jednak... mój Boże, Gwennie, musisz się trzymać tego życia, o które dla ciebie walczyłyśmy, ja, moja matka, moja ciotka.

Potrząsnęła mocno ramieniem córki i poprowadziła ją na Gros-venor Square, na którego rogach świeciły lampy gazowe.

I wtedy, gdy już zachowała się tak dzielnie, wydawało się, jakby opuściły ją wszystkie siły: nie umiała nic na to poradzić.

- Wy... wszyscy tam jesteście? - zapytała znowu.

Na twarzy Gwenlliam nie malowało się teraz żadne uczucie prócz wyczerpania.

- Wszyscy tam jesteśmy.

Cordelia nie potrafiła się powstrzymać, musiała się upewnić:

- Morgan też?

- Morgan też. Manon ma zostać żoną diuka Trentu. To bardzo... korzystne, jak mówią, w piątek odbędzie się uroczysty ślub. Będzie w kaplicy w Westminsterze. Widzisz - ciągnęła dalej, głosem bez wyrazu - nasza... macocha... nie mogła mieć dzieci. To dlatego mimo wszystko okazaliśmy się użyteczni. Morgan jest dziedzicem.

Nigdy nie mogą się dowiedzieć. Nie wolno mi zniszczyć ich szansy.

- Ten... diuk Trentu... jest odpowiedni? To dobry człowiek? Manon go kocha?

Gwenlliam zwróciła bladą twarz do matki.

- Manon kocha Londyn. Czuje się szczęśliwa, że może tu zamieszkać.

Czy Gwenlliam próbuje powiedzieć coś innego? Ale Manon jest szczęśliwa.

Wielki dom w rogu placu spoglądał na nie z góry z potępieniem. Gwenlliam przystanąła.

- To tutaj - powiedziała drżącym głosem. - To ten dom.

- Wiem - odparła Cordelia bardziej szorstko, niż zamierzała. Nie miały żadnych planów na przyszłość; znowu nie wiedziały, jak się zachować; stały, wpatrując się w siebie; obie drżały nieznacznie. Cordelia podniosła wzrok na zakazany budynek, gdzie przebywały jej pozostałe dzieci.

- Patrz - odezwała się Gwenlliam, wskazując jasny księżyc w pełni. - Twój księżyc - dodała i w jego świetle zobaczyła, jak matka zamyka na moment oczy, jakby nie mogła tego znieść. Zaczęła mówić bardzo szybko: - To wszystko nie tak. Zawsze podejrzewałam, że żyjesz. Wywieźli nas najpierw. A potem tłumaczyli, że nas zabrali, bo umarłaś w Londynie, kiedy byłaś z ojcem... ale wiedziałam, kiedy nas zabierali z zamku jeszcze tego samego dnia, że nie zdążyłaś dotrzeć do Londynu. - Wzięła głęboki, drżący oddech. - Ty... nie wolno ci prosić, bym tego nie robiła. Dzisiaj wieczorem zamierzam wyznać ojcu, że się z tobą spotkałam, i zapytać, czemu nam powiedział, że nie żyjesz.

Cordelia szybko chwyciła dziewczynę za rękę i przyciągnęła ją blisko, tłumiąc ból.

- Gwenlliam, posłuchaj. Słuchaj - mówiła z naleganiem, niemal szeptem. - Musisz mnie wysłuchać i postąpić, jak radzę. Nie wolno ci wspomnieć o tej wizycie nikomu. Nigdy! - Zerknęła niespokojnie na dom, pchnęła córkę, dopiero teraz, w cień: nikt ich nie może zobaczyć. Dostrzegła wyraz uporu na twarzy Gwenlliam, twarzy cioci Hester. Jakimś sposobem musiała wstrząsnąć dziewczyną na tyle mocno, by zrozumiała.

- Wysłuchaj mnie uważnie, Gwenlliam - podjęła szorstko. - Muszę ci zaufać. Musisz być... dojrzała... i pojąć to, co powiem, lecz nigdy ani słówkiem nie wolno ci o tym wspomnieć ze względu na Manon i Morgana. I na siebie samą. - Przejechał z turkotem powóz. Gdzieś gwizdał mężczyzna, słychać było głosy i konie: zwykłe odgłosy miasta, nawet w Mayfair. Cordelia rozejrzała się wokół i zaczęła mówić pośpiesznie i bardzo cicho: - Pamiętasz, jak wam opowiadałam o naszym ślubie, moim i waszego ojca, że...

- ...że się odbył w małym kościółku; piękny, romantyczny ślub tylko w obecności Rillie i cioci Hester i...

- ...i „kuzynek”, które przybyły z waszym ojcem, a które, jak odkryłam znacznie później, wcale nie należały do rodziny. Pastor także nie był pastorem, i...

- ...chcesz powiedzieć, że to było oszustwo?

- To było oszustwo. Tamtego dnia po przybyciu do Londynu oświadczone mi, że wedle prawa nie jestem mężatką; nigdy nie byłam lady Ellis, a wasz ojciec nigdy nie był moim mężem.

Przerażona, pełna niedowierzania twarz Gwenlliam.

- Ale... dlaczego?

- Teraz wiesz już trochę o życiu, Gwenlliam, wiesz dlaczego. Twój ojciec nigdy by się ze mną nie ożenił i powinnam to już wtedy rozumieć. Byłam aktorką, nie damą.

- Ale tworzyliśmy rodzinę. Przyjeżdżał do nas przez całe lata.

- Tak.

- To wszystko było kłamstwem?

- Tworzyliśmy rodzinę, to fakt. Ale została ona zbudowana na kłamstwie. Dlatego nigdy, nigdy, nie wolno ci wspomnieć o wizycie u mnie. Gdyby to się rozeszło, Gwenlliam, nie byłoby ślubu Manon. Morgan nie byłby dziedzicem. - Przez chwilę panowała cisza, zmacona jedynie oddechem dziewczyny, słuchającej, sta-

rającej się pojąć. - Nigdy nie byłam lady Ellis - powtórzyła Cordelia stanowczo. - Jestem... zawsze byłam... panną Preston.

Mimo ciemności zauważyła błysk zdziwienia w oczach córki.

- Ale jestem pewna, że diuk o niczym nie wie! Znasz go. Nigdy by nas nie uznał, gdyby wiedział, że jesteśmy... - wypowiedziała następne słowo bardzo wyraźnie, choć cicho - ...nieślubnymi dziećmi.

- Nie wątpię, że nie wie, z pewnością nie wie. Na piekielne wrota, Gwenlliam, musisz to zrozumieć! Ja też jestem pewna, że nie wie nikt prócz waszego ojca oraz prawnika, który się ze mną spotkał w Londynie. Waszemu ojcu znacznie łatwiej było się przyznać do nierozważnego małżeństwa z kobietą, która tak dogodnie zmarła. Nie mógłby raczej wyjaśnić w rozsądny sposób istnienia trojga dzieci, a przecież was kochał. Wiem, że was kochał, inaczej po prostu opuściłby nas wszystkich. Nigdy nie zapominaj, że chciał was zatrzymać, bo was kochał i... na szczęście dobrze się skończyło. Gdybym mogła wejść i przygarnąć was wszystkich do serca, natychmiast bym to zrobiła. Ale - pozwoliła sobie na jedno tylko pieszczotliwe określenie - moja kochana Gwennie, teraz rozumiesz. Nie możemy się cofnąć. Zdobyłaś pozycję w świecie. Nie wolno ci wrócić tam, skąd się wywodzimy. Konsekwencje byłyby zbyt przerażające. Oczy dziewczyny znowu błysnęły w mroku.

- Więc tak naprawdę ja też jestem panną Preston.

W tej samej chwili usłyszały, jak ktoś otwiera wielkie drzwi wejściowe.

- Gwenlliam! - zawołał kobiecy głos.

Cordelia poznała go od razu. Był to kulturalny głos prawdziwej arystokratki. Odwróciła się natychmiast.

- Proszę, przyjdź na ślub - rzuciła córka przez ramię ściszone głosem, idąc pośpiesznie w stronę budynku, a potem w górę po kamiennych stopniach.

Cordelia oddaliła się szybko w mroku.

Wczesnym rankiem, mroźnym i niezachęcającym, Rillie poszła spiesznie do zajazdu Pod Dwoma Dzikami i wzięła dorożkę do Kennington, w okolice zajazdu Pod Słoniem.

Dotarwszy na Cleaver-street, przekonała się ze zdumieniem, że monsieur Roland podejmuje dwóch kolorowych dżentelmenów; zatrzymała się przy drzwiach i oblała rumieńcem z wrażenia - nigdy w życiu nie znalazła się tak blisko kolorowej osoby, nawet w teatrze. Jeden z dżentelmenów nosił turban; drugi miał twarz ozdobioną znakami i zawijasami. Rillie zawstydziała się ogromnie i ruszyła do wyjścia, lecz monsieur Roland nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaskoczony jej widokiem; powitał ją z życzliwym, uprzejmym wyrazem twarzy, wskazał w milczeniu, by usiadła przy oknie; dał do zrozumienia, że już kończy interesy. Mężczyzna o dziwnie poznaczonej twarzy nachylił się teraz i cichym, monotonnym głosem zaczął recytować jakiś długi poemat. Rillie słuchała przez pewien czas, później chyba się zdrzemnęła; kiedy podniosła wzrok, kolo

TLR

rowi dżentelmeni właśnie wyszli, ich pożegnania niosły się jeszcze z ulicy.

Magnetyzer wrócił od drzwi, wnosząc ze sobą smugę lodowatego powietrza, aż zadrżała.

-; Tak się cieszę, że panią widzę, Rillie. Przyniosła pani flet? Zaśmiała się cicho.

- Moglibyśmy zagrać w duecie! - odparła. - Niestety, nie wzięłam go ze sobą.

- Ja mam kilka - zaofiarował się magnetyzer - choć moje umiejętności trochę zardzewiały. Proszę, dołożyłem do ognia.

- Bardzo... interesujący dżentelmeni - zauważyła nieśmiało.

- Łączą nas podobne zainteresowania - wyjaśnił. - Ten w turbanie w stanie medytacji potrafi się unosić nad ziemią. Albo leżeć na łożu z gwoździ, gdy inni depczą po jego ciele. Albo stąpać po rozżarzonych węglach. Pochodzi z Indii.

- Och, tak mi przykro, że straciłam część rozmowy, ogromnie by nas z Cordecią ciekawiła. Musiałam chyba się zdrzemnąć.

Monsieur Roland uśmiechnął się łagodnie.

- Może panią uspio. Ów mężczyzna z pokrytą szramami twarzą cieszy się wielkim szacunkiem w swoim kraju, niedawno odkrytej Nowej Zelandii. Nazywają go *tohunga*.

Ogarnęło ją zmieszanie.

- Chce pan powiedzieć, że to ten człowiek ze znakami na twarzy sprawił, że zasnęłam? - Urwała na moment. - Ja... chyba słyszałam jego głos mamroczący coś bez końca. Czy on... - myśl ją wystraszyła: nieznajomy, kolorowy - ...czy on mnie zmesmeryzował?

- To niezupełnie mesmeryzm. Lecz wszystko wywodzi się z podobnego rodzaju myślenia. Dyskutowaliśmy o rozmaitych metodach, jakie stosujemy; wszyscy próbujemy osiągnąć to samo.

- Nie chodzi o mesmeryzm?

- No cóż... szukamy różnych sposobów, by ulżyć w bólu.

- Ból - powtórzyła Rillie. - Muszę z panem porozmawiać o Cordecią.

Monsieur Roland wysłuchiwał opowieści kobiety do końca, a potem przez pewien czas siedział w milczeniu, z lekko przechyloną głową, jak gdyby sam pograżył się w medytacji. Rillie rozejrzała się po pokoju: zauważyła kilka gwiazd i luster, surdut wiszący na haku, kalosze. Nic właściwie nie było zniszczone, wszystko utrzymane bardzo czysto. Gdy tak siedział, przyjrzała się jego twarzy, surowej i nieugiętej, oraz gęstym siwym włosom. Wyglądał jak stary, mądry, cu-

dzwoziemski księżę, niczym z obrazów, które widywała niekiedy w galeriach, tyle że miał wystrzępione mankiety. Musiała się oprzeć przemożnemu odruchowi, by sięgnąć po flet i mu zagrać. Na koniec magnetyzer przemówił:

- Ogromnie mi żal Cordelii. Nie zobaczy ich więcej?

- Wierzy głęboko, że nie powinna tego robić dla ich dobra. Jednak... okropnie cierpi. Dlatego przyszłam: zapytać, czy umiałby jej pan jakoś pomóc. A poza tym - dodała z uporem - uważam, że powinna widywać własne dzieci; zostały jej wykradzione, i to zbyt wiele oczekiwać od niej, by szlachetnie ukrywała się do końca życia.

- Czy gdyby prawda została ujawniona, wybuchłby skandal?

- Oczywiście! Dzieci pochodzą z nieprawego łoża i są dziedzicami diuka Llanefydd nie bardziej niż ci wszyscy rozsiani po Londynie nieszczęśnicy, zrodzeni ze stryjów królowej, gdy ci jako młodzieńcy hulali po mieście!

- Żyjemy istotnie w innej epoce - zauważył z ironią - niż za moich młodych lat, kiedy ton nadawał księżę regent swoimi szalonymi nocami w jaskrawo malowanych salach Pałacu Orientalnego w Brighton. - Zauważył wyraz zaskoczenia na twarzy Rillie. - Raz mnie tam zaproszono - wyjaśnił. - Zrozumiałem jednak, że wezwano mnie w charakterze... rozrywki. Więcej nie poszedłem.

- Myślę, że królowa i księżę Albert zamierzają całkowicie wymazać pamięć tamtych czasów - powiedziała Rillie. - Są bardzo stateczni. A my z Cordie mamy teraz pieniądze, ale ostatecznie tylko udajemy damy; z pewnością też nie jesteśmy stateczne, więc zdemaskowaliby nas w mgnieniu oka. Ze względu na jej dzieci musimy tego unikać.

Monsieur Roland spojrział na nią.

- Nie uważam pani za fałszywą damę, Rillie - oznajmił poważnie, lecz z lekkim uśmiechem.

Komplement tak ją ucieszył, że aż pisnęła i oblała się rumieńcem, lecz magnetyzer już wstał z miejsca.

- Wrócę do Bloomsbury razem z panią - oznajmił.

Gdy wyszli w szary, zimny ranek, skłonił się na swój niezwykle, staroświecki, dworski sposób i podał jej ramię.

Monsieur Roland spostrzegł, że Cordelia jest ogromnie udęczona i wymizowana; zdawało się, że przez jedną noc przybyło jej dziesięć lat: jak gdyby na-

miętne pragnienie ujrzenia dzieci całkiem dosłownie walczyło w jej myślach ze świadomością, że takie spotkanie wyrządziłoby im nieodwracalną szkodę.

- Niech pani usiądzie obok mnie, moja droga - poprosił, zamykając okiennice i zapalając kilka świec na swój spokojny, niespieszny sposób. - Musi mi pani pomóc, jeśli chce, bym spróbował złagodzić jej ból. Nie zdołam tego uczynić sam, nie tylko moja energia jest potrzebna tym razem, lecz również pani. Jeśli sądzi pani, że tym razem zdoła pozwolić, bym nią pokierował, proszę mi spojrzeć w oczy.

Skinąwszy Rillie, która usiadła w odległym kącie, dłuższy czas wpatrywał się uważnie w Cordelię, jakby nakłaniając ją siłą woli, by użyła swych władz i złączyła je z jego mocą.

- Nie zdołam pomóc, jeśli będzie pani ze mną walczyć - powiedział łagodnie - a sądzę, że mógłbym pani pomóc. - Dostrzegł wyraz jej twarzy. - Moja droga, nie pozwala się pani mesmeryzować, ponieważ obawia się utraty kontroli. Proszę więc sobie wyobrazić, że panią wyzwalam, pomagam jej uzyskać większą władzę nad sobą samą.

Patrzyła nieustępliwie. Na koniec jej udręczone oczy wyraziły zgodę.

Na bardzo długą chwilę utkwiał w nich spojrzenie: chciała odwrócić wzrok, lecz tego nie zrobiła; wpatrywała się intensywnie w mężczyznę pragnącego jej ulżyć w cierpieniu. I dopiero gdy ich spojrzenia się złączyły, zaczął wolno przesuwać dłońmi nad głową i ciałem Cordelii - w ogóle jej nie dotykając; jego ręce wędrowały w górę i w dół, w górę i w dół, oddychał w jednym rytmie z ruchami ramion, lecz - i to była różnica, odmiana - ich spojrzenia cały czas pozostawały splecione. Rillie ze swego kąta bardzo cicho grała na flecie. Potem Cordelia zniechęciła: jej twarz się odprężyła, rozluźniły dłonie zaciśnięte w pięści. I w końcu, nareszcie, przymknęła oczy.

Monsieur Roland usiadł obok, nie dotykając jej, nie wykonując już passów nad jej ciałem, i zaczął do niej przemawiać z wielką łagodnością. Rillie chwytając jedynie urywki, coś o dzieciach i jej życiu, pragnęła z całego serca przerwać grę, by usłyszeć wyraźnie, o czym mowa. To nadzwyczajne, myślała grając, jak wygładziły się linie bólu na twarzy Cordelii. Widziała, jak przyjaciółka mesmeryzuje histeryczne młode kobiety, jakimś sposobem je uspokajając; pamiętała młodą dziewczynę w szpitalnej koszuli, szturchaną gwoździem, śpiewającą i tańczącą. Pamiętała własną matkę, która na mgnienie przypomniała sobie jej imię. To jednak było coś innego. Cordelia nie poruszała się, nie śpiewała ani nie tańczyła,

lecz jak się wydawało, słuchała spokojnie monsieur Rolanda, który mówił i mówił. Rillie nabrała tchu, wybrała ulubioną przez Cordelię pieśń Schuberta i grała dalej, starając się przekazać przyjaciółce własne przesłanie miłości.

I jakimś sposobem po wyjściu monsieur Rolanda wyborny zdrowy rozsądek panny Cordelii Preston, odziedziczony po przodkiniach, powrócił.

- Oczywiście, że pójdziemy w piątek na ślub - oznajmiła przyjaciółce. - Czemu miałybyśmy nie pójść?

Przeszły Bond Street i Strand; miały na sobie stroje, które kiedyś wkładały jedynie na scenę. Nosiły płaszcze oblamowane futrem. Kapelusz Cordelii osłaniał twarz pod zawadiackim kątem. Rillie przypominała starszą wersję szacownej młodej królowej, naturalnie, pomijając wszelkie oznaki pozycji społecznej - lecz jej kapelusz i suknia niemało przypominały wizerunki na nowych sepiowych odbitkach, które oglądano z podziwem w nowych gazetach. W dzień ślubu wmieściły się w jakieś towarzystwo, przybyłe eleganckim powozem, przemknęły do kaplicy i wyszukały dogodny punkt obserwacyjny w dyskretnym kącie w połowie długości nawy. Choć serce Cordelii biło nadzwyczaj szybko, pod każdym innym względem pozostała spokojna.

Wkrótce jednak nadeszła przerażająca chwila.

Przybyła rodzina panny młodej.

Nawą przeszła jakaś kobieta, Cordelia i Rillie zrozumiały od razu, że pochodziła z innego świata; z pewnością była to macocha panny młodej: wysoka, sztywna, dumna i niezmiernie wytworna; na jej szyi lśniły brylanty; w oczach, kiedy niemal niedostrzegalnie skinęła głową paru osobom wśród zebranych, mallował się chłód. To była prawdziwa lady Ellis, kuzynka drugiego stopnia królowej. Cordelia pośpiesznie schyliła głowę - *Jak mogłam choćby marzyć, by się stać częścią tego świata?* - lecz zaraz znowu podniosła wzrok. U boku lady Ellis kroczyła Gwenlliam; Cordelia dostrzegła ukochane rysy. Dziewczyna miała bladezielony strój ze wspaniałym naszyjnikiem z nieco intensywniej zielonych szmaragdów na szyi. Za nimi podążał niski, nadąsany piętnastolatek. Włosy przyglądano mu pomadą, lecz uniosły się znowu; wciąż sięgał palcami do ciasnego kołnierzyka. Cordelia dyszała cicho, jakby nie mogła złapać tchu. Rillie zerknęła na nią z niepokojem. Zagrzmiały organy. Gdy muzyka przybrała na sile, Cordelia jakimś sposobem zdołała odetchnąć i ucichła. *Musisz ich kochać tak*

bardzo, by postawić ich życie na pierwszym miejscu. Słowa, które dziwnym sposobem napływały do jej mózgu (te same, które skierował do niej monsieur Roland podczas transu) towarzyszyły jej, dodawały sił. Organy rozbrzmiewały dalej uroczystą muzyką, damy i dżentelmeni tłoczyli się w ławkach, donośne głosy przypominały, że to dom Pana, lecz na próżno: wydarzenie było nazbyt wspaniałe. Chłopiec siedzący w pierwszej ławce wbił wzrok w kamienną posadzkę, wciąż szarpiąc kołnierzyk. Nagle zapadła pełna szelestów i wyczekiwania cisza i organy zagrały hymn.

Nawą kroczyła panna młoda z twarzą zakrytą welonem, wsparta na ramieniu dziadka, diuka Llanefydd, który na to nalegał, oraz ojca, lorda Morgana Ellisa, który miał ją oddać przyszłemu mężowi. Rillie wydało się, jakby Cordelia na chwilę się rozsypała: ciało tuż obok niej zaczęło drżeć. Szybko objęła przyjaciółkę ramieniem: czuła pełen pasji dygot, lecz czy miał źródło w miłości, czy gniewie, nie wiedziała. Trzymała mocno przyjaciółkę, aż procesja dotarła przed ołtarz. Lord Morgan Ellis zachował resztki urody na pięknej dawniej twarzy, lecz jego rysy się rozlały, a cera poczerwieniała: sprawiał wrażenie zniszczonego, zaniedbanego. I jak to mieli w zwyczaju dżentelmeni pewnej tuszy, najwyraźniej nosił gorset pod bardzo wytwornym surdudem. Rillie poczuła w końcu, jak uwięźnięty oddech opuszcza płuca Cordelii; dygot ustał; usłyszała obok siebie przeciągłe westchnienie. Rozpoznania? Rozczarowania? Nie ośmieliła się spojrzeć na przyjaciółkę; organy grały dalej. Stary diuk, niezwykle niskiego wzrostu, kroczył w stronę ołtarza dumnie niczym paw, kiwając głową i rozsyłając uśmiechy z nieco złośliwym wyrazem twarzy, choć może tak się tylko zdawało w świetle padającym na jego czerwoną twarz przez wysokie okna.

Pan młody był starszy od narzeczonej, lecz odpowiednio przystojny, a kiedy sprawujący ceremonię biskup spytał o przeszkody, dla których sakrament nie mógłby zostać udzielony, nie odezwał się żaden głos.

W końcu organy zagrzmiały radośnie: kolejny związek małżeński wśród brytyjskiej arystokracji został pomyślnie zawarty i liczna grupa gości weselnych ruszyła nawą. Wszyscy (nie tylko matka) wpatrywali się w pannę młodą: tak piękną, że na jej widok zamierało serce (tak piękną, jak jej babka z czynszówek na Seven Dials), tryumfalnie spoglądającą na męża.

Cordelia zauważyła też, że Gwenlliam, podążająca wolno w ślad za siostrą, uważnie wodzi wzrokiem po gościach, więc wolno uniosła dłoń obleczoną w rękawiczkę.

I Gwenlliam ją spostrzegła. Jej rysy się odprężyły: *Mama przyszła*. Morgan szarpał kołnierzyk ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie i Cordelia przypomniała sobie znowu słowa wyryte w duszy: *Musisz ich kochać tak bardzo, by pozwolić im odejść*.

Obie z Rillie wtopiły się w tłum przed kościołem, po czym skrzyły szybko w stronę Whitehall. Cordelia szła ze spuszczonej oczyma, lecz przyjaciółka zauważyła sylwetkę monsieur Rolanda, wystrojonego w najlepszy surdut, wracającego w stronę zajazdu Pod Słoniem.

Ciężar spadł z serca Cordelii.

Tej nocy płakała za dziećmi w zaciszu swego pokoju. Widziała je jednak: stały się rzeczywiste, nie były zwiadami z przeszłości. Niedawno przecież wzięła Gwenlliam w ramiona i przynajmniej ta jedna córka poznała prawdę. Manon poślubiła diuka i była bezpieczna. Sny Cordelii mąciło tylko wspomnienie twarzy piętnastoletniego chłopca, szarpiącego kołnierzyk, z zabawnie nastroszonymi włosami. Lecz pewnego dnia jej syn, *mój jedyny syn*, zostanie diukiem Llannefydd: to jej musi wystarczyć.

Nazajutrz udała się na przechadzkę po Little Russell Street; minęła żelazne schody do sutereny, rozmawiając z duchami matki i ciotki, czuła ich dumę i słyszała śmiech; brudne, cuchnące, rojące się od szczurów zaułki czynszówek, Hester i Kitty uciekające przed mordercą do pana Sima, lampiarza: wszystko to znajdowało się daleko, daleko.

15

Cordelia udała się z wizytą do monsieur Rolanda. Na skrzyżowaniu przy zajazdzie Pod Słoniem wozy i karety rozpryskiwały brudny, topniejący śnieg; gdy otwierał jej drzwi mieszkania przy Cleaver--street i zapraszał do środka, skraj płaszcza i sukni miała mokry od błota. Nie dbała jednak o pogodę, siedząc w jego pustym, skromnie umeblowanym pokoju ze starymi gwiazdami, zwieszającymi się z sufitu.

- Przyszłam panu podziękować - powiedziała. - Za to, co zrobił pan dla mnie. Czy raczej ze mną.

Uśmiechnął się swym mądrym uśmiechem, sięgnął po parę spróchniałych de-
sek i dołożył je do ognia, aż buchnęły gorące płomienie.

- Sądzę, że powinna pani czuć się dumna także z samej siebie - odparł. Milczał chwilę, po czym dodał: - Drogi ludzkiego umysłu są dziwne i tajemnicze. Od początku świata praktykowano tego rodzaju umiejętności... umiejętności, których naturę pani, ja i Hester zaczęliśmy trochę rozumieć. To nic nowego i byłoby za-
dufaniem z naszej strony sądzić, że myśmy je odkryli. Rozmawiałem z przedsta-
wicielami wielu kultur: we wszystkich społeczeństwach starano się łagodzić ból;
fizyczny ból, naturalnie... lecz pani wie z doświadczenia ze swoimi klientami, że
istnieje też ból innego rodzaju. Nie wątpię, że za sto lat nadal będziemy szukali
na to lekarstwa. - Przyjrzał jej się uważnie. - Kilku moich kolegów eksperymen-
towało z nowymi rodzajami transu. Praktykę tę nazywa się hipnotyzmem. To coś
na kształt mesmeryzmu, w naszym rozumieniu, naturalnie, lecz... odbiorca... jest
zaangażowany w większym stopniu i musi wykorzystać własną energię oraz wła-
sną wolę, które następnie w jakiś sposób współdziałają z energią magnetyczną
nadawcy. Jest pani bardzo silną osobą, Cordelio, potrzebna więc była także pani
energia. Rozumie pani?

- Cóż... tak sądzę.

- Hipnotyzm obejmuje bowiem także przekazywanie pacjentowi sugestii. Jak
pani wspomniałem, starałem się nie narzucać pani swojej woli... lecz dzięki niej
uświadomić pani jej własną siłę, własny potencjał, i tym sposobem odnaleźć pani
własną zdolność uporania się z bólem. Zaledwie sugerowałem, jak mogłaby pani
tego dokonać, pomagałem pani znaleźć w sobie siłę. To wszystko. Nie ma w tym
nic przerażającego. Doktor Mesmer uczył, że energia magnetyzera to jedyna
czynna siła: owa nowa filozofia, ów hipnotyzm, czerpie także z... i wymaga...
energii pacjenta. Osobiście uważam, że znajdujemy się w bardzo wczesnym sta-
dium odkrycia, a wie pani, jak stanowczo twierdzą, że w równie delikatnych
kwestiach należy postępować z wielką ostrożnością, lecz te dwie filozofie w
oczywisty sposób są bardzo blisko spokrewnione. Wydawało się, że być może
tym sposobem uda się pomóc pani przetrwać to, co musiała pani przeżyć.

- I... mówił pan do mnie, gdy byłam w transie, prawda?

- Tak.

- O tym... że powinnam być na tyle silna, by pozwolić dzieciom odejść.

- Jak wspomniałem, zachęcałem panią, by znalazła własną zdolność uporania się ze swym cierpieniem, Cordelio.

- To było dziwne. Pamiętałam, a zarazem nie pamiętałam.

- Być może część pani duszy pamiętała.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, tylko ogień płonął, szepcząc i trzaskając. Milczenie w obecności monsieur Rolanda nigdy nie było jałowym zajęciem, lecz zawsze pełnym przemyśleń i refleksji. Naraz mężczyzna westchnął ciężko.

- Ogromnie mi zależy na naszej pracy, Cordelio, lecz niekiedy także się o nią lękam. Jestem... dokładam wszelkich starań, by być... uzdrowicielem, nie zaś manipulatorem cudzych umysłów ani kuglarzem, jak ci głupcy, których oglądaliśmy. W złych rękach rzeczy, których się nauczyliśmy, których się uczymy... mogą się stać niebezpieczne; to dla mnie zupełnie oczywiste. Musimy zawsze... zawsze... postępować bardzo ostrożnie z tak subtelną władzą. Ów hipnotyzm, mam nadzieję, poprowadzi nas naprzód, lecz głosi się obecnie tak wiele bredni. Słyszałem niedawno o pastorach... pastorach!... w Ameryce, którzy zostają magnetyzernami i dają przedstawienia w cyrkach! - Okazywał gniew, jedynie mówiąc o swojej profesji. - Pomyśleć, że pseudomagnetyzerzy uprawiają swoje rzemiosło w wesołych miasteczkach, w towarzystwie akrobatów i grubasek... a teraz pojawiła się nowa moda: podobno ludzie obdarzeni mocą psychiczną umieją przywoływać duchy, by stukwały w stoliki, przekazując nam wieści od zmarłych, *mon Dieu*!

- Sądzę, że ludzie uwierzą we wszystko, by zyskać pociechę - odparła Cordelia.

- To możliwe - zgodził się już spokojniej. A po chwili dodał: -Czy Rillie doszła ze sobą do ładu po rozczarowaniu ze swym narzeczonym?

Cordelia wyglądała na zbitą z tropu zmianą tematu.

- Nigdy o nim nie wspomina.

- Jak pani wiadomo, moja droga, nie wspominać o czymś to nie to samo, co dojść do ładu ze sobą.

- Nie, oczywiście, że nie - zgodziła się przywołana do porządku.

Zawsze chciała zapytać magnetyzera, czy po tylu latach wciąż myśli o cioci Hester, czy o niej śni, jak śniła sama Cordelia, coś jednak w jego zachowaniu powstrzymywało ją przed zadawaniem osobistych pytań. Znowu sobie uświadomiła, że w gruncie rzeczy nic zupełnie o nim nie wiedzą. A przecież kochały go i ufały mu bardziej niż komukolwiek na świecie.

Słowa wyrwały jej się nieoczekiwanie; zawstydziała się.

- Czy kiedy mieszkałam w Walii, monsieur Roland, wciąż jeszcze... widywał się pan z ciocią Hester?

- Naturalnie.

- Ale... nigdy pana nie spotkałam, po... po moim powrocie, gdy z nią zamieszkałam przed jej śmiercią.

Starzec długą, długą chwilę siedział ze wzrokiem wbitym w migocące, hałaśliwe płomienie. Pomyślała: *Posunęłam się za daleko*, i policzki jej zapłonęły, lecz nie od ognia. A potem magnetyzer się odezwał:

- Cordelio, kiedy wróciła pani z Walii, pani ciotka już wiedziała, że umiera. Wiedziała też jednak, jak bardzo jej pani wtedy potrzebowała. Pożegnaliśmy się ze sobą. Znaliśmy się i rozumieliśmy wystarczająco dobrze, by to uczynić.

Spojrzała na niego zaskoczona, po czym odwróciła wzrok. *A ja sądziłam, że ciocia Hester nic nie wie o tego rodzaju miłości. Tak samo myślałam o Rillie. Zaprzątnięta własnym życiem i bólem, nie dostrzegałam bólu innych ludzi.* Siedziała bez słowa, monsieur Roland milczał również.

- Więc... kiedy panu opowiadałam o swoim życiu w Walii, o dzieciach, wiedział pan o tym oczywiście.

- Wiedziałem. Lecz bardzo się ucieszyłem, że zdecydowała się pani opowiedzieć mi o nich sama.

Kolejna pauza.

- Szkoda, że nie poznał pan Gwenlliam - odezwała się na koniec Cordelia. - Tak bardzo przypomina ciocię Hester, którą zapamiętałam z dzieciństwa.

- Owszem - zgodził magnetyzer. Po chwili podjął: - Wydawało mi się, że tamten dzień wymagał od pani niemal nadludzkiego wysiłku. Pozwoliłem sobie przybyć na ślub na wypadek, gdyby potrzebowała pani wsparcia - dostrzegł jej zaskoczone spojrzenie - lecz doskonale poradziła sobie pani beze mnie. - Uśmiechał się. - Stałem w ciemnym kącie. I z ogromną przyjemnością patrzyłem na sobowtóry Hester i Kitty. Panna młoda była bardzo piękna, zupełnie jak Kit-ty. Chłopiec, Morgan, ma w sobie coś z pani... trudno mi dokładnie określić, co mianowicie... nie wygląda jak pani, lecz przywodzi panią na myśl. - Zauważył, a może nie, łzę spływającą po jej policzku; Cordelia strąciła ją ruchem dłoni, jakby sama nie była świadoma, że płacze. - A Gwenlliam... Gwenlliam w rzeczy samej wygląda jak Hester. Było interesującym... i dziwnym... przeżyciem ją zobaczyć. Cieszę się, że tam byłem.

- Zawsze jest pan blisko, gdy pana potrzebujemy, monsieur Roland - powiedziała Cordelia wolno.

I znów zamilkli oboje.

W końcu podniosła się i sięgnęła po płaszcz.

- Wierzę - powiedziała - że gdyby coś ważnego zdarzyło się w życiu Gwenliam... w życiu każdego z nich... - poczuła znajomy ból, lecz poddała mu się niczym fali - ...teraz się o tym dowiem. I choć jest dla mnie bardzo bolesne, że nie mogę z nimi dzielić wielu spraw, przynajmniej jeszcze raz ich wszystkich zobaczyłam.

- To prawda - przytaknął. - Stali się realni, Cordelio. Nie są już marzeniem z przeszłości.

- Ten książkę Albert robi mnóstwo zamieszania wokół Bożego Narodzenia - zauważyła Rillie, wskazując rycinę w „Chronicie”, przedstawiającą jodłę ozdobioną niewielkimi świeczkami.

Było niedzielne popołudnie, na dworze sypał śnieg - niemal piękny, gdy cicho opadał na pobielony już ogród, wiedziały jednak, że niespełna pół mili dalej zamienia się w błoto, ledwie dotknie ziemi. Napaliły w kominkach na piętrze, by starszym paniom było ciepło, i w salonie na dole; Cordelia zajęła się tym osobiście; Rillie i Nellie przygotowały suty posiłek, złożony z wołowiny i ziemniaków; Regina zabawiała je czytaniem.

- Ale to przeczytaj ty, Rillie - poprosiła, podając jej gazetę. - To prawdziwe sprawozdanie, nie z bułwarówki... z „Timesa”, monsieur Roland zostawił egzemplarz parę dni temu. Nie myślałam nigdy, że prawdziwe gazety mogą być takie ciekawe, piszą nawet o wojnie w tym dalekim kraju, co go nazywają Afganistanem, słyszałyście? A ja myślałam, że zawsze walczymy z Francuzami... nieważne, nieważne, czytaj.

Starsza pani Spoons, zgarbiona nad stołem, kiwała z zadowoleniem głową, słuchając głosu Rillie, jakby mogła poznać, że to jej własna córka. Rillie interpretowała tekst ze stosownym dramatyzmem, ponieważ nie umiała inaczej; ponieważ była aktorką.

„Rankiem, w ostatni wtorek, próby zabójstwa na niejakiej Elizabeth Magnus, zatrudnionej jako kelnerka w tawernie Auction Mart w City, dopuścił się młody mężczyzna, pracujący w tymże samym przybytku w charakterze posługacza. Podobno, wystrzeliwszy do ofiary z pistoletu, z którego kula przebiła jej gorset i

prawy bok, nim uwięzła w odzieniu, napastnik próbował poderżnąć sobie gardło..."

Rillie rzuciła okiem na Reginę, pokręciła głową i dokończyła:

„...został wszakże aresztowany, nim skutecznił swój zamiar. Rzekomo przyczyną tego gwałtownego czynu była nieodwzajemniona miłość. Oczekuje się, że ofiara powróci do zdrowia”.

Cordelia parsknęła śmiechem. Regina chciała następnie zwrócić ich uwagę na anons „Rozprawy o powiększeniu żołądka”, lecz Rillie - śmiejąc się wszakże mimo woli - energicznie zapędziła starsze damy z powrotem na górę, by zażyły drzemki po posiłku. Teraz, rozprawiając o nowej idei „drzewek bożonarodzeniowych”, siedziała obłożona gazetami - nie tylko „Timesem” i „Chronicie”, lecz także „Morning Post” oraz „News of the World”. Nie musiała ich już czytać w wypożyczalni, mogła sobie pozwolić na kupowanie tyłu tytułów, ilu zapragnęła.

- Pewnie tam, skąd pochodzi, ubiera się choinki - zauważyła Cordelia.

- Książę Albert? Tak, no cóż, jest naturalnie cudzoziemcem, ale czy my też tak zrobimy?

- Co, przystroimy drzewko? - Cordelia spojrzała na rycinę. - To znaczy, umieścimy na nim świececzki?

- A czemu nie?

- Spalimy dom!

- Nic podobnego!

- Skąd weźmiesz drzewko?

- Gdzieś znajdę - odparła Rillie stanowczym tonem. - Będzie miło.

- Martwisz się jeszcze z powodu pana Williamsa? - zapytała nagle Cordelia.

Przyjaciółka szybko spuściła oczy i poprawiła fałdy w spódnicy, jak to miała w zwyczaju. Po paru chwilach odpowiedziała, wciąż jednak nie podnosząc wzroku:

- Martwię się trochę. Chciałam mieć kogoś dla siebie, chociaż jestem stara. Ty nigdy o tym nie marzysz, Cordie?

Rysy Cordelii stwardniały.

- Po co? - spytała. - Po tym wszystkim?

- Och, no wiesz, żeby mieć się do kogo przytulić, jak kiedyś mówiłam. I też... jako lustro.

- Lustro?

- Nieważne - urwała Rillie pośpiesznie; w tej samej chwili usłyszały stuk kołtki. Przelotnie spojrzały sobie w oczy: chyba nie kryzys u jakiejś młodej damy, w niedzielę? Rillie zaczęła się podnosić. - Nellie ma wychodne i poszła się spotkać z bratem.

- Ja otworzę - powiedziała Cordelia.

W drodze do drzwi odruchowo sięgnęła po żelazko; nadal trzymały je pod ręką.

Na stopniach przed budynkiem stał niski piętnastolatek, przyłizane włosy już zaczynały mu się stroszyć nad czołem. Śnieg sypał się na niego lawiną. Przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa; myślała, że śni.

- Przeczytałem pamiętnik Gwennie - oznajmił głosem, który w tym krótkim zdaniu co najmniej dwa razy przeskoczył o oktawę. Śnieg osiadał mu na włosach.

- Wejdz, Morganie - powiedziała Cordelia do syna.

Gdy odkładała żelazko w korytarzu, zdjął pelerynę; nerwowo, z czerwonymi policzkami, usunął się przed dotykem matki, kiedy chciała mu pomóc.

Cudownym sposobem zjawiała się Rillie, wnosząc ze sobą powiew normalności; pod pachą trzymała „Chronicie” i „Timesa”.

- Witaj, Morganie- odezwała się, jakby je często odwiedzał - miło cię znowu widzieć, właśnie idę na górę poczytać gazetę mojej mamie. - I szybko wbiegła po schodach.

- Śmiało, wejdz, Morganie - zachęciła Cordelia i wprowadziła go do ciepłego salonu, w pobliżu ognia i rozrzuconych gazet. Nie rozejrzał się wokół, głowę trzymał lekko schyloną, usiadł, gdzie mu kazano, nic nie mówił.

- Czy Gwennliam wie, że tu przyszedłeś?

- Nie.

- Czy ktokolwiek wie? -Nie.

Milczenie, tylko ogień trzaska i sypie iskrami. Na dworze ciężkie białe płatki padają na ogród i posązek aniołka.

Doznała cudownego objawienia: *Lubi czytać gazety*, przypomniała sobie słowa Gwennliam.

- Poczytaj sobie, Morganie. Ja pójdę zaparzyć herbatę. Wydawał się trochę zaskoczony.

- A gdzie służba?

- Mam pokojówkę, Nellie, ale poszła się spotkać z bratem, a ja doskonale potrafię parzyć indyjską herbatę. Napijesz się, mam nadzieję?

- A jest syrop owocowy? - Jego głos znowu zmienił tonację.

- Sądzę, że tak. Mama Rillie go lubi.

W kuchni w suterenie zaczęła się trząść. Oddychała głęboko, lecz nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że śni, nie potrafiła uporządkować myśli, nie potrafiła w ogóle myśleć; zaparzyła herbatę, znalazła syrop.

Na górze Morgan istotnie czytał gazetę - albo udawał, że czyta - „News of the World”, o morderstwie w Clapham. Postawiła syrop obok niego. Wypił go niemal jednym haustem. Starła się nie przypatrywać zbyt natarczywie ukochanej, zapamiętanej twarzy; nalewając herbaty, tłumaczyła sobie, że gdyby to był sen, do tej pory zdażyłaby się przebudzić.

- Zawsze czytasz pamiętnik siostry?

- Tak. I jej listy. I listy Manon. Ukrywają przede mną różne rzeczy.

- Czemu tak robią?

- Myślę, że jestem dziwny. Krzyczę, kiedy boli mnie głowa. W zeszłym tygodniu upadłem na ziemię. W obecności diuka nie wolno mi tego robić.

- Masz bóle głowy? - Starła się ukryć niepokój w głosie.

- Nie takie jak wtedy, kiedy byłem mały. Te są nowe. Inne.

- Co to znaczy, że padasz na ziemię? - To było nie do zniesienia. Wzruszył ramionami. Wyglądał jak mały kucyk, kiedy się otrząsa. A potem wreszcie na nią popatrzył.

- Najlepiej pamiętam, że zabierałaś ode mnie ból głowy. Ale teraz wyglądasz staro.

Próbowała się uśmiechnąć.

- Ty też się zmieniłeś, Morganie.

- Zobaczyłem ogłoszenie o dzieciach z domku na drzewie. Jak byłem w Cardiff. Zawsze czytam ogłoszenia. Gwennie powiedziała, że to bzdura. Gdybym nie pilnował i nie zaglądał ciągle do jej pamiętnika, nigdy bym się nie dowiedział, że jednak miałem rację.

- Rozumiem.

- Powiedzieli nam, że umarłaś.

- Tak słyszałam.

- W pamiętniku jest napisane, że jesteśmy nieślubni. - Nic nie odpowiedziała. -
Wiem, co znaczy „nieślubny”.

Co za okropna sytuacja. Muszę to jakoś powstrzymać.

- Niemniej jednak nikt o tym nie wie. Wasz ojciec utrzymywał to w tajemnicy, a ja... odszukałam was dopiero teraz. Sądzę, że Gwenlliam raczej nie powinna była o tym wspominać w pamiętniku. To ważne, by ludzie się o tym nie dowiedzieli.

- Czemu?

Nachyliła się w przód, lecz mówiła bardzo łagodnie.

- Morganie, masz piętnaście lat, z pewnością wiesz doskonale dlaczego. Wasz papa zrobił, co dla was najlepsze. Pewnego dnia zostaniesz diukiem Llanefydd.

- Nie chcę być diukiem Llanefydd. Nie posiadała się ze zdumienia.

- A to dlaczego?

- Posłali mnie do szkoły, ale jej nie znosiłem. Umiem dobrze tylko jedno. Chcę zostać malarzem.

- Malarzem? -Tak.

Myślała szybko.

- Ale przecież i wtedy będziesz mógł nim być.

- Diuk mówi, że nie wolno mi malować. Diuk mówi, że muszę się uczyć greki. I łaciny.

- Rozumiem.

- Widziałaś obrazy statków i morza pana Turnera?

- Tak.

- Potrafię tak malować. Ciągle myślę o morzu.

Do tej chwili zdążyła się już przyzwyczaić, że gdy Morgan mówi, jego dziecinny głos załamuje się niekiedy i zaczyna brzmieć jak głos dorosłego mężczyzny. Chłopiec zerwał się nagle z miejsca. Wstała także, lekko zaniepokojona.

- Przyniosłem ci obrazek.

Podążyła za nim, gdy szedł do korytarza; podążyła za nim, kiedy wracał z czymś, co wyjął z kieszeni peleryny. Rozprostował na stole zrolowany obraz, przedstawiający wybrzeże Gwyr u stóp zamkowych ruin. Westchnęła na ten widok z rozpoznania i bólu. Był to wizerunek ich przeszłości.

Nie mogła mówić, na moment gwałtownym ruchem odwróciła głowę. Morgan wygładził obraz dłonią i przyglądał mu się uważnie, czekając. Kilka razy przełknęła ślinę, nim udało jej się przemówić.

- Kiedy to namalowałeś?
- Jak przeczytałem pamiętnik Gwennie.
- A kiedy wróciliście do Gwyr?
- Nigdy.
- Ale... miałeś zaledwie pięć lat.

W pokoju panowała cisza, słychać było tylko trzask ognia. Cor-delia wpatrywała się w obraz.

- Kto to jest magnetyzer? - zapytał. Usiadła wolno znowu.
- Skoro przeglądasz gazety, pewnie czytałeś też o mesmeryzmie.
- Myślałem, że to się robi w szpitalu. Żeby można choremu uciąć nogę.
- Stosuje się go w szpitalach, owszem.
- Chodzisz do szpitala?
- Czasami.
- To działa? - Skupiona, drobna buzia.
- Wiem, że tak. Ale wielu doktorów w to nie wierzy. Czasem chodzę do Londyńskiej Infirmierii Mesmerystycznej. Lekarze, którzy tam pracują, rozumieją, że potrafimy wprowadzać chorych w trans magnetyczny; wtedy, jak się zdaje, odczuwają ból w inny sposób.

- To oszustwo?
- Wierzę, że to nie oszustwo.
- I robiłaś to z moją głową, jak byłem mały? Drgnęła zaskoczona.
- Nie jestem pewna - odpowiedziała wolno - ale być może nieco... nieco mojej energii przeniknęło do twojej głowy, i to ci pomogło.

Nie chciała go zawstydząć, nazywając tę energię miłością. Przypomniała sobie, jak z początku dotykała głów odwiedzających ją pacjentów w taki właśnie sposób, wspominając syna. Tego chłopca.

- Pewnie nie pamiętasz, ale twoja cioteczna babka Hester była magnetyzerką. Być może... być może odziedziczyłam zdolności po niej.

- Co to była za piosenka?
- Jaka piosenka?

A przecież wiedziała. Czekał. W końcu zdołała zanucić początkowe słowa:

*Gdym pacholeciem jeszcze byt,
I hej, i ho, choć wiatr i choć deszcz...*

Wpatrywał się w nią z wyrazem tak wielkiej namiętności na twarzy, że miała wrażenie, jakby ją uderzył. Nagle wyrwało mu się pytanie.

- Mogę tu mieszkać i malować?

Te słowa tak ją zaskoczyły, że spojrzała oszołomiona na Morgana, sądząc, że się przesłyszała.

- Co mówiłeś?

- Czy mogę tu mieszkać i malować? - Tym razem ogarnął ją wielki niepokój; znowu podniosła się raptownie, widząc w wyobraźni mroczne cienie. *Muszę to powstrzymać jakimś sposobem.* Otrząsnęła się.

- Twój papa...

Wybuchnął, wciąż jeszcze dziecinny.

- Diuk Llanefydd to tłusty wieprz! To najokropniejszy człowiek, jakiego spotkałem w życiu, tyran, któremu się zdaje, że jest Bogiem! Bóg wieprzków! - dodał ze śmiechem. - Papa boi się diuka; boi się, jakby wciąż był dzieckiem! Wiedziałaś o tym? A diuka obchodzi tylko Manon, psuje ją i uparł się z nią tańczyć na weselu... wyglądał jak głupiec, on taki niski, a ona wysoka... i przewrócił się w tańcu... i przypominał wieprza jeszcze bardziej, wierzgając nogami w powietrzu, a teraz nie może chodzić ani wejść po schodach, przesiaduje i sypia w salonie przy Grosvenor Square z gorącymi kataplazmami na nogach, żłopie whisky i cuchnie!

Próbowała sobie przedstawić ów mało prawdopodobny obraz arystokracji; milczała przez chwilę. Potem odparła:

- Zapewne to lęk przed diukiem sprawił, że papa ukrywał nas w Gwyr.

- Wie, że Gwennie się z tobą spotkała?

- Ja... nie mam pojęcia, Morganie. Nie sędzę. Bardzo ważne, żeby mu o tym nie wspomniała.

- Myślę, że wie. Przyglądałem mu się, odkąd przeczytałem jej pamiętnik. Widuję go codziennie i wydaje mi się, że coś się stało; sędzę, że chyba się domyśla i jest w strachu... może on też czytał pamiętnik. Boi się i ciągle pije; wyobraża sobie, co będzie, jeśli diuk i lady Rozamunda... nazywamy ją Królową Śniegu... wszystko odkryją! Co by się wtedy stało?

Serce zamarto' jej ze zgrozy na te słowa.

- Lady Rozamunda chybaby go zabiła, gdyby się dowiedziała, że wcale nie umarłaś. Nie zniosłaby tego; taki wstyd! W kółko mówi tylko o „honorze” i „rodzie”. A diuk zerwałby się z łóżka ze swoimi kataplazmami i przyleciał tu ze strzelbą! Gdyby wiedział, że jesteśmy nieślubni.

- Nie wolno ci powtarzać tego słowa, Morganie! - Nie potrafiła się zorientować, czy chłopiec przesadza, czy nie; w jej sercu panika wzbierała falami. - Jesteście dziećmi swojego ojca, uznał was. Mieszkacie w jego domu. Nie wolno ci tak mówić. - Uderzyła ją przerażająca myśl. - Czy Manon wie?

- Za bardzo jest zajęta swoim diukiem.

- Nie byłoby żadnego diuka, gdyby to... gdyby nasza historia stała się znana.

- Nic mnie to nie obchodzi! - A potem pierwszy raz uśmiechnął się naprawdę. - I nie obchodzi mnie, że jesteśmy nieślubni.

Cordelia nie odpowiedziała uśmiechem. Miała ochotę go uderzyć.

- Morganie. Posłuchaj mnie! To bardzo dobrze, że jesteś taki... tolerancyjny. Ale... gdyby wasz papa zostawił wtedy nas wszystkich... ja nie mogłabym wam zapewnić odpowiedniego wychowania. Nie miałam własnych pieniędzy. To, że wziął za was odpowiedzialność, pod wieloma względami okazało się dla was najlepsze. Gdyby porzucił nas wszystkich, już dawno trafilibyśmy do przytułku!

- Ten dom nie wygląda jak przytułek. Papa daje ci pieniądze? Podejrzewała, że synowi wolno zadać takie pytanie, lecz mimo to dziwnie się czuła, zmuszona dać odpowiedź.

- Nie - powiedziała w końcu. - Moja praca, moja i Rillie, zapewniła nam... dobrobyt. Ojciec nie daje mi ani pensa.

- Mogę tu mieszkać i malować? - zapytał po raz trzeci. - Moglibyśmy wyjechać do Ameryki!

Poczuła drgnienie pamięci: ich Ameryka, kraj kobierców, miodu i dziwnych owoców. Odparła gwałtownie:

- Nie, Morganie! Nie dopuszczono by do tego.

- Mogłabyś pomówić z papą. Ścisnęło jej się serce.

- Morganie, pomogłabym ci w każdy możliwy sposób, ale przez wiele lat nie rozmawiałam z twoim ojcem. W żaden sposób nie mógłby uznać mojego istnienia; masz piętnaście lat, jesteś prawie dorosły i znasz świat na tyle, by to rozumieć. Poza tym... - wzruszyła ramionami - ..nie życzę sobie kontaktów z twoim

ojcem. Nie chcę go nawet oglądać. Kiedyś... dawno temu... zakazał mi wszelkich kontaktów z wami.

- Ale dlaczego miałabyś robić, co ci każe? Skłamał, powiedział, że nie żyjesz. Chcę, żebyś zabrała moje bóle głowy.

Zamarła. *Nie może mnie szantażować w taki sposób.*

- Dla twojego dobra muszę się trzymać z dala od waszego życia - powiedziała.
- Dla dobra was wszystkich.

Spojrzał na nią uważnie i jego rysy stwardniały. Rozczarowanie syna zabolęło ją niczym cios.

- Muszę już iść - powiedział i ruszył do korytarza. Tylko jej syn, tylko Morgan, potrafił ją przekonać.

- Napiszę do niego list - obiecała słabo. - Spróbuję. I postaram się znaleźć jakiś sposób na twoje bóle... może zdołam zrobić coś, co je... przynajmniej złagodzi.

Znowu wyszła za nim; narzucił pelerynę na ramiona, lecz po dziecięcemu, zaplątując się w okrycie. Nagle stała się na powrót sobą. Położyła dłoń na jego ręce, nie pozwoliła jej strząsnąć, przemówiła stanowczym tonem.

- Morganie, chodzi nie tylko o twoją przyszłość, lecz także o przyszłość Mannon i Gwenlliam. Szczerze mówiąc, nie wierzę, by twój ojciec przyznał, iż otrzymał ode mnie list. Ale napiszę mu o twoim pragnieniu, by malować, i bólach głowy, jeśli obiecasz mi uroczyście, że o niczym mu nie wspomnisz. Jeśli tego nie przyrzekniesz, nie napiszę.

Krótko kiwnął głową. Pojęła, że musi to uznać za uroczystą obietnicę. I zrozumiała, jak bardzo chłopiec się obawia, że skoro położyła mu dłoń na ramieniu, może też spróbować go pocałować.

- Do widzenia, Morganie - powiedziała. Odkłonił jej się trochę niezgrabnie od drzwi.

- Możesz zatrzymać obraz - rzucił, po czym zbiegł po stopniach w śnieg.

Gdy zniknął w Great Russell Street, Cordelię ogarnęło nagłe przeczucie; podniosła wzrok na ciężkie niebo.

Znowu. Zdawało się, jakby nad domem przy Bedford Place przemknął mroczny cień.

- Był raczej pomniejszą bestią z piekła rodem - wyjaśniła ponuro przyjaciółce nieco później, kreśląc z największą niechęcią krótki liścik, by go doręczono na Grosvenor Square. - Nic dobrego z tego nie wyniknie!

Lecz Rillie widziała, że mimo to policzki Cordelii poróżwiały, a oczy błyszczą: nie umiała nic na to poradzić - widziała się z synem.

- Może mesmeryzm mógłby pomóc na te jego bóle, Rillie? - rzuciła.

- Jeszcze jak mógłby! - odparła tamta bez ogródek. Widziała, jak Cordelia co chwila z niedowierzaniem zerka na obraz.

- To... nadzwyczajne... że to zapamiętał - powiedziała.

- Tak. Nadzwyczajne.

- Zastanawiam się, czy podobałoby się mu mieszkanie w domu pełnym kobiet? - ciągnęła dalej Rillie.

- Na piekielne wrota! - wykrzyknęła Cordelia, wyobrażając sobie nagle Morgana, panią Spoons i Reginę, zgromadzonych w jednym pokoju. - Nalej mi porto!

16

Po wysłaniu listu nie spodziewały się lorda - a jednak się go spodziewały.

- Nikt by nie chciał być lady Ellis - oznajmiła Rillie stanowczo przy kominku następnego wieczoru. - Bardzo się posunął.

Skończyła robić codzienne rachunki; zgodnie z obietnicą, sprokurowała jakimś sposobem niewielką jodełkę. Cordelia roześmiała się szczerze.

- Nikt by nie chciał być lady Ellis - przytaknęła gładko. - Miałam wielkie szczęście.

Napiła się porto. Rillie podniosła wzrok znad świeczek, które umieszczała na choince, by sprawdzić, czy przyjaciółka mówi serio.

- Dobrze schowaj przede mną żelazko - dodała Cordelia ostro - kiedy on przyjdzie. O ile przyjdzie.

Zasłony wciąż jeszcze były rozsunięte: widziały jasny księżyc, zapowiadający mróz. Świecił do ogródka, na strzegącego ich obu aniołka.

- Na pewno przyjdzie w gorsecie - dodała Rillie po chwili, znowu zerkając na przyjaciółkę. - Bardzo ci do twarzy w jasnobłękitnym kolorze, Cordie; postaraj się włożyć tę suknię, jeśli przyśle liścik z zapowiedzią. I masz nad nim przewa-

gę: widziałaś go i tę jego czerwoną gębę. On natomiast ciebie nie widział, a zachowałaś dawną urodę i kształty. Jakież to niefortunne dla lorda Morgana Ellisa!

- Jeśli się zjawi, będę musiała jakoś przetrwać wizytę, ale dobrze schowaj żelazko - powtórzyła Cordelia. Spojrzała uważnie na Rillie i jej świece. - I nie puść domu z dymem!

- Zapalę je tylko w Boże Narodzenie, jak każą w gazecie. Cordelia wybuchnęła śmiechem.

- Do tego czasu choinka dawno się zeschnie!

- Wcale nie! To zaledwie parę dni! Będę ją podlewała. Usłyszały stuk kołatki. Potem Nellie biegnącą po schodach z sutereny. Kiedy dobiegł je od drzwi znajomy głos, Cordelia - mimo śmiechu, gniewu i pogardy - zbladła jak całun. *Tak szybko?*

- Nie, nie mogę tego zrobić - wyszeptała. - Zabiję go. -I byłaby się wymknęła do ogrodu przez weneckie okno, lecz Rillie ją przytrzymała.

- To... trzeba zakończyć, Cordie - powiedziała szybko. -I...tak pięknie wyglądasz w tej jasnej sukni, mówiłam.

Zdawało się, że Cordelia nie słyszy. Przyjaciółka potrząsnęła nią lekko.

- Zrób to ze względu na samą siebie nie mniej niż ze względu na Morgana, Cordie. I na Gwenlliam, i na Manon... musisz to zrobić. Będę tuż obok. Wystarczy zastukać w ścianę.

Wyszła z pokoju. Słysząc było, jak chłodno rozmawia z Ellisem, dając przyjaciółce chwilę, by mogła stanąć przy wysokim oknie, wyrzeć na zewnątrz na mroczny ogród i jasno płonący księżyc. Cordelia oddychała głęboko, niemal jakby mesmeryzowała sama siebie. Ostatecznie, jak zauważyła Rillie, miała przewagę: on jej nie widział: pasmo włosów nad czołem posiwiiało po wizycie u prawnika na Stran-dzie, lecz pozostała piękna i pełna wdzięku, czekając na mężczyznę, który odmienił jej życie. I który następnie zapłacił za życie jej i jej dzieci dwieście gwinei.

Ellisowi towarzyszył zapach olejku makasarskiego, którym nacierał rzednące włosy, i odór whisky.

Cordelia po dłuższej chwili zwróciła się twarzą do wnętrza pokoju, lecz nic nie powiedziała; zauważyła, że jej widok wstrząsnął Ellisem; odwrócił wzrok, po czym spojrzał na nią znowu. Twarz miał bardzo czerwoną. Widziała, że - w gorsecie czy bez - trzyma się bardzo prosto.

Przez niemal minutę stali tak przed niezasłoniętym oknem, nie potrafiąc wydobyć słowa: kruszący się kamień starożytnego zamku, jaskrawe kwiaty tańczące na wietrze i zdradliwe, zmienne morze -wszystko to nagle znalazło się w cichym salonie w Bloomsbury: pamięć, strata; dni, które przeminęły.

I Morgana Ellisa uderzyła nagle, przerażająca świadomość, że tamtych minionych dni nigdy nie uda się odzyskać; że nic - żadne pieniądze ani uczucie - nie zdoła przywrócić czasów, gdy był młody, przystojny i zakochany. Nagle uświadomiona wiedza sprawiła, że cichy, udręczony jęk wydobył się z gardła mężczyzny, który nigdy w życiu nie ośmielił się obejrzeć za siebie ze strachu przed tym, co mógłby zobaczyć.

Rillie w swoim biurze przejrzała zestawienia finansowe i przygotowała pieniądze na zapłacenie rachunków, wszystko to z napiętymi nerwami, wyczulona na każdy dźwięk zza ściany. Lecz panowała cisza. W końcu się odprężyła. Nie było żadnych krzyków: bez wątpienia znajdą polubowne rozwiązanie. Ze względu na dzieci. Marzyła, że Corde-lia zostanie dla własnych dzieci kimś w rodzaju matki chrzestnej i dobrej wróżki. Obecność młodego chłopca pod dachem dobrze by im wszystkim zrobiła, gdyby tak to zaaranżowano. Przyjaciółka byłaby szczęśliwa. Przez jedną krótką chwilę Rillie pozwoliła sobie pomyśleć o własnym synku, Emmanuelu. On też miałby blisko piętnaście lat.

Zegar tykał. Potem zaczął bić. Upłynęła prawie godzina. Ale -mieli przecież do omówienia całe życie. Rillie pobiegła szybko na górę zajrzeć do mamy i Reginy. Kiedy zeszła z powrotem na parter, drzwi salonu nadal były zamknięte. Coś w owej ciszy zaczęło ją w końcu irytować. Krzątała się, nie chcąc przeszkadzać: może zakochali się w sobie na nowo i jej wejście wzbudziłoby wielkie skrepowanie. Na koniec rozsądek wziął górę nad manierami. Zapukała delikatnie. Odpowiedzi nie było. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Jodła z niezapalonymi świeczkami zamajaczyła w cieniu, zasłony po obu stronach weneckiego okna wydeły się do wnętrza. Okno otwierało się w ciemność. Pokój był pusty.

CZEŚĆ DRUGA

TLR

O DOBRZY LUDZIE, NAKŁOŃCIE UCHA, TEJ WIADOMOŚCI
WARTO POSŁUCHAĆ! CZYN TAK OKRUTNY DZISIAJ OGŁA-
SZAM, ŻE SERCE STANIE W PIERSI WASZEJ! KRWAWA POSOKA
ZBROCZYŁA WSZYSTKO...

Uliczni balladziści wyśpiewywali donośnie i wesoło; na mocy dawnej ustawy o włączeniach głośne śpiewanie w miejscach publicznych od lat było rzekomo niezgodne z prawem, lecz sprzedaż tego rodzaju utworów pozwalała zbić skromną fortunę. Drukarze i balladziści, autorzy groszowych broszur, *broadsheets*^{*3}, groszowych ulotek, i *broadside*^{*4}, groszowych gazetek, wszyscy ci szalbierze ledwie mogli uwierzyć we własne szczęście; nie nadawali wręcz z dostarczaniem informacji (prawdziwych lub zmyślonych), bo oto spełniły się ich marzenia - zdarzyło się coś, co sprzedawało się lepiej od wszelkich innych doniesień: morderstwo w wyższych sferach. Niewielkie prasy drukarskie rozsiane po Londynie pracowały całą noc. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiły się tysiące groszowych gazet z wielkimi nagłówkami MORDERSTWO WŚRÓD ARYSTOKRACJI. Krążyły po całym kraju: pośpiesznie przyswoiwszy sobie fakty z szacownych tytułów prasowych, ubarwiały je, na ile im starczyło tupetu. Równie magicznym sposobem ukazało się jeszcze więcej ulubionych wydawnictw Reginy, anonimowych broszurek zatytułowanych STRASZLIWE MORDERSTWA, w cenie za ledwie pensa, które anonsowały:

AUTENTYCZNA HISTORIA WSTRZĄSAJĄCEGO MORDU
Na LORDZIE ELLISIE Morganie, dziedzicu DIUKA LLAN-
NEFYDD, jednej z NAJOKROPNIEJSZYCH zbrodni od-
notowanych w kryminalnych annałach naszego kraju; zawiera-

³ *broadsheet: karta papieru, zadrukowana zwykle jednostronnie, zawierająca obwieszczenie, balladę lub innepopularne treści

⁴ *broadside: wszystkie działa na jednej burcie okrętu; ich równoczesny wystrzał; rozstrzygający atak; karta papieru, zwykle zadrukowana jednostronnie, zawierająca obwieszczenie, balladę lub inne popularne treści

jąca także POTWORNE szczegóły odkrycia CIAŁA wspomnianego wyżej szlachetnie urodzonego lorda ubiegłej nocy.

Ciało ledwie zdążyło ostygnąć, lecz to nie zrażało balladzystów i nędznie opłacanych pismaków. Także godne szacunku gazety ogarnęło podniecenie, choć przedstawiały rzecz nieco oględniej i znacznie mniejszą czcionką, wiadomość wszakże była ta sama: SYN I DZIEDZIC DIUKA LLANNEFYDD BRUTALNIE ZAMORDOWANY NA BLOOMSBURY SQUARE.

„Morning Advertiser” zagrzmiął natychmiast:

Tym przerażającym morderstwem na członku arystokracji w przyzwoitej dzielnicy miasta powinny się rychło zająć siły policyjne, które w niedawnych wypadkach podobnego rodzaju przestępstw okazały się, niestety, nieskuteczne. Ulice naszego miasta muszą się stać bezpieczne. Żywimy gorącą nadzieję, że świeżo utworzony wydział detektywistyczny stołecznej policji tym razem doprowadzi do rychłego rozwiązania sprawy, która napętnia grozą wszystkich trzeźwo myślących obywateli.

Genealogię starożytnego rodu Llannefydd, osiadłego w Walii, dyskutowano przy śniadaniu wszędzie: w Mayfair, co oczywiste, lecz z nie mniejszym zajęciem w Whitechapel i Clapham, a nawet w czynszówkach parafii Św. Egidiusza. Czy lord i lady Ellis są znani jako inicjatorzy jakichś zbożnych dzieł? (Ostatnimi czasy lordowie i damy zwracali się ku zbożnym dziełom, by w ten sposób odciąć się od swych nieco hulaszczych przodków). Nikt nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć: czy łożyli może na misje? Informacja i dezinformacja płynęły szerokim strumieniem spod każdej prasy drukarskiej w Londynie, lecz pewne fakty pozostały bezsporne: zamordowanym był lord Ellis Morgan, liczący sobie lat pięćdziesiąt pięć dziedzic diuka Llannefydd; wdową - lady Rozamunda Ellis, córka diuka Arbotham spokrewniona z Jej Wysokością; jedna z córek zaledwie parę tygodni wcześniej została nową diuszesa Trentu.

**POSOKA ZALAŁA, ACH, PLAC ÓW CAŁY! WNĘTRZNOŚCI
WSZĘDZIE SIĘ WALAŁY! LORDZIE SZLACHETNY, TA KRWAWA
ROSA SPRAWI, ŻE ZADRŻĄ NAWET NIEBIOŚA!**

- wyśpiewywali balladziści na całej Oxford Street.

Szlachetnie urodzonej rodzinie oszczędzono udręki publicznego wystąpienia. Steward diuka Llanefydd potwierdził tożsamość zamordowanego, po czym dwaj chirurdzy wezwani z Guy's Hospital przeprowadzili obdukcję w niewielkim pomieszczeniu na piętrze policyjnego posterunku przy Bow Street. Ciało ofiary (o czym gazety wkrótce poinformowały czytelników) zostało znalezione po północy na Bloomsbury Square przez przechodzącego lokaja. Na twarzy denata widniały stłuczenia, musiało więc dojść do walki, śmierć spowodowały wszakże liczne pchnięcia nożem; wszystko wokół było zbryzgane krwią. Wspomniany lokaj udawał się z poleceniem innego diuka i każdy jego krok miał potwierdzenie z lordowskich ust, nie mógł zatem być nożownikiem. Istniały pewne sprzeczności co do rodzaju znalezionej narzędzia zbrodni: jedna z bulwarówek donosiła, iż była to napoleońska szpada, inna - że tani nóż nabyty w parafii św. Egidiusza. W zaroślach, w odległym kącie placu, znaleziono śpiącego znanego włóczęgę - „upojonego do nieprzytomności”, wedle „Timesa”; twierdzono, że wspomniane wcześniej, choć nieokreślone narzędzie mordu leżało niedaleko niego. Oczywiście natychmiast go aresztowano: włóczęgostwo było przestępstwem (szczególnie w okolicy Bloomsbury Square, uchodzącym za porządniejszą okolicę niż ciągnące się dalej na wschód ulice). Czy zatrzymano mężczyznę jako mordercę, czy też pijaka, na tym etapie nie było jasne, lecz przyszłość włóczęgi, tak czy inaczej, nie malowała się różowo.

Zasłony w oknach wielkiego domu przy Grosvenor Square pozostały zaciągnięte, a wielkich drzwi frontowych nie otwierano; oddział trzech konstabli strzegł wejścia przed wtargnięciem ciekawskich. We wnętrzu panowała nieprzenikniona cisza: zamknięte drzwi; mroczne pokoje, zaciągnięte story; bogactwo i władza, rozbrzmiewające z nagłą kuranty zegarów. W wielkim, mrocznym salonie na parterze, cuchnącym kataplazmami, medykamentami i alkoholem (być może, choć niekoniecznie, także do użytku medycznego) leżał zrzędlawy, wybuchowy, mały tyran: diuk Llanefydd. Niski diuk był bliski apopleksji, kiedy tak leżał przykuty do wielkiej sofy: wstyd, skandal, strata, niedogodność. Pogrzebu nie można było zorganizować, bo ciała lorda Ellisa jeszcze nie wydano; wciąż zajmowali się nim chirurdzy i policja.

W końcu, nieco później tego zimnego, pełnego grozy dnia, frontowymi drzwiami do domu przy Grosvenor Square wpuszczono niechętnie dwóch poli-

cyjantów; przedstawili się jako inspektor Rivers z nowego wydziału detektywistycznego stołecznej policji oraz konstabl Forrest, jego asystent. Inspektor przyniósł ze sobą niewielki pakunek, wyglądający raczej niepozornie; jakiś przedmiot owinięty w gazetę.

„Zawsze szukam oznak rozpaczy”, rzucił inspektor mimochodem swemu pomocnikowi (dość ekscentryczna sugestia: konstabl spodziewał się raczej, że przyjdzie mu się rozglądać za śladami stóp lub strzępami odzieży, nie zaś oznakami rozpaczy, lecz Rivers był starym wyjadaczem, ogromnie podziwianym przed podwładnych). Obaj policjanci, nie zważając na ledwo skrywaną pogardę lokajów, próbowali się rozmówić z resztą służby. Liczyła co najmniej dwadzieścia osób, wywiady zatem okazały się nieco powierzchowne: lord Morgan Ellis wyszedł ubiegłego wieczoru przed siódmą, tyle tylko wiedzieli; jeśli rodzina skrywała jakieś tajemnice, nikt o nich nie wspomniał. Następnie policjanci zostali zwymyślani przez diuka we własnej osobie z cuchnącego łoża w salonie.

- Wasza lordowska mość jest niedysponowany? - zapytał inspektor Rivers uprzejmie od wejścia i został głośno zbesztany za swe zuchwałe zainteresowanie; wybuchowi gniewu towarzyszyła groźba, że obaj oficerowie zostaną wydaleny ze stołecznych sił policyjnych, nadzorowanych osobiście przez diuka, jeśli ciało lorda Ellisa będzie w dalszym ciągu przetrzymywane; co to ma znaczyć, że jednemu z najświetniejszych rodów w kraju każe się tańczyć, jak mu zagrają ci łajdacy chirurdzy. I tak dalej. Inspektor i jego konstabl trwali po stoicku na pozycji w drzwiach. Kiedy diuk wreszcie zrobił przerwę dla nabrania oddechu i wzmocnienia, gestem nakazując sobie nalać whisky, inspektor Rivers postąpił parę kroków w głąb salonu i zapytał, czy mógłby krótko porozmawiać z członkami rodziny.

- Na miłość boską! Wynoście się stąd!

Przeklinając, diuk niecierpliwym gestem polecił lokajowi nalać więcej alkoholu. Uważał, że stoi ponad prawem i nie musi wdawać się w rozmowy z przedstawicielem pospólstwa, który miał czelność wedrzeć się do jego tymczasowej sypialni. Być może jego odrażające grubiaństwo maskowało ból; któż mógł to wiedzieć?

Cisza w pokoju się przeciągała. Było bardzo zimno: ogień w wielkim kominku skwierczał, zamiast ogrzewać cuchnące medykamentami powietrze. Inspektor i konstabl oglądali obrazy na ścianach: bitwy, zamki, kunsztowny portret Williama IV (jak gdyby młoda królowa nigdy nie wstąpiła na tron). Naraz uświadomili so-

bie nieznaczne poruszenie: młody chłopiec, niski, jasnowłosy, wślizgnął się cicho do wnętrza, zmierzając ku odległemu kąтови zaciemnionego salonu, gdzie zaraz pochylił się nad szachownicą oświetlaną jedynie przez słabą latarenkę ze świeczką. Musiał to być mały Morgan, nowy lord Ellis, obecnie jedyny dziedzic diuka Llanefydd. Starzec nawet nie zauważył jego wejścia: policjanci też nie zwrócili jego uwagi na ten fakt.

- Proszę o wybaczenie, wasza lordowska mość - odezwał się w końcu inspektor - że go niepokoiimy w tak niezwykle trudnym czasie, i zapewniam, że ciało pańskiego syna zostanie zwrócone celem pochówku najszybciej, jak to możliwe. Tymczasem, niestety, z racji powagi sprawy, muszę prosić o pozwolenie na rozmowę z pańską synową i jej dziećmi, jak też panem.

Z nachylenia głowy chłopca inspektor odgadł, że grający w szachy przysłuchuje się uważnie.

- Nie ma absolutnie żadnego powodu, by rozmawiał pan z kimkolwiek; nie potrafię też pojąć, czemu rozmawia pan ze mną i marnuje mój czas! Jestem chory! Proszę na mnie spojrzeć, proszę spojrzeć! Nie mogę nawet chodzić! Dlaczego ten typ stoi przy drzwiach?

- Jak już wyjaśniałem, sir, to mój asystent, konstabl Forrest.

Diuk ze swego łoża rzucił młodemu mężczyźnie spojrzenie pełne tak czystej wrogości, że konstabl Forrest (inspektor to zauważył) wzdrygnął się nieznacznie. Nie ustąpił ze swoich pozycji. Rivers westchnął niezauważalnie. Za młodych lat, jako świeżo mianowany policjant, darzył arystokrację wielką estymą, spoglądał na nią z głębokim szacunkiem. W wielu sytuacjach dziś nie potrafił już tak patrzeć: dawno zrozumiał, że większość - nie wszyscy, lecz większość - arystokratów postrzega ludzi takich jak on niczym kartonowe figury, nie zaś istoty z krwi i kości. Nie podawał w wątpliwość swych dawnych przekonań i nie odpłacał szlachetnie urodzonym tą samą monetą: *Czyż oni nie krwawią?* - powtarzał sobie, niedokładnie cytując Szekspira. Ów niski, tłusty mężczyzna, leżący z kataplazmami na nogach i obandażowanymi kolanami, żłopiący whisky i miotający obelgi, wydawał się postacią raczej ze sceny niż z prawdziwego życia, lecz inspektor z biegiem czasu przekonał się dobitnie, że arystokraci wiedą zupełnie inne życie i nie pojmują, iż prawa stosujące się do ogółu społeczeństwa dotyczą ich także. Przez lata rozwinął w sobie być może największy swój talent: nadzwyczajną cierpliwość, doprowadzoną do perfekcji dzięki zainteresowaniu maleńkim cudem, powolnym rozwojem i wyłanianiem się motyli z poczwerek wiszących pod

ciemnymi liśćmi w niewielkim ogródku na tyłach jego domu. To zainteresowanie wzrosło, odkąd jego córki zaraziły się artystyczną modą, praktykowaną przez wiele ówczesnych młodych dam: nabijały piękne motyle na szpilkę i zamykały je na zawsze w oszklonych gablotkach, a następnie upierały się, by nimi ozdobiono korytarz domu w Marylebone. (Inspektor często przyglądał się przekłutym owadom z milczącym żalem). Im wolniej i dyskretniej wyłaniały się zatem młode skrzydlate stworzenia, tym lepiej dla nich. Teraz, po chwili milczenia, odezwał się z niezmiernym szacunkiem.

- Wasza lordowska mość z pewnością rozumie, że musimy ustalić, co robił pański syn ostatniego wieczoru.

- Komendanci policji usłyszą ode mnie o pańskim niczym nieuzasadnionym najściu. Jestem diukiem Llanefydd, nie jakimś pospolitym. .. - umilkł, by poszukać właściwego słowa - właścicielem podmiejskiej willi!

Inspektor Rivers tkwił uparcie w miejscu, milczący, lecz nieporuszony; na koniec, głośno go przeklinając za wtargnięcie do domu żałoby, diuk sięgnął po sznur dzwonka. Jeden z gładkich, pogardliwych lokajów pojawił się i zniknął, by wykonać książęce polecenie.

Diuk zabębnił, a następnie pstryknął palcami i w wielkim salonie, gdzieś spośród ciemnych stołów, twardych sof i budzących respekt krzeseł zmaterializował się kolejny lokaj, by nalać kolejną poranną whisky. W odległym kącie grający w szachy chłopiec zamarł w bezruchu, jak gdyby bezruch mógł go uczynić niewidzialnym.

Konstabl Forrest trwał ze stoicyzmem przy drzwiach, przyglądając się wszystkiemu. Nigdy w życiu nie był w środku takiego domu; czuł rozczarowanie: spodziewał się czegoś innego, wnętrza bardziej stylowego i wspaniałego; przyłapał się na tym, że z nagłą tęsknotą myśli o swoich wynajętych dwóch pokojach w Vauxhall, o żonie, małym synku i wspólnej radości; odmalowali niedawno jeden z pokoiów i poblask ognia migotał ciepło na czystych brązowych ścianach.

Gdy w końcu do salonu weszła lady Rozamunda Ellis, wydawało się, że zrobiło się jeszcze chłodniej: zimna twarz niemal promieniowała bielą nad czarną suknią. Kobieta była tak blada, rysy miała tak wyniosłe, a jednocześnie pozbawione wyrazu, że przywiodła policjantom na myśl przerażającą figurę woskową. W ślad za nią zjawily się dwie córki; grający w szachy chłopiec prześliznął się wzdłuż ściany, gdy wchodziły, próbując niezauważalnie wtopić się w grupkę, lecz matka raptownie błysnęła na niego oczami; nic jej nie umknęło. Trójka mło-

dych ludzi stała blada, ze spuszczoneymi głowami. *Czy to są oznaki rozpacz, których miałem wypatrywać?* - zastanowił się konstabl Forrest. Znał ich wiek, sprawdził go na polecenie inspektora: siedemnaście, szesnaście i piętnaście lat. Lady Rozamunda ani na chwilę nie spuszczała z dzieci jastrzębiego spojrzenia; z pewnością musiały czuć dotyk białego lodu.

Starszą dziewczyną - to musiała być nowa diuszesa Trentu - niezwykle piękną nawet *in extremis*, targały paroksyzmy rozpacz, nad którymi ledwie panowała: stary diuk spojrział na nią jakby z odrobiną zażenowania, lecz konstabl zauważył, że matka mierzy ją surowym spojrzeniem. Naturalnie arystokratki nikt nie powinien widzieć we łzach. Średnia córka najwyraźniej płakała także, oczy miała za bardzo spuchnięte, teraz jednak była opanowana. Chłopiec od szachów gapił się w dywan, lecz sprawiał dziwne wrażenie; wciąż poruszał głową, wyciągał szyję, jak gdyby od nagłego ukłucia bólu. Konstabl przyjrzał mu się podejrzliwie. Trójka młodych ludzi tworzyła bardzo nieszczęśliwą gromadkę, co oczywiście - Forrest to rozumiał - było w tych okolicznościach naturalne. Zdawało się, że chłopiec naprawdę cierpi: potarł bok głowy; konstabl zerknął na jego matkę, lecz jeśli zauważyła cierpienie syna, nie zareagowała.

Pytania inspektora do zebranych krewnych były krótkie i rzeczowe; szybko uzyskał wymagane informacje: lord Ellis zjadł kolację z rodziną około szóstej wieczorem, po czym wyszedł. Nie widzieli go więcej. Gdy nadeszła wiadomość, znajdowali się przy Grosvenor Square, wszyscy z wyjątkiem lady Manon, którą służący wywołał z balu.

- Pani i jej mąż przybyli tu od razu? W pięknych oczach wezbrały łzy.

- Mój... mój mąż za mną nie przyjechał. Przybyłam sama. Łzy popłynęły po policzkach Manon; siostra ścisnęła ją mocno za rękę, jakby chcąc jej dodać sił. Czułe serce konstabla Forresta cierpiało. *Więc tak postępują arystokraci? Kazano jej wracać samej?*

- Lady Rozamundo - odezwał się inspektor - wie pani być może, dokąd mąż udał się po kolacji?

Jak się wydawało, z wielkim wysiłkiem zmuszając się do odpowiedzi, wyjaśniła ostrym tonem, zachowując jedynie pozór uprzejmości:

- Nie jestem strażniczką mego męża.

- Niezwykle by nam pomogło w szybkim uporaniu się z tą straszną tragedią, gdybyśmy się mogli dowiedzieć czegokolwiek o jego planach.

Dopiero wtedy spojrzała na niego naprawdę pierwszy raz; zmierzyła go wzrokiem. Wydział detektywistyczny stołecznej policji utworzono niedawno, lecz subtelna sztuka detektywistyczna powstała nieco wcześniej, inspektor zauważył więc w oczach kobiety jakąś emocję

- tak naga, tak silna, że mimo woli, mimo całego doświadczenia, na mgnienie odwrócił wzrok. *To jad, nie żaloba*. W pokoju byłoby zupełnie cicho, gdyby nie trzaskanie ognia i chrapliwy oddech diuka. Chwila przeszła. Nie miało się zdarzyć nic więcej.

- Jest mi ogromnie przykro, że muszę państwa niepokoić - odezwał się inspektor - w tak trudnych chwilach, lecz, oczywiście, rozumieją państwo, że musimy spróbować się dowiedzieć, jak zginął lord Morgan Ellis. Jeszcze tylko jedno.

Zebrali się teraz wszyscy, zatem mógł im go pokazać. Rozwinął pakunek, który ze sobą przyniósł; poczuł ich zaskoczenie, usłyszał mimowolne westchnienia. Sztylet był najpiękniejszym przedmiotem, jaki kiedykolwiek trzymał w ręce. Ostrze miał srebrne, smukłe i delikatne, lecz to wysadzana klejnotami rękojeść przyciągała wzrok, lśniła nawet w półmroku panującym w salonie: klejnoty, rubiny i diamenty połyskiwały w świetle lamp. *Nie jakieś pospolite narzędzie zbrodni*, pomyślał konstabl Forrest w zadziwieniu, gapiąc się od wejścia na skrzący się, lśniący, piękny przedmiot w dłoni inspektora.

- Skąd pan go ma? - rozległ się głos diuka.

- Poznaje go pan, wasza lordowska mość?

- Nie poznaję. Ale to dzieło szczególnie starożytne i cenne, bez dwóch zdań. Spójrz pan na niego! Spójrzże, człowieku! Jest bezcenny. Jak tego rodzaju przedmiot znalazł się w pana posiadaniu?

Chciał zobaczyć sztylet lepiej, wziąć go do ręki; dłoni go swędziało, by potrzymać tak wspaniałe dzieło sztuki. Wyraźnie widział rubiny, nie mógł się jednak podnieść z sofy, nie mógł podejść i chwycić sztyletu, co w innej sytuacji uczyniłby bez skrpułów.

- Jak taka rzecz znalazła się w pańskim posiadaniu? - powtórzył głosem pełnym bezsilnej złości.

- To narzędzie zbrodni, wasza lordowska mość.

- Niemożliwe, oczywiście!

- Sztylet znaleziono w zaroślach na placu, niedaleko miejsca, gdzie leżało ciało; są na nim ślady krwi pańskiego syna. - W salonie dało się słyszeć jakiś od-

głos: być może była to oznaka żalu, być może grozy. - Przykro mi, to musiało zostać wyjaśnione. Chirurdzy i koroner uznali go za narzędzie zbrodni.

Wstrząs zmusił do skupienia uwagi nawet piękną dziewczynę, łyzy obeschły. Nagle jednak matka dała znać o swojej obecności.

- Z pewnością dzieci nie są dłużej potrzebne, by słuchać o tak potwornych rzeczach - oznajmiła władczo lady Rozamunda.

- Poznajecie ten przedmiot? - zwrócił się inspektor do młodych ludzi tonem swobodnej pogawędki.

Dziewczęta, wpatrując się w przerażeniu i zdumieniu w broń lśniącą w dłoni policjanta, lekko pokręciły głowami. Sztylet sypnął iskrami. *To od jego ciosu zginął ich ojciec.* W pokoju panowała cisza, słychać było teraz jedynie szmer oddechów.

- Mieszkaliśmy głównie w Walii - wyjaśniła na koniec średnia córka, jak gdyby ktoś musiał się odezwać, lecz głos jej drżał. - Nie widywaliśmy takich... rzeczy.

Chłopiec nic nie powiedział, trzymał się teraz za głowę, jakby cierpiał niewyobrażalny ból: trudno było znieść jego widok, mimo oznak cierpienia, spoglądał na sztylet mocno błyszczącymi oczyma.

W końcu Rivers skłonił się lekko całej trójce.

- Dziękuję za poświęcony mi czas. Bardzo wam współczuję z powodu śmierci ojca.

Lady Rozamunda przyglądała się dzieciom bez słowa. Wyszli gęsiego, w milczeniu, z olbrzymiego, lodowatego salonu. Sztylet wciąż lśnił w ręce inspektora.

Rivers przemówił znowu.

- Ciało zostanie zwrócone najszybciej, jak to możliwe, powinni jednak państwo wiedzieć, że zostanie przeprowadzone badanie w celu ustalenia przyczyny zgonu - wyjaśnił. - Muszę też poinformować waszą lordowską mość, że w tych smutnych, lecz trywialnych okolicznościach jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż prawo będzie wymagało pańskiej obecności podczas badania.

- Mojej obecności! - Diuk nie krył oburzenia.

- Należy pan do osób, które ostatnie widziały lorda Ellisa żywego.

Nim diuk zdążył odpowiedzieć, ciszę przecięły nieoczekiwane słowa lady Rozamundy:

- Ja również byłam jedną z ostatnich osób, które widziały lorda Ellisa wśród żywych - oznajmiła. - Ja będę obecna przy badaniu.

- Trudno od pani oczekiwać, by...

- Będę obecna przy badaniu - powtórzyła.

Lecz diuk Llanefydd ledwie jej słuchał. W ciszy, która nastąpiła, wypowiedział zdumiewające słowa.

- Chcę mieć ten sztylet - oświadczył. - Kupię go.

Spojrzał znowu na wysadzaną klejnotami rękojeść. Inspektor usiłował ukryć zaskoczenie.

- W chwili obecnej nie jest na sprzedaż, wasza lordowska mość - odparł.

Starannie zawinął sztylet z powrotem w gazetę, po czym skierował się w do wyjścia.

- Konstablu.

Rivers uznał, że lady Rozamunda ma na myśli jego, przystanął więc i odwrócił się. Spostrzegł, że kobieta waha się, zagryzając bladą wargę, ale w końcu powiedziała:

- Ja go kupię.

Diuk fuknął z oburzeniem; inspektor, starając się nie okazać zdumienia, przez moment przyglądał się kobiecie bardzo uważnie. Była całkowicie zdecydowana.

- Pamiętam, że dawno temu, gdy pierwszy raz spotkałam męża, miał podobny sztylet.

- Jak mógłby posiadać tak bezcenny skarb bez mojej wiedzy? -warknął diuk. - Nie miał takiego sztyletu, wiedziałbym o tym. Musiałbym za niego zapłacić!

- Nie widziałam go przez wiele, wiele lat - odparta lady Rozamunda, nieznacznie wzruszając wytwornymi ramionami. - Może go sprzedał. Lub komuś dał. No cóż, mogę się mylić. Zapłacę jednak, ile trzeba. To będzie...

Przez jedną niezwykłą chwilę Rivers był pewien, że kobieta zamierza powiedzieć: pamiątka; jeśli tak było, zmieniła zamiar.

- Kupię go - powtórzyła. - Kupię go, kiedy stanie się to możliwe.

Konstabl Forrest na swoim stanowisku przy drzwiach nie posiadał, się ze zdumienia: *Wszyscy chcą kupić narzędzie zbrodni?* Było piękne, z pewnością, lecz ich działania wydawały mu się niepojęte. W rzeczy samej nawet lekko pokręcił głową z niedowierzaniem i dezaprobatą, lecz oczywiście nikt na niego nie patrzył. Podziwiał sposób, w jaki inspektor, gotów do odejścia, skłonił się znowu nie-

znacznie, sugerując, iż spełnienie prośby w danym momencie nie leży w jego mocy.

- Lady Rozamundo - odezwał się - pani syn wydaje się... chory. Czy dobrze się czuje? Naturalnie, w tych strasznych okolicznościach...

Od kobiety raz jeszcze powiało chłodem.

- To impertynencja z pańskiej strony. Mój syn ma skłonność do bólów głowy. To wszystko.

Diuk nic nie dodał, po chwili Rivers skinął głową i wyszedł do holu z konstabłem Forrestem, podążającym w ślad za nim; wielkie, ciężkie drzwi zatrzaśnięto za nimi pośpiesznie.

Konstabl gwałtownie wypuścił powietrze, jak gdyby w domu czuł się zbyt skrępowany, by oddychać.

- Być może arystokracja okazuje żalobę w inny sposób niż my, sir - mruknął po chwili. - Z wyjątkiem tej pięknej dziewczyny, oczywiście. Diuk i lady Rozamunda nie są zachwyceni, że mieszkają pod jednym dachem, prawda, sir? - A potem, niezdolny ukryć podniecenia, zerknął na zawiniętą w papier paczkę w dłoni inspektora. - Ale to narzędzie zbrodni! Cóż za piękno, sir!

- W rzeczy samej.

- To dziwne, że chcieli je kupić. Makabryczne, gdyby mnie kto pytał, sir.

- Jest bezcenne - wyjaśnił inspektor Rivers łagodnie. - Sądzę, że lubią posiadać bezcenne rzeczy. Nawet narzędzia zbrodni.

Lecz Forrest znowu pokręcił głową: jemu wydawało się to niestosowne.

Ustalili, że konstabl zostanie na razie przed domem z kilkoma innymi policjantami; w okolicy kręciły się dziwne typy, okazując zainteresowanie.

- Niech pan obserwuje dom - polecił Rivers i konstabl rozumiał, że oznacza to także: Niech pan obserwuje mieszkańców.

Inspektor odszedł, zabierając ze sobą piękny sztylet. Wyglądał, jakby niósł kawałek ryby na kolację.

Gdy wrócił do siedziby wydziału detektywistycznego przy Whi-tehall-place 4, tuż obok White Hall, było wilgotne, szare, mroczniejące popołudnie. Wydział detektywistyczny powołano niedawno. Policja stołeczna była wyjątkowo niepopularna wśród społeczeństwa i wydawało się mało prawdopodobne, by wydział detektywistyczny, mieszczący się w niewielkim osobnym budynku, zdołał zmienić to nastawienie. Inni policjanci szydzili; kpili z inspektora Riversa i jego kon-

stabilni: „Detektywi? A czym się różni praca detektywa od tego, czym my się zajmujemy? Po prostu złapcie tych przeklętych drani!”, i wybuchali śmiechem, nie zawsze życzliwym. Każdy policjant słyszał opowieści o lizusowatym inspektorze policji we Francji, któremu metody detektywistyczne przyniosły sławę; w Londynie nie trzeba było żadnych nadętych detektywów, dziękujemy bardzo. „Ci spece są straszni i zadufani w sobie”, orzekł kwaśno jeden z inspektorów, którego ominął awans. Powtórzył zasłyszane gdzieś słowo: zadufany. „Marnowanie pieniędzy” - dodał inny. Prawda, wydział utworzono niedawno, inspektor Rivers zaś na pełne nieufności pomruki większości kolegów odpowiadał jedynie: „To nam pozwala słuchać”. Był przekonany, że ta inwestycja jest dobrym posunięciem, bo widział już niejedną niesprawiedliwość.

Dla tego właśnie nowego wydziału nabyto w Whitehall-place budynek; na jego tyłach mieścił się niewielki areszt, wychodzący na dziedziniec zwany Scotland Yardem. Powietrze było szare, wilgotne i zimne, w nosie wiercił odór wiecznej mgły, zmieszany ze smrodem uryny z dziedzińca oraz wonią niemytych ciał i zepsutej ryby: zapachy zawsze unoszące się wokół, a często też w murach posterunków policyjnych. Reporterzy, którzy kręcili się wcześniej na Bow Street, przybyli teraz na Whitehall-place, zmarznięci i utyskujący, spragnieni jakichś wieści, na Bow Street bowiem zwłoki w końcu zaszyto i chirurdzy się rozeszli. Inspektor Rivers uśmiechnął się w odpowiedzi na ich nagabywania i oznajmił, że nie ma żadnych nowin. Nie uwierzyli, lecz po chwili rozplynęli się w półmroku; klnąc, chowając zmarznięte dłonie pod pachy, zmierzali do pobliskiego pubu. Na Whitehall-place migotały mętne latarnie.

Londyn był podzielony na lokalnie zarządzane parafie: pan Percival Tunks, koroner parafii św. Jerzego w Bloomsbury, który zjawił się w wydziale detektywistycznym ze swoim raportem z obdukcji zwłok lorda Morgana Ellisa, włożył już kapelusz, zamierzając posilić się gdzieś na mieście. Wychodząc, natknął się na inspektora zdającego sztylet z rękojeścią wysadzaną rubinami i brylantami; obaj raz jeszcze spojrzeli na przedmiot z podziwem, pogładzili lśniące klejnoty: dziwne, niezwykle narzędzie zbrodni. Czy sztylet mógł kiedyś należeć do lorda Ellisa? Wydawał się - obaj to czuli i niemal wstydzili się tego wrażenia - niemal zbyt cenny na morderczą broń. Przyglądali się, gdy chowano go do sejfu i sprawdzano zamek. Potem, wymieniając się informacjami, wyszli razem na szeroką główną arterię White Hall, gdzie wozy i karety mijały ich z turkotem w półmroku, rozpryskując błoto i koński nawóz. Przeszli na drugą stronę i skręcili

w St Martin's Lane, pełną zapachu kapusty, nieświeżej rąbanki i chudych beapańskich psów. Koroner właśnie miał wejść do baru, gdy podbiegł do niego jakiś chłopak.

- Panie Tunks, sir! Szedłem za panem, sir, mam list, sir!

Wyciągnął w stronę mężczyzny kartkę papieru. Inspektor rozpoznał posłańca: często widywano go w okolicy Bow Street, zamiatającego zaśmieconą ulicę brudną miotłą, by ułatwić przejście jakiejś damie, niekiedy chłopak sypiał na kratkach ściekowych lub przy ulicznych ogniskach, blady, chudy, brudny i niemający domu, jak setki jemu podobnych. Inspektor dał chłopakowi sześciopen-sówkę, pan Tunks tymczasem wpatrywał się w liścik.

- Skąd to masz? - Spojrzał surowo na posłańca.

- Dał mi, sir! - Obdartus mało nie pękł z poczucia własnej ważności.

- Kto? - Koroner oglądał uważnie list w świetle gazowej latarni.

- Jakiś człowiek, sir! Nie wiem dokładnie, kto to był, sir, przez tę mgłę; nic się nie odezwał, tylko mi dał szylinga po ciemku, sir, żeby to panu przekazać, jak pan skończy obdukcję po tym okropnym morderstwie, sir!

Pan Tunks rozłożył kartkę.

Wiadomość brzmiała jedynie: „Ostatniego wieczoru lord Ellis odwiedził magnetyzerkę w Bloomsbury”. List nie był podpisany. *Ma-gnetyzerkę?* Koroner chrząknął cicho, zaskoczony, sięgnął do kieszeni, wysunął chłopakowi dwa pensy. Chętnie byłby mu zadał jeszcze kilka pytań, lecz chudy ulicznik rozpułnął się wśród szarych cieni.

Flegmatyczny inspektor Rivers, obserwator motyli poczwarek, jeden raz w życiu okazał gniew w obecności przełożonych, i właśnie anonimowy list był przyczyną tego niezwykłego wydarzenia. Kilka lat wcześniej, na długo nim powzięto zamiar utworzenia wydziału detektywistycznego, badając w policji stołecznej sprawę pewnego morderstwa, inspektor jeszcze przed procesem otrzymał anonim obciążający pewnego dziwaka, samotnego robotnika. Anonim wysłano także do jednej z gazet i wkrótce groszowe pisemka, balladziści oraz uliczni recytatorzy zwietrzyli sprawę i rozgłosili nazwisko nieszczęśnika. Z czasem znaleziono rzeczywistego sprawcę, lecz proces był powolny i trudny (inspektor wiedział coś o tym); nim do niego doszło, robotnik powiesił się nad swym wąskim łóżkiem w wynajętym pokoju. Rivers pełen rozgoryczenia udał się do władz zwierzchnich i niedwuznacznie dał do zrozumienia, że tej śmierci winne są gro-

szowe gazety; pod wpływem gniewu i wyrzutów sumienia stał się nieostrożny. „Powinni się panowie rozmówić ze swoimi przełożonymi w parlamencie albo z królem!” - wykrzykiwał. „Gdyby porządne gazety zwolniono z płacenia podatków, tak aby zwykli ludzie mogli sobie na nie pozwolić, bulwarówki i balladziści czyhający tylko na skandale, straciliby zajęcie!”. Jeden z komisarzy wydawał się otwarty na jego argumenty, drugi wręcz przeciwnie: inspektor miał szczęście, że nie został zdegradowany i wyrzucony ze służby.

Tak więc Rivers, którego anonimowe informacje oczywiście interesowały w najwyższym stopniu (bo często takie listy - pisane złośliwie bądź nie - okazywały się wielce użyteczne), zastanawiał się teraz, czy podobną notatkę wysłano także do prasy. Westchnął głęboko, nasłuchując stuku kołatki rozlegającego się echem w domu przy Bedford Place, i rozejrzał się czujnie wokół, czy nie widać reporterów. Jego oddech układał się w zawiłe wzory w zmierzchającym powietrzu; nozdrza wypełniały mgła i chłód. Zasięgnawszy informacji, dowiedział się, że jedyną kobietą magnetyzerką w Bloomsbury, a może i całym Londynie, jest panna Cordelia Preston. Nie pozwalał sobie myśleć o niej źle, póki nie przeprowadzi gruntowniejszego wywiadu; nie chciałby odpowiadać za konsekwencje, gdyby gazety zwęszyłyby już samo słowo magnetyzm. Wyobrażał ją sobie jako drobną staruszkę o przenikliwym spojrzeniu, i na razie wolałby jej oszczędzić przykrości.

Służąca, z twarzą ożywioną w pierwszej chwili zdumieniem, a zaraz potem podnieceniem, wprowadziła go do niewielkiego saloniku, gdzie za biurkiem zarzuconym papierami siedziała swobodna, miła starsza kobieta. Przyglądał jej się przez chwilę, nim ona zauważyła jego. Wyglądała na zmęczoną, zapewne po całodziennej pracy, i strapioną. Podniosła wzrok i zobaczyła policjanta: ujrzał, jak otwiera szerzej oczy.

- Inspektor Rivers; jestem policyjnym detektywem, proszę pani. Czy mam przyjemność z panną Cordelią Preston?

- Dziękuję, Nellie - odezwała się miła kobieta.

Zaczekała, aż służąca wyjdzie; zaraz potem usłyszeli jej głos nawołujący gorączkowo: „Regino! Regino! To policjant!”, i odgłos stóp biegnących w górę po schodach. Kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Nellie ogromnie ciekawią policjanci - wyjaśniła. - Jestem panna Spoons, współpracowniczka panny Preston w interesach.

Przyjaźnie wyciągnęła rękę, lecz w jej oczach widział nieufność.

- Czy mógłbym rozmawiać z panną Preston?

- Życzy pan sobie skorzystać z jej usług?

Poczuł lekkie zmieszanie, po czym zrozumiał, że miała na myśli mesmeryzm, nie zaś coś mniej przyzwoitego.

- Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa lorda Morgana El-lisa przy Bloomsbury Square ubiegłej nocy. Mamy powody sądzić, że mógł się widzieć z panną Preston wczoraj wieczorem przed...

- Ja jestem panna Preston.

Nie zauważył, że panna Spoons zbladła na te słowa, głos bowiem dobiegł z za jego pleców, więc odwrócił się natychmiast. Spojrzał zaskoczony: wcale nie miał przed sobą drobnej staruszki o przenikliwym spojrzeniu. Na swój sposób była piękna. Pasma białych włosów, melodyjny głos, elegancka powierzchowność, zupełnie nie tego się spodziewał.

- Spotkałam na schodach pokojówkę - wyjaśniła. Miała kapelusz i rękawiczki jak do wyjścia i była bardzo blada, niezwykajnie blada. Rzuciła szybkie spojrzenie drugiej kobiecie, lecz poza tym wydawała się opanowana. - Może zechciałby pan przejść do sąsiedniego pokoju, gdzie mamy ogień... i może panna Spoons mogłaby nam towarzyszyć.

- Oczywiście - zgodził się inspektor.

Panna Spoons zaraz zaprowadziła go do niewielkiego, ciepłego saloniku. Na chwilę został sam; spostrzegł, że jego przybycie z jakiegoś powodu zbiło kobiety z tropu; być może naradzały się na zewnątrz, lecz w domu panowała cisza. W rogu pokoju stała jodła, na jej gałązkach ktoś umocował świeczki, jak podobno robił to książę Albert, lecz były niezapalone. Ujrzał wygodne, eleganckie meble, lustro, obrazy na ścianach. Jeden z nich przedstawiał srogą patriarchalną postać z dawnych czasów, bez wątpienia krewnego. Drugi, rzecz dziwna, nie był oprawiony: trzy dziecięce postaci bawiące się na pustej, opuszczonej plaży; wydawał się nieco niesamowity, lecz bardzo piękny. Ogień płonął jasno, inspektor ogrzał ręce. Potem damy weszły do środka, poprosiły uprzejmie, by usiadł, i zajęły miejsca same, choć panna Preston nie zdjęła rękawiczek ani kapelusza; w każdym razie zachowywała się przyjaźniej niż blada, zimna kobieta z Grosvenor Square. Ponownie zwrócił uwagę na biały lok nad jej czołem; była nadzwyczaj elegancka, jej oczy nie miały w sobie nic przeszywającego ani mesmeryzującego. Widział jednak, że obie kobiety, choć miłe, są skrepowane. Starał się nie przyglądać natarczywie pannie Preston; to nie uchodziło wobec damy; zapewne była

nico od niego starsza, bardzo blada, to prawda, lecz piękna. Przedstawił się jak należy. A potem zapadła cisza: czekały, co powie.

- Słyszały już panie o zamordowaniu w tej okolicy lorda Morgana Ellisa ubiegłej nocy. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Słyszałyśmy - odpowiedziała panna Spoons. - Trudno było nie słyszeć, sprzedawcy groszowych gazet zachwalali swój towar od samego rana.

- W rzeczy samej. - Spojrzał znowu na magnetyzerkę. - Panno Preston, czy znała pani lorda Morgana Ellisa?

- Mogę wiedzieć, czemu pan pyta, inspektorze? List był anonimowy, lecz musiał go wykorzystać.

- Otrzymaliśmy... informację... że był pani znany.

Kobieta, widział to, uczyniła olbrzymi wysiłek - po jej twarzy przemykały kolejne emocje, ale na koniec się opanowała. Spojrzała wprost na inspektora i odpowiedziała niskim, przyjemnym głosem.

- Wiele lat temu dobrze znałam lorda Morgana Ellisa. Lecz to było w... w innym życiu.

Nie owijał sprawy w bawełnę.

- Poinformowano nas, że zjawił się tutaj ubiegłego wieczoru. Słyszała już, jak wspominał o tym, kiedy schodziła ze schodów; zawahała się tylko przez mgnienie.

- Mogę spytać, kto pana poinformował? - spytała uprzejmie.

- Czy był tu ubiegłego wieczoru?

Nieznacznie przełknęła ślinę, uciekła wzrokiem w stronę panny Spoons i znowu to druga kobieta odpowiedziała.

- Był tu ubiegłego wieczoru, owszem.

- Oczekiwały go panie?

- Nie rozmawiałam z lordem Ellisem od mniej więcej dziesięciu lat - oświadczyła panna Preston.

- Lecz spodziewała się go pani?

Znów zawahała się przez ułamek sekundy, po czym posłała pannie Spoons następne spojrzenie.

- Byłybyśmy wdzięczne za pańską dyskrecję w tej kwestii, inspektorze. Nie spodziewałyśmy się go konkretnie ubiegłego wieczoru. Ale... napisałam do niego list. Chodziło o pewną... zadawnioną sprawę, którą musieliśmy omówić.

O zadawnioną sprawę. Inspektor milczał chwilę. Potem zapytał:

- O której godzinie lord Ellis tu przyszedł?

- Chyba... około dziewiętej. Został niecałe pół godziny. Omówiliśmy co trzeba i wyszedł.

Rivers pragnął, by mówiła prawdę. Może ci dwoje byli jedynie starymi znajomymi i wszystko da się łatwo wyjaśnić.

- Czy lord Ellis był pani przyjacielem? Spojrzała na niego obojętnie.

- Nie - odparła. - Lord Ellis nie był moim przyjacielem.

Inspektor widział ich dom. Widział złocone lustra, buchający ciepłem kominek i stare portrety. Modne stroje. *Czy mesmeryzm jest aż tak dochodowym interesem?* Jeszcze nie zaciągnęły zasłon: przez wysokie oszklone drzwi widać było trawę i krzewy w starannie utrzymanym ogrodzie oraz niewielki posązek; dostrzegł w półmroku anielską postać. W swojej pracy już dawno nauczył się nie wyciągać pochopnych wniosków, lecz niekiedy najzupełniej oczywiste wnioski istotnie stanowiły rozwiązanie. Musiał o to zapytać. Odpowiedź, jakiej się spodziewał, tłumaczyłaby jadowite spojrzenia lady Rozamundy Ellis.

- Czy pani... proszę wybaczyć, że tak obcesowo zadaję pytanie osobistej natury, panno Preston, lecz w tego rodzaju okolicznościach w końcu musi ono paść... a więc czy pani... - wciąż starał się znaleźć stosowne sformułowanie, ostatecznie miał do czynienia z damami... - otrzymywała od lorda Ellisa pomoc finansową?

Był wielce zaskoczony, gdyż obie kobiety wybuchnęły śmiechem; wydawało się niemal, jakby kamień spadł im z serca. Lecz jeśli nie chodziło o pieniądze, to o cóż innego? Nie śmiały się złośliwie ani z przesadną wesołością, jak ktoś starający się coś ukryć: był to nie-głośny, spontaniczny śmiech.

- Zapewniam pana - odpowiedziała panna Preston, wciąż się do niego uśmiechając - że rozmowa z lordem Ellisem nie dotyczyła spraw finansowych. Wraz z moją współpracownicą, panną Spoons, jesteśmy kobietami interesu w świecie, gdzie, jak nam dobrze wiadomo, zajmuje się tym niewiele przedstawicielek naszej płci; niemniej jednak same się utrzymujemy i nie potrzebujemy niczyich pieniędzy.

Znów poczuł się zaskoczony. *Kobiety interesu?* To nie mogło być do końca prawdą. Z pewnością gdzieś kryje się wspólnik mężczyzna. Niewątpliwie w grę wchodziły pieniądze. I wtedy przemknęła mu myśl. *Sztylet.* Piękny sztylet, zamknięty w sejfie przy Whitehall-place. Czy przed wieloma laty należał do lorda

Ellisa, jak powiedziała lady Rozamunda? Czy dawno temu lord podarował go właśnie pannie Preston?

- Jeśli mogę zapytać o coś jeszcze... proszę wybaczyć, jeśli moje pytania wydają się obcesowe, lecz im szybciej się z tym uporamy, tym lepiej. Czy pani... - musiał przez to przebrnąć, tak czy inaczej - czy lord Morgan Ellis... być może w innym okresie pani życia... dawał pani prezenty? - Obserwował wyraz twarzy obu kobiet. - Nie chodzi mi jedynie o pieniądze. Myślałem raczej na przykład, o biżuterii. Albo... o przedmiotach zdobionych drogimi kamieniami.

Wiedział, że zabrzmiało to niezręcznie.

- Wszystko, co mogłam otrzymać od lorda Ellisa, inspektorze, zostało sprzedane dawno temu. Nie widzę potrzeby przechowywania... pamiątek.

Znowu to słowo. *Jest coś pogardliwego w tonie, jakim wypowiedziała to słowa. Było coś pogardliwego w przemilczeniu go przez lady Rozamundę. Czy lord Morgan Ellis należał do ludzi budzących pogardę? Coś tu jest na rzeczy. Coś jest.* Odchrząknął.

- Na zewnątrz widziałem tabliczkę... jak rozumiem, jest pani magnetyzerką?

- Owszem.

- Mogę spytać, kto naprawdę prowadzi pani interes? To znaczy, kto jest jego właścicielem.

Zrozumiała od razu.

- Choć może się to panu wydać dziwne, inspektorze, jest to nasze najzupełniej własne przedsięwzięcie - odparła z lekką ironią. - Panna Spoons i ja jesteśmy jedynymi współniczkami.

Znowu zamilkł, nie wiedząc, w jaki sposób kontynuować rozmowę; tu także ogień trzaskał, jak w innym niedawno przezeń odwiedzionym domu, lecz pokój i jego mieszkanki sprawiały znacznie zyczliwsze wrażenie. Spojrzał znowu na jodłę ozdobioną świeczkami. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił określić, nagle przypomniał mu się chłopiec grający w szachy. To będzie smutne Boże Narodzenie dla tej dziwnej rodziny. Lady Rozamunda wyglądała tak... zobaczył ją znowu; ten jad w jej spojrzeniu! Znowu ujrzał chłopca. *Czy istnieje jakiś powód, dla którego utkwiał mi w pamięci?* Inspektor nauczył się pozwalać myślom błądzić w taki osobliwy sposób: niekiedy prowadziło to donikąd, niekiedy okazywało się użyteczne; jego myśli wykonywały salto i nagle doznawał objawienia. *A więc co miało związek z chłopcem¹.* Kto wie, dokąd zaprowadziłyby go rozmy-

ślania, gdyby w tym momencie drzwi nie otwały się wolno i do środka nie wpadła zupełnie naga starsza dama. Panna Spoons zerwała się od razu.

- Och, mamó! - zawołała, lecz z czułością, nie z gniewem.

W ślad za obnażoną kobietą zjawiała się druga staruszka, siwa, nieco rozczochrana i ściskająca w dłoni jedno z owych groszowych pisemek, zatruwających życie inspektorowi Riversowi.

- Przepraszam, Rillie - zaczęła siwowłosa starsza pani, gdy naraz jej wzrok padł na policjanta w mundurze. - Boże święty! - zakrzyknęła i machnęła w jego stronę gazetą niczym sztandarem, podczas gdy naga dama uśmiechała się miło do wszystkich.

Dwie staruszki: goła i siwa, wymachująca gazetą. Ta surrealistyczna scena zniknęła jednak niemal natychmiast - panna Spoons, rzuciwszy przez ramię krótkie spojrzenie pannie Preston, szybko i stanowczo wyprowadziła obie; przez chwilę słyszeli z korytarza głosy, potem kroki na schodach, w końcu zapadła cisza.

Zauważył, że panna Preston nie wydaje się szczególnie speszona cokolwiek niezwykłym stanem rzeczy, przeprosiła jednak uprzejmie, wyjaśniając, że matka panny Spoons postradała władzę umysłową.

- Matka mojej żony była obłąkana - odparł inspektor Rivers. - Wiem doskonale, jak to jest.

Panna Preston się uśmiechnęła, lecz nadal miała się na baczności.

Podjął przesłuchanie: osobliwy ciąg jego myśli został zerwany.

- Pani... nie wychodziła z domu po odejściu lorda Ellisa?

Nie odpowiedziała od razu, znowu rozmaite emocje przemknęły po jej twarzy i znikły.

- Ja... wychodziłam, tak. Potrzebowałam świeżego powietrza. Przeszłam się po Drury Lane.

- Udała się pani samotnie na Drury Lane?

- Tak.

- Prawie o dziesiątej wieczorem? Nie wzięła pani dorożki? Zauważyła jego wzburzenie i uśmiechnęła się lekko.

- Inspektorze Rivers, zapewne nie jest to panu wiadome, lecz damy żyjące samotnie niekiedy mają ochotę przespacerować się nocą. Robiłam tak całe życie i dotąd uszłam cało; zawsze mieszkałam w Blo-ombsbury i znam dobrze tutejsze ulice.

- Zabiera pani coś do obrony? - Musiał to powiedzieć. - Nóż?
- Matka i ciotka wiele lat temu pouczyły mnie o użyteczności żelazka.
- Słucham?
- Nauczono mnie zawsze nosić żelazko w fałdach płaszcza. Milczał, przetrwając tę dziwną informację. Potem się odezwał:

- Czy w drodze na Drury Lane przecięła pani Bloomsbury Square?
Panna Preston spojrzała na dłonie obleczone w rękawiczki.
- Owszem - odparła i wzruszyła ramionami - lecz panował tam spokój. - Po czym, jak się zdaje, zmieniła zdanie, znowu lekko wzruszyła ramionami i podniosła wzrok. - Jeśli uważa pan za konieczne sprawdzić moje ruchy, bez trudu się pan dowie, dokąd poszłam. Postanowiłam odwiedzić klub pani Fortune przy Cock Pit-lane. - Uśmiechnęła się dziwnie. - Jeśli moja opowieść o spacerach po londyńskich ulicach panem wstrząsnęła, będzie pan przynajmniej mógł sprawdzić, dokąd zmierzałam.

Inspektor Rivers znał doskonale przybytek pani Fortune przy Cock Pit-lane. Niezupełnie jednak pojmował. Było to miejsce odwiedzane raczej przez hulaszczycy aktorów.

- Dlaczego udała się pani właśnie tam, panno Preston? Spojrzała na niego.
- Z pewnością nie muszę panu wyjaśniać powodu, inspektorze?
- Przykro mi, lecz obawiam się, że pani musi. Możliwe, że była pani ostatnią osobą, która widziała lorda Ellisa żywego.

Popatrzyła na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.
- Dlaczego poszła pani do klubu pani Fortune o dziesiątej w nocy? Dobiegło go niemal niedosłyszalne westchnienie. Potem spojrzała na niego, jakby go oceniała; jakby podejmowała decyzję.

- Panna Spoons i ja byliśmy dawniej aktorkami. Natychmiast zauważyła wyraz jego twarzy. Zniecierpliwiona odwróciła wzrok. Jej rysy, dotąd raczej przyjazne, teraz stwardniały.

- Z całą pewnością będzie pan mógł potwierdzić, że tam właśnie byłam. - A ponieważ nie odpowiedział, dodała ostro: - Ani wywijając nożem, ani zbryzgana krwią.

- Nie widziała pani lorda Ellisa po wyjściu z domu?
- Nie.
- I nie wie nic więcej o jego śmierci?
- Nic.

- Panno Preston, dlaczego lord Ellis przyszedł się z panią spotkać?

Milczała. Czekał. Nie zamierzała jednak odpowiedzieć.

- Nie czuje się pani zdolna wyjaśnić powodu, dla którego odwiedził pani dom ostatniego wieczoru?

- Nie.

- Panno Preston, lord i lady Ellis to bardzo ustosunkowani przedstawiciele arystokracji; lord Ellis został zamordowany w okolicy... nie zdoła pani ukryć jego wizyty, podobnie jak swoich odwiedzin w przybytku pani Fortune.

Spojrzała na niego z niepokojem.

- Sprawa dostanie się do wiadomości publicznej: nie zdoła pani tego uniknąć.

Spostrzegł, jakim jest to dla niej wstrząsem.

- Jak to: dostanie się do wiadomości publicznej?

- Jak już wspomniałem, wydaje się pani jedną z ostatnich osób, które oglądały lorda Ellisa wśród żywych. W tych okolicznościach będzie pani musiała wystąpić jako świadek przed sądem koronera, który to są zostanie powołany za dzień lub dwa, i z pewnością zostanie tam pani wypytana o powody wizyty lorda Ellisa.

- Pytania będą dotyczyły mnie?

- Owszem.

- Ale... wizyta lorda tutaj nie miała nic wspólnego z jego śmiercią. Ja nie mam nic wspólnego z jego śmiercią. Nie zostałam oskarżona!

Och, ale pani zostanie, pomyślał policjant ze smutkiem; nie potrafił na nią spojrzeć.

- Nie wyobrażam sobie, jak nasze krótkie spotkanie mogłoby mieć coś wspólnego z jego śmiercią - powtórzyła ze szczerym wzburzeniem - i nie uważam, by należało mnie wypytywać o to publicznie w jakichkolwiek okolicznościach. Może pan ustalić, dokąd poszłam. Nikogo nie zamordowałam!

Słuchał w milczeniu.

- Czytałam, że aresztowano jakiegoś mężczyznę - dodała.

- Aresztowano mężczyznę, a niedaleko kępy krzewów po tej stronie placu, gdzie znajduje się posąg pana Foksa, znaleziono bardzo cenny, wysadzany klejnotami sztylet, narzędzie zbrodni. Wedle naszej opinii, mało prawdopodobne narzędzie mordu dla biednego włóczęgi.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Jak... czy wolno mi zadawać panu pytania?... Skąd pan wie, że lord Ellis tu był? - Przełknęła ślinę. Wyglądała teraz na bardzo zdenerwowaną. - Nie była to wizyta, o której by rozповідаł, jestem pewna.

Dowiedziałyby się o tym wkrótce, równie dobrze mogła się dowiedzieć teraz.

- Dostaliśmy anonimowy list.

- Anonimowy list? - Próbowała się opanować. - Wykorzystujecie jako źródło informacji anonimowe listy?

- Jeśli zawierają informacje. Ten je zawierał, nieprawdaż? Z pewnością zdumiałoby panią, jak wiele ich otrzymuje policja, koron-rzy i urzędnicy.

Wstała i rzuciła z gniewem następane słowa:

- Byłam z panem szczerą. Pan wobec mnie nie był uczciwy ani szczerzy. Nie odpowiedziałabym na ani jedno pytanie, gdybym wiedziała, że wszystkie pańskie dowody na wizytę lorda Ellisa tutaj pochodzą z anonimu! Oszukał mnie pan, inspektorze.

- Ale to była prawda.

Znowu spróbowała nad sobą zapanować.

- Jak pan teraz wie.

- Przychodzi pani na myśl ktoś, kto pani źle życzy i mógł wiedzieć o wizycie?

- Nikt o niej nie wiedział! Nawet my same nie wiedziałyśmy, póki nie usłyszałyśmy kołatki! I z pewnością nie życzymy sobie, by usłyszeli o niej inni.

- Ktoś wie.

Po chwili czy dwóch panna Preston, z wielkim wysiłkiem, opanowała się zupełnie; nawet wzruszyła ramionami, lecz nie powiedziała nic więcej i nie usiadła ponownie.

- Jego śmierć nie... wpłynęła na panią w żaden sposób - zauważył.

Spojrzała na niego bez wyrazu.

- Lord Ellis sprawił mi ból wiele lat temu. Nie będę udawać, że wciąż mi go żal.

Ogień trzaskał i migotał; inspektor zobaczył przez weneckie okno świeży śnieg, padający na zadbany trawnik i anioła; zapadła już noc. Dokądkolwiek panna Preston zamierzała się udać, najwyraźniej teraz zmieniła zdanie, wolno wyjęła szpilki z eleganckiego kapelusza, lecz odwróciła wzrok; czekała, by sobie poszedł. Riversowi zrobiło się przykro, w końcu wstał także. Podobała mu się, z przyjemnością na nią patrzył; z jakiegoś powodu jej wierzył, choć było oczywi-

ste, że kobieta ukrywa pewne sprawy. A za jej przedsięwzięciem biznesowym musiał stać jakiś mężczyzna.

- Jak mówiłem, koroner lada dzień powoła sąd. Będzie się pani musiała stawić i otrzyma wezwanie. Zapewne pani rozumie, że sąd koronerski to nie proces o zabójstwo, niemniej przyczyna śmierci musi zostać oficjalnie ustalona. - Obserwował ją uważnie; jej wciąż pozbawioną wyrazu twarz. - Twierdzi pani, że udała się do pani Fortune, więc oczywiście przeprowadzę tam wywiad. Pani... już nie jest... aktorką?

- Jestem obecnie magnetyzerką, inspektorze. Przecież mówiłam. Oznajmiła to niemal z dumą.

Najwyraźniej nie rozumiała, jak dziennikarze rzucą się na wieść o wizycie lorda Ellisa u magnetyzerki; nie wiedział, w jaki sposób ją ostrzec. A później odkryła, że dawniej była aktorką.

Nie zostawią na niej suchej nitki.

Chowając się w bramie przed śniegiem, inspektor zjadł pasztecik kupiony u ulicznego sprzedawcy, po czym udał się na posterunek przy Bow Street zdać raport panu Tunksowi, który czekał na niego z policzkami poróżwiałymi od piwa i kotletów. Koroner wysłuchał go, po czym radośnie uderzył dłonią o dłoń.

- Doskonale. Och, doskonale, świetna robota, inspektorze. Nareszcie coś obiecującego! Ocalił mi pan skórę, w samej rzeczy, sir! No, no... odwiedził magnetyzerkę! - Nie zauważył wyrazu zaniepokojenia na twarzy Riversa, bo ciągnął szybko dalej: - Teraz mogę zwołać sąd... dobry z pana człowiek, inspektorze... wie pan, dostałem już liścik od ministra sprawiedliwości... do licha, zawsze się wtrącają, kiedy chodzi o szlachtę, naturalnie rozumiem, że w wypadku arystokracji wszystko wygląda inaczej... wie pan, mają koneksje z samą królową! I niech pan tylko spojrzy: lord Ellis zginął ledwie wczoraj w nocy, a oni chcą, by wszystko wyjaśnić do Bożego Narodzenia: za kogo oni nas uważają, za magików? - I pan Tunks podał inspektorowi gazetę, jeszcze pachnącą farbą drukarską.

Jeśli sąd nie zostanie powołany natychmiast, znów się okaże, że policja nie natrafiła na żaden cenny trop mogący prowadzić do wykrycia i pojmania mordercy. Wspieraliśmy ideę utworzenia nowego wydziału detektywistycznego - teraz oczekujemy wyników. Policja zatrzymała podejrzanego; znalazła zbrod-

nicze narzędzie. Na cóż więc czeka? To nie do zniesienia, by rozpacz szlachetnie urodzonych krewnych (szczególnie w czasie, gdy zwykliśmy obchodzić uroczyste narodziny naszego Pana) i pragnienie sprawienia pochówku musiały czekać na niespieszne działania naszych sił policyjnych.

Inspektor starał się panować nad wyrazem twarzy, lecz jego przerażenie rosło. Morderstwo popełniono zaledwie wczoraj, a wydział detektywistyczny już znalazł się pod ostrzałem krytyki. Rivers znał doskonale dziwactwa pana Percivala Tunksa: niebezpieczną mieszaninę przesadnej uczciwości, arogancji i uniżoności. Pan Tunks był dobrym koronerem i porządnym człowiekiem - chyba że chodziło o arystokrację: naprawdę wierzył, że stosują się do niej inne zasady. Bardziej niż o cokolwiek w tym życiu marzył, by pewnego dnia doczekać się jakiegoś wyrazu królewskiego uznania za swą długą i niewątpliwie lojalną służbę.

- Odwiedzę panią Fortune - oznajmił Rivers powściągliwie. Pan Tunks się uśmiechał.

- Mamy sztylet, mamy włóczęgę, ale jedno niezbyt pasuje do drugiego. Teraz jednak mamy też mesmeryzm i teatr! To już wygląda lepiej!

- Lecz z pewnością nie dysponujemy żadnymi dowodami, jeśli chodzi o tę kobietę, sir. Żadnymi. Tyle tylko, że lord Ellis odwiedził jej dom ubiegłego wieczoru.

- Ale magnetyzerka i aktorka w jednej osobie! Zapewne odgrywa cały ten mesmeryzm! - Roześmiał się z własnego dowcipu. - No cóż, z pewnością wystarczy, by pchnąć sprawę naprzód.

- Nie wystarczy! - zaprotestował Rivers z większym gniewem, niż zamierzał. - Nie mamy dowodów, sir, ani śladu dowodu. Wie pan jednak doskonale, że gazety rozszarpia tę kobietę.

- Lepiej niż gdyby miały rozszarpać nas! - odparł koroner rozsądnie i życzliwie poklepał inspektora po plecach. - Musimy ją wezwać przed sąd, bez dwóch zdań, wie pan o tym, inspektorze. Proszę sprawdzić, co mówią w znamienitym przybytku pani Fortune, i zdać mi raport dzisiaj wieczorem.

Inspektor Rivers posłał konstablowi Forrestowi wiadomość, kazać mu się stać na Drury Lane.

Kiedy opuszczał posterunek, ciasniej owijając się płaszczem przed wieczornym chłodem, sam tym razem został zaczepiony przez chłopca, lecz znajomego. Stojąc cierpliwie na Bow Street, parę jardów od drzwi posterunku - z pozoru

obojętny na łajno, smród i śnieg zmieniający się w brudną breję, ledwie dotknął gruntu - czekał grywający w szachy wnuk diuka Llanefydd, ten sam, który tak niespodziewanie przyszedł inspektorowi na myśl podczas przesłuchania panny Preston. Owinięty dość niedbale w czarną pelerynę, z gazetami pod pachą.

- Dobry wieczór, lordzie Ellis.

- Widziałem, jak pan tam wchodził wcześniej, inspektorze. - Głos zabrzmiał z początku wysoką nutą, załamał się, skończył nisko.

- Oczywiście powinieneś być wejść do środka z tego zimna. Czujesz się już lepiej? To znaczy, jeśli chodzi o ból głowy. Twoja matka mówiła, że niekiedy miewasz te bóle.

Pytania dotyczące zdrowia zostały zignorowane.

- Chciałem pana o coś spytać. Tu, na dworze będzie najlepiej. Inspektor czekał. Chłopiec nadrabiał miną, lecz był wyraźnie zdenerwowany.

- Siostra prosiła mnie o sprzedanie... cennego naszyjnika. Rivers spojrzał surowo.

- To jej własny naszyjnik, inspektorze, zapewniam! Gdyby był kradziony, raczej bym nie pytał o radę policjanta! Jak panu wiadomo, zawsze mieszkaliśmy w Walii i nie wiem, dokąd się udać, żeby... dokonać tej transakcji. Pomyślałem, że najrozsądniej będzie zapytać pana, bo pan będzie wiedział, które miejsca są odpowiednie, a które nie.

Śnieg sypał na chłopca i policjanta.

- Z pewnością tę kwestię powinieneś omówić ze swoją rodziną, lordzie Ellis... z matką lub dziadkiem.

- W chwili obecnej nie mogą nam poświęcić uwagi.

Rivers podejrzewał, że to prawda, biorąc pod uwagę okoliczności. Dziwny moment na sprzedawanie biżuterii, dzień po śmierci ojca, lecz jak wiedział, w klasie wyższej panowały dziwne obyczaje.

- Cóż, milordzie, zgadzam się, że raczej nie pytałbyś mnie o radę, gdyby naszyjnik nie należał do twojej siostry. Najlepszym miejscem będzie Bond Street. Udaj się do pana Sheekeya i przekaż mu ode mnie wyrazy uszanowania.

Wydawało się, że chłopiec poczuł pewną ulgę.

- Dziękuję. Chociaż wolałbym sprzedać tamten sztylet! Inspektor spojrzał na niego z wielką uwagą. Jak dziwnie zachowywała się ta rodzina w związku z tym przedmiotem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Chłopiec wyglądał na zdziwionego.

- Jak to! Myślałem po prostu o pieniądzach, jakie można za niego dostać! -
Lecz jego rysy natychmiast stwardniały.

I znów inspektor czekał w padającym śniegu.

- Czytałem gazety. Czy w związku ze śmiercią ojca będzie... sprawa w sądzie?
Gdy chodzi o lorda, nie urządza się rozprawy, prawda?

Inspektor spojrział w dół na dziwnego chłopca.

- Prawo jest takie samo dla wszystkich, lordzie Ellis. Najpierw odbędzie się sąd koronera dla ustalenia przyczyny śmierci twojego ojca. Wszyscy świadkowie, jakich uda nam się znaleźć, zostaną wtedy wezwani do złożenia zeznań.

- Kiedy?

- Najszybciej, jak to możliwe. Może nawet jutro. Tak stanowi prawo.

- Ma pan jakieś informacje - głos młodego człowieka wznosił się coraz wyżej,
po czym się załamał - gdzie był mój ojciec zeszłej nocy? Zanim... zanim to się
stało?

- Dlaczego pytasz?

- Wolno to panu powiedzieć?

- A ty masz jakieś informacje?

- Nie - odparł pośpiesznie. Po czym dodał: - Zastanawiałem się tylko... czemu
poszedł do Bloomsbury.

- Rozumiem. - Było zimno, cuchnęło, obaj zaczęli przemakać. - No cóż, tak
między nami, wasza lordowska mość, wydaje się, że twój ojciec kogoś odwiedzał
w Bloomsbury ubiegłej nocy. Wiedziałaś o tym?

Dostrzegł wyraz wpatrzonych w siebie oczu. I poczuł bardzo lekki dreszcz na
karku. *Chłopak coś wie.*

- Gdzie będzie się odbywał sąd koronera?

- Na piętrze pubu Pod Kotwicą.

Inspektor wskazał jakieś wejście za plecami. Z barów i klubów dolatywał
gwar, padały smugi światła. Tuż obok piętro policyjnego posterunku ginęło w
ciemnościach. Rivers zauważył, jak chłopiec spogląda w górę, wzdryga się mimo
woli, przetyka nagle ślinę.

- Czy tam... czy tam jest teraz mój ojciec? Na górze? Inspektor skinął głową.

- Ale światła są zgaszone.

Nagle wydało się Riversowi, jakby chłopiec miał sześć lat. Policjantowi zrobiło się go żal; wiedział, że nie powinien go wypytywać dalej w tej ciężkiej chwili.

- Ciało twojego ojca musi poczekać na sąd koronera - wyjaśnił łagodnie - a czeka właśnie na posterunku. To nie potrwa długo, lecz tak właśnie się postępuje w tego rodzaju sprawach.

- Muszę już iść, inspektorze - oznajmił Morgan i szybko oddalił się Bow Street; śnieg sypał na jego wąskie ramiona.

Rivers obserwował go w zamyśleniu, aż chłopiec skręcił za róg przy Long Acre.

Konstabl Forrest, otrzymawszy wiadomość, dogonił inspektora na rogu Drury Lane. Maszerowali niewzruszenie w swoich policyjnych pelerynach, nie zważając na pogodę.

- Ile było zamieszania po pańskim odejściu! - rzucił konstabl. - Aż się wierzyć nie chce. Najpierw diuk... praktycznie wnieśli go do powozu, kazał się wieźć do swojego klubu w parafii św. Jakuba. Jaśnie pani, cała w czarnych welonach, „Na Strand” - powiada, kiedy zajechał jej powóz, a potem wyszedł ten mały. Minałem go w drodze tutaj... pod pachą taskał plik gazet gruby jak pańskie ramię!

- Dopiero co tu był, rozmawiałem z nim.

- Rozmawiał pan, sir?

- Owszem. Pytał mnie, gdzie był jego ojciec zeszłej nocy; odniosłem dziwne wrażenie, że coś wie.

Rivers potarł kark z bezsilną irytacją: gest przywiódł mu na myśl chłopca w wielkim pustym salonie przy Grosvenor Square, robiącego to samo.

- Młode panny się nie pojawiły. - W głosie konstabla słychać było żal. Myślał o pięknej zapłakanej dziewczynie. - Smutne święta będzie miała ta rodzina.

- Jutro, konstablu, proszę obserwować adres przy Bedford Place. W cywilnym ubraniu.

Ten dom krył w sobie tajemnice, był tego pewien. I gdzieś za tym interesem musi się kryć mężczyzna. Kobiety nie prowadzą przedsięwzięć biznesowych.

Ruszyli Cock Pit-lane, a potem chwiejnymi schodami wspięli się na piętro nad lombardem.

Zbliżała się chwila, gdy słynny teatralny gulasz pani Fortune miał zostać wyrzucony. Podgrzała kocioł (w rzeczy samej był to kocioł: otrzymała go przed

wieloma laty po nieudanej inscenizacji „Makbeta”), lecz mówiąc ogólnie, zapach tego wieczoru nie był pociągający. Zastanawiała się właśnie, czy serwować go przez jeszcze jeden wieczór po obniżonej cenie pięciu pensów, gdy zjawili się dwaj oficerowie. Pani Fortune nie czuła się winna w żadnej konkretnej sprawie, lecz mimo to ogarnął ją niepokój. Policjanci nie byli mile widziani na Cock Pitlane, przynosili złe wieści - szczególnie od czasu morderstwa na Great Titchfield Street, kiedy zginęła młoda aktorka. Roztropnie zaproponowała im whisky (nie ryzykując rozcieńczenia jej wodą); odmówili pośpiesznie, gdy podsunęła gulasz. Kiedy bulgotał na ogniu, zapach stawał się jeszcze gorszy.

- Jak zatem mogę wam pomóc, panowie? - spytała w końcu. Otrząsnęli z grubszą śnieg z płaszczy, wdzięczni za rozgrzewający alkohol.

- Przyszliśmy zapytać, jeśli można, o gości zeszłego wieczoru.

- Zeszłego wieczoru?

(Poprzedniego wieczoru odbyła szczególnie nieprzyjemną utarczkę, zakończoną szarpaniną, zjedną z młodszych aktorek - *a to zdzi-ra z tej Prymuli*, pomyślała jadowicie - która sprowadziła kolejnego młodzieńca: pani Fortune wiedziała, że jej przybytek zyskuje podejrzaną reputację, a przecież starała się jedynie uczciwie zarabiać na życie: *Czy ta mała żmija wniosła skargę? Przecież ją tylko popchnęłam*).

- Przykro mi, panowie, ale, niestety, nic nie pamiętam. Nic a nic, wieczorami przychodzą tu najróżniejsi ludzie.

- Pamięta pani, czy była panna Cordelia Preston? Jej twarz się rozjaśniła.

- Cordelia? Oczywiście, była wczoraj wieczorem, nieprawdaż? Teraz sobie przypominam, mam nadzieję, że nie chodzi o nic niestosownego?

- Nie, nie, o nic niestosownego. Po prostu jest świadkiem w sprawie, w której prowadzimy dochodzenie.

- Ooooch, świadkiem! Co takiego zrobiła?

- Nic nie zrobiła, pani Fortune, zupełnie nic.

Lecz twarze mieli bardzo poważne. Na jednym ze stolików leżało zostawiona przez kogoś groszowa gazeta z jedynym nagłówkiem; pani Fortune była niezwykle bystrą kobietą, zerknęła na gazetę, spojrzała szybko na oficerów.

- Jak widzę, zeszłej nocy doszło do morderstwa; czyżby pełnym przypadkiem przyszli mnie panowie oskarżyć o związek z kolejnym zabójstwem? Próbujecie zniszczyć mój interes, tak?

Oczy lśniły jej ze strachu i gniewu; sięgnęła po gazetę, wolno przestudiowała tekst.

- No, patrzcie: lord Morgan Ellis! - Chwilę milczała, po czym mówiła dalej powoli, wciąż czytając: - Czy to nie ten dżentelmen, dla którego Cordelia Preston wiele lat temu rzuciła scenę? Lord Morgan Ellis... Mam rację czy nie mam?

A więc o to chodzi, pomyślał inspektor Rivers. Rzuciła dla niego scenę. Pani Fortune podniosła wzrok na policjantów, zastanawiając się, czy współpracować, czy milczeć. Zwyciężyła próżność.

- Oczywiście wiedzą panowie, że pracuję w tym miejscu od dawna... pamiętam, jak Cordelia Preston była sławna!

- A była... sławna?

- Boże wielki, za przeproszeniem, miała swoje pięć minut. Kręci się tu parę takich, co to miały swoje pięć minut. Ale potem ich czas mija, odchodzi w przeszłość, przychodzi kolej kogoś innego, pięć minut kogoś innego... o, spójrzcie, tam siedzi pan Tryfont! - W jej głosie brzmiała ulga. - Rozmawiał z nią wczoraj wieczorem, zanudzał ją na śmierć, jestem pewna! - Zawołała głośno przez salę: - Panie Tryfont! Panie Tryfont, kochany, jest tu dwóch policjantów do pana. Pan Tryfont podszedł teatralnie, lecz zarazem nieco lękliwie, i spojrzał podejrzliwie z góry na obu oficerów. - Tak?

- Chodzi o Cordelię Preston - wyjaśniła pani Fortune. - Wie pan, przypominam sobie teraz... „Błado wygląda” - powiedziałam do mojej dziewczyny. „I gdzie podziała płaszcz?” Nie miała płaszcza!

Rivers przymknął na chwilę oczy, wycofał się w głąb. *Bez płaszcza. Bez żelazka w fałdach płaszcza.*

- Dziwiłyśmy się, ale oczywiście nie myślałyśmy o morderstwie, nie o morderstwie!

- Nie chodzi o kolejne morderstwo, pani Fortune - burknął inspektor dość nieuprzejmie.

Spojrzała na niego z nagłym gniewem.

- Tamta dziewczyna nie była nawet aktorką z prawdziwego zdarzenia. Zjawiała się tu, i tyle. Nie mam z nią nic wspólnego, prowadzę przyzwoity klub.

- Zatem panna Preston była tu ubiegłego wieczoru, pani Fortune?

- Tak! Mówiłam, że tak, została z godzinę albo dwie, nie widywałam jej od jakiegoś czasu, ona i ta Rillie Spoons dawniej tu przychodziły, myślałam, że pojechały w trasę, ale ktoś mi powiedział, że wzięła i została magnetyzerką!

- Co z nią? - spytał pan Tryfont, wciąż czekając.

- Jest oskarżona o morderstwo!

- Nie, nic podobnego! - zaprotestował inspektor Rivers głośno i stanowczo. - Absolutnie nie jest oskarżona o żadne morderstwo. Jest świadkiem, to wszystko.

- O zabójstwo potężnego pana! - dorzuciła uczynnie pani Fortune na użytek Tryfonta.

- Zaangażowała się w działalność religijną?

Inspektor Rivers spojrział szybko i uważnie na wysokiego aktora, który uśmiechał się złośliwie, rad ze swego dowcipu.

- Czy przebywał pan w klubie wczoraj wieczorem, sir - odezwał się groźniej niż trzeba - kiedy panna Preston tu była?

Na ów ton aktor spoważniał, dostrzegł naraz możliwości dramatyczne. Wielce teatralnym ruchem odrzucił płaszcz z ramion, wsparł się ręką o nieco sfatygowaną i wyplamioną sofę z czerwonego aksamitu.

- Czyżby zginęła? - spytał grobowym głosem. - Słyszałem, że została wyrocznią.

Pani Fortune cisnęła w niego gazetę, pomagając mu zrozumieć. Przeczytał nagłówek. Inni aktorzy stłoczyli się wokół, odkrywszy z wielkim zainteresowaniem, że mowa o kolejnym morderstwie, znowu tutaj, u pani Fortune! Czy to bezpieczne miejsce? Baletnica Olivia, drząc lekko, przycupnęła wdzięcznie na poręczu sofy.

- A ja jej postawiłam kieliszek porto, kiedy tu przyszła wczoraj wieczorem - wyznała. - Zapomniała pieniędzy. Rozmawiała ze mną. Opowiadałam jej o swojej pracy. Miała na sobie piękną błękitną suknię, bardzo drogą.

Pan Jenks, emerytowany sufler, przepchnął się naprzód, by lepiej słyszeć. Piękne młode aktoreczki chichotały nerwowo z podniecenia. Odrażający gulasz bulgotał, kilka osób odsunęło się dalej od jego odoru.

- Co to ma wspólnego z panną Preston? - spytał pan Tryfont, wskazując na tekst w gazecie.

- Znała go, tego lorda, pamiętam, że go znała! - oznajmiła pani Fortune nader dramatycznym tonem.

- Rozmawiała pani wczoraj wieczorem z panną Preston, młoda damo?

Olivia kiwnęła głową, naraz nie mogąc wykrztusić słowa.

- A pan, panie Tryfont? - Inspektor postanowił kontynuować przesłuchanie.

- Rozmawiałem, owszem.

Przybyła para karłów, dopytując się głośno, co się dzieje; Uciszeni przez innych, lecz z oczyma szeroko otwartymi z zaciekawienia, przepchnęli się do przodu niczym dzieci. Inni aktorzy, kiwając głowami, rozprawiali teraz o Cordelii, lecz głos pana Tryfonta brzmiał najdonośniej.

- Czas jakiś temu braliśmy razem udział w niefortunnej inscenizacji, której tytuł nie przejdzie mi przez usta... stary teatralny przesąd, panowie wybaczą... więc wczorajszego wieczoru mogłem jej opowiedzieć o włączeniu do obsady słonia po jej rezygnacji... nie wskutek jej rezygnacji, rozumieją panowie.

- Czy wydawała się niespokojna?

- Mówiłam już - wtrąciła właścicielka - że nie miała płaszcza, a mróz był przecież wielki!

- Ciepło pani przybytku, droga pani Fortune, rozwieje chłód każdej nocy.

Pan Tryfont dołączył do pochlebstwa wdzięczny gest i siadł na aksamitnej sofie, aż podskoczyła baletnica Olivia, przycupnięta na poręczy; rozparł się majestatycznie.

- Gawędziliśmy dłuższą chwilę. Była niezwykle zainteresowana. Nie zauważyłem żadnych oznak zgryzoty.

- Jasne, że nie! - potwierdziła pani Fortune nieco złośliwie, gniewna, że uwaga skupia się na kimś innym: za młodych lat sama była aktorką. - Ale pamiętam, że mówił z nią pan bardzo długo.

- Wiele miałem do opowiedzenia - odparł omdlewająco.

Odór gulaszu stał się niemal obezwładniający, kilku aktorów spoglądało z odrazą w stronę kotła; inspektor zauważył, że konstabl Forrest, trochę pobladły, dyskretnie przyciska do nosa chustkę.

- Czy będę się musiał stawić w sądzie? - spytał naraz pan Tryfont z wielkim zainteresowaniem.

- Ja nie pójdę! - rzuciła natychmiast Olivia. - Nie potrafiłabym wykrztusić słowa, nie umiałabym, jestem tancerką.

- Powiadomimy państwa - oznajmił inspektor Rivers i szybko wyprowadził Forresta, by ten nie postawił ich obu w niezręcznej sytuacji.

- Niech to diabli! - zawołał konstabl i zwymiotował dwukrotnie, zanim doszedł do siebie. - Przepraszam, sir. Ale nie chciałbym być aktorem, jeśli oni muszą to jeść!

I obaj wciągnęli do płuc zdrowsze powietrze Drury Lane, podczas gdy wozy i karety z kołyszącymi się latarniami przejeżdżały obok, wyrzucając w powietrze błoto i kawałki kalafiorów, muszle ostryg i końskie łajno.

Inspektor zmarszczył brwi w ciemności: wytworne damy z wielkiego domu w Bloomsbury wydawały się niewyobrażalnie odległe od przybytku pani Fortune.

Bez płaszcza.

18

Bardzo późno tej samej nocy, nocy po śmierci ojca, Manon, nowa diuszesa Trentu, zanosząc się niepowstrzymanym płaczem, krążyła w koszuli nocnej (pięknej koszuli nocnej na nowe, wspaniałe życie) po jednej z urządzonych z przepychem sypialni przy Grosvenor Square. Gorączkowa, rytmiczna wędrówka - w koło, w koło: ktoś uwięziony w klatce, ktoś niezdolny wyrazić, co czuje.

- Po prostu wyjechał, Gwennie! Jak tylko dostaliśmy wiadomość podczas balu wczoraj wieczorem... wyjechał do Wiltshire! Zwyczajnie wsiadł na konia i pojechał... w środku nocy... powiedział, że na polowanie! Był taki okrutny. Oświadczył, że jego rodzina nigdy nie była zamieszana w skandal i... i małżeństwo zawsze można unieważnić, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak mu się przysłużyłam! - Chodziła i mówiła, płacząc. - Nienawidzę bycia mężatką. Nikt mi nie powiedział, że to będzie takie okropne, Gwennie, takie okropne i takie obrzydliwe... próbował mi robić takie... odrażające rzeczy, sprawił mi ból i tylko się śmiał. - Zaczęła wpadać w histerię, nerwowo chwytając powietrze. - Nigdy nie wychodź za mąż! Nigdy nie wychodź za mąż! To oszustwo!

Gwenlliam nie wiedziała już, co robić; jak uspokoić siostrę, nim się zjawi macocha. Manon bardzo się zmieniła, odkąd przybyła do Londynu i została ulubienicą dziadka, diuka Llanefydd^ Odsunęła się od Gwenlliam i Morgana, zdawało się, że dba tylko o stolicę i arystokratów, mówiła jedynie o balach i sukniach. *Kochani ją bardzo*, pomyślała Gwenlliam. Lojalność wobec siostry nie pozwoliła jej jasno sformułować następnej myśli, *ale jest, niestety, zepsuta światowym życiem*. Własne skomplikowane uczucia po śmierci ojca, wciąż trwający wstrząs po ponownym spotkaniu z matką: wszystko to zniknęło zmiecione przez niepomowaną rozpacz siostry. Manon wydawała się oszalała z rozpacz i złości, i

jeszcze czegoś... obrzydzenia? Strachu? Gwenlliam nie potrafiła odgadnąć. W końcu objęła Manon: na pół kaftan bezpieczeństwa, na pół kochająca siostra; trzymała ją, szeptała słowa pociechy, kierując na powrót do łóżka, które dzieliły do chwili, gdy Manon zaledwie przed paroma tygodniami skwapliwie zaślubiła diuka Trentu. Niemal zaniósła ją tam i teraz siedziała, gładząc siostrę po włosach, po rękach, po czole.

- Prześpij się teraz, najdroższa Manon, prześpij się. Musisz spać. - Delikatnie wodziła dłonią po twarzy siostry.

- Chcę tu wrócić, chcę, by wszystko było jak dawniej — szlochała dziewczyna, której jedynym marzeniem było przyjechać do Londynu i wyjść za mąż za diuka. Lecz płacz w końcu niemal ustał; osłabły, przypominał echo głosu rozbrzmiewające w jakimś odległym miejscu.

Gwenlliam gładziła długie jasne włosy, aż w końcu oddech siostry stał się spokojniejszy, oczy się zamknęły.

- Nigdy nie wychodź za mąż - szepnęła Manon jeden, ostatni raz.

Po pewnym czasie Gwenlliam wyswobodziła się delikatnie, wstała, przeciągnęła się, usiadła przed lustrem przy toalecie. Ledwie widziała swoje odbicie w rozjaśnionym blaskiem świec mroku. Zaczęła szciotkować włosy. Ciągący skądś powiew poruszył płomieniem świecy, zamazując jej odbicie. Ona także czuła się tak zmęczona, że nie potrafiła jasno myśleć. Kiedyś, dawno, dawno temu, kochała ojca czule. Lecz to było kiedyś, w innym życiu: zmienił się, stał się innym człowiekiem; nie tym, który pokonywał z dziećmi całe mile po wilgotnym piasku, oglądając muszle, skały i wodorosty. Dopiero niedawno zrozumiała jego przewrotność; teraz jednak zginął straszną śmiercią i nie wiadomo dlaczego ludzie pokroju diuka Trentu nazywali to nie tragedią, lecz skandalem. Wolno podeszła do łóżka, wspięła się na nie, posłuchała znowu równego, stłumionego oddechu Manon. Wychyliła się i zdmuchnęła świecę, położyła się w ciemności. Natychmiast zobaczyła w wyobraźni twarz matki. *Czy ona wie? Oczywiście: gazety nie pisały o niczym innym; głosy balladzystów dolatywały nawet do Mayfair. Co czuła? Tamto wszystko przecież zdarzyło się tak dawno. Myśli dryfowały. Chcę ją zobaczyć znowu... Czy źle zrobiłam, że nie wtajemniczyłam Morgana? Ale on nie potrafi dochować sekretu... Powinnam powiedzieć o nim mamie więcej, doktor w Walii ostrzegwał, że te nowe bóle głowy źle wróżą, nie miał kogo poinformować, byłam tylko ja. „Podawajcie mu laudanum”, doradził. „Nie ma innego lekarstwa”.* Odsunęła od siebie wirujące w krąg myśli. Żyła w ciągłym lęku o

zdrowie brata.... *powinnam jej powiedzieć? ostrzec? ... chcę ją zobaczyć znowu...* lecz trzeba chronić Manon, nową diuszęsę Trentu, trzeba chronić Morgana, przyszłego diuka Llanefydd: nie może dojść do następnych skandali, jeśli morderstwo ojca to skandal.. *przepiękny sztylet... ale zabił mojego ojca...* Wreszcie młodsza siostra zasnęła także.

W nocy ocknęła się od razu, instynktownie wyczuła, że intruzem jest jej młodszy brat, usłyszała jego szczególnie oddech; doleciał ją także szelest papieru. Kiedy był młodszy, przybiegał do ich łóżka oszalały z rozpaczony za utraconą matką, z powodu dzieciennych bólów głowy; obecnie pogardzał pokojami sióstr, chaosem ich sukien i eliksirów, lecz Gwenlliam znała go dobrze: jeśli nowe bóle głowy stawały się nie do zniesienia, wciąż przychodził, jak zwykł to robić w dawnych czasach. Zdezorientowana, wciąż na wpół śniąc, siadła raptownie na łóżku.

- Morganie - szepnęła - to znowu głowa? Potrzebujesz lekarstwa?

Gdy zapaliła świecę, osłaniając ją, by światło nie padło na Manon, stał drżący przy łóżku w koszuli nocnej. W rękach ścisnął gazetę.

- O co chodzi? - szepnęła. - Znowu boli cię głowa?

- Spotkała się z nim przeze mnie. - Nawet gdy mówił szeptem, jego głos się załamywał, zmieniał tonację.

- Co ty wygadujesz? - Starła się zwracać do niego stanowczo i bardzo cicho. Był taki dziwny, należało go traktować surowo.

- Odwiedził ją tamtej nocy, kiedy zginął.

- Kogo odwiedził?

- Czytałem twój pamiętnik. Naszą matkę.

Poczuła, jak serce dosłownie zamiera jej w piersi. Krew gwałtownie napłynęła do twarzy. Gwenlliam przyjrzała się bratu uważnie. Pomyślała, że jego oczy wydają się szalone w świetle świecy, więc patrzyła nań z niedowierzaniem.

- Czytałem twój pamiętnik. Poszedłem się z nią zobaczyć.

Szczękał zębami, tak zimno było teraz w pokoju. Wciąż nie spuszczała z niego oczu, w których malowała się groza.

- Nigdy mi nic nie mówisz. To ja znalazłem ogłoszenie o dzieciach z domku na drzewie, nie ty. A ty powiedziałaś, że sobie coś roję i jestem nierozsądny, ale potem ją odszukałaś, tylko że mnie się nie przyznałaś. Gdybym nie czytał twojego pamiętnika, o niczym bym nie wiedział.

Stojąc obok łóżka, zadygotał niemal konwulsyjnie. Próbowwała wziąć się w garść; brat miał rację: zataiła to przed nim, zatajała przed nim wiele spraw, lecz dla jego własnego dobra, był zbyt - chwiejny. Przemówiła do niego pełnym nalegania szeptem.

- Morganie, kładź się tutaj, po mojej stronie, ogrzej się. Nie zbudź Manon, nie wolno ci zbudzić Manon, ona nic nie wie.

Odchylił kołdrę w nogach łóżka, wślizgnął się pod nią z wdzięcznością.

- Och, masz takie zimne stopy! - szepnęła. - Uważaj, żebyś nie dotknął Manon, bo się przebudzi.

- Jesteśmy nieślubni.

- Cicho bądź!

Lecz słowa zawisły w powietrzu. Manon poruszyła się lekko, wydała ciche, jęgliwe westchnienie.

Cisza panowała w wielkiej zimnej sypialni. Cisza w całym domu. Cisza na placu.

- Mam piętnaście lat - szepnął. - Mogłaś mi powiedzieć. Widziałem się z policjantem.

-Co?

- Zapytałem go. Tego policjanta. Twierdzi, że ojciec odwiedzał kogoś w Bloomsbury tej nocy, kiedy został zabity. Odwiedzał naszą matkę.

Gwenlliam była tak wstrząśnięta, że zapomniała zniżyć głos.

- Przestań! Przestań! Nie zwrócił na nią uwagi.

- To przeze mnie. Prosiłem, żeby porozmawiała z ojcem. Pytałem ją, czy mógłbym z nią zamieszkać i zostać malarzem. Namalowałem krajobraz Gwyr, by wiedziała, że pamiętam.

Żadne nie zwróciło uwagi na nagłą ciszę po drugiej stronie łóżka.

- Nie wolno ci nigdy więcej o tym wspomnieć, nigdy. – Gwenlliam znowu mówiła szeptem, lecz surowo. - To zamknięta sprawa. Przeszłość jest zamknięta. Ona tak powiedziała.

- Zapisałaś wszystko w pamiętniku. To tak samo, jakbyś wszystkim rozgłosiła! Odnalazłaś ją, dowiedziałaś się, że żyje. Że jesteśmy nieślubni. - Zdawało się niemal, że rozkoszuje się tym słowem.

- Przestań tak mówić! Przestań! Co by się stało z Manon, gdyby się dowiedziała, gdyby diuk Trentu się dowiedział? Z pewnością wynalazłby sposób, by unie-

ważnić małżeństwo... i jak zostałbyś kolejnym diukiem Llanefydd, gdyby ktoś to odkrył? Matka chce, by ta sprawa pozostała tajemnicą. Tak mi powiedziała.

- Manon płacze cały czas, odkąd wyszła za męża, nic innego nie robi. Zbrzydła od tego. To ona chciała przyjechać do Londynu, gdzie wszystko miało być takie wspaniałe! Ja chciałem jechać do Ameryki! Nie chcę być następnym diukiem Llanefydd, chcę mieszkać z matką i zostać malarzem, a ty rób, co ci się podoba.

- Przejęty, chwilami mówił pełnym głosem, potem znów wracał do szeptu. - Posłuchaj, Gwennie. - Nareszcie umilkł na moment. - Posłuchaj, Gwennie. Sprzedałem twoje szmaragdy.

- Co? O czym ty mówisz?

- Te, które dostałaś od ojca na ślub Manon. Przepraszam, musiałem, kiedyś ci je odkupię, ale teraz będę potrzebował pieniędzy.

Słuchała w osłupieniu, a on próbował wyjaśnić:

- Wiesz, że w każdej chwili mogą wpaść na pomysł, by znowu odesłać nas do Walii niczym paczki! A ja nie mogę tam wracać, muszę tu zostać na czas dochodzenia.

Nadal patrzyła na niego, jakby oszalał. Rozzłościł się, że siostra nic nie rozumie.

- A co, jeśli powiedzą, że to ona? Że go zabiła? Mieszka przy Bloomsbury Square. Czyli jestem tu potrzebny, by wyjaśnić, że to nasza matka i że spotkała się z nim tylko po to, by mi pomóc.

- W sądzie? Powiedziałbyś to wszystko w sądzie?

Na swoim brzegu wielkiego łoża Gwenlliam poczuła nagle, że życie zostaje jej wyrwane spod nóg niczym dywan; poczuła, jak pada. Usłyszała natarczywe słowa matki: *Musisz zrozumieć to, czego ja nie rozumiałam w twoim wieku: świat dzieli się nie tylko na bogatych i biednych, lecz także na ludzi przyzwoitych, i na tych, którzy przyzwoici nie są.* Oczyma wyobraźni ujrzała diuka i swoją macochę.

- Dlaczego Morgan sprzedał jej najcenniejszą ozdobę? Naraz usłyszała nazwisko, tak wyraźnie jak gdyby ktoś je wypowiedział na głos, choć rozbrzmiało tylko w jej głowie.

Panna Gwenlliam Preston. Poruszyła głową, chcąc je strząsnąć, lecz tkwiło tam mocno.

Panna Gwenlliam Preston.

Po drugiej stronie łóżka - lecz brat i siostra tego nie spostrzegli, tak byli pograżeni we własnych opowieściach - trwała cisza głośnie jak krzyk.

Później, po kolejnym wydarzeniu - choć Gwenlliam płakała i wykrzykiwała, zaprzeczając, oszalała z rozpacz, wyrzutów sumienia i bólu, a Morgan był tak blady i wstrząśnięty, że zdawało się, iż nie potrafi utrzymać się prosto na nogach, i głowa omal nie pękła mu z bólu - później, gdy zjawił się znowu ten sam policjant, znowu zadawał pytania; po tym, gdy krewni diuka Trentu wyparli się wszelkich związków z rodziną diuka Llanefydd i pośpiesznie wyjechali do swych posiadłości w północnej Anglii, by uniknąć dalszych skandali, dochodzeń i plotek - później zatem Gwenlliam i Morgan siedzieli w wielkim londyńskim domu niczym widma: złamani bólem, trawieni poczuciem winy i udręką, z twarzami pozbawionymi kolorów jak twarz ich zmarłej siostry.

Podczas drugiej wizyty diuk Llanefydd nie chciał rozmawiać z policjantami ani nawet na nich krzyczeć. Kataplazmy zsunęły mu się z nóg; patrząc w przestrzeń z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu, pił whisky w mrocznym salonie. Tylko lady Rozamunda wciąż była zdolna odpowiadać na pytania inspektora Riversa; uczyniła to lodowatym, opanowanym tonem: jej córka Manon, diuszesa Trentu, odebrała sobie życie z rozpacz po brutalnym zabójstwie ojca. Inspektor spojrział uważnie na białą pustą twarz bez śladów łez, na milczącego, pijącego na umór alkohol diuka; potem na dwoje dzieci, doprowadzonych przez rozpacz na skraj załamania, niezdolnych mu nic powiedzieć. *Zawsze szukam oznak rozpacz,* powiedział kiedyś do konstabla Forresta. Oto była rozpacz.

Gwenlliam spaliła pamiętnik. Morgan spalił starą gazetę z wiadomością w dziale ogłoszeń towarzyskich (ale pieniądze ukrył w głębokiej kieszeni). Przeprowadzona natychmiast obdukcja nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, jak zmarła młoda diuszesa Trentu; gazety wkrótce znały wszelkie szczegóły i więcej, na polecenie z domu królewskiego bowiem natychmiast rozpoczęto dochodzenie w sprawie śmierci. O pierwszym brzasku, kiedy brat i siostra wciąż jeszcze spali, Manon udała się do stajen przy Grosvenor Square, gdzie poprosiła stajennego o antymonian potasu dla chorego konia w Walii; zmarła o trzeciej po południu tego samego dnia w wielkich cierpieniach, z poparzonymi organami wewnętrznymi: leżała ubrana w suknię ślubną, z twarzą wykrzywioną przeraźliwym bólem, w nowym małżeńskim łóżu w nowym domu diuszesy Trentu przy Berkeley Square w Londynie, o którym zawsze śniła. Orzeczenie wydano w cztery minuty po złożeniu raportu przez chirurgów i nieszczęsnego stajennego: zgodzili się z nim wszyscy członkowie pośpiesznie zwołanej ławy przysięgłych.

Obejrzeni nieszczęsne zwłoki w ślubnej sukni, na ich twarzach malowała się świadomość faktu, jak bolesna musiała to być śmierć. Choć młoda diuszesa poniosła ją z własnej ręki, co, wedle prawa, należało do najcięższych przestępstw („sięgnęła po prerogatywy Najwyższego, niepotrzebnie śpiesząc przed Jego oblicze”), przysięgli uznali jednakowoż, za radą królewskiego koronera, że nastąpiło to *in dementia accidentalis*, to znaczy w czasie, gdy umysł nieszczęsnej młodej damy był chwilowo zaćmiony rozpaczą po śmierci ojca, uwolniono ją zatem od odpowiedzialności prawnej za jej postępek.

Taki wyrok oznaczał, że Kościół wyrazi zgodę, by pogrzebać zmarłą w poświęconej ziemi obok ojca.

Pan Percival Tunks, koroner parafii św. Jerzego w Bloomsbury, niespodziewanie otrzymał pismo z Windsoru; z rozkazu Jej Królewskiej Mości dochodzenie dotyczące lorda Morgana Ellisa również miało zostać rozpoczęte natychmiast, tak aby jego ciało można było wydać na pogrzeb, dlatego pośpiesznie zwołano przysięgłych także z tej parafii. Siedemnastu uczciwych i praworzędnych mężczyzn udało się na policyjny posterunek, przeciskając się przez ożywiony tłum, raczący się piwem w pubie Pod Kotwicą. Nim mogli obejrzeć zwłoki, należało oficjalnie otworzyć dochodzenie w sprawie śmierci lorda Morgana Ellisa. Żaden z siedemnastu mężczyzn nie czuł się swobodnie na policji: stali skrepowani, z kapeluszami w dłoniach, w ciemnym, lodowatym korytarzu na piętrze, i potwierdzili pośpiesznie swą obecność, gdy oficer koronera wyczytywał ich nazwiska.

- Humphrey Ditch, piekarz, North Street.

- Jest.

- John Boxali, handlarz artykułami żelaznymi, Bury Street.

- Jest.

- Kiles King, piekarz, Gray's Inn Lane.

- Jest.

- Joseph Manley, szklarz, Gray's Inn Lane.

- Jest.

Wreszcie wszystkie nazwiska wyczytano, ich właściciele zaś zaprzysiężone Stłoczyli się we wskazanej im ciasnej izbie. Leżały tam zwłoki lorda Morgana: wokół rozstawiono olejne kaganki o podkreślonych mocno knotach, tak aby wyraźnie było widać obrażenia. Zobaczyli sińce na opuchniętej twarzy. Zobaczyli skrzepłą krew w miejscu, gdzie wniknęła broń, zadowoleni, że jest zima i chłód. Handlarze artykułami żelaznymi i licytatorzy przestępowali z nogi na nogę obok

piekarzy i policjantów, widok ciała uświadomił im, że śmierć, koniec końców, nie ma względów dla pozycji ani bogactwa. Z sąsiedztwa, z pubu Pod Kotwicą, dobiegały stłumione odgłosy życia i wesołości.

- Czy wszyscy obejrzeliby zwłoki? - spytał koroner oficjalnie, kiedy skupili się razem.

Przysięgli skinęli głowami.

- Czy ocenili obrażenia?

Znów pokiwali i zaszemrali potwierdzająco.

- Czy widzieli narzędzie zbrodni?

Jeszcze jedno skinienie; narzędzie zbrodni, lśniące niemal dziko w półmroku, wspaniale, wyraźnie nie na swoim miejscu, wywarło na przysięgłych ogromne wrażenie (kręcili głowami i pogwizdywali cicho na myśl o jego wartości).

Następnie pan Tunks, na mocy przysługującej mu władzy, osobiście polecił, by wydać zwłoki rodzinie zamordowanego ze względu na szczególne okoliczności. Potem odroczył dochodzenie o dwa dni, by umożliwić odprawienie podwójnego pogrzebu w Boże Narodzenie.

Przysięgli udali się do pubu obok, by się wzmocnić; pan Tunks zszedł na parter, również czując ulgę, że może się oddalić od ciała. Konstable krążyli po posterunku, rozmawiając o innych sprawach, o włamywaczach z Vauxhall; koroner włożył kapelusz i wyszedł na mroźną ulicę. Postanowił coś zjeść, napić się ciemnego piwa i poszukać towarzystwa. Czuł się rozdarty między złością, że majestat metaforycznie szturcha go w ramię, oraz niezmierną dumą, że jemu osobiście przypadło w udziale przewodniczenie w sprawie. Otrzymał następny list: diuk Llanefydd zamierzał przysłać własnego przedstawiciela prawnego, by wziął udział w dochodzeniu, a kiedy pan Tunks usłyszał, o kim mowa, serce zabiło mu szybciej: był to sir Francis Willoughby, który, jak doskonale wiadomo, doradzał królowej. Sir Francis Willoughby niewątpliwie otrzymał od diuka instrukcje, by winą za śmierć młodej diuszesy obciążyć opieszale działającego koronera i policję, skoro nie mógł ich obwinie o morderstwo na Bloomsbury Square. Sir Francis Willoughby niewątpliwie będzie również przekonany - jak często się zdarzało wśród przedstawicieli prawniczej profesji (pan Tunks odebrał wykształcenie medyczne) - że sąd koronera to niedorzeczna idea, anomalia, bowiem nie przestrzega się w nim zasad i rygorów prawa. Koroner wychodząc na zewnątrz, wyprostował się, nie bacząc na zimno. Niektóre dochodzenia bywały chaotyczne, to prawda - przysięgli wypytywali świadków, prawnicy wtrącali swoje trzy grosze,

czasem świadek wpadał w szal; bywało nawet, że dowody niszczone, upuszczano na ziemię, deptano lub kradziono. Pan Tunks dba, by narzędzie zbrodni - ów niezwykły, błyszczący przedmiot - cały czas znajdowało się pod nadzorem przydzielonego mu pomocnika. Lecz - tu koroner westchnął - pokój na piętrze nad pubem trudno uznać za właściwe miejsce, by zachować dostojność; dochodzenie nie miało w sobie powagi rozprawy z prawdziwego zdarzenia w odpowiednim otoczeniu. Mimo to pokaże wszystkim obecnym, jak powinien się odbywać właściwie prowadzony sąd koronerski - szczególnie sir Francisowi Willoughby'emu, doradcy rodziny królewskiej. Pokaże, że należna ostrożność ze strony koronera jest ważniejsza od pośpiechu. Jego myśli popłynęły na chwilę ku honorom i królewskim emeryturom. A potem, ponieważ lubił jeść, ku gęsi, którą żona miała przyrządzić następnego dnia.

Inspektor Rivers z kolei tego wieczoru raz jeszcze udał się do Bloomsbury.

W Bloomsbury konstabl Forrest, który w nierzucającym się w oczy cywilnym ubraniu tkwił na ulicy naprzeciwko domu, marząc przynajmniej o kubku gorącej herbaty, bo padał śnieg, mógł zraportować inspektorowi, że do magnetyzerki przybył starszy dżentelmen o cudzoziemskim wyglądem i jeszcze go nie opuścił.

- Co to znaczy: cudzoziemskim? Konstabl się zastanowił.

- W dziwny sposób nosił płaszcz i kapelusz - wyjaśnił.

Rivers, niezupełnie rozumiejąc przyczynę własnego zaniepokojenia, spojrział raz jeszcze na skromną mosiężną tabliczkę, po czym zastukał kołatką: nikt się nie zjawił. Pociągnął sznur dzwonka, usłyszał dźwięk niosący się echem w korytarzu. A więc zgodnie z tym, czego oczekiwał od początku, pojawił się mężczyzna. Czyżby w tę sprawę, na dodatek do wszystkiego innego, mieli być zamieszani także cudzoziemcy? Inspektor przyszedł tutaj - miał tę świadomość - chcąc sprawić, by dochodzenie w sprawie śmierci lorda Morgana Ellisa było łatwiejsze dla tej eleganckiej, atrakcyjnej i tajemniczej kobiety, panny Cordelii Preston, magnetyzerki i aktorki. *Dawno temu rzuciła scenę dla lorda Morgana Ellisa.* Gdyby opowiedziała Riversowi, co zdarzyło się między nimi dwojgiem w wieczór morderstwa, można by wszystkim odpowiednio pokierować w sądzie koronerskim. Nie było rolą inspektora angażować się w taki sposób, lecz niepokoiły go naciski na koronera (jak rozumiał, najwyższe osobistości starały się wywrzeć wpływ na pana Tunksa, jeśli chodzi o szybkość w sprawie tempa działania i jego wyników); uświadamiał sobie, że panna Preston, szczególnie gdy zostanie ujawniona jej przeszłość, bez względu na to, jak niewinna jest w rzeczywistości, ła-

two ze świadka może się stać podejrzaną. Przyszedł też tutaj - wiedział o tym - ponieważ chciał ujrzeć znowu tę piękną kobietę.

Wreszcie drzwi otworzyła mu osobiście panna Spoons; wyglądała na przerażoną widokiem policjanta, zdawała się blada i spięta.

- Chciałbym rozmawiać z panną Preston raz jeszcze, jeśli można - odezwał się uprzejmie.

- Panna Preston nie czuje się dobrze - odparła.

- Przepraszam za kłopot, lecz jest rzeczą niezmierniej wagi, bym mógł z nią pomówić. Chodzi o dochodzenie w sprawie lorda Morgana Ellisa.

- Wpuściła go w końcu, lecz niechętnie; kazała poczekać w wielkim salonie przy małej lampce, którą przyniosła. Lampa rzucała niepewne cienie, szklane gwiazdy połyskiwały niepokojąco nad głową, odbijając światło gazowych latarni na zewnątrz. Przespacerował się skrepowany, jak gdyby w pomieszczeniu kryły się jakieś obce siły; wziął marmurową głowę pokrytą numerami, z jakiegoś niezgłębionego powodu pogładził ją dłonią, myśląc o swojej drogiej zmarłej żonie i o tym, jak włosy wypadły jej przed śmiercią. Na koniec panna Spoons wróciła i wskazała, by podążył za nią do przytulnego saloniku, gdzie trafił podczas poprzedniej wizyty.

Nie był przygotowany na to, co zobaczył.

Wydawało się niemal, że panna Cordelia Preston nie jest tą samą kobietą. Elegancka, atrakcyjna, pewna siebie osoba, którą poznał, była teraz blada, zrozpaczona; z włosami w nieładzie, niemal nie zauważała jego obecności. Czyżby spóźniona rozpacz po lordzie Ellisie? Jakiś mężczyzna, stary mężczyzna (inspektor zdziwił się, czemu poczuł ulgę), niewątpliwie cudzoziemski dżentelmen, o którym wspomniał konstabl Forrest, stał przy wysokim oknie; skłonili się sobie, gdy ich przedstawiano. Zasłony zaciągnięto, lecz nie do końca; na dworze znowu zauważył figurkę anioła, pełną gracji i łaskawej życzliwości, choć przysypaną śniegiem, pośrodku ciemnego, zimnego ogrodu. Jodła z niezapalonymi świeczkami sprawiała teraz smutne wrażenie, święta poszły w niepamięć. Trzaskał ogień: był to jedyny odgłos w ciszy.

Kiedy odezwał się łagodnie: „Przepraszam, że zjawiam się w najwyraźniej nie stosownej porze, lecz muszę z panią porozmawiać o sprawie”, w oczach panny Preston wezbrały łzy, a następnie spłynęły po policzkach, lecz nie zwróciła na nie uwagi; nie odpowiedziała. Patrzenie na nią było rzeczą niezwykle bolesną i

niepokojącą. Inspektor spojrział na pannę Spoons, szukając wyjaśnienia przyczyn tej strasznej rozpacz, nie udzieliła żadnego. Musiał ciągnąć dalej.

- Panno Preston, dochodzenie w sprawie lorda Ellisa otwarto, po czym odroczone je, aby można było zorganizować pogrzeb... oba pogrzeby, bo zapewne słyszała pani o śmierci jego córki lady Manon. Dochodzenie zostanie podjęte w dzień po Bożym Narodzeniu, otrzyma pani wezwanie, i jak sądzę, musi się pani przygotować na... - urwał -...najście prasy. Nie będzie w mojej mocy panią przed nim uchronić.

Zdawało się, że panna Preston nie słyszy.

- Już została wezwana - wyjaśniła cicho panna Spoons i podała inspektorowi list adresowany do panny Cordelii Preston, stanu wolnego, przy Bedford Place.

Będąc w posiadaniu wiarygodnych informacji, iż jest Pani zdolna udzielić zeznań w interesie Królewskiej Wysokości w kwestii śmierci lorda Morgana Ellisa, mocą mego urzędu w imieniu Jej Wysokości pouczam Panią i rozkazuję stawić się przed moim obliczem w pubie Pod Kotwicą obok posterunku policji przy Bow Street, o piątej po południu, 26 dnia bieżącego miesiąca, tj. grudnia, by złożyć zeznania i zostać przesłuchaną w interesie Jej Wysokości przede mną i moim sądem. Niniejszym nakazuję przybyć niezawodnie, albowiem w przeciwnym wypadku odpowie Pani przed prawem. Wydane pod moją pieczęcią niniejszego 24 dnia grudnia tysiąc osiemset czterdziestego drugiego roku.

Pan Tunks już zdążył przysłać sygnowaną przez niego wiadomość. Listy takiej samej treści wysyłano do wszystkich świadków: zdawało się, że w tym domu słowa nabrały groźnego znaczenia. Inspektor oddał list pannie Spoons. Spojrział znowu na pannę Preston i naraz ścisnęło mu się serce. Gdy się widzieli ostatnim razem, nosiła rękawiczki, więc nie widział ran na grzbietach jej dłoni. Starał się na nie nie patrzeć; takie sińce i otarcia mogły powstać z różnych przyczyn, oczywiście że tak, zapewne - chwycił się pierwszego pretekstu - upadła w śniegu. Odezwał się z wyraźnym ociąganiem.

- Pani... zraniła się w rękę, panno Preston?

Utkwiła w dłoniach spuszczonego wzrok, jak gdyby ich dotąd nie widziała, panna Spoons jednak zaczęła mu się naraz przyglądać z wielkim zaniepokojeniem.

Niemal ukradkiem zerknął jeszcze raz na poranione ręce i odwrócił wzrok. Nie pojmował, czemu tak bardzo go to poruszyło.

- Panno Preston. - Trudno przemawiać stanowczo wobec takiego bólu. Cokolwiek jednak stanowiło jego przyczynę, sprawa inspektora była pilniejsza. - Panno Preston, nalegam bardzo poważnie raz jeszcze, proszę mi wyjaśnić, jaką sprawę miała pani z lordem Ellisem.

Jedynie otrzymawszy tę informację, będę mógł pomóc, występując w pani imieniu wobec koronera. Widzę, że dręczy panią jakieś osobiste cierpienie, i narzucam się pani z największą niechęcią. Nie jestem jednak pewien, czy rozumie pani, w jak trudnej sytuacji może się znaleźć, jeśli nie udzieli odpowiedzi na pytania.

Lecz w pokoju panowała cisza. Cudzoziemiec patrzył na pannę Preston; inspektor nie umiał odczytać wyrazu jego twarzy.

Spróbował jeszcze raz:

- Panno Preston, z powodu samobójstwa tej nieszczęsnej młodej dziewczyny... słyszała pani, córki lorda i lady Ellis... podczas dochodzenia obecny będzie jeden z doradców prawnych Jej Wysokości, by wspierać fachową pomocą diuka Llanefydd. Wszyscy będą się spodziewać... będą się głośno domagać... jak najszybszego rozstrzygnięcia, a w takich okolicznościach niekiedy popełnia się... błędy. Obawiam się, że może pani grozić pewne niebezpieczeństwo, jeśli nie będzie pani mogła udzielić przed sądem stosownych wyjaśnień na temat tego, co zaszło między panią i lordem Ellisem w wieczór morderstwa. Dochodzenia bywają do prawdy nieprzewidywalne i nie mogę wykluczyć, iż zostanie pani oskarżona.

Spojrzała na niego z przerażeniem w oczach, jakby już ją oskarżono, lecz nie odezwała się słowem. Na koniec do inspektora zwrócił się Francuz.

- Sądzę, że panna Preston zdaje sobie sprawę z nowej sytuacji, monsieur - wyjaśnił - ma jednak własne problemy. Nie jest zdolna panu odpowiedzieć.

W końcu inspektor Rivers niechętnie opuścił dom. Chciał zostać dłużej w tym pokoju, zrozumieć, co tak przerażającego się wydarzyło. Lecz panna Spoons odprowadziła go do wyjścia, uprzejma i milcząca.

- Dziękuję - powiedziała jedynie, zamykając drzwi. Oczyma duszy ujrzał znowu posiniaczone, pocięte dłonie. Oczywiście należy powiadomić koronera.

- Niech pan wraca do domu - zwrócił się życzliwie do Forresta, czekającego na zewnątrz na mrozie, bo konstabl miał młodą żonę i dziecko, a następnego dnia wypadało Boże Narodzenie.

19

Pogrzeb lorda Morgana Ellisa i jego córki Manon następnego dnia wzbudził większe zainteresowanie i okazał się wydarzeniem bardziej burzliwym, niż krewni diuka Llanefydd wyobrażali sobie w najdzikszych koszmarach. Ciało, zgodnie z rodzinną tradycją, miano ostatecznie zabrać do Walii, lecz pogrzeb naturalnie odbywał się w Londynie - uroczysta ceremonia z wielką pompą, czarnymi końmi i białymi liliami, bez względu na Boże Narodzenie. Czarne powozy, czarne konie, czarne pióra, walijska laweta, członkowie brytyjskiej arystokracji. Dom handlowy ze strojami dla żałobników Jay's Mourning Emporium przy Oxford Street przeżył prawdziwe oblężenie. (Niektórzy jednak zostali w domu - nie był to pogrzeb, z którym chcieli być łączeni. Nie zjawił się żaden członek rodu diuka Tren-tu, szczególnie afront wobec zmarłej, młodej dziewczyny, która tak niedawno weszła do rodziny). Królowa wysłała daleką kuzynkę jako reprezentantkę odpowiednią do stopnia pokrewieństwa. Lecz mimo wilgotnej, gęstej mgły i mżawki wielkie tłumy wyległy na ulice wiodące do katedry św. Pawła; ostatecznie był to dzień świąteczny. Ludzie pokazywali coś sobie palcami, krzyczeli i szeptali; żuli paszteciki kupione od ulicznych sprzedawców, którzy szybko zwietrzyli interes i podnieśli ceny o pół pensa. Kakofonia dźwięków niosła się nad zatłoczonymi ulicami, gdy karawan i kondukt pogrzebowy miały wolno zbiegowisko: w tłum w mieszał się żebracy, uliczni artyści i kieszonkowcy; ktoś puszczał latawiec, żonglerzy wyrzucali swoje kule w mgliste powietrze, ten i ów się załatwiał, sprzedawano gołębie w klatkach, balladziści prezentowali swoje utwory.

*Skarga żalosa niesie się w krag! Nie jedno ciało, lecz dwa
tu są, Każdy zapłacze na straszną wieść: Córka do ślubu
odziana w biel Ojciec krwią zbroczon, ach, co za rzeź!*

To nie był jedynie pogrzeb. To było - słowa te, aż kipiące od wszelkich możliwości, podawano sobie z ust do ust - wstrząsające wydarzenie: morderstwo, samobójstwo, zamęt.

Natychmiast po pogrzebie ciągnięty przez konie karawan rozpoczął nieśpieszną podróż do Walii, do odległego rodzinnego grobu. Do zamkniętego powozu, jadącego w ślad za nim, lady Rozamunda zapakowała dwójkę pozostałych dzieci. Towarzyszył im jeden z najbardziej zaufanych służących diuka, który otrzymał rozkaz, by bezpiecznie wywieźć młodych ludzi jak najdalej od rozpętanego skandalu, do północnej Walii, gdzie mieli czekać dalszych książęcych poleceń.

W wilgotne szare popołudnie widziano karawan i zamknięty powóz, opuszczające londyńskie przedmieścia.

20

Największa sala na piętrze (niekiedy nazywana „salonem”) w pubie Pod Kowcą obok posterunku policji przy Bow Street była, owszem, spora jak na pokój, lecz nie dość przestronna, by pomieścić wielką liczbę zainteresowanych, którzy uważali, że mają ważne powody uczestniczyć w sądzie koronera w sprawie śmierci lorda Morgana El-lisa, dziedzica diuka Llanefydd, dzień po Bożym Narodzeniu. Z sali korzystano często nie tylko podczas dochodzeń, lecz i ważnych zebrań parafialnych, więc była całkiem przyjemna: na ścianach obrazy przedstawiające sceny wiejskie; kominek, by ją ogrzać (wkrótce miał tu zapanować nieznosny upał, przeniknięty odorem ciała); duży zegar na gzymsie kominka i lustro odbijające zebrany tłum; półka na kapelusze przysięgłych. Zasłony na wielkich oknach odsunięto, lecz że ranek na zewnątrz był pochmurny, zapalono lampy. Nie dało się jednak zapomnieć o sąsiedztwie: na dole tłoczyli się, wyrzekali i śmiali klienci pubu: poranni pijacy, podejrzane typy, odbywające spotkania w interesach; czartyści; podróżni czekający na omnibus do zajazdu Pod Słoniem albo dyliżans do Bristolu, które się tu zatrzymywały. Tłum gęstniał. Pomocnik koronera wezwał policjantów: tylko ludzie mający uzasadniony powód mogli wejść na górę; ciągnęła za nimi woń mocnego piwa i echo nawoływań pospólstwa. Gdy zjawił się diuk Llanefydd we własnej osobie, na pół wniesiony, na

pół wepchnięty po wąskich schodach, a w ślad za nim wdowa w żałobie, lady Rozamunda Ellis, rozległ się szmer pełen szacunku, a zarazem podniecenia; kiwano głowami i szturchano się, pokazując sobie arystokrację.

Siedemnastu uczciwych i praworządnych mężczyzn, zaprzysiężonych jeszcze przed oględzinami zwłok, wparadowało jeden za drugim w najlepszych ubraniach. Położyli kapelusze na półce i usiedli w aurze ważności, wiedząc, że to bardzo szczególna sprawa; znajdujący się w ich gronie piekarze wstali wcześniej niż zwykle, by przed przyjściem na salę wypełnić swoje obowiązki. Do środka wślizgnęli się przedstawiciel „Morning Chronicle”, dziennikarz „Timesa” i reporter „News of the World”, lecz wysłannik pisma „Globe” wciąż jeszcze żołądkował się na dole. Panna Rillie Spoons - jedna z niewielu obecnych kobiet - siedziała zupełnie sama, milcząca i niezwracająca na siebie uwagi. Zauważyła, że jeden z przysięgłych, Joseph Manley, szklarz, to ich znajomy; nabyły w jego sklepie szklane gwiazdy. Sir Francis Willoughby, doradca rodziny królewskiej, zajął miejsce obok diuka Llanefydd i lady Rozamundy Ellis, bacznie obserwując wszystko. W sali tłoczyli się nieznani nikomu ludzie, którzy jakimś sposobem uzyskali wstęp; może byli to dziennikarze, może czyiś krewni, może po prostu przywiodła ich ciekawość. Inspektor Rivers zajął miejsce z tyłu. Skądś zjawił się monsieur Roland. Kon-stabl Forrest, gdy tylko pomocnik koronera skinął głową, zamknął drzwi i zajął pozycję obok nich. Lecz nawet kiedy uzyskano w końcu pozór izolacji i spokoju i postępowanie mogło się zacząć, ciężki, słodkawy odór piwa napływał silnymi falami, a dym tytoniowy z fajek, zdawało się, wsącał się spod podłogi do sali na piętrze.

Wszedł pan Tunks, spostrzegł natychmiast obecność sir Francisa Willoughby'ego i zwrócił się do zebranych z surowym ostrzeżeniem: tej rozprawie on przewodniczy; nie będzie zatem mowy o żadnym chaosie.

- W imię Jej Królewskiej Wysokości, rozpoczynając niniejsze dochodzenie, pragnę powiadomić obecnych, na wypadek gdyby nie było im to wiadome, iż sąd koronera nie jest, powtarzam, nie jest, organem wymiaru sprawiedliwości. Nosi jedynie charakter przesłuchania i jako taki nie ma w żadnym sensie rozstrzygającego głosu, nalegam zatem usilnie, by obecni nie zapominali ani na chwilę, iż celem rozprawy przed sądem koronera jest jedynie zaprotokołowanie zeznań. Naturalnie, to rzecz istotna, by o postępach dochodzenia informowano społeczeństwo - w ten sposób możemy dotrzeć do osób będących w posiadaniu dalszych informacji i powołać je na świadków. Lecz sprawy, w jakie panowie przysięgli być

może zostaną tu wtajemniczeni, niekoniecznie należą do tych, z którymi - spojrzał bardzo srogo na dziennikarza z pisma „Globe”, któremu szczęśliwie udało się wyrwać z tumultu na dole - musi się zapoznać szeroka publiczność. Żywie gorącą nadzieję, że dżentelmeni z prasy zechcą zrozumieć, co mam na myśli. Niewinnych świadków składających zeznania nie wolno cytować wprost: to prowadzi do intryg, nie zaś sprawiedliwości. Nie życzę sobie żadnych fałszywych relacji z mojego dochodzenia na temat spraw niezwiązanych ze śmiercią lorda Ellisa. - Spojrzał surowo znad wielkich, powiększających okularów. Dziennikarze sprawiali wrażenie głęboko dotkniętych, że karci ich, nim jeszcze dochodzenie się rozpoczęło. Inspektor Rivers musiał przyznać, że pan Tunks robił, co w jego mocy. Obaj jednak wiedzieli z doświadczenia, że równie dobrze mógłby mówić do ściany. - Zawezwąć chirurgów.

Rivers w głębi sali wysłuchiwał raz jeszcze zeznań, starając się pogodzić z nieprzyjemną świadomością, że nie do końca dopełnił swoje obowiązki. Pierwszy raz w życiu zataił coś przed koronerem. Słyszał, jak chirurdzy stwierdzają, że zamordowany prawdopodobnie brał udział w bójce, stąd obrażenia na jego twarzy. Coś, jakiś instynkt, kazał inspektorowi wierzyć, że panna Preston nie jest morderczynią: świadom, jak szybko sytuacja może się obrócić na jej niekorzyść, nie powiadomił pana Tunksa o otarciach na dłoniach kobiety. *Lecz mogę się całkowicie mylić. Instynkt niekiedy mnie zawodzi.* Poruszył się niespokojnie na niskim, twardym krześle. Obserwował pannę Rillie Spoons, zupełnie samą. Siedziała bardzo prosto i nieruchomo.

Inspektor widział także diuka Llanefydd, usadowionego w specjalnym fotelu na przedzie; wydawał się bardziej niż kiedykolwiek oburzony, iż poddano go jakimś pospolitym procedurom prawnym, a teraz zmuszony jest siedzieć w sali na piętrze pospolitego pubu. Obok, nie odzywając się do niego ani słowem, siedziała nieruchomo niczym figura woskowa lady Rozamunda, która w ciągu tygodnia straciła męża i córkę. Dwójki jej pozostałych dzieci nigdzie nie było widać: lady Rozamunda nie pytała Riversa o zdanie, kiedy je odsyłała do Walii. Gdy chirurdzy opisywali stan zwłok, a koroner notował ich zeznania na wielkich płachtach papieru - niekiedy rzucając: „Chwileczkę, proszę” lub unosząc dłoń - inspektor Rivers myślał o dziwnym młodym człowieku, pół mężczyźnie, pół dziecku, czekającym na niego w śniegu, by się dowiedzieć, czego jego ojciec szukał w Blooms-bury. Pan Tunks nie zgodził się, by dziedzica diuka Llanefydd, pięt-

nastolatka, wezwać na świadka tylko dlatego, że inspektor miał jakieś przecucie. Lecz oczywiście w tej chwili chłopiec nie byłby zdolny złożyć zeznania; Rivers ujrzał oczyma wyobraźni tulące się do siebie rodzeństwo, tak jak je widział ostatni raz: chłopca i dziewczynę zjednoczonych w bólu, dosłownie niezdolnych wymówić słowa, gdyż tak wielka była ich udreka. „Zawsze szukam oznak rozpaczy”, powiedział kiedyś do konstabla Forresta. I w tym momencie jego umysł wykonał kolejne salto. *Przecież widziałem żalobę, tego samego wieczoru. Widziałem ją nie tylko w Mayfair - lecz także w Bloomsbury.*

Ujrzał jej twarz: bladą, wstrząśniętą, milczącą.

Potem ich młode twarze: blade, wstrząśnięte, milczące.

Para bladych, wstrząśniętych, milczących młodych ludzi jechała powozem w deszczu. Lady Rozamunda zdziwiłaby się na wieść, że powóz zmierza w kierunku Londynu, nie zaś się od niego oddala.

Po pogrzebie wyruszyli ze stolicy do Walii, podróżowali wiele godzin; wreszcie po zapadnięciu zmroku powozy zatrzymały się przy jakiejś gospodzie, nie chciano bowiem jechać w ciemności. Całą noc Gwenlliam i Morgan, oszaleli z wyczerpania i bólu, szeptali i płakali razem; ich blade twarze majaczyły w ciemnym oknie na piętrze, gdy wpatrywali się w wietrzną, nieprzyjazną ciemność. Usłyszeli rzenie konia, widzieli obok gospody zarys wielkiego karawanu; tam ich ojciec i siostra leżeli w swoich trumnach. Raz jeszcze wyteżyli wzrok, spoglądając w mroku na ten ruchomy grobowiec.

Później, następnego ranka, gdy karawan i powóz odjeżdżały sprzed gospody, doszło do zamieszania. Wywołał je piętnastoletni lord Morgan Ellis, który - uparłszy się, że będzie siedział na kozła, kiedy wyruszali w drogę - podczas skręcania na główny gościniec cisnął ostrym kamieniem w jednego z koni zaprzężonych do powozu. Koń stanął dęba na wąskiej drodze, powóz zakołysał się i przewrócił: Morgan i Gwenlliam planowali tylko zamieszanie; w rzeczywistości spowodowali poważny wypadek. Morgan odbił się przed upadkiem z kozła, głową i ciałem uderzył w bruk, lecz podniósł się szybko; Gwenlliam wparła się w tył powozu, oczekując wypadku, a potem uchwyciła się mosiężnej poręczy, gdy się przewracał; zdołała się wyczołgać niemal bez obrażeń, nieświadoma, że ma krew na twarzy. Towarzyszący im służący, który niczego się nie spodziewał, został poważnie ranny; zabrano go do gospody. Morganowi krwawiła noga, Gwenl-

liam twarz, lecz ani tego nie spostrzegli, ani o to nie dbali. Oboje młodzi wymknęli się w tłumie.

Mieli przy sobie olbrzymią sumę trzydziestu gwinei, pieniądze ze sprzedaży naszyjnika Gwenlliam.

Po chirurgach zeznania złożył inspektor Rivers, a potem lokaj, który znalazł ciało; obaj w miarę potrzeby odpowiadali na pytania przysięgłych, niekiedy na pytania sir Francisa Willoughby'ego. Następnie wystąpił stary strażnik miejski, który przemierzał Blooms-bury Square, obwołując, że wszystko jest w porządku; wierzył święcie, że wszystko było w porządku, gdy dokonywał codziennego obchodu.

- O której godzinie?

- O dziewiątej, milordzie.

Następnie wydał się w długie, bezładne wyjaśnienia, dlaczego nie zawołał ponownie w pobliżu Bloomsbury Square, lecz wszyscy i tak wiedzieli: w zimne noce strażnicy drzemali nad dzinem w swoich budkach; koroner uciął jego wywód.

Półożony w swym specjalnym fotelu diuk, gdy wezwano go na świadka, odmówił złożenia przysięgi.

- Czemu, do diabła, miałbym składać przysięgę w pubie? Jestem diukiem Llanefydd! Nikomu nie będę przysięgał.

- Przysięgnie pan królowej - odparł pan Tunks natychmiast, unikając wzroku sir Francisa Willoughby'ego. - Takie jest prawo, milordzie, że w tym sądzie nawet parowie królestwa muszą zeznawać pod przysięgą: wszystko, co pan powie podczas tego dochodzenia w interesie naszej królowej w sprawie śmierci lorda Morgana Ellisa, musi zawierać prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Tak panu dopomóż Bóg.

Diuk odpowiadał na pytania arogancko, oczy mu zabłyśły dopiero na widok narzędzia zbrodni. „Nie poznaję go”, odparł, lecz w oczach miał chciwość.

Następnie lady Rozamunda władczo, krótko powtórzyła swoją relację: lord Morgan Ellis zjadł kolację przy Grosvenor Square, po czym wyszedł z domu. Nie wspominał o planach na wieczór. Ciało zidentyfikowano oficjalnie jako zwłoki jej męża. Spojrzała na narzędzie zbrodni, piękny sztylet, błyszczący i połyskliwy, po czym lekko wytwornie wzruszyła i ramionami. „Możliwe, że go widziałam u

męża wiele lat temu", powiedziała. „Lecz nie jestem pewna". Nie patrzyła na diuka, nie patrzyła na pana Tunksa, nie patrzyła na przysięgłych. Mówiła, zdawało się, do obrazów ze scenami wiejskimi na ścianach albo do okien, za którymi padał deszcz. Podczas jej zeznań drzwi w głębi otwały się nagle od przeciągu, a może pchnięte czyjąś ręką. Do sali sądowej wdarły się natychmiast donośne, ochryple głosy, po czym ucichły równie raptownie, gdy drzwi zostały szybko zatrzaśnięte przez konstabla Forresta.

Było już dobrze po południu, kiedy wezwano w charakterze świadka - lub potencjalnego podejrzanego - włóczęgę Saula O'Reilly'ego. Zaiste był to nieszczęsny okaz ludzki. Doprowadzono go z więzienia na posterunku policji; drżał i dygotał, cuchnął i dopraszał się o dżin. Zapewniał, że ma trzydzieści dwa lata, lecz wyglądał jak starzec i w sposób oczywisty nie byłby zdolny nikogo zasztytować: mamrotał, jękał się i spoglądał nierozumiejącym wzrokiem na przysięgłych.

- No, ja tam wiem tylko, że byłem Pod Niebieskimi Słupami z Martinem, tym starym łajdakiem, wie, że tak było, możecie go spytać. Nie chciałem spać na placu, bo nieraz mnie sadzali do paki za włóczęgostwo, ale nawet głowy nie dał rady podnieść; jak że sobie przypominał, no to że wlałem w krzaki, żeby się trochę ukryć. Przydałaby mi się kapka dżinu, bardzo by się przydała, od razu bym sobie przypominał. - Jako że dżin się nie pojawił, ciągnął dalej: - A następnie, co pamiętam, to że mnie konstabl stuka w głowę. Przydałaby mi się kapka dżinu, wasza lordowska mość, Zaraz bym lepiej odpowiadał, jakbym se łyknął.

Wydawało się, że rachityczne nogi lada chwila się pod nim załamają.

- Odprowadźcie go! - burknął w końcu któryś z przysięgłych, głodny, zmęczony (odkąd zaczęli o dziesiątej rano, nie wychodzili z sali, jedynie za potrzebą, a zbliżała się piąta po południu). - Nie dałby rady zadźgać kota!

Naraz brudny starzec zapytał niepewnie:

- A panienki gdzie?

Pan Tunks natychmiast dał znak konstablowi i kompromitujące indywiduum wyprowadzono, by zapobiec kolejnym impertynenckim i niestosownym uwagom.

- Wezwać pannę Preston! - zawołał szybko jego pomocnik.

Otrzymał od pana Tunksa instrukcje, by pierwszego dnia przesłuchać jak najwięcej świadków, dochodzenie bowiem należało skończyć możliwie szybko. Zapalono więcej lamp.

Przysięgli (niektórym głośno burczało w brzuchu) szeptali między sobą buntowniczo, lecz przerwali na chwilę, gdy wprowadzono pannę Cordelię Preston; elegancką kobietę, zauważyli wszyscy natychmiast, naturalnie niemłoda, lecz, no cóż, właśnie elegancką; Joseph Manley, szklarz, otworzył szeroko usta ze zdumienia - to była Cordelia, pani magnetyzerka, znał ją przecież doskonale, lubił ją, wycinał dla niej gwiazdy ze szkła, i naraz ujrzał ją przed sobą jako świadka. Półgłosem przekazał informację sąsiadowi, jednemu z piekarzy: „To magnetyzerka”.

Inspektor Rivers spostrzegł, że panna Preston wciąż ma twarz barwy popiołu, lecz - uspokojona, jakby pod działaniem czarów - panuje obecnie nad tym, co tak okropnie ją dręczy. *Jest tu jakaś tajemnica, której nie rozumiem: ona w niczym nie przypomina ludzi od pani Fortune.* Wytwornie i z wdziękiem zbliżyła się do krzesła dla świadków; zwrócił uwagę na smukłą talię, niezwykłą u kobiety w jej wieku; przyłapał się na tym, odwrócił wzrok zawstydzony. Nie wiadomo dlaczego spodziewał się, że będzie w żałobie: „widział jej rozpacz”. Ubrała się jednak nie w czerń, lecz w ciemną zieleń, a na ramiona narzuciła jasnozielony szal, który podkreślał jej delikatne rysy, wydatne kości policzkowe, białe pasmo włosów. Inspektorowi sprawiało przyjemność patrzeć na nią, uświadomił sobie, że serce bije mu mocniej pod płaszczem. Spostrzegł z przerażeniem, jak dziennikarze pochylają się z zaciekawieniem. Kobieta - na to właśnie liczyli, to będzie wiadomość.

Kiedy panna Preston podała swoje nazwisko i przysięgła mówić prawdę swoim pięknym głosem, pan Tunks rozpoczął przesłuchanie w uprzejmej manierze, jakby on także z przyjemnością widział w swoim sądzie atrakcyjną kobietę na zakończenie długiego dnia przesłuchań.

Wiedzieli również o obawach inspektora Riversa, że wezwanie przed sąd panny Preston, najprawdopodobniej niemającej nic wspólnego ze sprawą, może się obrócić przeciw niej; wbił sobie do głowy, by na tym etapie postępowania chronić ją na wszelkie sposoby. Gdyby jednakże odmówiła odpowiedzi na pytania dotyczące nocy morderstwa (inspektor poruszył z nim także tę sprawę), to zupełnie co innego.

- Panno Preston, jak mniemam, znała pani zmarłego, lorda Morgana Ellisa.
- Tak.
- Mniemam również, że spotkała się z nim pani w wieczór jego zabójstwa.
- Tak, na krótko.

Mówiła zdecydowanie, jakby przecwiczyła swoje kwestie, i jest pewna siebie, uznał Tunks.

Rivers przelotnie zerknął na lady Rozamundę Ellis. Wpatrywała się w pannę Preston, lecz twarz miała całkowicie pozbawioną wyrazu. A potem, co dziwne, dokładnie w tej samej chwili, panna Preston także spojrzała przez salę na lady Rozamundę; na ułamek sekundy ich oczy się spotkały, inspektor to zauważył. *One coś wiedzą*. Nie potrafił jednak nazwać tego, czego był świadkiem.

- Czy lord Ellis przybył do pani domu?

- Tak, sir.

Sir Francis Willoughby zerwał się nagle z miejsca.

- Jak miemam, mieszka pani bardzo blisko Bloomsbury Square, sceny tej okropnej zbrodni, w domu, gdzie prowadzi pani swój... swój mesmerystyczny interes?

Sprawił, że słowa *mesmerystyczny* i *interes* zabrzmiały dwuznacznie: po sali poniosł się szmer zdumionych, podnieconych głosów.

Sir Francis Willoughby nie przekroczył prawa, podczas dochodzenia koronerskiego każdy miał prawo zadawać pytania świadkowi. Lecz pan Tunks był wściekły: sir Francis celowo postawił kobietę w niekorzystnej pozycji, zanim jeszcze przesłuchanie zaczęło się na dobre.

- Być może moglibyśmy ustalić najpierw pewne istotne fakty na temat nocy zabójstwa, milordzie - rzucił lodowato.

Sir Francis skłonił się lekko i usiadł. Lecz szkoda została wyrządzona, Cordeię Preston stosownie napiętnowano. Przysięgli zapomnieli o głodzie i pragnieniu. „Mówiłem ci”, mruknął Joseph Mauley do piekarza. Dziennikarze notowali jak szaleni; twarz i łysina wysłannika „Globe'u” poczerwieniały silnie z przejęcia, gdy łamał sobie głowę nad tym, jak się pisze słowo „mesmeryzm”.

Pan Tunks ciągnął dalej, gotując się ze złości, zapomniawszy na chwilę o honorach i królewskiej emeryturze: to było jego dochodzenie. Zwrócił się nawet plecami do znamienitego doradcy rodziny monarszej i podjął przesłuchanie:

- Panno Preston, czy znała pani lorda Ellisa od dawna? Wszyscy obecni nachyliłi się z uwagą, w sali zapanowała zupełna cisza. A potem padła odpowiedź:

- Znałam go jako młoda kobieta. Lecz nie widziałam go przez wiele lat, aż do... aż do dnia jego śmierci.

- O której godzinie lord Ellis przybył do pani domu?

- Nieco po dziewiątej wieczorem.

- I jak długo został?

- Niespełna pół godziny.

- Oczekiwała go pani? Milczała chwilę.

- Nie oczekiwałam go właśnie wtedy. Lecz miałam do niego pewną sprawę, którą musieliśmy omówić.

- Ach. - Współpracowała; pan Tunks starał się, by jego następne pytanie zabrzmiało rozważnie i uprzejmie, lecz musiał je zadać: -A jakaż to była sprawa, którą przyszedł omówić?

Odpowiadając, Cordelia pozostała nieruchoma i spokojna, wytworna i opanowana. Teraz lekko musnęła zielony szal, światło stojącej za nią lampy padło na jasnozielony materiał, tak że zaśnił na tle ciemniejszej sukni. Rivers przełknął nerwowo ślinę. *Wygląda tak pięknie. Musi odpowiedzieć.*

I panna Preston odpowiedziała, bardzo stanowczo.

- Sprawa między mną i lordem Ellisem miała charakter prywatny, sir.

- Panno Preston. - Koroner odkaszlnął. - Musi pani wiedzieć, że biorąc pod uwagę okoliczności, sprawa owa stała się publiczna, chodzi bowiem o morderstwo i musimy zrozumieć, co się wydarzyło. Co to była za sprawa? - Spróbował ułatwić jej odpowiedź (żonie jego kuzyna mesmeryzm bardzo pomógł). - Czy chciał skorzystać z pani usług jako magnetyzerki?

- Nigdy nie rozmawiam o moich klientach.

- Muszę zapytać ponownie, panno Preston. Na czym polegała sprawa między panią i lordem Ellisem?

- Odmawiam odpowiedzi.

Po sali niósł się teraz nieuchwytny pomruk, niosący aluzję do spraw, o jakich się nie mówi: seksu, lubieżności, odrażających praktyk. Pan Tunks go dosłyszał. Przesłuchanie nabrało tempa.

- Czy widziała go pani, jak wychodził z jej domu?

- Oczywiście.

- Czy spotkała go jeszcze potem? -Nie.

- Czy pozostała pani w domu? - Wiedział naturalnie od inspektora Riversa, że nie.

- Nie. Miałam ochotę się przejść.

- W nocy?

- W nocy.

- Dokąd przeszła się pani w nocy?

- Poszłam na Drury Lane.

- Z pewnością to niebezpieczne, by kobieta spacerowała samotnie nocą po Londynie. Z pewnością nie była pani sama.

Nie odpowiedziała, nie wspomniała o pożytkach z żelazka na duszę.

- Dokąd się pani udała?

Musiała odpowiedzieć. I tak się dowiedzą.

- Poszłam do klubu pani Fortune przy Cock Pit-lane.

W części sali, gdzie siedzieli dziennikarze, dało się nagle zauważyć poruszenie, rozległy się szepty: „Czyżby... czy możliwe, że spotkało ich to wielkie szczęście i kobieta nazywająca siebie magnety-zerką okaże się dawną aktorką?”. Oczywiście (jak wszyscy dziennikarze) znali klub pani Fortune. Pan Tunks nie dał im jednak dalszej satysfakcji. Raz jeszcze zaprezentowano sztylet.

- Nigdy go nie widziałam - oznajmiła. Koroner wrócił do poprzedniego tematu.

- Raz jeszcze muszę spytać, panno Preston... i zapewniam, że to dla pani dobra... jaką sprawę miała pani z lordem Ellisem do omówienia w noc morderstwa? Jak się zdaje, była pani jedną z ostatnich osób, które go widziały wśród żywych. Przez wzgląd na niego... i jak wspomniałem, na siebie samą... jest rzeczą konieczną, by pani odpowiedziała.

I znowu inspektor poczuł, że serce bije mu jakoś dziwnie, lecz pohamował odruch i nie nachylił się w przód jak wszyscy pozostali, podnieceni i wyczekujący.

Panna Preston nie zaspokoiliła ich ciekawości. Zielony szal błysnął. Stała zupełnie nieruchomo, blada i spokojna, przed koronerem w sali na piętrze. Cisza przeciągała się w nieskończoność. Na koniec kobieta przemówiła:

- Jak mniemam, nie jestem oskarżoną, lecz świadkiem składającym zeznanie w związku ze śmiercią lorda Ellisa. Rozumiem, wie pan o wizycie lorda Ellisa w moim domu, tylko dlatego że otrzymał pan anonimowy list. - Usłyszała zdumione westchnienie, które rozległo się w sali, lecz ciągnęła dalej. - Nie próbowałam ukryć faktu, że mnie odwiedził, choć bez trudu mogłam to zrobić. Przyszedł się ze mną spotkać, po czym wyszedł. Oto moje zeznanie. - Zielony szal połyskiwał. Panna Preston była nieugięta. - Nie mam nic więcej do dodania.

Sir Francis Willoughby zrobił ruch, jakby chciał wstać znowu; koroner, uprzedzając go, zerwał się szybko pierwszy.

- To ja za sprawą przysługującej mi władzy decyduję o wszystkim, co się tu dzieje - oznajmił.

Zwracał się do świadka, lecz dla inspektora Riversa było oczywiste, że mówi także do wyższego rangą kolegi po fachu.

- Panno Preston, odraczam dochodzenie do jutrzejszego ranka. Będzie się pani miała czas namyślić nad moimi słowami. Jutro zostanie pani wezwana ponownie do złożenia zeznań i odpowie na moje pytania lub też zostanie aresztowana przez moich pomocników za lekceważenie poleceń sądu. - Następnie z wielką uprzejmością zwrócił się do przysięgłych: - Dziękuję panom za cierpliwość w ciągu tego długiego dnia.

Skinął na pomocnika, który natychmiast zaintonował donośnie:

- Wszelkie osoby, mające obowiązek do wypełnienia w niniejszym sądzie koronera królowej dla niniejszej parafii, mogą się teraz rozejść i mają się stawić znowu jutro, to jest w czwartek, punktualnie o dziesiątej przed południem. Boże, chroń królową!

Panna Preston i panna Spoons zniknęły w mroku, niezatrzymane przez nikogo, nieznane - jeszcze - pospólstwu.

Około dziesiątej wieczorem tego dnia inspektor Rivers, wbrew temu, co podpowiadał rozsądek, raz jeszcze zastukał kołatką, a następnie pociągnął sznur dzwonka w domu przy Bedford Place i usłyszał znowu jego echo we wnętrzu. Drzwi otwarła pokojówka i najwyraźniej chciała zatrzaskać je z powrotem, lecz Rivers - o wiele od niej szybszy - był już w środku. W głębi korytarza mignęła spódnica, drzwi pokoju się zamknęły.

A potem pojawił się cudzoziemiec, monsieur Roland, z lampą.

- Niech pan wejdzie - zwrócił się do inspektora i obaj przeszli do przestronnego salonu ze szklanymi gwiazdami. Białowłosy starzec gestem polecił mu usiąść, sam zajął miejsce naprzeciw. - Jest bardzo źle? - zapytał.

- Obawiam się, że tak - odparł inspektor.

- Ona nie może mówić. Ma bardzo ważne powody.

- Monsieur, jest pan człowiekiem światowym. Wszystko potoczyło się właśnie tak, jak przewidywałem. Rano we wszystkich gazetach i groszowych pismach będzie można przeczytać, że magnetyzerka odmówiła zeznań w dochodzeniu, już teraz cieszącym się złą sławą. Magnetyzerka, która... gazety potwierdzą to i ogłoszą wielkim drukiem. .. była niegdyś aktorką. Nie rozumieją państwo tych spraw tak dobrze jak ja... oskarżają o morderstwo i złamią jej życie, choćby była najniewinniejszą kobietą w Londynie! Dziś wieczorem u pani Fortune będzie się roiło od dziennikarzy.

Monsieur Roland siedział całkowicie nieruchomo, namyślając się. Jego białe włosy lśniły w blasku lampy. Inspektor mimo woli lekko się odprężył, jak gdyby mógł się zdać na mądrość Francuza.

- Diukowi Lłanefydd towarzyszy dżentelmen, prawnik. Czy panie Preston wolno się stawić z doradcą?

- To mogłoby sprawiać wrażenie, że jest już oskarżoną.

- Nieważne. - ~~Słuch~~ znowu pogрузzył się w milczeniu. Potem powtórzył: - Ona nie może mówić. Dlatego prawnik pomógłby przynajmniej odeprzeć co bardziej nastliwe lub niemające związku ze sprawą pytania. I reprezentować jej interesy.

- Oczywiście. Ale koroner musiałby się zgodzić. Z racji okoliczności decyzja należy wyłącznie do niego.

- Wyjdę z panem - oznajmił Francuz i udał się na korytarz po kapelusz.

21

Ulotki i tanie gazety pojawiły się o pierwszym brzasku; drukarze znowu nie spali całą noc - umieli poznać, kiedy trafia im się żyła złota. Jedną z publikacji - farba drukarska była jeszcze wilgotna - ozdobiono przedziwnym drzeworytem, opublikowanym ostatnio z okazji procesu pewnej obłąkanej; była to niezdarna podobizna grubej kobiety o długich, powiewających włosach i wytrzeszczonymi oczyma, wymachującej nożem.

Zły urok nań rzuciła oczami płomiennymi I wnet go przywabiła do grzechu w tej jaskini. Magiczne swoje sztuczki tam nad nim odprawiała, Nawet gdy jego dusza już uchodziła z ciała. Ten morduje siekierą, inny zaś nóż przekłada, A może to mesmeryzm ciosy śmiertelne zadał?

Nawet Regina, królowa brukowców, poczuła się tym głęboko urażona. Kiedy pokojówka Nelly, wymknąwszy się wczesnym rankiem, przyniosła groszowe pi-semka, Regina przejrzała je i ukryła pod materacem (gdzie przechowywała liczne przedmioty), by Rillie i Cor-delia ich nie zobaczyły. Pani Spoons, jakby wyczuwając nieuchwytnie wibracje, wpadła nagle w wielką złość, rozrzucała karty po całym domu i nie pozwoliła córce, by ją ubrała. Monsieur Roland z bardzo po-

ważnym wyrazem twarzy zjawił się w domu w Bloomsbury, przynosząc „Timesa”. „Times” nigdy nie był tak wulgarny, by używać wielkich tytułów, lecz pod nagłówkiem SĄD KORONERA mniejsze litery głosiły:

Magnetyzerka, aktorka - ostatnią osobą, która widziała lorda El-lisa wśród żywych?

Przed pubem Pod Kotwicą zgromadził się tłum w nadziei ujżenia złowrogiej damy.

Zaledwie treść prasowych nagłówków dotarła do wiadomości publicznej, najrozmaitsi przedstawiciele wszelkich klas zaczęli napływać Pod Kotwicę, pragnąc złożyć zeznania; pan Tunks wezwał już aktora pana George'a Tryfonta, lecz wkrótce się okazało, że pragną wystąpić także inni; wciąż ktoś się domagał widzenia z koronerem: ten w bardzo krótkim czasie musiał rozstrzygnąć, kto może mieć istotne informacje. Zaofiarowała się zeznawać panna Spoons, współpracowniczka w interesach panny Preston. Dla pana Tunksa najbardziej podniecający okazał się fakt, że jedną z osób pragnących wystąpić i utrzymujących, iż mają coś do powiedzenia w sprawie, jest siostra sir Francisa Willoughby'ego; nie dała się od tego odwieść nawet bratu (koroner słyszał podniesione głosy w korytarzu wiodącym do zatłoczonej sali na piętrze). Rozmaici doktorzy, przyciągnięci rozgłosem i w nadziei na zadanie śmiertelnego ciosu mesmerystom, tej niebezpiecznej sekcji, wyklócali się w drzwiach z konstabłem Forrestem, upierając się, że mają prawo uczestniczyć w przesłuchaniach. Szczerze mówiąc, wszystko to było bardzo odległe od atmosfery spokoju, jakiej życzyłby sobie koroner.

Kiedy wreszcie sąd zwołano ponownie, inspektor Rivers ujrzał z pewną ulgą, że panna Preston siedzi już bezpiecznie w sali w towarzystwie prawnika. Panna Spoons ulokowała się nieco dalej w głębi, monsieur Roland zaś zajął skromne miejsce pod oknem. Gdy pan Tunks ponownie wezwał pannę Preston do złożenia zeznań, kobieta - tym razem w innym, błękitnym szalu na ramionach - pozostała na miejscu; jak zostało uzgodnione ubiegłego wieczoru, podniósł się prawnik. Francuz i koroner zawarli kompromis: pannie Preston wolno będzie nająć doradcę wyszukanego przez monsieur Rolanda, jedynie w wypadku jeśli gazety wypaczą złożone do tej pory zeznania. „To ja zadecyduję, czy doszło do zniekształcenia faktów” -ostrzegł koroner.

Nowy prawnik wymachiwał plikiem gazet.

- Sir - zwrócił się do pana Tunksa - moja klientka, panna Preston, występuje w niniejszej sprawie za ledwie jako świadek, a tymczasem nagłówki nie wspominają o nikim innym. Uważam, że jej prywatność została już naruszona w stopniu wykraczającym poza wszelkie rozsądne granice - znowu machnął gazetami, w tym ulotką z sensacyjnym drzeworytem - mimo słów ostrzeżenia, udzielonych przez pana prasie za ledwie wczoraj. Poinformowałem moją klientkę, że nie musi odpowiadać, o ile nie uzna, że pytania jej zadane mają bezpośredni związek z morderstwem.

Od strony towarzystwa skupionego wokół diuka JJannefydd dobiegł głośny gniewny pomruk. Inspektor wstrzymał oddech: czy pan Tunks spełni swój obowiązek, czy też ugnie się wobec arystokratów? Koroner stanął na wysokości zadania.

- Nie jest to całkowicie zgodne z prawdą - zwrócił się surowo do prawnika. - Panna Preston w istocie musi odpowiedzieć na wszelkie zadane jej pytania, podobnie jak pozostali świadkowie. Nie można jej z tego zwolnić. Podczas niniejszego dochodzenia staramy się jedynie dotrzeć do prawdy, uzyskać prawdziwe odpowiedzi również w kwestiach, które w chwili obecnej mogą się wydawać bez związku ze sprawą, lecz niewykluczone, że z czasem okażą się rzeczami wielkiej wagi. To nie pan i nie panna Preston, lecz ja, i tylko ja, będę decydował, czy mają one związek z dochodzeniem. Jednakowoż...

Popatrzył nieżyczliwie na dżentelmenów z prasy. Dziennikarze przybrali odpowiednio pokorny wygląd, w żadnych okolicznościach nie znieśliby wykluczenia z tak sensacyjnej sprawy.

- Powiedzą panowie, że nie ponoszą odpowiedzialności za groszowe pisemka. Odpowiem, że czerpią one materiał z panów doniesień i uważam, że także opublikowane przez panów tytuły były niestosowne. Obciążę wysoką grzywną następną gazetę, która moim zdaniem wykroczy poza relacjonowanie dochodzenia.

Inspektor czekał.

- W obecnej chwili - ciągnął dalej koroner - ze względu na okoliczności zawezwę przed panną Preston innych świadków, twierdzą bowiem, iż mają do zakomunikowania rzeczy związane z jej zeznaniami. - Rivers wypuścił wreszcie powietrze. - Pierwszą wzywam pannę Amaryllis Spoons.

Inspektor skonstatował, jak solidnie prezentuje się towarzyszka panny Preston. Była godna szacunku, uprzejma, elegancka, budziła zaufanie i członkom rady

przysięgłych oraz słuchaczom na zatłoczonej sali nie umknęło, że mimo zaawansowanego wieku ma w sobie odrobinę podobieństwa do Jej Wysokości, królowej Wiktorii (lub może matki Jej Wysokości).

Odpowiadała uprzejmie i jasno: mieszka w tym samym domu co panna Preston; zna ją od wielu lat; znała pobieżnie lorda Morgana Ellisa dawno lat temu, lecz nie widziała go ponownie aż do nocy, o której mowa.

- Jak rozumiem - zwrócił się do niej pan Tunks - jest pani współniczką w interesach panny Preston. Czy to się zgadza?

- Owszem.

Nastąpiło lekkie, niespokojne poruszenie; kobiety prowadzące interesy, to było trochę jak powóz ciągnący konie: sprzeczne z wyobrażeniami niemal wszystkich zebranych, bez względu na pochodzenie.

- Jak długo lord Ellis został w domu pań?

- Powiedziałaabym, że niespełna trzydzieści minut, wysoki sędzie. Pan Tunks lubił, gdy zwracano się do niego „wysoki sędzie”, choć określenie nie było całkiem poprawne.

- Osobiście odprowadziłam go do wyjścia.

- W jakim nastroju był lord Ellis, pani zdaniem? Uśmiechnęła się do koronera.

- Nie przyszłoby mi do głowy roztrząsać nastroje lorda Ellisa, wysoki sędzie. Lecz skłonił się z największą uprzejmością, po czym zamknęłam za nim drzwi.

- A potem wyszła panna Preston, sama? -Tak.

- Niepokoiła się pani o nią?

Jeśli ktoś potrafiłby powiedzieć zebranych o żelazkach i kamieniach w kieszeni oraz damach, które znają londyńskie ulice, lecz w żadnym wypadku nie są ulicznicami, to Rillie Spoons w swoim wytwornym kapeluszu.

- Doskonale znamy ulice w sąsiedztwie, wysoki sędzie. Przemieszkałyśmy przy nich całe życie. Ta część Londynu to nasza parafia.

Znowu jednak rozległ się szmer. Damy - prawdziwe damy - nie spacerują samotnie nocą. I tyle.

- Pani również zwykła odwiedzać klub pani Fortune? Inspektor Rivers wbił wzrok w podłogę. Panna Spoons musiała odpowiedzieć, nie mogła zataić tej informacji.

- Owszem. Kiedy pracowałyśmy jako aktorki, wizyty u pani Fortune stanowiły sposób dowiadywania się o pracę.

- Lecz panna Preston nie jest już aktorką. Nie potrzebuje szukać pracy.
- Cóż - odparła Rillie i uśmiechnęła się słodko do koronera - niekiedy to zabawne posłuchać o dawnych czasach.

Pan Tunks przetrwał tę informację z zakłopotaniem. *Zabawne?* Dziwne określenie, bez dwóch zdań.

- Czy widziała pani, kiedy panna Preston wróciła do domu?
- Owszem.
- Czy wydawała się wzburzona?
- W najmniejszym stopniu. Gawędziłyśmy o dawnych znajomych, którzy byli u pani Fortune tego wieczoru. Przekazała mi nowiny o nich.
- I nigdy więcej nie widziała pani lorda Morgana Ellisa?
- Nigdy.

Już miała opuścić miejsce dla świadków, lecz koroner jeszcze nie skończył.

- Panno Spoons, czy wie pani, czemu lord Ellis przyszedł się zobaczyć z panną Preston?

Na chwilę zapadła absolutna cisza; Rillie zawahała się, po czym zwróciła się znów twarzą do niego.

- Nie mam pojęcia, wysoki sędzie. Drzwi pokoju, w którym rozmawiali, były zamknięte.

Pan Tunks westchnął.

- Dziękuję, panno Spoons.

Gdy wywołano nazwisko kolejnego świadka, rozległ się podniecony gwar, nie dlatego jednak, by publiczność wiedziała, że to siostra sir Francisa Willoughby'ego, lecz ponieważ pojawiła się niespodziewanie kolejna przedstawicielka arystokracji. Inspektor Rivers spostrzegł, że panna Preston wygląda na zaskoczoną widokiem przybyłej.

Diuszesa Ardeny, lady Alicja Taverner, była wysoka, bardzo szczupła i budziła wielki szacunek. Bez sprzeciwu złożyła przysięgę (choć przez własnych przodków i małżeństwo z diukiem Ardeny była bez wątpienia równie utytułowana jak diuk Llanefydd) i czystym głosem odpowiadała na pytania.

- Czy jaśnie pani znała zmarłego?
- Znałam. - Nie dodała nic więcej; odwróciła wzrok od lady Ro-zamundy i diuka.
- Jak jaśnie pani wie, był to człowiek szlachetny i znany ze zbożnych dzieł.

- Owszem. - Możliwe, że ton jej głosu sugerował niewyrażoną wprost dezaprobatę.

Pan Tunks odkaszlnął nerwowo. *O co tu chodzi?*

- Stawiła się pani tutaj, bowiem wie o czymś mającym związek z jego śmiercią?

- Nie... prócz jednej rzeczy.

- Czego mianowicie?

- Z tego, co przeczytałam w gazetach dzisiejszego ranka, wnoszę, że kobieta, którą odwiedził w wieczór morderstwa, została powiązana z jego śmiercią tylko dlatego, że praktykuje mesmeryzm -bez żadnego innego powodu.

Pan Tunks zachował powagę.

- To niefortunne, że połączono te sprawy, muszę bowiem powtórzyć raz jeszcze - znowu spojrział na dziennikarzy - iż z zeznań, które usłyszeliśmy w tym sądzie, nie wynika, by mesmeryzm odgrywał jakąś rolę w sprawie.

- Bardzo się cieszę, że to słyszę. I choć mój brat - spokojnie skłoniła się sir Francisowi Willoughby'emu (w sali rozległy się zdumione westchnienia) - się ze mną nie zgadza, wierzę, że mesmeryzm to siła o dobrym, nie zaś złym działaniu.

(Z różnych miejsc sali dobiegły szmery; gniewne, nieco głośniejsze od strony, gdzie siedziało kilku lekarzy, nie to przyszli usłyszeć).

- Nic nie wiem o śmierci lorda Ellisa, ponieważ jednak czytelnicy gazet, zapoznając się z przebiegiem niniejszego dochodzenia, są świadkami oczerniania panny Preston w związku z jej pracą magne-tyzerki - (pan Tunks poczuł przyganę) - stawiałam się tutaj, by się wypowiedzieć w jej obronie.

Nie baczyła na wyraz przerażenia na twarzy brata. Sir Francis Willoughby, mocno zażenowany, szarpnął halsztuk, patrząc wszędzie, tylko nie na siostrę.

- Jaśnie pani - odparł koroner, próbując odzyskać pozycję - jestem niezwykle wdzięczny za zgłoszenie się i tuszę, iż obecni panowie z prasy - znów rzucił im gniewne spojrzenie - wezmą sobie głęboko do serca jej słowa. Jeśli mogę spytać, czy jaśnie pani zna pannę Preston osobiście, czy też wypowiada się w sensie ogólnym?

| Diuszesa popatrzyła przelotnie na Cordelię, po czym znowu zwróciła wzrok na koronera.

- Znam ją i wiem co nieco o jej pracy.

- Proszę więc to wyjaśnić sądowi.

Lady Alicja Taverner, diuszesa Ardeny, mówiła bardzo jasno i zwięźle.

- Jakiś czas temu musiałam się poddać bardzo poważnej operacji. Cierpiałam na raka. Musiano - zawahała się jedynie moment - amputować mi pierś.

Nie zwróciła najmniejszej uwagi na westchnienia zaszokowanej publiczności. Naprawdę powiedziała „pierś”?

- Operacja jest niezwykle bolesna i doktorzy nie mogą lub nie chcą złagodzić cierpień, trzeba więc szukać pomocy samemu.

Lekarze spoglądali gniewnie, lecz przysięgli nachylili się z uwagą: który z nich nie słyszał w swoim życiu krzyków dobiegających ze szpitalnego oddziału, gdzie operowali chirurdzy?

- Dowiedziałam się o umiejętnościach panny Preston i wezwałam ją do szpitala. Nie ogłaszała się, nie narzucała mnie ani nikomu, kogo znam, po prostu o niej usłyszałam.

Lady Alicja na jedną chwilę spuściła wzrok na dłonie w rękawiczkach, po czym spojrzała wprost na przysięgłych. Wszystkich siedemnastu mężczyzn wpatrywało się w nią: niektórzy wstrząśnięci, niektórzy z przerażeniem, niektórzy z podziwem. Słysząc było jedynie skrzyp pióra, gdy pan Tunks notował bez chwili przerwy.

- Panna Preston zmesmeryzowała mnie przed operacją i została ze mną przez cały czas jej trwania. Pamiętam chwile wielkiego bólu, a potem to, jak przesuwała dłońmi nad moim ciałem. Jestem przekonana, że przetrwałam większą część operacji w swego rodzaju transie. Dopiero wiele miesięcy później, po wyzdrowieniu, uświadomiłam sobie, że w żadnym momencie nie zostałam poproszona o zapłacenie za usługi panny Preston. To utalentowana i profesjonalna magnetyzerka, nie mogłam więc zlekceważyć kalumni, jakimi ją obrzucono w gazetach dziś rano, skoro czuję dla niej ogromną wdzięczność za nieocenioną pomoc.

Odwróciła się, jakby chciała opuścić sąd: jeden z członków rady przysięgłych, szklarz Joseph Manley, przywołał ją z powrotem.

- Jaśnie pani. - Obejrzała się. - Jaśnie pani, proszę o wybaczenie, ale... jakie to uczucie, ten... mesmeryzm? To znaczy, jak to działa?

Zamarła bez ruchu na krótką chwilę, po czym wyjaśniła:

- To... coś jakby gorąco. Czuję, jak gdy by jakaś... siłaczy energia drugiej osoby wspierała mnie czy też uwalniała od bólu, nie jestem zupełnie pewna. - Spojrzała prosto na Cordelię. - Dziękuję, panno Preston - powiedziała. - Mam nadzieję, że uzna to pani za rodzaj zapłaty. - I uśmiechnęła się krótko.

Następnie lady Alicja Taverner, diuszesa Ardeny, wyszła jak gdyby nigdy nic, nie czekając niczyjego pozwolenia. Drzwi się otwarły, do środka wdarł się gwar głosów i zapach ciemnego piwa; następnie się zamknęły i odgłosy oraz wonie zniknęły. Sir Francis Willoughby nie patrzył na swoich klientów; otarł pot z czoła: wyobrażał sobie, jakie szkody ten okropny rozgłos przyniesie jego rodzinie: wspomniała o piersi na sali pełnej mężczyzn; co sobie wyobraża diuk, jej mąż, że na to pozwala? Nie przyszło mu do głowy, iż sam powiadomił świat

o umiejętnościach panny Preston i tym samym sprowadził na salę sądową swoją siostrę, by wspomniała publicznie stanowiącą tabu część ciała.

Został wezwany następny świadek, czekający na zewnątrz z największą niecierpliwością. Miał na sobie czarną aksamitną opończę

1 krzykliwy purpurowy halsztuk, nerwowo otrząsał krople deszczu z okrycia; okropna pogoda. Złożył przysięgę i podał swój zawód: pan George Tryfont, aktor.

Koroner rozpoczął.

- Panie Tryfont, czy widział pan pannę Preston rzezonej nocy?

Pan Tryfont rozpoczął przedstawienie. Mówił, jak gdyby występował w teatrze; jego głos dobiegał do każdego kąta zatłoczonej sali.

- Znam pannę Preston od wielu lat. Jak panu wiadomo, jest ona, a przynajmniej była, aktorką i w przeszłości razem objeżdżaliśmy kraj z wieloma godnymi wzmianki inscenizacjami, w tym z przedstawieniem, przed kilkunastoma laty, pewnej szekspirowskiej tragedii, w której grałem główną rolę. Nie odważę się podać jej tytułów z obawy przed sprowadzeniem na nasze głowy pecha, lecz wielu z państwa, bez wątpienia obznajomionych z wierzeniami i przesadami aktorskiego fachu, będzie wiedziało, o jaką sztukę chodzi.

Większość przysięgłych patrzyła na niego bez wyrazu.

- „Makbet” - wyjaśnił pan Joseph Manley, szklarz, scenicznym szeptem.
- Chodzi mu o „Makbeta”, głupiemu aktorzyźnie.

Pan Tunks postukał piórem o blat biurka.

- Rzezony wieczór, panie Tryfont, jeśli pan łaskaw.

- Rzezonego wieczoru pokrzepiałem się spokojnie alkoholem w klubie pani Fortune przy Drury Lane, dobrze znanym miejscu spotkań członków mojej profesji, które ostatnio, i bez wątpienia niezasłużenie, zyskało niezbyt pochlebną

markę jedynie dlatego, że pewną nieszczęsną młodą damę widziano tam ostatni raz żywą, a następnie znaleziono martwą w okolicy...

- Dziękuję, panie Tryfont, próbujemy jedynie ustalić, czy panna Preston widziała się z panem rzeczonym wieczoru.

- Do tego zmierzam - odparł nieco wyniośle. - Przedstawiłem państwu tło wydarzeń, to wszystko.

- Czy panna Preston przyszła do pani Fortune rzeczonym wieczoru?

- Z całą pewnością tam była i... pani Fortune wspomniała, że bez wątpienia spyta pan o ubranie... miała na sobie zachwycającą jasno-błękitną suknię; spędziliśmy razem nieco czasu, gawędząc o wspomnianej wcześniej inscenizacji tudzież najęciu słonia, stanowiącym dowód tego, jak nisko upadło kierownictwo, pragnąc rozbawić nieokrzesaną publiczność, tudzież jak daleko potrafiło się posunąć... mówimy tu o Szekspirze, wysoki sędzie, i...

- O której przyszła panna Preston?

- Przypadkiem znam dokładną odpowiedź na to pytanie: było tuż po dziesiątej wieczorem, sam właśnie przybyłem po występie w teatrze. - Czekał. - Strand Theatre, na wypadek gdyby to pana ciekawiło. Występuję tam. - Nie wspomniał, że jego rola to siedem linijek tekstu. - Gram w sztuce „Śmiertelnicy się dowiedzą”.

- Jak długo panna Preston pozostała w klubie?

- Rozmawialiśmy dłuższy czas, chyba jakieś dwie godziny. Tak, jestem pewien, że nie wyszła przed dwunastą, miałem jej bowiem wiele do powiedzenia. Było po północy, gdy go opuszczaliśmy, pamiętam, bo poczułem głód i postanowiłem odwiedzić inny klub, gdzie serwują potrawy bardziej... w moim guście. Szliśmy w stronę Hol-born, dokąd zamierzałem się udać, i rozstaliśmy się przy Great Russell Street.

- Czy panna Preston wydawała się może wzburzona?

- Z powodu słonia?

Rillie Spoons posłała przez salę szybki, nieznaczny uśmiech pannie Preston, która - inspektor Rivers to zauważył - odpowiedziała uśmiechem.

- Z jakiegoś konkretnego powodu - uściślił pan Tunks. Aktor wyglądał na zakłopotanego.

- Czy mówiła o jakichś trudnościach, zdawała się wytrącona z równowagi?

- Wytrącona z równowagi? Nie. Nie zauważyłem.

- Czyjej strój był w nieładzie? Jej jasnobłękitna suknia?

- Z całą pewnością nie. Z wielkim zaciekawieniem słuchała mojej opowieści. - Pochwycił cichy chichot, który przemknął po sali. Zarzucił na ramię aksamitną pelerynę. - Jestem aktorem głównym - oznajmił dotknięty.

- Dziękuję, panie Tryfont - odezwał się koroner.

- To wszystko?

- Potwierdził pan, że panna Preston była z panem około dziesiątej wieczorem w noc morderstwa i że rozstaliście się dopiero po północy. Dziękuję. To wszystko.

- Ciekawe, skąd wytrzasnął tę damską apaszkę? - rzucił ktoś na tyle głośno, by pan Tryfont usłyszał.

Aktor opuścił zamaszycie salę sądową z urazą wypisaną na twarzy.

Kiedy panna Preston i panna Spoons zobaczyły wchodzącego następnego świadka, na ułamek sekundy spojrzały sobie w oczy z przerażeniem: inspektor Rivers to zauważył.

- Panna Lucinda Choodle - zawołał urzędnik koronera.

Panna Lucinda Choodle, inaczej niż diuszesa Ardena, nie podeszła spokojnie do stanowiska dla świadków. Z wyniosłym „przepraszam” przeciskała się wśród zebranych na sali, co raz to poprawiając kapelusz jedną ręką; spódnice zebrała w drugą. Zanim zwróciła się do koronera, spojrzała prosto na Cordelię.

- Panna Lucinda Choodle z Paddington - przedstawiła się, składając przysięgę.

- Panno Choodle, co jest powodem pani stawienia się tutaj dzisiejszego ranka?

- Mam ważne zeznanie.

- Dotyczące śmierci lorda Morgana Ellisa?

- Dotyczące podejrzanej, panny Cordelii Preston, dawniej nazywającej siebie panią du Pont.

Pan Tunks dał upust swojemu oburzeniu.

- Panno Choodle, to dochodzenie koronera, nie sąd karny Old Bailey. Zbieramy dowody jedynie po to, by ustalić fakty w sprawie śmierci lorda Morgana Ellisa. Panna Cordelia Preston jest w chwili obecnej świadkiem w tej sprawie i nikim więcej. - Przeniósł surowy wzrok na dziennikarzy. - Każdy, kto twierdzi inaczej, będzie przeze mnie oskarżony o potwarz lub pomówienie. Jedynie przysięgli decydują, kto jest podejrzany, a kto nie.

Panna Choodle nie dała się zbić z tropu i ciągnęła dalej, nim ją uciszą ponownie.

- Cóż, czytałam dzisiejsze gazety i mnie się ona wydaje podejrzaną. Panna Preston opowiada kłamstwa. Więc nie powinien pan wierzyć w jej zeznania.

Po sali przebiegł szmer.

- Panna Preston zniszczyła mi życie.

- W jaki sposób? - spytał koroner z kamienną twarzą.

- Panna Preston mieszkała dawniej w suterenie przy Little Russell Street. Nazywała siebie panią du Pont. Ogłaszała się z... jak to nazywała „poradami matrymonialnymi”.

- Nie była magnetyzerką?

- Twierdziła, że jest freno-magnetyzerką... to znaczy, tak twierdziła, tak napisała w ogłoszeniu. Ale przypilnowałam, żeby mnie nie freno-magnetyzowała!

- Po co się pani z nią spotkała?

- Chciałam... porady małżeńskiej. Usłyszałam o tej kobiecie. Ale zaczęła mi opowiadać odrażające rzeczy, kłamstwa, których nie powtórzę tutaj... ani nigdzie indziej.

Inspektor spostrzegł, że i Cordelia, i Rillie siedzą ze spuszczoneymi głowami.

- Oskarża pani pannę Preston o kłamstwo, panno Choodle. Obawiam się, że musi się pani wypowiadać nieco bardziej szczegółowo.

- Nie. Nie jestem świadkiem. Przyszłam tu jedynie po to, żeby mówić o panie Preston.

- To nie jest rozprawa dotycząca panny Preston.

- W gazetach pisali tylko o niej - odparła dość zuchwale. Pan Tunks przybrał niezwykle surowy wygląd.

- Powtarzam: niniejsza rozprawa dotyczy morderstwa lorda naszego królestwa i mogę panią oskarżyć o marnotrawienie czasu sądu.

- Nie wiem, co to jest „marnotrawienie”. Przyszłam, bo uważam to za swój publiczny obowiązek. Należy chronić młode dziewczęta przed panną Preston.

Inspektor Rivers pomyślał, że pan Tunks z pewnością powstrzyma teraz świadka. Koroner tego jednak nie uczynił.

- Czy zasięgała pani ostatnio porady panny Preston?

- Nie, powiedziałam już, to było, kiedy mieszkała w suterenie i nazywała się du Pont. Mówię o czymś, co się stało ponad trzy lata temu... ale złamało mi życie. Teraz muszę pracować jako guwernantka. A byłam zaręczona z cudownym

człowiekiem, lecz poszłam do panny Preston po poradę i naopowiadała mi takich... ohydnych rzeczy o moim... moim drogim narzeczonym... panu Johnie Forsycie, jeśli chce pan wiedzieć... i przez to, czego się nasłuchałam, rozchorowałam się poważnie.

Tu sir Francis Willoughby, który milczał od chwili wystąpienia swojej siostry, wstał nagle.

- Panno Choodle - powiedział bardzo szybko, nim koroner zdążył zaprotestować, lecz wielce uprzejmie - sądząc z pani nazwiska, zakładam, że ostatecznie nie poślubiła pani swego narzeczonego, pana... em... pana Forsytha.

Wyjęła białą chusteczkę.

- Nie poślubiłam. - Osuszyła oczy.

- Dlaczego tak się stało? - Sir Francis Willoughby, niezwykle bystry i doświadczony członek palestry, miał przeczucie, że na coś trafił, i nie zamierzał czekać beczynn timer do końca wywodów pana Tunksa.

- Mój narzeczon... gdy byłam chora... bo zachorowałam, widzi pan, panna Preston sprowadziła na mnie chorobę, a jak byłam chora, mój narzeczon - rozplakała się teraz na dobre - odszedł i ożenił się z inną. Jestem teraz... moje życie zostało złamane. - Zwróciła się do Cordelii. - Złamała mi pani życie! - krzyknęła i naraz rozszlochała się rozdzierająco.

Obecni w sądzie myśleli o tym smutnym losie, guwernantka - ostatnia ucieczka przyzwoitej niezamężnej damy. Koroner odzyskał panowanie nad sytuacją.

- Panno Choodle, twierdzi pani, że panna Preston opowiadała kłamstwa o pani narzeczonim?

- Tak.

- Czy go znała?

-Nie.

- Więc w jakim sensie kłamała? Wiedziała coś na jego temat?

- Nie powiem nic więcej.

- Panno Choodle... - Pan Tunks odchrząknął; łyzy podczas dochodzenia zawsze wytrącały go z równowagi. - Panno Choodle, nie może pani przychodzić na rozprawę i rzucać niczym niepopartych oskarżeń na czyjś temat. Coś takiego nazywa się pomówieniem i może prowadzić do pani aresztowania.

Krew dosłownie odpłynęła jej z twarzy.

- Mówi pan, że mogą mnie aresztować, bo spełniam swój publiczny obowiązek?

- Mówię, że musi pani dowieść swoich oskarżeń.
- Przyszłam sprawić dobro.
- Lecz w istocie wyrządza pani szkodę.

Panna Choodle wpadła w taką wściekłość, że zaczęła krzyczeć:

- Nie wyrządzam szkody, to ona szkodzi! Powiedziała, że mężczyźni robią kobietom różne rzeczy... obrzydliwe rzeczy. - Powiodła po sali dzikim wzrokiem. - Z ich ciałem. Że pan Forsyth będzie robił... brudne rzeczy z moim ciałem, to właśnie opowiada panna Preston młodemu, niewinnemu dziewczętom w ciemnym pokoju ze świecami!

Jeśli wstrząs, głębokie zażenowanie i odraza mogą się wyrazić hałasem, to taki właśnie hałas dał się teraz słyszeć w sali na piętrze. Pan Tunks dosłownie oblał się pąsem. To było niewybaczalne w miejscu publicznym. Obecni co do jednego czuli się zbulwersowani. Przysięgli chrząkali z oburzenia, dziennikarze notowali z czerwonymi twarzami. Oblicze diuka Llanefydd przybrało odcień purpury. Sir Francis Willoughby znowu wyjął swą wielką chustkę i otarł czoło: dochodzenie stawało się w najwyższym stopniu niestosowne i wymykało się spod kontroli, to nie do zniesienia. Drzwi, jak gdyby nawet one przeżyły wstrząs, otwały się nagle i doszła wszystkich fala hałasu, odór piwa. Konstabl Forrest zatrzaskał je pośpiesznie.

Inspektor Rivers, zarumieniony na twarzy, pochwycił spojrzenie wstrząśniętego i skonsternowanego monsieur Rolanda. Zmusił się, by się rozejrzeć po sali. Wszędzie widział oblicza pełne niechęci, dezaprobaty, odrazy. Gniewny deszcz zabębnił o dach pubu Pod Kotwicą, smagnał szyby. Rivers zrozumiał, że reputacja panny Preston poniosła nieodwracalny uszczerbek; nigdy się nie podniesie po tej haniebnej informacji, sprawa zabójstwa lorda Ellisa chwilowo zeszła na dalszy plan. Londyńskie towarzystwo, zapewniające jej utrzymanie, od tej pory będzie dla niej zamknięte, a najwyraźniej prócz starego Francuza nie miała żadnego mężczyzny, który by ją chronił. Mogła być najwspanialszą magnetyzerką na świecie, lecz słowa panny Choodle skalają ją na zawsze.

Była zrujnowana.

- Dziękuję, panno Choodle - odezwał się cicho pan Tunks. Lecz panna Cordelia Preston nagle wybuchła. Wstała, dygocząc z niepohamowanej furii, odepchnęła dłoń stojącego obok prawnika; kapelusz spadł jej z głowy, lecz tego nie zauważyła. Zrozumiała od razu, że jest zgubiona. Ze swego miejsca wyraźnie i ze złością przemówiła do panny Choodle:

- Panno Choodle, pamiętam doskonale, że cała nasza rozmowa zaczęła się od pani stwierdzenia, że jej narzeczony posiada pewne zniekształcenie. - Nie widziała przerażonej twarzy Rillie: *Przestań, Cor-die! Przestań!* - Zechce pani wyjaśnić sądowi, na czym polegało zniekształcenie pana Forsytha i jak powstało. Może to wyjaśni naturę pani dylematu i sprawi, że doniesienia o pani trafią do gazet obok kalumni na mój temat!

Panna Choodle udręczona uciekła, przytrzymując spódnice, z czerwoną twarzą i łzami zastygłymi na policzkach: konstabl Forrest szybko otworzył i zamknął drzwi. Deszcz łomotał o dach.

- Proszę tu podejść ponownie, panno Preston - odezwał się pan Tunks z powagą i Cordelia zbliżyła się do krzesła dla świadków, znowu strząsnąwszy powstrzymującą dłoń swego prawnika; zanim jej udzielono głosu, zwróciła się do sali, sypiąc iskry z oczu.

- Jestem świadkiem w sprawie morderstwa lorda Morgana Ellisa, którego nazwisko ledwie zostało wspomniane dzisiejszego ranka. Zamiast tego sąd wydaje się raczej zainteresowany zamordowaniem mojej reputacji. Nie pozwolę się zniszczyć takiej biednej, głupiej, nieszczęsnej dziewczynie jak panna Choodle. Nigdy nie sądziłam, że przyjdzie mi publicznie dyskutować o moich prywatnych sprawach i mojej pracy, lecz istotnie doradzałam młodym dziewczętom. W rzeczy samej stało się to znaczącą częścią mojej profesji, tak niebezpieczna jest ignorancja licznych panien z dobrych domów w kwestii stanu małżeńskiego. Nikt z nimi nie rozmawia o tych sprawach, nawet własne matki, zatem szkody wyrządzone tym młodym kobietom... oraz przy okazji młodym mężczyznom... są nieoszacowane!

To było, na swój sposób, wspaniałe. Mówiła o rzeczach niewymyślnych swoim pięknym głosem, włosy gdzieś wysunęły się jej ze szpilek, lecz jakimś sposobem zwiększało to tylko efekt. Wyglądała, zauważył inspektor Rivers, cudownie. Gdyby Rillie nie została niemal sparaliżowana strachem, widząc, jak ich starannie urządzone życie osuwa się na nie gwałtownie niczym lawina, mogłaby powiedzieć do siebie: *Otóż i dawna Cordie!*

Lecz obraza moralności była zbyt wielka. Cordelia spóźniła się ze swoim wspaniałym wystąpieniem. Była teraz tak odległa od ideału kobiecości, jaki każdy z mężczyzn obecnych na sali nosił w sercu, że choć w rzeczy samej dostrzegali jej wielkość, nie mogli odwrócić tego, co się stało. *To przecież aktorka*, myśleli w duchu. Nie chcieliby, aby ich żony i córki słyszały jej słowa. Współczu-

cie, podziw dla jej urody w pełnej męczyzn sali z obrazami łagodnych scen wiejskich, lampami i rzędem kapeluszy - zniknęły.

Cordelia oddychała ciężko, starając się opanować. Zwróciła się do koronera.

- To nie ma nic, zupełnie nic wspólnego ze śmiercią Ellisa. Błagam, niech pan dostrzeże, co się tu dzieje, i powstrzyma ataki na moją osobę.

- Panno Preston - odparł wyważonym, spokojnym tonem - jak mi się zdaje, nie ma pani nic więcej do stracenia. Jaka była pani sprawa z lordem Morganem Ellisem... czy też Ellisem, jak go pani właśnie dość familiarnie nazwała... w noc jego zabójstwa?

Opanowała się istic herkulesowym wysiłkiem. Wzięła głęboki oddech i spojrzała wprost na lady Rozamundę, wdowę i matkę młodej samobójczyni. Arystokratka, niczym posąg wykuty w marmurze, wytrzymała jej spojrzenie. Przez chwilę cisza panująca w sądzie wydawała się donośna niczym dźwięk. Słychać było deszcz.

- Nie odpowiem - odezwała się w końcu Cordelia.

Drzwi otwały się znowu i do środka wdarł się hałas. Pan Tunks z irytacją podniósł oczy - w samą porę, by ujrzeć dwie postacie, które wpadały do wnętrza, jakby je wystrzelono z armaty. Para bladych, rozczochranych młodych ludzi, najwyraźniej złapanych przez deszcz, stała w wejściu, ociekając wodą. Inspektor poderwał się zaniepokojony. Były to dzieci lorda Morgana Ellisa i lady Rozamundy; dziewczyna, jak się zdaje, miała na twarzy sińce. Chłopak ścisnął w dłoni wymięty, przemoczony egzemplarz „Timesa”. Oboje natychmiast zauważyli Cordelię składającą zeznania z włosami w gniewnym nieładzie, zobaczyli diuka Llanefydd i lady Rozamundę. Na mgnienie wszystko zamarło: tłum na sali, kapelusze przysięgłych na półce (jeden się nie zmieścił i leżał na gzymsie kominka obok zegara), lampy migoczące w przeciagu. A potem chłopak zamknął drzwi. Wszyscy spostrzegli, że utyka i raz po raz pociera kark.

- Tak? - spytał pan Tunks zbity z tropu, bo mimo zamieszania zauważył ich stroje, ich zachowanie; nie wiedział jeszcze, kim są, lecz niewątpliwie zaliczali się do arystokracji.

- Chcę złożyć zeznanie - oznajmił chłopiec wyraźnie, głosem załamującym się jak zawsze.

- Morgan!

Ostry głos lady Rozamundy przeciął powietrze. Ruszyła wśród krzeseł i ludzi - przejście otwierało się przed nią jakimś sposobem -w kierunku dzieci. Dotarła do

drzwi. Położyła rękę na ramieniu chłopca. Biała, upierścieniona dłoń odcinała się ostro na tle jego ciemnej, przemoczonej peleryny.

- Moje dzieci nie są w pełni władz umysłowych - zwróciła się sztywno do koronera - co jest całkowicie zrozumiałe w tych okolicznościach. Pan pozwoli, że ja stąd zabiorę.

Lecz Morgan wyrwał się jej, dosłownie uchwycił się ramienia konstabla Forresta.

- Muszę złożyć zeznanie - powtórzył głośno. - Ona chce mnie powstrzymać przed świadczeniem. Tu chodzi o mnie! - zawołał przez salę. - Wiem, czemu mój ojciec odwiedził Cordelię Preston, to dlatego, że ja wcześniej u niej byłem!

Przez ułamek sekundy panowało milczenie, po czym sala eksplodowała wrzawą: szurały krzesła, kartki papieru fruwały w powietrzu, chlustał atrament, książki spadały na podłogę - w głowach zebranych zaś wrzały pełne oburzenia myśli. Czyżby lubieżność i zepsucie tej kobiety sięgało dalej? Czyżby demoralizowała także młodych chłopców? Lamy migotały z niedowierzaniem, deszcz smagał okno; inspektor Rivers przesunął się do drzwi, kapelusz na gzymsie został strącony, a potem podeptany w ogólnym zamieszaniu. Zegar na kominku wskazywał za dwie minuty pierwszą. W tej właśnie chwili diuk Llanefydd spróbował się podnieść, lecz chwycił go atak. Szarpiąc halsztuk, osunął się bezwładnie w ramiona sir Francis Willoughby'ego, który nie zdoławszy utrzymać ciężaru, przewrócił się także, w sposób w najwyższym stopniu nieprzystojący człowiekowi jego pozycji.

Tego dnia Tamiza przybrała znacznie po ulewnym deszczu; woda przenikała zaułkami do Strandu, przez plac targowy Hungerford Market, a także smród błota kołyszącego się na falach końskiego nawozu, ludzkich odchodów, martwych kurcząt, chlorowanego wapna, kapusty i rdzy, unoszące się na powierzchni podarte gazety z wczorajszymi nowinami.

Historia stanowiąca materiał na nowiny dzisiejsze rozwijała się wszakże nieubłaganie w sali na piętrze pubu Pod Kotwicą. Diukiem Llanefydd zajęli się szybko doktorzy z wrogiego mesmeryzmowi obozu; z trudem zniesiono go po schodach, po czym zabrano do szpitala Middlesex; sir Francis Willoughby z niepokojem szeptał coś do lady Rozamundy, która jednak wydawała się niewzruszona. Tymczasem jej córka, ze śladami krwi niewyjaśnionego pochodzenia na twarzy, zamiast zająć się matką, siedziała drżąca w głębi sali sądowej na po-

śpiesznie znalezionym krześle, syn zaś pokuśtykał na miejsce wskazane przez koronera. Dla wszystkich było oczywiste, że chłopak cierpi okropny ból głowy, dłonią wciąż pocierał kark i policzek, twarz miał śmiertelnie bladą.

Morgan niecierpliwił się, by wystąpić; ból zwiększał jego rozgorączkowanie; nie patrzył na Cordelię. Koroner, korzystając z wszechwładzy swego urzędu, nakazał autorytatywnie, lecz uprzejmie, by chłopak zaczekał chwilę. Połączył narazie siły z sir Francisem Willoughbym, rozmówiwszy się z nim ze wzburzeniem w rogu sali (parę chwil po tym, gdy sir Francis wydobycy spod cielska niskiego, tłustego diuka Llanefydd). Pan Tunks przemówił:

- Obowiązek mego starożytnego urzędu każe mi przypomnieć wszystkim obecnym, że każda śmierć na tym świecie jest osobistą tragedią dla dotkniętej nią rodziny. Bliscy lorda Morgana Ellisa musieli stawić czoło dwóm tragediom w ciągu dwóch dni, teraz zaś sam diuk Llanefydd, jeden ze szlachetnych parów naszego królestwa i sługa naszej władczyni królowej, został odwieziony do szpitala. Musimy dojść prawdy, ale powinniśmy też chronić ból tych, którzy ponieśli niepowetowaną stratę, modląc się, aby ich brzemię nie stało się cięższe. Jest naszym świętym obowiązkiem podczas niniejszej rozprawy, by unikać, o ile to możliwe, wprowadzania nadmiernego zamętu w życie osobiste tych osób. - Skłonił się lekko w stronę lady Rozamundy. - Zostało zatem uzgodnione przez sir Francis Willoughby'ego, doradcę Jej Wysokości, oraz mnie, że dżentelmeni z prasy zostaną poproszeni o opuszczenie sali.

Inspektor Rivers, mimo niesmaku po tym, czego był świadkiem, pomyślał: *Lecz życie panny Preston, zostało już nieodwołalnie zniszczone, jej historię bowiem opowiedziano w obecności dziennikarzy i świat się o niej dowie.* Uważał, że owo zbrukanie dotyka także jego. Bardzo lubił pannę Preston; nieważne, jakie jeszcze inne wstrząsające historie zostaną teraz ujawnione.

Dżentelmeni z prasy byli oburzeni. Są tutaj w prawie, prawda musi ujrzeć światło dzienne.

- Nikt i nic nie „jest w prawie” w sądzie koronera - sprostował pan Tunks pedantycznie. - Wyłącznie ja decyduję, co jest słuszne podczas rozprawy, a zdecydowałem, że panowie wyjdą. Nie będziemy kontynuować, póki dziennikarze nie opuszczą sali. Gdy przysięgli uzgodnią orzeczenie w niniejszym dochodzeniu, zostanie ono panom przekazane.

- Odmawiam wyjścia w imię wolności prasy! - zakrzyknął przedstawiciel „Globe'u”.

Przez cały ten czas mieli przed sobą (siedzącego teraz na krześle dla świadków, chcących z niego skorzystać) chłopca pocierającego dłonią kark, jego bladą twarz, pociemniałe z bólu oczy. Nikt, kto na niego spojrział, nie mógł powściągnąć współczucia; był zaledwie dzieckiem. Ktoś rozejrzał się za doktorem, lecz jak się zdaje, wszyscy opuścili salę razem z diukiem. Naraz ciałem chłopca targnął spazm bólu; zdawało się, jakby był bliski jakiegoś ataku.

To panna Preston poderwała się z miejsca - nie lekarz, nie wyprowadzani na zewnątrz dziennikarze. Rzuciła jedno spojrzenie Francuzowi, monsieur Rolandowi. Potem szybko, niemal bezszelestnie podeszła do krzesła do świadków. Nikt się nie odezwał, nawet koroner pan Tunks.

Potem, już po wszystkim, wielu wspominało, że nigdy nie oglądali czegoś podobnego; niektórzy mówili, że nie wierzyli własnym oczom, nikt jednak nie twierdził, że było to oszustwo czy fortel, albo że zostało ukartowane, wszyscy bowiem widzieli twarz chłopca.

Powiedziała tylko „Morganie” swoim niskim, przyjemnym głosem. Dotknęła go jedynie przez najkrótszą chwilę, tego byli pewni. Położyła mu dłoń na głowie. Usłyszeli westchnienie - tam, w sali na piętrze - czy na pewno westchnienie? Jakiś dźwięk; cichy, znękany dźwięk. Czy jednak dobiegł od chłopca, czy od kobiety, nie potrafili stwierdzić. Potem po prostu przesunęła w dół dłońmi, obok jego głowy, następnie nad głową; jej ręce poruszały się rytmicznie raz po raz. Wodziła nimi nad głową i karkiem chłopca, bardzo blisko, lecz ich nie dotykając, nad jego ramionami i plecami. Podchodząc, zdjęła rękawiczki. Gdy pracowała, stłuczenia na grzbietach jej dłoni były wyraźnie widoczne. Mimo szumu deszczu i pijackiej wrzawy dobiegającej z dołu, w sali na piętrze panowała taka cisza, że wszyscy słyszeli głęboki, regularny oddech magnetyzerki, raz za razem powtarzającej passy. Na jej czole wystąpiły krople potu. Po jakimś czasie stało się jasne, że chłopiec, odprężony, znajduje się w jakiegoś rodzaju transie. Niekiedy jego dłonie poruszały się w ślad za jej rękami, przesunął nimi nad własnym karkiem, naśladując jej ruchy. A potem znieruchomiał znowu. Nie spał, bo nie zamknął oczu, siedział jednak bardzo spokojnie. Kolory wróciły mu na twarz.

W końcu Cordelia przerwała, strużki potu spływały jej do oczu i po twarzy, lecz nie zważała na to. Chłopiec był teraz całkowicie odprężony, siedział na krześle jak gdyby w rozmarzeniu. Kobieta przyglądała mu się uważnie. Nadal nikt się nie odezwał. Raz jeszcze przesunęła dłońmi nad jego twarzą i oczyma, nie dotykając go, on zaś poruszył się lekko i obudził - lecz przecież nie spał,

chyba że można spać z otwartymi oczyma. Bardzo lekko poruszył głową i uśmiechnął się do niej.

- Czy to był mesmeryzm? - zapytał. Znajdujący się najbliżej to usłyszeli.

- Tak - odparła. - To był mesmeryzm.

I bardzo delikatnie, krótko dotknęła jego ramienia.

- Potrafi zabrać ból, tak jak mówiłaś.

- Czasami potrafi - przytaknęła, włożyła rękawiczki, spojrzała na niego z wyrazem twarzy, którego nie potrafili odczytać, i wróciła na miejsce obok milczącego prawnika.

Jest między nimi jakieś podobieństwo, pomyślał inspektor Rivers zbity z tropu. I wtedy, całkiem niespodziewanie, zrozumiał. Zobaczył nagle nieoprawiony obraz w przytulnym salonie: dzieci, troje dzieci, bawiących się na pustej plaży.

Morgan obejrzał się na koronera.

- Czy teraz mogę mówić? - zapytał spokojnym głosem.

Błada twarz lady Rozamundy lśniła; zdawało się, że jej oczy połyskują niczym klejnoty.

Sir Francis Willoughby natychmiast podniósł się z miejsca, by zabrać głos.

- Nic, co powie ten młody człowiek, nie może zostać wykorzystane jako dowód - oznajmił stanowczo. - Jak państwo wszyscy widzieli, panna Preston użyła jakiejś... jakiejś mocy, którą posiada, i to mogło wpłynąć na każde słowo, które młodzieniec ma do powiedzenia.

- Zatem ja to powiem - odezwał się głos i Gwenlliam wstała w głębi sali, po czym podeszła i stanęła obok brata.

- Jej moc mogła sięgać tak daleko! - oznajmił sir Francis Willoughby z wielkim gniewem.

- A więc znajduje się pan pod działaniem czarów, sir, podobnie jak przysięgli i koroner, wszyscy państwo bowiem znajdowali się bliżej panny Preston niż ja.

Sir Francis stał, próbował się spierać z koronerem, pan Tunks jednak, niemal wbrew sobie, spojrzał na dziewczynę i zapytał bardzo wolno:

- Czy przysięga pani mówić prawdę, całą prawdę, i tylko prawdę, tak pani dopomóż Bóg?

- Przysięgam - odparła Gwenlliam. - To nasza matka.

Tak więc szokująca prawda została odkryta, powód wizyty lorda Morgana Elliisa w domu w Bloomsbury ujawniony, a przyczyna powściągliwości panny Preston zrozumiana. Inspektor Rivers zaś, który szukał oznak rozpaczyny, miał rozwiązanie przed oczyma i do ostatniej chwili go nie dostrzegł.

Szybko ustalono, że osławiona obecnie panna Preston nigdy w istocie nie została poślubiona lordowi Morganowi Ellisowi, po czym pan Tunks odroczył dochodzenie do dnia następnego, w nadziei że wszystko się uspokoi, rozważając w duchu wezwanie lub też ponowne wezwanie niektórych świadków. Świat z wielką ulgą przyjął wiadomość, że lord Ellis oczywiście nie był bigamistą, a lady Rozamunda (ostatecznie daleka kuzynka królowej) jest w rzeczy samej wdową po nim, nie zaś kobietą upadłą. Panna Cordelia Preston przed wieloma laty nie była nikim więcej niż aktorką próbującą wynieść się ponad swój stan. Lord szumił jak wielu młodzieńców przed nim: to przynajmniej pasowało do nienaruszalnego porządku świata; nie był jednak tak nierozsądny, by się żenić. Prawdziwe małżeństwo (i to jeszcze z aktorką) zbudziłoby nieprzyjemne skojarzenia (obecna rodzina królewska robiła, co w jej mocy, by zepchnąć je w niepamięć) z życiem niedawno zmarłego nieodżałowanego księcia Walii, późniejszego Jerzego IV, oraz jego niejasnego związku z panią Fitzherbert. Niemniej jednak był to dotkliwy cios dla rodu Llanefydd: tytuł omal nie przypadł nieślubnemu synowi aktorki! Diuk - wciąż przy życiu, lecz w ciężkim stanie - pozostawał w szpitalu Middlesex i bez wątplenia padłby trupem na wieść o tym, co się stało. Kuzyn drugiego stopnia z wielkim zainteresowaniem studiował swoje drzewo genealogiczne, bo oczywiście chłopiec nie miał dziedziczyć, już nie.

Nieważne jednak, kto i w jakiej sprawie zostałby teraz wezwany na świadka, pannie Cordelii Preston w niczym by to nie pomogło.

Jej plugawy upadek był absolutny; reputacja zniszczona na zawsze. Jej działalność miała w sobie coś głęboko niesmacznego, co nigdy nie mogłoby zostać wybaczone ani też zapomniane. Nie chodziło tylko o zeznania nieślubnych dzieci. To zeznania Lucindy Choodle sprowadziły na nią upadek. Oczywiście słów panny Choodle nie cytowano dosłownie, lecz mimo to wszystkie gazety z zaangażowaniem - ale wyczerpująco - donosiły, o co ta oskarżyła pannę Preston. *I to jesz-*

cze matka! Wstępniak w „Timesie” głosił: *Oto najbardziej odrażający spektakl, jaki oglądało nasze pokolenie.* Cordelia zrozumiała, że nadszedł jej kres - nie z powodu śmierci lorda Morgana Ellisa; zapewne nawet nie wskutek rewelacji o pochodzeniu jego dzieci.

Zgubę ściągnęły na nią subtelne zawilości nocy poślubnej.

W ciągu godziny o wszystkich zeznaniach śpiewano na ulicach, jeszcze tego wieczoru dyskutowano o nich podczas kolacji przy każdym stole w Mayfair, przed zapadnięciem zmroku zaś opisano je w groszowych pisemkach. Nigdy dotąd nie wydarzyło się nic podobnego; nazwano to PROCESEM STULECIA.

Kiedy go w swe objęcia spojrzeniem przywabiła, Zaraz się jej wydało, że już szczęście złowiła, Lecz los aktorki marny był z góry jej przeznaczony, Bo lord chociaż swawolny, rozsądku niepozbawiony, Zasię innych jej czynów język nie wyzna strwożony.

- wyśpiewywali balladziści.

Proces stulecia jednak, niebędący nawet procesem, lecz zwykłym dochodzeniem koronerskim, jeszcze się nie skończył. Mimo bowiem nagłówków prasowych i ulicznych pieśni na temat arystokracji, me-smeryzmu i pochodzenia z nieprawego łoża, jak też szeptanych, szokujących informacji o innego rodzaju działalności panny Cordelii Preston, wciąż nie ustalono, co się wydarzyło z lordem Morganem Ellisem tej nocy, gdy został zamordowany. Lecz oczywiście teraz... mroczny charakter panny Cordelii Preston, który odsłonił się oczom opinii publicznej, potwierdzał - głosiły plotki - że w sposób oczywisty zdolna jest do wszystkiego, nawet morderstwa: lord Ellis nią wzgardził, odebrał jej dzieci. Gorączkowe zainteresowanie sięgnęło szczytu. Co jeszcze zostanie ujawnione następnego dnia? Przed domem przy Bedford Place w Bloomsbury kłębił się tłum w nadziei dostrzeżenia czegokolwiek; sprzedawano piwo imbirowe i paszteciki; nawet rześisty deszcz nie rozproszył ciekawskich, błoto i rozmiękły śnieg bryzgały w górę.

W domu Rillie Spoons zajęła się Morganem i Gwenlliam (owocami szaleństw lorda Morgana Ellisa): pomogła im rozgrzać stopy, wysuszyć ubranie, opatrzyć rany po wypadku powozu, po czym kazała zjeść po dużej porcji gorącej zupy.

Cordelia Preston zaś nareszcie mogła do siebie przytulić dwójkę ocalałych dzieci - monsieur Roland to widział-z bólem, radością i rozpaczą. Na twarzach całej trójki malowały się oszołomienie i udreka, a zarazem spokój, których widok ledwie potrafił znieść (przypomniały mu się znane na pamięć słowa lorda Byrona o bólu i sile miłości). Widział, jak Morgan nie odstępował boku Cordelii; jak trzyma się tuż przy niej, dokądkolwiek by szła; jak z przejęciem rozprawia swym dziwnym, załamującym się głosem o dochodzeniu, o wypadku powozu, o swoich obrazach, że powinni wyjechać wszyscy razem, będzie studiował malarstwo, że do nowego kraju, gdzie świeci słońce i ludzie zawsze śpiewają i jedzą miód: do Ameryki. Lecz wyglądał na chorego, rozpalonego, coś było nie tak z jego oczami. Monsieur Roland wysiłkiem woli odsunął od siebie kolejne trudne prawdy; obserwował Gwenlliam, tak bardzo podobną do jego ukochanej Hester. Wpatrywała się w Cordelię pogrążona w czymś na kształt pełnego zakłopotania, zrozpaczonego szczęścia; zdawało się niemal, że ostrożnie wciąga do płuc powietrze w matczynym domu. Rillie Spoons (przy pełnej zainteresowania asyście Reginy oraz pani Spoons) dbała o wygodę wszystkich. Dawna lokatorka zaofiarowała się, że im poczyta dla uspokojenia: zerwawszy z tanimi gazetami, zwróciła się ku Biblii i znalazła tam sporo bardzo satysfakcjonujących fragmentów (nie gorszych niż w groszowych pisemkach), szczególnie w Starym Testamencie: *Dobył miecza i pociął jej ciało, kości i całą resztę na dwanaście części, które rozesał wokół, tam i sam*, rozpoczęła z przyjemnością lekturę, lecz uświadomiwszy sobie, że nie jest to najstosowniejszy urywek, w każdym razie nie w tej chwili, zwróciła się ku psalmom i czytała o leżeniu nad spokojnymi wodami, pani Spoons zaś uśmiechała się rada z zamieszania i nuciała.

A potem Cordelia Preston, mimo wyczerpania wyjaśniwszy dzieciom, że dochodzenie jeszcze się nie skończyło i musi się uporać z ostatnią sprawą, udała się pośpiesznie (przez tłum przeciskała się z twarzą osłoniętą woalką) wraz z monsieur Rolandem - zamkniętym powozem, w deszczu - na spotkanie z inspektorem Riversem; umówili się z dala od tłumów otaczających dom, sprzedawców pasztecików oraz piwa imbirowego i kochających, lecz rozdygotanych, rozgorączkowanych dzieci. Spotkali się w przestronnych, skąpo umeblowanych pokojach w Kennington, niedaleko zajazdu Pod Słoniem i Zamkiem, gdzie najdroższa ciocia Cordelii, ukochana monsieur Rolanda, panna Hester Preston, przed wieloma laty pierwszy raz usłyszała o mesmeryzmie.

Na cierpliwe nalegania inspektora Riversa panna Preston (choć jego stosunek do niej się zmienił: nie umiał nic na to poradzić) wyznała im w końcu to, co wiedziała tylko Rillie Spoons (bo czyż Rillie nie czekała w domu przy Bedford Square pełna najgorszych obaw, póki Cordelia nie wróciła do domu po północy? I w końcu przyjaciółka wróciła, wciąż mając na sobie jedynie jasnobłękitną suknię, niestanowiącą żadnej ochrony w mroźny wieczór); w końcu wyznała im, co się stało tamtej nocy, gdy zjawił się lord Morgan Ellis, a zimowy księżyc świecił nad Bloomsbury Square.

TLR

CZĘŚĆ TRZECIA

TLR

Lord Morgan Ellis patrzył na Cordelię przy niezastłoniętym oknie tamtej nocy, niezdolny wymówić słowa, stali tak niemal minutę. Kruszące się kamienie starożytnego zamku, jaskrawe kwiaty tańczące na wietrze, i zdradliwe, zmienne morze - wszystko to znalazło się nagle w cichym salonie w Bloomsbury, pamięć, strata - dni, które przeminęły.

I gdy wydał z siebie cichy, bolesny jęk, zdawało się, jakby coś w nim pękło; do chwili gdy się odezwał, nie wiedział, że zamierzał powiedzieć „moja ukochana”; nic nie było dalsze od jego świadomego umysłu: słowa płynęły wprost z nieświadomego serca.

I wydawało się, jakby nic nie powiedział: być może go nie dosłyszała. Patrzyła jedynie na wściśniętego w gorset, starzejącego się mężczyznę. Jego rysy, jak zauważyła na ślubie córki, się rozlały: twarz marszczyła się i czerwieniała, kiedy stał teraz przed nią.

- Morgan chce malować - powiedziała.

Głos; niski, przyjemny głos, który oczarował go dawno temu, wprowadził go w jeszcze większe pomieszanie. Opanował się z olbrzymim wysiłkiem.

- Morgan pewnego dnia zostanie diukiem Llanefydd - wyjaśnił. - Nie pospolitym malarzem. Nie mówisz chyba poważnie.

- Posłuchaj... - zaczęła.

Odwrócił głowę. Na ścianie ciepłego, przytulnego salonu, gdzie ogień migotał, a w powietrzu unosił się zapach jodły, zobaczył coś zagadkowego. Nieoprawiony obraz ze swojej pamięci. Był odpływ, morze cofnęło się, jak daleko sięgnąć wzrokiem, w oddali widniał stary wrak -gnijący drewniany kadłub i splecione żelastwo wycelowane w niebo. Wśród piasku leżały muszle o dziwnych kształtach i sterzące skały (ukryte podczas przyływu, sprowadzające zgubę na nieostrożnych żeglarzy, zwabionych przez ogniska palone na brzegu przez złoczyńców). Wodorosty wiły się niczym węże po skałach, po piasku. W głębi obrazu mała dziewczynka niemal niewidoczna, pochylała się nad jeszcze mniejszym chłopcem, trzymającym w dłoni rybę. Na pierwszym pianie inna dziewczynka spoglądała w dół, przypatrując się czemuś, zapewne muszli, a wiatr rozwiewał lekko jej spódnice i jasne włosy. Nie miał wątpliwości, kto to jest: Manon. Światło rozlewało

się po horyzoncie i blask zachodzącego słońca barwił poszarpane chmury, obraz był piękny, lecz krył w sobie coś więcej, coś niewypowiedzianego.

- Ale... on tam nie był... przez wiele lat... - rzekł ściszym głosem.

- Wiem.

Lord Morgan Ellis patrzył skonsternowany, zbity z tropu.

- Jak zdołał wszystko zapamiętać tak dokładnie?

A kiedy nie odpowiedziała, powtórzył jeszcze raz, jakby nie mogąc się powstrzymać: „moja ukochana”.

Panna Preston wybuchnęła śmiechem. Nie był to jednak śmiech radosny, lecz pełen niedowierzania i bólu, i jeszcze czegoś, być może wzdargy.

- Nie używaj tych słów w mojej obecności.

- Cordie.

Skrzywiła się odruchowo na to zdrobienie.

- Cordie, posłuchaj. Mój ojciec... - Przez chwilę nie mógł mówić dalej, potem się opanował. - Znajdę ci inny dom. Dam ci pieniądze. Nie powinnaś mieszkać w Bloomsbury. Dawniej było przyzwoitym miejscem, lecz straciło renomę, teraz to niewłaściwy adres.

Nie dowierzała, własnym uszom ze zdumienia, lecz wciąż mówiła cicho:

- Twierdzisz, że nie powinnam mieszkać w Bloomsbury? Pochodzę z Bloomsbury. Podniosłam się po tym, gdy mnie zniszczyłeś, i zbudowałam tu sobie egzystencję, mogę mieszkać w pięknym domu, żyć własnym życiem i prowadzić interes razem z Rillie; utrzymujemy się bez niczyjej pomocy, jesteśmy niemal bogate, szanowane i przyzwoite. I cóż, jedyne, co potrafisz powiedzieć po dziesięciu latach, po swojej okrutnej zdradzie, kłamstwach i oszustwie, to, że nie powinnam mieszkać w Bloomsbury?

Czuła, że zaczyna tracić panowanie nad swoim głosem i żartowaniem. Urwała. Uspokoila się z wysiłkiem. Powiedziała:

- Musisz zrozumieć, że Morgan ma niezwykły talent. - Dostrzegła, jak spojrzenie Ellisa raz po raz, mimo woli, wraca do obrazu przedstawiającego jego przeszłość. - Skoro pragnie malować, może zamieszkać u mnie, jeśli zechce, a ty na to zezwolisz, i... może moje... może mesmeryzm zaradzi na jego bóle głowy. To wszystko, co ci chciałam powiedzieć A teraz odejdz.

Po czym pośpiesznie opuściła mężczyznę, który dawniej był jej życiem; odwróciwszy się, wyszła przez weneckie okno do ciemnego ogrodu. Zobaczył, jak mignęła obok kamiennego anioła, dojrzał plamę jej jasnej sukni w mroku. Na tyłach

niewielka furтка wychodziła na alejkę; brzęknęła, kiedy Cordelia wymknęła się na ścieżkę, a potem w zaułek. Pobieгла - bez płaszcza, bez szala, z rozsypanymi włosami - tam, dokąd uciekała odruchowo całe życie, do swego ogrodu marzeń, na Bloomsbury Square; jej obcasy zastukały na kocich łbach, gdy przebiegała ulicę.

Nie zauważyła postaci w ciemnym płaszczu.

Zimny, jasny księżyc w pełni, jej księżyc, świecił z nieba, oświetlając drogę; nie zwróciła uwagi na zimno. Nie przestała biec, póki nie dotarła do posągu Charlesa Jamesa Foksa. Księżyc oświetlał czubek jego głowy; oparła się o pomnik, a potem się schyliła, aż wreszcie niemal zgięła się wpół w ciemności, próbując złapać oddech: Jestem za stara, żeby tak biegać. Serce biło jej w piersi z wysiłku, od wspomnień, a przede wszystkim od płomiennego, uwięzionego przez wiele lat gniewu.

Kiedy się wreszcie wyprostowała, zobaczyła zaniedbaną postać lorda Morgana Ellisa, oddychającego ciężko, niezdolnego dłużej biec, zmierzającego do wylotu ulicy na plac. Przejechał powóz z kołyszącymi się latarniami.

- Zaczekaj, Cordie! - krzyknął do niej w ciemności, zadyszany. - Będziemy... znowu razem... - wciąż starał się złapać oddech - jakoś to przeprowadzę... obiecuję. - Zbliżał się do niej, wciąż dysząc. - Znajdę ci mieszkanie w Mayfair i pozwolę... dzieciom... och, nie powinienem biegać... odwiedzać cię czasami, będzie... tak jak dawniej. - Znalazł się obok niej i wyciągnął rękę.

Żadne z nich nie zauważyło postaci w ciemnym płaszczu.

Mgnienie później Cordie go odepchnęła: jego ramiona, jego ciało. Starał się ją przytrzymać, ona zaś próbowała się wyrwać z jego uścisku. Podrapała go po twarzy, chwycił ją za ręce i odsunął, wykręcając je mocno, sprawiając jej ból.

- Puść mnie! - krzyknęła w noc; księżyc świecił z góry.

Śpiący, pijany włóczęga poruszył się, a potem, skostniały z zimna, zaczął się zastanawiać, gdzie jest; oszołomiony wysunął głowę z krzaków. Zobaczył dwie walczące postaci: ciemną i jasną.

- No już, Cordie - powiedział Ellis, a ona przekonała się, że zdołał nabrać tchu i nawet się uśmiecha. - Pamiętaj, co ci zawsze powtarzałem, droga, droga dziewczyno, że jestem od ciebie silniejszy. Darujmy sobie tę... zapalczywość... Kocham cię. Zawsze cię kochałem.

Może to było to słowo. Ten uśmiech. Przestała się wyrwać. Gniew niemal odebrał jej mowę. Ellis uznał to za zgodę.

- Zamieszkamy razem -powiedział. - W Mayfair. Wynajmę ci tam pokoje, zapewnię utrzymanie, będziesz mogła zostawić cały ten... ten niedorzeczny mesmerystyczny interes daleko za sobą. I jak mówiłem, sprawię... jakimś sposobem sprawię... by także dzieci mogły cię czasem odwiedzać.

Włóczęga przysłuchiwał się z czymś na kształt pijackiej fascynacji, jego głowa wciąż sterczała z krzaków.

Ellis się odprężył. Trzymał ją w ramionach, miał ją teraz, jak miał ją zawsze.

Z całej siły odepchnęła jego ciało, jego ramiona; wyrwała się z jego objęć i rzuciła biegiem do bocznego wyjścia z placu, gdzie paliły się dwie gazowe latarnie i domy spoglądały z góry. Wciąż jeszcze biegła, nie dotarwszy do bramy, gdy usłyszała przeraźliwy krzyk, a raczej wrzask, wydany przez mężczyznę. Odruchowo - tak przerażający był ów odgłos - przystanąła i odwróciła się. I zobaczyła zupełnie wyraźnie w świetle księżycyca ramię, sztylet, kaptur płaszcza, opadający z twarzy kobiety; ciało Ellisa osuwające się na ziemię; włóczęgę wytaczającego się z krzaków, nachylającego się ku nim z powrotem, tak był pijany, lecz milczącego ze zgrozy.

I usłyszała tylko jedno słowo z czyichś ust, kiedy sztylet uderzał raz za razem.

KŁAMCA! KŁAMCA! KŁAMCA!

23

- I nie podbiegła pani z powrotem, by mu pomóc?

- Nie - odparła Cordelia i spuściła wzrok na swoje wciąż posiniaczone dłonie. - Nie podbiegłam z powrotem, by mu pomóc.

Inspektor Rivers widział, że drży z napięcia po opowiedzeniu tej historii; wierzył bez zastrzeżeń w każde jej słowo; współczuł jej. Lecz jego stosunek do niej się zmienił: czuła to, rozumiała. Na to, co zostało ujawnione na jej temat, zareagował podobnie jak pozostali mężczyźni, obecni podczas przesłuchań. Pozostał życzliwy, lecz była to życzliwość na dystans.

Przez długi czas wszyscy troje siedzieli w milczeniu. Ich twarze nosiły ślady zmęczenia, były blade i ściągnięte. Inspektor raz jeszcze przypomniał sobie Cordelię tamtego wieczoru, zdruzgotaną, złamaną bólem po samobójstwie najstarszej córki. I zdruzgotane, złamane bólem dzieci przy Grosvenor Square. Był

przedstawicielem nowego zawodu: detektywem; jego zadaniem było poznać wszelkie szczegóły. Na koniec owinał się płaszczem, jakby zamierzał wyjść, wiedział jednak, że to nie koniec zadania, i lekki dreszcz wstrząsnął jego ciałem. *Trzeba ją skłonić do mówienia.* Musiał przecież schwytać mordercę: na tym polegała jego praca jako inspektora w nowym wydziale detektywistycznym. Oczywiście, odpowiedź kryła się tutaj, w tej tragedii. Wcześniej na kominku płonął ogień, lecz zgasł, a monsieur Roland nie poruszył się, by do niego dołożyć. Słyszeli, jak świece skwierczą cicho w przeciągu spod drzwi i od ram okiennych. Słyszeli karety i wozy przejeżdżające w nocy ulicą prowadzącą do zajazdu Pod Słoniem i Zamkiem.

Monsieur Roland nie podniósł wzroku, usłyszał jednak przeciągłe westchnienie inspektora Riversa; przytłoczyło go znużenie całą sprawą.

- Ale dlaczego poszła pani do pani Fortune? Czemu nie wróciła pani do domu?

Cordelia nie odpowiadała długą chwilę, wciąż siedziała ze wzrokiem utkwionym w swoje dłonie.

- Wróciłam. Wybiegłam z placu i uciekłam do domu, jak robiłam przez całe życie. Plac był zawsze moim miejscem... moją... przystanią... jakkolwiek zechce pan to nazwać. W dzieciństwie spędzałam mnóstwo czasu, krążąc po nim wieczorami... nie, to nie ma znaczenia - dostrzegła w jego oczach pytanie, zdziwienie - to po prostu było... moje miejsce. Oglądałam tysiące bójek, pijaków; wszystko, co zdarza się nocą, lecz nigdy nie widziałam... - zająknęła się, po czym ciągnęła dalej: - ...tego, co tamtej nocy. Wybiegłam z placu i uciekłam do domu, lecz... pod niewłaściwy adres, tam gdzie mieszkałam dawniej. Dopiero schodząc w dół po żelaznych stopniach, uświadomiłam sobie, co zrobiłam. Przeraziłam się, czułam się... obłąkana. .. uciekłam w niewłaściwe miejsce, nie wiedziałam, czy Ellis zginął, wciąż słyszałam tamten głos, krzyczący w mojej głowie, więc... nie przestawałam biec... nie potrafię wyjaśnić dlaczego, po prostu chciałam uciec od tego... ohydneho, straszneho widoku. Jestem za stara, by biegać, inspektorze, ale biegłam, być może uciekałam do pani Fortune, sama nie wiem. Mijając Cock Pitlane, usłyszałam, jak śpiewają; późną nocą często słychać śpiewy niosące się echem, zawsze śpiewaliśmy. Zaczekałam na dole w cieniu, aż wróci mi oddech, i próbowałam upiąć włosy... minęła mnie para tańczących karłów, James i Jollity, ale mnie nie dostrzegli. Nie miałam płaszcza ani pieniędzy, ale... u pani Fortune wszystko uchodzi, każdemu z nas zdarzyło się wyglądać jak szaleniec, więc weszłam i jedna ze znajomych... Olivia, baletnica Olivia; zawsze stawialiśmy wino

tym, którzy mieli mniej pieniędzy... Olivia postawiła mi porto i opowiedziała dokładnie o pantomimie, w której występuje. A potem pan Tryfont mówił i mówił, i mówił, więc stopniowo... doszłam do siebie.

Umilkła w końcu wyczerpana. Lecz inspektor wciąż jeszcze nie skończył; musiał pytać dalej.

- Tamta kobieta w czerni. Widziała pani, kto to był? Nawet nie podniosła wzroku.

- Nie widziałam.

- Pani córka? Czy to była Manon?

Natychmiast spojrzała na niego z pełnym grozy zdumieniem.

- Nie! - Wstała z krzesła, jakby chciała go uderzyć, jej głos rozbrzmiewał coraz głośniej w pustym pokoju. - Oczywiście, że nie! Widziałam, gdy kaptur opadł, oczywiście, że to nie była Manon, jak pan śmie twierdzić...

- Czy to była lady Rozamunda Ellis, panno Preston? Przyłapaną znieruchomiła, pojęła. Natychmiast odwróciła wzrok od inspektora.

- Było ciemno.

- Wyraźnie dała pani do zrozumienia, że chodziło o kobietę. Bloomsbury Square to niewielki plac. Przysięgli o tym wiedzą, wielu z nich mieszka w sąsiedztwie. A księżyc świecił jasno, sama pani powiedziała. I jest pani niezbitnie pewna, że to nie była Manon.

Spojrzała błagalnie.

- To nie jest konieczne, inspektorze... - Zająknęła się. - Ona... to mogła, mogła być... każda kobieta...

- ...krzycząca KŁAMCA i zadająca ciosy sztyletem?

- ... to mogła być inna kochanka... z pewnością miał inne kochanki... - I wreszcie z jej ust wyrwało się: - To zbyt wiele, dzieci tego nie zniosą.

- Kto to był, panno Preston?

- Proszę, błagam, na miłość Boga! Proszę, czy możemy tego zostawić? Nie powiem nic więcej, niż panu powiedziałam! Czemu bym miała to zrobić? Nic już nie wyrządzi mi większej szkody! Ale... dzieci, one nie zdołają... znieść... więcej.

- Błysnęła oczyma. - Istnieją granice tego, co może wytrzymać istota ludzka. Ich ojciec nie żyje, siostra nie żyje, straciły swoje dziedzictwo. Chce pan unurzać w błocie także imię ich siostry? A może chce pan, by myślały, że wychowywała je.. morderczynie? Czy po wszystkim, co przeszły, mają składać zeznania w sprawie o morderstwo przeciw własnej macosze? Błagam, niech pan im nie dokłada cięż-

żaru. - Na chwilę zamknęła oczy, zdawało się, jakby się zachwiała nieznacznie, po czym otworzyła je znowu. - Inspektorze Rivers, lord Morgan Ellis powiedział wszystkim, że nie żyję. - I wreszcie, niechętnie, tonem niewiele głośniejszym od szeptu, powtórzyła znowu, i byłby przysięgł, że mówi także o lady Rozamundzie Ellis: - Istnieją granice tego, co może znieść ludzka istota.

W zimnym pokoju zapadła cisza.

- Lord Morgan Ellis wyrządził wiele szkody tym, którzy go kochali - zauważył monsieur Roland spokojnie, lecz być może to także był apel do inspektora.

Rivers stał sztywno; jego znużona, pobrużdżona twarz nic nie wyrażała. Odezwał się oficjalnym tonem.

- Skonsultuję się z panem Tunksem. Naturalnie powtórzę naszą rozmowę. Musi pani zrozumieć, panno Preston, że sama nie jest jeszcze poza podejrzeniem o morderstwo. - Nie był w stanie sobie wyobrazić, co o niej napiszą poranne gazety. - Ale... mogę się postarać, by pozostali świadkowie zostali jutro wezwani przed panią. Będzie najlepiej... dla pani... jeśli nie będzie pani słuchać ich zeznań, jeśli po prostu opowie pani swoją historię, tak jak opowiedziała ją mnie.

- Nie, jeśli będą tam mówić o Manon.

- W ogóle o niej nie wspomną. Wiemy, gdzie była tamtego wieczoru. - Ciągnął dalej szybko: - Proszę o wybaczenie, panno Preston, jestem detektywem. Musiałem się dowiedzieć, co pani widziała, to wszystko. Przykro mi, mówię to szczerze, z powodu tego, co panią spotkało; każdy zrozumie pani niechęć przed zeznawaniem. Lecz jutro wszystko musi się zakończyć, a prawda zostanie ujawniona. - Na koniec zwrócił się do monsieur Rolanda: - A gdy się to stanie, nieważne, co się jeszcze wydarzy, panny Preston nie będzie można uznać za winną żadnego przestępstwa.

- Prócz tych, o których już powiadomiono opinię publiczną - wtrąciła Cordelia obojętnie.

Inspektor Rivers skłonił się bez słowa i wyszedł.

- Chodź, moja droga - odezwał się do niej po chwili monsieur Roland.

Czuli się ogromnie znużeni, lecz sprawa nie była jeszcze zakończona. Magnetyzer ustawił osłonę przed dogasającym ogniem.

- Wrócimy teraz do Bloomsbury, by się przygotować na jutrzejszy ranek. Z pewnością jutro wszystko się skończy.

- To się nigdy nie skończy - zaprzeczyła Cordelia. - Wie pan o tym.

Nie poruszyła się; stała nadal przy zimnym, ciemnym oknie.

- Lecz ma pani swoje dzieci.

Na znużonej twarzy kobiety radość walczyła o lepsze z cierpieniem.

- Manon się zabiła.

- To nie pani wina - zauważył łagodnie.

Ciocia Hester; żal; przemknęło jej przez myśl: *ty też zawiniłaś, Cor-delio*. Spojrzała pustym wzrokiem na magnetyzera.

- Manon nie żyje. Straciłam reputację i resztki ludzkiego szacunku. Oraz zapewne możliwość zarobienia na własne utrzymanie.

W końcu z wysiłkiem się podniosła; widział jej wyczerpanie i ból. A potem zobaczył, jak uśmiech na moment rozjaśnia pobrużdżoną twarz - mimo woli, mimo wszystko.

- Ale, jak się zdaje, Morgan i Gwenlliam odnaleźli się wreszcie na dobre.

Mam swoje dzieci.

Cordelia leżała rozbudzona w ciemnościach, oczyma duszy widząc twarz Manon; czując dotyk otaczającego ją zimnego powietrza w sypialni; słyszała zegary wybijające godzinę: trzecia. Zobaczyła twarz Gwenlliam, twarz Morgana... Ukochane rysy... o dziwo, zegar uderzył znowu: czwarta. Kiedy rano wstanie na dobre, uda się ponownie do sądu koronera. Wtedy z pewnością wszystko się zakończy.

Mam swoje dzieci.

Zdawało im się, jej i Rillie, że wygrały ze światem; zdawało im się, że zwyciężyły. Piły swoje porto, zartując i szczypiąc się w ramię. Lecz koniec końców nie zdołały się wymknąć. Złamały zbyt wiele zasad i nic już nie mogło ich uratować. Inspektor Rivers nie musiał mówić, co poczuł, co się stało, gdy jej życie zostało obnażone w sądzie. Zrozumiała znowu, że - niewiarygodne - najbardziej szkodliwą rewelacją nie było bynajmniej to, iż jest matką dzieci lorda Morgana Ellisa. Okazało się nią oświadczenie panny Choodle: to wtedy właśnie została przekroczona granica tego, o czym nie wolno mówić, tabu. Myśli wirowały jej w głowie, wciąż i wciąż, i jeszcze raz od początku.

Miała swoje dzieci: dwójkę swoich dzieci.

Lecz kiedy pomyślała o Manon, samotnie umierającej bolesną śmiercią, samotnie wkładającej swą ślubną suknię, łzy popłynęły niepowstrzymanie. *Nigdy z nią nie rozmawiałam od tamtego ranka, gdy powóz zabrał mnie drogą wzdłuż wybrzeża do Londynu, a ona mi nie pomachała: też chciała jechać do stolicy.*

Myśli wciąż kłębiły jej się pod czaszką. Rzeczywiście odzyskała nagle dwoje ukochanych dzieci. Straciła jednak środki na ich utrzymanie.

Usłyszała ciche pukanie do drzwi i zerwała się natychmiast.

- Tak?

Sięgnęła po zapalki i zapaliła świecę. To była Gwenlliam.

- Pomyślałam, że może nie śpisz - odezwała się nieśmiało córka.

- Och, chodź, chodź, tak się cieszę, ja też nie mogę spać, wejdź tutaj, pod kołdrę. Szybko, jest tak zimno.

Gwenlliam przytuliła się do niej i obie pomyślały, choć nie powiedziały tego na głos: *Jest jak dawniej.*

- Chyba nie potrafię już zasnąć - poskarżyła się dziewczyna - jakbym zapomniała, jak to się robi, wciąż widzę Manon - głos jej zadrżał, lecz ciągnęła dalej dzielnie - wkładając... och, mam... suknię ślubną.

Z wielkim wysiłkiem starała się nie rozpłakać.

- Och, Gwennie, przez całe to zamieszanie nie miałyśmy nawet czasu pomówić o tym jak należy.

Ujęła zimną dłoń dziewczyny, powstrzymała własne łzy.

- Chyba usłyszała, jak rozmawialiśmy o tobie z Morganem. Serce Cordelii ścisnęło się z bólu i strachu. *To tego Manon się obawiała.* Usiadła nagle w łóżku, wyprężona jak struna.

- Zabiła się na wiadomość, że żyję?

- Nie, nie, nie o to chodzi. Czy raczej nie tylko o to, zresztą odkąd Morgan się dowiedział, nie udałoby się przed nią utrzymać tajemnicy. Ale, powtarzam, nie chodziło tylko o to. - Gwenlliam także usiadła, naciągnęła na siebie kołdrę. - Coś... - Umilkła i zaczęła od nowa: - Coś się wydarzyło między nią i diukiem Tren tu... nie rozumiałam... powiedziała, że był... użyła słowa „odrażający”... że sprawił jej ból i że się z niej śmiał. Ciągłe płakała i chciała wracać do Walii... ale, oczywiście, to ze względu na nią tu przyjechaliśmy, tak bardzo chciała wyjść za mąż i zamieszkać w Londynie, i zawsze była ulubienicą dziadka... to znaczy, diuka Llanefydd. Zawsze marzyła o stolicy. Ale potem... po ślubie... coś się stało między nią i jej mężem, co wytrąciło ją z równowagi jak nic nigdy wcześniej. Ja... tego nie rozumiałam.

Cordelia zamknęła oczy, tak wielkie było jej cierpienie, suma wszystkich cierpień. Czując łzy napierające na powieki, myślała o swojej irytacji niewiedzą młodych dziewcząt, o tym, jak obie z Rillie w wypożyczalni tłumili śmiech nad

„Przewodnikiem zdrowotnym” z komentarzami na temat skrofulów i trądu, oraz *pewnej przypadłości, dotyczącej chłopców*. Cały czas starając się znaleźć sposób, jak mówić do młodych dam. *Z Manon nikt nie porozmawiał*. Gwenlliam nie była w sądzie, więc nie słyszała panny Choodle: to też trzeba będzie znieść.

I wtedy drzwi znowu uchyliły się lekko.

- Gdzie wy się wszystkie chowacie! Czemu rozmawiacie beze mnie? Głowa tak strasznie mnie boli, że chyba dłużej nie wytrzymam, nie mogłem was znaleźć.

Gwenlliam odezwała się szybko:

- Morganie, gdzie twoje lekarstwo?

- Nic nie pomaga, chcę, żeby mama znowu zabrała ból! - Podeszedł do łóżka i blask świecy padł na jego bladą, udreńczoną twarz. - Mamo, to inny ból; to boli naprawdę bardzo.

Obie podniosły się szybko z ciepłego łóżka. Ich stopy dotknęły zimnych desek podłogi, białe koszule nocne błyskały, gdy krzątały się po sypialni, zapalając więcej świec, rozniecając ogień w kominku, gestami polecając chłopcu się położyć.

I znowu zobaczyły spazm bólu, podobny jak tamten na sali sądowej; całe jego ciało zeszywniało. A potem, nie zdoławszy się powstrzymać, zwymiotował na prześcieradła.

- Szybko, szybko, sprowadź Rillie, sprowadź monsieur Rolanda, śpi na dole, w dużym pokoju ze szklanymi gwiazdami.

Dziewczyna wybiegła.

- Mamo, to coś innego, to inny ból, nie mogę go wytrzymać, coś się dzieje w środku w mojej głowie. - I zwymiotował znowu.

Cordelia wzięła głęboki oddech i stanęła obok niego. Odór wymiocin rozszedł się w powietrzu: nawet tego nie zauważyła. Przez chwilę trzymała głowę chłopca jak w dawnych czasach, gładziła go po włosach. Potem poczuła, jak jego ciało znowu ogarniają konwulsje. Cofnęła się lekko i przesunęła rękami nad drobną wykrzywioną cierpieniem twarzą, raz i jeszcze raz; nie wolno jej płakać, nie pomoże mu, jeśli się rozplacze. Krople potu, nie łzy, spływały jej po twarzy, kiedy każdym nerwem starała się przelać energię ze swojego ciała w jego. Za jej plecami wielki cień poruszał się raz po raz na ścianie, cienie ramion przemykały po suficie znowu i znowu, i jeszcze raz. Morgan zanieczyścił się w łóżku i krzyknął, lecz z powodu bólu.

- Nie rozstaniemy się już nigdy, mamó?

Głos, z początku niski, zmienił się w dziecięcy szept. Uśmiechała się; jej łzy spadły na chłopca i zobaczyli plażę ciągnącą się bez końca, ukryte skały i morze.

- Nigdy, nigdy - obiecała z uśmiechem.

Widziała, że jej wysiłki nie odnoszą skutku, lecz mimo to próbowała; przesuwała dłońmi raz po raz; Morgan czekał na ulgę, którą mu przyniesie, jak przynosiła zawsze. I tak wielka była jego wiara w matkę, że gdy poczuł, jak odpływa, sądził, że to ona go uratowała.

Przesuwała dłońmi raz za razem, z całą mocą i miłością, miłością tłumioną przez wiele lat, wciąż i wciąż. Nie słyszała, jak weszli pozostali, nie słyszała nic, póki monsieur Roland nie ujął jej delikatnie za ramiona.

- Mesmeryzm nie potrafi przywrócić życia, moja droga. To nie magia.

Spojrzała na niego i zrozumiała.

24

TRAGEDIA DOMU LLANNEFYDD, oznajmiały teraz gazety. Nagłówek był stonowany, jakby starano się złagodzić ten kolejny cios.

Dochodzenie w sprawie śmierci lorda Morgana Ellisa pośpiesznie przełożono o kilka godzin, należało bowiem przeprowadzić kolejną obdukcję, by wyjaśnić przyczyny śmierci jego syna. Zdawało się, jakby jakieś okrutne przekleństwo spadło na nieszczęsną, niewy-darzoną rodzinę; nie była to jednak klątwa, lecz apopleksja wywołana krwotokiem w mózgu, stwierdzili chirurdzy w czasie obdukcji; chłopiec nie mógł przeżyć. Nie rozumieli, jakim sposobem zdołał przetrwać tak długo.

Inspektor Rivers nie kładł się tej nocy. Wrócił do domu z Cleaver--street piechotą; przemierzał ulice Marylebone, rozmyślając o tym, czego się dowiedział, i o pannie Preston. *Niestuszenie ją obwiniam. Zaszkoziły jej tylko słowa innych i własna odwaga.* Noc przesiedział samotnie w swym zimnym ogrodzie. A potem, wczesnym rankiem, przyniesiono mu wiadomość o śmierci chłopca.

Pokonał pieszo całą drogę na południe na Strand i wczesnym rankiem stanął na brzegu rzeki. Ptaki morskie nurkowały pomiędzy setkami małych łódek; węgla-

rze ciągnęli barki przez mglisty świt. Wyobraził sobie nieznośne cierpienie kobiety, o której nie mogło zapomnieć jego serce. Przywołał sobie słowa, jakie wypowiedziała ubiegłego wieczoru. *Istnieją granice tego, co może znieść istota ludzka.*

Jak ona zdoła to znieść?

Otrzymaawszy wiadomość o zwłoce w dochodzeniu, wziął się w garść. Był przekonany, że wie, kto zamordował lorda Ellisa. Zszedł na dół, do cel więziennych, i rozmówił się z panem Saulem O'Reillym, włóczęgą, raz po raz tęsknie dopytującym się o dzin. Ponownie złożył wizytę panu George'owi Tryfontowi, aktorowi, budząc go o niespotykane wcześnie porze. Pomyślał raz jeszcze o zmarłym chłopcu, którego tak bardzo interesowało Bloomsbury. Potem odbył długą rozmowę z panem Tunksem na posterunku przy Bow Street, kiedy czekali na ponowne rozpoczęcie dochodzenia. Koroner wciąż wyczekiwał wieści, raz po raz spoglądając na duży zegarek kieszonkowy.

Pan Tunks okazał się uparty, niewzruszony, nieugięty: pan Tryfont, tak, dobrze; stary Saul O'Reilly, też dobrze. Wiedział jednak, że nigdy nie wybaczone by mu szkody wyrządzonej domowi Llanefydd, gdyby pozwolił zeznawać owej młodej dziewczynie; no i jeszcze ta druga śmierć. Dopóki nie są w posiadaniu pewnego, niepodważalnego dowodu - nie zaś mglistej sylwetki, która zamajaczyła w mroku byłej kochance, aktorce i magnetyzerce, niechcącej zdradzić tożsamości widzianej osoby - o żonie zmarłego lorda Morgana Ellisa, kuzynce królowej, nie można i nawet nie należy napomykać pod żadnym pozorem. Na sugestię, że należałoby ją wezwać na świadka, pan Tunks spocił się obficie; co raz to wyjmował chusteczkę z kieszeni i ocierał czoło: to całkowicie wykluczone. Nie wyrazi na to zgody. Dochodzenie niebezpiecznie zbliża się do osoby Jej Wysokości, tego nie można tolerować, to niewybaczalne; należy je zakończyć.

Ostatecznie dochodzenie w sprawie śmierci lorda Morgana Ellisa wznowiono w południe w sali na piętrze pubu Pod Kotwicą; zapalono lampy i ogień na kominku, cylindry raz jeszcze ustawiono rzędem na półce.

Mimo współczucia dla nieoświeconych bohaterów dramatu na twarzach lekarzy malował się wyraz posępnego samozadowolenia: choroba chłopca stanowiła problem medyczny i żadna magnetyzerka nie mogła tu nic poradzić. (Nie przyznaliby nigdy, że w tego rodzaju sprawie nie mogła nic poradzić także medycy-

na). Sir Francis Willoughby był obecny, lecz nie miał komu doradzać: diuk wciąż trwał w zawieszeniu między życiem a śmiercią w szpitalu, lady Rozamunda zaś się nie pojawiła. „Niewątpliwie z powodu żałoby”, powtarzali wszyscy, przysięgli zaś kręcili głowami i przestępowali z nogi na nogę, skrepowani; chętnie uwolniliby się od tego dochodzenia, wydawało się nazbyt tragiczne; tęsknili, by wrócić na dobre do codziennego życia i codziennej pracy, żon i dzieci, trudno bowiem było znaleźć kogoś bardziej nieszczęśliwego od tej dziwacznie pokręconej rodziny. Myśleli ze współczuciem nawet o pannie Cordelii Preston, choć nie pojawiła się jeszcze na sali; pamiętali, jak zaledwie dzień wcześniej mesmeryzowała syna i przyniosła mu nieco ulgi, i żalowali, że tak się to skończyło. A jednak z chęcią ją także wymazaliby z pamięci. Nie czuli się tu dobrze. Pragnęli, by wszystko to już się skończyło. Chcieli, by dochodzenie zamknięto.

Monsieur Roland i Ruhe Spoons weszli razem w milczeniu. Ruhe, zmizerowana, blada, usiadła na jedynym wolnym krześle, monsieur Roland stanął w głębi, niedaleko lekarzy. Inspektor Rivers obserwował ich ze swego posterunku przy jednym z dużych okien.

Po rozmowie z inspektorem pan Tunks pierwszego wywołał - ku jego wielkiej wdzięczności - pana George'a Tryfonta, aktora. Pan Tryfont zyskał już sławę jako świadek w tak głośnej sprawie (zdażono mu zaproponować kolejną rolę) i wielce się ucieszył z ponownego wezwania. Wkroczył dumnie, udając, że nie dostrzega nikogo z zebranych. Raz jeszcze wystąpił dumnie w aksamitnej opończy i purpurowym halsztuku, jak gdyby rzucając wyzwanie obecnym.

Pan Tunks nachylił się do przodu.

- Panie Tryfont, jeśli można, chciałbym, by raz jeszcze wrócił pan pamięcią do zachowania panny Preston po przybyciu do klubu pani Fortune.

Głos aktora rozbrzmiał donośnie w sali, odbił się od ścian.

- Jak już mówiłem, rozmawialiśmy długi czas.

- Owszem. Miała na sobie, jak pan wspomniał, bladobłękitną suknię.

- Tak.

- Jest pan tego pewien: bladobłękitną? Jasną suknię?

- Oczywiście, że jestem pewien. Mówiłem panu.

- I nie miała płaszcza.

- Istotnie nie miała. W drodze do Holborn pożyczyłem jej swój szal.

- Gdyby na sukni lub ciele panny Preston widniały ślady krwi, byłby to pan za-
uważył?

- Mój drogi panie, gdybym ja ich nie spostrzegł, zrobiłaby to z pewnością pani
Fortune i wszystkie inne damy. Zauważają nawet najdrobniejsze szczegóły i od-
bywają długie dyskusje o ubiorze każdej kobiety. Lecz nie. Pamiętam, że odgar-
niała włosy, kilka razy, tak, pamiętam teraz, włosy miała... nieco wzburzone...
lecz z pewnością nie widziałem żadnych śladów krwi. Zwrócono by na to uwagę.

- Dziękuję za wyjaśnienie nam tej kwestii.

- To wszystko? - Pan Tryfont był wyraźnie rozczarowany.

- To wszystko. Dziękuję.

- Gdybym był jeszcze potrzebny, wysoki sędzie, proszę pytać w teatrze. Wciąż
występuję na Strandzie.

- Dziękuję, panie Tryfont.

Następną wezwaną osobą był, ku niemałemu zdziwieniu zebranych, biedny
stary włóczęga, Saul O'Reilly. Przyprawiono go z policyjnego aresztu, gdzie
nadal był przetrzymywany, lecz pan Tunks i inspektor Rivers uzgodnili, że przed
złożeniem zeznań dostanie trochę dzinu. Stał teraz nieco mniej zgnębiony, głos
miał trochę mocniejszy, a chwilami nawet się uśmiechał.

- Czy pan, Saul O'Reilly, nrzysięga przed Bogiem Najwyższym...

- O tak - przerwał pan O'Reilly z uśmiechem, pragnąc się okazać użytecznym. -
Pewnie, że tak.

Koroner cierpliwie dokończył tekst przysięgi.

- Proszę wrócić pamięcią wstecz - ciągnął dalej po chwili. - Do nocy, gdy zo-
stał zamordowany lord Morgan Ellis.

- O, już wracam - odparł pan O'Reilly. - Już; spałem, wasza lordowska mość, w
krzakach.

- Zbudził się pan?

Pan O'Reilly natychmiast zaczął się burzyć.

- Kto tak mówi? Kto tak mówi?

- Nikt tak nie mówi, panie O'Reilly. Po prostu istnieje możliwość, że dobiegły
pana odgłosy scysji. - Spostrzegł konsternację świadka i powtórzył to samo in-
nymi słowami: - Może słyszał pan jakąś kłótnię czy krzyk, jeśli tak, pańskie
wspomnienia niezwykle by nam pomogły.

- Nie zrobiłem tego. Nikt nie powie, że to zrobiłem. - W jego oczach błysnęła
czujność.

- Jak sędzę, wszyscy się zgadzamy, że pan tego nie zrobił, panie O'Reilly.

- Słowo honoru?

- Słowo honoru. Po pierwsze, gdy pana znaleziono, na pańskim ubraniu nie było śladów krwi, a przelano jej bardzo wiele. Wiemy o tym. Interesuje nas jedynie, czy pan coś widział.

- To znaczy, tamtą biegnącą damę? Na sali zrobiło się naraz bardzo cicho.

- Biegnącą damę. - Powtórzył pan Tunks neutralnym tonem.

- Jakaś dama uciekała. Widziałem w świetle księżyca jej jasną suknię. Wyglądała jak duch. Odbiegła od niego i wtedy ta druga dama krzyknęła KŁAMCA!, właśnie tak głośno: KŁAMCA!, i dźgnęła go nożem.

Na sali zapanowało wielkie poruszenie: nikt nie dosłyszał pełnego ulgi westchnienia inspektora Riversa. *Została oczyszczona. On ją oczyścił z zarzutów.*

- Jaka druga dama?

Pan O'Reilly lekko zamroczonym wzrokiem powiódł wokół siebie, po sali. Potem spojrzał znów na pana Tunksa.

- Ta ciemna dama, która... Jest jeszcze dzin? Lecz koroner zrobił się naraz niezwykle energiczny.

- Nie ma więcej dzinu. Wyprowadzić go.

I pan Saul O'Reilly, mamroczący niezrozumiale, został zabrany z sali.

- Wezwać pannę Cordelię Preston - polecił natychmiast pan Tunks.

Konstabl Forrest otworzył drzwi w głębi; inspektor ledwie zdołał spojrzeć w ich kierunku. Cordelii towarzyszyła Gwenlliam. Nie trzymały się za ręce, szły obok siebie, nie dotykając się, z poszarzałymi twarzami, wyczerpane i przytłoczone bólem, na granicy załamania. Gwenlliam usiadła na krześle, szybko zwolnionym dla niej przez jakiegoś dżentelmena, Cordelia samotnie podeszła do krzesła dla świadków, chwyciła się oparcia. Nie zgodziła się usiąść; jakimś sposobem milcząco przekazała obecnym na sali, że będzie się wspierać o to krzesło, lecz nie spojrzy na nie: miejsce, gdzie siedział jej syn. Inspektor Rivers popatrzył na nią, przejęty do głębi jej trudnym do wyobrażenia bólem i odwagą.

I wstrząśnięty uświadomił sobie wreszcie własne uczucia.

Pan Tunks odchrząknął.

- Panno Preston, obecnie lepiej możemy zrozumieć pani wcześniejsze milczenie. Współczujemy także z powodu serii nieszczęść, jakie na panią spadły.

Zwrócił się ku przysięgłym. Miał do powiedzenia coś ważnego. Czuł - mimo swej próżności - że każdy człowiek, mający zasady moralne, powinien to powiedzieć.

- Może się zdawać, że do tragicznych wydarzeń w tej... rozwijającej się przed naszymi oczyma historii... doprowadziły bezpośrednio działania poszczególnych uczestniczących w niej osób; stanowi to swego rodzaju lekcję - znowu odkaszlnął głośno - lekcję dla wszystkich, że podtrzymywanie wartości etycznych oraz dom jako ostoja moralna są kamieniem węgielnym naszego społeczeństwa. Gdy owe moralne prerogatywy zostają złamane, może to jedynie prowadzić do wydarzeń w rodzaju tych, o których mieliśmy nieszczęście zarazem słyszeć, jak i być ich świadkami. Jak sądzę, niektórzy z obecnych na sali powinni wziąć sobie tę lekcję do serca.

Zastanawiał się nad odwołaniem do Boga (wierzył w Niego z największą szczerością), lecz postanowił nie dodawać nic więcej. Cordelia stała, wpatrując się w niego; jej twarz była bez wyrazu, blada.

- Panno Preston, obecnie, na dzisiejszej rozprawie, zrelacjonuje pani, tak jak je pani zachowała w pamięci, wydarzenia poprzedzające śmierć lorda Morgana El-lisa.

Mocno ściskając oparcie krzesła, przedstawiła fakty głosem pozbawionym emocji: swoją przeszłość, coroczne krótkie ogłoszenia w walijskiej gazecie, odnalezienie jej przez Gwenlliam po dziesięciu latach. Jedyne raz głos załamał się jej, gdy próbowała wymówić imię Morgana, opowiadając o jego odwiedzinach, jego pragnieniu zostania malarzem. Jakoś się jednak zdołała opanować i kontynuowała beznamietnie, opowiadając o odwiedzinach Ellisa owego wieczoru, gdy został zamordowany, o rozmowie i o tym, jak udał się za nią na Bloomsbury Square, o ich szarpaninie - niczym w transie zdjęła rękawiczkę, by pokazać otarcia na dłoni - i swojej ucieczce przez plac. O tym, że usłyszała krzyk, odwróciła się i zobaczyła, jak zostaje zasztyletowany. Z w przerażeniu pobiegła do pani Fortune. Heroicznie zakończyła opowieść, po czym zakryła twarz gestem bezbrzeżnej rozpacz.

Rivers spojrzał szybko na monsieur Rolanda. Starzec był całkowicie skoncentrowany na Cordelii, jak gdyby jakimś sposobem nakazywał jej siłą woli (tak się wydawało inspektorowi) przetrwać tę chwilę.

- Czy na placu był ktoś jeszcze? - zapytał cicho pan Tunks. -Z pewnością wieczorem o tej porze zwykle widuje się jeszcze przechodniów?

Zdezorientowana, oszołomiona, opuściła dłonie i próbowała odpowiedzieć, raz jeszcze przywoławszy w pamięci tamten przerażający widok, jeden ze wszystkich innych przerażających widoków; wszyscy chyba rozumieli, ile cierpienia kosztuje ją, by się na nim skupić.

- Wydaje mi się... chyba mógł być... ktoś obok krzaków. - Jej dłoń zatrzepotała niepewnie, ruchem przywodzącym inspektorowi na myśl jego motyle. - Naprawdę nic więcej nie mogę sobie przypomnieć. Ktoś. Nie wiem dokładnie.

- Panno Preston, a więc słyszała pani jakiś głos, zanim się pani odwróciła?

Wpatrywała się w koronera, jak gdyby nie rozumiała pytania. Pod oknem inspektor Rivers znowu poruszył się niespokojnie. Poprzedniego wieczoru w pokojach monsieur Rolanda wciąż jeszcze zachowała nieco sił: teraz zdawała się słaba, zagubiona. Sprężył się cały, gotów jej ruszyć na pomoc; był pewien, że Cordelia zemdleje.

- Na placu - powtórzył pan Tunks. - Czy ktoś coś wołał, krzyczał?

Uniosła rękę ku szyi, jakby próbowała się skupić na słowach koronera; jak gdyby oczyma duszy nie widziała tuż przed sobą swego zmarłego syna.

- Tak - powiedziała w końcu. - Słyszałam czyjeś wołanie.

- Jak brzmiały słowa?

- Ktoś powtarzał słowo „kłamca” - odparła.

Na sali panowała taka cisza, że przez chwilę dało się słyszeć tykanie dużego zegara na gzymsie kominka. Nawet dziennikarze przestali notować. Teraz wszyscy pojęli. To Cordelia Preston była uciekającą damą w jasnej sukni.

Minęło może pięć sekund. Pan Tunks zrozumiał, że jego nadzieje na wysokie stanowisko - również z powodu niedawnej przemowy do zgromadzonych o domu jako moralnej ostoji społeczeństwa - zostaną zniweczone, jeśli zada jeszcze jedno pytanie.

- Dziękuję, panno Preston - powiedział.

Dobiegł go jakiś odgłos, jakby syk, od strony przysięgłych; przewodniczący podniósł się natychmiast.

- Panno Preston - przemówił głośno, nim zdążyła się poruszyć - czy widziała pani, kto zasztyletował lorda Morgana Ellisa?

Wpatrywała się w niego nierozumiejącym wzrokiem. Inspektor Rivers uświadomił sobie, że Cordelia nie pojmuje, gdzie jest ani może nawet kim jest. *Istnieją granice tego, co może znieść istota ludzka.* Przewodniczący ławy przysięgłych powtórzył pytanie.

- Czy widziała pani, kto zasztyletował lorda Morgana Ellisa? Zachwiała się, odwróciła. I wtedy nagle ujrzała przed sobą, w sali na piętrze pubu Pod Kotwicą, wzniesioną ku sobie twarz córki, panny Gwenlliam Preston. Błada twarz dziewczyny przypominała maskę: ona sama mogłaby mieć lat sto albo siedem. Ból rozbłysnął w głowie Corneli i niczym błyskawica. *Morze i piasek, i ukryte skały, chłopiec i dziewczynka, pochyleni nad rybą, piękna dziewczyna z włosami rozwianymi przez wiatr.* Westchnęła ledwie dosłyszalnie; pan Tunks - stojący tuż obok, wstrzymujący oddech w oczekiwaniu na odpowiedź - usłyszał. A potem inspektor Rivers, obserwujący ją z wielką uwagą, spostrzegł, że się ocknęła: ocknęła się i uświadomiła sobie, kim jest, patrząc na twarz córki. Cordelia była córką Kitty i Hester, których niezłomne duchy uczyły ją zawsze podążać przed siebie - bez względu na przeciwności - i znosić wszystko.

- Nie - odparła. - Nie, nie widziałam, kto to był. Znajdowałam się zbyt daleko. Świecił księżyc, lecz były też cienie. Obejrzałam się i zobaczyłam tylko cienie.

Pan Tunks wypuścił powietrze z płuc.

- Dziękuję, panno Preston - powiedział znowu. Przewodniczący przysięgłych nie chciał pozwolić na przerwanie indagacji. Poczul jednak wwiercające się w niego spojrzenia sir Francisa Willoughby'ego i pana Tunksa. Nie był takim głupcem, by ryzykować pomówienie w również naładowanej atmosferze.

- Bloomsbury Square nie jest duży, panno Preston. Czy możliwe, by był to ktoś pani znany?

- Nie widziałam.

Nim koroner zdążył się wtrącić, powtórzył pytanie innymi słowami:

- Jest pani pewna, że nie był to ktoś pani znany?

Usłyszała głos monsieur Rolanda: *Lord Morgan Ellis wyrządził wiek szkody tym, którzy go kochali.*

Cordelia Preston zobaczyła ich przed sobą w szeregu: *Ona sama. Manon. Gwenlliam. Morgan.* I w tym samym rzędzie: *Lady Rozamunda Ellis.*

- Nie - oznajmiła. - Nie był to nikt mi znany. - *Jakie to ma teraz znaczenie? Co dobrego przyjdzie z tego, jeśli podam nazwisko?*

- Jest pani pewna, panno Preston?

- Tak. - *Nie mogą zajrzeć do mojej głowy.* Śmiało spojrzała na przysięgłych, na pana Josepha Manleya, który wyciął dla niej nowe szklane gwiazdy, na wszystkich tych, którzy już ją osądzili, choć nie za morderstwo. - Obejrzałam się. Lecz widziałam tylko cienie.

Inspektor Rivers opuścił spojrzenie na podłogę. *Niech tak zatem będzie.*

W sali trwała cisza, jakby rozprawa jeszcze się nie skończyła. W końcu przewodniczący ciężko opadł na krzesło.

Pan Tunks czuł bicie swego serca; pochwycił spojrzenie sir Francisa Willoughby'ego, odkaszlnął raz jeszcze. Zwrócił się do nagrzanego, dusznego, zatłoczonej sali, jak zwykle przesyconej odorem ludzkich ciał.

- Składanie zeznań podczas niniejszego dochodzenia zostało zakończone - oznajmił. Następnie zwrócił się do swego pomocnika: - Będzie pan trzymał przysięgłych w niniejszym dochodzeniu bez dostępu do mięsa, napoju i ognia; nie zezwoli pan nikomu rozmawiać z nimi, chyba żeby ich spytać, czy uzgodnili orzeczenie, gdy już je uzgodnią. Tak panu dopomóż Bóg.

Nim przysięgli wrócili, upłynęło niemało czasu. Ich deliberacji nie słyszał nikt, nawet pomocnik koronera, strzegący drzwi ciasnej, niewygodnej izdebki, dobiegał go jednak nieprzerwany szmer głosów.

Przez cały dzień zimna mgła leżała ciężko nad cuchnącym miastem i ściemniło się, nim siedemnastu mężczyzn weszło z powrotem na salę.

- Czy dwunastu z was jest zgodnych co do orzeczenia?

- Trzynastu.

- Jak ono brzmi?

Lampy zamigotały; obecni z rozmaitych powodów wstrzymali oddech; na dole życie toczyło się zwykłym trybem, w ciszy panującej na sali słyszać było jego dolatujące na górę hałaśliwe echa. Siedemnastu mężczyzn, po większej części porządnych i uczciwych ludzi, spełniło swój obowiązek (przy czym zgłodnieli, przemarli i marzyli, by nareszcie wrócić do prawdziwego życia, znaleźć się jak najdalej od całego tego pogmatwanego nieszczęścia).

- Uznajemy, że lord Morgan Ellis został zamordowany. - Tu przewodniczący zrobił pauzę i dodał z pogardą: - Przez osobę lub osoby nieznane.

Wygłosił orzeczenie (tak jak to sobie zaplanował, ku zażenowaniu pana Tunksa) w sposób sugerujący, że wynik dochodzenia jest nie do końca satysfakcjonujący.

Lecz dochodzenie nareszcie dobiegło końca.

Diuk Llanefydd doszedł do siebie i wrócił na Grosvenor Square. Dom opuścili wszyscy dotychczasowi mieszkańcy. W klubie miał pewne nieprzyjemności. Kazał więc zamknąć wielkie, puste domostwo i wściekły wyjechał do Walii, której nienawidził, choć był posiadaczem znacznej jej części.

25

Choć dochodzenie zostało zakończone, nazajutrz, mimo pogody, tłumy przed domem Cordelii i Rillie się nie zmniejszyły; to było najlepsze morderstwo od lat i gapie chcieli raz jeszcze zobaczyć z bliska lubieżne bezwstydnice, a szczególnie magnetyzerkę: pili dzin, po czym zapragnęli zostać zmesmeryzowani. Pogrzebu Morgana zapewne nie można by urządzić w położonej najbliższej parafii św. Jerzego w Bloomsbury, nawet gdyby - rzecz bardzo mało prawdopodobna - zgodził się na to ich znajomy proboszcz. Cordelia i Gwenlliam płakały, że chłopiec spocznie daleko od nich.

- Nie można go pochować nigdzie w okolicy - oznajmił monsieur Roland. - Tłumy uczyniłyby to dla was rzeczą nie do zniesienia.

Z pomocą inspektora Riversa i konstabla Forresta ciało zabrano z izby w pubie Pod Błękitnymi Słupami przy Little Russell Street, gdzie przeprowadzono obdukcję, do niewielkiego kościółka obok zajazdu Pod Słoniem. Tam też tego samego mroźnego popołudnia odbył się pogrzeb; w chwili gdy wchodzili do kościoła, słońce próbowało zabłysnąć, jakby chciało ich podnieść na duchu.

Była to skromna ceremonia, lecz uczestniczył w niej pan Joseph Manley, szklarz z ławy przysięgłych, który najpierw zapytał Rillie o pozwolenie. Uścisnęła jego dłoń z wdzięcznością i powiedziała, by przyszedł, stał zatem z kapeluszem w dłoni. Inspektor Rivers i konstabl Forrest przybyli także. Zjawiała się pani Hortensja Parker, aptekarka, i na chwilę przytuliła mocno Corderie. Oprócz tego była obecna w kościele Annie, ich przyjaciółka aktorka z dawnych lat, którą widywały obdartą i smutną na Oxford Street; wynajmowała skromną izdebkę niedaleko zajazdu Pod Słoniem, przypadkiem zauważyła Cordelię i Rillie w żałobie, wchodzące do kościoła, a ponieważ czytała gazety, domyśliła się reszty. Stała w głębi, przytrzymując cienki szal dłonią w wytartej rękawiczce; nie chciała się na-

rzucać. Pastor prosił Boga o wybaczenie grzechów świata i o życie wieczne dla duszy panicza Morgana Prestona, jednego z Jego dzieci.

- Czy mógłby pan jakoś pomóc przynajmniej Gwenlliam? - szepnęła Rillie do monsieur Rolanda.

- Kiedy będzie gotowa - odparł cicho.

W końcu, na dziedzińcu kościelnym, monsieur Roland i Rillie stanęli po obu stronach Cordelii i Gwenlliam, które szlochały bez końca w to zimne popołudnie, oplakując wszystko, co się wydarzyło, i wszystko, co utraciły. Płakały, aż dosłownie zabrakło im łez, a potem trumnę opuszczono do grobu i było po wszystkim.

26

Po pogrzebie monsieur Roland podał im herbatę w swoich pokojach przy Cleaver-street. Każdemu po kolei wręczył piękną, starą, francuską dużą filiżankę; dłonie drżały mu lekko.

A potem wrócili do domu przy Bloomsbury, bo cóż innego im pozostało? To zmarli umierają i odchodzą; żywi musieli wrócić do domu, gdzie Regina i pani Spoons czekały, by się nimi zająć. Gapie przed domem targali dzwonek, hałaśliwie domagając się uwagi; ciskali łajnem i kapustą, w rynsztoku poniewierały się butelki, psy czekały, sprzedawano paszteciki i ptaki w klatkach, ktoś dzierżył wysoko w powietrzu tablicę z napisem POKAJAJ SIĘ.

Przerażeni sąsiedzi zaciągnęli story.

- Zrób mnie, paniusiu! Zrób mnie, paniusiu! - wrzeszczano z tłumu, kiedy inspektor Rivers i konstabl Forrest - którzy towarzyszyli Cordeiii, Rūhe i Gwenlliam w drodze do domu, czujni na to, co się może wydarzyć - wprowadzali je do środka; zmierzchało, mgła się kłębiła i tłum szemrał gniewnie, nieusatisfakcjonowany. Ktoś cisnął sporym kamieniem w okno od frontu; usłyszały, jak szkło się rozprysło. Regina wykrzykiwała gniewnie z góry. Inspektor Rivers aresztował pijanego młodzieńca, a konstabl Forrest odstawił go na posterunek; motłoch obrzucał teraz kamieniami policjanta, bo nienawidził wszystkich przedstawicieli władz porządkowych.

Zapadła noc. W końcu tłum rozproszył się niechętnie; inspektor Rivers upewnił się, że najgorsze minęło, i wrócił do środka. Znalazłszy się na chwilę sam na sam z Cordelia w przestronnym pokoju do pracy, tym z wybitym oknem, pomógł jej zasłonić otwór, przybijając zasłonę do ramy i obiecał przynieść kawałek deski wieczorem. Wszędzie leżały odłamki szkła; odbijały migotliwe światło świecy ku szklanym gwiazdom na suficie. Pokryta numerami, marmurowa głowa Alphonse'a spoglądała beznamiętnie. Inspektor podniósł największy kawałek wybitej szyby i wyprostował się.

- Nie uznała pani za stosowne powiedzieć całej prawdy, panno Preston.

Na klęczkach próbowała pozbierać szkło; nie odpowiedziała. Jeśli westchnął, nie usłyszała tego. Nie było sensu mówić nic więcej; jak wiedział, nie był to pierwszy raz, gdy prawda nie została ujawniona; nie będzie to też pierwszy raz, gdy wydział detektywistyczny zostanie skrytykowany we wstępniaku „Timesa”.

- Cóż, teraz już wszystko skończone.

- Mówi pan o dochodzeniu. Nie o reszcie mojego życia. - Ale powiedziała to obojętnie.

- Dlaczego ją pani chroniła?

- Nie chroniłam jej. Chroniłam Gwenlliam.

Był policjantem, wiedział, że sprawiedliwość nie zatryumfowała, lecz mimo to skinął głową ze zrozumieniem. Poprzedniego dnia w sali na piętrze prawie wszyscy odwracali wzrok: od twarzy matki, od twarzy dziewczyny. Wbijali wzrok w podłogę, nie mogąc znieść widoku tak wielkiego bólu.

- Co pani teraz robi?

- Nie mam pojęcia. - Rozpacz i wyczerpanie kazały jej odpowiedzieć niemal niegrzecznie. Rivers drążył uparcie.

- Panno Preston. Nauczyłem się przez ten czas darzyć panią wielkim szacunkiem i poważaniem.

W myślach przebywała bardzo daleko od niego, zrozumiała jednak, że tym sposobem inspektor stara się jej wynagrodzić swoje przerażenie i rezerwę po rewelacjach panny Choodle, i była mu za to wdzięczna. Wspomniała przelotnie, jak wraz z Rillie wybuchały tłumionym śmiechem w wypożyczalni. Pomyślała o desperacji niektórych młodych kobiet: także panny Lucindy Choodle. Nie mogła myśleć o Manon. Zmusiła się, by na chwilę podnieść wzrok na Riversa.

- Dziękuję - szepnęła, starając się okazać uprzejmość. Nie mogła powiedzieć nic więcej na ten temat, zaczęła więc mówić o czym innym.

- Doceniamy pańskie wsparcie i pomoc przy pogrzebie... pogrzebie... - musiała wymówić to imię... - Morgana dziś po południu -*Morgan z udręczoną twarzą, targany bólem* - dziękuję, nie poradziłybyśmy sobie bez pana.

Odparł:

- Obawiam się, że pani sytuacja będzie teraz bardzo trudna. Dochodzenie było okrutnym doświadczeniem. Zastanawiam się, czy zgodziłaby się pani mnie poślubić?

Te słowa tak ją zaskoczyły, że jej szara twarz oblała się rumieńcem. Wolno wstała z podłogi wpatrzona w niego, trzymając ostre odłamki szkła niczym broń.

- Poślubić? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tak - potwierdził zdecydowanie. Nie bez kozery przemierzał o świcie szare brzegi Tamizy.

- Ale... - Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź. - Jest pan żonaty... z pewnością słyszałam, jak pan wspominał o żonie.

- Moja żona nie żyje, panno Preston. Zmarła przed czterema laty.

- Och. Współczuję - odparła machinalnie.

I machinalnie wróciła do zbierania szkła. Na dworze ostatni sprzedawca pasztecików zachwalał bez przekonania towar i psy poszczekiwały w ciemności.

- Mówię o tym teraz - on także schylił się po kolejne odłamki -w tak niestosownym... wiem o tym... czasie, bo sądzę, że bardzo niedługo będzie pani musiała podjąć liczne decyzje. Posiadam niewielki dom w Marylebone. Byłaby tam pani miłe widziana... i Gwenliam też, naturalnie. Uważałbym za honor okazać się przydatnym wam obu; uważam, że wykazała się pani niewyobrażalną odwagą. -Urwał, nie tyle czekając na odpowiedź, ile pogrążony we własnych myślach. - Jak pani widziała, po większej części zdołałem wypełnić sobie życie pracą, jako że nowy wydział detektywistyczny pochłania wiele czasu. I raz jeszcze - w jego głosie zabrzmiała ironia - nie odnieśliśmy sukcesu.

Podniosła na chwilę wzrok. Nie pomyślała o tym.

- Bez wątpienia zostaniemy postawieni przez prasę pod pręgierzem, lecz to dla nas nie pierwszozna. Nie składam propozycji z rycerskości... choć widzę, co się stało z pani reputacją i interesem... lecz ponieważ... jak się zdaje, nie potrafię pani wymazać z myśli. Ja... - To on poruszył znowu niewymawialną kwestię; ciągnął z uporem, mimo trudności... - ...podobnie jak wszyscy byłem wstrząśnięty... informacjami ujawnionymi przed sądem. Lecz od tamtej pory... refleksje wzięły górę nad oburzeniem. - Nie pomogła mu, brnął dalej: - Jestem przekonany, że...

usługa, jaką oferowała pani młodym damom, jest boleśnie potrzebna. Sam mam córki i byłbym więcej niż zadowolony, znając kogoś o pani... sile charakteru... kto by z nimi porozmawiał o sprawach, o których ja nie mogę.

Mówiąc to, cały czas zbierał szkło.

Cordelia, choć był to dzień pogrzebu jej syna, uśmiechnęła się lekko; uśmiechlifrozjaśnił na mgnienie jej twarz. Policjant z wydziału detektywistycznego oczywiście nie mógł poślubić kobiety upadłej, lecz było niezwykle miłe z jego strony, że się zaofiarował.

- Inspektorze Rivers, naturalnie porozmawiam z pańskimi córkami, jeśli pan sobie tego życzy. Nie musi się pan ze mną żenić, by uczynić taką poradę przyzwoitą!

- Nie o to mi chodziło. - Zawahał się. - Obawiam się, że moje córki wyszły za mąż, nie mając sposobności porozmawiać z moją żoną lub... kimś takim jak pani.

Zrozumiała, być może, zmagania i trudności samotnego mężczyzny. Lecz zaraz Rivers uśmiechnął się także.

- Chciałbym panią poślubić, bo... nie mogę, jak wspomniałem, wymazać pani z myśli. Może powinienem powiedzieć: z serca. Wolałbym zapytać w stosowniejszej chwili, lecz ponieważ wiem, że będzie pani musiała dokonać zmian i planować, chciałem zaszcześcić w pani umyśle tę ideę. Nie będę nalegał na szybką odpowiedź, lecz oferta jest aktualna i... i pani osoba oraz to, co panią spotyka, nie przestało mi być obojętne; zaskoczyło mnie to nie mniej niż panią. Wrócę z deską, żeby zasłonić okno.

Szybko podniósł ostatni kawałek szkła, uśmiechnął się znowu przelotnie i wyszedł. Słyszała, jak zamykają się drzwi frontowe. Słyszała też, jak Regina czyta na głos na piętrze, lecz nie mogła odgadnąć, jaki to biblijny fragment.

Trzy kobiety znajdowały się w małym saloniku, wychodzącym na ogród z kamiennym aniołem; Rillie rozpałała ogień, więc zrobiło się ciepło; siedziały wraz z Gwenlliam, gdy Cordelia się do nich przyłączyła. Nie wspomniała o inspektorze Riversie; nawet o nim nie myślała. Trwały tak, cierpiące i wyczerpane, ledwie wiedząc, o czym rozmawiać. Przyjaciółki nie mogły znieść widoku twarzy Gwenlliam: kości jakby się uwydatniły, biała skóra zdawała się na nich napięta niemal jak - nie wolno tak myśleć - u zmarłej. Tak gruntownie jednak wychowano ją na damę, że mimo to odpowiadała uprzejmie, kiedy się do niej zwracano. Jak gdyby nie cierpiała. Jak gdyby jej twarz nie stanowiła karykatury tego, czym

powinna być twarz młodej dziewczyny. Jak gdyby oczyma wyobraźni nie widziała brata.

- Jak się czujesz?

- Dobrze, dziękuję. - Lecz zdawała się nieobecna duchem.

Ptak zaśpiewał w ciemności, co wydawało się dziwne. Rillie, desperacko szukając słów, czegokolwiek, rozważała, czy ptaki wiedzą, jak wspaniałą rzeczą jest latać: opowiedziała, jak fruwała w powietrzu w Hull, wspomniała nawet o oświadczeniach w powietrzu przed wieloma laty i spostrzegła, że Gwenlliam słucha ze zdumieniem nieprawdopodobnej historii.

- Naprawdę tak było - przekonywała - oświadczył mi się w powietrzu. - I uśmiechnęła się. - To było niezwykle romantyczne! Ale zdarzyło się tak dawno temu.

Cordelia widziała drobną, bladą pełną udręki twarz w nocy; widziała idącą nawą pannę młodą, tak piękną z dyskretnym wyrazem tryumfu; widziała opadający kaptur płaszcza i słyszała krzyk mężczyzny i krzyk kobiety. KŁAMCA, KŁAMCA, KŁAMCA. Ledwie mogła znieść widok córki. *Co się dzieje w głowie Gwenlliam?* Miała tylko szesnaście lat. Straciła ojca, siostrę i brata, wszystkich naraz. I dawny sposób życia. Trzeba by cudu, by jej teraz zapewnić utrzymanie; Cordelia nie wiedziała, czy odnalezienie rodzonej matki było wystarczającym cudem. Nie wiedziała, jak daleko wolno jej się posunąć; trzymała tylko dłoń dziewczyny w swojej, aby Gwenlliam wiedziała, że matka jest tutaj, obok niej. W desperacji, powstrzymując się przed spoglądaniem raz po raz na obraz na ścianie, zaczęła nagle opowiadać o własnej matce, Kitty, babce Gwenlliam. Mówiła, jak Kitty przynosiła do domu pod płaszczem przedmioty ukradzione z teatru: lśniące klejnoty, buty na laski pana du Ponta. Gwenlliam pochyliła się do przodu, słuchając w skupieniu; kiedy Cordelia opisywała, jak Kitty i Hester balansowały na krzesłach, by przymocować fragment skradzionego nieba do sufitu w suterenie, dziewczyna wydała cichy odgłos. Był to swego rodzaju śmiech.

Wieczór należało jakoś przetrwać, nie mogły zostawić jedna drugiej samotnie z własnymi myślami. Rillie wstała nagle i przyniosła butelkę porto. Wydawało się, że minęły wieki, odkąd siedziały tu z Cordelia, popijając wino i śpiewając. Gwenlliam machinalnie upiła łyk, stwierdziła, że podoba jej się fala ciepła spływająca do gardła, i napiła się więcej. Ledwie dostrzegalny rumieniec wypłynął na jej policzki. Rillie oprócz porto przyniosła flet i zagrała Schuberta. Gdy matka i córka słuchały słodkiej muzyki, po ich twarzach płynęły łzy, lecz także łzy

przyniosły im ulgę po okropnych szlochach nad trumną. Rillie skończyła grać i zapytała Gwenlliam, czy umie śpiewać.

- Owszem - odparła dziewczyna cicho, uprzejmym tonem. - Śpiewałaś, mamó, potem nuciłam te piosenki. - Głos zadrżał jej tylko trochę. - Nuciłam Morganowi, żeby go podnieść na duchu, bo był taki nieszczęśliwy, kiedy... wyjechałaś. A później nasza pierwsza guwernantka była Francuzką.

- Prawdziwa Francuzka? W północnej Walii?

- Pochodziła z Paryża, tak mówiła. Mademoiselle Jacques.

- Co tam robiła dama z Paryża?

- Nigdy jej nie spytaliśmy - odparła Gwenlliam. - Cały czas pochłaniało nam bycie niegrzecznymi. Ale nauczyła nas pewnej piosenki, podobno o jej ojcu, choć nie sądzę, by mówiła prawdę, była wtedy nietrzeźwa.

Jeśli te słowa je zaskoczyły, nie dały nic po sobie poznać, po prostu siłą woli pomagały jej kontynuować opowieść. Miały przed sobą szesnastoletnią dziewczynę, dokonującą niewyobrażalnego wysiłku, by pozostać przy zdrowych zmysłach. Po chwili bardzo, bardzo cicho, niemal bohatersko Gwenlliam zaczęła śpiewać.

Frère Jacques, Frère Jacques, Dormez-vous, dormez-vous?

Sonnez les matines, sonnez les matines Ding dang dong, ding dang dong.

- A Morgan zwykł... - Urwała nagle.

- Mów dalej - zachęciła Cordelia, lekko dotykając jej ręki. Zacerpnęła głęboki oddech, patrząc na obraz na ścianie. - Uważam, Gwennie, że powinniśmy rozmawiać o nim i Manon, nie milczeć.

I znowu dziewczyna, widziały to, zrobiła ogromny wysiłek.

- Morgan zwykł udawać dzwonki. Ding, dang, dong. Dzwonił w butelki wypełnione wodą do różnej wysokości, by na nich odgrywać melodię. Sam to wymyślił, uważałam to za bardzo sprytne. Nasi służący byli niewyczerpanym źródłem butelek.

Teraz Cordelia i Rillie wyglądały na naprawdę zbite z tropu.

- Och... tylko na początku. Mieliśmy - upiła łyk porto - dwoje nietrzeźwych walijskich służących i nietrzeźwą francuską guwernantkę, bo zanim papa przywiózł z wizytą lady Rozamundę, która po długich namysłach orzekła, że możemy

zostać ich dziećmi, nikt nie wiedział, co z nami począć. - W umyśle Cordelii błysnęło: *KŁAMCA! KŁAMCA!*, *kaptur płaszcza zsuwający się z głowy*. - I... i nigdzie w pobliżu nie było morza, więc z początku nie wiedzieliśmy, jak bez niego żyć.

Milczała jakiś czas. Cordelia i Rillie siedziały bez słowa, modląc się, by znalazła siły i mówiła dalej.

- Byliśmy dość niesforni, jak mi się zdaje, i... stęsknieni za tobą, mamó, i zagubieni. Szczególnie biedny Morgan. - Znowu urwała. -Mamo... przepraszam... zapewne powinnam ci powiedzieć, jak poważne były te nowe bóle głowy. Lekarz w Walii mnie ostrzegął, ale...

Cordelia wydała cichy dźwięk i dziewczyna ciągnęła dalej; mówiła teraz szybko, jakby chciała wypełnić wieczór innymi wspomnieniami.

- A więc kiedy pewnego dnia przybyła mademoiselle Jacques, pijaństwo w kuchni osiągnęło niespotykane wcześniej rozmiary, więc biegaliśmy samopas, całkiem bez opieki, i myślałam nieraz, że stajemy się niemal jak dzikie zwierzęta. Lecz lady Rozamunda zmieniła wszystko. Walijskich służących oddalono i mademoiselle Jacques również. Dostaliśmy nauczycieli i pokojówki i staliśmy się bardzo porządni. - Upiła jeszcze wina, jakby to ono pozwalało jej mówić. - Podśluchaliśmy, jak papa mówił lady Rozamundzie, że nie żyjesz. Myślę... jak już mówiłam, myślę, że nie mogła mieć dzieci, i dlatego jej nas zaprezentowano. Oglądała nas niczym konie, zaglądała nam w zęby. Papa chciał z nią niekiedy przyjeżdżać do Walii, ale się nie zgodziła; nienawidziła Walii, powtarzała to po wielekroć, nie mogła znieść oddalenia od Londynu, od towarzystwa. Zobaczymy, powiedziała do papy. Zaczekajmy, aż dojrzeją. Jakbyśmy byli serem.

Nigdy wcześniej nie opowiadała tak wiele o dniach z przeszłości. Cordelia i Rillie ledwie ośmielały się oddychać; nie wiedziały, czy powinny zerwać czar, czy czekać. Znow zapadło milczenie.

Gwenlliam znów pociągnęła spory łyk porto.

- A pani śpiewa, Rillie? - spytała, jak przystało na uprzejmą młodą damę, jaką starała się być.

- Nie słyszałaś nas nigdy śpiewających? - rzuciła Rillie lekko.

I natychmiast, jakby instynktownie pojmując, że teraz jej kolej, zaczęła nucić także.

*Max Welton piękne łęgi miał, Gdzie ranna rosa padała,
Tam słodka Annie Laurie Serce mu swe oddała.*

Wciąż miała piękny głos i dziewczyna utkwiała w niej spojrzenie.

- Kto to był Max Welton? - zapytała i speszyła się, bowiem matka i Rillie wydały dźwięk, jakby - niemal - się zaśmiały.

- Myślę, że Maxwelltown to miejsce - wyjaśniła Rillie - ale z początku sądziłyśmy, że chodzi o jakiegoś dżentelmena, Maksa Weltona, do którego należały owe łęgi, czymkolwiek są!

- Ja wiem - odparła Gwenlliam - to podmokła łąka nad rzeką.

- No więc widzisz! - zawołała Rillie. - Należąca do Maksa Weltona.

Zaczęła śpiewać znowu; tym razem Cordelia, z początku drżącym głosem, przyłączyła się także.

*Wiruję jak bąk i tańczę w krąg, hej ho,
Gdy krążę wśród was, to skaczę - o, tak - Jim Crow.*

Dolały wina do kieliszków i opowiedziały Gwenlliam o wyprawie do szpitala, sławnym profesorze oraz licznych doktorach i dziewczynie w koszuli nocnej, która śpiewała i tańczyła, i o tym, jak stopniowo zainteresowały się mesmeryzmem. Gwenlliam bardzo szybko opróżniła kieliszek.

A potem zapytała:

- Czy to lady Rozamunda zabiła papę?

Pytanie zawisło w powietrzu obok obrazu Gwyr. Cordelia nie odpowiedziała od razu. *A więc się domyśliła.* Zrozumiała, że jeśli Gwenlliam ma odzyskać równowagę, należy skończyć z tajemnicami. Wciąż jednak nie potrafiła odpowiedzieć wprost: dziewczyna z pewnością tego nie zniesie.

- Gwennie, cokolwiek się stało, musimy pamiętać... zresztą wiesz o tym sama... słyszałaś... powiedziano jej, że umarłam. Nie wiem, jakim sposobem odkryła, że żyję, ani jak trafiła na Bloomsbury Square.

Dziewczyna wpatrywała się w nią. Cordelia spróbowała ponownie.

- Jej... kaptur zsunął się z głowy.

Gwenlliam wciąż czekała. Wreszcie Cordelia znalazła właściwe słowa.

- Widziałam, że to ona.

Usłyszały, jak dziewczyna wypuszcza oddech w długim westchnieniu.

- Czemu nie powiedziałaś?

- Och, Boże, chciałam, żeby to się skończyło, chciałam cię chronić od dalszych wstrząsów. Musimy o niej zapomnieć. *Musimy*. Oszukano ją. Zemściła się w przerażający sposób... na tobie, na nim... na nas wszystkich.

Przez chwilę cisza rozbrzmiewała w pokoju niczym przeraźliwy krzyk; blask ognia padał na napięte, blade twarze.

- Ale... chodzi też o coś więcej. Ja... przez wiele lat użalałam się nad sobą z... powodu tego, co straciłam. Gdy jednak zrozumiałam, że ona nie wiedziała o moim istnieniu i także została zdradzona, a nigdy nawet nie zaznała radości... - Cordelia urwała, wiedziała jednak, że musi dokończyć. - My mieliśmy tamte szczęśliwe lata. Ostatecznie jakie ma dla nas znaczenie, czybym zeznała, że to była ona? Manon nie żyje. Morgan nie żyje. To nasza prywatna, tragiczna historia. Ona... była jak w szale, krzyczała KŁAMCA i zadawała ciosy. Koniec końców zaczęłam współczuć jej także.

- Czemu woda płynie po ścianie?

Spostrzegły, że Gwenlliam spogląda w górę szeroko otwartymi oczyma. Jak obłąkana.

Żołądek Cordelii skurczył się ze strachu. Powiedziała zbyt wiele. Popełniła błąd. Nie powinny pić porto. Obie z Rillie z przerażeniem pomyślały, że to był ostateczny wstrząs; że dziewczyna straciła rozum.

- Gwennie... - zaczęła niepewnie.

- Woda płynie po ścianie - powtórzyła Gwenlliam i wtedy obie kobiety także podniosły wzrok i zobaczyły, że woda w istocie lala się, i to dość szybko, po jednej ze ścian salonu. Utkwiły w niej wzrok z niedowierzaniem.

- Regina! - zawołała Rillie, której zaświtało wyjaśnienie. Woda spływała z góry. - Och, na miłość boską! Sądziłam, że do tej pory klozet zdążył jej się znudzić!

Wszystkie trzy wbiegły na piętro. Regina nie bawiła się waterklozetem od miesięcy, w rzeczy samej się nim znudziła. Dziś jednak, gdy wszyscy byli na pogrzebie, stęskniwszy się w końcu, porzuciła Biblię i wypuściła się wśród latawców, dzinu i gapiów na ulice parafii św. Egidiusza, gdzie nabyła jedno ze swych ulubionych groszowych pisemek. Szczęśliwie trafiło się właśnie kolejne morderstwo: ubiegłej nocy jakaś kobieta ucięła mężowi głowę i wozila ją omnibusem po Camden Town owiniętą w papier; bardzo satysfakcjonująca historia. Regina jednak, już zirytowana przez grubiański tłum przed domem, wpadła w bezmierną wściekłość, widząc, że do zilustrowania nowego artykułu wykorzystano ten sam drzeworyt z wizerunkiem wiedźmy, którym się posługiwano, by szkalować Cor-

delię. Poczła się tak dotknięta przypomnieniem ich niedawnej niedoli, że dostała jednego ze swych napadów niepowstrzymanej furii, podarła gazetę na drobne strzępki i próbowała spuścić ją w waterklozecie. Woda była wszędzie i setki małych zadrukowanych kawałeczków papieru unosiły się w korytarzu.

- Łajdaki! - krzyczała Regina, szarpiąc za sznur od spłuczki. Pani Spoons, bawiąc się doskonale, siedziała na sedesie przemoczona do nitki i chlapała stopami w wodzie jak mała dziewczynka.

- Na wrota piekielne - wykrzyknęła Cordelia. - Przestań! Poczytaj nam coś z Pisma Świętego, proszę! Wróć do Pana, na miłość boską!

Regina wypadła jak burza. Cordelia, zawstydzona, natychmiast ją przeprosiła, objęła i podziękowała za podarcie gazety:

- Dobra z ciebie i lojalna przyjaciółka! - zawołała. - Wybacz mi, wybacz, bez ciebie nie dałybyśmy sobie rady!

Potem wraz z Rillie i Gwenlliam na kolanach zabrały się do sprzątania; w tej właśnie chwili inspektor Rivers, z kawałkiem deski do zasłonięcia wybitego okna pod pachą, zadzwonił do drzwi domu przy Bedford Place.

Widok trzech kobiet, które tyle wycierpiały, w oparach porto niemal ze śmiechem wycierających podłogę, zaskoczyłyby człowieka obdarzonego mniej subtelnym instynktem. Inspektor jednak przywykł szukać innych oznak: spostrzegł, że śmiech maskuje łzy; zdjął kapelusz, płaszcz i rękawiczki, po czym energicznie zabrał się do zbierania wody spływającej po ścianie.

27

Nie było żadnych wątpliwości, że interes mesmerystyczny w Bloomsbury upadł.

Skończył się mesmeryzm, skończyła się frenologia, rozmowy o zgodności charakteru przyszłych małżonków i z pewnością skończyły się definitywnie subtelne zawiłości. Z początku, a jakże, pojawiali się klienci. Lecz nie ich dawni klienci: nie młode damy z May-fair. Przez cały ów pierwszy tydzień ludzie pukali do drzwi w nadziei na konsultację, by móc potem rozpowiadać, że widzieli osławioną pannę Cordelię Preston. Pary chichotały z zawstydzeniem, przesłaniając usta dłońmi, lecz magnetyzerka nie przyjmowała nikogo i ani słowem nie wspominała

o nocach poślubnych. Jeden z niedoszłych klientów okazał się współpracownikiem „Illustrated London News”, co głęboko nimi wstrząsnęło (był to bowiem niezwykle przyzwoity nowy ilustrowany magazyn). Stawało się coraz bardziej oczywiste, że nikomu z towarzystwa nie uchodzi odwiedzać miejsca cieszącego się tak złą opinią. Dawni klienci jakby się rozplynęli w powietrzu. Obecnie nawet lady Alicja Taverner, diuszesa Ardena, nie mogłaby przyjść Cordelii z pomocą: byłoby to nie do pomyślenia. Cordelia została wykluczona z przyzwoitego towarzystwa. Przestała istnieć. Zdolność koncentracji, tak istotna w jej pracy, opuściła ją. *Wciąż na nowo widziała sterczące chłopięce włosy i oczy błyszczące na myśl o Ameryce; widziała idącą nawą pannę młodą, tak piękną, z dyskretnym wyrazem tryumfu na twarzy; widziała opadający kaptur płaszcza i słyszała krzyk mężczyzny i krzyk kobiety KŁAMCA, KŁAMCA, KŁAMCA.*

Pod koniec tego tygodnia Rillie pod osłoną zmroku odkręciła niewielką tabliczkę, z której były kiedyś tak dumne; Nellie została poinstruowana, by nie otwierać drzwi. Życie w Bloomsbury dobiegło końca.

Rillie natychmiast zakrzętała się w poszukiwaniu tanich pokoi.

- Nie możemy tu zostać, nie stać nas na mieszkanie tutaj - oznajmiła wszystkim, a jej twarz, zwykle tak radosna, przybrała posępny wyraz.

Przyszłość była zbyt przerażająca, by choćby zastanowić się nad nią gruntownie. Wyobrażały sobie przytułek przy Vinegar Yard: blade z zimna, wyczerpane twarze biedaków; bieda stanowiła przestępstwo. Dobrze pamiętały żebraków, którym zawsze rzucały półpen-sówki na szczęście. Nie wiedziały, co myśli Gwenlliam, bo dziewczyna przez większą część czasu milczała i tylko patrzyła; czy wspominała prorocze słowa Cordelii, wypowiedziane przed domem przy Grosvenor Square? „Świat dzieli się nie tylko na bogatych i biednych, lecz także na ludzi przyzwoitych, i tych, którzy przyzwoici nie są: to najgłębszy podział”. Inspektor Rivers pracował nad kolejnym morderstwem (MORDERSTWO OMNIBUSOWE W CAMDEN TOWN); odwiedzał Bedford Place, kiedy tylko mógł; jego listu z oświadczeniami nie otwarto; nawet o nim nie mówiono, mógłby bowiem przyjąć Cordelię i Gwenlliam, lecz pozostawały Rillie, Regina i pani Spoons. Cordelia nie wspomniała o niczym domowniczkom. Przyszedł w odwiedziny monsieur Roland z Cleaver-street.

- Zajrzałem do chłopca - powiedział życzliwie, i było to naprawdę życzliwe, ponieważ nie wierzył w przyszłe życie. Spojrzał w zamyśleniu na przerażającą twarz Gwenlliam, córki siostrzenicy panny Hester Preston. - Proszę przejść się ze

mną do Kennington - zwrócił się do dziewczyny. - Odprowadzę panią z powrotem dziś wieczorem.

Ulga dwóch pozostałych kobiet była tak ogromna, że nie potrafiły jej ukryć. Użyje swych mocy uzdrawiających: zmesmeryzuje ją i pomoże znieść ból.

Pierwszy raz od dochodzenia Cordelia i Rillie zostały naprawdę same.

- Rillie!

- Wiem!

Za zaciągniętymi zasłonami i zamkniętymi okiennicami siedziały w pokoju ozdobionym szklanymi gwiazdami, lustrami i Alphonse'em: pokoju, który nie pełnił już żadnej funkcji. Cordelia rozejrzała się wokół.

- Co robić?

- Nie mamy żadnego cholernego wyboru, Cordie. Po pierwsze, musimy opuścić ten dom najszybciej, jak się da.

- Ale dokąd się przeniesiemy?

- Niedaleko zajazdu Pod Słoniem - odparła przyjaciółka - Na Kennington Lane. - Była niewzruszona. Zignorowała wyraz przerażenia na twarzy Cordelii. - To jedno z najtańszych miejsc w Londynie i będziemy miały blisko do monsieur Rolanda.

- Tam nie dostaniemy przyzwoitej pracy! Myślisz, że o nas nie słyszeli? I Gwenlliam nie może mieszkać w takiej okolicy! Musimy się przeprowadzić gdzieś, gdzie będziemy mogli pracować. Jak sądzisz, słyszeli o nas w Szkocji?

- My słyszałyśmy o ich rabusiach grobów. Zapewne w chwil obecnej subtelne zawiłości nocy poślubnej przyniosły nam tam równie wielką sławę.

- Rillie, przestań!

- Nie chcesz stawić czoła faktom, Cordie. W zaułkach koło zajazdu przynajmniej uda się nam zniknąć.

- Nie mogłybyśmy... zmienić nazwisk?

- Ależ oczywiście, zmieńmy je, jeśli tylko sądzisz, że to w czymś pomoże.

- Na piekielne wrota, Rillie! Skąd miałyśmy wiedzieć, że do tego dojdzie? Sądziłyśmy, że pomagamy tym młodym kobietom... pomagałyśmy im!

- Pomagałyśmy im, Cordie, ale teraz to skończone.

- Myślałam, że jesteśmy bogate! Jak długo zdołamy przetrwać? Och - nie pamiętała już o zniszczonej podłodze - nie powinnyśmy nigdy opuszczać sutereny! Wbiłyśmy się w dumę. Zapomniałyśmy, skąd pochodzimy.

Rillie zagryzła wargę.

- Nasze dni jako kobiet interesu są skończone, Cordie. Musisz się z tym pogodzić. Nie będziemy w stanie pracować w Szkocji, to mrzonki. Musimy wrócić do pana Kennetha i błagać go o zajęcie.

- I objeżdżać prowincję, grywając stare damy? I występować z panem Tryfontem?

- Już powiedziałam: nie mamy wyboru. Aktorkom zła sława nie szkodzi.

- Myślałam, że jesteśmy bezpieczne na zawsze!

- Aktorki nigdy nie są bezpieczne - odparła Rillie, a w jej tonie, co zupełnie do niej niepodobne, brzmiała gorzko. - Należało o tym pamiętać.

Siedziały w milczeniu w ciemnym pokoju, z wybitą szybą, wciąż zasłoniętą kawałkiem deski, i tanimi szklanymi gwiazdami zwieszającymi się z sufitu.

- Znalazłam dwa spore pokoje w tej okolicy - podjęła w końcu Rillie - niedaleko stacji dyliżansów; jeden pokój dla ciebie i Gwenlliam, jeden dla mnie, Reginy i mamy. Bez pieca, ale mają kominki i szambo na zewnątrz na tyłach. - Spostrzegła niedowierzanie na twarzy Cordelii. - Jeśli to jakaś pociecha, pokoje są przy Peacock-street, co brzmi nieco poetyczniej niż Cleaver-street*⁵. Bez względu na wszelkie inne plany za tydzień musimy opuścić ten dom, pochłania zbyt wiele pieniędzy. To będzie bardzo trudne dla Gwenlliam, ale nie mamy wyboru, od tygodni nie zarobiłyśmy ani pensa, pieniądze rozchodzą się z każdym dniem. - Głos Rillie brzmiał bezbarwnie. - Nigdy już nie będziemy tyle zarabiać.

Oczyma duszy ujrzały wystrzępione rękawiczki Annie, swojej przyjaciółki aktorki, i jej obwisłe ramiona.

- Szkoda, że nie możemy poczekać, aż Gwenlliam trochę wydo-brzeje. Ale to niemożliwe. To niedaleko od Cleaver-street, przynajmniej będziemy blisko monsieur Rolanda.

Cordelia widziała zwieszane ramiona przyjaciółki - Rillie nigdy się nie garbiła, nie leżało to w jej naturze - i wreszcie zrozumiała całą głębię ich upadku. Siedziały razem w salonie swoich marzeń, lecz po tak długim czasie pojawiło się znowu dobrze znane, mrozące krew w żyłach poczucie niepewności i lęku. Ulokowało się w ich żołądkach, gdzie zamieszkiwało dawniej, jak gdyby nigdy nie znikło.

⁵ * *Peacock* (ang.) - paw; *cleaver* (ang.) - topór rzeźniczy.

Gdy monsieur Roland przyprowadził Gwenlliam, zobaczyły, że twarz dziewczyny jest opuchnięta od płaczu.

- Położyłam kwiaty na jego grobie - wyjaśniła. Lecz uśmiechała się przy tym leciutko, ledwie dostrzegalnie. - I pierwszy raz jechałam omnibusem.

A zatem pozostał im jeszcze tylko tydzień w Bloomsbury.

Gwenlliam codziennie odwiedzała monsieur Rolanda. Cordelia i Rillie czuły się niemal przytłoczone wdzięcznością, proponowały mu zapłatę, której łagodnie odmówił. Wiedziały jednak, że jego metoda mierzenia się z bólem pomoże dziewczynie. Pierwszego dnia poszły z nią aż do Kennington, mimo jej gorących zapewnień, że jest dorosłą kobietą. Następnego dnia odprowadziły ją do omnibusu, upewniły się, że wsiadła bez przygód, po czym pośpieszyły do domu, by zacząć pakować dobytek. Monsieur Roland odstawił dziewczyn bezpiecznie z powrotem. Gapie wciąż wystawali przed domem w Blooms-bury, niekiedy z latawcami lub pasztecikami, niekiedy wołając: „Dziewka!”. Cordelia i Rillie zamknęły na to uszy: ze stoicyzmem pakowały swoje dawne życie. Rillie pozwoliła sobie na zakup jednej gazety; przeczytała Cordelii wstępniak, gdzie krytykowano wydział detektywistyczny stołecznej policji. Piątego dnia, co prawda z największą niechęcią, wyposażyły Gwenlliam w żelazko, udzieliły jej instrukcji w kwestii samotnego poruszania się po Londynie i czekały z bijącymi niespokojnie sercami, póki nie wróciła: ich nieskończenie cenny skarb. Odetchnęły z ulgą, słysząc nareszcie jej głos.

Tego wieczoru Gwenlliam zapytała Rillie, czy mogłaby - zawahała się, jakby niepewna, jakiego słowa użyć - ją wyleczyć.

- Nie jestem chora! - zawołała Rillie. - O co ci chodzi, dziewczyno droga?

- Wiem, że nie jest pani chora. Ale jest pani... niespokojna i zmęczona, i być może mogłabym nieco pomóc. Monsieur Roland mnie nauczył.

Cordelia i Rillie nie posiadały się ze zdumienia. Założyły w" sposób naturalny, że Francuz leczy, nie zaś uczy Gwenlliam. *Co mu przyszło do głowy?* Zamknęły przecież interes, wiedział o tym.

- Powiedział - dodała nieśmiało dziewczyna - że... to n_atuf alnie dopiero początek, ale że ja... że mogę mieć pewne zdolności. Lecz... myślę, mam, że jestem chyba zbyt... blisko ciebie w tej chwili, bym zdołała... wyrzucić na ciebie wpływ.

- Niemal się roześmiała: Kto wie, co by się mogło stać, gdyby nasze energie i nasze... siły,,. się pomieszały. Ale... Rillie?

Gotowe były uczynić wszystko, by ją rozerwać. Cordelia oznajmiła: „Zagram na flecie” i przyniosła należący do Rillie ośmiogryfowy flet z drewna kakaowca z podwójnymi klapkami z niemieckiego srebra. Gdy jednak usłyszały jej grę, zaczęły się śmiać tak bardzo, że cały projekt został zarzucony, bo Cordelia okazała się okropną flecistką: być może śmiały się zbyt głośno, starając się zachowywać normalnie; nie potrafiły odnaleźć normalności, piły zamiast tego porto i nauczyły Gwenlliam piosenki o Maksie Weltonie, jakby chciały powiedzieć: w żałobie? przerażone? my?

Lecz następnego dnia po powrocie Gwenlliam zapytała znowu:

- Rillie, mogę sprawdzić, czy mi się uda?

Przejęte powagą zamierzenia udały się do dużego salonu. Szklane gwiazdy wciąż wisiały, lecz lustro spiętrzone już jedno na drugim w rogu. Choć Nellie lojalnie polerowała gwiazdy, w nieużywanym pokoju czuć było stęchlizną; Nellie zwolniły z wielką niechęcią. Deska wciąż zasłaniała wybitą szybę. Rozsunęły zasłony i szeroko otworzyły na chwilę pozostałe okna, do środka napłynęło zimne nocne powietrze; Cordelia dostrzegła przelotnie swój księżyc. Potem zamknęły je na powrót i zapaliły świece. Rillie usiadła na krześle dla klientów. Cordelia zajęła miejsce w kącie, jak dawno temu, gdy ciocia Hester praktykowała swoje dziwaczne rzemiosło w obskurnym pokoju w suterenie i powtarzała z wielką łagodnością: „Proszę się oddać mej pieczy”. Nagle ujrzała odbicie połowy jej twarzy w ciemnej powierzchni kilku ułożonych na sobie luster i szybko odwróciła wzrok. Z oddali słychać było Reginę intonującą, że wzniesie oczy ku wzgórzom i znajdzie zbawienie.

A potem Gwenlliam zapaliła dodatkową świecę.

- Niech pani spojrzy w płomień, Rillie - powiedziała.

- Po co?

- Bo chcę, by skupiła się pani tak bardzo, abym mogła złączyć swój umysł z pani umysłem. Potrafię to zrobić, jeśli mi pani pomoże; jeśli się pani zgodzi.

Z kąta dobiegł słabo zdumiony głos Cordelii: nie zamierzała przeszkadzać, lecz nie zdołała się powstrzymać:

- To właściwie nie jest mesmeryzm.

- Właściwie nie - przyznała Gwenlliam pogodnie.

- Chciałabym być mniej niespokojna - odezwała się niespodziewanie Rillie. - Umiałabyś tak zrobić? Z niepokoju serce bije mi zbyt szybko, a nie lubię tego.

- Czym się pani niepokoi? To znaczy, szczególnie? Wiem naturalnie, że musimy znaleźć jakiś sposób, by się utrzymać.

- Widzę, jak skąpo wydzielając pieniądze, przejadamy nasze oszczędności, aż nie zostanie z nich ani pens, jak wpadamy w biedę, przerażenie i chorobę. Udało nam się przed tym uciec... nie mogę znieść powrotu do tej nędzy, do takiego życia. Dlatego się niepokoję!

Gdy wypowiadała słowo nędza, w jej oczach błyskały gniewne łzy.

- Proszę patrzeć w płomień, Rillie - powtórzyła Gwenlliam - proszę patrzeć uważnie w płomień.

Stała tuż przed nią, trzymając świecę, tak że starsza kobieta musiała podnieść wzrok. Spojrzała na dziewczynę, która odpowiedziała nieruchomym spojrzeniem, po czym przeniosła wzrok na płomień. I tak trwały w zupełnej ciszy. Ku zdumieniu Cordelii oczy Rillie zamknęły się w końcu. Gwenlliam pozostała nieruchoma: absolutnie nieruchoma. A potem, po chwili, odstawiała świecę i zaczęła mesme-rystyczne passy, których używała sama Cordelia; jej dłonie pewnym ruchem przesuwają się już nad górną połowę ciała Rillie, nie dotykając jej jednak. W końcu (Cordelia ledwie ośmielała się oddychać), wydało się, jakby Rillie zastygła: Rillie, zawsze tak ruchliwa i pełna energii. Serce Cordelii ścisnęło się w piersi. A potem Gwenlliam usiadła obok starszej kobiety i zaczęła do niej przemawiać. Mówiła cicho, więc Cordelia nie słyszała słów. Dostrzegła jednak rodzaj szczególnego zjednoczenia między obiema kobietami i zrozumiała, że jest to owa - filozofia? czy to była filozofia? - praktyka, którą zastosował wobec niej sam monsieur Roland, po tym gdy pierwszy raz od lat zobaczyła się z Gwenlliam: był to mesmeryzm, lecz inny. Francuz nazywał go hipnotyzmem. To dzięki niemu miała odwagę udać się na ślub własnej córki. Patrzyła oszołomiona, jak bardzo Gwenlliam zaczęła naraz przypominać ciocię Hester przy pracy: skupiona, pewna siebie, odmieniona.

Po pewnym czasie dziewczyna przestała mówić i tylko siedziała; jej oczy, ogromne w chudej twarzy, ani na mgnienie nie opuszczały zamkniętych oczu starszej kobiety. Potem bardzo delikatnie dotknęła jej powiek i Rillie natychmiast je uniosła, zaskoczona.

- Wielkie nieba! - zawołała, patrząc na dziewczynę. - Jestem zdrowa?

Dopiero później tego wieczoru, kiedy siedziały znowu w salonie przy flecie i porto, Rillie przestała naraz grać Schuberta i oznajmiła:

- Wiecie co, serce nie bije mi już w ten okropny sposób. Dziękuję, dziewczyno droga. -I uśmiechnęła się swym dawnym, dobrze znanym uśmiechem. A potem dodała: - Nie wiem, co ze mną zrobiłaś, Gwenlliam, kochanie, chociaż pamiętam, że do mnie mówiłaś, ale ciągle mam przed oczyma pewną wizję.

- Jak to? - zaniepokoiła się dziewczyna.

- Wizję ciebie i ciebie, Cordie droga. Was obie... w jakimś duecie.

- To znaczy, śpiewające?

-Nie.

- Mesmeryzujące?

- Niezupełnie. Z jakiegoś powodu wciąż widzę was fruujące w powietrzu.

- To znaczy na linie, jak ty to robiłaś? Rillie wyglądała na zbitą z tropu.

- Nie wiem. Pewnie to jedyny sposób, by fruwać! Albo może -zmarszczyła brwi, próbując pochwycić obraz - to inni fruują wokół was.

- Śniłaś o Hull, Rillie! - odparła Cordelia. -I o oświadczeniach w powietrzu!

- Być może - zgodziła się bez przekonania i lekko się uśmiechnęła. - Pewnie masz rację.

Cordelia wiedziała, że winna jest uprzejmą odpowiedź inspektorowi Riversowi. Naturalnie nie rozważała na serio jego oświadczeń: okazał wielką wspaniałością, składając jej propozycję, nic jednak nie rozumiał: były jeszcze Rillie i Regina, i pani Spoons. *Nie mogę ich teraz opuścić, po tym wszystkim, co przeszliśmy razem.* Ostatniego popołudnia właśnie wkładała płaszcz, kapelusz i rękawiczki, kiedy wrócił monsieur Roland z Gwenlliam; zobaczył pudła, spiętrzone w korytarzu fragmenty ich życia: lustra, portrety rzekomych przodków, narzuty, garnki i patelnie oraz Alphonse'a.

- Przespacerujmy się na plac, pani i ja - zaproponował. Spojrzał jej w twarz: nie chciała iść na plac. - Pewnego dnia będzie pani musiała tam wrócić, moja droga, by wszystko stało się na powrót rzeczywiste. Zróbmy to więc dzisiaj, pani ostatniego dnia w Blooms-bury.

Siedzieli teraz w płaszczach, rękawiczkach i kapeluszach na żelaznej ławce obok posągu pana Charlesa Jamesa Foksa. Przejmująca chłodem, brudna mgła była tego dnia gęstsza niż zazwyczaj; wisiała w powietrzu, roztaczając zardzewiałą, metaliczną woń; sylwetki ludzi przechodzących pośpiesznie, zajętych własnymi sprawami majaczyły niewyraźnie. Cordelia słyszała stłumiony turkot wo-

zów i karet. Rozległy się nawoływania i śmiech, gdy przejechał omnibus, konduktor próbował skusić kilku dodatkowych pasażerów, oferując im w półmroku tani przejazd do Paddington. Stary dąb wciąż rósł w rogu, parę liści spłynęło na ziemię: zwyczajny dzień; plac jej dzieciństwa. Cordelia jednak zadrżała lekko i to nie z chłodu; w myślach słyszała krzyk KŁAMCA! KŁAMCA! KŁAMCA!, czuła wdzięczność za dobroczynną obecność siedzącego obok mężczyzny, nie dojrzała niepokoju na jego twarzy.

- Co pani robi, moja droga?

- Nie mam pojęcia. Inspektor Rives z litości poprosił mnie, bym za niego wyszła.

- Rozumiem, że bardzo panią polubił. Wzruszyła ramionami.

- Oczywiście nie mogę tego zrobić. Razem z Rillie będziemy próbowały szukać pracy jako aktorki.

Rozejrzała się po placu, który znała całe życie, zaczęła rozcierać dłonie obleczone w rękawiczki. Zauważył to i zaproponował, by się przeszli. Spacerując wokół, sami zmienili się w niewyraźnie majaczące sylwetki, słyszeli odgłos własnych kroków. Minęli miejsce, gdzie gdyby nie mgła, można by dostrzec na ścieżce plamy krwi. Minęli krzaki, które dostarczyły schronienia włóczędze. Monsieur Roland słyszał nierówny oddech Cordelii. W końcu się odezwała:

- Gwennie rzeczywiście posiada dar, prawda?

- Posiada dar, pani dar. - Przystanął, spojrział na nią z uwagą. - Chyba zdążyła już pani zrozumieć, moja droga, że aby zyskać władzę nad umysłem kogoś innego, trzeba mieć silne poczucie własnego ja, Gwennliam zaś, mimo wszystkiego, co ją spotkało, posiada go podobnie jak pani, Cordelio. Ową siłę. Gwennliam ma także... coś jeszcze. To cecha jej duszy. - Szedł chwilę, chcąc, by jego słowa brzmiały jak najprościej. - Gwennliam posiada ducha życzliwości.

- Ducha życzliwości? - Lecz wiedziała; naturalnie, że wiedziała, ona też to zauważyła. Ciocia Rester miała ducha życzliwości. Monsieur Roland także. I naraz pomyślała: *Gwennliam, najlepiej jak potrafiła, starała się być matką dla Manon i Morgana.*

- Ludzie zawsze będą się czuli lepiej w jej obecności - dodał magnetyzer. - Jak w obecności Hester.

- Tak. - I po paru chwilach Cordelia zaśmiała się cicho. - Ja też mam dar. Ale obawiam się, że nie posiadam ducha życzliwości!

- Ma pani inne zalety, moja droga. Siłę, odwagę i wytrwałość. Posłała mu iro-
niczne spojrzenie.

- Dziękuję.

Wówczas przystanął znowu, wsparł się lekko o metalową poręcz przy bramie i uświadomiła sobie naraz, że w istocie jest starcem.

- Proszę mnie posłuchać, Cordelio. Tak jak ja rozumiem mesme-ryzm oraz to, co zaczyna być znane pod nazwą hipnotyzmu... mowa tu o kruchych, cennych ideach... są to siły mogące działać dobro. Wciąż wiemy tak mało o ludzkim umyśle i jego działaniu. Znajdujemy się na początku drogi. Nie wolno nam się jednak teraz zatrzymać. Pani i ja... i jak wierzę, przede wszystkim Gwenlliam... mamy obowiązek uczyć się dalej. W taki czy inny sposób. Nieważne, co się wydarzyło... a wiem, że wydarzyło się wiele... nie może pani... nie wolno pani... poddawać się teraz, gdyż to, czym się zajmujemy, jest zbyt ważne.

Już - tak wcześnie - zaczynało się ściemniać, mgła przyciągnęła zmierzch. U wozów i karet opatrywano latarnie, zjawił się latarnik ze swoją drabiną.

- Czy hipnotyzm jest inny... lepszy?

- Sądzę, że potrafi wytworzyć zwiększoną wrażliwość w umyśle osoby hipnotyzowanej, jeśli pragnie ona współpracować z hipnotyzerem.

- Zwiększoną wrażliwość - szukała z trudem słów, by wyrazić swoje myśli - tak aby można uzyskać lepszy... dostęp, jeśli to właściwe słowo... do własnych myśli i uczuć?

- I własnych zdolności. Tak właśnie sądzą. Cordelia uśmiechnęła się blado.

- No cóż, Gwenlliam udało się tak wzmocnić wrażliwość Rillie, że widziała nas fruujące w powietrzu niczym jakieś akrobatki!

- Cokolwiek się zdarzy, nie wolno pani tego porzucić - powtórzył. - To nasz... obowiązek i przywilej, by zmieniać na lepsze życie innych ludzi, jeśli posiadamy taką umiejętność.

- Zapamiętam, co pan powiedział - obiecała, lecz w jej głosie brakło przekonania.

Odeszli od bramy i znowu ruszyli przed siebie. Cordelia rzuciła bez nacisku:

- Jeśli to panu po drodze, czy wracając, zechciałby mnie pan odprowadzić do White Hall? Powinnam się wytłumaczyć przed inspektorem Riversem, zanim... zanim się przeprowadzimy w okolice zajazdu.

I monsieur Roland, który posiadał ducha życzliwości, który lepiej niż ktokolwiek wiedział, jak bardzo Cordelia będzie tęsknić do Bloomsbury, i martwił się, co się stanie z jego drogimi, ukochanymi przyjaciółkami, kurtuazyjnie podał jej ramię w gęstniejącej nocy; ujęła je z wdzięcznością, wyczuwając jego długie, cienkie kości.

Żadne z nich nie dostrzegło w mroku postaci w płaszczu i kapturze.

We mgle i zapadających ciemnościach ruszyli St Martin's Lane, a potem przeszli ulicę i weszli w dzielnicę White Hall. Udali się do wejścia na tyłach, przez niewielki dziedziniec, nazwany Scotland Yardem; Cordelia nie miała ochoty wchodzić do pomieszczeń wydziału detektywistycznego, przypominających jej o wszystkim. Lecz ostatecznie był to tylko niewielki budynek. Podziękowała monsieur Rolandowi, który uniósł dłoń, odwrócił się i zniknął w ciemności. Szczęśliwie konstabl Forrest zauważył Cordelię w drzwiach, natychmiast wyszedł do niej z największą kurtuazją i zaprowadził ją do pokoju, gdzie inni policjanci oraz inspektor pochylali się nad mapą.

- Sir? - odezwał się konstabl.

Na widok Cordelii twarz Riversa pojaśniała; zaraz potem odchrząknął i poinformował swoich ludzi, że wróci za chwilę. Zauważyła błysk zaciekawienia w ich oczach.

- Mam nadzieję, że to nie niestosowna pora? Nie mogę zostać dłużej.

- Nic podobnego. Skoro musi pani iść, odprowadzę panią, jeśli jej nie przeszkadza wędrowka wśród plugastwa i frywolności Long Acre i Drury Lane.

- Jak panu wiadomo, jestem z nimi dobrze obznajomiona - odparła, wzruszając ramionami - dawno temu pracowałam w samym Drury Lane Theatre - spojrzała wyzywająco - podobnie jak przedtem moja matka. Plugastwo i frywolność stanowiły część naszego życia. A pan osobiście odwiedził przybytek pani Fortune.

- Jej gulasz ma coś w sobie - odparł.

Wybuchnęła śmiechem.

- W każdym razie cieszy się wielką sławą - odparła. Uśmiechnął się i podał jej ramię, lecz nie powiedział nic więcej, póki nie skręcili w St Martin's Lane; wieczorny ruch wirował wokół nich.

- A więc, panno Preston? - zapytał, lecz się nie zatrzymał.

- Jutro wszystkie razem opuszczamy Bloomsbury i przenosimy się w okolice zajazdu Pod Słoniem, póki nie postanowimy, co dalej. Rillie i ja będziemy się starały znaleźć pracę jako aktorki... to jedyne zajęcie dostępne dla nas teraz, bez względu na opinię monsieur Rolanda o wielkim znaczeniu mesmeryzmu.

Powiedziała to bez ogródek, wiedząc, że mężczyzna wyczyta odmowę z jej słów; nie czekała na reakcję.

- Musimy się przenieść, nie możemy sobie pozwolić na pozostanie. I znajdziemy jakiś sposób, by na siebie zarobić... och... - Ogarnęła ją złość na samą siebie; niezręcznie to ujęła, jej słowa wydawały się w jakimś sensie niewdzięczne wobec tego człowieka, będącego ich przyjacielem. - Inspektorze...

- Mam na imię Artur. Jak sądzę, otrzymałem imię po owym celtyckim wojowniku, kaprys mojego ojca.

- Zatem, Arturze. I proszę, niech pan przynajmniej... nazywa mnie Cordelia.

- Dziękuję. Cordelia. Zapewne na cześć bohaterki „Króla Lira”.

- Jak panu wspominałam, moja matka także była aktorką. A teraz - spostrzegł, że skrzywiła się w ciemności - Cordelia z „Króla Lira” zamieszka przy Peacock-street niedaleko zajazdu Pod Słoniem.

- Znam Peacock-street. - Spojrzał na nią, zobaczył jej twarz w świetle padającym od ulicznej latarni. - To... niezupełnie to samo co Bedford Place.

- Nic nie można na to poradzić. Arturze, chciałam powiedzieć... chciałam panu podziękować. Za wspaniałomyślną propozycję małżeństwa, oczywiście. Lecz także - mówiła teraz wolniej - bardzo mi przykro... z powodu dochodzenia... nie przyszło mi do głowy, że ściągnę na pana trudności, powinnam była o tym pomyśleć. Rillie wspomniała, że w gazecie skrytykowano pański wydział.

- No cóż. - Machnął lekceważąco swobodną ręką. - W wypadku morderstwa w omnibusie do Camden Town morderczyni miała przy sobie głowę i jest na to tuzin świadków. W tyra wypadku nie będzie zatem żadnych komplikacji. - Skręcili w Drury Lane, skąpaną w oparze dziwnie tłumiącym wszelkie dźwięki, jak zdarza się niekiedy w wypadku gęstej mgły Inspektorszedł zewnętrznym skrajem chodnika, by uchronić ubranie Cordelii przed błotem, brudem i świeżym nawozem, rozpryskiwanym przez końskie kopyta i koła wozów mijających ich w mroku; co jakiś czas światło latarni u powozu błyskało im w twarze.

- Każdy dzień to walka o prawdę - rzucił sucho. - Proszę mi wierzyć, pani dochodzenie nie było jedynym, w którym nie została ona ujawniona.

Nie dodał, że na jej korzyść zapewne podziałał fakt, iż koroner, pan Tunks, także nie chciał, by prawda została odkryta.

- Jak sądzę, nie przyszła pani wyznać, że jednak widziała mordercę lorda Morgana Ellisa?

- Nie. - Mówiła pośpiesznie, chcąc to mieć za sobą. - Przyszłam powiedzieć panu, że oczywiście nie mogę go poślubić. Nie chodzi... nie chodzi o to, że nie jestem panu wdzięczna, bo oczywiście jestem, wszystkie jesteśmy. Ale nie sądzę, bym mogła poślubić kogokolwiek. Jak sądzę, po prostu nazbyt przywykłam do... niezależności. Zawsze musiałam być niezależna. A teraz... zbyt wiele się wydarzyło.

Urwała. Na ułamek sekundy, widząc bezbrzeżny ból w oczach kobiety, położył rękę na jej dłoni; zaskoczona tym gestem, podjęła spieszenie.

- Jak wspomniałam, Rillie i ja będziemy próbowały znowu podjąć pracę... jako aktorki... nie mamy innego wyjścia... i jakoś zarobić na utrzymanie nas wszystkich. Aktorkom nie szkodzi odrobina skandalu. Także pan... jako detektyw... nie mógłby poślubić aktorki, i to cieszącej się złą sławą... - zignorowała jego próbę, by jej przerwać - a ja nie mogłabym opuścić Rillie i pani Spoons. Przeszliśmy z Rillie tak wiele: ona, oczywiście, nie może zostawić matki, Regina zaś pożyczyła nam pieniądze, kiedy otwieraliśmy interes i nie miałyśmy pewności, czy osiągniemy sukces.

- To ta starsza dama, która uwielbia morderstwa i czytuje Biblię?

- Tak. Miała pieniądze. Nie pytałyśmy skąd, sądzimy, że była dawniej recytatorką lub balladzystką, bo bez dwóch zdań wciąż uwielbia to rzemiosło - oboje, ofiary tego właśnie rzemiosła, roześmiali się lekko - ale chciałam powiedzieć, że nie potrafię wyrazić, jak bardzo doceniam to, co mi pan ofiarował, podczas gdy większość ludzi udawała, że przestałam istnieć.

- Nie ma pani klientów?

- Nie. Nie tych z prawdziwego zdarzenia. Tylko ciekawskich.

- Przykro mi.

- Chciałabym, żeby wszystko wyglądało inaczej... szczególnie ze względu na Gwenliam. Monsieur Roland odkrył... wspaniale o tym wiedzieć... że moja córka posiada ów... ów dar.

Zrozumiał, skinął głową.

- Czymkolwiek on jest, wierzę głęboko, że moja córka przewyższa pod tym względem każdą z nas.

- To niezwykła młoda kobieta.

- Owszem - zgodziła się Cordelia. - Jest absolutnie niezwykła. Przypomina moją ciotkę.

Dotarli do Little Russell Street, minęli wielki kościół, a potem ruszyli na drugą stronę ulicy w kierunku starej sutereny, mijając jedyną latarnię. Cordelia machnęła ręką gdzieś w głąb mrocznych cieni.

- Tutaj moja ciotka praktykowała mesmeryzm... bowiem owa profesja jest starsza, niż ludzie sądzą... i tutaj mieszkałam w dzieciństwie z matką i ciotką, i tu wraz z Rillie zaczęliśmy nasz interes. To tutaj - na chwilę podniosła na niego oczy - przybiegłam w noc morderstwa.

Przystanęli przed domem, zajrzała w dół przez okno sutereny; w świetle padającym z wyższych okien widział jej twarz, osnutą cieniem tęsknoty czy może wspomnienia.

- Pani... bardzo lubiła to miejsce?

Objął spojrzeniem nędzne otoczenie, śmieci, wąskie metalowe schody, prowadzące w dół, górną część okna, czarnego kota.

- Och, proszę spojrzeć, kogo tu mamy! - Cordelia schyliła się i kot podbiegł do niej natychmiast, wygiął grzbiet. - Tak - przyznała, gładząc stworzenie. - To moje miejsce. Moja przeszłość. Ale - wyprostowała się gwałtownie, strzepnęła płaszcz - to już skończone.

I wtedy inspektor Rivers zrobił coś dziwnego. Ujął jej okrytą rękawiczką dłoń i złożył na niej pocałunek. A potem, bardzo krótko, drugą ręką dotknął twarzy Cordelii i przesunął nią po policzku kobiety, aż do szyi.

Tak wiele czasu minęło, odkąd jakiś mężczyzna dotykał jej delikatnie, że Cordelia Preston ze wstrząsem uświadomiła sobie uczucia, które nagle, pozornie bez powodu, się w niej obudziły. Wpatrywała się w inspektora poruszona do głębi.

- Ja...

Nie mogła mówić dalej; choć wiedziała, że się czerwieni, nie spuszczała wzroku, a przecież liczyła, że mężczyzna nie dojrzy w ciemności targających nią uczuć. Uświadomiła sobie, jak dobrze zdążyła poznać jego twarz; tak wiele przetrwali razem: śmierć Ellisa, śmierć Manon, śmierć Morgana, dochodzenie. Przy wszystkich tych potwornych wydarzeniach towarzyszyła jej owa życzliwa twarz, starając się dodać otuchy. Cordelia oderwała od niej wzrok i rozejrzała się wokół, próbując opanować emocje, głęboko zawstydzona. Szczęśliwie proboszcz ko-

ściola św. Jerzego w Bloomsbury był zajęty gdzie indziej. Inspektor Rivers trwał nieporuszony.

Był detektywem. W pewnym sensie otrzymał odpowiedź.

- Odprowadzę panią do domu - powiedział, znowu podając jej ramię. Ujęła je niepewnie. Czuł, jak drży jej ręka. - Czy pozostaniemy przyjaciółmi?

- Tak - potwierdziła nieoczekiwanie, wiedząc, że ją zrozumiał. - Pozostaniemy przyjaciółmi.

A ponieważ całkowicie pochłaniała go obecność idącej obok kobiety i ponieważ mgła była tak gęsta, nawet on - zwykle tak spostrzegawczy, tak obznajomiony z londyńską nocą - nie dostrzegł w ciemnościach obserwującej ich postaci w kapturze.

28

Tego wieczoru pożegnały się ze swoim domem w Bloomsbury: wysokimi, pięknymi pokojami, weneckim oknem, ogrodem z kamiennym aniołem i waterklozetem; następnego ranka przyjadą wozy, by na nie załadować ich życie ku uciesze sąsiadów z Bedford Place, szpiegujących zza zamkniętych okiennic, a one przeniosą się do dwóch pokoi przy Peacock-street w pobliżu kwatery monsieur Rolanda. (Cordelia przeżyła wstrząs na widok pustych izb w nowym mieszkaniu; objęła Rillie i wybuchnęły płaczem: żadna nie powiedziała ani słowa). I będą bliżej Morgana. Manon przynajmniej pochowano z ojcem. Morgan leżał zupełnie sam w zimnej ziemi niedaleko zajazdu Pod Słoniem, w miejscu, którego nie znał za życia.

Siedziały, jak siadywały zawsze w swoim przytulnym salonie, przy zapalonych lampach, przy ogniu płonącym jasno; światło połyskiwało na butelce porto. Regina i pani Spoons zjawily się także, był to bowiem szczególny wieczór, i były radosne. Nie zaciągnęły zasłon, chciały raz jeszcze popatrzeć na ogródek, lecz gęsta mgła tej nocy sprawiła, że ledwie widziały zarys kamiennego anioła, a którym się chciały pożegnać. Pani Spoons właśnie się zgodziła wypić odrobinę porto; z wielkim ukontentowaniem uśmiechnęła się do Gwenlliam, która podsunęła jej ten specjał, i starą, pomarszczoną dłonią poklepała chudą rękę dziewczyny. Cordelia wiedziała, ile wysiłku wciąż kosztuje ukochaną córkę, by stać w tym pokoju i uśmiechać się do staruszki. Sama również podjęła trudne wyzwanie i

spojrzała na puste miejsce na ścianie: obraz Morgana starannie zapakowano wraz z Alphonse'em i lustrami. A więc opuszczała Bloomsbury: nie wolno jej się martwić; muszą żyć z dnia na dzień, z całą odwagą i optymizmem, na jakie je stać. Piły wino i gawędziły o planach na jutrzejszy poranek; Regina wyjrzała za okno, raz jeszcze starając się dojrzeć w ciemności swój ulubiony ogród.

- We mgle czai się morderca - oznajmiła tonem swobodnej konwersacji.

- Och, Regino! - zganiała ją Rillie ze śmiechem. Podniosła się, by zaciągnąć zasłony, lecz mimo woli także popatrzyła w mrok. - Och... co to takiego?

Niepewna, wyteżyła wzrok.

Spojrzały wszystkie, wszystkie pięć; pani Spoons poszła za przykładem pozostałych, rozkoszując się chłodnym dotykiem szyby na twarzy. Pięć twarzy wypatrujących w ciemności, przyciśniętych do okna. Najmniejszego poruszenia.

A potem Rillie oznajmiła:

- Pewnie kamienny aniołek machał nam na pożegnanie.

Pięć kobiet raz jeszcze spojrzało w mrok i pomachało w odpowiedzi, po czym Rillie zaciągnęła zasłony.

Cordelia była pogrążona zaledwie w półśnie (miała wrażenie, że zawsze zapada tylko w półsen), kiedy usłyszała, jak drzwi sypialni się otwierają. Szmer sprawił, że rozbudziła się natychmiast: ktoś chyba starał się, by go nie usłyszano; byłaby zawołała „Gwenlliam? Rillie?”, lecz instynkt ostrzegł ją, by milczała. Pozostała bez ruchu w ciemności; słyszała swój odech i bicie własnego serca. *Regina powiedziała, że w ogrodzie jest morderca.* Oczywiście wyobraźni zobaczyła świecę, pudełko z zapalkami.

I znów stłumiony szmer od drzwi: ktoś zamykał je teraz bardzo cicho; Cordelia ostrożnie wyciągnęła rękę, aż namacała zapalki. Przez chwilę panowała cisza; potem usłyszała, jak ktoś porusza się niepewnie po pokoju; usłyszała czyjś odech - nie swój własny, nie Gwenlliam. Skrzyp deski, a potem znowu nic.

Kiedy się poruszyła, zrobiła to bardzo, bardzo szybko. Niemal jednym ruchem zerwała się i zapaliła zapalkę, by oświetlić świecę przy łóżku. Pokój zatańczył w migotliwym blasku płomienia: cienie i kształty, światło i mrok - *oczywiście, jak mogłam się nie domyślić, Regina mówiła, że w ogrodzie jest morderca* - lady Rozamunda Ellis, przyłapana, zaskoczona, rzucająca nieostry cień na sufit. Kaptur zsunął jej się z głowy. Cordelię natychmiast ogarnęła groza, widziała kiedyś przerażającą furję tej kobiety.

I wtedy kobieta w ciemnym płaszczu przemówiła:

- Obserwowałam ten dom. Wiedziałam, gdzie jest pani pokój. Wysoki, pewny siebie, kulturalny głos miał w sobie zgrzytliwy ton, który jeszcze bardziej przeraził Cordelię. *Ale ona jest obłąkana. Muszę pamiętać, że ona jest obłąkana.*

- Czego pani chce? - Jej własny głos był pełen panicznego lęku. Słyszały swoje oddechy. Patrzyły jedna na drugą.

- Niech pani sobie nie wyobraża, że zdoła mnie zmesmeryzować. Jestem silniejsza. - Kobieta nawet nie próbowała szeptać.

- Ale czego pani chce? - Cordelia starała się mówić spokojnie, lecz wiedziała, że głos jej drży, zdradzając przerażenie.

- Mój mąż powiedział, że pani nie żyje. Cordelia przełknęła haust powietrza.

- Pani mąż bardzo źle potraktował nas obie. - Dziwaczna rozmowa rozpoczęła się w taki sposób, jakby była rzeczą naturalną. -Bez wątpienia zemściła się pani stokrotnie.

- Wie pani, jak odkryłam, dokąd zamierzał się udać tamtego wieczoru?

- Jak? - Cordelia wciąż mówiła szeptem.

- Przeczytałam liścik, który pani do niego napisała w sprawie Morgana.

Czy ona się śmieje, czy to śmiech? Cienie; trzepot płomienia świecy.

- Nie mogłam zrozumieć, kim pani jest, czemu wspomina pani o Morganie. To nie miało sensu. Nie mogłam - Cordelia słyszała obłąkańczy gniew, słyszała coraz szybszy oddech, co sprawiło, że jej własny przyśpieszył także, ze strachu - pojąc, że przez ponad dziesięć lat żyłam w kłamstwie. Więc następnie przeczytałam pamiętnik Gwenlliam; sądziła, że o nim nie wiem, nie zadawałam sobie tego trudu od miesięcy, te zapiski były nieskończenie nużące. - *Czy ona się śmieje, czy to śmiech?* - I zrozumiałam wtedy, że Gwenlliam panią odnalazła, że pani żyje i - wysoki głos z odrazą wypluł te słowa -mój mąż mnie zdradził. Ale to ja, nie pani, wiedziałam wszystko o tych dzieciach. To ja je wyksztaliłam, wprowadziłam na salony, przedstawiłam królowej, mojej kuzynce... pani nieślubne dzieci. - Cordelia próbowała uklęknąć na łóżku, czując, że lada chwila się zadławi własnym gorączkowym oddechem. - Mój mąż powiedział, że pani nie żyje. Upuściłam sztylet i nie mogłam go znaleźć, zabrać. Potem wpadłam na myśl, by ich przekonać, że podarował go pani.

Muszę pamiętać, że ona jest obłąkana, nie wolno się z nią spierać, muszę sprowadzić pomoc. Szybkim ruchem strąciła zapalki na drewnianą podłogę. Głu-

chy dźwięk odbił się echem. *Czy ktoś usłyszy?* Lecz lady Rozamunda nieubłagannie ciągnęła dalej:

- Chcę Gwenlliam z powrotem, ponieważ tylko ona mi pozostała z dawnego życia, nie uważam pani za właściwą osobę do opieki nad moją córką, nie opuszczę więc tego domu - głos lady Rozamundy wznosił się coraz wyżej - bez niej, zostanie ze mną, nie z panią, bo panią obserwowałam.

Co to znaczy: obserwowała mnie? Obie kobiety chwyciły teraz powietrze krótkimi, urywanymi haustami, jak gdyby w gardle tkwiły im odłamki szkła.

- Nie jest pani jej godna, Gwenlliam bowiem jest damą mimo swego pochodzenia; mówiła pani z młodymi kobietami o sprawach, o jakich nie ma pani prawa wspominać, i widywałam panią z rozmaitymi dżentelmenami, uwieszoną ich ramion - ciągnął głos bezlitośnie, słowa wpadały na siebie. - Widziałam we mgle, jak niestosownie zachowywał się wobec pani policjant, widziałam panią z mężczyzną dość starym, by mógł być pani ojcem, jak sądzę, to wszystko płacący klienci? Wiem, że prosiła pani Ellisa o pieniądze. Powiedział - zdrada, gniew, szaleństwo: Cordelia słyszała je wyraźnie - że wynajmie pani mieszkanie i dzieci będą mogły panią widywać: dziewczkę! Mówił o miłości!

Naraz lady Rozamunda ruszyła w stronę łóżka z jakimś przerażającym zamiarem; jakiś przedmiot, skrzący się i połyskliwy, błysnął krótko.

Cordelia z przerażenia i furii dosłownie wyskoczyła z łóżka: lata cierpień i gniewu dodały jej sił, ostrożność poszła w zapomnienie; jeśli lady Rozamunda była obłąkana, nie mniej obłąkana była Cordelia Preston - dosłownie rzuciła się na drugą kobietę i krzyczała, bijąc ją pięściami po twarzy, próbując jej wyrwać lśniący sztylet.

- Ty głupia, głupia, niebezpieczna wariatko! Jak śmiesz tak do mnie mówić! Nie jestem dziewczką! Zniszczyłaś mi życie - wielkie cienie tańczyły w górze - a mimo to cię uratowałam, nie mówiąc o tym, co widziałam tamtej nocy na Bloomsbury Square!

Wrzeszczała, jak gdyby nigdy jej nie uczono, jak być damą; wrzeszczała i młóciła ramionami kobietę, która odebrała jej wszystko: córka Kitty i Hester w walce o życie.

Drzwi sypialni otwarły się gwałtownie; do środka wpadły Rillie i Gwenlliam w koszulach nocnych, ich świece migotały. Natychmiast spostrzegły dwie walczące kobiety, Gwenlliam krzyknęła i wczepiła się w lady Rozamundę, odciągając macochę od matki; Rillie podbiegła szybko do Cordelii, złapała ją za ramiona, od-

sunęła na bok. Niemal natychmiast zjawiła się Regina z nocnikiem, jednym spojrzeniem objęła scenę, po czym walnęła naczyniem lady Rozamundę w głowę; na koniec zjawiła się pani Spoons w koszuli nocnej owiniętej wokół szyi, chcąc wziąć udział w ogólnej zabawie.

Nim lady Rozamunda upadła, błysnął sztylet.

Cienie na suficie zamarły nagle, wielkie i ciche. Mordercze narzędzie z wysadzaną klejnotami rękojeścią lśniło rubinami i brylantami w blasku świecy. W pierwszej chwili nie rozumiały, czemu na podłodze w migotliwym blasku leży nie tylko lady Rozamunda, lecz także Gwenlliam. Rozległo się skrzypnięcie. To pani Spoons uklękła.

- Witaj, kochanie - powiedziała, kiedy szare oczy wreszcie zamrugały i się otwarły.

29

Do więzienia Old Bailey, na proces lady Rozamundy Ellis oskarżonej o zamordowanie swego męża lorda Morgana Ellisa oraz usiłowanie zabójstwa panny Preston, dawnej kochanki męża, wezwano jako świadków nie tylko Cordelię i Rillie, lecz także Reginę.

Regina zachwyciła tłumy. Przeklinała, krzyczała, cytowała Biblię. PAN WIDZI WSZELKIE RZECZY!, wołała, albo: WZNOSZĘ SWE OCZY KU GÓROM! Znała język groszowych gazet: prezentowała go z wielkim wyczuciem dramatyzmu, jak wtedy gdy czytała pani Spoons. Była swego rodzaju bohaterką.

- Zapadła ciemna, ciemna noc - oznajmiła grobowym głosem. -Lecz wcześniej, rozumiecie, zdało mi się, że ją widzę w pomroce. Gdy zaś mrok zgęstniał, wyteżyłam oczy w przeraźliwych ciemnościach londyńskiej nocy i ujrzałam postać podobną do ducha, najprawdziwszego ducha. Kładłam się do łóżka, ogarnięta wielkim niepokojem, więc wzniosłam swe oczy ku górom.

Przy okazji poprawiła się też reputacja Cordelii - choć nie całkowicie. W czasie procesu stało się jasne, że (jak domyślali się przysięgli podczas dochodzenia) zataiła część prawdy dotyczącej morderstwa lorda Morgana Ellisa. Oczywiście, nie mogła stać się na powrót godną szacunku damą: to nigdy nie miało nastąpić, była przecież aktorką i rozmawiała z młodymi dziewczętami o niewymawialnych

sprawach. Teraz jednak otaczała ją subtelna aura poważania: choć miała sposobność, nie zemściła się na kobiecie - szlachetnie urodzonej - która zajęła jej miejsce w sercu zamordowanego. Gdyby teraz, powiedzmy, wstąpiła do klasztoru i resztę życia spędziła na czynieniu zbożnych dzieł, zapewne wybaczone by jej po śmierci.

Pan Percival Tunks, koroner, oraz inspektor Artur Rivers z nowego wydziału detektywistycznego mieli niezwykle dużo szczęścia, że skończyło się jedynie na upomnieniu. Sędzia wezwał ich obu do swego prywatnego gabinetu.

- Teraz wiem, że przysięgli nie byli usatysfakcjonowani - oznajmił. (Oczywiście wiedział, co się stało; rozumiał też problemy pana Tunksa). - Sprawiedliwości zawsze musi się stać zadość.

- Nie było dowodów - przypomniał pan Tunks pokornie. - Nie zdobyłem żadnych dowodów.

- Ani ja - dodał inspektor Rivers poważnie.

Dzień w dzień Cordelii i Rillie towarzyszyła w Old Bailey blada dziewczyna, córka ugodzona sztyletem, lecz nie śmiertelnie, w chwili gdy lady Rozamunda padła pod ciosem nocnika. Sztych przeznaczony dla Cordelii dosięgnął Gwenliam, lecz trafił ją w rękę, kiedy próbując powstrzymać macochę, uniosła ją na wysokość serca. Obecni patrzyli na bandażę, lecz spiesznie odwracali wzrok od twarzy dziewczyny: napiętej skóry, zapadniętych oczu; zdawało się, jakby pojmowała, że nic więcej nie może jej spotkać, wszystko już się wydarzyło. „Szesnaście lat i dama, a teraz została z niczym”, mówili.

Każdego dnia z więzienia Newgate przyprowadzano lady Rozamundę, milczącą i pełną pogardy; ludzie byli skłonni jej współczuć, lecz nie życzyła sobie tego. Ani razu nie spojrzała na pozostałe kobiety. Wierzyła, że obowiązują ją inne zasady (ostatecznie czy pan Tunks, koroner, nie myślał tak również?). Ujawniono, że istniały dwa lśniące, bezcenne sztylety. Dziad lady Rozamundy otrzymał je od króla Jerzego III: stanowiły jej własny, prywatny majątek. Ona sama odezwała się tylko raz w czasie całego procesu; poza tym nie zamierzała się poniżać przed pospółstwem. Przemówiła, by zażądać zwrotu sztyletów. „Są moje - oznajmiła. Należą do mnie”.

O sprawie informowano na bieżąco samą królową Wiktorię; oskarżona naturalnie nie miała zostać powieszona, okazała się bowiem obłąkana. Obłąd i konsekwentne milczenie nie zmieniały też faktu, że była kobietą ze znacznego rodu.

Żyła wedle odmiennych zasad i została wystawiona na ciężką próbę - a w rezultacie doprowadzona do szaleństwa - przez dwulicowość swego męża. Groszowe gazety świętowały jak zwykle, lecz ludzie szeptali, że to tragedia, okropna tragedia. W pewnych kręgach wierzono święcie, że sam pan Karol Dickens może pewnego dnia zainteresować się tą historią.

W dzień zakończenia procesu - ogłoszenie wyroku odłożono, aby szlachetne umysły mogły się naradzić - Gwenlliam nalegała na wizytę w więzieniu Newgate. Cordelia i Rillie były głęboko wstrząśnięte.

- Muszę - wyjaśniła dziewczyna cicho.

Pokonały w milczeniu niewielką odległość z Old Bailey i stanęły przed ciężkimi, żelaznymi, strzeżonymi wrotami więzienia. Rękę dziewczyny wciąż okrywały bandażem.

Usłyszały klucze, brzęk kluczy; potem kroki odbijające się echem w zimnych korytarzach. A później Gwenlliam zniknęła z naczelnikiem więzienia. Rozległ się szcęk drzwi: zamykanych, otwieranych. Powietrze było mroczne i wilgotne, zimne i przerażające. Cordelia i Rillie, pełne najgorszych obaw, czekały na powrót niezwyklej dziewczyny.

I w końcu Gwenlliam się zjawiała z bladą i ściągniętą twarzą; głowę trzymała bardzo wysoko; szła sztywno, jakby się obawiała złamać. Nie pytały, czekały. W drodze powrotnej wzięły dorożkę - Rillie, zawiadująca pieniędzmi, nalegała na to. Twarz Gwenlliam migiała w blasku mijanych latarni.

- Nie chciała ze mną rozmawiać - wyjaśniła w końcu dziewczyna. - Czekałam, lecz milczała. Przyznałam jednak, że coś jej zawdzięczam: to ona, nie papa, zadbała, byśmy wraz z Manon otrzymały wykształcenie należne młodym damom, nieważne, jaki z niego pożytek.

Nie powiedziała, dokąd owo wykształcenie zaprowadziło jej siostrę (*zobaczyły piękną dziewczynę w ślubnej sukni, z grymasem bólu na twarzy*). Głos Gwenlliam był spokojny, lecz dziewczyna dygotała jak w chorobie. Cordelia wzięła ją za rękę.

- Wszystko skończone - powiedziała jej córka tym samym bezbarwnym głosem. - Całe tamto życie się skończyło.

A potem przyjechały do domu, do pokojów przy Peacock-street.

Regina bohatercko próbowała rozpalić ogień, lecz kominy były zatkane, więc zamiast ciepła, dym i sadza wypełniły oba wielkie, pełne przeciągów pokoje,

gdzie świece migotały blado i rozlegał się ledwie słyszalny tupot drobnych stworzeń, przebiegających w ciemnych kątach; gdzie nie było kuchni ani waterklozetu, tylko cuchnące szambo na tyłach budynku, i gdzie nocą trzeba było zasłaniać uszy od krzyków - być może własnych.

30

Nazajutrz, kiedy w górę komina wspinał się chłopak, zapierając się bosymi stopami o jego ściany, pchając przed sobą miotłę i przeklinając Rillie (która odpowiadała wyzwiskami), na Peacock-street, via Bloomsbury, dostarczono list, przyniesiony przez posłańca od pani Fortune; posłaniec zażądał dodatkowej zapłaty za wędrowkę przez cały Londyn. Rillie, która dawniej dałaby mu szylinga, odliczyła starannie cztery i pół pensa. Sadza sypała się na pokoje, czarny pył pokrywał wszystko: ubrania, włosy, krzesła; wreszcie spadł martwy ptak, gołąb.

- Cholerna padlina - oznajmiła Regina, patrząc na niego. List był adresowany do panny Cordelii Preston.

Droga Cordelio,

Przyjdź, jeśli chcesz, do mnie, bo otrzymałam coś, co może Ci przynieść korzyść w obecnym kłopotcie.

Twoja etc.

Flora Fortune (Pani) - ze swojej siedziby.

Sadza spadała wielkimi płatami, Regina wyrzuciła martwego gołębia na Peacock-street. Gwenlliam siedziała zapatrzona, obecna czy nieobecna duchem: nie wiedziały.

- Nie mogę - powiedziała Cordelia.

- Musisz! Pójdziemy razem. - Rillie już się krzątała, szukając płaszczy.

- Nie chcę iść do pani Fortune.

- Cordie, nie masz najmniejszego wyboru. Z pewnością chodzi o pracę. Musimy pracować.

Umyły twarze zimną wodą, przyniesioną z ulicy, starając się z grubsza zetrzeć z nich sadzę; szczęśliwie nosiły żałobę, bo czarny pył pokrywał wszystko. Cordelia z największą niechęcią włożyła kapelusz, po czym obie z Rillie ucałowały

szarą jak popiół, samotną dziewczynę. Pokonawszy długą drogę na Drury Lane, dotarli na miejsce, gdy zapadał już wczesnopopołudniowy zmierzch. Szły, zostawiając szlak z sadzy osypującej się z butów; próbowały zaplanować dla siebie przyszłość, w której nie występowałby przytułek; gdy mijaly Vinegar Yard i skręcały w Drury Lane, odwróciły oczy od okrutnego budynku. Bez wielkiego entuzjazmu wspięły się po chwiejnych, nierównych schodach przy Cock Pit-lane; było jeszcze wcześniej, być może nie zastaną o tej porze zbyt wielu kolegów; z pewnością nie pana Tryfonta - nie czuły się na siłach stawić mu czoła. Zrobiły, co w ich mocy, jeśli chodzi o wygląd, lecz ubrania, włosy czuć było dymem i starym jedzeniem.

Baletnica Olivia sylabizowała groszową gazetę, zaś pan Eustachy Honour, klaun, brząkał na harfie. Ich twarze rozjaśniły się na widok wchodzących.

- Witajcie, witajcie, kochane! - Olivia objęła je obie. - Jesteście bardzo sławne, szczęściary, pani Fortune ma coś dla was, wszystko nam opowiedziała, a ja dostałam pracę na trzy miesiące! Tylko pomyślcie, tańczę w Covent Garden, z pełnym utrzymaniem, czy to nie szczęśliwy czas... pani Fortune! Oto i one! Przyszły Cordelia i Rillie!

Pan Honour wykonał tryumfalny tryl. Pani Fortune się zakrzętała.

- Ach, mój Boże, jesteście; przyczyniłyście mi niemało kłopotu, dziewczęta, ale mniejsza o to, mam dobre serce, a teraz zostaniecie, prawda, i będziecie dobrymi klientkami!

Zdawało się, że nie dostrzegła ich żałobnych strojów, bladych twarzy. Pewnie wszyscy doskonale wiedzieli o nieszczęściach, jakie spadły na Cordelię, ale postanowili o nich nie wspominać, mieli bowiem nowinę.

- Nie mówcie, że nie jestem dla was dobra; jak przyszedł ten list, mało nie padłam z wrażenia, starczyłoby mnie popchnąć miotełką do kurzu; cóż, oczywiście, że go otworzyłam, był taki egzotyczny i przyszedł na adres mojego klubu, więc w pewnym sensie do mnie, prawda?

- Porto - rzuciły automatycznie Cordelia i Rillie (choć Rillie z największą niechęcią rozstawała się z każdym pensum z ich cennych oszczędności).

- Porto i list - odparła pani Fortune; przyjęła pieniądze i starannie je przeliczyła, po czym położyła przed nimi kopertę, adresowaną do panny Cordelii Preston,

- Klub Pani Fortune, Cock Pitlane, niedaleko Drury Lane, Londyn. Olivia i pan Honour stanęli blisko, znikąd zjawiała się obfita panna Susan Fortune, nagle zmaterializowały się tańczące karły James i Jollity, najwyraźniej wtajemniczone we

wszystko. Otoczona przez kolegów, wzmocniona portem i z siedzącą tuż obok Rillie, Cordelia rozłożyła (otwarty już) list. Wysłano go z Nowego Jorku w Ameryce.

Droga Panno Preston,

Proszę pozwolić, że się przedstawię; nazywam się Silas P. Swift i w tym interesującym kraju jestem znany jako impresario artystyczny oraz posiadam coś, co niektórzy określiliby mianem cyrku, lecz co ja nazywam Teatrem Rozrywkowym. Mieścimy się w Nowym Jorku i objeżdżamy okolicę, w szczególności zaś podróżujemy po Pensylwanii tudzież do Cincinnati, gdzie posiadamy liczną płaczącą publiczność. Providence, jak Pani być może wiadomo, stanowi centrum niezwykle interesującej praktyki mesmeryzmu, w Cincinnati zaś mieści się Towarzystwo Freno-Mesmerystyczne. Szczególne zainteresowanie owym fenomenem przejawiają starzy i młodzi mieszkańcy Providence (aczkolwiek nie znam przyczyny tego faktu). Spodziewam się, że zainteresowanie owo jeszcze by wzrosło, gdyby zechciała Pani przyjąć moją ofertę.

Choć zatrudniam kilkoro śpiewaków wykonujących niezwykle przyzwoite utwory, człowieka gumę, jak też tańczącego niedźwiedzia i akrobatów...

- Mówiłam, że latałaś! - wtrąciła Rillie. - Widziałam latających ludzi...

.. niemniej jednak czas niejaki temu uświadomiłem sobie, że zainteresowanie magnetyzmem zwierzęcym można wykorzystać z zyskiem na scenie, a w moim popularnym Teatrze Rozrywki jest miejsce na pokaz tej umiejętności. Do niedawna korzystaliśmy z usług Kaznodziei, który obecnie nas opuścił, lecz którego wystąpienia cieszyły się niezwykle popularnością. Wywierał wielki wpływ na widzów, pobudzając ich do śpiewów i jęków, jak też usuwał zęby. Z wielkim uznaniem przyjęlibyśmy wszelkie podobne działania z Pani strony, jak również pokazy jasnowidzenia lub też przywoływania duchów.

Twarz Cordelii, gdy czytała, na przemian czerwieniała i bladła. Znowu zobaczyła to słowo: Ameryka.

Pani sława dotarła przed Panią do naszych brzegów. Nieszczęśliwe wypadki, w jakie została Pani uwikłana, opisywano wyczerpująco w „New York Chronicie”,

sprawę zaś zamordowania lorda Morgana Ellisa i jej niezwykle skutki śledzono z żywym zainteresowaniem (choć bowiem ten kraj jest republiką, wciąż pamiętamy o naszych korzeniach). Rozumiem, że poza praktyką jako magnetyzerka czy freno-magnetyzerka pracowała Pani dawniej jako aktorka. Cóż za cudowne połączenie dla mego Teatru Rozrywkowego!

Jako osobie świadomej wartości sławy nie muszę Pani tłumaczyć, panno Preston, że każda chwila jest cenna, jak długo Pani nazwisko pozostaje na ustach naszych obywateli. Jest tu Pani znana jako Panna Preston z Bloomsbury w Londynie, tak bowiem przedstawiały Panią gazety.

Panno Preston, wierzę, że w tym kraju okazje trafiają się tym, którzy potrafią je pochwycić. I proszę nie zapominać, że jest to kraj, gdzie ludzie są niezwykle otwarci na nowe idee.

Pragnę Pani zaoferować, panno Preston, angaż do mojej trupy na co najmniej pięć miesięcy za uposażenie do uzgodnienia, nie niższe jednak niż pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, co, zapewniam Panią, jest sumą pod każdym względem hojną, jak się bowiem Pani przekona, jestem człowiekiem szczodrym i uczciwym, jak też świadomym powabu, jakiego przydałaby Pani memu widowisku. Prezentacja Pani umiejętności stanowiłaby - gwarantuję - główny punkt programu - w istocie umieściłbym Pani nazwisko ponad, nie zaś pod jego nazwą: Panna Preston z Bloomsbury, Londyn.

Szybka odpowiedź Pani jest nieodzowna, bowiem z nadejściem zbliżającego się lata moja trupa rozpocznie nowy sezon.

Obiecuję odebrać Panią z dowolnego parowca lub żaglowca, zgodnie z Pani zawiadomieniem, jak też zapewnić noclegi w Nowym Jorku odpowiadające wszelkim wymaganiom, jakie Pani przedstawi.

Oczekując niecierpliwie jak najszybszej odpowiedzi Pani i licząc na owocne partnerstwo, mam zaszczyt pozostać Pani pokornym sługą,

Silas P. Swift, przedsiębiorca

Cordelia czytała list, Rillie zerknęła z boku. Olivia i pan Honour zaglądali jej przez ramię, choć było jasne, że zapoznali się z nim wcześniej, pani Fortune zaś stała pełna dumy, że zna już treść na pamięć.

- Zastanawiam się, panno Preston - odezwał się pan Honour, klaun, gdy tylko zauważył, że dotarła do końca - czy zechciałaby pani rozważyć moje przyłączenie się? - Spozrzegł zaskoczoną minę Cordelii. - Dzieci naprawdę mnie lubią -

wyjaśnił z naciskiem - tak, mógłbym zabawiać dzieci, podczas gdy pani prezentowałaby swój magnetyzm.

- Pięćdziesiąt dolarów to dwadzieścia funtów - zauważyła pani Fortune. - Morderstwo popłaca, nieprawdaż? - Zamarła, widząc groźne spojrzenie, jakim z miejsca obrzuciła ją Cordelia. - To znaczy... bycie w nie zamieszonym - dodała pośpiesznie. - Sława, chciałam powiedzieć!

- Oczywiście, że to mieliśmy na myśli, moja droga - zapewnił pan Honour, klaun. - Pomyśli pani o mnie?

- Oczywiście - przyłączyła się Olivia. - Chodzi o to, że każdy z nas chciałby być zamieszany w porządne morderstwo i opisany w gazetach, prawda, Jamesie? Prawda, Jollity?

Tańczące karły z podnieceniem wykonały parę tanecznych kroków.

- Ameryka - powiedziała Cordelia słabo, właśnie w chwili, gdy pan Tryfont przybył z łopotem aksamitnej peleryny.

- Panno Preston! - zakrzyknął. - Czy widziała pani swój list! Moja droga! Jak się pani podobały moje zeznania podczas pani występu?

- Były oczywiście znakomite - odparła, wciąż słabym głosem.

- Jesteśmy ogromnie wdzięczne, drogi panie Tryfont - dodała Ril-lie. - Szczególnie pięknie prezentował się pan w swojej opończy i najmodniejszym halsztuku.

Skłonił się dumnie.

- Do usług w każdej chwili, drogie panie - oświadczył. - Może mógłbym się do pań przyłączyć w Ameryce. Może nawet moglibyśmy ożywić niewymienialną sztukę pana Szekspira. - Jak się zdaje, zapomniał o słońcu.

Po przestronnej sali zaczął się rozchodzić odór parkoczącego gulaszu. Warzył się w kotle dopiero od pięciu dni, więc zapach nie był najgorszy, lecz mimo to wydawał się odrobinę zbyt intensywny.

- Co jednak, jeśli to jakiś oszust? - spytała pani Fortune, szukając dziury w całym (choć oczywiście potrafiła poznać drogi papier listowy z nadrukiem, kiedy go zobaczyła).

- Oszust! - ryknął pan Tryfont rozjuszony. - Pan Silas P. Swift oszustem! Pan Silas P. Swift to jeden z najbardziej znanych przedsiębiorców w Ameryce! Nie słyszeliście o tym? Znał Edmunda Keana! Nie słyszeliście?

Gdyby nie woń gulaszu, Cordelia, wciąż z listem w dłoni, pomyślałaby, że po prostu straciła rozum.

W drodze powrotnej na Peacock-street obie z Rillie zerkały na siebie z niedowierzaniem. Z początku nie były zdolne nawet mówić. Zupełnie nie potrafiły uwierzyć w zdumiewający obrót zdarzeń. Cordelia co chwila wymacywała w kieszeni płaszcza niezwykle list od pana Silasa P. Swifta. Przechodząc przez most na rzece, wciąż potykały się na nierównej nawierzchni. A potem nagle, mijając końcową stację dylżansów przy zajeździe Pod Słoniem i Zamkiem, wybuchnęły śmiechem. Śmiały się, aż łzy ciekły im po policzkach. Miały wiele szczęścia, że nie zwróciły uwagi jakiegoś konstabla i nie zostały aresztowane jako pijane ulicznice.

Tego wieczoru, stłoczone przy skwierczącym (lecz palącym się już lepiej) ogniu w nowym mieszkaniu, w którym pani Spoons niechętnie przewróciła nocnik, wciąż od nowa czytały list i rozprawiły o Ameryce: Ameryce zamiast przytułku przy Vinegar Yard. Regina nieoczekiwanie wspomniała o swym młodszym bracie w Nowym Jorku; nazywała go małym Alfiem. Gwenlliam, z rumieńcem na bladych policzkach, powtarzała z niedowierzaniem: „Ameryka? Ten nowy kraj?”. Rillie, siedząca obok pani Spoons, pytała ją, czy chciałyby popłynąć statkiem przez ocean. Staruszka uśmiechała się jak zawsze, bo czyż ona także, gdyby mogła cokolwiek zrozumieć, nie wołałaby Ameryki od przytułku? „Dwadzieścia funtów tygodniowo!” - powtarzały z niedowierzaniem. I ani razu, nawet przez chwilę, nie pojawiła się najmniejsza sugestia, że mogłyby nie pojechać wszystkie, całym gospodarstwem. Przeżyły razem zbyt wiele; przegrają lub zwyciężą też wspólnie. Nie było wątpliwości: pojedą, będą jakoś musiały pogodzić wysokie standardy wpojone im przez monsieur Rolanda z występami w cyrku - bo czyż nie były kobietami upadłymi?

Lecz mimo to w pokoju unosiła się przyczajona, myśl: *Trzeba będzie powiedzieć monsieur Rolandowi.* To monsieur Roland (który nigdy nie podnosił głosu) krzyczał, że mesmeryzm jest filozofią służącą uzdrawianiu ludzi, nie zaś ich zabawianiu. Pojedą do Ameryki, lecz za cenę przyjaźni człowieka, który najwięcej im pomógł.

- Powinnyśmy mu powiedzieć teraz - oznajmiła na koniec Rillie.

Tak więc, pozostawiwszy Reginę, by prawiała pani Spoons o zwycięstwie nad przeciwnościami losu (pani Spoons, jak zawsze, słuchała z zachwytem), Cordelia, Rillie i Gwenlliam włożyły kapelusze, rękawiczki i płaszcze i udały się, choć z ociąganiem - ogarnięte podnieceniem serca nagle zaczęły im ciążyć - do poko-

jów przy Cleaverstreet; Cordelia ścisnęła list, Rillie ścisnęła żelazko - ostatecznie była to osławiona okolica zajazdu Pod Słoniem i Zamkiem.

Z zaskoczeniem przekonały się (Cordelia poczuła, jak jej twarz robi się gorąca i serce bije dziwnie), że najwyraźniej przerwały monsieur Rolandowi poważną rozmowę z inspektorem Riversem. Panowie natychmiast spostrzegli wyraz twarzy kobiet, o których właśnie rozprawiali z wielkim zaniepokojeniem; spostrzegli otaczającą je aurę nerwowego podniecenia. Niezdolna wypowiedzieć słowo, skłoniwszy głowę inspektorowi, Cordelia podała list starszemu z mężczyzn. Uniósł świecę blisko do oczu i zaczął czytać, a one wpatrywały się w jego poważną twarz. Doszedł do końca, po czym wstał, przekazał list inspektorowi, podszedł do okna i wyjrzał w noc; widziały jego proste, szlachetne plecy, cień na ścianie. Widząc sztywną, wyprostowaną postać, zwróconą ku nim tyłem, Cordelia zrozumiała, jak wiele zawdzięcza temu człowiekowi, jak go kocha, jak bardzo ją wspierał. *Nigdy nie zaakceptuje pomysłu z cyrkiem. Nie zniosę kłótni z nim. Ale musimy pojechać.* Rillie, obserwująca go także, pomyślała po prostu: *Kocham monsieur Rolanda, będę za nim tęsknić nie do wytrzymania-* i niespodziewana łza spłynęła jej po policzku. Strąciła ją zawstydzona.

Rivers czytał list, wciąż w tej dziwnej ciszy, która zdawało się, spłynęła na wszystkich. Dokończył go, złożył i czekał, podobnie jak damy, co powie monsieur Roland. Przypomniawszy sobie, jak się kiedyś rozglądał za mężczyzną prowadzącym interes Cordelii i Rillie, lecz teraz wiedział, że się mylił. Chciały błogosławieństwa monsieur Rolanda, nie jego pozwolenia. Pojadą bez względu na to, co starzec powie.

Wreszcie magnetyzer odwrócił się przodem do nich. Zobaczyły jego mądre, stare oczy w blasku świec, a on ich niespokojne, uniesione w górę twarze.

- To jasne, że nie macie wyboru.

Usłyszał westchnienia ulgi i niedowierzania; pisk zachwyty Rillie, jak w dawnych czasach.

- I oczywiście pojedziecie wszystkie razem.

To nie było pytanie. Znał je. Rozumiał, że będzie to wyprawa ich wszystkich; nawet przez moment nie podważałby sensu transportowania starszych pań przez ocean.

- Jednakże... - Urwał.

Był nieskończenie bardziej odczytany od nich, podobnie - podejrzewał - jak inspektor Rivers. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wielu ludzi wyjechało do

Ameryki z marzeniami i wróciło do Anglii ze złamanym sercem i życiem. Patrzył na nie, widział iskrzące się oczy w migotliwym blasku świecy.

- To może być trudniejsze, niż sobie wyobrażacie. Ameryka to... dzikszysy... kraj.

- Sądzi pan, że nie poradzimy sobie z trudnościami i dzikością po tym, co zniosłyśmy? - zapytała Cordelia, a on zobaczył, jak jej oczy błysnęły w świetle.

- Wiem, jaka jest pani silna - odpowiedział poważnie. - I bez względu na trudności, jakie może pani napotkać, musi pani jechać. I... - umilkł na moment - ...ostateczny wynik może być niezwykle korzystny. Ów Teatr Rozrywkowy będzie dla pani jedynie punktem zaczepienia w Ameryce. Cyrki przyjeżdżają i odjeżdżają. Lecz jeśli zdoła pani osiągnąć sukces, wtedy pomimo szczególnego rozgłosu, jaki w sposób nieunikniony będzie towarzyszył występom, zacznie pani być traktowana poważnie. Obie panie, Cordelio. Pani i Gwenlliam. W pewnym sensie to szczęśliwe zrządzenie losu...

- Oczywiście, że to szczęśliwe zrządzenie losu! - zawołała.

- ...bo nie mam wątpliwości, że w rękach kogoś mniej szlachetnego niż pani oszustwa i cuda mnożyłyby się w cyrku.

Gwenlliam zbliżyła się nagle ku oknu, ku starcowi, który dał jej nadzieję.

- Musi pan jechać z nami - oznajmiła.

- Nie, moja droga - zwrócił się do niej słowami, jakimi zawsze zwracał się do Cordelii i Rillie, i uśmiechnął się. - Moja praca jest tutaj.

- Nie - zaprzeczyła.

Wszyscy spojrzeli na nią zdumieni.

- Jest pan naszym nauczycielem. Był pan nauczycielem cioci Hester. - A potem dodała coś bardzo dziwnego. - Spacerowałam z ciotką Hester i trzymałam ją za rękę.

Być może chodziło jej o dawne czasy w Walii, może o swoje dziedzictwo. Stażec nic nie odrzekł; ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- Zawsze dawał pan jasno do zrozumienia, jak ważna jest praca. Jedynie pańska obecność może sprawić, by potraktowano nas w Ameryce poważnie, i choć wiem, że nie lubi pan tego określenia, jesteśmy pańskimi uczennicami. To pan znał pana Mesmera. To pan pomoże nam otworzyć prawdziwą praktykę w Ameryce.

- Moja droga, jestem na to za stary.

- Nie - powtórzyła. - Praca jest zbyt ważna. Hipnotyzm stanie się równie ważny jako odłam mesmeryzmu, sam mi pan to mówił. Będziemy pracować w cyrku i być może nawet zyskamy jeszcze większy... rozgłos. Zdaję sobie z tego sprawę. Lecz możemy także używać tej umiejętności do pomagania i leczenia tych, którzy nas potrzebują... jeśli pojedzie pan z nami. Nie możemy pracować tutaj, bo jesteśmy... nie do zaakceptowania... lecz Ameryka to nowy kraj, jak pisze pan Silas P. Swift. Tam jest inaczej. Mamy... jak pan twierdzi... dar, a dzięki pańskiemu kierownictwu będziemy zarówno pracować w szpitalach, jak i zabawiać widzów w cyrku, i ludzie nauczą się nas szanować. Jakie to ma znaczenie, czy przyjdzie nam mesmeryzować, wisząc na trapezie! - Jej policzki płonęły. - Musimy wykorzystać moment! To nie Anglia, to Ameryka!

Inspektor Rivers pochylił się z wielkim zainteresowaniem, bez reszty porwany jej elokwencją. *Cóż to za niezwykła dziewczyna*, pomyślał znowu. Lecz pozostałych troje, monsieur Roland, Cordelia i Rillie, zauważyło coś innego.

Gwenlliam, nieskończenie bardziej naiwna od panny Hester Preston, w przeciwieństwie do swojej przodkini była prawdziwą damą. Lecz wszyscy dostrzegli wyraźnie, że oto mają przed sobą Hester: praktyczną Hester, która utykając, pokonała cały Londyn z żelazkiem w kieszeni, by się nauczyć swego niezwykłego rzemiosła.

31

Gwenlliam - pierwszy raz, odkąd zamordowano jej ojca, pierwszy raz, odkąd życie, zaczęło wirować wokół niej coraz szybciej, wymknąwszy się spod kontroli - najszybciej ze wszystkich zasnęła tej nocy po powrocie na Peacock-street, gdzie Regina układała pasjansa, pani Spoons zaś rozrzucała karty jak popadło. Dziewczyna leżała na wielkim łożu w pokoju od tyłu, otulona kołdrą, i wciąż miała delikatne rumieńce na białych, bladziuteńkich policzkach. W pokoju od frontu Regina zasnęła, tak jak siedziała, w fotelu przy ogniu: pochrapywała cicho.

Cordelia i Rillie zostały obok kominka, na sofie, na której siadywały dawniej wytworne klientki, teraz pokrytej sadzą, a pani Spoons siedziała z nimi, ściskając ósemkę pik oraz damę kier i podśpiewując stare pieśni. Dołożyły do ognia, piętrząc niedbale drewno oraz węgiel: płomienie buchnęły jasno, oświetliły ich twarze, ogrzały powietrze o zapachu starego dymu i kiełbasek, z lekką nutą odoru

nocników i butów. Napęły kieliszki porto, a potem pochwyciły swoje spojrzenia i próbowały pohamować śmiech musujący w nich jak wino. Dostrzegały całą ironię losu: w Anglii z powodu rozgłosu zostały pozbawione źródła utrzymania; i z powodu tegoż rozgłosu otrzymały dziwną, zdumiewającą ofertę z Ameryki.

- Za subtelne zawilosci nocy poślubnej - wzniosła radośnie toast Rillie.

Blask świec na gzymsie kominka i ognia tańczył, rozjaśniając ich twarze: malowało się na nich coś na kształt radości.

- No, cóż, skoro chcą rozgłosu - oznajmiła Cordelia - dajmy im rozgłos, na miłość boską! Tak sobie pomyślałam... rano pójdę do tego dziennikarza z „Globe'u” i podsunę mu tytuł: PANNY PRESTON WSTĘPUJĄ DO CYRKU W AMERYCE. A potem napiszę do pana Swifta i załączę gotowy artykuł!

- A ja pójdę do biura okrętowego. Oczywiście, nie będziemy podróżować jako emigrantki upchnięte pod pokładem: przybędziemy jako wybitne osobistości.

- Uda się to zrobić?

- Tak zrobimy - odparła przyjaciółka. - Wszystkie razem. Musimy zacząć w takim duchu, w jakim zamierzamy kontynuować, i przybyć w wielkim stylu. Zdaje się, że - jak twierdzi pan Tryfont -pan Silas P. Swift jest przedsiębiorcą z prawdziwego zdarzenia. Teraz możemy wydawać pieniądze, do diabła z nędzą i zamartwianiem się! Widziałam latających ludzi, Cordie, mówiłam ci, że ich widziałam, czy to nie dziwne!

Cordelia kiwnęła głową; zgadzała się, że ich rzemiosło wciąż pozostaje tajemnicze. Ogień trzaskał i tańczył.

- I tak się cieszę ze względu na Gwenlliam! - dodała. - Widziałas jej twarz, Rillie? ... Coś nowego, nowy początek... z dala od całego tego... nieszczęścia. Ona ma dar, Rillie, och, Rillie, wszystko się w końcu ułoży

Przyjaciółka skinęła głową ze zrozumieniem, zobaczyła nagle łzy w oczach Cordelii, ujrzała, jak ta unosi dłoń do twarzy, usłyszała szloch, który kobieta próbowała stłumić.

Cordelia poczekała, aż będzie mogła mówić dalej.

- Och Boże, Rillie! Miałaś syna. Rozumiesz.

- Rozumiem - przytaknęła Rillie. Widziała, jak bardzo Cordelia stara się nie załamać, jak usilnie stara się opanować. - On istniał naprawdę, Cordie. Odzyskałaś go, nie był tylko wspomnieniem z przeszłości. Mówili, że nie mógł długo żyć, ale zobaczyłaś go znowu, wrócił do ciebie. Możecie go zabrać ze sobą, w siebie. Obie z Gwenlliam.

Cordelia skinęła, otarła łzy grzbietem dłoni i wydała z siebie coś pomiędzy westchnieniem a jękiem, odchylając na chwilę głowę na oparcie sofy. A potem nagle sięgnęła po pogrzebacz i jeszcze bardziej podgarnęła ogień; blask padł na jej zdecydowaną, pełną desperacji twarz.

- Tak - powiedziała stanowczo.

- I wszystko się ułoży, Cordie; teraz, kiedy monsieur Roland z nami jedzie, wcale się nie boję o naszą przyszłość. - Rillie ścisnęła mocno pomarszczoną dłoń matki. - Jesteśmy stare, Cordie, i przeżyłyśmy okropne rzeczy, a mimo to mamy przed sobą nowe życie! To będzie takie podniecające, mamó - zwróciła się do pani Spoons. - Popłyniesz przez morze na wielkiej łodzi. - Narysowała dłońmi kształt w powietrzu. - To będzie wspaniała przygoda!

Pani Spoons uśmiechała się i nuciała, bo któż by (gdyby mógł zrozumieć) tak nie robił, mając w perspektywie nowy kraj: Amerykę.

- I wiesz, Cordie - ciągnęła Rillie - w gruncie rzeczy w pewien sposób ponownie będziemy aktorkami. To wielka ulga znowu stać się sobą i nie musieć być damą... cóż, przynajmniej nie przez cały czas. Ale jutro w biurze okrętowym będę cholerną damą!

Obie się roześmiały; Gwenlliam poruszyła się w drugim pokoju, Regina zachrapała, więc zasłoniły dłońmi usta, by stłumić hałas.

Pani Spoons zanuciła „Dom, ukochany dom” i obie przyłączyły się do niej, ale cicho:

Wśród pałaców i bogactw

Może wypaść nam droga - no to co?

Choćby i najskromniejszy

To jednak najmiłszy - własny dom.

A śpiewając, przewracały oczami na myśl o swym obecnym domu: zadymionym pokoju przy Peacock-street, gdzie karaluchy biegają po ścianach i ogień nie chce się palić.

- Inspektor Rivers poprosił mnie o rękę - rzuciła Cordelia.

- Wiem - odparła Rillie. Cordelia roześmiała się cicho.

- Skąd wiesz? Nic ci nie mówiłam.

- Mam oczy - odparła przyjaciółka, zadowolona z siebie. - To miły, samotny, mądry człowiek. Lubię go. Jakie są szanse, by monsieur Roland przekonał do wyjazdu także jego?

Cordelia wyglądała na wstrząśniętą.

- Nie bądź naiwna, Rillie. On jest detektywem, a my cieszymy się złą sławą. - Westchnęła lekko. - Ja... naprawdę go lubię. Ale... - Milczała długi czas. - Nie umiałabym kochać... w taki sposób... teraz. Zapomniałam.

- Bzdura - odparła przyjaciółka. - Dobrze będzie zostać jego żoną. - A potem, patrząc w głąb swego kieliszka i układając spódnicę w fałdy, dodała: - Wcale nie zapomniałaś, jak kochać. Żadnym rodzajem miłości. Po prostu kochasz nas także i nie chcesz nas opuścić. Jestem twoim lustrem.

Cordelia coś sobie przypomniała, spojrzała w twarz przyjaciółki w blasku ognia.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Rillie? Jak to: lustrem?

- Każdy musi mieć lustro - wyjaśniła. - Kogoś, kto zna go lepiej niż inni. Sądziłam, że - nie wymawiała tego nazwiska od tak dawna - pan Edward Williams będzie moim lustrem. Ale okazał się jedynie bestią z piekła rodem.

Znowu ułożyła spódnicę w fałdy. A potem dodała:

- Jeśli nie masz lustra, nie możesz siebie zobaczyć, a to niedobrze. Cordelia zastanowiła się.

- Ja jestem twoim lustrem, Rillie. - Znow poprawiła ogień. - Mon-sieur Roland jest najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam. A nie ma lustra.

- Podejrzewam jednak, że twoja ciocia Hester była jego lustrem przez wiele lat - zauważyła Rillie rozsądnie w pokrytym sadzą, rozjaśnionym ogniem i żarem pokoju.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Rillie - odezwała się pani Spoons.

32

Szanowny Panie,

Dziękuję za list. Jako że wspomniał Pan o pośpiechu, odpowiadam natychmiast.

Przyjmę ofertę występów w Pańskim widowisku jako magnetyzerka za minimalne uposażenie pięćdziesięciu dolarów tygodniowo pod pewnymi warunkami.

Wspomniał Pan, że Pan oraz cała Ameryka śledziliście pilnie dochodzenie, a następnie proces w sprawie zamordowania lorda Morgana Ellisa. Wobec tego jest Panu wiadomym, że odzyskałam swoją córkę. Odziedziczyła moce mesmerystyczne w wielkim stopniu i jest niezwykle uzdolnioną magnetyzerką. Żywimy przekonanie, że ściągniemy do Pana znacznie liczniejszą publiczność, jeśli będziemy pracować razem. Załączam kilka artykułów z londyńskich gazet z informacjami, które być może jeszcze do Państwa nie dotarły, na temat ostatecznego wyniku procesu lady Rozantundy Ellis, macochy mojej córki, jak też o szczególnym zainteresowaniu Jej Wysokości królowej Wiktorii ową tragiczną i smutną sytuacją tudzież jej pragnieniu, by jej krewniaczka, miast marnieć w więzieniu Newgate, zajęła się zbożnymi dziełami w północnej Walii pod nadzorem swego teścia diuka Llanefydd.

Ponieważ okoliczności narodzin mojej córki, jak się wydaje, dostały się do publicznej wiadomości, sugerujemy, by obie nas zapowiadano na afiszach (ponad tytułem Pańskiego widowiska) jako Panny Preston z Bloomsbury w Londynie, moja córka oczekuje też dwudziestu dolarów tygodniowo uposażenia dla siebie. Dodatkowo byłybyśmy wdzięczne, gdyby mógł Pan, zgodnie ze swą sugestią, znaleźć przestronną kwaterę w Nowym Jorku dla nas i naszej rodziny.

Być może zainteresuje Pana wiadomość, że (bez dalszych kosztów z Pańskiej strony) będziemy podróżować w towarzystwie jednego z najwybitniejszych magnetyzerów świata, ucznia wielkiego doktora Mesmera. Monsieur Alexander Roland utrzymuje kontakty z niektórymi spośród co wybitniejszych magnetyzerów w Ameryce (zaś na owych kontaktach Pański cyrk może jedynie zyskać).

Ze względu na niezwykle zainteresowanie opinii publicznej naszym każdym krokiem podróżujemy także z własnym detektywem ze stołecznej policji londyńskiej, inspektorem Arturem Riversem, mającym asystować swoim kolegom z wydziału policji stołecznej Nowego Jorku w dochodzeniu dotyczącym kilku morderstw.

Wyjemy z Liverpoolu parowcem Britannia 14 bieżącego miesiąca. Jak Pan się dowie, statek ów w ciągu dwóch tygodni dotrze do Bostonu, gdzie przesiądziemy się na mniejszy parowiec Liberty do Nowego Jorku. W Nowym Jorku zaś będziemy oczywiście niecierpliwie wyglądać Pana na nabrzeżu.

Podobnie jak Pan, liczymy na długie i owocne partnerstwo; ja zaś gwarantuję, że umiejętności mojej córki wywrą na Panu ogromne wrażenie.

Pozostaję szczerze oddana, Cordelia Preston, Bloomsbury

Ostatniego dnia Cordelia i Gwenlliam poszły na cmentarz, gdzie pochowano Morgana.

Kazały ustawić na jego grobie skromny kamień, Widniały na nim jedynie słowa:

MORGAN UKOCHANY BRAT I UKOCHANY SYN

Mimo przejmującego zimna widać było nieśmiałe oznaki wiosny. U stóp nagiego drzewa rosły krokusy: nieregularne kleksy żółci i fioletu. Obie czuły jednak dotkliwy, przejmujący żal, że ów chłopiec, który tak bardzo marzył o Ameryce, zostaje tutaj. Zapłakały raz jeszcze; oczyma duszy ujrzały ruiny zamku, morze i strzaskane kadłuby statków, być może przybyłych z Ameryki, mierzące w górę, w niebo. A potem ramie w ramie, ostatni raz w czarnych żałobnych strojach odwróciły się i wolno ruszyły ku bramie cmentarza.

Obejrzały się raz; dwie dłonie w czarnych rękawiczkach uniosły się na chwilę, żegnając życie, które minęło.

33

*GDY TYLKO DOMU PRZESTĄPIŁ PRÓG,
TO DRZWI WNET ZARYGLOWAŁ,
POCHWYCIŁ ZA ŻELAZNY DRĄG
IONĄ ZAMORDOWAŁ.
JAK WÓR NA ZIEMIĘ CISNAŁ JĄ
I DRĄ GIEM BIŁ PO GŁOWIE
AŻ MÓZG JEJ - STRASZNY WIDOK ÓW! -
ROZPRYSŁ SIĘ PO ALKOWIE.*

- wykrzykiwali recytatorzy. Przechodnie szukali pensówek i kupowali ballady, gazety i groszowe wydawnictwa, z satysfakcją śledząc następną mroczną historię; wieczory wydłużały się i powykręcane drzewa w centrum Londynu jakimś cudem zakwitły raz jeszcze pośród wozów i koni, omnibusów i dymu, przechodniów i brudu, ruchu i energii, i życia: londyńskiego życia.

„Times” nigdy nie pozwalał sobie na wielkie nagłówki, lecz mimo to zamieścił kilka wstawek na temat aktorki i magnetyzerki panny Cordelii Preston oraz jej wyjazdu wraz z córką, panną Gwenlliam Preston (znaną wcześniej jako lady Gwenlliam Ellis), do Ameryki, by tam występować w cyrku.

Po przybyciu do liverpoolskich doków pani Spoons piszczała i z niezmiernym podnieceniem wskazywała latający fortepian (transportowano instrument na pokład Britannii na grubych linach, by go wysłać do nowego kraju); teraz zaś raz po raz uśmiechała się do Cordelii, Rillie i Gwenlliam, które stały obok, przytrzymując najmodniejsze kapelusze. Wszystkie one poświęciły niezwykle wiele uwagi swojej powierzchowności: wyglądały jak arystokratki, lecz z akcentem jasnego, bezwstydnego złota. Pas oleistej, zielonej wody stawał się coraz szerszy, łopaty Britannii wirowały i dym buchał z wysokiego komina. Rillie trzymała cenną buteleczkę z pieprzem kajeńskim w wewnętrznej kieszeni płaszcza; jak się dowiedziała od wiarygodnego autorytetu, dosypanie go do gorącej zupy przeciwdziała skutkom choroby morskiej. Obok na pokładzie monsieur Roland i inspektor Rivers palili cygara, pogrążeni we własnych, prywatnych rozważaniach na widok kurczącej się Anglii. Regina zaś, która znalazła już jakiegoś dawnego znajomka, zabawiała pasażerów trzeciej klasy: opowiadała, jak walnęła lady Rozamundę Ellis w głowę swoim nocnikiem.

- Był pełny - dodała dla większego efektu i hałaśliwy śmiech poniósł się echem z pomieszczenia ogólnego na pokład pierwszej klasy, gdzie damy, mające wciąż przed sobą groźnie wzburzony Atlantyk, przebierając się w kajutach do kolacji, uskarżały się na ich ciasnotę i głosami pełnymi dezaprobaty rozprawiały o osławionej pannie Cordelii Preston, która, krążyły plotki, również podróżuje pierwszą klasą.

Wciąż jeszcze miały przed sobą spotkanie z panią Spoons i Regina.

Zaciągnęłam dług wdzięczności u autorów następujących pozycji:

Mesmerised: Powers of Mind in Victorian Britain, Alison Winter (University of Chicago Press, 1988)

A History of Hypnotism, Alan Gauld (Cambridge University Press, 1992)

Conquest of Mind: Phrenology and Victorian Social Thought, David de Gius-tino (Croom Helm etc., London, 1975)

Compendium of Phrenology, William H. Crook (Samuel Leigh, London, 1828)

Human Physiology I, do którego włączono najważniejsze fragmenty *The Institutiones Physiologicae of J. C. Blumenbach* dr. Johna El-liotsona (Longman & Co., London, 1835-1840)

Road to the Stage, Lemman Thomas Rede (J. Onwhyn, London, 1836)

Theatre Lighting in the Age of Gas, Terence Rees (Society for Theatre Research, London, 1978)

Death at the Priory: Love, Sex and Murder in Victorian England, James Rud-dick (Atlantic, London, 2001)

The Clerkenwell Riot, Gavin Thurston (George Allen & Unwin, 1967)

Curiosities of Street Literature, Charles Hindley (Reeves & Turner, London, 1871)

The First Detectives and the Early Career of Richard Mayne, Commissioner of Police, Belton Cobb (Faber & Faber, London, 1957)

A Practical Treatise on the Office and Duties of Coroners, John Jervis, Rt Hon, Sir, Chief Justice of the Court of Common Pleas (London, 1854)